TRUDI CANAVAN

KAPŁANKA W BIELI

PROLOG

Auraya przestąpiła zwalony pień, uważając, by szelest zeschłych liści albo trzask łamanej gałązki nie zdradził jej obecności. Lekki nacisk na krtań ostrzegł ją i obejrzała się - skraj taula zaczepił o korę. Uwolniła go i ostrożnie zrobiła kolejny krok.

Jej cel poruszył się i dziewczyna zamarła.

Przecież nie mógł mnie słyszeć, powiedziała sobie w myślach. Nie wydałam żadnego dźwięku.

Wstrzymała oddech, kiedy mężczyzna wstał i spojrzał w omszałe konary starego drzewa garpa. Liście rzucały plamy cienia na jego kamizelkę tkacza snów. Po chwili znowu przykucnął i wrócił do badania poszycia.

Auraya zrobiła trzy kolejne ciche kroki.

- Wcześnie dziś przychodzisz, Aurayo.

Westchnęła zniechęcona i podeszła do niego, tupiąc głośno. Pewnego dnia go zaskoczę, przysięgła sobie w duchu.

- Mama wzięła wieczorem dużą dawkę. Będzie spała do późna.

Leiard podniósł kawałek kory, potem z kieszeni kamizelki wyjął krótki nożyk, wsunął ostrze w szczelinę i przekręcił, odsłaniając wewnątrz małe czerwone ziarenka.

- Co to takiego? - spytała zaintrygowana.

Wprawdzie Leiard już od lat uczył ją wszystkiego o lesie, ale zawsze było coś nowego, co mogła poznać.

- To nasiona drzewa garpa. - Wysypał je i rozsunął na dłoni. - Przyspieszają bicie serca i zapobiegają usypianiu. Używają ich kurierzy w dalekich podróżach, żołnierze i uczeni, by odpędzić sen, a także...

Umilkł nagle, wyprostował się i popatrzył w głąb lasu. W oddali Auraya usłyszała trzask drewna. Spojrzała między drzewa. Czy to ojciec przybywał, by zabrać ją do domu? A może kapłan Avorim? Zakazał jej rozmawiać z tkaczami snów, a ona lubiła w sekrecie mu się sprzeciwiać, ale pozwolić się przyłapać w towarzystwie Leiarda

to całkiem inna sprawa.

Odstąpiła o krok.

- Zostań na miejscu.

Auraya znieruchomiała, zaskoczona tonem jego głosu. Słysząc kroki, obejrzała się i zobaczyła dwóch mężczyzn. Byli krępi, ubrani w twarde skórzane kamizele. Twarze pokrywały im czarne wiry i smugi.

Dunwayczycy, odgadła.

- Nie odzywaj się - mruknął Leiard. - Ja będę rozmawiał.

Obcy zauważyli ich. Kiedy skierowali się w ich stronę, spostrzegła, że obaj trzymają nagie miecze. Leiard stał w miejscu. Dunwayczycy zatrzymali się o kilka kroków przed nim.

- Tkaczu snów - odezwał się jeden z nich. - Czy w lesie jest więcej ludzi?

- Nie wiem - odparł Leiard. - Las jest duży, a ludzie rzadko tu przychodzą.

Wojownik skinął mieczem w stronę wioski.

- Chodźcie z nami.

Leiard nie dyskutował ani nie prosił o wyjaśnienia.

- Nie zapytasz, co się dzieje? - szepnęła Auraya.

- Nie - odrzekł. - Przekonamy się już niedługo.

Oralyn była największą wioską w północno zachodniej Hani, ale Auraya usłyszała narzekania przybyszów, że nie jest zbyt duża. Zbudowana na szczycie wzgórza, wznosiła się nad okolicznymi polami i lasem. Ponad domami wyrastała kamienna świątynia, a całą wioskę otaczał stary mur. Bramę usunięto pół wieku temu, pozostawiając bezkształtne grudy rdzy w miejscach, gdzie kiedyś były zawiasy.

Dunwayscy wojownicy krążyli wzdłuż muru, a na otaczających go polach nie było robotników. Aurayę i Leiarda odprowadzono pustymi ulicami do świątyni i wpuszczono do wnętrza. Mieszkańcy wioski tłoczyli się w głównej sali. Niektórzy z młodszych mężczyzn nosili bandaże. Auraya usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu, spostrzegła swoich rodziców i podbiegła do nich.

- Żyjesz... dzięki bogom - powiedziała matka, tuląc Aurayę do siebie.

- Co się dzieje?

Matka znowu osunęła się na podłogę.

- Ci obcy kazali nam tu przyjść - wyjaśniła. - Chociaż twój ojciec mówił im, że jestem chora.

Auraya rozwiązała sznurki taula, złożyła go i usiadła na nim.

- Wytłumaczyli dlaczego?

- Nie - odpowiedział ojciec. - Ale nie sądzę, żeby chcieli nam zrobić krzywdę. Niektórzy z naszych próbowali walczyć z wojownikami, kiedy kapłan Avorim przegrał, i żaden nie został zabity.

Aurai nie zaskoczyła porażka Avorima. Wprawdzie wszyscy kapłani byli Obdarzeni, ale nie wszyscy byli potężnymi czarownikami. Auraya podejrzewała, że niektórzy farmerzy mają większe zdolności magiczne niż Avorim.

Leiard przystanął przy jednym z rannych.

- Czy chcesz, żebym to obejrzał? - zapytał cicho.

Mężczyzna otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zamarł, gdy obok stanęła okryta bielą postać. Popatrzył na Avorima i wolno pokręcił głową.

Leiard wyprostował się i spojrzał na kapłana. Choć Avorim nie był tak wysoki jak Leiard, jednak miał autorytet. Auraya czuła mocniejsze bicie serca, gdy obaj mierzyli się wzrokiem. Po chwili Leiard skłonił się i odszedł.

Głupcy, myślała. Mógłby przynajmniej ukoić ból... Czy to ważne, że nie czci bogów? Więcej wie o uzdrawianiu niż ktokolwiek tutaj.

Rozumiała jednak, że sytuacja nie jest taka prosta. Cyrklianie i tkacze snów zawsze się nienawidzili. Cyrklianie nienawidzili tkaczy snów, ponieważ ci nie czcili ich bogów. Tkacze snów nienawidzili bogów, gdyż ci zabili ich przywódcę, Mirara. Tak przynajmniej twierdził kapłan Avorim, choć Auraya nigdy nie słyszała, by coś takiego mówił Leiard.

Metaliczny brzęk zabrzmiał echem w całej świątyni. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę wrót, które otworzyły się z wolna. Wkroczyli dwaj wojownicy Dunwayczyków. Jeden z nich miał linie wytatuowane w poprzek czoła, co nadawało jego twarzy wyraz wiecznego niezadowolenia.

Serce Aurai zamarło, gdy rozpoznała wzór. To ich przywódca. Leiard opisał mi kiedyś te tatuaże.

Obok szedł mężczyzna w ciemnoniebieskiej szacie, z twarzą pokrytą promieniującymi liniami.

A to ich czarownik.

Obaj rozejrzeli się po sali.

- Kto dowodzi w tej wiosce? - zapytał przywódca Dunwayczyków.

Wójt wioski, tłusty kupiec imieniem Qurin, wystąpił nerwowo naprzód.

- Ja.

- Jakie jest twoje imię i ranga?

- Qurin, wójt Oralyn.

Dunwayski przywódca zmierzył pulchnego mężczyznę wzrokiem.

- Ja jestem Bal, talm Mirrim, ka - lem Leven - ark.

Aurai przypomniały się nauki Leiarda. „Talm" to tytuł związany z własnością ziemską. „Ka - lem" było wysokim stopniem wojskowym. Powinno się łączyć z nazwą któregoś z dwudziestu jeden wojowniczych klanów, ale „Leven - ark" nic jej nie mówiło.

- To jest Sen - mówił dalej Bal, wskazując skinieniem czarownika. - Wojownik ognia Leven - ark. Macie ze sobą kapłana. - Spojrzał na Avorima. - Podejdź tu i podaj swoje imię.

Avorim podszedł i stanął obok wójta.

- Jestem Avorim, kapłan - oznajmił, a zmarszczki na jego twarzy stężały w wyrazie pogardy. - Dlaczego napadliście na naszą wioskę? Uwolnijcie nas natychmiast!

Auraya stłumiła jęk. Nie można w taki sposób zwracać się do Dunwayczyka, a zwłaszcza Dunwayczyka, który właśnie wziął

wszystkich mieszkańców wioski na zakładników.

Bal nie przejął się żądaniem kapłana.

- Chodźcie ze mną.

Odwrócił się na pięcie. Qurin zerknął żałośnie na Avorima, który położył mu dłoń na ramieniu, próbując dodać otuchy. Obaj wyszli za Balem ze świątyni.

Gdy tylko wrota się zamknęły, uwięzieni zaczęli snuć domysły. Mimo że wioska leżała niedaleko Dunwayu, niewiele wiedzieli o sąsiedniej krainie. Nie musieli. Góry dzielące oba kraje były niemal nie do przebycia, więc handel odbywał się albo drogą morską, albo przez przełęcz daleko na południu.

Myśl o tym, co Qurin i Avorim mogą jeszcze powiedzieć, żeby rozzłościć Bala, wzbudziła u Aurai dreszcz lęku. Wątpiła, by ktokolwiek w wiosce, oprócz Leiarda, dostatecznie poznał Dunwayczyków, by wynegocjować jakieś wyjście z tej sytuacji. Jednak Avorim nigdy nie pozwoli, by tkacz snów ich reprezentował.

Wróciła pamięcią do dnia, kiedy pierwszy raz spotkała Leiarda, prawie pięć lat temu. Jej rodzina przeprowadziła się na wieś w nadziei, że czyste powietrze i spokój pomogą chorej matce. Nie pomogły. Auraya słyszała, że tkacze snów są dobrymi uzdrowicielami, więc odszukała Leiarda i śmiało poprosiła go, by leczył jej matkę.

Od tego czasu odwiedzała go co kilka dni. Miała mnóstwo pytań na temat świata - pytań, na które nikt nie potrafił jej odpowiedzieć. Kapłan Avorim opowiadał tylko o bogach, ale był zbyt słaby, by nauczyć ją jakichś magicznych Darów. Wiedziała, że Leiard jest magicznie silny, bo nigdy nie brakło mu Darów, których ją uczył.

Chociaż nie lubiła Avorima, rozumiała jednak, że cyrkliańskich zwyczajów powinna się uczyć od cyrkliańskiego kapłana. Uwielbiała rytuały i modlitwy, historię i prawa... Uważała, że sprzyja jej szczęście, gdyż może żyć w czasach, którym bogowie zesłali pokój i dobrobyt.

Gdybym została kapłanką, byłabym o wiele lepsza od niego, myślała. Ale to się nie zdarzy. Dopóki mama choruje, będę jej

potrzebna; muszę tu zostać i się o nią troszczyć.

Otworzenie wrót świątyni przerwało ten ciąg myśli. Qurin i Avorim weszli do środka, a więźniowie otoczyli ich ciasno.

- Wszystko wskazuje na to, że ci ludzie próbują powstrzymać planowane przymierze między Dunwayem i Hanią - oznajmił Qurin.

Avorim przytaknął.

- Jak wiecie, Biali od lat starali się doprowadzić do przymierza z Dunwayczykami. Teraz wreszcie odnieśli sukces, ponieważ umarł podejrzliwy stary I - Orm, a władzę objął jego rozsądniejszy syn, I - Portak.

- To dlaczego tu przyszli? - zapytał ktoś.

- Żeby powstrzymać zawarcie traktatu. Kazali mi nawiązać kontakt z Białymi, by mogli przekazać swoje żądania. Uczyniłem to i... i rozmawiałem z samym Juranem.

Auraya usłyszała kilka syknięć. Rzadko się zdarzało, by kapłani rozmawiali telepatycznie z jednym z Wybrańców Bogów, czworga przywódców cyrklian, znanych jako Biali. Na policzkach Avorima pojawiły się dwie plamy czerwieni.

- Co powiedział? - spytał wioskowy piekarz.

Kapłan zawahał się...

- Martwi się o nas i zrobi, co tylko możliwe.

- To znaczy co?

- Nie mówił. Pewnie najpierw porozmawia z I - Portakiem.

Padły kolejne pytania. Avorim podniósł głos:

- Dunwayczycy nie chcą wojny z Hanią. Wyraźnie dali nam to do zrozumienia. W końcu wystąpić przeciwko Białym, to jak wystąpić przeciw bogom. Nie wiem, ile czasu tu pozostaniemy. Ale musimy być gotowi, by zaczekać jeszcze kilka dni.

Pytania wróciły do kwestii praktycznych. Auraya zauważyła, że Leiard marszczy czoło z niepokojem i obawą. Czego się boi? Czyżby nie wierzył, że Biali zdołają nas uratować?

Auraya śniła. Szła długim korytarzem o ścianach zastawionych zwojami i tabliczkami. Wyglądały na ciekawe, ale nie zwracała na nie uwagi. Wiedziała, że nie znajdzie w nich tego, co potrzebne. Coś

pchało ją naprzód; w końcu weszła do niedużego, okrągłego pokoju. W środku na postumencie leżał wielki zwój. Rozwinął się i Auraya spojrzała na tekst.

Przebudziła się i usiadła wyprostowana. Serce biło jej mocno. W świątyni panowała cisza, jeśli nie liczyć zwykłych odgłosów śpiących ludzi. Rozejrzała się i zauważyła w kącie pogrążonego we śnie Leiarda.

Czy to on przesłał jej ten sen? Jeśli tak, to naruszył prawo, którego złamanie karane było śmiercią.

Ale czy to ważne, skoro i tak wszyscy mamy zginąć?

Auraya otuliła się taulem i zastanowiła nad swoim snem. Dlaczego nagle była pewna, że wioska jest skazana na zagładę?

Na zwoju znajdował się tylko jeden akapit:

> *„Leven - ark" oznacza po dunwaysku „porzucającego honor". Określa wojownika, który odrzucił wszelkie nakazy honoru i obowiązku, by być w stanie walczyć o sprawę ideologicznie lub moralnie słuszną.*

Dla Aurai było niepojęte, że dunwayski wojownik decyduje się na pohańbienie swojego klanu, biorąc na zakładników nieuzbrojonych wieśniaków albo mordując bezbronnych ludzi. Teraz zrozumiała. Ci Dunwayczycy nie dbali już o honor. Nie cofną się przed niczym, nawet przed rzezią mieszkańców wsi.

Biali posiadają potężne Dary i łatwo pokonają Dunwayczyków w walce. Jednak zanim Biali ich zwyciężą, Dunwayczycy mogą pozabijać jeńców. Natomiast gdyby Biali ustąpili żądaniom Dunwayczyków, inni mogliby ich naśladować. O wiele więcej Hanijczyków czekałoby uwięzienie i groźba śmierci.

Biali nie ustąpią, pomyślała. Wybiorą raczej śmierć niektórych lub wszystkich z nas, niż ryzyko, że kolejne wioski staną się zakładnikami.

Auraya potrząsnęła głową. Dlaczego Leiard przesłał mi ten sen? Przecież nie dręczyłby mnie prawdą, gdybym nic nie mogła na nią

poradzić...

Raz jeszcze pomyślała o informacji na zwoju. „Leven - ark". „Odrzucił wszelkie nakazy honoru". Jak można to wykorzystać?

Przez resztę nocy nie udało się jej zasnąć. Zastanawiała się. Dopiero kiedy do wnętrza zaczął się sączyć blask świtu, znalazła rozwiązanie.

Po kilku dniach ludzie stali się drażliwi, a stęchłe powietrze ciężkie od niemiłych zapachów. Kiedy kapłan Avorim nie rozstrzygał kłótni między uwięzionymi, starał się dodawać im odwagi. Codziennie wygłaszał parę kazań. Dzisiaj opowiedział o mrocznych czasach sprzed Wojny Bogów, kiedy światem rządził chaos.

- Kapłanie... - odezwał się jakiś chłopiec, gdy opowieść dobiegła końca.

- Tak?

- Dlaczego bogowie nie zabiją Dunwayczyków?

Avorim uśmiechnął się.

- Bogowie to istoty czysto magiczne. Aby wpływać na ten świat, muszą działać za pośrednictwem ludzi. Dlatego właśnie mają Białych. Oni są rękami, oczami i głosami bogów.

- A dlaczego nie dali ci mocy, żebyś mógł zabić Dunwayczyków?

- Ponieważ istnieją lepsze niż zabijanie sposoby rozwiązywania problemów. Dunwayczycy... - Głos kapłana ucichł. Avorim wpatrzył się w jakiś odległy punkt, po czym uśmiechnął się. - Przybyła Mairae z Białych - oznajmił.

Auraya poczuła mrowienie w żołądku. Ktoś z Białych zjawił się tutaj, w Oralyn! Ale jej podniecenie zgasło, gdy otworzyły się wrota świątyni. Do środka wszedł Bal w otoczeniu kilku wojowników i jego czarownik Sen.

- Kapłanie Avorim. Qurinie. Chodźcie.

Avorim i Qurin wyszli za nim. Sen pozostał wewnątrz. Zmarszczka na czole zniekształciła linie tatuażu na jego twarzy. Wskazał na Ralama, ojca kowala.

- Ty. Chodź.

Starzec wstał i niepewnie zbliżył się do czarownika, powłócząc nogą, złamaną przed laty i krzywo zrośniętą.

Ma być ofiarą, domyśliła się Auraya. Serce biło jej szybko, kiedy ruszyła naprzód. Jej plan opierał się na tym, że niezależnie od intencji, Dunwayczycy niechętnie będą łamać swe obyczaje.

Stanęła przed Ralamem.

- Według nakazów Lore - powiedziała - żądam prawa zajęcia miejsca tego człowieka.

Czarownik zamrugał zdziwiony. Zerknął na wojowników strzegących drzwi i rzucił coś po dunwaysku, lekceważąco wskazując ją ręką.

- Wiem, że mnie zrozumiałeś - oświadczyła. Podeszła bliżej i stanęła o krok przed nim. - Tak samo jak twoi bracia wojownicy. Żądam prawa zajęcia miejsca tego człowieka.

Serce waliło jej jak młotem. Głosy przywoływały ją, mówiły, by odstąpiła. Starzec pociągnął ją za rękę.

- Daj spokój, dziewczyno. Ja pójdę.

- Nie. - Spojrzała w twarz Sena. - Weźmiecie mnie?

Czarownik zmrużył oczy.

- Czy taki jest twój wybór?

- Tak.

- Chodź ze mną.

Ktoś wykrzyczał jej imię i Auraya przygryzła wargę, kiedy rozpoznała głos matki. Opierając się chęci spojrzenia za siebie, wyszła za Dunwayczykami ze świątyni.

Na zewnątrz Aurayę zaczęła opuszczać odwaga. Zobaczyła dunwayskich wojowników stojących półkolem przy wyrwie w murze wioski. Ostrza włóczni migotały w promieniach popołudniowego słońca. Nigdzie nie było Qurina ani kapłana Avorima.

Spomiędzy wojowników wyszedł Bal. Ujrzał Aurayę, zmarszczył brwi i powiedział coś we własnej mowie.

- Zaproponowała siebie w zamian - odparł Sen po hanijsku.

- Czemu nie odmówiłeś?

- Znała słowa rytuału. Honor nakazywał...

Bal zmrużył oczy.

- Jesteśmy Leven - ark. Odrzuciliśmy honor. Weź...

Ktoś krzyknął ostrzegawczo i wszyscy się obejrzeli. W wyrwie muru stała kapłanka.

Była piękna. Złociste włosy miała ułożone w wyszukaną fryzurę, a jej duże niebieskie oczy obserwowały ich spokojnie. Auraya zapomniała o wszystkim prócz faktu, że oto może oglądać Mairae z Białych. Po chwili Sen objął jej nadgarstek żelaznym uściskiem i pociągnął za Balem, który maszerował już w stronę nowo przybyłej.

- Zostań tam albo ona zginie - warknął przywódca Dunwayczyków.

Mairae przyjrzała mu się uważnie.

- Balu, talmie Mirrim, ka - lemie Leven - ark, dlaczego uwięziłeś mieszkańców Oralyn?

- Czy wasz kapłan nie wytłumaczył? Żądamy, żebyście wycofali się z przymierza z Dunwayem. Jeśli nie, zabijemy tych wieśniaków.

- I - Portak nie sankcjonuje działań, które podjęliście.

- Nie zgadzamy się z wami oraz z I - Portakiem.

Mairae skinęła głową.

- Dlaczego nie chcecie dopuścić do przymierza, skoro bogowie pragną, by nasze krainy były zjednoczone?

- Nie nakazali, by Dunway był rządzony przez Białych, a jedynie byśmy byli sprzymierzeńcami.

- Nie chcemy wami rządzić.

- Dlaczego zatem żądacie władzy nad naszymi wojskami?

- Nie żądamy. Wasza armia jest i zawsze pozostanie dowodzona przez I - Portaka i jego następców.

- Armia bez wojowników ognia.

Mairae uniosła lekko brwi.

- Czyli sprzeciwiacie się raczej rozformowaniu klanu czarowników niż samemu przymierzu?

- Tak.

Zamyśliła się.

- Wierzyliśmy, że czarownicy wspierają likwidację klanu. I - Portak dostrzegł liczne korzyści płynące z kierowania Obdarzonych Dunwayczyków do stanu kapłańskiego. Mogliby się tam nauczyć wielu rzeczy, których nie poznają w domu klanowym. Na przykład uzdrawiania.

- Nasi wojownicy ognia potrafią opatrzyć ranę - warknął Sen. Jego głos zahuczał głośno w uszach Aurai.

Mairae zwróciła się ku niemu.

- Ale nie wiedzą, jak wyleczyć chorobę dziecka, jak pomóc w trudnym porodzie albo jak poprawić wzrok starca.

- Takimi sprawami zajmują się nasi tkacze snów.

Mairae pokręciła głową.

- W Dunwayu nie może być ich wystarczająco dużo, by mogli się zająć wszystkimi takimi sprawami.

- Mamy ich więcej niż Hania - odparł sztywno Sen. - Nie próbowaliśmy ich pozabijać jak Hanijczycy.

- Sto lat temu Dunwayczykom tak samo jak Hanijczykom zależało na pozbyciu się Mirara, przywódcy tkaczy snów. Tylko nieliczni zbłąkani Hanijczycy próbowali zabijać jego zwolenników. My tego nie nakazywaliśmy. - Przerwała na chwilę. - Tkacze snów to zdolni uzdrowiciele, ale nie mogą wzywać na pomoc potęgi bogów. My możemy dać wam o wiele więcej.

- Chcecie nam zabrać tradycję, której dochowujemy od ponad tysiąca lat - odrzekł Bal.

- Czy z tego powodu postanowiłeś zostać nieprzyjacielem bogów? Z tego powodu chcesz wszcząć wojnę? Bo to właśnie się stanie, jeśli zabijecie tych wieśniaków.

- Tak - potwierdził ze znużeniem Bal. - Na to jesteśmy przygotowani. Wiemy bowiem, że to nie bogowie żądają rozwiązania klanu czarowników, ale I - Portak i Biali.

Mairae westchnęła.

- Dlaczego nie zgłosiliście się wcześniej? Gdybyście pokojowo przekazali nam swoje uwagi, moglibyśmy zmienić warunki przymierza. Teraz jednak nie możemy wam ustąpić, bo gdyby inni

zobaczyli, że się wam udało, oni także zagroziliby niewinnym, by postawić na swoim.

- A więc zostawisz tych wieśniaków ich losowi?

- Ich los spadnie na wasze sumienie.

- Doprawdy? Co ludzie pomyślą o Białych, kiedy usłyszą, że nie chcieli ratować swojego ludu?

- Lojalność naszego ludu jest silna. Masz czas do końca dnia, by stąd odejść, talmie Mirrim. Niech bogowie wskażą ci drogę.

Odwróciła się.

- Nasza sprawa jest słuszna - stwierdził cicho Bal. - Bogowie widzą, że to prawda.

Rzucił Aurai niepokojąco obojętne spojrzenie, po czym skinął na Sena. Auraya zesztywniała, czując na karku palce czarownika.

- Zaczekaj! - zawołała. - Czy mogę coś powiedzieć, zanim zginę?

Wyczuła, że Sen znieruchomiał. Mairae zatrzymała się i przez ramię spojrzała na Bala. Dunwayczyk uśmiechnął się.

- Mów - rzekł.

Auraya spoglądała to na Mairae, to na Bala; przypominała sobie słowa, które w myślach ćwiczyła od wielu dni.

- To może się rozwinąć na cztery sposoby - stwierdziła. - Po pierwsze, Dunwayczycy mogą ustąpić i pozwolić Białym robić swoje. - Zerknęła na Bala. - To mało prawdopodobne. Tak samo mało prawdopodobne, że Biali ustąpią i zaczekają, by zawrzeć przymierze w lepszym czasie, bowiem nie chcą, żeby ktokolwiek was naśladował.

Zaschło jej w ustach. Przerwała, by przełknąć ślinę.

- Wydaje się, że Biali muszą pozwolić Leven - ark nas pozabijać. Potem albo Biali, albo I - Portak wybiją Leven - ark. Wszyscy zostaniemy uznani za męczenników naszej krainy lub naszej sprawy. - Znów popatrzyła na Bala. - Ale czy rzeczywiście? Jeśli zginiecie, klan czarowników i tak czeka koniec. - Spojrzała na Mairae. - Musi być jakieś inne wyjście.

Wszyscy wpatrywali się w nią. A ona po raz kolejny zwróciła się do Bala.

- Niech to wygląda, jakby Leven - ark przegrali. Odrzuciliście honor i przybyliście tu gotowi poświęcić życie dla ratowania klanu czarowników. Czy jesteście gotowi, by zamiast tego poświęcić swoją dumę?

- Dumę? - zdziwił się Bal.

- Jeśli pozwolicie, by Biali odesłali was z Hani pod eskortą i pohańbionych... jeśli będzie się wydawało, że ponieśliście klęskę... to nie musimy się obawiać, że ktoś pójdzie w wasze ślady. - Zerknęła na Mairae. - Jeśli się zgodzi, czy zmienicie warunki traktatu?

- Żeby pozwolić klanowi trwać?

- Tak. Nawet ja, mieszkająca w maleńkiej wiosce, słyszałam o sławnym dunwayskim klanie wojowników ognia.

Mairae skinęła głową.

- Tak, jeśli ludzie w Dunwayu zechcą go zachować.

- Zmieńcie warunki paktu, ale nie tak od razu, bo inni domyślą się związku między przybyciem tu Leven - ark i tymi zmianami. Zorganizujcie coś innego, co mogłoby je spowodować.

Bal i Mairae zamyślili się. Sen wydał jakiś cichy pomruk, po czym rzucił coś po dunwaysku. Słysząc odpowiedź Bala, zesztywniał, lecz nie mówił nic więcej.

- Czy chcesz jeszcze coś dodać, dziewczyno? - zapytał wojownik.

Auraya skłoniła głowę.

- Będę wdzięczna, jeśli nie zabijecie mojej rodziny i sąsiadów.

Bal wyglądał na trochę oszołomionego. Odwrócił się do Mairae. Auraya tłumiła narastające uczucie, że właśnie zrobiła z siebie głupca.

Musiałam spróbować, myślała. Gdybym znalazła sposób ocalenia wioski i nie spróbowała, to byłabym... byłabym martwa.

- Czy skłonni jesteście pozwolić, by świat uwierzył w waszą klęskę? - spytała Mairae.

- Tak - odparł Bal. - Ale moi ludzie także muszą się zgodzić. Jeśli to zrobią, to czy zmienicie warunki przymierza?

- Jeśli inni Biali i I - Portak się zgodzą. Może naradzimy się ze

swoimi ludźmi i spotkamy tutaj za godzinę?

Bal przytaknął.

- I do tego czasu nie skrzywdzicie nikogo z mieszkańców wioski?

- Przysięgam na Lore, że nie spotka ich żadna krzywda. Ale skąd mam mieć pewność, że zmienicie pakt, kiedy już odejdziemy?

Usta Mairae wygięły się w uśmiechu ulgi.

- Bogowie nie pozwalają nam łamać naszych obietnic.

- Musi nam to wystarczyć - stwierdził Bal. - Wróć za godzinę. Poznasz naszą decyzję.

Kiedy Mairae wkroczyła do świątyni, wszyscy zamilkli.

- Udało się znaleźć pokojowe rozwiązanie - oznajmiła. - Dunwayczycy odeszli. Możecie wracać do domów.

W świątyni zabrzmiały radosne okrzyki.

Auraya weszła do środka za Mairae, Avorimem i Qurinem.

- Ty mała wariatko! - krzyknął znajomy głos. Matka podbiegła, by ją uściskać. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Później wytłumaczę.

Auraya rozglądała się za Leiardem, ale nigdzie go nie było. Kiedy matka ją wypuściła, nagle zdała sobie sprawę, że Mairae stoi tuż obok.

- Aurayo Dyer - rzekła Biała. - Okazałaś wielką odwagę.

Dziewczyna poczuła, że się czerwieni.

- Odwagę? Przez cały czas byłam przerażona.

- Ale nie pozwoliłaś, by strach zamknął ci usta. - Kobieta uśmiechnęła się. - Wykazałaś się rzadko spotykaną intuicją. Avorim mówił mi, że jesteś inteligentną i Obdarzoną studentką.

Auraya ze zdziwieniem spojrzała na kapłana.

- Tak mówił?

- Tak. Myślałaś, czy nie zostać kapłanką? Jesteś starsza niż typowe nowicjuszki, ale jeszcze nie za stara.

Serce Aurai zamarło.

- Bardzo bym chciała, ale moja matka... - Obejrzała się na rodziców. - Jest chora. Opiekuję się nią.

Mairae przyjrzała się matce Aurai.

- Uzdrowiciele ze Świątyni są najlepsi w całym kraju. Jeśli przyślę tu jednego z nich, pozwolisz swojej córce się do nas przyłączyć?

Oszołomiona dziewczyna patrzyła wyczekująco na rodziców, szeroko otwierających oczy ze zdziwienia.

- Nie chciałabym sprawiać takich kłopotów... - zaczęła matka.

- Uznajcie to za wymianę - zaproponowała z uśmiechem Mairae. - Początkująca kapłanka za wyszkolonego kapłana. Auraya ma zbyt wielki potencjał, by go zmarnować. Co o tym myślisz, Aurayo?

Dziewczyna otworzyła usta i wydała z siebie całkiem dziecinny pisk, który jeszcze przez lata miała wspominać z zakłopotaniem.

- To by było cudowne!

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Wprawdzie Danjin Spear już przy kilku wcześniejszych okazjach bywał w Świątyni w Jarime, ale dzisiaj miał wrażenie, że idzie tam po raz pierwszy. W przeszłości odwiedzał Świątynię w sprawach innych ludzi albo wykonując drobne zlecenia jako tłumacz. Teraz było inaczej - teraz był tutaj, by rozpocząć to, co powinno być najbardziej prestiżową pracą w jego karierze.

Nieważne, dokąd go zaprowadzi - nawet jeśli jej nie podoła albo jeśli obowiązki okażą się nudne i nieprzyjemne, ten dzień pozostanie w jego pamięci na zawsze. Zauważył, że baczniejszą niż zwykle uwagę zwraca na otoczenie - być może, by zapamiętać wszystko i wspominać później. Może tylko dlatego że jestem taki podniecony, ta droga wydaje się trwać całą wieczność.

Wysłano po niego platten. Niewielki, dwukołowy pojazd kołysał się łagodnie w rytm kroków ciągnącego go arema. Wolno mijał inne powozy, pieszych służących, kupców, a także bogatych mężczyzn i kobiety, spacerujących po ulicach. Danjin przygryzł wargę, powstrzymując się od zwrócenia się do siedzącego na wąskim koźle człowieka, by popędził łagodne zwierzę. Wszyscy słudzy Świątyni mieli w sobie spokój i godność, które zniechęcały do wydawania im poleceń. Prawdopodobnie dlatego że swoją postawą przypominali trochę kapłanów i kapłanki, a im oczywiście nikt nie rozkazywał.

Zbliżali się już do końca długiej, szerokiej ulicy. Po obu stronach wyrastały spore, dwu i trzypiętrowe budynki, stanowiące wyraźny kontrast z mieszaniną domów, sklepów i składów, wypełniających większą część miasta. Domy przy Drodze Świątynnej były tak drogie, że tylko najzamożniejsi mogli sobie na nie pozwolić. Choć Danjin należał do jednej z najbogatszych rodzin w Jarime, nikt z jego krewnych tu nie mieszkał. Byli kupcami, a Świątynia i religia interesowały ich tak samo jak rynek albo codzienny obiad - stanowiły konieczność, nad którą nie warto się rozwodzić, chyba że da się na tym wzbogacić.

Danjin myślał inaczej, i to odkąd pamiętał. Wierzył, że wartość można mierzyć czymś innym niż tylko złotem - takimi rzeczami jak lojalność wobec słusznej sprawy, cywilizowane normy zachowania, prawo, sztuka i pogoń za wiedzą. Wszystkim tym, co - jak wierzył ojciec - można albo kupić, albo ignorować.

Platten dotarł do Białego Łuku, obejmującego wejście do Świątyni, i nad Danjinem wyrosły płaskorzeźby pięciorga bogów. Wypełnione złotem rowki całkiem udanie symbolizowały jasność, którą promieniują, kiedy przybierają widzialne postacie. Wiem, że ojciec powiedziałby: Jeśli pieniądze nie mają dla bogów znaczenia, to dlaczego Świątynia nie jest zbudowana z patyków i błota?

Platten jechał dalej, pod łukiem sklepienia, aż Świątynia pojawiła się w całej okazałości. Danjin westchnął z zachwytem. Musiał szczerze przyznać: podobało mu się, że nie jest zbudowana z patyków i błota. Po lewej stronie miał Kopułę, ogromną półkulę, w której odbywały się ceremonie. Wysokie łukowe przejścia wokół podstawy otwierały dostęp do wnętrza i wywoływały wrażenie, że Kopuła unosi się tuż nad ziemią. W środku znajdował się Ołtarz, gdzie Biali obcowali z bogami. Danjin tego nie widział, ale może jego nowa rola przyniesie taką możliwość.

Obok Kopuły wznosiła się Biała Wieża. Najwyższy budynek, jaki istniał na świecie, zdawał się sięgać aż do chmur. Nie sięgał, oczywiście. Danjin odwiedzał jego najwyższe komnaty i wiedział, że chmury pozostają o wiele wyżej. Jednakże to złudzenie musi silnie działać na przybyszów. Dostrzegał korzyści płynące ze wzbudzania zachwytu i pokory zarówno wśród ludzi z gminu, jak u obcych władców.

Po prawej stronie Wieży stało Pięć Domów - duży pięciokątny budynek, w którym mieszkali kapłani. Danjin nigdy nie był w środku i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Chociaż szanował bogów i ich wyznawców, nie miał ochoty zostać kapłanem. W wieku pięćdziesięciu jeden lat był już za stary, by rezygnować z pewnych nałogów. No i żona nigdy by się nie zgodziła.

Chociaż z drugiej strony, może by się jej to spodobało, pomyślał

z uśmiechem. Zawsze narzeka, że kiedy jestem w domu, strasznie bałaganię i komplikuję jej plany.

Budynki Świątyni otaczała rozległa połać otwartego terenu. Brukowane dróżki i zagony układały się w deseń kół w kołach. Koło było świętym symbolem Kręgu Bogów, a niektóre ze sposobów wykorzystania go w Świątyni kazały Danjinowi zastanawiać się, czy architekci i projektanci nie byli obłąkanymi fanatykami. Czy na przykład musieli kolistymi wzorami dekorować publiczne toalety?

Platten toczył się coraz bliżej Wieży i serce Danjina zaczęło bić odrobinę za szybko. Noszący białe szaty kapłani i kapłanki chodzili tu i tam; niektórzy zauważyli jego przybycie i kłaniali się uprzejmie, jak prawdopodobnie każdemu w tak bogatym stroju. Wreszcie powóz zatrzymał się obok Wieży i Danjin wysiadł. Podziękował woźnicy, który skinął tylko głową i znowu popędził arema.

Danjin odetchnął głęboko i odwrócił się w stronę wejścia, gdzie ciężkie kolumny podtrzymywały szeroki łuk. Wszedł do środka. Magiczne światła ukazywały gęsto zastawioną kolumnami halę, zajmującą cały dolny poziom. Tutaj odbywały się zgromadzenia i przyjmowano ważnych gości. Odkąd Biali stali się władcami Hani, a także przywódcami cyrkliańskiej religii, Wieża była w równej mierze pałacem, co ośrodkiem religijnym. Władcy innych krain, ich ambasadorowie i inne znaczące osobistości zbierali się tutaj przy ważnych okazjach albo przybywali, by omawiać kwestie polityczne. Była to wyjątkowa sytuacja - we wszystkich innych krajach kapłani ustępowali władzy świeckiej.

Halę wypełniali ludzie; rozbrzmiewał gwar głosów. Kapłani i kapłanki przechodzili pospiesznie albo mieszali się z gośćmi ubranymi w tuniki z kosztownych tkanin, błyszczącymi biżuterią i mimo upału okrytymi obfitymi taulami. Danjin spoglądał na twarze wokół siebie, czując coś zbliżonego do podziwu. Prawie każdy władca, każdy sławny, bogaty albo wpływowy mężczyzna czy kobieta z Ithanii Północnej zjawili się tu dzisiaj.

Nie wierzę, że widzę to na własne oczy.

To, co sprowadziło ich do głównej świątyni Hani, to pragnienie

zobaczenia, jak bogowie wybierają piątą i ostatnią z Białych. Teraz, kiedy ceremonia już się odbyła, wszyscy chcieli poznać nową Wybraną.

Danjin z pewnym wahaniem ruszył dalej, idąc między dwoma rzędami kolumn. Rzędy takie rozbiegały się promieniście od środka sali, a teraz kierowały go coraz głębiej, aż do kolistej ściany otaczającej spiralne schody, prowadzące na najwyższy poziom. Wspinaczka na szczyt byłaby męcząca, ale budowniczowie tego miejsca wprowadzili zdumiewające rozwiązanie - ciężki łańcuch zwisał w klatce schodowej i znikał w otworze w podłodze. U stóp schodów stał kapłan. Danjin podszedł i powitał go formalnym znakiem kręgu, stykając palce wskazujące i kciuki obu dłoni.

- Danjin Spear - przedstawił się. - Przyszedłem na spotkanie z Dyarą z Białych.

Kapłan skłonił głowę.

- Witaj, Danjinie Spearze - odpowiedział głębokim głosem.

Danjin szukał jakiejś oznaki tego psychicznego sygnału, którym kapłan porozumiewał się z pozostałymi, ale ten nawet nie mrugnął. Łańcuch w studni schodów zaczął się przesuwać. Danjin wstrzymał oddech. Wciąż trochę się obawiał tego urządzenia w środku Białej Wieży. Kiedy spojrzał w górę, zobaczył opadający ku nim duży metalowy dysk.

Dysk był podstawą metalowej konstrukcji, szerokiej jak studnia schodów. Z oczywistych powodów wszyscy nazywali ją „klatką" - wyglądała całkiem tak, jak trzcinowe klatki, w których trzymano zwierzęta na targu, i zapewne wzbudzała u jej pasażerów podobne uczucie zagrożenia. Danjin był wdzięczny losowi, że nie jest to jego pierwsza jazda tym urządzeniem. Co prawda nie sądził, by kiedykolwiek się przyzwyczaił, ale nie był już tak przerażony jak kiedyś. Nie chciał, by strach zwiększał jeszcze bardziej zdenerwowanie przed podjęciem ważnej pracy.

Kiedy metalowa konstrukcja osiadła na dnie wieży, kapłan otworzył drzwi i zachęcił gościa do wejścia. Klatka ruszyła w górę i Danjin szybko stracił go z oczu. Zdawało się, że schody okrążają go

w miarę nabierania wysokości. Przesuwali się po nich mężczyźni i kobiety ubrani w cyrkle, uniformy służby świątynnej, albo okazałe szaty ludzi bogatych i ważnych. Na niższych poziomach znajdowały się pokoje i sale spotkań dla wizytujących dygnitarzy. Jednak im wyżej wznosiła się klatka, tym mniej ludzi widział Danjin. Wreszcie dotarł do najwyższych poziomów, gdzie mieszkali Biali. Klatka zwolniła i w końcu się zatrzymała.

Danjin wyszedł na zewnątrz. O dwa stopnie wyżej, w ścianie po drugiej stronie, ujrzał drzwi. Zawahał się, nim do nich podszedł. Wprawdzie już kilka razy rozmawiał z Dyarą, drugą najpotężniejszą z Białych, ale jej obecność wciąż go trochę onieśmielała. Wytarł o szatę spocone dłonie, odetchnął głęboko i uniósł rękę, by zastukać.

Palce trafiły w pustkę, gdyż drzwi nagle się otworzyły. Wysoka kobieta w średnim wieku uśmiechnęła się do niego.

- Jak zawsze punktualnie, Danjinie Spearze. Wejdź.

- Witaj, Dyaro z Białych - odparł z szacunkiem, wykonując znak kręgu. - Jak mógłbym się spóźnić, jeśli tak łaskawie przysłałaś po mnie platten?

Uniosła brwi.

- Jeśli wysłanie plattenu to jedyne, czego trzeba, by zagwarantować punktualność, to całkiem sporo ludzi, których wzywałam w przeszłości, będzie musiało się mocno tłumaczyć. Wejdź i usiądź.

Odwróciła się i przeszła w głąb pokoju. Przy swoim wzroście, ubrana w strój cyrkliańskiej kapłanki, byłaby imponującą postacią, nawet gdyby nie należała do nieśmiertelnych Białych. Kiedy wszedł za nią, zauważył, że obecna jest jeszcze jedna kapłanka. Znowu wykonał znak kręgu.

- Witaj, Mairae z Białych.

Kobieta uśmiechnęła się, a Danjin nagle poczuł się lekko. Uroda Mairae była słynna w całej Ithanii Północnej. W pieśniach kolor jej włosów opisywano jako promienie słońca na złocie, a oczy porównywano do szafirów. Mówiono, że czar jej uśmiechu skłoniłby króla do oddania królestwa. Nie sądził, by któryś z obecnych władców dał się do tego skłonić zwykłym uśmiechem, ale filuterny

błysk w jej oczach i naturalne ciepło zawsze łagodziły jego skrępowanie.

Nie była tak wysoka i nie emanowała surową pewnością siebie jak Dyara. Z pięciorga Białych, Dyara została wybrana jako druga. Stało się to siedemdziesiąt pięć lat temu, kiedy miała lat czterdzieści dwa, więc teraz dysponowała ponadstuletnią wiedzą o świecie. Mairae, wybrana w wieku dwudziestu trzech lat ćwierć wieku temu, była dwa razy mniej doświadczona.

- Nie pozwól, by król Berro zabrał ci dzisiaj cały wolny czas - poradziła Dyara.

- Znajdę mu coś do roboty - odparła Mairae. - Potrzebujesz pomocy w przygotowaniach do wieczornych obchodów?

- Jeszcze nie. Przed nami jednak cały dzień, w którym mogą się zdarzyć katastrofy. - Urwała, jakby właśnie coś przyszło jej do głowy. Zerknęła na Danjina. - Mairae, dotrzymaj towarzystwa Danjinowi Spearowi, a ja coś sprawdzę, dobrze?

- Oczywiście.

Gdy drzwi zamknęły się za Dyarą, Mairae uśmiechnęła się.

- Naszej najmłodszej rekrutce wszystko to wydaje się trochę przytłaczające - powiedziała konspiracyjnym tonem. - Pamiętam jeszcze, jak to jest. Dyara znajdowała mi tyle zajęć, że nie miałam czasu na myślenie.

Danjin poczuł ukłucie niepewności. Co zrobi, jeśli nowa Biała nie będzie w stanie podołać swoim obowiązkom?

- Nie obawiaj się, Danjinie Spearze. - Mairae znów się uśmiechnęła, a on przypomniał sobie, że wszyscy Biali potrafią czytać w myślach. - Poradzi sobie. Po prostu jest trochę oszołomiona tym, że znalazła się tam, gdzie jest.

Danjin z ulgą pokiwał głową. Zastanowił się... Może rozmowa z Mairae jest okazją, by dowiedzieć się czegoś o tej nowej Białej.

- Taka ona jest? - zapytał.

Mairae ściągnęła wargi, rozważając odpowiedź.

- Inteligentna. Potężna. Lojalna wobec bogów. Współczująca.

- Chodziło mi o to, czym różni się od innych Białych - poprawił

się.

Parsknęła śmiechem.

- Ach, Dyara nie uprzedzała, że jesteś pochlebcą. Lubię to u mężczyzn. Hm... - Zmrużyła oczy. - Próbuje zrozumieć wszystkie strony w sporze. Odruchowo dba o potrzeby i pragnienia innych. Myślę, że będzie dobrą rozjemczynią.

- Negocjatorką? Słyszałem, że miała coś wspólnego z tym incydentem z Dunwayczykami dziesięć lat temu.

- Owszem. To jej wioskę opanowali. - Ach...

To ciekawe.

Mairae wyprostowała się nagle i spojrzała na ścianę poza nim. Nie, poprawił się w myślach, nie na ścianę. Jej uwaga była skierowana gdzie indziej. Zaczynał już rozpoznawać te odruchy, które wskazywały na myślową komunikację między Białymi.

Znów spojrzała na niego.

- Masz rację, Danjinie Spearze. Właśnie otrzymałam wiadomość, że król Berro prosi o spotkanie ze mną. Obawiam się, że muszę cię opuścić. Poradzisz sobie tutaj sam?

- Tak, oczywiście - zapewnił. Mairae wstała.

- Jestem przekonana, że zobaczymy się jeszcze wiele razy, Danjinie Spearze. I nie wątpię, że będziesz znakomitym doradcą.

- Dzięki ci, Mairae z Białych.

Cisza, jaka zapadła po jej wyjściu, zdawała się niezwykle głęboka. To dlatego że nie dochodzą tu żadne głosy z zewnątrz, pomyślał. Spojrzał w stronę okna - było duże, okrągłe i ukazywało niebo.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Wstał i zmusił się, by podejść bliżej. Choć już go oglądał, widok z Białej Wieży ciągle budził lęk.

Pojawiło się morze. Jeszcze kilka kroków i mógł zobaczyć w dole miasto - zabawkowe miasteczko malutkich domków i jeszcze mniejszych ludzi. Kiedy zrobił następny krok, serce zabiło mu jak oszalałe, gdyż w polu widzenia ukazała się Kopuła - wyglądała jak ogromne jajo zakopane do połowy w ziemi.

Ziemia... Leżąca bardzo, bardzo daleko w dole.

Świat przechylił się i zawirował. Danjin cofał się, aż znowu mógł widzieć tylko morze i niebo. Zawroty głowy ustały. Jeszcze kilka głębokich oddechów, a zwolnił także puls.

Potem usłyszał otwierane drzwi i znieruchomiał. Obejrzał się i zobaczył wchodzącą Dyarę, a wraz z nią inną kapłankę. Kiedy uświadomił sobie, kto to taki, jego niepokój ustąpił miejsca zaciekawieniu.

Nowa Biała była równie wysoka jak jej towarzyszka, ale ręce miała chudsze, a rysy twarzy bardziej kanciaste, włosy zaś o odcień jaśniejsze od ciemnego brązu Dyary. Zewnętrzne kąciki oczu były odchylone lekko ku górze, co nadawało jej trochę ptasi wygląd. Te oczy spoglądały na niego z błyskiem inteligencji, a usta wykrzywił grymas rozbawienia. Zapewne obserwuje, jak się jej przygląda, i czyta każdą jego myśl.

Trudno się pozbyć starych przyzwyczajeń. Przez lata nauczył się na pierwszy rzut oka oceniać charaktery i teraz też nie mógł się powstrzymać. Kiedy szły ku niemu wraz z Dyarą, zauważył, że sposób ułożenia ramion nowej Białej zdradza jej nerwowość. Ale spokojne spojrzenie i układ ust sugerowały, że niepokój wkrótce ustąpi przed wrodzonym opanowaniem. Powiedziano mu, że ma dwadzieścia sześć lat, i wzrok to potwierdzał, ale w wyrazie twarzy dostrzegał też dojrzałość, sugerującą większą wiedzę o świecie i doświadczenie, niż miałaby przeciętna arystokratką w jej wieku.

Musiała uczyć się pilnie i szybko, by w tym wieku zostać kapłanką wysokiego szczebla, myślał. Jej Dary także muszą być silne. Jeśli jest tą, która pochodzi z wioski opanowanej wtedy przez Dunwayczyków, to daleko zaszła.

- Aurayo, oto Danjin Spear - przedstawiła go Dyara z uśmiechem. - Będzie twoim doradcą.

Danjin wykonał formalny znak kręgu. Auraya unosiła już ręce, by odpowiedzieć tym samym, jednak zrezygnowała i znów je opuściła.

- Witaj, Danjinie Spearze - powiedziała.

- Witaj, Aurayo z Białych - odparł.

Mówi pewnymi tonem, uznał. Przynajmniej nie pozwala, żeby nerwowość ujawniła się w głosie. Musi tylko popracować' nad postawą.

Auraya wyprostowała się i uniosła podbródek.

Tak lepiej, pomyślał. A potem zdał sobie sprawę z tego, że ona przecież czyta mu w myślach i reaguje na jego sugestie. Potrzebuję czasu, uznał, żeby się do tego przyzwyczaić.

- Widzę, że będzie się wam dobrze pracowało - stwierdziła Dyara. Wskazała im krzesła. - Danjin oddał nam w przeszłości cenne usługi. Jego - ocena sytuacji w Torenie była niezwykle dogłębna i pomogła nam uzyskać przymierze z królem.

Auraya spojrzała na niego ze szczerym zaciekawieniem.

- To prawda? Wzruszył ramionami.

- Ja tylko przekazałem to, czego się nauczyłem, kiedy mieszkałem w Torenie.

- Jest zaskakująco skromny. - Dyara parsknęła śmiechem. - Przekonasz się, że j ego wiedza o innych ludziach jest równie użyteczna. Zna wszystkie języki Ithanii.

- Oprócz używanych przez ludy Siyee i Elai - zaznaczył.

- Jest dobrym sędzią charakterów. Ludziom u władzy potrafi udzielić rady w sposób dyskretny i nieobraźliwy.

Auraya przyglądała mu się, słuchając Dyary.

- To cenna umiejętność - stwierdziła.

- Będzie ci towarzyszył podczas wszystkich audiencji. Uważaj na jego myśli. Będą kierowały twoimi odpowiedziami.

Auraya skinęła głową i rzuciła Danjinowi przepraszające spojrzenie.

- Danjin doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, że bezustanny dostęp do jego myśli należy do funkcji, którą pełni - uspokoiła ją Dyara. Uśmiechnęła się do Danjina i mówiła dalej. - Co oczywiście nie oznacza, że powinnaś lekceważyć zasady dobrego wychowania, o których ci mówiłam.

- Oczywiście.

- Teraz, kiedy mamy już za sobą prezentację, musimy zejść na niższe poziomy. Król Torenu czeka na spotkanie z tobą.

- Mam się już spotykać z królami? - zdziwiła się Auraya.

- Tak. Przybyli do Jarime, by być świadkami Wyboru. Teraz chcą poznać Wybraną. Wolałabym dać ci trochę więcej czasu, ale nie mogę.

- Nic nie szkodzi. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Miałam tylko nadzieję, że zdążę zapoznać się z moim nowym doradcą, zanim zacznę zmuszać go do pracy.

- Poznacie się, pracując.

- Dobrze. - Auraya skinęła głową i uśmiechnęła się do Danjina. - Ale liczę na to, że poznamy się lepiej, kiedy tylko będzie to możliwe.

Skłonił głowę.

- I ja pragnąłbym cię poznać, Aurayo z Białych.

Kiedy obie kapłanki wstały i ruszyły do drzwi, Danjin poszedł za nimi. Zobaczył wreszcie kobietę, dla której miał pracować, i nic nie sugerowało, że praca ta będzie trudna czy nieprzyjemna. Natomiast pierwsze zadanie to całkiem inna sprawa.

Pomóc jej w rozmowie z królem Torenu, myślał, to prawdziwe wyzwanie.

Tryss zmienił lekko pozycję, zaciskając i rozluźniając palce stóp na gałęzi. Spoglądając w dół, przez liście dostrzegł kolejne poruszenie wśród leśnego poszycia. Niecierpliwił się; chciałby natychmiast pochylić się, rozłożyć skrzydła i zanurkować; opanował się jednak. Czekał bez ruchu.

Skóra go swędziała i spływał potem, od którego wilgotniały kamizelka i spodnie z trzcinowego włókna, a membrana skrzydeł mrowiła. Pasy na biodrach i szyi zdawały się ciasne i niewygodne, wiszące na brzuchu kolce za ciężkie. O wiele za ciężkie. Ściągną go na ziemię, kiedy tylko spróbuje wzlecieć.

Nie, powiedział sobie. Nie słuchaj instynktu. Uprząż nie uciska, nie obciąża. Większa groźba kryje się na czubkach tych kolców. Gdyby się skaleczył... Niezbyt wysoko oceniał swoje szanse przetrwania, jeśliby zasnął teraz, siedząc na cienkiej gałęzi, wiele

ludzkich - wzrostów nad ziemią.

Zesztywniał, gdy znowu zauważył ruch. Trzy yerny wyszły na polankę pod nim, więc wstrzymał oddech. Z góry wyglądały jak wąskie beczki okryte brązową skórą, a perspektywa zmieniała ich ostre rogi w krótkie narośle. Skubiąc trawę, szły powoli w kierunku błyszczącego w słońcu strumienia. Tryss przesunął dłonią po pasach i drewnianych dźwigniach uprzęży, sprawdzając, czy wszystko jest zamocowane jak należy, po czym kilka razy odetchnął głęboko i runął w dół.

Yerny były trawożercami. Żyły w stadach i miały wrażliwe zmysły, pozwalające im wyczuć pozycję i emocje wszystkich członków stada. Te zmysły zdolne też były do wykrywania innych zwierząt w pobliżu i tego, czy planują atak. Umiały szybko biegać. Jedynymi drapieżnikami, którym udawało się polowanie, były te wykorzystujące przewagę zaskoczenia albo mające własne potężne Dary maskowania myśli - jak przerażający leramer. Jednak nawet im udawało się schwytać tylko stare lub chore osobniki.

Spadający Tryss zobaczył, że yerny - wyczuwając bliskość umysłu planującego atak - napinają mięśnie i rozglądają się nerwowo, nie wiedząc, w którą stronę uciekać. Nie mogły zrozumieć, że drapieżnik może nadlecieć z góry. W połowie drogi do ziemi Tryss rozłożył ramiona; poczuł, jak membrany skrzydeł chwytają powietrze. Wystrzelił spomiędzy liści i zanurkował ku swej zdobyczy.

Wyczuwając go tuż przy sobie, zwierzęta wpadły w panikę. Pohukując głośno, rozbiegły się we wszystkie strony. Tryss podążył za jednym z nich, przemykającym pod gałęziami drzew. Zagonił zdobycz na otwarty teren, a kiedy uznał, że osiągnął odpowiednią pozycję, szarpnął za pasek owinięty wokół kciuka. Kolec oderwał się od pasa i poleciał w dół.

Jednocześnie yern zmienił nagle kierunek; kolec chybił i zniknął w trawie. Tryss zdusił przekleństwo, zatoczył łuk i pofrunął za zwierzęciem. Tym razem starał się nie myśleć, że jest gotów do ataku. Oczyścił umysł z wszelkich rozważań prócz tego, by lecieć

równo nad yernem. Pociągnął pasek i poczuł, jak od pasa odrywa się niewielki ciężar kolca.

Pocisk trafił zwierzę tuż za kłębem, a Tryssa ogarnęło uczucie tryumfu. Yern biegł dalej, a kolec kołysał się, wbity w skórę. Tryss obserwował go niespokojnie, obawiając się, że ostrze nie zagłębiło się dostatecznie, by sok dotarł do krwi, albo że wypadnie.

Kolec jednak tkwił mocno w grzbiecie yerna. Zwierzę zwolniło bieg, zrobiło chwiejnie kilka kroków, potem zatrzymało się, a Tryss pomyślał, że krąży nad nim jak ścierwojad. Rozejrzał się po okolicy, sprawdzając, czy gdzieś nie czai się leramer albo inny wielki drapieżnik. Jeśli nie będzie ostrożny, mogą odebrać mu zdobycz.

Yern w dole zakołysał się i runął na bok. Uznawszy, że może bezpiecznie wylądować, Tryss opadł na ziemię o kilka kroków od zwierzęcia. Zanim się zbliżył, odczekał, aż oczy yerna zaszły mgłą - bestia miała ostre rogi, które łatwo mogły rozerwać skrzydła Siyee.

Z bliska wydawała się ogromna. Tryss podejrzewał, że gdyby stała, nie sięgałby jej głową do ramion. Pogładził sierść - była ciepła i pachniała ostro. Zauważył, że uśmiecha się z podniecenia.

Udało się! Sam, własnoręcznie powaliłem jedno z wielkich zwierząt z tego lasu!

Siyee nie polowali na duże zwierzęta. Byli niewielką rasą, delikatną, z nielicznymi magicznymi Darami. Mieli kruche, łatwo pękające kości. Ich nogi nie były przystosowane do biegania na duże odległości, a zakres ruchów ramion - ich skrzydeł - był ograniczony. Nawet gdyby potrafili wznieść włócznię czy miecz, uchwyt byłby zbyt niepewny. Palce, poza kciukiem i wskazującym, tworzyły strukturę skrzydła, więc dłonie nie nadawały się do czynności wymagających siły. Ilekroć Tryss myślał o swoim ciele, zastanawiał się, czy bogini Huan, która tyle stuleci temu stworzyła jego lud z ziemiochodzących - ludzi zamieszkujących resztę świata - zapomniała o tym, że muszą przecież jakoś się bronić i żywić.

Uznawano zgodnie, że ponieważ nie istnieje broń, której Siyee mogliby używać w locie, bogini nie chciała, by byli ludem, który poluje albo walczy. Zamiast tego muszą zbierać i uprawiać zboże,

warzywa, owoce i orzechy. Muszą zastawiać pułapki i hodować małe zwierzęta, muszą mieszkać tam, gdzie żaden ziemiochodzący im nie zagrozi - w surowych, niedostępnych górach Si.

Niewiele znajdowali tu ziemi pod uprawę, a zwierzęta, którymi się żywili, coraz trudniej było chwytać. Tryss uważał, że Huan nie chciała, by jej lud głodował. Dlatego, jak podejrzewał, niektórzy otrzymali twórcze umysły.

Spojrzał na urządzenie, które do siebie zamocował. Problem polegał na tym, by skonstruować coś, co w locie nie będzie krępować ruchów, a równocześnie pozwoli łatwo uwalniać kolce.

Z czymś takim możemy polować! Możemy nawet się bronić. Niewykluczone, że uda się odebrać część ziemi, którą ukradli nam ziemiochodzący. Wiedział, że w ten sposób nie zdołają walczyć z dużymi oddziałami najeźdźców, ale z nielicznymi grupkami ziemiochodzących wyrzutków, zapuszczających się w góry Si, łatwo będzie można się rozprawić.

Jednak dwa kolce nie wystarczą, uznał. Na pewno zdołam unieść cztery, nie są przecież takie ciężkie. Ale jak je uwalniać? Mam tylko dwa kciuki...

Później poszuka rozwiązania. Patrząc na śpiącego yerna, uświadomił sobie, że ma poważny kłopot. Wziął ze sobą linę, by podciągnąć łup na gałąź, poza zasięg większości drapieżników, gdy tymczasem on sam pofrunie do domu po innych, żeby podziwiali jego sukces i pomogli oprawić zwierzę. Teraz jednak wątpił, czy starczy mu sił, by przeciągnąć cielsko do najbliższego pnia. Nie miał wyboru - musiał je zostawić w nadziei, że drapieżniki tu nie trafią. To znaczy, że musi szybko wrócić z pomocą. Szybciej poleci bez uprzęży...

Rozpiął ją, zrzucił z siebie i powiesił na najbliższym drzewie. Wyjął nóż, obciął kosmyk włosów z grzywy yerna i wcisnął do kieszeni. Sprawdził kierunek wiatru i ruszył biegiem.

Start z ziemi wymagał energii. Tryss skoczył w powietrze i zamachał skrzydłami; dyszał z wysiłku, nim wreszcie dotarł na wysokość, gdzie wiatry były silniejsze, więc mógł wznosić się i

szybować. Po chwili odzyskał oddech i mocno bijąc skrzydłami, podążył za sprzyjającymi prądami powietrza.

W takich chwilach mógłby wybaczyć bogini Huan trudy i niedole, jakie spotykały jego lud. Kochał latanie. Najwyraźniej ziemiochodzący także lubili używać swych nóg. Oddawali się rozrywce zwanej „tańcem", podczas której chodzili lub biegali w ustalony sposób, samotnie lub grupami po dwie lub więcej osób. Najbliższym odpowiednikiem tańca wśród Siyee było trei - trei, mogące stanowić element zalotów albo sport, pozwalający sprawdzić umiejętności i zwinność.

Z zamyślenia wyrwał Tryssa widok pasa nagiej skały. Tworzyła trzy opadające coraz niżej stopnie i przypominała długą, wąską bliznę, rozcinającą porośnięte lasem zbocze. To była Przestrzeń, największa z osad Siyee. Niezliczeni Siyee startowali i lądowali każdego dnia na tej stromej powierzchni. Tryss zniżył lot, szukając znajomych twarzy. Dotarł już niemal do altany rodziców, kiedy zauważył swoich kuzynów. Bliźniacy siedzieli na ciepłych kamieniach w dok zbocza, po obu stronach jakiejś dziewczyny.

Poczuł, że coś ściska go w piersi, kiedy ją rozpoznał - drobna dziewczyna o lśniących włosach to Drilli, której rodzina niedawno zamieszkała w sąsiedztwie. Zatoczył krąg i zastanowił się, czy nie lecieć dalej. W przeszłości miał dobre stosunki z kuzynami - jeśli tylko gotów był znosić liczne kpiny ze swoich dziwnych zainteresowań. Ale potem do Przestrzeni przeprowadziła się rodzina Drilli i jego kuzyni walczyli, by zwrócić na siebie uwagę dziewczyny, często kosztem Tryssa. Nauczył się unikać ich towarzystwa, kiedy ona była w pobliżu.

Dawniej szanowali jego pomysłowość i nadal lubił opowiadać im o swoich sukcesach - ale nie mógł mówić o udanym polowaniu, kiedy była tutaj Drilli. Wykorzystają to jakoś, żeby z niego zadrwić. Poza tym język zawsze wiązał mu się w supeł, kiedy ją widział. Nie, lepiej poszuka kogoś innego.

I wtedy zauważył z góry, że rozcięcie jej kamizelki odsłania to fascynujące zagłębienie między piersiami, więc odruchowo zatoczył

jeszcze jeden krąg. Jego cień przesunął się nad nią i podniosła głowę. Przeszył go oszałamiający dreszcz radości, kiedy się uśmiechnęła.

- Tryss! Ląduj i chodź do nas! Ziss i Trinn właśnie opowiedzieli mi strasznie śmieszny żart!

Obaj chłopcy spojrzeli w górę i skrzywili się niechętnie, najwyraźniej chcąc towarzystwa Drilli tylko dla siebie. Macie pecha, pomyślał Tryss. Właśnie powaliłem yerna. Chcę, żeby Drilli to zobaczyła.

Spłynął w dół, złożył skrzydła i opadł lekko przed nimi. Drilli uniosła brwi, a on natychmiast poczuł, że coś zaciska mu krtań tak, że chyba nie zdoła wykrztusić ani słowa. Patrzył na nią, czując, że skóra na twarzy zaczyna mrowić jak zawsze, kiedy czerwienieje.

- Gdzie byłeś? - zapytał Ziss. - Ciocia Trill cię szukała.

- Lepiej idź i sprawdź, czego chce - poradził Trinn. - Sam wiesz, jaka ona jest.

Drilli zaśmiała się.

- Nie była aż tak niespokojna. Chyba nie musisz iść do niej od razu. - Znów się uśmiechnęła. - No więc co porabiałeś cały ranek?

Tryss przełknął ślinę i nabrał tchu. Na pewno uda mu się wykrztusić jedno słowo...

- Polowałem...

- Na co polowałeś? - spytał drwiąco Ziss.

- Na yerna.

Obaj chłopcy parsknęli z niedowierzaniem i rozbawieniem. Trinn pochylił się do Drilli, jakby chciał powierzyć jej jakiś sekret, ale mówił dostatecznie głośno, by Tryss usłyszał.

- Widzisz, Tryss miewa dziwaczne pomysły. Uważa, że może łapać wielkie zwierzęta, przyczepiając do siebie kamienie tak, żeby potem je na nie zrzucać.

- Kamienie? - Zmarszczyła brwi. - Ale jak...?

- Kolce - wydusił z siebie Tryss. - Kolce z sokiem florrimu na czubku. - Poczuł, że się czerwieni, ale kiedy pomyślał o powalonym yernie, ogarnęła go duma. - I upolowałem coś! - dodał, sięgnął do kieszeni i wyjął pasmo włosów yerna.

Trójka Siyee przyjrzała się im z zaciekawieniem. Ziss spojrzał na kuzyna, mrużąc oczy.

- Żarty sobie z nas robisz - oświadczył. - Uciąłeś to jakiemuś zdechłemu.

- Nie. Jest uśpiony florrimem. Pokażę wam. - Tryss zerknął na Drilli, ze zdziwieniem i ulgą spostrzegając, że wreszcie potrafi w jej obecności używać całych zdań. - Zabierzcie noże, a wieczorem czeka nas uczta. Ale jeśli będziecie zwlekać, znajdzie go leramer i nic nie dostaniemy.

Chłopcy porozumieli się wzrokiem. Tryss odgadł, że oceniają szansę, czy próbuje ich nabrać, wobec szansy mięsa na kolację.

- No dobra. - Ziss wstał i się przeciągnął. - Zobaczmy tego yerna.

Trinn powstał także i machnął skrzydłami. Kiedy podniosła się Drilli, wyraźnie zamierzając lecieć z nimi, Tryss poczuł, że serce mu zamiera. Będzie go podziwiać, kiedy zobaczy yerna...

Uśmiechnął się, przebiegł kawałek i wzleciał w niebo.

Wskazując kierunek, z irytacją zmarszczył brwi, kiedy bliźniacy podlecieli do grupy starszych chłopców przy granicy Przestrzeni. Tryss rozpoznał Sreila, atletycznie zbudowanego syna Mówcy Sirri, przywódczyni szczepu. W gardle mu zaschło, kiedy wszyscy poszybowali ku niemu, gwiżdżąc ostro.

- Złapałeś sobie yerna, co? - zawołał Sreil, kiedy przelatywał.

- Może - odparł Tryss.

Padły kolejne pytania, ale nie miał ochoty tłumaczyć, jak powalił zwierzę. Wcześniej trudno mu było skłonić Siyee, by obejrzeli jego uprząż. Jeśli zacznie teraz tłumaczyć, znudzą się i stracą zainteresowanie. Kiedy jednak zobaczą yerna, będą chcieli wiedzieć, jak go upolował. Wtedy dopiero pokaże im uprząż. Wtedy zaczną poważnie traktować jego pomysły.

Po kilku minutach obejrzał się i ze zdziwieniem odkrył, że lecąca za nim grupa jest dwa razy liczniejsza niż na początku. Wątpliwości zaczęły się wgryzać w dotychczasową pewność siebie, ale stłumił je. Sreil zabierze mięso do Mówcy Sirri. Przywódczyni Siyee zechce obejrzeć wynalazek Tryssa. Poprosi, żeby zbudował więcej takich i

nauczył innych, jak się ich używa.

Zostanę bohaterem. Bliźniacy już nigdy nie będą się ze mnie nabijać.

Ocknął się z tych marzeń, zbliżając się do miejsca, gdzie zostawił yerna. Krążąc w górze, przeszukał okolicę, ale niczego nie znalazł. Czując na sobie spojrzenia pozostałych, opadł na ziemię i przeszedł kilka kroków. Zauważył wygniecione w trawie zagłębienie wielkości dużego zwierzęcia, jednak yerna nie było.

Patrzył rozczarowany. Poczuł ucisk w żołądku, gdy pozostali Siyee zaczęli lądować wokół niego.

- Więc gdzie ten yern? - spytał Ziss. Tryss wzruszył ramionami.

- Zniknął. Mówiłem przecież, że jeśli za długo będziemy się zbierać, znajdzie go leramer.

- Nie ma krwi - zauważył któryś ze starszych chłopców. - Gdyby porwał go leramer, byłaby krew.

- I nie ma śladów, żeby wlókł tędy coś ciężkiego - dodał inny. - A jeśliby zaczął go pożerać na miejscu, zostałoby ścierwo.

Miał rację, zrozumiał Tryss. Więc gdzie się podział yern? Sreil wystąpił naprzód i starannie obejrzał ślady na ziemi.

- Ale rzeczywiście niedawno leżało tu coś dużego.

- Pewnie się zdrzemnęło - stwierdził ktoś. Kilku patrzących parsknęło śmiechem.

- Więc jak, Tryss? - spytał Ziss. - Znalazłeś śpiącego yerna i chciałeś nam wmówić, że go zabiłeś?

Tryss popatrzył na kuzyna, a potem na rozbawione twarze innych Siyee. Policzki mu płonęły. - Nie.

- Mam ważniejsze sprawy - stwierdził ktoś.

Siyee zaczęli odlatywać; powietrze szumiało odgłosami ich skrzydeł. Tryss stał ze spuszczoną głową. Usłyszał zbliżające się kroki, poczuł klepnięcie w ramię... Zobaczył, że obok stoi Sreil, trzymając w ręku kolec, który powalił yerna.

- Niezła próba - powiedział.

Tryss skrzywił się. Wziął kolec, a potem patrzył, jak starszy chłopak nabiera rozpędu i wzbija się w powietrze.

- Użyłeś florrimu, tak?

Tryss drgnął. Nie zauważył, że Drilli ciągle tu jest.

- Tak.

Przyjrzała się kolcowi.

- Żeby uśpić zwierzę, trzeba o wiele więcej florrimu niż dla człowieka, a ten kolec nie wbił się wystarczająco głęboko.

Powinieneś spróbować z czymś mocniejszym albo bardziej śmiercionośnym. Lub dopilnować, żeby yern się nie obudził, kiedy już uśnie.

Znacząco poklepała nóż w pochwie umocowanej do uda.

Ma rację, pomyślał.

Drilli uśmiechnęła się i odwróciła. Kiedy wzlatywała, Tryss spoglądał na nią z podziwem.

Czasami sam się zastanawiał, jak można być tak głupim.

2

Auraya siedziała przed lustrem z polerowanego srebra, ale nie patrzyła na swoje odbicie. Jej myśli pochłaniały całkiem świeże wspomnienia.

W pamięci wciąż miała tysiące biało ubranych mężczyzn i kobiet zebranych przed Kopułą. Nigdy wcześniej nie oglądała tylu kapłanek i kapłanów w jednym miejscu. Ze wszystkich krain Ithanii Północnej przybyli do Świątyni, aby uczestniczyć w ceremonii Wyboru. Wszyscy mieszkający w Pięciu Domach musieli dzielić pokoje z gośćmi spoza miasta i kraju.

Zauważyła ten ogromny tłum, kiedy wyszła z Wieży, by wraz z wyższymi kapłanami i kapłankami udać się do Kopuły. Poza morzem białych postaci stała jeszcze większa gromada zwykłych mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy także chcieli widzieć to wydarzenie.

Tylko najwyżsi kapłani i kapłanki byli kandydatami na ostatnie miejsce pośród Wybrańców Bogów. Auraya należała do najmłodszych w tej grupie. Niektórzy twierdzili, że awansowała tak szybko jedynie dzięki silnym Darom. Na samo wspomnienie tych plotek czuła w żołądku ucisk gniewu.

To takie niesprawiedliwe. Wiedzą, że potrzebowałam dziesięciu lat ciężkiej pracy i poświęceń, żeby zyskać tę pozycję.

Ciekawe, co teraz myślą, kiedy zostałam jedną z Białych. Czy żałują tych osądów? Czuła jednocześnie tryumf i współczucie. Byli ofiarami własnej ambicji. Jeśli myśleli, że bogowie będą zwracać uwagę na ich kłamstwa, to byli głupcami. Prawdopodobnie udowodnili tylko, że nie są godni. Biali nie powinni rozpowszechniać kłamliwych plotek.

Raz jeszcze odtworzyła w pamięci przejście od Wieży do Kopuły. Wyżsi kapłani i kapłanki uformowali krąg wokół podwyższenia. Ołtarz, najświętsze miejsce w Świątyni, wyrastał w samym środku. Była to wielka, pięcioboczna konstrukcja, trzy razy

wyższa niż człowiek; jej trójkątne ściany pochylały się do wnętrza i stykały. Przy tych okazjach, kiedy do wnętrza wchodzili Biali, ściany ołtarza rozkładano na zewnątrz, na podłogę, odsłaniając stół i pięć krzeseł. Gdy Biali chcieli konferować na osobności, ściany unosiły się i zamykały ich w pomieszczeniu, skąd nie wydostawał się żaden dźwięk.

Ołtarz rozwarł się jak kwiat, gdy czwórka Białych wspięła się po stopniach na podwyższenie i stanęła przed tłumem.

Auraya zamknęła oczy i próbowała sobie dokładnie przypomnieć słowa Jurana.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru. Zapraszamy was, naszych boskich strażników i przewodników, byście spotkali się z nami dzisiaj, gdyż nadszedł czas, by wybrać piątego i ostatniego waszego reprezentanta. Oto stoją ci, którzy okazali się godnymi, zdolnymi i oddanymi wyznawcami: nasi najwyżsi kapłani i kapłanki. Każdy jest gotów i chętnie poświęci dla was życie.

Powietrze zamigotało przez moment. Auraya zadrżała na samo wspomnienie: pięć postaci pojawiło się na podwyższeniu, a każda była istotą światła, każda przejrzystą iluzją człowieczeństwa. Pomruk rozszedł się pośród kapłanów i kapłanek. W oddali usłyszała okrzyk: „Bogowie się zjawili!".

I cóż stanowili za widok, pomyślała z uśmiechem.

Bogowie istnieli w magii przesycającej cały świat, w każdym kamieniu, każdej kropli wody, każdej roślinie, zwierzęciu i każdym mężczyźnie, kobiecie i dziecku, w całej materii - niewidoczni i niewyczuwalni, dopóki nie zechcieli wpłynąć na rzeczywistość. Kiedy postanawiali się ujawnić, czynili to, zmieniając magię w światło i kształtując je w subtelne i piękne ludzkie postacie.

Chaia był wysoki, ubrany jak polityk. Twarz miał szlachetną i przystojną, niczym królewska postać wykuta z gładkiego marmuru. Jego włosy poruszały się jakby muskane przyjaznym wiatrem. A oczy... Auraya westchnęła. Oczy były czyste i nieznośnie bezpośrednie, ale też w jakiś sposób ciepłe i... czułe.

On naprawdę kocha nas wszystkich!

Przeciwnie do niego, Huan wyglądała groźnie i surowo - piękna, ale gwałtowna. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi, roztaczała aurę władzy. Przeczesywała spojrzeniem tłum, jakby szukała kogoś, kogo mogłaby ukarać.

Lore stał swobodnie, ale był potężniej zbudowany niż reszta bogów. Nosił błyszczącą zbroję. Przed Wojną Bogów czcili go żołnierze.

Yranna, jak zapamiętała Auraya, cała była w uśmiechach. Miała bardziej kobiecą i młodzieńczą urodę niż Huan. Była ulubienicą młodszych kapłanek, gdyż wciąż broniła kobiet, choć kiedy przyłączyła się do pozostałej czwórki, zrezygnowała ze swej roli bogini miłości.

Ostatnim bogiem, na którego Auraya zwróciła uwagę, był Saru, opiekun kupców. Mówiono, że był kiedyś bogiem złodziei i hazardzistów, ale Auraya nie była pewna, czy to prawda. Przybierał szczuplejszą postać, spotykaną często wśród dworzan i intelektualistów.

Po przybyciu bogów wszyscy padli na twarze - Auraya wciąż pamiętała gładkość kamieni dotykających jej czoła i dłoni. Po chwili ciszy Kopułę wypełnił cudownie melodyjny głos:

- Powstań, ludu Ithanii.

Auraya podniosła się wraz z resztą zgromadzonych. Trzęsła się z lęku i podniecenia. Nie czuła się tak oszołomiona od czasu pierwszej wizyty w Świątyni, dziesięć lat temu. To poczucie inspiracji nadal było cudowne. Po tylu latach życia tutaj niewiele potrafiło jeszcze wzbudzić tak wielką radość.

Głos przemówił znowu i zrozumiała, że należy do Chai.

- Kilka niedługich stuleci temu bogowie walczyli z bogami, a ludzie z ludźmi, i wiele niosło to zgryzoty i zniszczeń. My pięcioro byliśmy tym zasmuceni i podjęliśmy się wielkiego zadania. Postanowiliśmy stworzyć porządek z chaosu. Postanowiliśmy przynieść światu pokój i dobrobyt. Postanowiliśmy wyzwolić ludzkość z okrucieństwa, niewoli i kłamstwa. Stanęliśmy więc do wielkiej bitwy i przebudowaliśmy świat. Nie możemy jednak

przebudować serc mężczyzn i kobiet. Możemy tylko doradzać i dawać wam siłę. Aby wam pomagać, wybraliśmy spośród was swoich reprezentantów. Ich obowiązkiem jest ochraniać was i być łącznikami między wami i nami, waszymi bogami. Dzisiaj wybierzemy piątego reprezentanta spośród tych, których uznaliście za najbardziej godnych przyjęcia tej odpowiedzialności. Temu, którego wybierzemy, ofiarujemy dar nieśmiertelności i wielkiej siły. Kiedy dar ten zostanie przyjęty, zakończy się kolejny etap naszego wielkiego dzieła.

Potem zamilkł. Auraya spodziewała się dłuższej przemowy. Cisza wypełniła salę tak całkowicie, że była pewna, iż każdy z obecnych tutaj wstrzymuje oddech.

Ja wstrzymywałam, przypomniała sobie.

I wreszcie nadeszła chwila, której nigdy nie zapomni.

- Ten dar ofiarujemy wysokiej kapłance Aurai z rodu Dyer - oznajmił Chaia i zwrócił się ku niej. - Podejdź tu, Aurayo z Białych.

Auraya nabrała tchu. Porwała ją fala radości. Tę radość tłumiła czysta groza - musi się zbliżyć do boga. Stała się przedmiotem uwagi i prawdopodobnie źródłem zazdrości kilku tysięcy ludzi.

Teraz tłumiła tę radość także świadomość własnej przyszłości. Od czasu, gdy została wybrana, nie miała właściwie ani chwili dla siebie. Dni wypełniały spotkania z władcami i innymi ważnymi ludźmi - a musiała walczyć z wieloma trudnościami, od barier językowych po unikanie składania obietnic, których inni Biali nie byli jeszcze gotowi złożyć. Zostawała sama jedynie późnym wieczorem, kiedy powinna spać. Jak dotąd, każdej nocy czuwała, próbując jakoś uporządkować wszystko, co się jej przydarzyło. Dzisiaj też krążyła po pokoju, aż w końcu usiadła przed lustrem.

To prawdziwy cud, że nie stałam się wrakiem człowieka, myślała i znowu przyjrzała się swojemu odbiciu. Nie powinnam tak dobrze wyglądać. Czy to kolejny Dar bogów?

Zerknęła na dłoń. Biały pierścień na środkowym palcu jarzył się niemal. Poprzez niego bogowie zesłali jej Dar nieśmiertelności i wzmacniali jakoś jej własne Dary. Uczynili ją jednym z

najpotężniejszych czarowników na świecie.

W zamian oddała im swą wolę i swe nieskończone od teraz życie. Byli istotami magicznymi. Aby wpływać na świat rzeczywisty, musieli działać za pośrednictwem ludzi. Na ogół odbywało się to poprzez instrukcje, ale jeśli człowiek powierzał bogom swoją wolę, mogli przejąć jego ciało. To ostatnie zdarzało się rzadko, ponieważ - gdyby miało trwać zbyt długo - wpływało na umysł właściciela. Czasami zakłócało poczucie tożsamości i człowiek żył dalej, wierząc, że jest bogiem. Czasami po prostu zapominał, kim był wcześniej.

Lepiej o tym nie myśleć, uznała. Bogowie nie zniszczyliby przecież umysłu jednej z Wybranych. Chyba że chcieliby ją ukarać...

Odruchowo zerknęła na dużą skrzynię przy ścianie. Służący spełnili jej polecenie i zostawili skrzynię zamkniętą, a do tej pory nie znalazła czasu ani odwagi, by ją otworzyć. Wewnątrz znalazło się tych kilka przedmiotów, które posiadała. Nie wyobrażała sobie, by te dziwaczne, tanie błyskotki, kupione w minionych latach, mogły nie wyglądać tandetnie w surowych pokojach Białej - ale nie chciała ich wyrzucać. Przypominały jej o dawnym życiu, o ludziach, których kochała i których chciała zapamiętać: o jej rodzicach, o przyjaciółkach ze stanu kapłańskiego, o pierwszym kochanku... Jak dawno to było...

A na samym dnie skrzyni schowała coś bardziej niebezpiecznego. Tam, w ukrytej przegródce, leżało kilka listów, które powinna zniszczyć.

Ale nie chciała, tak samo jak nie chciała zniszczyć tych świecidełek. Jednakże, w przeciwieństwie do nich, listy mogły wywołać skandal, gdyby zostały odkryte. Teraz, kiedy wreszcie miała trochę czasu dla siebie, mogła załatwić tę sprawę...

Wstała, podeszła do skrzyni i uklękła przy niej. Szczęknął zamek, zaskrzypiało unoszone wieko. Tak jak podejrzewała, wszystko wewnątrz było prostackie i pospolite. Mały gliniany wazonik, który dostała od pierwszego kochanka - młodego kapłana - wydawał się prymitywny. Koc, podarunek od matki, był ciepły, ale wyglądał na

stary i sprany. Wyjęła to wszystko, odsłaniając biały krąg materiału - jej dawną kapłańską cyrklę.

Nosiła ją stale od dnia wyświęcenia. W takie szaty ubierali się wszyscy kapłani i kapłanki, nie wyłączając Białych. Zwykli kapłani mieli cyrkle obrębione błękitem, cyrkle wyższych kapłanów i kapłanek miały obramowanie w kolorze złotym. Biali nie nosili żadnych ozdób. Chcieli w ten sposób pokazać, że odrzucają własne korzyści i bogactwa, by lepiej służyć bogom. Dlatego zresztą Wybrańców Bogów nazywano Białymi.

Auraya spojrzała przez ramię na nową cyrklę, wiszącą na specjalnie do tego przeznaczonym stojaku. Dwie złote spinki na brzegu znaczyły miejsca, gdzie górna część cyrkli się składała - należało owinąć ją wokół ramion i spiąć po przeciwnych stronach.

Cyrkla, którą trzymała w rękach, była lżejsza i bardziej szorstka od tej na wieszaku. Biali mogą nie zdobić swoich strojów, uznała, ale szyją je z najlepszych tkanin. Te części odzieży, które miała nosić pod nową cyrklą, też były lepszej jakości. Podobnie jak u niższych kapłanów, Biali mogli zmieniać ubranie zależnie od pogody czy płci, i zawsze było ono dobrze uszyte. W tej chwili miała na nogach sandały z bielonej skóry, ze złotymi klamerkami.

Odłożyła cyrklę. Nie zakładała jej od dwóch lat - od dnia, kiedy została wyższą kapłanką i otrzymała cyrklę ze złotym brzegiem, która teraz zniknęła, porwana przez służących, kiedy tylko Auraya została wybrana. Czy tę też by wynieśli, gdyby wpadła im w ręce? Czy jej na tym zależy? Zachowała ją tylko z powodów sentymentalnych.

Znów zajrzała do skrzyni. Wyjęła resztę jej zawartości i ułożyła obok, na krześle. Potem sięgnęła w głąb i otworzyła ukrytą przegródkę. Wewnątrz leżało kilka ruloników pergaminu.

Dlaczego w ogóle je trzymam? Przecież nie są mi potrzebne... Pewnie nie potrafię się zmusić, żeby wyrzucić cokolwiek, co przysyłają rodzice.

Wyjęła jeden rulon, rozwinęła go i zaczęła czytać.

Kochana Aurayo.

Plony w tym roku były udane. W zeszłym tygodniu Wor ożenił się z Dymią. Stara Mulyna odeszła od nas, by spotkać się z bogami. Nasz przyjaciel zgodził się na moją propozycję. Napisz list do kapłana.

Następny list brzmiał:

Najdroższa Aurayo!

Cieszymy się, że jesteś tam szczęśliwa i szybko się uczysz. Życie tutaj jest takie jak zawsze. Twoja matka czuje się o wiele lepiej, odkąd posłuchaliśmy Twojej rady. Ta - Dyer.

Listy ojca były z konieczności krótkie - pergamin sporo kosztował. Z pewną ulgą czytała kolejne. Byliśmy ostrożni, myślała.

Nie pisaliśmy dokładnie, co robimy. Oprócz pierwszego listu, który wysłałam i w którym musiałam wprost ojcu wytłumaczyć, co ma zrobić. Mam nadzieję, że go spalił.

Westchnęła i pokręciła głową. Nieważne, jak ostrożni byli ona i ojciec - bogowie muszą przecież wiedzieć, co robili. Mogą zajrzeć do umysłu każdego człowieka.

A jednak właśnie mnie wybrali, pomyślała. Ze wszystkich wysokich kapłanów i kapłanek wybrali kogoś, kto złamał prawo i skorzystał z usług tkacza snów.

Mairae dotrzymała obietnicy, którą złożyła dziesięć lat temu - kapłan uzdrowiciel został wysłany do Oralyn, by zaopiekować się matką Aurai. W tej sytuacji Leiard nie mógł nadal leczyć Ma - Dyer, więc Auraya wysłała mu list, w którym dziękowała za jego pomoc i tłumaczyła, że nie jest już potrzebna.

Jednak mimo opieki kapłana, matka Aurai była coraz słabsza. Równocześnie Auraya odkryła w trakcie swych studiów, że kapłani

uzdrowiciele nie mają nawet połowy tej wiedzy i umiejętności, którymi dysponują tkacze snów. Zrozumiała, że decydując się na pomoc kapłana i rezygnując z umiejętności Leiarda, tak naprawdę skazuje matkę na wcześniejszą, bardziej bolesną śmierć.

Mieszkając w Jarime, przekonała się także, jak bardzo cyrklianie gardzą tkaczami snów i im nie ufają. Ostrożnie wypytywała swoich nauczycieli i innych kapłanów, i doszła do wniosku, że nie może otwarcie pozwolić, by Leiard czy inny tkacz snów leczył jej matkę. Tymczasem ojciec wybrał się do lasu, by poprosić Leiarda o ponowne zajęcie się dawną pacjentką. Tkacz snów się zgodził. Kiedy Auraya otrzymała wieści, że matka umiera, zasugerowała kapłanowi, by wracał do Jarime. Zrobił wszystko, co mógł.

Po leczeniu Leiarda matka odżyła, tak jak spodziewała się Auraya. Ma - Dyer zresztą sprawnie ukryła to nagłe i cudowne ozdrowienie, zostając w domu i widując się tylko z kilkoma osobami, co i tak było w jej zwyczaju.

Byłam taka pewna, że stanie się to argumentem przeciwko mojemu wyborowi. Tak bardzo chciałam zostać Białą, ale nie mogłam uwierzyć, że tkacze snów są źli albo że zrobili coś niedobrego. Prawo zakazujące korzystania z ich usług jest śmieszne. Rośliny i inne środki, których używał Leiard, nie są dobre albo złe zależnie od tego, czy korzysta z nich poganin, czy wyznawca. Nie widziałam niczego, co by mnie przekonało, że tkacze snów ogólnie zasługują na nienawiść albo nieufność.

Mimo to bogowie mnie wybrali. Jak mam to rozumieć? Czy to znaczy, że teraz skłonni są tolerować tkaczy snów?

Poczuła dreszcz nadziei.

Czy chcą, by cyrklianie zaakceptowali tkaczy snów? Czy ja mam do tego doprowadzić?

Euforia minęła i Auraya pokręciła głową. Dlaczego mieliby to zrobić? Dlaczego mieliby tolerować ludzi, którzy nie wyznają ich religii i zniechęcają do niej innych? Najpewniej dowiem się, że mam swoje sympatie zachować dla siebie i robić, co do mnie należy.

Dlaczego ją to martwiło? Dlaczego miałaby odczuwać sympatię

dla przedstawicieli kultu, do którego sama nie należy? Czy dlatego, że wciąż miała dług wdzięczności wobec Leiarda za to wszystko, czego ją nauczył i jak pomagał matce? Jeśli tak, logiczne jest, że troszczyła się o jego los, ale nie to, że troszczyła się o los tkaczy snów, których w życiu nie spotkała.

Chodzi mi o tę całą wiedzę o leczeniu, która będzie stracona, jeśli znikną tkacze snów, tłumaczyła sobie. Od dziesięciu lat nie widziałam Leiarda. Jeśli się o niego martwię, to pewnie dlatego że od niego zależy życie mojej matki.

Wyjęła ze skrytki wszystkie listy i ułożyła je w srebrnej misie. Podniosła jeden, zebrała w sobie magię i wysłała ją w postaci niewielkiej iskry. Płomień zbudził się do życia, a potem wolno objął cały pergamin. Kiedy dotarł już niemal do jej palców, upuściła list do misy i podniosła inny.

Listy płonęły jeden po drugim, a Auraya zastanawiała się, czy bogowie na to patrzą. Wezwałam tkacza snów, by leczył moją matkę. I z własnej chęci z tego nie zrezygnuję. Ale też nie ogłoszę tego publicznie. Jeśli bogom się to nie podoba, dadzą mi znak.

Rzuciła do misy ostatni płonący skrawek pergaminu, odstąpiła i przyglądała się, jak zmienia się w popiół. Wreszcie poczuła się lepiej. I aby to wrażenie nie zniknęło, wróciła do sypialni i położyła się.

Teraz może w końcu zdołam zasnąć.

Klify Torenu były wysokie, czarne i niebezpieczne. W czasie sztormu morze rzucało się na kamienną ścianę, jakby próbowało ją obalić. Nawet w spokojne noce zdawało się, że wodę razi obecność tej naturalnej bariery, więc pieni się gniewnie w miejscach, gdzie dotyka skały. Ale jeśli ta wojna między wodą i lądem prowadziła do rozstrzygnięcia, działo się to zbyt wolno, by ludzkie oczy mogły odgadnąć zwycięzcę.

W dalekiej przeszłości wiele statków padło ofiarą tej próby sił. Czarne klify trudno było dostrzec nocami, a stawały się prawdziwą pułapką, kiedy chmury zakrywały księżyc. Ponad tysiąc lat temu, gdy wzniesiono tam latarnię, katastrofy ustały.

Zbudowane z tych samych skał co urwisko, na którym się wznosiły, koliste ściany wieży oparły się atakom czasu i pogody. Drewniane wyposażenie wnętrza już dawno poddało się jednak zgniliźnie i zaniedbaniu, pozostawiając tylko wąskie kamienne stopnie, sunące spiralą po wewnętrznej stronie muru. Na szczycie znajdował się pokój, którego podłogę stanowiła wielka, okrągła kamienna płyta z wykutym otworem wejścia. Ściany wzniesione na tej płycie ucierpiały o wiele bardziej - pozostały tylko łuki, a dach zapadł się wiele lat temu.

Kiedyś w środku tego pomieszczenia unosiła się niezwykle jasna kula światła, która oślepiłaby każdego, kto byłby tak głupi, by spoglądać w nią dłużej niż krótką chwilę. Czarownicy podtrzymywali to światło i przez wieki gwarantowali bezpieczną żeglugę.

Emerahl, kobieta wiedząca i czarownica, była ostatnio jedyną osobą odwiedzającą ten pokój. Przed laty, kiedy sprzątała jakieś gruzy wypełniające pustą budowlę, znalazła jedną z masek, jakie nosili ci dawno umarli czarownicy. Otwory na oczy zasłonięte były ciemnymi klejnotami, by filtrować oślepiające światło, które wzmacniali magią.

Teraz latarnia morska kruszyła się nieużywana, a statki musiały pływać wokół czarnych klifów bez żadnej pomocy. Kiedy Emerahl dotarła do górnego pomieszczenia, zatrzymała się, by złapać oddech. Wsparła pomarszczoną dłoń o kolumnę łuku i spoglądała w morze. Jej uwagę zwróciły maleńkie plamki światła - statki zawsze czekały do świtu, nim spróbowały przepłynąć pomiędzy klifami i wyspami.

Czy oni wiedzą, że istnieje to miejsce? zastanawiała się. Czy ludzie wciąż opowiadają historie o świetle, które tu płonęło? Jeśli tak, to wątpię, że mają świadomość, iż latarnię wzniósł czarownik na prośbę Tempre, boga ognia. Pewnie nawet nie pamiętają imienia Tempre. Minęło ledwie parę wieków od jego śmierci, ale to dość czasu, by śmiertelnicy zapomnieli, jakie było życie przed Wojną Bogów.

Czy ktokolwiek jeszcze dzisiaj zna imiona zmarłych bogów? Czy

są uczeni, którzy studiują ten temat? Może w miastach. Zwykli mężczyźni i kobiety, usiłujący jak najlepiej przeżyć swoje krótkie żywoty, nie dbają o takie rzeczy.

Emerahl spojrzała na grupkę domów kawałek dalej przy brzegu. A chwilę później jej uwagę zwrócił jakiś ruch bliżej latarni. Jęknęła cicho, załamana. Minęły tygodnie, odkąd ktokolwiek ośmielił się ją odwiedzić. A teraz po zboczu wspinała się chuda dziewczyna w podartej tunice.

Emerahl westchnęła, raz jeszcze spojrzała na domy i wróciła pamięcią do czasów, kiedy przybyli tu pierwsi ludzie. Kilku z nich dotarło pod klify w niedużej łodzi i rozbiło tu obóz.

Przemytnicy, jak się domyślała. Wznieśli prymitywne chaty, ale rozkładali je i montowali jeszcze kilka razy, nim znaleźli miejsce dostatecznie osłonięte od regularnych sztormów, by pozostały całe. Raz zbliżyli się do niej, pewnie by ją okraść, więc nauczyła ich szanować jej pragnienie samotności.

Odpłynęli potem, ale wracali regularnie i wkrótce pojedynczej łodzi zaczęła towarzyszyć druga, potem kolejne. Pewnego dnia przypłynął kuter rybacki, pełen ładunku i kobiet. Wreszcie którejś nocy zabrzmiał piskliwy krzyk niemowlęcia, później następny. Niemowlaki stały się dziećmi, a niektóre żyły dostatecznie długo, by dorosnąć. Dziewczęta zbyt wcześnie zostawały matkami i wiele z nich tego nie przeżyło. Wszyscy mieszkańcy wioski mogli uważać się za szczęściarzy, jeśli osiągnęli czterdziesty rok życia.

Byli twardymi, brzydkimi ludźmi.

Ich szorstkie zwyczaje łagodniały z każdym pokoleniem i pod wpływem ludzi z zewnątrz. Niektórzy nowo przybyli zjawiali się, by prowadzić handel; niektórzy zostawali. Domy z miejscowego kamienia wyrosły w miejscu dawnych chat z wyrzuconego przez morze drewna. Zwierzęta domowe puszczano, by swobodnie gryzły twarde trawy na szczytach urwisk. Niewielkie, starannie utrzymywane zagony warzyw opierały się soli w powietrzu, sztormom i nędznej glebie.

Od czasu do czasu któryś z wieśniaków wybierał się do latarni,

szukając leków i rad od mieszkającej tam mądrej kobiety. Emerahl godziła się na to, gdyż przynosili dary: jedzenie, tkaniny, drobne świecidełka, wieści ze świata. Nie była przeciwna niewielkiej wymianie, jeśli dawała urozmaicenie jej dniom i diecie.

Wieśniacy nie zawsze jednak dobrze wykorzystywali to, co dostawali od Emerahl. Pewna żona przyszła po velziel na hemoroidy, a użyła go, by otruć męża. Inny mężczyzna zjawił się przysłany przez żonę po lek na impotencję, a potem, po swej następnej wyprawie morskiej, przybył szukać środka na brodawki płciowe. Gdyby Emerahl wiedziała, że Obdarzony chłopiec chce się nauczyć, jak ogłuszać ryby i rozpalać ognie, by wykorzystać te umiejętności do dręczenia wiejskiego prostaczka, nie uczyłaby go niczego.

Ale to wszystko przecież nie było jej winą. Cokolwiek ludzie postanawiali robić z tym, co od niej kupili, to już wyłącznie ich problem. Gdyby pod bokiem nie było kobiety wiedzącej, żona znalazłaby inny sposób, by pozbyć się męża; niewierny mąż i tak by pobłądził, choć może mniej gorliwie, a Obdarzony dręczyciel używałby kamieni i pięści.

Dziewczyna była już bliżej. O co może poprosić? Co zaproponuje w zamian? Emerahl uśmiechnęła się. Ludzie fascynowali ją i odpychali jednocześnie. Potrafili być zadziwiająco łagodni i szaleńczo okrutni... Uśmiech Emerahl zmienił się w grymas - mieszkańców wioski ustawiała raczej po tej okrutnej stronie człowieczeństwa.

Stanęła na szczycie schodów i zaczęła schodzić. Zanim zdyszana dziewczyna pojawiła się w pozbawionym drzwi wejściu, szeroko otwierając oczy w mroku, Emerahl była już prawie na dole. Zatrzymała się. Szybkie przesunięcie mocy podpaliło niewielki stosik patyków i gałązek na środku podłogi. Dziewczyna popatrzyła na ogień, a potem z przestrachem na Emerahl.

Wyglądała na wygłodzoną i zmęczoną. Ale w końcu ja też...

- Czego chcesz, dziewczyno?

- Mówią... Mówią, że pomagasz ludziom.

Głos był niepewny i zduszony. Emerahl domyślała się, że

dziewczyna nie lubi zwracać na siebie uwagi. Kiedy przyjrzała się jej bliżej, zauważyła na twarzy i ciele oznaki tego, że fizycznie się rozwija. Będzie atrakcyjną kobietą, w takim chudym, kościstym stylu.

- Chcesz oczarować mężczyznę?

Dziewczyna drgnęła. - Nie.

- Więc może chcesz odczarować mężczyznę?

- Tak. I nie tylko jednego - dodała. - Wszystkich mężczyzn.

Emerahl zaśmiała się cicho i schodziła dalej po schodach.

- Wszystkich mężczyzn, co? Pewnego dnia będziesz może chciała zrobić wyjątek.

- Nie wydaje mi się. Nienawidzę ich.

- A twojego ojca?

- Jego najbardziej.

Ach, typowa nastolatka. Ale kiedy Emerahl dotarła na sam dół, zobaczyła w oczach dziewczyny szaleńczą desperację. Otrzeźwiała natychmiast. To nie było ponure, zbuntowane dziecko. Niechciane zaloty, jakie musiała znosić, wyraźnie ją przeraziły.

- Podejdź do ognia.

Dziewczyna posłuchała. Emerahl wskazała jej starą ławę, którą znalazła pod klifem po katastrofie statku, długo przed powstaniem wioski.

- Usiądź.

Posłuchała. Emerahl osunęła się na stos koców, służący jej za legowisko. Kolana jej skrzypiały.

- Są takie wywary, które potrafię przyrządzić, a które odbiorą wiatr męskim żaglom, jeśli rozumiesz, co mam na myśli - powiedziała. - Ale podanie tego środka mężczyźnie jest ryzykowne i działa chwilowo. Napoje na nic się nie przydadzą, jeśli nie wiesz, co nadchodzi, i nie masz przygotowanych planów.

- Myślałam, że mogłaby pani sprawić, bym była brzydka - odparła szybko dziewczyna. - Żeby nie chcieli się do mnie zbliżać.

Emerahl popatrzyła na nią. Dziewczyna zaczerwieniła się i spuściła głowę.

- Brzydota nie daje bezpieczeństwa, jeśli mężczyzna jest pijany i potrafi zamknąć oczy - oświadczyła Emerahl cichym głosem. - I jak już wspomniałam, pewnego dnia możesz chcieć zrobić wyjątek.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, ale milczała.

- Zgaduję, że tam na dole nie ma nikogo, kto byłby chętny czy zdolny do obrony twojej cnoty. Inaczej byś tu nie przyszła - ciągnęła Emerahl. - A więc muszę cię nauczyć robić to samej.

Ściągnęła przez głowę wiszący na szyi łańcuch. Dziewczyna wstrzymała oddech, gdy zobaczyła umocowany na nim wisior. Była to zwykła, stwardniała kropla soku z drzewa dembar. W blasku ognia lśniła głęboką pomarańczową barwą. Emerahl wyciągnęła rękę przed siebie.

- Popatrz uważnie.

Dziewczyna spojrzała, szeroko otwierając oczy.

- Słuchaj mojego głosu. Chcę, żebyś nie spuszczała wzroku z tej kropli. Zajrzyj w jej wnętrze. Zobacz kolor. A równocześnie uświadamiaj sobie ciepło ognia obok. - Emerahl mówiła, pilnie obserwując twarz dziewczyny. Kiedy odstępy między mrugnięciami wydłużyły się, przesunęła stopę. Skupione na wisiorze oczy nie drgnęły. Kiwnąwszy głową, kazała dziewczynie sięgnąć po kroplę. Ta powoli wyciągnęła rękę.

- Teraz się zatrzymaj, w tym miejscu, blisko, ale nie dotykając kropli. Poczuj żar ognia. Czujesz żar?

Dziewczyna wolno kiwnęła głową.

- Dobrze. Teraz wyobraź sobie, że ściągasz żar ognia. Pomyśl, że twoje ciało pełne jest delikatnego ciepła. Czujesz ciepło? Tak. A teraz wyślij to ciepło do kropli.

Sok drzewa dembar natychmiast zaczął się jarzyć. Dziewczyna zamrugała, po czym zdumiona popatrzyła na wisior. Blask przygasł.

- Co się stało?

- Właśnie użyłaś odrobiny magii - wyjaśniła Emerahl.

Założyła sobie wisior na szyję.

- Mam Dary?

- Oczywiście, że masz. Każdy człowiek ma Dary. Większość ma

ledwie tyle, ile potrzeba, by zapalić świecę. Ty jednak masz więcej.

Oczy dziewczyny jarzyły się z podniecenia. Emerahl parsknęła. Wiele już razy widziała taki wyraz twarzy.

- Ale nie myśl sobie, że będziesz wielką czarownicą. Nie jesteś aż tak Obdarzona.

Wywołało to pożądany efekt trzeźwiący.

- Co mogę zrobić?

- Możesz przekonać innych, by dwa razy się zastanowili, zanim okażą ci większe względy, niż sobie życzysz. Pojedyncze uderzenie bólu jako ostrzeżenie, a potem odrętwienie dla tych, którzy nie zrozumieją albo są zbyt pijani, by czuć ból. Nauczę cię jednego i drugiego, a wpierw dam jeszcze dobrą radę. Naucz się sztuki pochlebstwa i żartobliwej odmowy. Chciałabyś pewnie zobaczyć ich obranych z wszelkiej godności, ale zraniona męska duma będzie pragnęła zemsty. Nie mam czasu, żeby nauczyć cię czegoś tak skomplikowanego jak otworzenie zamka w drzwiach albo zatrzymanie noża.

Dziewczyna przytaknęła z powagą.

- Spróbuję, ale nie jestem pewna, czy to podziała na mojego ojca.

Emerahl zawahała się. Więc tak to wygląda...

- No dobrze. Nauczę cię tych sztuczek jeszcze dzisiaj, ale musisz je potem ćwiczyć. To jak grać na kościanej piszczałce. Możesz pamiętać, jak płynie melodia, ale jeśli nie będziesz ćwiczyła gry, palce stracą tę umiejętność.

Dziewczyna znów przytaknęła, tym razem z zapałem. Emerahl przez chwilę z żalem przyglądała się swej nowej uczennicy. Dziewczyna miała ciężkie życie, ale nadal zachowała błogosławioną ignorancję, nadal była pełna nadziei. Spojrzała na własne, pomarszczone dłonie. Czyja sama jestem inna, mimo tak wielkiej przewagi lat? Mój czas przeminął, świat się zmienił, a ja ciągle trzymam się życia. Dlaczego więc ja, ostatnia ze swego rodzaju, nadal istnieję?

Bo mogę, odpowiedziała sama sobie.

Uśmiechając się krzywo, zaczęła uczyć kolejną młodą dziew-

czynę, jak ma się bronić.

3

Świątynia nie wystawiała straży u bram. Zasadniczo każdy mógł tu wejść. Jednak wewnątrz goście potrzebowali wskazówek, jak trafić do kogoś, kto najlepiej zadba o ich potrzeby. Dlatego też wszyscy nowicjusze stanu kapłańskiego przez część swego czasu pracowali przy bramie jako przewodnicy.

Nowicjuszowi Rimo nie przeszkadzały takie obowiązki. Wymagały na ogół wędrowania po świątynnych ścieżkach, wygrzewania się w słońcu i mówienia ludziom, dokąd mają pójść, co było o wiele łatwiejsze i bardziej satysfakcjonujące niż lekcje prawa i uzdrawiania. Właściwie na każdej zmianie zdarzało się coś zabawnego, a potem on i jego koledzy zbierali się i porównywali te historie.

Po kilku dniach witania przybywających monarchów, arystokratów i innych dygnitarzy na żadnym z nowicjuszy nie robiły już wrażenia opowieści o spotkaniach z ważnymi ludźmi. Historie o dziwacznych wyczynach zwykłych odwiedzających także nie odzyskały popularności. Rimo wiedział, że tylko czymś absolutnie niezwykłym, na przykład spotkaniem Aurai Białej, może zdobyć podziw kolegów. A szansa na to była...

Rimo znieruchomiał, patrząc z niedowierzaniem, jak pod Białym Łukiem przechodzi wysoki, brodaty mężczyzna. Tkacz snów? Tutaj? Nigdy jeszcze nie widział tych pogan w Świątyni. Nie śmieli wkraczać do najświętszego miejsca cyrkliańskiej religii.

Rimo rozejrzał się, oczekując, że ktoś biegnie już do tkacza snów. Ale poczuł ucisk w żołądku, gdy sobie uświadomił, że jest w pobliżu jedynym przewodnikiem. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie udać, że nie zauważył przybysza, ale to mogłoby być uznane za równoważne z zaproszeniem tamtego do świętych budowli.

Westchnął i niechętnie ruszył za gościem.

Kiedy się zbliżył, tkacz snów przystanął i odwrócił się w jego stronę. Muszę tylko zapytać, czego chce, powtarzał sobie Rimo. A

potem powiedzieć mu, żeby sobie poszedł. A jeśli nie zechce? Jeśli spróbuje dostać się dalej przemocą? No, dookoła jest wielu kapłanów, którzy zareagują, gdyby do tego doszło.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał chłodno.

Tkacz snów wbił spojrzenie gdzieś powyżej głowy nowicjusza. Albo może do wewnątrz jego głowy.

- Mam wiadomość do przekazania.

Wyjął spod szaty wąski cylinder. Rimo zmarszczył czoło. Wiadomość do przekazania? To by znaczyło, że ma pozwolić poganinowi wejść dalej na teren Świątyni, a może nawet do samych budynków. Nie mógł do tego dopuścić.

- Daj mija - zażądał. - Dopilnuję, by została dostarczona. Z ulgą zobaczył, że tkacz snów wręcza mu zwój.

- Dziękuję - powiedział, po czym pomaszerował z powrotem do bramy.

Rimo spojrzał na cylinder, który trzymał w dłoni - był to prosty, drewniany futerał na listy. Ale kiedy przeczytał wypisane z boku tuszem imię adresata, aż syknął ze zdumienia. Wiadomość przeznaczona była do „Wysokiej kapłanki Aurai". Dlaczego poganin przynosi wiadomości dla Aurai z Białych?

Może ją ukradł, żeby poznać zawartość? Ale Rimo widział, że pieczęć jest cała i nie ma żadnego znaku, by ktoś ją wcześniej przełamał. Mimo to sprawa była dziwna. Inni kapłani mogą zacząć pytać... Spojrzał na oddalające się plecy przybysza, po czym ruszył w pogoń.

- Tkaczu snów!

Mężczyzna odwrócił się i zmarszczył czoło.

- Jak to się stało, że powierzono ci dostarczenie tej wiadomości? - zapytał Rimo.

Mężczyzna zacisnął wargi.

- Nie powierzono - odparł po chwili. - Kilka dni temu zobaczyłem przy drodze kuriera, pijanego i nieprzytomnego. Ponieważ znam adresatkę, a zmierzałem w tę stronę, postanowiłem sam przynieść wiadomość.

Rimo zerknął na imię na zwoju. Zna adresatkę? Na pewno nie. Ale lepiej zachować ostrożność.

- W takim razie postaram się, by otrzymała ją natychmiast - obiecał.

Odwrócił się szybko i ruszył w kierunku Białej Wieży. Po kilku krokach obejrzał się jeszcze i z ulgą zobaczył, że tkacz snów minął już łukową bramę Świątyni i zmierzał ku zachodniej stronie miasta.

Jeśli będzie miał szczęście, może uda mu się dostarczyć wiadomość osobiście. To dopiero będzie historia.

Czując rosnące podniecenie, wydłużył krok. Zbliżał się do wejścia do Białej Wieży.

Ambasador Sennonu zaczął kolejną długą dygresyjną opowieść o historii swojego kraju - coś, co jego lud zwykle czynił, kiedy chciał podkreślić jakąś tezę. Auraya odrobinę zmieniła wyraz twarzy. Na wszystkich, którzy obserwowali to spotkanie, sprawiała wrażenie całkowicie skupionej na rozmowie. Danjin zaczynał lepiej odczytywać jej reakcje i dostrzegł oznaki wymuszonej cierpliwości. Jak większość mówiących z prostotą Hanijczyków, te nieskończone sennońskie ozdobniki uważała za męczące.

- Będziemy zaszczyceni, a nawet zachwyceni ponad wszelkie granice, gdybyś zechciała odwiedzić miasto gwiazd. Odkąd bogowie ponad sto lat temu wybrali wielkiego Jurana, tylko dziewięciokrotnie pobłogosławili nas okazją, by przyjmować i gościć jednego z Wybranych. Byłoby cudownie, zgodzisz się chyba, gdyby najnowsza przedstawicielka bogów była następną, która spaceruje po ulicach Karienne i wspina się na wydmy Hemmedu.

To wszystko? Danjin stłumił westchnienie. Cała ta skomplikowana mowa ambasadora stanowiła jedynie wstęp do zaproszenia do wizyty w jego kraju. Chociaż wskazywała też, że Biali rzadko odwiedzają Sennon. Trudno się dziwić, że Sennończycy czują się trochę zaniedbywani.

Kłopot polegał na tym, że Sennon od Hani oddzielały łańcuch górski i pustynia, a droga do Karienne była długa i ciężka. Dunway także leżał za górami, ale przynajmniej dało się tam dotrzeć drogą

morską. Główny port Sennonu położony był na drugim końcu kontynentu. Przy dobrej pogodzie rejs mógł potrwać miesiące, przy złej - dłużej niż wędrówka lądem. Jeśli Sennon w końcu stanie się sprzymierzeńcem, Biali będą musieli częściej odbywać takie podróże.

Danjin podejrzewał, że ważnym powodem, dla którego Biali niechętnie poświęcają czas na taką wyprawę, jest to, że spora liczba Sennończyków wciąż czci martwych bogów. Władcy Sennonu, dawni i obecni, zawsze byli zdania, że poddani winni mieć swobodę tego, kogo lub co chcą wyznawać, a o tym, czy wybrani bogowie są czy nie są rzeczywiści, nie władca powinien decydować. Prawdopodobnie będą się przy tym upierać, dopóki sennoński „podatek religijny" zwiększa ich bogactwo.

Tylko jeden kult sprzeciwiał się takiej sytuacji równie głośno co cyrklianie. Nazywali siebie pentadrianami. Podobnie jak cyrklianie wyznawali oni wiarę w pięciu bogów, ale było to jedyne podobieństwo. Ich bogowie nie istnieli, więc kapłani mamili wyznawców sztuczkami i czarami. Podobno pentadrianie na ofiarę swym bogom składali niewolników, a także odprawiali orgiastyczne rytuały płodności. Nic dziwnego, że takie akty zniechęcały wyznawców do jakichkolwiek wątpliwości w realność bogów - jeśliby oni nie istnieli, te deprawacje nie miałyby żadnego usprawiedliwienia.

Auraya spojrzała na Danjina, a on poczuł, że twarz oblewa mu rumieniec zakłopotania. Powinien zwracać uwagę na bezustanne paplanie ambasadora, aby dostarczać jej informacji i analiz. Pewnie dostarczałem - ale nie takich, jakie w tej chwili mogłaby wykorzystać.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Dyara. Danjin z rozbawieniem spostrzegł, jak krytycznie zmierzyła wzrokiem Aurayę - niczym matka szukająca błędów w zachowaniu dziecka. Powstrzymał uśmiech. Trzeba czasu, by Auraya zaczęła się zachowywać z taką samą pewnością siebie co Dyara. Sytuacja nowej Białej była dość interesująca - przeszła z jednego z najwyższych

stanowisk, możliwych do zyskania przez śmiertelną kapłankę, na coś, co zgodnie z wiekiem i doświadczeniem było najniższą pozycją wśród nieśmiertelnych.

- Dotarła wiadomość z twojego domu, Aurayo - oznajmiła Dyara. - Czy zechcesz przyjąć ją teraz?

Oczy Aurai błysnęły.

- Tak. Bardzo dziękuję.

Dyara odsunęła się, wpuszczając do środka nowicjusza. Ten podszedł i nieśmiało wręczył kapłance cylinder.

Auraya uśmiechnęła się do młodego człowieka, po czym zamrugała zdziwiona. Kiedy Dyara wypchnęła posłańca z pokoju, Auraya złamała pieczęć i wysunęła zwitek pergaminu. Danjin widział, że niewiele jest na nim znaków. Usłyszał głośny wdech i popatrzył na Aurayę - pobladła nagle.

Zerknęła na Dyarę, która zmarszczyła czoło i zwróciła się do ambasadora.

- Liczę, że podobała się panu ta wizyta w Świątyni, ambasadorze Shameli. Czy mogę towarzyszyć panu do wyjścia?

Mężczyzna zawahał się, po czym lekko skłonił głowę.

- Będę niezwykle zaszczycony, Dyaro z Białych. - Palce obu dłoni ułożył w znak kręgu, po czym ukłonił się Aurai. - Rozmowa z tobą to prawdziwa radość, Aurayo z Białych. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli ją kontynuować. Spojrzała mu w oczy i przytaknęła.

- Ja również.

Kiedy Dyara wyprowadzała ambasadora z pokoju, Danjin obserwował pilnie Aurayę. Najnowsza Biała wpatrywała się w wazon, ale był pewien, że nie jest to przedmiot skupiający jej uwagę. Czyżby to łza błysnęła jej w oku?

Odwrócił głowę, nie chcąc swoją ciekawością budzić jej zakłopotania. Ale kiedy cisza się przedłużała, zaczął odczuwać skrępowanie. To trochę dziwne, widzieć jedną z Białych we łzach, myślał. Powinni przecież być silni. Panować nad sytuacją. Tylko że ona właściwie nie ma doświadczenia, przypomniał sobie. Ale ja bym

jednak wolał, żeby ci, którzy kierują ludźmi w sprawach prawa i moralności, wciąż mieli ludzkie uczucia, zamiast żadnych.

Drzwi otworzyły się znowu i wróciła Dyara. Przystanęła z dłonią na klamce.

- Przykro mi, Aurayo. Resztę dnia możesz spędzić, jak masz ochotę. Przyjdę do ciebie wieczorem, gdy tylko będę wolna.

- Dziękuję - odparła cicho Auraya.

Dyara spojrzała na Danjina i skinieniem wskazała mu drzwi. Wstał i wyszedł za nią z pokoju.

- Złe wieści? - spytał, kiedy byli już na korytarzu.

- Umarła jej matka. - Dyara skrzywiła się. - Bardzo niesprzyjający moment. Wracaj do domu, Danjinie Spearze. Przyjdź jutro o zwykłej porze.

Danjin skłonił się i zrobił znak kręgu. Dyara odeszła. Spojrzał w głąb korytarza prowadzącego do schodów, a potem znowu na drzwi pokoju, który właśnie opuścił. Wolne popołudnie. Od kilku dni nie miał ani chwili dla siebie. Mógłby odwiedzić Główny Rynek i wydać trochę zarobionych pieniędzy na prezenty dla żony i córek. Mógłby trochę poczytać...

W myślach znów pojawiło się wspomnienie bladej twarzy Aurai. Będzie rozpaczać, pomyślał. Czy ktokolwiek może ją pocieszyć? Przyjaciel? Któryś z kapłanów?

Wszystkie myśli o odwiedzeniu rynku i lekturze wyparowały nagle. Westchnął i zapukał do drzwi. Otworzyły się po chwili. Auraya spojrzała na niego pytająco, po czym uśmiechnęła się blado, kiedy odczytała jego myśli.

- Nic mi nie będzie, Danjinie.

- Czy mogę jakoś pomóc? Kogoś sprowadzić? Pokręciła głową, ale nagle zmarszczyła brwi.

- Może jest ktoś taki. Ale nie sprowadzić, tylko odnaleźć. Dowiedz się, gdzie zatrzymał się człowiek, który dostarczył dziś wiadomość do Świątyni. Nowicjusz Rimo powinien ci go opisać. A jeśli moje podejrzenia są słuszne, ma na imię Leiard.

Danjin skinął głową.

- Jeśli tylko jest jeszcze w mieście, znajdę go.

Niedaleko, po lewej stronie, trzy kobiety przy stole szykowały wieczorny posiłek. Prawie bez udziału świadomości ich ręce zręcznie ugniatały, mieszały i cięły, gdy one same rozmawiały między sobą o niedalekim ślubie córki ich pracodawcy.

Z tyłu, trochę dalej, jakiś mężczyzna osiągnął niemal medytacyjny stan umysłu, kiedy palcami formował glinę w kształt misy. Zadowolony z efektu, kawałkiem sznurka odciął misę od koła i odłożył między inne swoje produkty. Potem sięgnął po więcej gliny.

Po prawej stronie przeszedł pospiesznie, zmęczony i zniechęcony młody człowiek. Jego rodzice znowu zrobili awanturę. Jak zawsze, skończyło się to głuchymi uderzeniami pięści o ciało i jękami bólu. Zauważył cudzoziemców, którzy wciąż tłoczyli się na rynku, jakby nieświadomi istnienia kieszonkowców, i serce przestało mu ciążyć tak bardzo. Dziś wieczorem nietrudno będzie coś zdobyć.

Daleko po prawej stronie, ale głośniej, matka kłóciła się z córką. Kłótnia skończyła się falą satysfakcji i złości, gdy córka zatrzasnęła drzwi między nimi.

Leiard odetchnął głęboko i pozwolił, by te i inne umysły zniknęły z jego głowy. Obolałe ciało przeszło do stanu znośniejszego zmęczenia. Kusiło go, by położyć się i zasnąć, ale to groziło bezsennością wieczorem, a miał za sobą dość niespokojnych nocy, kiedy się zastanawiał, czy podjął właściwą decyzję, zabierając wiadomość kurierowi.

Ktoś musiał ją dostarczyć, myślał. Dlaczego Ta - Dyer powierzył ją temu chłopcu?

Pewnie trwały już zbiory. Niewielu można było oderwać od ich zajęć, by mogli wyruszyć w daleką drogę. Chłopak mógł sam zaproponować pomoc, aby uniknąć ciężkiej pracy. Ta - Dyer pewnie nie wiedział o jego leniwej naturze.

Leiard zdołał wyczytać w umyśle oszołomionego alkoholem chłopaka dość dużo, by zrozumieć, czemu ojciec Aurai wysłał wiadomość, zamiast prosić kapłana Avorima o przekazanie jej myślowo. Kapłan był chory. Choroba powaliła go kilka dni

wcześniej.

Zatem, ponieważ kapłan nie mógł pomóc, Ta - Dyer nie miał wyboru i musiał wysłać gońca. Leiard nie miał pojęcia, jak chory jest Avorim. Mógł być umierający. Gdyby nie znalazł innego posłańca, Auraya mogłaby nie poznać wieści o śmierci matki.

Zabawne, ale Leiard spotkał pijanego gońca tylko dlatego, że śmierć Ma - Dyer zwolniła go z obowiązków. Co roku wyprawiał się do miasteczka w pobliżu Oralyn, by tam kupić leki, jakich sam nie mógł przygotować. Chłopak oddał mu to, co pozostało z pieniędzy, które dostał od Ta - Dyera na jedzenie i noclegi. Kiedy jednak Leiard dotarł do miasteczka, przekonał się, że nie wystarczy to na wynajęcie innego kuriera.

Zastanowił się, czy nie oddać wiadomości miasteczkowemu kapłanowi, ale kiedy sobie wyobraził, że tłumaczy, w jaki sposób znalazła się u niego, nie sądził, by jakikolwiek kapłan mu uwierzył. Pozostały więc dwa wyjścia: zabrać list z powrotem do Ta - Dyera, który w tej chwili nie potrzebował dodatkowych zmartwień i niepokojów, albo dostarczyć go osobiście. Doszedł do wniosku, że wystarczy oddać go któremuś z odźwiernych w Świątyni.

Ale nie było tam żadnych odźwiernych ani straży. Wspominając moment, kiedy stanął u wejścia do Świątyni, Leiard poczuł dreszcz. Zbyt był pochłonięty ludzką krzątaniną wokół, by zauważyć wielką Białą Wieżę, wyrastającą ponad zabudowaniami miasta. Zobaczył ją dopiero kiedy przeszedł pod łukiem bramy.

Coś w tym obrazie zmroziło go do szpiku kości. Jakaś część umysłu odczuwała zachwyt i podziw dla kunsztu, którego wymagało stworzenie takiej wieży. Inna część czuła lęk, naciskała, by odwrócić się i odejść jak najszybciej.

Tylko determinacja, by dostarczyć wiadomość, pozwoliła mu zostać. Nie po to dotarł tak daleko, by teraz czmychnąć. Jednak przy bramie nie dostrzegł nikogo, kto mógłby odebrać list, a żaden z kapłanów wewnątrz nie zdradzał chęci, by do niego podejść. Musiał przejść pod łukiem, by zwrócić na siebie uwagę. I kiedy wreszcie oddał wiadomość młodemu kapłanowi, wyszedł pospiesznie,

zadowolony, że w końcu się od niej uwolnił.

Jarime rozrosło się i zmieniło, odkąd ostatni raz je odwiedził, ale taka już jest natura miast. Gęsta mieszanina ludzi jednocześnie pobudzała i męczyła. Kilka godzin minęło, nim znalazł miejsce noclegowe dla tkaczy snów. Właścicielami domu byli Tanara i Millo Bakerowie, para dysponująca skromnym dochodem, która dostała w spadku niewielki budynek mieszkalny. Ich syn, Jayim, postanowił zostać tkaczem snów, co ich zachęciło, by zaoferować mieszkanie wszystkim tkaczom snów przechodzącym przez miasto. Mieszkali na pierwszym piętrze, a parter wynajmowali sklepikarzom.

Tanara odprowadziła go do pokoju, a potem zostawiła, by mógł odpocząć. Nie potrafił się oprzeć pokusie wejścia w trans, by przejrzeć myśli mieszkańców miasta wokół siebie. Przypominali ludzi w dowolnym innym miejscu - zanurzeni w swoich żywotach tak różnorodnych, jak ryby w oceanie. Jasnych i mrocznych. Trudnych i łatwych. Wielkodusznych i samolubnych. Pełnych nadziei, determinacji, rezygnacji...

Wyczuł też umysł swojej gospodyni z kuchni na dole; myślała, że powinna zawołać Leiarda do jadalni. Miała nadzieję, że pomoże jej synowi.

Leiard raz jeszcze odetchnął głęboko i otworzył oczy. Nauczyciel Jayima zmarł zeszłej zimy i żaden tkacz snów go nie zastąpił. Leiard wiedział, że musi znów rozczarować gospodarzy - jutro zamierzał wracać do wioski. Nawet gdyby chciał wziąć ucznia, Jayim musiałby wyruszyć wraz z nim. Bakerowie woleliby pewnie, by syn pozostał niedouczony, niż by ich opuścił.

Gdyby jednak Jayim chciał odejść ze mną, zabrałbym go? Leiard miał wrażenie, że byłoby to jego obowiązkiem. Tkacze snów byli teraz nieliczni i szkoda, żeby ten młodzik zrezygnował z powodu braku nauczyciela. Może zastanowi się, kiedy już pozna chłopca. W końcu był gotów uczyć Aurayę, gdyby tylko zechciała.

Wstał, przeciągnął się i podszedł do wąskiej ławy, gdzie Tanara położyła dużą misę z wodą i kilka szorstkich ręczników. Umył się powoli, włożył zapasową tunikę i spodnie, narzucił swoją kamizelkę

tkacza snów. Wyszedł z pokoju i trafił do wspólnej sali pośrodku budynku. Tanara siedziała tam na starej poduszce, marszcząc w skupieniu czoło. Chleb piekł się na dużym płaskim kamieniu, opartym na dwóch cegłach. Pod kamieniem nie było ognia, więc musiała podgrzewać go magicznie.

- Tkaczu snów Leiardzie... - Uśmiechnęła się, aż pogłębiły się zmarszczki wokół jej oczu. - Nie mamy tu służących, a ja wolę sama gotować, niż kupować jakieś paskudztwa w tutejszym sklepie. Tylko dwa razy próbowałam ich jedzenia i dwa razy wymiotowałam. Ale czynsz płacą regularnie, więc pewnie nie powinnam się denerwować. - Skinęła w stronę drzwi. - Wrócił Jayim.

Leiard obejrzał się. Młody człowiek leżał rozciągnięty na starej drewnianej ławie w sąsiednim pokoju. Jego kamizelka tkacza snów leżała przy nim na podłodze. Na tunice były wilgotne plamy potu.

- Jayimie, to jest tkacz snów Leiard - zawołała Tanara. - Dotrzymaj mu towarzystwa, dopóki tutaj nie skończę.

Młody tkacz snów uniósł głowę i zamrugał zdziwiony, widząc Leiarda. Usiadł na ławie, gdy gość wszedł do jego pokoju.

- Witaj - powiedział.

- Pozdrowienie - odparł Leiard.

Czyli więc nie ma co liczyć na tradycyjne powitanie, pomyślał. Czy to z powodu braków szkolenia, czy zwykłego lekceważenia rytuałów?

Leiard usiadł naprzeciw Jayima i spojrzał na kamizelkę. Chłopak podążył za jego wzrokiem, potem szybko podniósł ją i zarzucił na oparcie ławy.

- Trochę dzisiaj gorąco - zauważył. - Byłeś już kiedyś w mieście?

- Tak - potwierdził Leiard. - Dawno temu.

- Jak dawno?

Leiard zmarszczył czoło.

- Nie jestem pewien. Chłopak wzruszył ramionami.

- W takim razie to musiało być bardzo dawno. Wiele się zmieniło?

- Zauważyłem kilka zmian, ale trudno mi osądzić, jako że

widziałem tylko część miasta. Przybyłem dzisiaj po południu - wyjaśnił Leiard. - Ale wychodzi na to, że jedzenie z ulicznych sklepików jest równie niebezpieczne co dawniej.

Jayim parsknął śmiechem.

- To prawda, ale jest parę całkiem niezłych. Zostaniesz tu na długo?

Leiard pokręcił głową.

- Nie. Jutro wyruszam.

Chłopiec nie potrafił za dobrze ukryć swej ulgi.

- Z powrotem do... Dokąd?

- Do Oralyn.

- A gdzie to jest?

- Niedaleko dunwayskiej granicy, u podnóża gór.

Jayim otworzył usta, by coś powiedzieć, ale znieruchomiał, słysząc pukanie do drzwi.

- Ktoś przyszedł, mamo!

- To otwórz!

- Ale... - Jayim spojrzał na Leiarda. - Zajmuję się naszym gościem.

Tanara westchnęła i wstała. Przeszła do głównego wejścia, poza zasięgiem ich wzroku. Leiard słuchał uderzeń jej sandałów o kafelki podłogi. Potem otworzyły się drzwi, zabrzmiały kobiece głosy, a następnie stukanie dwóch par sandałów.

- Mamy klientkę - oznajmiła Tanara, wchodząc.

Za nią szła kobieta otulona w szeroki płaszcz z ciemnej tkaniny. Zarzuciła go sobie na głowę, kryjąc twarz.

- Nie przyszłam tu po uzdrowienie - oświadczyła. - Przyszłam się zobaczyć ze starym przyjacielem.

Na dźwięk tego głosu dreszcz przebiegł po grzbiecie Leiarda, choć nie był pewien dlaczego. Zauważył, że wstaje odruchowo. Kobieta zsunęła z głowy kaptur i uśmiechnęła się.

- Pozdrowienie, tkaczu snów Leiardzie.

Jej twarz się zmieniła. Straciła wszystkie dziecięce zaokrąglenia, a zyskała elegancki kształt podbródka i czoła oraz wysokie kości

policzkowe. Włosy miała ułożone w wyrafinowaną fryzurę, popularną wśród osób bogatych i modnych. Wydawała się wyższa.

Ale oczy zostały te same: wielkie, wyraziste, błyszczące inteligencją. Wpatrywały się w niego badawczo. Pewnie się zastanawia, czy ją pamiętam... Pamiętam, ale nie tak. Wyrosła na uderzająco piękną kobietę. We wsi nigdy nie byłoby to aż tak wyraźne. Tam uchodziłaby za nazbyt delikatną i chudą. Miejska moda bardziej do niej pasuje.

Miejska moda? Nie przybyła tu, by nadążać za modą, ale żeby zostać kapłanką.

I kiedy to pomyślał, przypomniał sobie o swoich gospodarzach. Świadomość, że mają w domu cyrkliańską kapłankę, mogłaby ich wystraszyć. Zwłaszcza wysoką kapłankę... Auraya miała przynajmniej dość rozsądku, by ukryć swą szatę.

Zwrócił się do Tanary.

- Czy jest tu miejsce, gdzie mógłbym porozmawiać z tą damą na osobności?

- Tak, na dachu - odparła z uśmiechem Tanara. - W letnie wieczory bardzo tam przyjemnie. Chodźcie za mną.

Poprowadziła ich przez wspólną salę do schodów naprzeciwko drzwi wejściowych. Kiedy wyszli na dach, Leiard ze zdziwieniem odkrył, że jest zastawiony roślinami w donicach i wytartymi krzesłami. Widział stąd sąsiednie domy i ludzi wypoczywających w dachowych ogródkach.

- Przyniosę coś chłodnego do picia - zaproponowała Tanara i zeszła na dół.

Auraya usiadła naprzeciwko Leiarda i westchnęła.

- Powinnam wysłać ci wiadomość i ostrzec, że przyjdę. Albo umówić się gdzieś na spotkanie. Ale jak tylko się dowiedziałam, że tu jesteś... - Uśmiechnęła się niepewnie. - Musiałam przyjść od razu.

Kiwnął głową.

- Chciałaś porozmawiać o matce z kimś, kto ją znał - domyślił się.

Uśmiech zniknął.

- Tak. Jak ona...?

- Starość i choroba. - Rozłożył ręce. - Ta choroba wiele ją kosztowała, więc postarzała się. W końcu musiało to nastąpić.

Auraya przytaknęła.

- Więc to wszystko? Nic więcej? Pokręcił głową.

- Łatwo jest, po długim powstrzymywaniu choroby, dziwić się, że jednak kogoś zabrała.

Skrzywiła się.

- Rzeczywiście. Zwłaszcza jeśli moment jest... nieszczęśliwy. - Westchnęła. - Co z ojcem?

- Zdrowy, kiedy odchodziłem. Zasmucony, oczywiście, ale i pogodzony z losem.

- Powiedziałeś nowicjuszowi, że znalazłeś list u pijanego posłańca. Wiesz, czemu kapłan Avorim się ze mną nie skontaktował?

- Kurier twierdził, że jest chory.

- Musi być już bardzo stary... - Pokiwała głową. - Biedny Avorim. Bardzo go męczyłam podczas nauki. I ty. - Przyjrzała mu się z lekkim uśmiechem. - To dziwne. Poznaję cię, ale wyglądasz inaczej.

- W jakim sensie?

- Młodziej.

- Dzieci sądzą, że wszyscy dorośli to starcy.

- Zwłaszcza jeśli ci dorośli mają białe włosy. - Rozsunęła okrywający ją płaszcz. - Trochę za gorąco, żeby się tak ubierać - stwierdziła. - Ale martwiłam się, że kiedy ludzie mnie tu zobaczą, twoi gospodarze mogą mieć kłopoty.

- Nie jestem pewien, jak tkacze snów są traktowani w tym mieście.

- Ale uważasz, że gospodarze by się wystraszyli, gdyby wiedzieli, kim jestem.

- Prawdopodobnie. Zmarszczyła czoło.

- Nie chcę, żeby się mnie bali. Nie podoba mi się to. Chciałabym... - Westchnęła. - Ale kimże jestem, by pragnąć odmienić ludzkie zachowania?

Przyjrzał się jej z uwagą.

- Masz więcej możliwości niż większość. Uśmiechnęła się z pewnym zażenowaniem.

- Chyba rzeczywiście. Ale pytanie brzmi: czy bogowie na to pozwolą?

- Nie chcesz chyba ich pytać, prawda? Uniosła brwi.

- Może.

Widząc ten błysk w jej oczach, Leiard poczuł, że wypełnia go nieoczekiwana sympatia. Zdawało się, że zostało w niej coś z tego ciekawego, bezustannie pytającego dziecka. Ciekawe, czy innym pozwalała je dostrzec i jak sobie z tym radzili.

Mogę sobie wyobrazić, jak zadręcza bogów pytaniami o naturę wszechświata, pomyślał, śmiejąc się w duchu. Ale natychmiast spoważniał. Łatwo jest zadawać pytania. Trudniej dokonywać zmian.

- Kiedy zamierzasz odejść? - spytała.

- Jutro.

- Rozumiem. - Odwróciła wzrok. - Miałam nadzieję, że może zostaniesz dłużej. Może kilka dni. Chciałabym znowu z tobą porozmawiać.

Rozważył jej prośbę. Tylko kilka dni...

Dobiegające ze schodów kroki zapowiedziały powrót Tanary. Kobieta pojawiła się, niosąc tacę z glinianymi kubkami i misą suszonych owoców. Przystanęła, by poczęstować Aurayę, gdy jednak ta sięgnęła po kubek, Tanara jęknęła i upuściła tacę.

Leiard zauważył lekki ruch palców dziewczyny. Taca zatrzymała się w powietrzu, zawartość kubków chlusnęła na zewnątrz. Spojrzał na Tanarę - kobieta wpatrywała się w gościa. Zauważył, że płaszcz okrywający ramiona kapłanki zsunął się trochę, odsłaniając brzeg cyrkli.

Wstał i położył Tanarze dłonie na ramionach.

- Nie masz się czego obawiać - zapewnił spokojnie. - Owszem, jest kapłanką. Ale jest też moją przyjaciółką. Z wioski w pobliżu...

Tanara chwyciła go za rękę, szeroko otwierając oczy.

- Nie kapłanką - szepnęła. - Więcej niż kapłanką. Ona jest...

ona... - Spojrzała na Leiarda. - Jesteś przyjacielem Aurai z Białych?

- **Ja...**

Aurai jakiej? Spojrzał w dół, na Aurayę, uśmiechającą się z zakłopotaniem. Przyjrzał się cyrkli. Nie miała złotego obramowania, jakie nosiły wysokie kapłanki. W ogóle nie miała obramowania.

- Kiedy to się stało? - usłyszał własny głos.

- Dziewięć, dziesięć dni temu - odparła przepraszającym tonem.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- Czekałam na właściwy moment. Tanara wypuściła dłoń Leiarda.

- Przepraszam. Nie chciałam zepsuć niespodzianki. Auraya zaśmiała się smętnie.

- To bez znaczenia. - Wzięła tacę i odłożyła na ławę obok siebie. - To ja powinnam przeprosić, że cię zaniepokoiłam. Powinnam umówić się z Leiardem w jakimś innym miejscu.

Tanara pokręciła głową.

- Nie! Zawsze jesteś tu mile widziana! Kiedy tylko zechcesz nas odwiedzić, nie wahaj się...

Auraya na moment zmrużyła nieco oczy, a potem uśmiechnęła się szeroko.

- Dziękuję ci, Tanaro Baker - rzekła. - Więcej to dla mnie znaczy, niż możesz sobie wyobrazić. Ale teraz muszę chyba przeprosić, że zepsułam ci wieczór. - Owinęła się płaszczeni. - I powinnam wrócić do Świątyni.

- Och... - Tanara zerknęła przepraszająco na Leiarda. - Odprowadzę cię do drzwi.

- Dziękuję.

Kiedy kobiety wyszły, Leiard usiadł powoli.

Auraya jest jedną z Białych...

Serce zalała mu gorycz. Zawsze dostrzegał jej możliwości. Była inteligentna, ale nie arogancka. Interesowali ją inni ludzie, lecz nie lekceważyła ich prywatności. Jej zdolność uczenia się i używania Darów była większa niż u któregokolwiek z jego uczniów.

Oczywiście, że ją wybrali. Sam przecież mówił, że lepiej, by

przyłączyła się do cyrklian, gdyż wobec restrykcji życia tkacza snów duża część jej potencjału byłaby stracona.

Czy zatem wszystko ułożyło się jeszcze lepiej, skoro została jedną z nieśmiertelnych Białych, zapytał sam siebie z goryczą. Świat tym więcej skorzysta na jej talentach.

A jej utrata będzie cię dręczyć przez całą wieczność.

Ta myśl go zaskoczyła. Brzmiała jak jego własny wewnętrzny głos, ale sprawiała wrażenie wewnętrznego głosu innej osoby.

- Leiard?

Uniósł wzrok. Wróciła Tanara.

- Dobrze się czujesz?

- Trochę jestem zaskoczony - odparł oschle.

Tanara podeszła do siedzenia naprzeciw - tego, które zajmowała Auraya.

- Nie wiedziałeś? Pokręcił głową.

- Wydaje się, że moja mała Auraya zaszła o wiele dalej, niż mogłem przewidywać.

- Twoja mała Auraya?

- Tak, znałem ją jako dziecko. A także ją uczyłem. Prawdopodobnie więcej wie o leczeniu sposobami tkaczy snów niż jakikolwiek inny kapłan czy kapłanka.

Tanara zmarszczyła czoło. Zamyślona odwróciła wzrok, po czym pokręciła głową.

- Z trudem mogę to zrozumieć - rzekła ściszonym głosem. - Jesteś przyjacielem Aurai z Białych.

Z tyłu dobiegł zduszony odgłos. Leiard obejrzał się i zobaczył Jayima. Chłopak stał na schodach i wytrzeszczał oczy, zdumiony tym, co usłyszał.

- Jayim... - Tanara poderwała się i szybko pchnęła syna do wnętrza. - Nikomu nie wolno ci o tym mówić. Posłuchaj...

Leiard wstał i zszedł za nimi po schodach. Skręcił do swojego pokoju. Jego brudne ubranie wciąż wisiało na oparciu krzesła, torba była do połowy opróżniona, a jej zawartość rozłożona na łóżku. Usiadł i szybko spakował wszystko z powrotem. Kiedy ułożył na

samym wierzchu brudną tunikę, usłyszał kroki, a po chwili w drzwiach stanęła Tanara. Zauważyła torbę i jej twarz spoważniała.

- Tak myślałam - mruknęła. - Usiądź, Leiardzie. Chcę z tobą porozmawiać, zanim uciekniesz do swojego leśnego domu.

Z wahaniem usiadł na łóżku. Kobieta zajęła miejsce obok.

- Pozwól, że sprawdzę, czy dobrze usłyszałam. Powiedziałeś, że uczyłeś Aurayę, kiedy była jeszcze dzieckiem. Chodziło ci o wiedzę tkaczy snów?

Przytaknął.

- Miałem nadzieję, że się do mnie przyłączy. - Pokręcił głową. - Ale sama widzisz, co z tego wyszło.

Tanara poklepała go po ramieniu.

- Na pewno przeżyłeś zawód. Ale to dziwne, że bogowie ją wybrali. Przecież musieli wiedzieć, że nauczał ją tkacz snów.

- Może znali jej prawdziwe uczucia - wyszeptał z goryczą. Tanara zignorowała te słowa.

- Musiałeś dziwnie się czuć, widząc ją znowu, nawet jeśli myślałeś, że jest tylko wysoką kapłanką. Kiedy przyszłam, odniosłam wrażenie, że dobrze się wam rozmawiało. Najwyraźniej nie zauważyłeś żadnej zmiany. A przecież byś wyczuł, gdyby w rezultacie Wyboru stała się kimś innym.

- Wiem, powiedziałem, że jesteśmy przyjaciółmi - odparł. - Ale mówiłem tak, żeby cię uspokoić. Nie widziałem jej od dziesięciu lat.

Tanara przemyślała to.

- Rozważ zatem, Leiardzie - odezwała się po chwili. - Auraya najwyraźniej chce pozostać twoją przyjaciółką. Ktoś z Białych, kto chce się przyjaźnić z tkaczem snów... To powinno być niemożliwe, ale najwyraźniej nie jest. A jeśli Auraya z Białych będzie przyjaźnić się z tkaczem snów, to może inni cyrklianie zaczną ich lepiej traktować. - Zniżyła głos. - Masz teraz dwie możliwości. Możesz wyjść i wrócić do swojego lasu albo możesz zostać tu z nami i kontynuować tę przyjaźń.

- To nie jest łatwe - protestował. - Istnieje przecież ryzyko. A jeśli inni Biali się sprzeciwią?

- Wątpię, czy zrobią coś innego niż zasugerowanie ci, byś się wyniósł. - Pochyliła się bliżej. - Myślę, że warto podjąć takie ryzyko.

- A jeśli ludzie uznają, że im się to nie podoba? Mogą wziąć sprawy w swoje ręce.

- Jeśli ona ceni twoją przyjaźń, to ich powstrzyma.

- Może nie być w stanie, zwłaszcza jeśli Biali jej nie poprą. Tanara odchyliła się i zaczęła mu się przyglądać.

- Nie przeczę, że taka groźba istnieje. Proszę cię tylko, byś się zastanowił. Musisz zrobić to, co dyktuje ci serce.

Wstała i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Leiard przymknął powieki i westchnął.

Tanara pomija jeden prosty fakt, przekonywał sam siebie, bogowie nie wybraliby kogoś, kto czuje sympatię dla tkaczy snów.

Ale wybrali Aurayę. Albo rozwinęła w sobie niechęć do tkaczy snów, albo bogowie prowadzili całkiem inną rozgrywkę. Zastanowił się, jakie są możliwości. Jeśli wzięli inteligentną i Obdarzoną kobietę, która traktowała tkaczy snów z sympatią, i sprawili, by zwróciła się przeciw nim, może stać się nową, śmiertelnie groźną siłą, napędzającą nienawiść cyrklian do pogan. Może być tą, która zniszczy nas całkowicie.

Ale jeśli teraz ucieknie i zostawi ją, samotną i zasmuconą, może być pierwszym, który da jej powód, by zniechęciła się do jego ludu.

Niech będą przeklęci bogowie, pomyślał. Muszę zostać. Przynajmniej dopóki się nie dowiem, o co tu chodzi.

4

W wyższych partiach gór żar letniego słońca był silniejszy. Gdy Tryss znów poczuł ściekający mu z czoła pot, wyprostował się i potrząsnął głową. Krople wilgoci spadły na ramę uprzęży i szybko zostały wchłonięte przez suche drewno. Zdjął i odłożył na bok kamizelkę z trzcinowego włókna. Potem schylił się i starannie przeciągnął pasy elastycznych jelit pomiędzy złączami uprzęży.

Większa część konstrukcji leżała przed nim w kawałkach. Próbował zdublować system dźwigni tak, by móc zabierać cztery kolce zamiast dwóch. Ale już teraz zaczynał wątpić, czy zdoła oderwać się od ziemi, niosąc coś tak ciężkiego. Może będzie trzeba przed startem zawlec to wszystko na drzewo albo na krawędź urwiska...

Ale czymś takim nikomu by nie zaimponował. Uznał, że nie pokaże nowej uprzęży, dopóki nie będzie miał za sobą kilku udanych prób. Kiedy powali jakieś zwierzę, pozwoli mu odespać dawkę trucizny, a gdy nadejdzie czas, by się wykazać, zarżnie ofiarę i zaniesie mięso do Przestrzeni. Gdy inni Siyee zobaczą jego ucztującą rodzinę, kpiny i śmiechy szybko się skończą.

Przerwał pracę i westchnął ciężko. Gdyby tylko jego kuzyni polecieli za nim dyskretnie, zamiast opowiadać wszystkim Siyee o tym, co twierdził, że dokonał... Wtedy tylko oni i Drilli byliby obecni, kiedy Tryss wrócił na miejsce i nie znalazł yerna. Od tamtego dnia historia o jego szalonych przechwałkach dotarła do każdego mieszkańca Przestrzeni. Bez przerwy słyszał kpiny, nawet od Siyee, których w ogóle nie znał.

Poczuł nagłe ukłucie bólu w ramieniu i podskoczył. Jelitowa linka wyśliznęła mu się i strzeliła w bok. Tryss zaklął i obejrzał ramię - na skórze pojawiła się niewielka czerwona plamka. Czyżby coś go użądliło? Rozejrzał się, ale w pobliżu nie zauważył żadnego owada, który byłby do tego zdolny.

I kiedy zaczął rozglądać się po ziemi za pełzającymi insektami,

poczuł następne ukłucie, tym razem na nodze. Spojrzał w dół i zdążył jeszcze zobaczyć, jak na ziemię spada coś małego i okrągłego. Schylił się i pomiędzy kamieniami dostrzegł na skale nasionko winnetu. Nasionka te były jaskrawozielone i trudne do przeoczenia, zwłaszcza że nie trafiały się tak wysoko w górach. Niewielkie drzewa winnetu rosły wzdłuż potoków i rzeczek, nie na suchych skalistych zboczach.

Cichy stuk znowu zwrócił jego uwagę na uprząż - kolejne nasionko odbiło się od niej, spadło na skałę i odtoczyło na bok. Tryss powoli wyplątał się ze swego wynalazku i wstał, rozglądając się ostrożnie. Kątem oka zauważył ruch i natychmiast poczuł ukłucie w ramię. Odwrócił się i poszedł w stronę wielkiego głazu, w pobliżu którego widział poruszenie.

I wtedy usłyszał wygwizdane z góry swoje imię.

Podniósł głowę i westchnął głośno, kiedy rozpoznał oznaczenia skrzydeł Drilli. Rozejrzał się szybko, ale nigdzie nie dostrzegł swoich kuzynów. Serce zabiło mu mocniej, gdy zaczęła zniżać lot.

Uśmiechała się radośnie.

- Tryss! - zawołała. - Chyba zgubiłam...

Przesunęła wzrok i jej uśmiech zniknął, zastąpiony grymasem gniewu. Równocześnie poczuł kolejne ukłucie, tym razem w policzek. Syknął i uniósł dłoń do twarzy.

- Durnie! - krzyknęła Drilli.

Tryss wstrzymał oddech, kiedy zanurkowała stromo i wylądowała obok głazu, do którego zmierzał. Zniknęła za nim, zabrzmiało uderzenie, a potem jakiś Siyee wytoczył się zza skały, osłaniając głowę. Drilli uderzyła go jeszcze raz. I znowu.

Ziss! Tryss usłyszał śmiech za sobą i obejrzał się - to Trinn wspinał się ku nim po skale. Drilli podbiegła do niego i ze złością wyrwała mu coś z ręki.

- Mówiłam, żeby nie strzelać z nich do Siyee! - zawołała, - A jakbyście mu rozerwali skrzydła? Głupie girri - móżdżki! Gdybym wiedziała, że coś takiego wymyślicie, nigdy bym ich dla was nie zrobiła!

- Nie trafilibyśmy go w skrzydła - zapewnił Trinn. - Ćwiczyliśmy.

- Na czym? - zapytała. Trinn wzruszył ramionami.

- Na drzewach. Na kamieniach.

- Na girri? Odwrócił wzrok. - Nie.

- To wy zrobiliście, prawda? I patrzyliście, jak przez pół nocy tkam maty z trzcinowego włókna, żeby pocieszyć ciocię Lirri. Ona myśli, że jej girri zdechły, bo je zaniedbywała.

- Przecież i tak zamierzała je zjeść - zaprotestował Ziss. Drilli odwróciła się i rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Jesteście obrzydliwi! Idźcie sobie! Nie chcę was więcej oglądać!

Kuzyni spojrzeli na siebie z przerażeniem, choć było jasne, że Ziss nie przejął się słowami dziewczyny tak bardzo jak Trinn. Wzruszył ramionami, przebiegł kilka kroków i skoczył w powietrze.

- Przepraszam - odezwał się Trinn.

Ale kiedy Drilli popatrzyła na niego, skrzywił się tylko i poleciał za bratem. Drilli spoglądała za nimi, aż stali się zaledwie czarnymi plamkami na tle ciemnych chmur nad horyzontem. Dopiero wtedy zwróciła się do Tryssa.

- Bardzo mi przykro.

- Nie twoja wina. - Wzruszył ramionami.

- Moja. - W jej głosie znowu zabrzmiał gniew. - Przecież wiem, jacy oni są. Nie powinnam im mówić, do czego służą dmuchawki, a co dopiero robić dla nich po jednej.

Spojrzał na przedmiot, który trzymała w dłoni - długi kawałek trzciny.

- Dmuchawki?

- Tak. - Z uśmiechem podała mu rurkę. - To dmuchawka. W naszej wiosce zaczęliśmy ich używać, żeby polować na małe zwierzęta. Wkładasz tutaj pocisk i...

- Wiem, jak to działa. - Skrzywił się, słysząc własny, oschły głos. - Ale jeszcze nie widziałem, jak się ich używa - dodał bardziej zachęcająco. - Pokażesz?

Uśmiechnęła się znowu i odebrała mu rurkę. Wyjęła coś z kieszeni i wsunęła do otworu. Usłyszał ciche stuknięcie, kiedy pocisk trafił wewnątrz na coś, co pewnie nie pozwalało, by wysunął się drugim końcem.

Drilli wyciągnęła rękę.

- Widzisz ten głaz, o tam, który jest trochę podobny do stopy?

- Tak.

- A ten czarny kamień na czubku? - Tak...

Przyjrzał się z powątpiewaniem. Odległość była duża...

Uniosła rurkę do warg i dmuchnęła mocno. Tryss ledwie zauważył pocisk, ale w następnym momencie czarny kamień stoczył się z głazu i zniknął po drugiej stronie.

Spojrzał na Drilli zaskoczony. Jest nie tylko śliczna i silna, pomyślał. Jest też mądra...

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się, a on nagle znów nie wiedział, co powiedzieć. Czuł tylko, jak pałają mu policzki.

- Więc to jest powód, że tak znikasz? - spytała, zerkając na uprząż.

- Czasami.

Podeszła i obejrzała uprząż z bliska.

- I w ten sposób upolowałeś yerna, tak?

Czyli wierzyła, że to prawda. A może mówiła tak, bo chciała być miła.

- No... tak.

- Pokaż, jak to działa.

- Ale... Wiesz... - Bezradnie zamachał rękami. - Przebudowuję to. Jest w kawałkach.

Przytaknęła.

- Rozumiem. Więc kiedy indziej. Jak już skończysz. - Usiadła przy uprzęży. - Mogę popatrzyć, jak pracujesz?

- Chyba tak. Jeśli chcesz.

Przykucnął i zaczął szukać po kieszeniach linek. Obserwowała go w milczeniu i po chwili zaczęło go ogarniać zakłopotanie.

- Jak długo wasi ludzie używają dmuchawek? - zapytał.

- Od lat. - Wzruszyła ramionami. - To mój dziadek wpadł na ten pomysł. Powiedział, że musimy raczej się cofnąć, niż iść naprzód. Zamiast szukać sposobów, by używać mieczy i łuków, jak ziemiochodzący, powinniśmy wrócić do prostszej broni. - Westchnęła. - Ale to nie pomogło. Ziemiochodzący i tak wyparli nas z wioski. Zabiliśmy kilku w pułapkach albo zatrutymi strzałkami, jednak było ich zbyt wielu.

Tryss zerknął na nią z ukosa.

- Myślisz, że byłoby inaczej, gdybyście mogli ich atakować z powietrza?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Może. A może nie. - Spojrzała na uprząż. - Nigdy nie wiadomo, zanim się nie spróbuje. Czy... Czy będziesz na dzisiejszym Zgromadzeniu?

- Nie wiem - mruknął Tryss.

- Słyszałam, że zeszłej nocy przybył ziemiochodzący. Pokonał góry, żeby się do nas dostać. Będzie na Zgromadzeniu.

- Nie zabili go? - zdziwił się Tryss.

- Nie. Nie należy do tych, którzy odbierają nam ziemię. Jest z daleka.

- Czego chce?

- Nie jestem całkiem pewna, ale ojciec mówił chyba, że tego człowieka przysłali bogowie. Chce nas prosić, żebyśmy się do czegoś przyłączyli. Jeśli się zgodzimy, inni ziemiochodzący pomogą nam pozbyć się tych, którzy podbijają nasze ziemie.

- Jeśli to potrafią, mogą też zabrać nasze ziemie dla siebie - zauważył Tryss.

Drilli zmarszczyła czoło.

- O tym nie pomyślałam. Ale bogowie go przysłali. Huan na pewno by na to nie pozwoliła, jeśli w rezultacie mielibyśmy wszyscy zginąć.

- Kto wie, co planuje bogini? Może zrozumiała, że stworzenie nas było pomyłką, i w taki sposób chce się nas pozbyć.

- Tryss! - Drilli była zaszokowana. - Nie powinieneś tak mówić o

bogini.

- Może i nie - przyznał z uśmiechem. - Ale gdyby się nam przyglądała, to usłyszałaby, co myślę. A jeśli może usłyszeć, co myślę, to wie też, że nie wierzę w to, co powiedziałem.

- Więc po co powiedziałeś?

- Ponieważ taka możliwość przyszła mi do głowy i musiałem wypowiedzieć ją głośno, aby sobie uświadomić, że w nią nie wierzę.

Drilli wpatrywała się w niego przez chwilę. Pokręciła głową.

- Dziwny z ciebie chłopak, Tryss - stwierdziła. Ruchem głowy wskazała uprząż. - Zabierzesz to na dzisiejsze Zgromadzenie?

- To? Nie. Wyśmialiby mnie.

- Może nie.

- Pokazywałem uprząż już wcześniej. Ludzie uważają, że nie da się w niej latać albo że lot stanie się niezgrabny i niebezpieczny. I nawet kiedy im demonstruję, że się mylą, nie chcą uwierzyć, że można w ten sposób polować. Zresztą w tej chwili sam nie jestem pewien, czy coś z tego wyjdzie. Dwa kolce to chyba za mało. Próbowałem ją przerobić, żeby unieść więcej, ale... to skomplikowane.

- Na to wygląda. Ale chyba warto próbować. Zastanawiam się... Czy mógłbyś zbudować coś, co pozwalałoby w locie korzystać z dmuchawki?

Spojrzał na rurkę w jej dłoni, potem na uprząż. Potrzebna byłaby rama, by utrzymywać rurkę w miejscu, i jakaś metoda ładowania do niej pocisków. Można by je zasysać do rurki z worka. No i te pociski były o wiele lżejsze i mniejsze niż kolce, więc dałoby się zabierać ich więcej... Odetchnął głęboko. Przecież to świetny pomysł! I kiedy kolejne możliwości przebiegały mu przez głowę, poczuł, że ręce zaczynają mu drżeć z podniecenia.

- Drilli - powiedział. - Mmm?

- Mogę... mogę pożyczyć tę dmuchawkę?

Auraya patrzyła zafascynowana, jak jej nowe zwierzątko ściga po ścianie wyimaginowanego pająka. To był veez - małe, smukłe stworzonko ze szpiczastym noskiem, puszystym chwytnym

ogonkiem i wielkimi oczami, pozwalającymi mu świetnie widzieć w ciemności. Delikatne palce rozkładały się na malowanej powierzchni, dzięki czemu mógł jakoś chodzić po ścianie... a teraz nawet po suficie. Zatrzymał się wprost nad nią i nagle spadł jej na ramię.

- Rofala nie - oświadczył, po czym zeskoczył na fotel i zwinął się w kłębek, przykrywając nosek puszystym, cętkowanym, szarym ogonem.

- Nie ma robala - zgodziła się Auraya.

Najbardziej niezwykłą cechą zwierzęcia była jego zdolność mowy, choć rozmawiał tylko o sprawach interesujących dla takich małych stworzonek, na przykład o jedzeniu i pieszczotach. Nie liczyła więc raczej na pouczające, filozoficzne dysputy.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołała. Weszła Dyara.

- Auraya... Jak się dzisiaj czujesz?

- Ałaja - powtórzył cienko głosik. Kapłanka zauważyła veeza.

- Widzę, że somreyańska Rada Starszych dostarczyła już tradycyjny prezent dla nowej Białej.

- Tak. - Auraya skinęła głową. - Wraz ze zdumiewająco złożonym zestawem zabawek i instrukcji.

- Dałaś mu już jakieś imię?

- Nie.

Starsza kobieta podeszła do fotela i wyciągnęła do veeza palec. Zwierzak obwąchał go, a potem przechylił głowę na bok, pozwalając Dyarze poskrobać się za malutkimi szpiczastymi uszami.

- Kiedy się już nauczysz łączyć swój umysł z jego, przekonasz się, że jest użyteczny. Wystarczy pokazać mu myślowy wizerunek przedmiotu, a on ci go przyniesie. Może też szukać ludzi, choć lepiej, jeśli dasz mu coś, czego dotykali, żeby wyczuł zapach.

- W instrukcjach piszą, że to dobrzy zwiadowcy.

- Zwiadowcy to grzeczne określenie szpiegów. Kiedy połączysz się z jego umysłem, będziesz mogła widzieć to, co on.,. A że veezy świetnie widzą w ciemności i mogą się dostać w miejsca niedostępne

dla ludzi, rzeczywiście są znakomitymi, ehm, zwiadowcami. - Zwierzak zamknął oczka, rozkoszując się jej drapaniem. - Ale przekonasz się, że polubisz go także za jego naturę. Są wierne i lojalne.

Cofnęła dłoń i wyprostowała się. Veez otworzył oczka i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Drap?

Dyara zignorowała go i zwróciła się do Aurai.

- Będziemy...

- Drap!

- Dosyć! - rzekła surowo. Veez spuścił łepek niczym skarcone dziecko. - W tym wieku bywają też dość wymagające. Bądź wobec niego stanowcza.

Odsunęła się od fotela i spojrzała na Aurayę z ukosa. Jej wyraz twarzy nie zdradzał niczego. Nie po raz pierwszy Auraya pożałowała, że myśli tej kobiety nie potrafi odczytywać tak łatwo, jak większości ludzi.

- Wczoraj wieczorem mówiłaś, że po południu odwiedziłaś starego przyjaciela - powiedziała Dyara. - W mieście jest całkiem sporo „zwiadowców", którzy bardzo chcą się wykazać, żeby dostać ode mnie pracę. I chętnie mnie informują o tym, co widzą. Tego ranka jeden z nich stwierdził, że ten przyjaciel, którego odwiedziłaś, to tkacz snów. Czy to prawda?

Auraya przyjrzała się Dyarze w skupieniu. Co powinna odpowiedzieć? Przecież nie będzie kłamać innej Białej. Nie będzie też udawać, że ma wyrzuty sumienia z powodu spotkania ze starym przyjacielem.

- Tak - przyznała. - To tkacz snów Leiard, z mojej rodzinnej wioski. Nie widziałam go od dziesięciu lat. Dostarczył do Świątyni wiadomość o śmierci mojej matki. Chciałam mu za to podziękować.

- Domyślam się, że teraz, kiedy wiadomość trafiła do adresata, zechce wrócić do domu.

- Zapewne. - Auraya wzruszyła ramionami. - Wątpię, żeby zatrzymał się tutaj na dłużej. Nie wyobrażam sobie, by spodobało mu

się życie w mieście. Zawsze był raczej typem samotnika.

Dyara kiwnęła głową.

- Pozostali zebrali się już pewnie przy Ołtarzu. Nie powinnyśmy kazać im czekać.

Auraya poczuła mrowienie w żołądku, oznakę równocześnie podniecenia i niepokoju. Po raz pierwszy miała zasiąść z pozostałą czwórką Białych, kiedy omawiają swoje zadania i obowiązki. Mogą wyznaczyć jej jakieś zadanie. Jeśli tak, spodziewała się, że nie będzie bardzo poważne. A jeśli nie, i tak ciekawie będzie posłuchać, w jakie sprawy świata się angażują.

Cyrkla Dyary wzdęła się, gdy kobieta odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Auraya podążyła za nią. Klatka już na nie czekała. W drodze na dół Auraya myślała o tych „zwiadowcach" wspomnianych przez Dyarę. Zaniepokoiła ją informacja, że obcy ludzie ją śledzą, ale zastanawiała się, czy naprawdę zrobili to sami z siebie. Nie wiadomo, co gorsze: że szpiegują ją z własnej inicjatywy, czy że ktoś im to zlecił.

Czy inni Biali mnie pilnują? Jeśli znowu zechcę się spotkać z Leiardem, czy spróbują mnie zniechęcić? Czy mam im na to pozwolić?

Gdy klatka osiadła na dnie wieży, Auraya wyszła z niej za Dyarą.

Bogowie mnie wybrali. Wiedzieli o mnie wszystko, wiedzieli o mojej przyjaźni z Leiardem i sympatii dla tkaczy snów. Gdyby się na to nie zgadzali, wskazaliby kogoś innego.

Ale czy rzeczywiście? Może tolerowali tę jedną cechę jej charakteru, by móc korzystać z pozostałych? Jednakże, jeśli nie zakażą jej wprost, nadal będzie utrzymywać kontakty z tkaczami snów.

Zadrżała. Kiedy dowiedziała się o śmierci matki, zlękła się, że bogowie chcą jej coś przekazać. Że zabijając matkę, dają do zrozumienia, iż nie podoba im się korzystanie z usług tkacza snów przy jej leczeniu. To śmieszne, pomyślała. Bogowie nie działają w ten sposób. Kiedy czegoś chcą, mówią to. Ale choć głęboko w to wierzyła, nie mogła stłumić strachu - dopóki Leiard jej nie zapewnił,

że to choroba była przyczyną śmierci matki.

Na zewnątrz było ciepło, a słoneczny żar zapowiadał nadejście gorącego dnia. Dyara przyspieszyła kroku. Dotarły do Kopuły, weszły do wnętrza i ruszyły do podwyższenia z Ołtarzem pośrodku.

Pozostała trójka Białych już czekała, siedząc przy okrągłym stole. Auraya czuła szaleńcze uderzenia pulsu, kiedy podeszła bliżej; przez głowę przemknęły wspomnienia Ceremonii Wyboru.

Weszła za Dyarą na Ołtarz.

- Witaj, Aurayo - powitał ją ciepło Juran. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Dzięki, Juranie.

Gdy Dyara zajęła swoje miejsce, Auraya usiadła na wolnym krześle. Pięć ścian Ołtarza zaczęło się wznosić, aż zetknęły się szczytami, a potem rozjarzyły bladym, rozproszonym światłem.

Auraya przyjrzała się pozostałym Białym. Rian siedział wyprostowany, wpatrzony w pustkę. Nawet kiedy spojrzał na Aurayę i lekko pochylił głowę, wyraźnie myślał o czymś innym. Mairae wyglądała dokładnie tak, jak dziesięć lat temu, kiedy przybyła do Oralyn, by negocjować z Dunwayczykami. Ten widoczny dowód nieśmiertelności Białych wzbudził u Aurai lekki dreszcz. Pewnego dnia, pomyślała, to na mnie ktoś spojrzy i zadziwi się tym znakiem boskiej potęgi.

Mairae uśmiechnęła się do niej, a potem spojrzała na Jurana. Przywódca Białych przymknął oczy.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru. Raz jeszcze dziękujemy wam za pokój i dobrobyt, które zesłaliście. Dziękujemy za możliwość służenia wam. Dziękujemy za moce, które nam daliście, a które pozwalają pomagać kobietom i mężczyznom, starym i młodym tego świata i kierować nimi.

- Dziękujemy wam - wymruczeli pozostali.

Auraya przyłączyła się do nich. Dyara nauczyła ją tego rytuału.

- Dzisiaj użyjemy całej swej mądrości w waszej służbie, ale gdybyśmy zbłądzili w ocenach albo działali wbrew waszym dalekosiężnym planom, prosimy, byście przemówili do nas i

przekazali swoje życzenia.

- Prowadźcie nas - wyrecytowała Auraya wraz z innymi. Juran otworzył oczy i rozejrzał się.

- Bogowie przekazali nam, że pragną, by cała Ithania Północna była zjednoczona - oznajmił, patrząc na Aurayę. - Nie drogą wojen i podbojów, ale poprzez pokojowe traktaty. Chcą, by wszystkie krainy z nami negocjowały warunki przymierza. Kraje niebędące w większości cyrkliańskie zechcą raczej związać się z nami z przyczyn politycznych i handlowych, a nie ze względu na posłuszeństwo wobec bogów. Takie ludy jak Siyee i Elai, które podejrzliwie traktują ziemiochodzących, muszą nauczyć się nam ufać. Te zaś, w których dominuje religia cyrkliańska, posłuchają rozkazu bogów, ale jeśli uznają, że przymierze nie jest sprawiedliwe albo dla nich korzystne, będą sprawiać kłopoty innym krainom.

Zwrócił się do Dyary.

- Pomówmy o sprzymierzeńcach, których już mamy. Dyaro?

Kobieta westchnęła ciężko i przewróciła oczami.

- Arrinowie z Genrii i król Torenu ciągle wykonują wrogie gesty. Za każdym razem, kiedy jedna z rodzin Arrinów wydaje na świat syna, co udaje im się co parę miesięcy, Berro nakłada ograniczenia na import z Genrii. Najwyższy królewski kapłan przypomina mu o warunkach przymierza, ale zawsze mija kilka tygodni, zanim cofnie te restrykcje.

- A Genrianie? Jak oni to przyjmują?

- Zaciskając zęby. - Dyara uśmiechnęła się. - To naprawdę nie ich wina, że Berro nie ma męskiego potomka. Jak dotąd, dokonali zaskakująco nielicznych działań odwetowych. Każda rodzina z chłopcem bardzo się pilnuje, by nie obrazić bogów. To może dowodzić, że pojęli, iż Guire wybrał Laerna na swego następcę, gdyż był to jedyny książę, który nie próbował zamordować innego. Ktoś jednak stara się, żeby Berro natychmiast usłyszał o narodzinach każdego męskiego potomka Arrinów.

- Wygląda na to, że tego kogoś należałoby znaleźć - stwierdził Juran.

- Owszem. Królewski kapłan zachęca też Berro, by adoptował dziedzica, nawet jeśli byłoby to tylko chwilowe rozwiązanie, dopóki sam nie spłodzi syna. To mogłoby go trochę uspokoić.

Juran pokiwał głową. Spojrzał na Mairae.

- A co z Somreyanami? Mairae skrzywiła się niechętnie.

- Znowu nam odmówili.

- A jaki tym razem mają powód?

- Jakiś szczegół w warunkach traktatu. Jedna osoba z rady zaprotestowała, a pozostałe ją poparły.

- To cud, że ich kraj się nie rozpadł - mruknęła ponuro Dyara. - Ich rada nigdy się w niczym nie zgadza. O co poszło tym razem?

- O warunek, że ich tkacze snów mogą leczyć tylko ich żołnierzy.

- A ta osoba w radzie, która protestowała, jest reprezentantem tkaczy snów?

Mairae przytaknęła.

- Tak. Starsza tkaczy snów Arleej.

Auraya wiedziała, że ta tkaczka snów jest nie tylko członkiem Rady Starszych Somreyu, ale też przywódczynią tkaczy snów.

- Byłam zaskoczona, że inni ją poparli. To drobna sprawa, a radzie zależy na podpisaniu traktatu. Zależy dostatecznie mocno, by przeoczyć coś takiego.

- Wiedzieliśmy, że Somrey będzie trudny - wtrącił Rian. - Nie możemy zadowolić każdego z członków rady. Taka próba oznaczałaby zbyt wiele kompromisów. Uważam, że tutaj powinniśmy pozostać nieugięci.

Juran zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Nie rozumiem. Nie prosiliśmy przecież, żeby zmienili jakiekolwiek swoje zwyczaje. Dlaczego oni nie mogą zrobić dla nas tego samego?

Pozostali wzruszali ramionami albo bezradnie rozkładali ręce. Juran przebiegł wzrokiem wokół stołu, po czym w zadumie zaczął się przyglądać Aurai.

- W dzieciństwie znałaś tkacza snów, Aurayo, prawda?

Jego ton nie był oskarżycielski, a nawet nie sugerował dez-

aprobaty. Wolno pokiwała głową, czując na sobie skupione spojrzenie Dyary.

- Prawdopodobnie lepiej rozumiesz ich obyczaje niż my. Możesz wyjaśnić, dlaczego protestują akurat przeciwko temu warunkowi?

Auraya zerknęła na pozostałych i wyprostowała się.

- Wszyscy tkacze snów składają przysięgę, by leczyć każdego człowieka, który tego chce i potrzebuje.

Juran uniósł brwi.

- Czyli ten warunek traktatu zmusza tkaczy snów do złamania przysięgi. Rada nie chce tego od nich wymagać, więc odmawia podpisu. - Zwrócił się do Dyary. - Czy Auraya ma czas, żeby przeczytać ten proponowany układ?

- Mogę znaleźć dla niej ten czas w rozkładzie zajęć. Juran uśmiechnął się.

- Niecierpliwie czekam na twoje sugestie, Aurayo. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale Juran odwrócił już wzrok.

- Rian. Co z Dunwayem?

- Przymierze trzyma się mocno - odparł Rian z lekkim uśmiechem. - Nie mam nic do zameldowania.

- A Sennon?

- Cesarz nadal rozważa naszą propozycję. Nie wydaje mi się, żeby był o wiele bliższy podjęcia decyzji, niż pięć lat temu.

- Nic dziwnego. - Dyara parsknęła śmiechem. - W Sennonie nic nie dzieje się szybko.

Rian przytaknął.

- Sennon zawsze był trudniejszy w kontaktach niż Somrey. Jaką wartość może mieć dla nas przymierze z krajem, który sam nie może zdecydować, kogo albo co ma czcić?

Juran pokiwał głową.

- Nadal uważam, że najlepiej odłożyć to na później. Może w końcu Sennon się dostosuje, gdy cała Ithania Północna będzie zjednoczona. - Wyprostował się z uśmiechem. - To pozostawia nam do omówienia jeszcze dwa kraje.

Auraya zauważyła, że oczy Mairae błysnęły, natomiast Dyara

wykrzywiła wargi w sceptycznym uśmiechu.

- Si i Borra. - Juran splótł dłonie. - Kilka miesięcy temu wysłałem kurierów do obu tych krajów, by zaprosić je do sojuszu.

Auraya poczuła dreszcz podniecenia. Opowieści o skrzydlatym ludzie z południowych gór i o oddychających w wodzie ludziach z morza zawsze ją fascynowały. Kiedy dorosła, wydawały jej się zbyt fantastyczne, by być prawdziwe, ale zarówno kapłan Avorim, jak Leiard zapewniali ją, że takie ludy naprawdę istnieją, choć ich opisy często bywają przesadzone.

- Będę zdziwiona, jeśli któryś z tych kurierów dotrze do celu - mruknęła posępnie Dyara. Auraya spojrzała na nią z zaskoczeniem. - Nie spodziewam się, że ich zamordują - uspokoiła ją. - Ale do krain Siyee i Elai niełatwo dotrzeć, a oni sami są podejrzliwi i nieufni wobec ludzi.

- Starannie wybrałem swoich posłańców - zapewnił Juran. - Obaj odwiedzali już te kraje albo handlowali z tymi ludami.

Te słowa wywarły na Dyarze wrażenie. Juran uśmiechnął się, po czym ułożył obie ręce na blacie. Spoważniał nagle.

- Nie rozważaliśmy jeszcze trzech krain Ithanii Południowej: Murru, Avvenu i Dekkaru.

- Kraje kultu pentadrian? - spytał z dezaprobatą Rian.

- Tak. - Juran skrzywił się. - Ich obyczaje i zasady etyczne są nie do pogodzenia z naszymi. Bogowie chcą zjednoczenia Ithanii Północnej, nie całej Ithanii. Jednakże, kiedy już tego dokonamy, południowe krainy staną się naszymi sąsiadami. Poleciłem naszym doradcom zbierać informacje na ich temat. Mapy, rysunki, raporty o ich rytuałach i wierzeniach.

- Są jakieś opisy orgii? - zainteresowała się Mairae.

- Mairae! - rzuciła z wyrzutem Dyara. Juran uśmiechnął się lekko, słysząc to pytanie.

- Muszę cię rozczarować, ale zdaje się, że pogłoski o orgiach są mocno przesadzone. Mają rytuały płodności, ale tylko dla małżeństw. Dwie osoby to jednak nie orgia.

Mairae wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej wiem, że niczego nie tracę - mruknęła. Rian przewrócił oczami.

- Myślisz o zostaniu pentadrianką? - zapytał rozbawiony, a potem mówił dalej, nie czekając na odpowiedź: - Powinnaś zatem wiedzieć, że musiałabyś być posłuszna pięciu przywódcom kultu, którzy określają się ślicznym tytułem Głosów Bogów, oraz całej hierarchii ich zwolenników, znanych jako Słudzy Bogów. Musiałabyś wierzyć w ich bogów. Trudno się nie dziwić, że tak potężny kult może wyrosnąć na wierze w nieistniejących bogów. Można by się spodziewać, że będą się obawiać wpływów innych kultów, ale oni naprawdę zachęcają do tolerancji wobec nich.

Mairae skrzywiła się z udanym rozczarowaniem.

- Obawiam się, że bez orgii Ithania Południowa wcale mnie nie pociąga.

- Miło to słyszeć. - Juran się roześmiał. - Nie chcielibyśmy cię stracić. - Urwał na chwilę i westchnął. - A teraz, na końcu, mamy do rozwiązania mroczniejszy problem. Parę tygodni temu otrzymałem ze wschodniego Torenu kilka meldunków o atakach stada vornów. Ale to nie zwyczajne vorny. Są dwa razy większe od normalnie spotykanych zwierząt. Zabijały podróżnych, chłopów, a nawet rodziny kupców. Posłano za nimi kilka grup łowców, jednak żadna nie powróciła. Kobieta, która była świadkiem, jak przed domem zabijają jej męża, twierdzi, że jednej z tych bestii dosiadał człowiek i zdawał się nimi kierować. Z początku myślałem, że się myli. Vorny dobrze polują wspólnie i może się czasem wydawać, że ktoś nimi kieruje. Może wyobraziła sobie w ciemności sylwetkę człowieka? Zresztą w tych atakach nie widać żadnego zrozumiałego celu. Ofiary nie mają ze sobą nic wspólnego, jedynie tyle, że nocą przebywały na dworze. Jednakże inni świadkowie potwierdzili jej opowieść. Niektórzy sądzą, że to człowiek kieruje stadem telepatycznie. Jeśli to prawda, musi być czarownikiem. Wysłałem za nim trzech wiejskich kapłanów, by zbadali sprawę. Jeśli ten człowiek naprawdę okaże się czarownikiem, skontaktuję się z wami telepatycznie, żebyście mogli obserwować starcie. - Juran wyprostował się. - To wszystko, co mam

na dzisiaj. Czy ktoś chciałby poruszyć jeszcze jakąś sprawę?

Mairae pokręciła głową. Kiedy Rian także zaprzeczył, Dyara spojrzała na Aurayę, po czym wzruszyła ramionami.

- Na razie nic.

- W takim razie zamykam to zebranie.

5

Wieża była wyższa niż wszystko, co w życiu widziała. Była tak wysoka, że chmury rozrywały się o nią, przelatując. W umyśle Emerahl walczyły ze sobą przeciwne emocje. Powinna uciekać - lada chwila ją zobaczą. Ale chciała patrzeć. Chciała się przyglądać. Coś ją fascynowało w tej białej iglicy.

Podeszła bliżej. Wieża wyrastała nad nią i zdawała się przechylać. Zbyt późno sobie uświadomiła, że to nie iluzja - pojawiły się szczeliny, zygzakując wzdłuż spojeń wielkich kamiennych bloków, z jakich wzniesiono tę budowlę. Zaczęła się walić.

Emerahl odwróciła się i próbowała uciekać, ale powietrze było gęste jak syrop, a nogi zbyt słabe, by się przez nie przeciskać. Widziała wydłużający się przed nią cień wieży. Rósł, a ona myślała, czemu nie miała dość rozsądku, by biec w bok, dalej od tego cienia.

A potem świat eksplodował.

Wszystko nagle stało się ciemne i ciche. Nie mogła oddychać. Jakieś głosy wykrzykiwały jej imię, ale brakowało jej tchu, by odpowiedzieć. Z wolna nadciągała chłodna ciemność.

- Czarownico!

Głos wołającego był mroczny od gniewu, ale jednak stanowił szansę na ratunek.

- Wyłaź, ty wścibska stara wiedźmo!

Emerahł ocknęła się ze snu i otworzyła oczy. Wklęsła wewnętrzna ściana latarni znikała ponad nią w mroku. Słyszała zbliżające się kroki i pomruki głosów od strony otworu w murze, gdzie w przeszłości znajdowały się podwójne rzeźbione wrota. Na zewnątrz stała jakaś postać o szerokich ramionach.

- Wyłaź, bo sami cię wyciągniemy.

Głos rozbrzmiewał gniewem i groźbą, ale też nutką lęku. Niechętnie otrząsnęła się z pozostałości koszmaru - wolałaby mieć więcej czasu, by móc go przeanalizować, nim zatrą się szczegóły - i wstała.

- Kim jesteś? - spytała.

- Jestem Erine, wójt Corelu. Wyjdź zaraz, bo poślę po ciebie swoich ludzi.

Emerahl podeszła do otworu. Na zewnątrz czekało ich czternastu - niektórzy spoglądali w górę, na latarnię, inni oglądali się za siebie, a pozostali obserwowali przywódcę. Wszyscy mieli groźne miny i ściskali jakąś prymitywną broń. Najwyraźniej żaden jej nie widział, gdyż stali w jasnym blasku świtu, a ona kryła się w cieniach latarni.

- Więc tak nazywacie dzisiaj ten krąg ruder - stwierdziła, stając w progu. - Corel. Piękna nazwa dla osady założonej przez przemytników.

Mężczyzna o szerokich barach niemal wyszczerzył zęby ze złości.

- Corel jest naszym domem! Lepiej okaż mu trochę szacunku, bo...

- Szacunku? - Spojrzała na niego groźnie. - Przychodzicie tu z krzykiem, rzucacie rozkazy i groźby, a ty oczekujesz, że okażę wam szacunek? - Postąpiła o krok. - Wracajcie do waszej wsi, ludzie z Corelu. Nic dziś ode mnie nie dostaniecie.

- Nie chcemy twoich trucizn ani sztuczek, czarownico. - Oczy Erinea błysnęły. - Chcemy sprawiedliwości. O jeden raz za dużo wtrącałaś się w nasze życie. Już więcej nie będziesz zmieniać kobiet z naszej wioski w czarownicze suki. Wypędzamy cię.

Patrzyła na niego zdumiona, a po chwili zaczęła się uśmiechać.

- A więc to ty jesteś ojcem...

Zmienił się na twarzy. Na moment pojawił się strach, potem wściekłość.

- Tak. Zabiłbym cię za to, co zrobiłaś mojej małej Rinnie, ale inni uważają, że to przynosi pecha.

- Nie, po prostu nie sądzą, że stracili tyle, co ty - odparła. - Oni tylko próbowali szczęścia z Rinnie, bo wiedzieli, że im na to pozwolisz. Ale ty... - Zmrużyła oczy. - Ty wykorzystywałeś ją od lat i teraz nie możesz jej tknąć. A tak lubisz stawiać na swoim... To, że nie możesz jej już mieć, doprowadza cię do szału.

Poczerwieniał.

- Zamknij pysk! - warknął. - Bo jak nie...

- Twoja własna córka - rzuciła mu w twarz. - Przychodzisz tu i mówisz o niej „moja mała Rinnie", jakby była niewinnym dzieckiem, które kochasz i ochraniasz. Przestała być niewinnym dzieckiem za pierwszym razem, kiedy zrozumiała, że własny ojciec jest człowiekiem, który może ją skrzywdzić najbardziej.

Pozostali zerkali niepewnie na przywódcę. Emerahl nie była pewna, czy ich zakłopotanie bierze się z tego, o co oskarżyła ojca Rinnie, czy może stąd, że wiedzieli, co robi swej córce, ale go nie powstrzymali. Erine, czując ich spojrzenia, opanował się z wysiłkiem.

- Ona ci to powiedziała, głupia starucho? Od lat wymyśla takie historie. Zawsze szuka...

- Nie, nie powiedziała - przerwała mu Emerahl. Postukała się w skroń. - Potrafię zobaczyć prawdę, nawet jeśli ludzie tego nie chcą.

Kłamała oczywiście; nie zajrzała w umysł tej dziewczyny. Jej zdolność czytania myśli nie była już taka jak dawniej. Wszystkie Dary trzeba ćwiczyć, a ona już zbyt długo żyła w samotności.

Ale jej słowa wywołały pożądany skutek. Pozostali mężczyźni wymienili spojrzenia, niektórzy obserwowali Erine'a spod zmrużonych powiek.

- Nie chcemy więcej twoich kłamstw ani twoich przeklętych czarów - warknął Erine. Postąpił o krok naprzód. - Nakazuję ci stąd odejść.

Emerahl skrzyżowała ręce na piersi i uśmiechnęła się. - Nie.

- Jestem wójtem Corelu i...

- Corel jest tam, w dole. - Wyciągnęła rękę. - Mieszkałam tu, zanim jeszcze ojcowie waszych dziadów zbudowali swój pierwszy szałas. Nie masz nade mną władzy.

Erine zaśmiał się.

- Jesteś stara, ale nie aż tak stara. - Obejrzał się na towarzyszy. - Widzicie, jak ona kłamie? - Znowu zwrócił się do niej. - Wioska nie chce, żeby cię krzywdzić. Chcą dać ci szansę, żebyś spakowała się i

odeszła w pokoju. Jeśli nadal tu będziesz, kiedy przyjdziemy za parę dni, nie spodziewaj się po nas uprzejmości.

Co powiedziawszy, odwrócił się i odszedł, skinąwszy ręką na pozostałych. Emerahl westchnęła. Wrócą tu, a ja będę musiała dać im tę samą lekcję, jakiej udzieliłam ich pradziadom. Przez pewien czas będą się dąsać i spróbują mnie zagłodzić. Będzie mi brakować jarzyn i chleba, i znowu będę musiała łowić ryby, ale z czasem zapomną i znów przyjdą po pomoc.

Sześciu mężczyzn czekało przed zajazdem Na Brzegu Lasu: trzech kapłanów i trzech miejscowych. Niebieskie brzegi kapłańskich cyrkli wydawały się czarne w słabym świetle. Pozostali mieli na sobie proste ubrania wieśniaków i nieśli pakunki.

Adem poruszył ramionami, by wygodniej ułożyć ciężar ekwipunku, po czym wyszedł na drogę. Za sobą słyszał uspokajające kroki innych łowców vornów. Jeden, a potem wszyscy kapłani i ich towarzysze zwrócili się w stronę nowo przybyłych. Uśmiechnął się, widząc, że z wyraźnym obrzydzeniem przyglądają się jego ubraniu. Łowcy nie zabierali wiele, zwłaszcza do lasu. Mogli nosić jedną zmianę odzieży, by przebrać się po całodziennych łowach, ale i ona szybko brudziła się ziemią i krwią.

W tym fachu czyste ubranie wyróżniało nieudanych łowców. Adem niechętnie zmierzył wzrokiem nieskazitelnie białe cyrkle swoich pracodawców. Zapewne brudne okrycie u kapłana nie wyglądałoby dobrze. Utrzymywanie go w czystości musi być trudne.

- Nazywam się Adem Tailer - oznajmił. - A to mój zespół. Nie tracił czasu na przedstawianie swoich ludzi. Kapłani i tak nie zapamiętają listy imion.

- Jestem kapłan Hakan - odparł najwyższy z trójki. - A to kapłan Barew i kapłan Poer. - Wskazał siwowłosego kapłana, po nim nieco korpulentnego, na końcu zaś trójkę miejscowych. - A to nasi tragarze.

Adem wykonał szybki, jednoręczny znak kręgu przed kapłanami i uprzejmie skinął głową tragarzom. Wyglądali na przestraszonych. I słusznie.

- Dziękujemy, że ofiarowałaś nam swoje usługi - dodał Hakan.

Adem zaśmiał się krótko.

- Ofiarowałem? Nic nie ofiarowujemy, kapłanie. Chcemy skór. Z tego, co słyszałem, te vorny są wielkie i czarne. Za takie futra dostaniemy wysoką cenę.

Kąciki ust Hakana uniosły się lekko, ale jego towarzysze skrzywili się z niesmakiem.

- Na pewno dostaniecie - rzekł. - A teraz, jak radzisz nam postąpić?

- Poszukamy śladów w miejscu, w którym zdarzył się ostatni atak.

Hakan skinął głową.

- Zaprowadzimy was tam.

Twarze pojawiały się w oknach, kiedy szli przez wioskę. Jakieś głosy wołały za nimi, życząc szczęścia. Kobieta wybiegła z drzwi, niosąc tacę zastawioną małymi kubkami, każdy wypełniony był po brzegi tipli, miejscowym alkoholem. Łowcy wypili z wdzięcznością, a tragarze wychylili swoje porcje z wiele mówiącym pośpiechem. Kapłani wysączyli po trochu i oddali prawie pełne kubki.

Wkrótce opuścili wieś. Z obu stron naparły ciemne sylwetki drzew. Krępy kapłan uniósł rękę i wszystkich oślepił jaskrawy blask.

- Żadnego światła - upomniał Adem. - Wystraszycie je, jeśli są blisko. Niedługo wzejdzie księżyc. Da nam dość światła, kiedy tylko oczy się przyzwyczają.

Kapłan zerknął na Hakana, który skinął głową. Światło zgasło, pozostawiając ich w ciemności; potykali się przez chwilę, dopóki wzrok się nie przystosował. Czas płynął wolno, odmierzany tupaniem butów. A kiedy księżyc wysunął się ponad szczyty drzew, Hakan przystanął.

- Ten zapach... Musimy być na miejscu - stwierdził. Adem obejrzał się na krępego kapłana.

- Możesz zrobić delikatne światło?

Hakan przytaknął. Nad jego wyciągniętą dłonią pojawiła się maleńka iskierka. Adem zobaczył przed sobą resztki plattenu.

Podeszli do wózka, przechylonego na bok i opartego na złamanym kole. Fetor się nasilał, a jego źródłem okazał się trup arema, częściowo pożarty przez vorny.

Ślady pokrywały cały teren - odciski wielkich łap sprawiły, że Ademowi szybciej zabiło serce. Próbował oszacować liczbę zwierząt. Dziesięć? Piętnaście? Ślady zbiegały się na kawałku całkiem zdeptanej ziemi. Tam przecinały je świeższe odciski ludzkich stóp. Adem zauważył coś błyszczącego, schylił się i podniósł kawałek złotego łańcucha. Metal pokrywała zaskorupiała substancja, pewnie wyschnięta krew.

- Tutaj znaleźli kupca - mruknął Hakan. - A raczej to, co z niego zostało.

Adem schował łańcuch do kieszeni.

- No dobra. Obejdźcie teren dookoła i poszukajcie wychodzących śladów.

Nie trwało to długo. Już wkrótce Adem prowadził kapłanów w las, podążając za tropem, który był tak wyraźny, jakby te wielkie odciski łap jarzyły się w ciemności. Oceniał, że stado wyprzedzało ich mniej więcej o dzień. Miał nadzieję, że kapłani przygotowani są do długiej wyprawy. Nie zarządził postoju, dopóki księżyc nie znalazł się wprost nad ich głowami, a i wtedy pozwolił wypoczywać zaledwie kilka minut.

Po paru godzinach dotarli do niewielkiej polanki. Całą pokrywały ślady vornów - i człowieka. Odciski jednej pary butów znaczyły leśne poszycie. A przecież od miejsca ataku nie widzieli ludzkich tropów... Towarzysze Adema rozbiegli się po lesie.

- Wygląda, jakby zatrzymały się tutaj zeszłej nocy - mruknął.

- Odeszły tędy - zawołał któryś niegłośno.

- Czy prowadzą stąd jakieś ludzkie ślady? - spytał Adem. Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Nie.

- To dowód, że jeździ na jednym ze zwierząt - stwierdził Hakan.

Adem stanął obok kapłana.

- Nie myślałem, że to możliwe. Ale chyba są dostatecznie duże.

Sądzę...

- Wartownik! - syknął któryś z ludzi.

Łowcy znieruchomieli. Adem rozglądał się uważnie, wpatrywał między drzewa i nasłuchiwał.

- Wartownik? - zdziwił się Hakan.

- Czasami stado zostawia za sobą jedno zwierzę, żeby czekało i uważało, czy nikt ich nie tropi.

Kapłan spojrzał na łowcę w zdumieniu.

- Są aż tak sprytne?

- Lepiej w to uwierz, kapłanie.

Cichy odgłos przyciągnął jego uwagę na prawą stronę polany. Usłyszał, jak ktoś z jego ludzi syknął z irytacją, kiedy także zobaczył oddalający się cień. Wielki cień.

Adem zaklął.

- Co się stało? - spytał Hakan.

- Stado wie, że nadchodzimy. Wątpię, czy teraz zdołamy je dogonić.

- To zależy - wymruczał kapłan.

- Tak? - Adem nie potrafił ukryć sceptycyzmu. Co ci kapłani wiedzą o vornach?

- Czy ten jeździec je spowolni. Albo zechce, żebyśmy go dogonili.

Miał rację. Adem burknął coś niewyraźnie na znak zgody.

- Ruszajmy dalej - rzekł Hakan.

Przez następne kilka godzin sunęli przez las, podążając tropem mającym teraz jakieś pół dnia. Ciemność zgęstniała, a noc osiągnęła ten moment tuż przed świtem, kiedy wszystko jest nieruchome i zimne. Kapłani ziewali. Tragarze maszerowali za nimi, zbyt już zmęczeni, by się bać. Łowcy Adema szli z wyraźnym brakiem entuzjazmu. Musiał się z nimi zgodzić. Szanse na doścignięcie stada były raczej znikome.

I nagle ludzki krzyk rozdarł ciszę. Adem usłyszał kilka przekleństw i zdjął z ramienia łuk. Krzyk rozległ się blisko - może któryś z tropicieli...

Las wypełnił się skaczącymi cieniami i kłapiącymi zębami.

- Światło! - krzyknął Adem. - Kapłanie! Światło! Kolejne wrzaski, krzyki grozy i cierpienia. Adem usłyszał ciche stąpanie, obejrzał się i zobaczył skaczący na siebie cień.

Nie było czasu, by założyć strzałę. Złapał nóż, uchylił się, przetoczył i pchnął w górę. Ostrze trafiło i coś wyrwało mu broń z ręki. Zabrzmiał nieludzki, urywany skowyt bólu i odgłos czegoś ciężkiego, co upadło niedaleko.

Wreszcie światło zalało las. Adem odkrył, że patrzy w żółte ślepia największego vorna, jakiego widział w życiu. Kątem oka dostrzegał białe postacie, ale nie śmiał odwrócić wzroku od bestii, by spojrzeć w tamtą stronę. Vorn zaskomlał, podnosząc się z ziemi. Krew kapała ze splątanej sierści na jego brzuchu. Adem ocenił swoje szanse: zwierz był blisko, ale cierpiał, być może też osłabł z upływu krwi. Nie warto uciekać - nawet poranione, te stworzenia mogły dopaść człowieka w dziesięciu krokach. Po omacku sięgnął po strzałę.

Vorn ruszył ku niemu, z różowym jęzorem zwisającym z paszczy. Paszczy dość dużej, by pomieścić ludzką głowę - Adem nie mógł tego nie zauważyć. Założył strzałę na cięciwę, wymierzył między ślepia bestii i wypuścił.

Strzała odbiła się od czaszki vorna.

Łowca wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem. Zaskoczony vorn odskoczył do tyłu.

- Gdzie jesteś, czarowniku? - zawołał Hakan. - Pokaż się! Czarownik? zdziwił się Adem. Magia? Vorny są chronione magią? To nieuczciwe!

- Ty mi nie rozkazujesz, kapłanie - odpowiedział jakiś głos z dziwnym akcentem.

Vorn znowu zaskomlał, upadł na ziemię i przewrócił się na bok. Adem zobaczył wbity w brzuch swój nóż. Uznał, że może zaryzykować odwrócenie wzroku.

Kapłani, łowcy i tragarze stali ciasną grupą pod iskrą światła. Otaczały ich vorny.

Starszy kapłan przykucnął przy tym drugim. Hakan stał wyprostowany i wpatrywał się w las. Adem zobaczył, że w krąg światła wkroczył jakiś obcy. Cudzoziemiec, pomyślał. Nie widziałem jeszcze takiej rasy. Długie, jasne włosy spływały na czarny, wielowarstwowy ubiór. Na piersi nosił duży, srebrny wisior w kształcie pięcioramiennej gwiazdy.

- Zabiłeś niewinnych ludzi, czarowniku - oskarżył go Hakan. - Poddaj się i przyjmij sprawiedliwość bogów.

Czarownik zaśmiał się głośno.

- Nie odpowiadam przed wasi bogowie.

- Odpowiesz - zapewnił Hakan.

Jasne iskry wystrzeliły od kapłana w stronę cudzoziemca. Ale zanim dotarły do celu, rozproszyły się na boki, trafiając w drzewa i zrywając korę z pni. Adem zaczął się wycofywać. Nierozsądnie jest stać za blisko magicznego starcia. Ale wtedy zawarczał ranny vorn, przypominając mu o innych, stojących dookoła. Zatrzymał się, niepewny, czy lepiej spróbować swoich szans ze stadem bestii, czy pozostać w pobliżu walki na czary.

- Twoja magia słaba, kapłanie - oświadczył cudzoziemiec. Powietrze zafalowało, a Hakan zatoczył się do tyłu i wzniósł ręce. Adem zauważył w powietrzu lekkie migotanie, tworzące łuk wokół kapłana i jego ludzi.

Hakan nie odpowiedział na atak. Wydawało się, że wszystkie swe siły koncentruje na osłanianiu oddziału.

Jeden z tropicieli, stojący przy kapłanach, odwrócił się i rzucił do ucieczki. Zdążył zrobić dwa kroki, nim krzyknął i upadł na ziemię. Adem patrzył ze zgrozą na jego nogi - poskręcane pod dziwnymi kątami, z krwią przesiąkającą przez spodnie.

Zaschło mu w ustach. Jeśli czarownik z ludźmi poza osłoną robi takie rzeczy, to lepiej jednak zostać tu i mieć nadzieję, że go nie zauważy.

Powoli przykucnął za krzakiem, skąd mógł obserwować walkę. Łuk wokół kapłanów i łowców rozszerzył się i utworzył sferę, obejmującą wszystkich. Obcy czarownik zaśmiał się cicho, a ten głos

wzbudził dreszcze na karku Adema.

- Poddaj się, kapłanie. Nie zwyciężyć.

Wyciągnął rękę i zgiął palce, jakby ściskał coś przed sobą.

- Nigdy! - wydyszał Hakan.

Czarownik potrząsnął ręką. Adem zmartwiał, kiedy coś szarpnęło sferą, a ludzie w jej wnętrzu zachwiali się i padli na kolana. Hakan chwycił się za głowę i krzyknął głośno. Starszy kapłan doskoczył do niego i podtrzymał go za ramię. Adem zobaczył, że twarz Hakana uspokaja się trochę, i usłyszał jęk drugiego kapłana. Równocześnie sfera zamigotała.

Hakan osunął się. Adem wytężył wzrok i serce w nim zamarło, kiedy zobaczył poruszające się wargi starszego kapłana. Pochwycił strzępy modlitwy i wyczuł w słowach rozpacz.

Ten kapłan wierzy, że tutaj zginiemy.

Muszę się stąd wydostać.

Wstając, Adem cofnął się o kilka kroków, dalej od bitwy.

- To twój wybór - rzekł czarownik.

Adem obejrzał się akurat na czas, by zobaczyć, jak wyciągnięta dłoń obcego zamyka się, a potem zaciska w pięść. Krzyk starszego kapłana zabrzmiał krótko i urwał się nagle. Zgasło światło i zapadła martwa cisza.

Oczy Adema powoli przystosowały się do słabego brzasku przedświtu. Wpatrywał się w cichą polankę, gdzie niedawno stali kapłani i łowcy. Nie potrafił się zmusić, by odwrócić spojrzenie od krwawego stosu połamanych kończyn, broni, pakunków i kapłańskich cyrkli - nawet kiedy żołądek wypchnął całą zawartość na ziemię.

W pobliżu zaskomlało zwierzę. Głos łagodnym tonem wymówił jakieś obce słowa. Adem patrzył, jak vorny zbiegają się do czarownika, czekając na pieszczoty. I wtedy ranny vorn zaskomlał jeszcze raz, czarownik uniósł głowę i spojrzał prosto w oczy łowcy.

Choć wiedział, że nie ma nadziei, Adem ruszył biegiem.

Auraya weszła do pokoju Jurana i napotkała wzrok pozostałych Białych. Juran zbudził ją chwilę wcześniej, by mogła połączyć umysł

z kapłanami walczącymi z czarownikiem. Wyczuwała tam umysły Białych i odebrała ich zaskoczenie oraz niepokój.

- Przykro mi, Aurayo - odezwał się Juran. - Gdybym wiedział, że to starcie tak źle się zakończy, nie budziłbym cię.

Pokręciła głową.

- Nie przepraszaj. Nie mogłeś wiedzieć, co nastąpi, a dla mnie nie jest niczym dziwnym, że na świecie zdarzają się rzeczy straszne. Jednak wdzięczna ci jestem za troskę.

Wskazał jej krzesło.

- Co za strata - mruknął. Zaczął krążyć po pokoju. - Nie powinienem był ich tam posyłać. Powinienem sam zbadać tę sprawę.

- Skąd miałeś wiedzieć, że czarownik jest tak potężny? - odpowiedziała mu Dyara. - Przestań sam siebie oskarżać i usiądź.

Auraya zerknęła na Dyarę z rozbawieniem, mimo powagi sytuacji. Zabawnie brzmiał ten surowy ton. Ale przywódcy Białych chyba to nie przeszkadzało. Usiadł na krześle i westchnął ciężko.

- Kim jest ten czarownik? - zapytał Rian.

- To pentadrianin - wyjaśniła Mairae. - W raporcie jest szkic jego wisiora w kształcie gwiazdy. Noszą je Słudzy Bogów.

- Potężny kapłan czarownik - dodała Dyara. Juran wolno pokiwał głową.

- Masz rację. Po co się tutaj zjawił?

- Raczej nie po to, żeby zaproponować traktat handlowy - mruknęła Mairae.

- Nie - zgodziła się Dyara. - Musimy się zastanowić, czy został do nas przysłany, czy też działa na własną rękę. Tak czy tak, musimy się z nim zmierzyć, a nie możemy ryzykować posłania do walki wysokiego kapłana.

Rian przytaknął.

- Ktoś z nas musi wyruszyć - stwierdził.

- Tak. - Juran kolejno przyjrzał się Białym. - Ktokolwiek pójdzie, będzie nieobecny przez kilka tygodni. Auraya nie zakończyła jeszcze swojego szkolenia. Mairae jest zajęta Somreyanami, Dyara szkoli Aurayę. Sam bym się tym zajął, ale... - Zwrócił się do Riana. - Nie

walczyłeś jeszcze z czarownikiem. Masz czas?

Rian uśmiechnął się posępnie.

- Oczywiście, że nie, ale jakoś znajdę. Świat musi się pozbyć tego pentadrianina i jego vornów.

Juran skinął mu głową.

- Weź jednego Nosiciela i ruszaj.

Rian wyprostował się. Oczy mu zalśniły. A kiedy wstał i wyszedł z pokoju, Auraya poczuła chwilowe, złośliwe współczucie dla pentadriańskiego czarownika. Z tego, co dotąd zaobserwowała, wszystkie pogłoski o bezlitosnym fanatyzmie Riana - prócz tych najmroczniejszych - były prawdą.

6

- Co myślisz o tkaczach snów, Danjinie Spearze?

Danjin spojrzał na Aurayę ze zdziwieniem. Siedział naprzeciwko niej przy długim stole w jej pokoju przyjęć i pomagał w studiowaniu warunków przymierza z Somreyem.

Auraya spokojnie patrzyła mu w oczy. Przypomniał sobie dzień, kiedy dotarła wieść o śmierci jej matki. Na jej prośbę odszukał w mieście człowieka, który dostarczył wiadomość do Świątyni. Ku jego zdumieniu, okazał się on tkaczem snów.

Później jeszcze bardziej zdziwił się, gdy usłyszał, że Auraya w przebraniu odwiedziła tego człowieka. Nie był pewien, co wzbudziło większy niepokój - że jedna z Białych składa towarzyską wizytę tkaczowi snów, czy że próbuje to zrobić potajemnie - a zatem jest świadoma, iż podejmuje się czegoś, co może być uznane za nierozważne albo niewłaściwe.

Oczywiście, odczytywała to wszystko z jego myśli. Musiała też wiedzieć, że zbadał jej przeszłość i dowiedział się o dziecięcej przyjaźni z tkaczem snów Leiardem oraz o tym, że znana była wśród kapłanów ze swej sympatii dla pogan. Badając jego myśli, odkryła też, że jej drugie spotkanie z tkaczem snów zostało zauważone i że słyszał, jak ludzie - wewnątrz i na zewnątrz Świątyni - o tym plotkują. Musiała też spostrzec, że on sam nie szanuje i nie lubi tkaczy snów.

Przez tygodnie, które minęły od znalezienia Leiarda, w ogóle nie rozmawiała z nim o tkaczach snów. Teraz, kiedy pracowali nad traktatem z Somreyanami, nie mogli dłużej omijać tego tematu. Musiał być uczciwy. Nie warto udawać, że się z nią zgadza.

- Obawiam się, że niezbyt dobrze o nich myślę - przyznał. - W najlepszym razie są żałośni, w najgorszym niewiarygodni.

Uniosła brwi.

- Czemu żałośni?

- Chyba (dlatego że są tak nieliczni i tak pogardzani. I błądzą.

Nie służą bogom, więc ich dusze umierają razem z ciałami.

- Dlaczego niewiarygodni?

- Ich Dairy... niektóre... pozwalają majstrować w ludzkich umysłach. - Zawahał się, gdy zauważył, że powtarza to, co zawsze mówił jego ojciec. Czy to naprawdę jego własne opinie? - Mogą na przykład dręczyć swoich nieprzyjaciół koszmarami.

Uśmiechnęła się blado.

- A czy słyszałeś kiedyś, by jakiś tkacz snów to robił? Zawahał się znowu.

- Nie - przyznał. - Ale są teraz tak nieliczni... Nie sądzę, żeby się odważyli.

Auraya uśmiechnęła się szerzej.

- Słyszałeś kiedyś, by tkacz snów postąpił w taki sposób, że mógł zyskać sobie miano „niewiarygodnego”?

Przytaknął.

- Kilka lat temu tkaczka snów otruła swojego pacjenta. Uśmiech znikł i Auraya odwróciła głowę.

- Tak, badałam tę sprawę. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Jako element swojego szkolenia?

- Nie - zaprzeczyła. - Zawsze interesowały mnie przestępstwa związane z tkaczami snów.

- I co... co odkryłaś?

- Że tkaczka snów była winna. - Auraya skrzywiła się. - Przyznała się, ale chciałam mieć pewność, że nie została do tego zmuszona szantażem albo torturami. Szukałam wskazówek w reakcji innych tkaczy snów. Odwrócili się od niej. Uznałam, że to najbardziej przekonujący dowód jej winy.

- Przecież mogli się od niej odwrócić, by chronić siebie - zauważył zaintrygowany Danjin.

- Nie. Myślę, że tkacze snów wiedzą, kiedy któryś z nich winien jest zbrodni. Jeśli ktoś zostaje oskarżony fałszywie, a w niektórych procesach było to boleśnie oczywiste, bronią go, jak potrafią. Oskarżony zachowuje spokój, nawet kiedy wie, że czeka go egzekucja. Ale jeżeli oskarżony jest winny, w jego obronie nie pada

ani jedno słowo. Ta kobieta była obłąkana. - Auraya wolno pokręciła głową. - I rozgniewana. Wściekała się na swój własny lud.

- Słyszałem, że prosiła o garpę, by nie zasypiać. - Danjin zadrżał. - Jeśli skłonni byli dręczyć kogoś ze swoich, co mogą zrobić nieprzyjaciołom?

- Dlaczego sądzisz, że ją dręczyli? Może chciała uniknąć własnych snów.

- Była tkaczką snów. Z pewnością panowała nad własnymi snami.

- I znowu możesz tylko podejrzewać. - Auraya ponownie się uśmiechnęła. - Uważasz ich za niewiarygodnych, ponieważ mają możliwość krzywdzenia innych. Ale to, że mogą, nie oznacza jeszcze, że to robią. Mogłabym jedną myślą zdmuchnąć twoje życie, a jednak ufasz, że tego nie zrobię.

Patrzył na nią trochę wzburzony jej lekceważącym wspomnieniem o danej przez bogów mocy. Wytrzymała jego spojrzenie. Spuścił wzrok.

- Wiem, że byś tego nie zrobiła.

- Więc może powinieneś powstrzymać się z osądzaniem każdego tkacza snów, dopóki nie poznasz go osobiście.

Skinął głową.

- Masz rację, oczywiście. Ale nie mogę ufać im bardziej niż komuś całkiem obcemu.

Parsknęła.

- Ja też nie. Nawet tym, których znam, gdyż często ludzie, o których myślałam, że znam ich dobrze, demonstrowali podłość i bezduszność, do jakich nie sądziłam, że są zdolni. - Spojrzała na rozwinięty przed sobą pergamin. - Cenię twoje opinie, Danjinie, nawet jeśli się z nimi nie zgadzam. Czuję się samotna w moim poglądzie na tę sprawę. Nie jestem tkaczem snów. Okazuje się, że moje rozumienie ich stylu życia jest ograniczone. Ale nie jestem też typową cyrklianką, która w najlepszym razie im nie ufa, a w najgorszym aktywnie prześladuje. Muszę zrozumieć wszystkie punkty widzenia, jeśli mam podpowiedzieć Mairae, jak przekonać

Somreyan do zawarcia z nami przymierza.

Danjin zauważył pionową zmarszczkę, jaka pojawiła się między jej brwiami. Kiedy zaproponowano mu tę pracę, Dyara zapewniała, że podczas pierwszego roku wśród Białych Auraya nie otrzyma żadnych trudnych zadań. Chyba jednak nie udało się dotrzymać obietnicy.

Ale jej wiedza o tkaczach snów sprawiała, że najlepiej z Białych nadawała się do tego zadania. Może dlatego właśnie Biali pozwalali, by do powszechnej wiadomości trafiła informacja o tym, że najmłodsza wśród nich jest tolerancyjna, a może nawet popiera pogan. Jaki skutek może to mieć w przyszłości? Wprawdzie prawo głosiło, że korzystanie z usług tkaczy snów jest przestępstwem, ale tak wielu je ignorowało, że tylko nieliczni byli karani. Czy tolerancja Aurai wobec tkaczy snów zachęci jeszcze więcej ludzi do łamania prawa?

Kapłanka nie mówiła już o tym. Wróciła do proponowanego przymierza.

- Przeciwko którym punktom Somreyanie protestowali na początku?

Danjin przewidział to pytanie. Przysunął sobie woskową tabliczkę i wyrecytował długą listę zmian traktatu. Trzecia część spisu, ta końcowa, dotyczyła wyłącznie spraw tkaczy snów.

- To nie są nowe warunki, prawda? Pakt zawierał je przez cały czas?

- Tak.

- Dlaczego Somreyanie nie zgłaszali zastrzeżeń od początku?

- Kiedy ważniejsze kwestie zostają wyjaśnione, te mniej ważne są bardziej widoczne. Tak przynajmniej mówią.

- A oni zauważali je po jednej? - W jej głosie brzmiał wyraźny sceptycyzm.

Danjin parsknął śmiechem.

- Za każdym razem, kiedy rozwiązujemy jedną sprawę, zaczynają zgłaszać pretensje do następnej.

- Próbują zyskać na czasie? Czy widzisz jakikolwiek powód, by

Rada Starszych odkładała podpisanie paktu? Czy może tkacze snów chcą opóźnić albo powstrzymać przymierze?

- Nie wiem. Mairae jest chyba przekonana, że większość w radzie chce tego przymierza.

Auraya zabębniła palcami po stole.

- Więc albo są niezadowoleni z tych drobnych kwestii, a zgłaszają je kolejno, by w cieniu pozostałych żadna nie została potraktowana z mniejszą uwagą, albo rzeczywiście chcą nam przeszkodzić. Cierpliwość doprowadzi do sukcesu w przypadku pierwszej możliwości. W przypadku drugiej...

- W przypadku drugiej nic nie pomoże. Nic oprócz bezpośredniej ingerencji w politykę Somreyu.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli posuwać się tak daleko. Musimy tylko ograniczyć wpływy Starszej tkaczy snów.

Danjin spojrzał na nią zaskoczony. Nie takiej opinii spodziewał się od sympatyka tkaczy snów. - Jak?

- Przekazując część jej wpływów innemu tkaczowi.

- W radzie może zasiadać jeden reprezentant każdej religii. Jak możesz to zmienić bez interwencji w somreyańską politykę?

- Nie chcę wprowadzać do rady dwóch tkaczy snów, Danjinie. Chodzi mi o całkiem osobne stanowisko.

- Wybrane przez kogo?

- Przez Białych.

- Somreyanie się na to nie zgodzą.

- Nie będą mieli wyboru. To nie będzie miało z nimi nic wspólnego.

Danjin zmrużył oczy.

- No dobrze. Zainteresowałaś mnie. Po prostu opowiedz o swoim pomyśle.

Zachichotała.

- Biali najwyraźniej potrzebują doradcy w sprawach tkaczy snów.

- I ten doradca będzie tkaczem snów?

- Oczywiście. Somreyańscy tkacze nigdy by nie posłuchali cyrklianina, który objąłby takie stanowisko.

Danjin wolno kiwał głową, rozważając zalety takiego rozwiązania.

- Rozumiem. Przede wszystkim ułagodzimy tkaczy snów. Zatrudniając jednego z nich jako doradcę, Biali przyznają, że tkacze mają pewną wartość. Doradca zajmuje się bezpośrednimi dyskusjami o warunkach przymierza, a więc wobec jednego ze swoich Starsza zmuszona będzie negocjować rozsądnie, a nie emocjonalnie.

- Ponadto nasz doradca może proponować, w jaki sposób zmienić warunki, by zredukować liczbę protestów, a tym samym przyspieszyć cały proces - dodała Auraya.

Jakie są więc wady, zapytał sam siebie Danjin. Jakie słabe strony ma taki plan?

- Będziesz musiała dopilnować, by cele tego doradcy nie były sprzeczne z twoimi - ostrzegł. - On czy ona może proponować takie zmiany w traktacie, które okażą się dobroczynne dla ich ludu, a dla nas wywołają złe skutki.

- Ten ktoś musiałby być tak nieświadomy tych skutków jak ja - odparła Auraya, pukając palcem w skroń. - Na świecie jest tylko czworo ludzi, którzy mogą mnie okłamać.

Dreszcz podniecenia przeszył Danjina, kiedy usłyszał to stwierdzenie. A zatem Biali nie umieją czytać nawzajem swoich myśli... Zawsze to podejrzewał.

- Oczywiście jest możliwe, że żaden tkacz snów nie zgodzi się z nami pracować - rzekł.

Uśmiechnęła się.

- Myślisz o którymś konkretnym? Już pytając, znał odpowiedź.

- Oczywiście. To naturalne, że chciałabym pracować z kimś, komu mogę ufać. Czy jest zatem ktoś lepszy od tkacza snów, którego znam osobiście?

Kiedy platten poturkotał dalej, Auraya rozejrzała się z ciekawością. Stały z Dyarą na rozległym, płaskim terenie, pomiędzy rzędami zadbanych drzew. Wysoka trawa kołysała się na wietrze. W oddali kapłan i kapłanka galopowali wokół na dużych reynach. Oboje wydawali się znajomi.

- Czy to...?

- Juran i Mairae - odparła Dyara. - Ostatni dzień miesiąca nazywamy Dniem Szkolenia, ponieważ wtedy właśnie pracujemy z Nosicielami. Kiedy już ustanowisz z którymś połączenie, musisz je podtrzymywać.

- Czy właśnie to mam dzisiaj robić? Dyara pokręciła głową.

- Nie. Kiedyś będziesz musiała nauczyć się jazdy, ale nie jest to pilne. Ważniejsze jest nauczenie się, jak korzystać z nowych Darów.

W oddali dwa reyny zakręciły się w skomplikowanym manewrze; ich nogi poruszały się w równym rytmie. Auraya nie wyobrażała sobie, jak mogłaby się utrzymać na grzbiecie zwierzęcia, które skręca się w taki sposób. Miała nadzieję, że nie nazbyt demonstracyjnie okazała ulgę na wieść, że dzisiaj jej stopy pozostaną na ziemi.

- Tarcza, której nauczyłam cię ostatnio, zatrzyma większość ataków - powiedziała Dyara, przybierając dobrze już znany ton wykładowcy. - Odbije pociski, płomień i moc, ale nie zatrzyma błyskawicy. Na szczęście, błyskawicę w naturalny sposób przyciąga ziemia. Podąży więc ku niej najłatwiejszą trasą: przez ciebie. Aby do tego nie dopuścić, musisz dostarczyć jej innej trasy. I musisz to zrobić szybko.

Dyara wyciągnęła rękę. Skręcona wstążka światła błysnęła z jej palców i uderzyła w ziemię, a nad polem rozległ się ogłuszający trzask. Na trawie pozostał ślad spalenizny. Powietrze zaskwierczało.

- Kiedy będę mogła robić takie rzeczy? - szepnęła Auraya.

- Dopiero gdy nauczysz się przed nimi bronić - odrzekła Dyara. - Zacznę od lekkich uderzeń, celując w to samo miejsce. Masz próbować zmienić ścieżkę błyskawicy.

Z początku Auraya miała wrażenie, że polecono jej łapać do ręki światło słońca. Uderzenia błyskawic następowały zbyt szybko, by cokolwiek wyczuła. Zauważyła, że kręta linia światła nigdy nie była taka sama. Musi mieć jakiś powód, że płynie inną drogą. Może coś w powietrzu...

: *Dyaro? Aurayo?* odezwał się głos w umyśle Aurai.

Dyara uniosła głowę. Ona też musiała go usłyszeć.

: *Juran?* odpowiedziała.

Auraya spojrzała na pole, ale pary jeźdźców już tam nie było.

: *Rian znalazł pentadrianina. Zogniskujcie się na jego umyśle poprzez mój.*

Dyara popatrzyła na Aurayę i kiwnęła głową. Auraya zamknęła oczy, szukając umysłu Jurana. Kiedy się z nim połączyła, wyczuła Mairae i Dyarę, ale uwagę przyciągały myśli Riana. To od niego dochodziły głosy i obrazy. Las. Na wpół zrujnowany kamienny budynek. Mężczyzna w czarnym ubraniu, stojący w wejściu. Westchnęła zdumiona, gdy odkryła, że widzi to, na co patrzy Rian, tak wyraźnie, jakby stała na jego miejscu. Wyczuwała też, jak ściąga magię, by utrzymywać wokół siebie tarczę ochronną.

Pentadrianin obserwował zbliżającego się Riana. Vorny zebrały się wokół niego. Wyciągnął rękę i pogłaskał łeb siedzącego najbliżej, mrucząc coś w swej obcej mowie.

Rian zatrzymał się i zeskoczył na ziemię. Wysłał instrukcję do umysłu swego Nosiciela, który oddalił się galopem.

Czarownik skrzyżował ramiona.

- Przybyłeś mnie schwytać, kapłanie?

- Nie - odparł Rian. - Przybyłem cię zabić. Czarownik uśmiechnął się.

- To niezbyt uprzejme.

- To coś, na co zasłużyłeś, morderco.

- Morderca? Ja? Mówisz o kapłani i ludzie, tak? Ja tylko się bronię. Oni atakują pierwsi.

- Czy farmerzy i kupcy, których zabiłeś, też atakowali pierwsi? - spytał Rian.

: *Nie mogę odczytać jego myśli,* poinformował. *Są osłonięte.*

: W takim razie może być groźny, odpowiedział Juran.

: *Tak potężny, jak któryś z nieśmiertelnych minionej ery. To będzie ciekawa walka.*

- Ja nie atakuję farmerzy i kupcy - oświadczył czarownik. Poskrobał łeb vorna. - Moi przyjaciele głodni. Nie dostajemy

szacunek ani jedzenie. Wy ludzie nieuprzejmi, nie szanujecie mnie i moi przyjaciele od dzień, kiedy tutaj przybyłem. Teraz ty mówisz ty mnie zabijesz. - Pokręcił głową. - Twój lud nieprzyjazny.

- Nie dla morderców - rzekł Rian. - Może w twoim kraju takie barbarzyństwo nie jest zbrodnią, ale w naszym jest karane śmiercią.

- Myślisz, że możesz mnie karać?

- Z błogosławieństwem i potęgą bogów.

Auraya poczuła falę zachwytu i determinacji, jaka ogarnęła Riana. Jest bez reszty oddany bogom, pomyślała. W porównaniu z nim, my jesteśmy tylko lojalni. Ale bogowie muszą to akceptować, inaczej wszyscy Biali byliby jak Rian.

Czarownik zaśmiał się głośno.

- Bogowie nigdy cię nie pobłogosławią, poganinie.

- Nie twoi fałszywi bogowie - odparł Rian. - Krąg. Prawdziwi, żywi bogowie.

Ściągnął w siebie magię i uformował ją w strumień białego żaru. Powietrze przed czarownikiem stało się nagle gwałtownie marszczącą się ścianą. Fala ciepłego powietrza popłynęła z powrotem do Riana. Sfera ochronna, jaką rozwinął wokół siebie, ugięła się do wnętrza. Wzmocnił ją instynktownie, odpychając moc, która w nią uderzała. Auraya usłyszała trzaski, gdy drzewa wokół przyjęły impet odbitego uderzenia.

Rian zaatakował znowu, tym razem kształtując magię w strzały, które pomknęły ze wszystkich stron ku czarownikowi. Osłona pentadrianina wytrzymała, a on sam odpowiedział uderzeniami błyskawic, które Rian kierował do ziemi.

Więc tak się to robi, pomyślała Auraya.

Grunt pod Białym spiętrzył się i zadygotał. Rian pchnął magię w dół, by go ustabilizować, a równocześnie odciągnął od czarownika powietrze, zamykając go w próżni. Czarownik wyrwał powietrze z powrotem.

: *Wypróbowuje mnie,* zauważył Rian.

: *Rzeczywiście,* zgodził się Juran.

Rian poczuł, jak otacza go energia, która naciska na barierę

ochronną. Walczył, ale była coraz silniejsza. Auraya bez zdziwienia spostrzegła, że czarownik stoi z wyciągniętą ręką i zgina palce jak szpony - jak podczas walki z kapłanami.

: *Zaczyna się próba siły,* stwierdził Rian.

Oparł się zgniataniu, odpowiadając siłą na siłę. Równocześnie wypatrywał czujnie innych form ataku. Mijał czas. Atak czarownika stawał się coraz potężniejszy. Rian powoli zwiększał wytrzymałość swej osłony.

I nagle miażdżąca siła zniknęła.

Choć Rian reagował szybko, wielka fala mocy rozpłynęła ' się wokół niego. Łamały się drzewa. Zrujnowany dom rozpadł się całkowicie. Kurz i kamienie wzleciały w powietrze, przesłaniając wszystko. Rian rozciągnął delikatniejszą magię, by zepchnąć pył ku ziemi.

Czarownika już nie było. Rozejrzał się i zauważył uciekającą wielką czarną bestię, niosącą na grzbiecie człowieka. Cisnął za nią błyskawicą, ale energia ominęła uciekinierów i spłynęła w ziemię.

- Niech bogowie go powalą - syknął Rian, gdy zwierzę i człowiek zniknęli wśród drzew.

Wysłał myślowe wezwanie do swego Nosiciela. Wierzchowiec nie był daleko.

: *Bądź ostrożny,* ostrzegł Juran. *Jedź za nim, ale zachowaj czujność. Jest potężny, a atak z zaskoczenia może być śmiertelny.*

Zimny dreszcz przeszył Aurayę. Śmiertelny dla Riana? Przecież nic chyba nie może go skrzywdzić...

: *Nie tak potężny jak ja,* odparł Rian; myśli miał mroczne od gniewu i determinacji. *Nie będzie miał szansy, by zastawić pułapkę. Nie będę spał i nie spocznę, póki nie zyskam pewności, że nie żyje.*

Jego myśli odpłynęły z umysłu Aurai. Uniosła powieki i spojrzała w oczy Dyary.

- To było pouczające - oświadczyła sucho kobieta. - Od bardzo dawna nie spotkaliśmy tak potężnego przeciwnika. - Zmrużyła oczy. - Wyglądasz na zdziwioną.

- Bo jestem - przyznała Auraya. - Czy Rianowi grozi jakieś

niebezpieczeństwo ?

- Nie.

- Więc dlaczego Juran ostrzegał, żeby uważał na ataki z zaskoczenia? Przecież chyba nie można go zabić?

Dyara skrzyżowała ramiona na piersi.

- Tylko jeśli popełni głupi błąd... a nie popełni. Dobrze go wyszkoliłam.

- Czyli nie jesteśmy niewrażliwi? Ani nieśmiertelni?

- Nie tak zupełnie. - Dyara uśmiechnęła się. - Większość uznałaby, że bardzo niewiele nam do tego brakuje. Ale mamy pewne ograniczenia. Jednym z nich jest dostęp do magii. Pamiętasz, czego cię uczyłam? Kiedy ściągamy do siebie magię, zużywamy część tej, która znajduje się wokół nas. Kiedy używamy jej dużo, trudniej ją ściągnąć, bo magia w pobliżu się rozrzedza i musimy sięgać coraz dalej. Oczywiście, magia spłynie znowu w osłabione miejsce, ale to następuje powoli. Aby zyskać nowe, silne źródło, musimy zmienić pozycję.

Zastanowiła się.

- Rzadko się zdarza, byśmy zużywali jej aż tyle - podjęła. - Ale najbardziej prawdopodobna sytuacja, w jakiej to nastąpi, to walka z innym czarownikiem... niezwykle potężnym czarownikiem. Wyczerpanie magii w bliskim otoczeniu może sprawić, że osłabniesz w nieodpowiednim momencie.

Auraya kiwnęła głową na znak, że zrozumiała.

- Innym ograniczeniem jest twoja zdolność uczenia się i wykorzystywania Darów. Bogowie mogą tylko wzmocnić nasze Dary. Każdy z nas jest tak silny, jak bogowie potrafią go uczynić. Dlatego właśnie nasze siły nie są równe - Mairae jest z nas najsłabsza, a Juran najpotężniejszy.

- Czy jest możliwe, by jakiś czarownik okazał się silniejszy od nas?

- Owszem, choć czarownicy tak potężni zdarzają się niezwykle rzadko. Ten jest pierwszy, o jakim słyszałam od niemal stu lat. - Uśmiechnęła się ponuro. - Dołączyłaś do nas w ciekawych czasach,

Aurayo. Braki wyszkolenia to następne ograniczenie, ale widząc, jak szybko się uczysz, jestem pewna, że wkrótce je pokonasz. Nie martw się. Nie wyślemy cię do walki z tak potężnym czarownikiem, dopóki nie zakończysz szkolenia.

Auraya uśmiechnęła się.

- Nie martwiłam się... Zastanawiałam się kiedyś, jak możemy być niepokonani, skoro nawet bogowie nie są.

Dyara zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli?

- Wielu ich poległo w czasie „Wojny Bogów. Jeśli oni mogą ginąć, to i my możemy.

- Chyba masz rację.

Odwróciły się, słysząc tętent kopyt - to nadjeżdżali Juran i Mairae. Kiedy reyny się zatrzymały, Auraya spostrzegła, że nie mają uprzęży. Przypomniała sobie, co mówiła Dyara - że Nosiciele kierowani są myślowymi rozkazami.

Juran spojrzał z góry na Aurayę.

- Chcę cię o coś zapytać, Aurayo. Mairae twierdzi, że skończyłaś już przeglądać projekt traktatu z Somreyem. Czy wprowadziłabyś jakieś zmiany?

- Kilka, ale podejrzewam, że potrzebne będzie więcej. Kiedy go czytałam, doszłam do wniosku, że nie wiem o tkaczach snów tyle, ile sądziłam. Wiem, jak leczą gnilec, ale nie mam pojęcia, jaką pozycję zajmują w somreyańskim społeczeństwie. Żałowałam, że nie mam przy sobie eksperta, do którego mogłabym się odwołać, i wtedy przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie. Może tak naprawdę potrzebujemy właśnie doradcy w sprawach tkaczy snów.

Juran obejrzał się na Mairae.

- Próbowałaś już tego, prawda? Przytaknęła.

- Ale nie mogłam znaleźć nikogo posiadającego odpowiednią wiedzę.

Auraya poczuła, że serce przyspiesza jej trochę, ale nie zawahała się.

- Szukałaś wśród tkaczy snów?

- Nie. Nie sądziłam, by zechcieli współpracować. Juran uniósł brwi, ale bez dezaprobaty.

- Sądzisz, że mogliby się zgodzić, Aurayo?

- Tak, jeśli uznają, że nasze cele nie są sprzeczne z ich pomyślnością. Przymierze nie jest, o ile mogę to ocenić. - Uśmiechnęła się złośliwie i dotknęła palcem czoła. - A my mamy własne zabezpieczenia przed możliwością, że ich cele są sprzeczne z naszymi.

- Z czego oni na pewno zdają sobie sprawę. - Juran pochylił się i podrapał Nosiciela między uszami, przy resztce rogu. - Byłbym zdziwiony, gdyby któryś z nich się na to zgodził, ale widzę, jakie korzyści byśmy odnieśli, gdyby się udało.

Mairae uśmiechnęła się.

- Somreyańska Starsza tkaczy snów nie sprzeciwiałaby się tak chętnie komuś ze swoich.

- Nie - zgodził się Juran.

- Ale w ten sposób przyznamy, że mają władzę i wpływy - ostrzegła Dyara.

Mairae wzruszyła ramionami.

- Nie większą, niż realnie mają. Nie więcej, niż już przyznaliśmy w warunkach traktatu.

- Damy naszemu ludowi sygnał, że ich akceptujemy - nie ustępowała Dyara.

- Nie akceptujemy. Tolerujemy. Nie możemy udawać, że w Somreyu nie mają żadnego znaczenia.

Dyara otworzyła usta, a po chwili zamknęła je i pokręciła głową. Juran zwrócił się do Aurai.

- Jeśli uda ci się znaleźć tkacza snów, który zgodzi się na taką propozycję, to wyślę ciebie i Mairae razem do Somreyu.

- Ale Auraya dopiero zaczęła szkolenie - zaprotestowała Dyara. - Czy nie oczekujemy od niej zbyt wiele i zbyt szybko?

- Alternatywą jest przerwanie negocjacji. - Juran przyjrzał się Aurai i westchnął. - Jeśli poniesiesz porażkę, ludzie uznają, że to wskutek braku doświadczenia, a nie błędu naszej strategii.

- Nie jest to sprawiedliwe wobec Aurai - zauważyła Dyara.

Auraya pokręciła głową.

- Nie przeszkadza mi to. Juran zastanowił się.

- Gdyby Mairae zachowywała się tak, jakby nie oczekiwała żadnych sukcesów w rozmowach, ale zabrała cię ze sobą, żebyś poznała inne formy rządów... Pozwólmy im cię nie doceniać. Tak. Zrób to. Zobacz, czy uda ci się znaleźć dla nas doradcę.

- Masz na myśli kogoś konkretnego? - spytała Mairae. Auraya milczała przez chwilę.

- Tak - przyznała. - Tkacza snów, którego znałam w dzieciństwie. Mieszka czasowo w mieście.

Juran zmarszczył brwi.

- Stary przyjaciel... To może być dla ciebie nieprzyjemne, gdyby zaczął sprawiać kłopoty.

- Wiem. Jednak wolę pracować z kimś, kogo znam dobrze, niż z kimś, kogo nie znam.

Wolno pokiwał głową.

- Bardzo dobrze. Ale bądź ostrożna, Aurayo, abyś w imię starej przyjaźni nie zrezygnowała z siebie. Zbyt łatwo to zrobić - dodał z żalem.

- Będę ostrożna - obiecała.

Juran poklepał Nosiciela po szyi, a zwierzę uderzyło kopytem o ziemię. Auraya opanowała odruch, by się cofnąć - to były takie wielkie stworzenia.

- Musimy wrócić do ćwiczeń - rzekł Juran.

Gdy on i Mairae odjechali, Auraya zastanowiła się, co takiego mu się przydarzyło, co sprawiało tak wyraźny ból. Może kiedyś się tego dowie.

Tyle było rzeczy, których nie wiedziała o innych Białych. Ale miała mnóstwo czasu, by je poznać. Może nie całą wieczność, ale - jak mówiła Dyara - bardzo niewiele do niej brakuje.

7

Pięć osób siedziało na ławach we wspólnej sali domu Bakerów - dziś rano przybyła jeszcze jedna tkaczka snów, Olameer. Była Somreyanką w średnim wieku i wyruszyła na południe, by zgromadzić zioła, które nie rosną w chłodnym klimacie jej ojczyzny. Podczas posiłku Jayim nie odzywał się prawie wcale.

- Byłeś kiedyś w Somreyu, Leiardzie? - spytała Tanara. Leiard zmarszczył czoło.

- Nie jestem pewien. Mam wspomnienia z tego pobytu, ale nie mogę ich dopasować do mojej przeszłości.

Olameer przyjrzała mu się uważnie.

- To brzmi jak wspomnienia łącza.

- Prawdopodobnie - zgodził się.

- Ale nie masz pewności - zauważyła Olameer. - Czy masz też inne wspomnienia, co do których nie jesteś pewien, czy są twoje?

- Wiele - przyznał.

- Przepraszam bardzo, ale co to są wspomnienia łącza? - wtrąciła Tanara.

Olameer uśmiechnęła się.

- Tkacze snów czasem dokonują połączenia umysłów, by przekazywać sobie nawzajem myśli i wspomnienia. Szybciej i łatwiej w ten sposób wyjaśnić pewne rzeczy. Od czasu do czasu wykorzystujemy takie połączenia jako element naszych rytuałów i sposób lepszego poznania kogoś. - Spojrzała na Leiarda i jej uśmiech zmienił się w wyraz zamyślenia. - W ten sposób gromadzimy też cudze wspomnienia, ale zwykle potrafimy odróżnić, które są nasze, a które nie. Jeśli jednak wspomnienie jest dawne, łatwiej jest zapomnieć, że nie należy do nas. A w rzadkich przypadkach, kiedy tkacz snów przeżywa jakąś traumatyczną sytuację, jego wspomnienia mieszają się ze wspomnieniami łącza.

- Nie przeżyłem takiego wypadku, Olameer - uśmiechnął się Leiard.

- Nie był taki, jaki byś zapamiętał - odparła cichym głosem. Wzruszył ramionami.

- Nie.

- Czy chciałbyś... chciałbyś dzisiaj wieczorem dokonać połączenia? Mogłabym zbadać te wspomnienia łącza i spróbować odkryć tożsamość za nimi.

Leiard wolno kiwnął głową.

- Tak. Zbyt wiele czasu minęło, odkąd uczestniczyłem w rytuale. - Zauważył wpatrzonego w siebie Jayima i uśmiechnął się. - Jayim też powinien się do nas przyłączyć. Przerwał szkolenie, kiedy sześć miesięcy temu umarł jego nauczyciel.

- Ale nie musicie się dla mnie poświęcać - zapewnił pospiesznie chłopiec. - Ja... Ja tylko bym wam przeszkadzał.

Tanara spojrzała zdumiona na syna.

- Jayim! Powinieneś skorzystać z tak wspaniałomyślnej propozycji!

Leiard zerknął na Olameer. Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Nie mogę. Dzisiaj wieczorem spotykam się z przyjacielem - tłumaczył się Jayim.

Millo zmarszczył brwi.

- Nie wspominałeś o tym wcześniej. Chcesz iść sam? Wiesz, że to niebezpieczne.

- Nic mi nie będzie. Do domu Vina nie jest daleko. Tanara zacisnęła usta.

- Możesz iść rano.

- Ale obiecałem - zaprotestował Jayim. - On jest chory.

- Znowu? - Tanara uniosła brwi.

- Tak. To choroba oddechu. Latem zawsze czuje się gorzej.

- W takim razie lepiej pójdę z tobą - stwierdził Leiard. - Znam wiele leków na choroby płuc.

- Dziękuję ci, Leiardzie - rzekła Tanara. - To bardzo uprzejme z twojej strony.

Jayim spoglądał to na matkę, to na tkacza snów; po chwili zgarbił się zniechęcony. Tanara zaczęła zbierać brudne nakrycia. Olameer

ziewnęła dyskretnie i wstała, by pomóc.

- Może to i lepiej - mruknęła. - Jestem chyba za bardzo zmęczona, żebym mogła ci się na coś przydać, Leiardzie. Nigdy dobrze nie sypiam na statkach.

Skinął głową.

- Dziękuję za tę ofertę. Może kiedy indziej.

- Wyruszam wczesnym rankiem, ale jeśli będziesz tu jeszcze podczas mojego powrotu, wtedy przeprowadzimy rytuał. A tymczasem, bądź zdrów.

Dotknęła serca, ust i czoła. Leiard odpowiedział tym samym gestem, a kątem oka zauważył, że i Jayim pospiesznie poszedł w jego ślady.

Kiedy Olameer wyszła, Leiard wstał i spojrzał pytająco na chłopca.

- Czym zajmuje się twój przyjaciel? Jayim wstał.

- Jego ojciec jest krawcem i on też się uczy tego rzemiosła.

- Czy rodzina będzie protestować, jeśli przyjdę do nich do domu?

Jayim zawahał się, wyraźnie rozważając możliwość pozbycia się Leiarda. W końcu jednak pokręcił głową.

- Nie. To im nie przeszkadza. Mój nauczyciel pomagał im, kiedy Vin był jeszcze dzieckiem. Tak go poznałem. Wezmę tylko moją sakwę.

Leiard zaczekał, aż Jayim przyniesie z pokoju nieduży worek. Na zewnątrz chłopiec narzucił szybkie tempo. Ulica była cicha i ciemna. Tylko okna budynków po obu stronach tworzyły jasne prostokąty światła, a Leiard słyszał głosy i ruch za nimi.

- Dlaczego postanowiłeś zostać tkaczem snów, Jayimie? - zapytał cicho.

Chłopak popatrzył na niego, ale było za ciemno, by Leiard mógł zobaczyć jego twarz.

- Sam nie wiem. Lubiłem Calema, mojego mistrza. Kiedy o tym mówił, brzmiało to tak szlachetnie... Chciałem pomagać ludziom tak, jak cyrklianie nie potrafią... A poza tym nienawidziłem cyrklian.

- To znaczy, że już ich nie nienawidzisz?

- Nienawidzę, ale... - Ale?

- Nie tak, jak wtedy.

- Jak myślisz, co się zmieniło? Jayim westchnął.

- Nie wiem.

Wyczuwając, że chłopiec się zastanawia, Leiard milczał. Skręcili w węższą ulicę.

- Może chodzi o to, że nie wszystkich cyrklian nienawidzę. Może tylko niektórych...

- Nienawiść do osoby to całkiem co innego niż nienawiść do grupy ludzi. Zwykle trudniej jest ci nienawidzić grupy ludzi, jeśli uświadomisz sobie, że lubisz jakąś osobę z tej grupy.

- Jak Aurayę?

Na dźwięk tego imienia Leiarda przeszył dziwny dreszcz. Od jej pierwszej wizyty spotkał się z nią jeszcze dwukrotnie. Rozmawiali o ludziach, których znali oboje, i o wydarzeniach, jakie nastąpiły po jej odjeździe. Opowiadała historie ze swego życia nowicjuszką a potem kapłanki. W którymś momencie przyznała, że wciąż jest zdziwiona, iż bogowie ją wybrali. „Nie zawsze się zgadzam z innymi cyrklianami", powiedziała wtedy. „Myślę, że to twoja wina. Gdybym wychowywała się w Jarime, stałabym się tak ograniczona jak wszyscy". Westchnął.

- Tak - zgodził się. - Auraya jest inna.

- Ale u mnie było na odwrót - ciągnął Jayim. - Widzę teraz, że nie mogę nienawidzić wszystkich cyrklian tylko dlatego, że niektórzy są źli.

A ja wcale nie nienawidzę cyrklian - tylko ich bogów, odezwał się głos z głębi umysłu Leiarda. Aż syknął, gdy wraz z głosem napłynęły niezwykle silne emocje. Czemu skrywam w sobie taką nienawiść, pomyślał. Dlaczego dopiero teraz wynurzyła się na powierzchnię?

- Ja... mam wątpliwości, Leiardzie.

Leiard z trudem powrócił myślami do idącego obok chłopca.

- A w jakiej kwestii? Jayim westchnął.

- Czy być tkaczem snów. Nie jestem już pewien, że chcę nim

zostać.

- Domyśliłem się.

- Jak uważasz, co powinienem zrobić? Leiard uśmiechnął się lekko.

- A czego chcesz?

- Nie wiem.

- W takim razie, czego chcesz od życia?

- Nie wiem.

- Oczywiście, że wiesz. Pragniesz miłości? Dzieci? Bogactw? A może sławy? Albo władzy? Albo obu? Czy bardziej zależy ci na mądrości i wiedzy? O co skłonny jesteś się starać, Jayimie? I co zgodzisz się poświęcić w pogoni za swym celem?

- Nie wiem - szepnął załamany Jayim.

Skręcił w zaułek tak wąski, że Leiard musiał iść z tyłu. Ostry odór gnijących warzyw wypełniał ciasną, ciemną przestrzeń.

- Oczywiście, że nie wiesz. Jesteś młody. Każdy potrzebuje czasu, by...

Nagle ogarnęło go poczucie zagrożenia. Chwycił Jayima za ramię.

- Co? - spytał szorstko chłopak.

Świszczący oddech zabrzmiał głośno w ciasnym zaułku, a potem zmienił się w charczący rechot. Jeszcze dwa głosy dołączyły do tego śmiechu. Trzy sylwetki wyrosły w mroku, a Jayim zaklął cicho.

- Dokąd to tak późno, Śniący?

Głos był młody i męski. Leiard pozwolił, by przepłynęły przez niego emocje trzech napastników. Wyuczył mieszaninę złych zamiarów i okrutnego wyczekiwania.

- Ma przyjaciela - ostrzegł drugi głos.

- Przyjaciela? - parsknął pierwszy chłopak, choć ostrożność stłumiła nieco gwałtowność jego myśli. - Śniący nie mają przyjaciół. Mają tylko czujki. Takich, co pilnują na wypadek, gdyby ktoś akurat nadszedł, kiedy uwodzą żony i córki innych ludzi. Tym gorzej dla ciebie, Śniący. Byliśmy tu pierwsi. Nie zbliżysz się nawet do Loiri.

Uwodzą żony i córki... Przez myśli przemknął mu nagle obraz:

stał, a przed nim znajdowali się dwaj mężczyźni, obaj rozgniewani, obaj trzymający broń. W oknie powyżej pojawiła się kobieta. Choć jej twarz ukryta była w cieniu, wiedział, że jest piękna. Krzyknęła coś gniewnie, ale nie do niego. Jej przekleństwa skierowane były do mężczyzn na ulicy.

- Nie przyszedłem tu na spotkanie z Loiri, Kinnenie - rzekł Jayim przez zaciśnięte zęby. - Chcę się zobaczyć z Vinem.

Leiard potrząsnął głową i wizja zgasła. Kolejne wspomnienie łącza? Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek planował kogoś uwieść. Coś takiego z pewnością utkwiłoby w pamięci. Ale w końcu ze wspomnieniami łącza też tak bywa.

- Vin powinien wiedzieć - oświadczył trzeci głos - że nie warto się zadawać z tkaczami snów. Co masz w tym worku, Jayim?

- Nic.

Chłopak mówił spokojnie, ale Leiard wyczuł, że jego strach zwiększył się gwałtownie. Kiedy napastnicy podeszli bliżej, Leiard posłał nieco magii do swej dłoni. Światło rozkwitło mu między palcami i cała dłoń zajaśniała. Wyminął Jayima i rozprostował palce.

Światło wypełniło zaułek. Leiard z niepokojem zobaczył przed sobą trzech cyrkliańskich kapłanów.

Nie, poprawił się. Nowicjuszy. Nie noszą pierścieni.

Patrzyli na światło i mrugali szybko. Po chwili przenieśli spojrzenia na jego twarz. Leiard przyglądał się im spokojnie.

- Nie jestem pewien, jakie są cele waszego spotkania z nami tutaj. Jayim poinformował was o tożsamości osoby, do której się udajemy, i zapewnił, że będziemy tam mile widziani. Jeśli to nie dość, by was zadowolić, to może powinniście towarzyszyć nam do celu. A może... - Zniżył głos. - Może wyszliście nam na spotkanie, bo chcecie skorzystać z naszych usług?

Chłopcy wymienili nerwowe spojrzenia, wystraszeni taką sugestią.

- Jeśli tak - ciągnął Leiard - a sprawa nie jest pilna, możemy umówić się na wizytę jutro. Wolicie, żebyśmy przyszli do Świątyni czy do was do domów?

Słysząc to, trzej chłopcy zaczęli się wycofywać.

- Nie - oświadczył sztywno pierwszy. - Wszystko jest w porządku. Nic nam nie dolega. Nie trzeba nas odwiedzać.

Po kilku krokach odwrócili się i odeszli dumnie, z demonstracyjną nonszalancją. Jayim odetchnął głęboko.

- Dziękuję.

Leiard przyjrzał się chłopcu z powagą.

- Często się zdarza coś takiego?

- Od czasu do czasu. Od dość dawna nie. Pewnie mieli dużo zajęć z tymi wszystkimi gośćmi, którzy przybyli na Ceremonię Wyboru.

- Prawdopodobnie - zgodził się Leiard.

- Ale ich odstraszyłeś. - Jayim uśmiechnął się szeroko.

- Blefowałem. Drugi raz się to nie uda. Będą pamiętali, że prawo karze każdego, kto korzysta z naszych usług. Powinieneś się nauczyć obrony.

- Wiem, ale...

- Twoje wątpliwości sprawiły, że nie szukałeś nowego nauczyciela?

- Tak. - Chłopak wzruszył ramionami. - Mam takich tkaczy snów, jak ty, którzy zatrzymują się u nas. Wszyscy uczą mnie różnych rzeczy.

- Wiesz, że to nie wystarczy. Jayim spuścił głowę.

- Myślę, że popełniłem błąd, zostając tkaczem snów. Chciałem być kimś... - Spojrzał w głąb zaułka. - Jak oni, ale nie kapłanem. Przez nich miałbym straszne życie. No i... i ojciec mnie namawiał, żebym został skrybą, jak on, ale to mi nie wychodziło. - Westchnął. - Jednak kiedy zostałem tkaczem snów, to jeszcze pogorszyło sytuację z bandą Kinnena. I z moimi rodzicami. - Zaśmiał się gorzko. - Tak bardzo chcieli pokazać, że przyjmą każdą moją decyzję, że zmienili nasz dom w bezpieczne schronienie. - Westchnął znowu. - No więc teraz nie mogę zrezygnować.

- Oczywiście, że możesz. Jayim pokręcił głową.

- Ci od Kinnena pomyślą, że się wystraszyłem. A rodzice będą rozczarowani.

- Co nie jest powodem, by pozwolić ci nadal nosić kamizelkę.

Jayim zmarszczył czoło i nagle szeroko otworzył oczy.

- Jesteś... jesteś tu, żeby mnie wypędzić? Leiard z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie. Ale widzę w tobie rzeczy, które napełniają mnie troską. Zgodnie z naszymi prawami, jeśli troje tkaczy snów z każdego z trzech wieków zgodzi się, że ktoś powinien być usunięty, może i musi tak się stać. - Pozwolił, by jego głos zabrzmiał mniej surowo. - Jesteś pełen wątpliwości, Jayimie. To nic niezwykłego u chłopca w twoim wieku i w twojej sytuacji. Damy ci czas, byś się zastanowił. Ale nie możesz zaniedbywać swojego szkolenia. A nie podjąłeś żadnych kroków, by znaleźć nowego nauczyciela.

Jayim wpatrywał się w światło na dłoni Leiarda.

- Rozumiem - powiedział cicho.

Leiard zamilkł na chwilę, a potem odrzucił ostatnie strzępki swego gasnącego pragnienia samotności.

- Jeśli zdecydujesz się zostać z nami, Jayimie, i zechcesz tego, podejmę się twojego szkolenia. Nie mogę obiecać, że zawsze pozostaniesz w Jarime, więc musisz być gotów opuścić swoich rodziców i towarzyszyć mi w niepewnej przyszłości. Ale obiecuję, że potrafię zrobić z ciebie tkacza snów.

Chłopak popatrzył na Leiarda, a potem odwrócił wzrok. Zamęt opanował jego myśli. Leiard parsknął śmiechem.

- Zastanów się nad tym. A teraz lepiej zobaczmy, co z tym twoim chorym przyjacielem.

Jayim kiwnął głową i wskazał w głąb zaułka.

- Wejdziemy tylnymi drzwiami. Chodź za mną.

Lecąc nad Przestrzenią, Tryss czuł dreszcz podniecenia. Wielki półokrąg świateł uformował się niedaleko środka, gdzie na skale zwanej Plaskiem mogło stanąć wielu Siyee. Przywódcy każdego klanu - Mówcy - stali powyżej, wzdłuż krawędzi niskiej, naturalnej skalnej ściany. W powietrzu aż gęsto było od Siyee przybywających na Zgromadzenie.

Kiedy jego ojciec zniżył lot, Tryss podążył za nim. Niedaleko za

sobą wyczuwał obecność matki. Dołączyli do krążących nad ziemią Siyee, a kiedy wreszcie ich stopy dotknęły gruntu, szybko odsunęli się na bok, by nie przeszkadzać innym w lądowaniu. Gdy stanęli przy swoim klanie, Tryss rozejrzał się za klanem Drilli. Byli niedaleko. Dziewczyna pochwyciła jego spojrzenie i mrugnęła porozumiewawczo. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

W tym roku przybyło piętnaście klanów Siyee, o jeden mniej niż ostatnio - klan Zachodniej Puszczy wymordowali ziemiochodzący. Nieliczni ocaleni, nie mogąc powrócić na swoje terytorium, przyłączyli się do innych klanów. Lud Drilli, klan Wężowej Rzeki, został wyparty ze swej wioski, ale przeżyło ich dostatecznie wielu, by nadal uważano ich za pełnoprawny klan. Chwilowo osiedlili się wśród innych, dopóki nie podejmą decyzji co do miejsca budowy nowej wioski.

Tryss popatrzył na Mówców. Siedział wśród nich dziwacznie odziany człowiek. Ubranie okrywało mu ramiona, a to tylko zwracało uwagę na brak błon między rękami i tułowiem. Żaden Siyee nie mógłby się tak ubierać.

Za to rozmiar z nawiązką wynagradzał mu brak skrzydeł. Tryss zobaczył wreszcie, czemu ci ziemiochodzący, mimo że niezdolni do lotu, stanowili takie zagrożenie dla jego rodaków. Ten człowiek siedział na skalnej półce, a jednak głowę trzymał na tym samym poziomie co Mówcy. Ręce miał długie, a nogi mocne. Ciało przypominało wielką beczkę, jeszcze bardziej powiększoną warstwami odzieży, które miał na sobie.

Był ogromny.

Za to głowę miał raczej małą. Ale czy rzeczywiście? Tryss dokonał szybkiego porównania z jednym z Mówców... Tak. Głowa ziemiochodzącego była tej samej wielkości co głowa Siyee. Wydawała się tylko mniejsza, gdyż tkwiła na o wiele większym ciele.

Mówcy poruszyli się, ustawili w szereg wzdłuż skalnego progu i gwizdnęli przenikliwie. Ziemiochodzący, co spostrzegł Tryss, skrzywił się, gdy zabrzmiał ten dźwięk. Siyee ucichli.

Sirri, Mówca klanu Tryssa, stanęła na występie zwanym Skałą Mówców. Uniosła ramiona i rozłożyła szeroko skrzydła.

- Ludu gór. Klany Siyee! My, Mówcy, wezwaliśmy was dzisiaj, byście wysłuchali słów gościa w naszej krainie. Jest on, jak słyszeliście i widzicie, ziemiochodzącym. Ziemiochodzącym z dalekiego lądu zwanego Hanią, nie ziemiochodzącym spośród tych, którzy zabijali naszych braci i odbierali nam ziemię. Rozmawialiśmy z nim długo i jesteśmy przekonani, że to prawda.

Sirri urwała na chwilę. Wodziła wzrokiem wzdłuż rzędów twarzy, starając się ocenić nastroje Zgromadzenia.

- Ziemiochodzący Gremmer wspinał się przez nasze góry i pokonywał nasze rzeki, by się do nas dostać. Samotnie wyruszył w podróż, która ziemiochodzącym zajmuje miesiące. Dlaczego to uczynił? Przyniósł nam propozycję przymierza. Przymierza z Białymi, pięciorgiem ludzi wybranych przez bogów na ich przedstawicieli w świecie śmiertelnych.

Siyee zaszemrali. Opowieści o grupie wybranych przez bogów ziemiochodzących krążyły od lat. W ciągu ostatniego stulecia pojedynczych Siyee odwiedzała bogini Huan, która mówiła o Obdarowanych ludziach reprezentujących bogów. W odpowiednim czasie, jak obiecała bogini, ci wybrani pomogą Siyee bronić się przed najeźdźcami.

W ciągu ostatnich pięciu lat liczba ataków najeźdźców wzrosła dramatycznie, budząc wśród licznych Siyee nadzieję, że ci obiecani obrońcy zjawią się już wkrótce. Zeszłego lata wyginął cały klan, myślał Tryss, lepiej niech się pospieszą, bo niedługo nie będzie już kogo bronić.

- Gremmer spędził wśród nas wiele dni - mówiła dalej Sirri. - I nauczył się trochę naszego języka. Chce dzisiaj do was przemówić i opowiedzieć o Wybrańcach Bogów.

Odwróciła się i skinęła na ziemiochodzącego. Mężczyzna wstał powoli i wszedł na Skałę Mówców. Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk na wpół lęku, na wpół podziwu, kiedy uświadomili sobie jego wzrost.

Ziemiochodzący stanął na brzegu występu i uśmiechnął się nieśmiało do tłumu patrzących. Wyrastał wysoko ponad nich. I nagle, ku zdumieniu Tryssa, usiadł ze skrzyżowanymi nogami, jak dziecko.

Zrobił to specjalnie, domyślił się. Żeby nie wydawać się takim ogromnym.

W wielkich, grubych palcach ziemiochodzący trzymał kawałek papieru. Zerknął na niego i odchrząknął cicho.

- Ludu nieba. Klany Siyee. Pozwólcie, że opowiem wam o mężczyznach i kobietach, których bogowie wybrali na swych reprezentantów. - Miał dziwną wymowę i było jasne, że bardzo się stara przy każdym słowie. - Pierwszym był Juran, wybrany stulecie temu. Jest naszym przywódcą; to on zgromadził pierwszych kapłanów i kapłanki, on nazwał ich cyrklianami. Druga była Dyara, wybrana, by być prawodawcą. Potem przyłączył się do nich pobożny Rian, a po nim Mairae, piękna i pełna współczucia. Ostatnie z pięciu było wybrane miesiąc temu. Nie znam jego czy jej imienia, wyruszyłem bowiem przed Ceremonią Wyboru.

Gremmer uniósł głowę znad swego papieru.

- Od stu lat Hania korzysta z dobroczynnej pracy Wybranych. Prawo działa sprawiedliwie. Ci, których spotkało nieszczęście, mogą liczyć na pomoc. Ci, którzy zachorują, są leczeni. Dzieci uczą się czytać, pisać i rozumieć liczby. Nie mieliśmy wojen.

Wyprostował się i przebiegł spojrzeniem po twarzach Siyee, po czym wrócił do swych notatek.

- Cyrkliańscy kapłani i kapłanki od samego początku służą w wielu krajach, ale Hania jest jedynym, w którym rządzą Biali.

Toren i Genria na wschodzie są naszymi sprzymierzeńcami od pięćdziesięciu lat. Dunway, kraj wojowników na północnym zachodzie, sprzymierzył się z nami dziesięć lat temu. Biali negocjują z Radą Starszych Somreyu. A teraz propozycję sojuszu przynoszę do Si.

Uśmiechnął się i znów spojrzał na Siyee.

- Przekonałem się, że jesteście szlachetnym i pokojowo na-

stawionym ludem. Wiem, że Biali mogą wam pomóc rozwiązać wasze problemy. Wasze ziemie są zajmowane przez toreńskich osadników. Trzeba ustanowić odpowiednie prawa, aby ich powstrzymać, i wymusić ich stosowanie. Jeśli nie potraficie zatrzymać toreńskich osadników, czy bylibyście w stanie odeprzeć armię? Biali chronią swoich sojuszników. W zamian proszą, by sojusznicy wysłali im na pomoc żołnierzy, jeśli to oni zostaną napadnięci. Ponieważ są potężni i niosą pokój, gdziekolwiek wyruszą, pomoc taka zapewne nigdy nie będzie potrzebna. Gdyby Si i Białych połączyło przymierze, moglibyśmy pomagać sobie wzajemnie na wiele różnych sposobów. Znacie Huan i wiecie trochę o innych bogach. Nasi kapłani i kapłanki mogą nauczyć was więcej. Mogą także poszerzyć waszą znajomość magii, czytania i pisania, liczb i uzdrawiania. Jeśli zechcecie, Świątynia wyśle do Si kilku kapłanów, by żyli wśród was. Siyee mogą przybywać do Świątyni, by sami zostać kapłanami łub kapłankami. Ma to wiele zalet. Kapłani i kapłanki mogą telepatycznie przesyłać wieści, a zatem będziecie wiedzieli, co się dzieje w świecie. Meldunki o atakach na Siyee szybko dotrą do Białych, którzy zareagują odpowiednio. Ludzie... ziemiochodzący. .. lepiej zrozumieją Siyee, a także Siyee zrozumieją ziemiochodzących. Zrozumienie niesie wzajemny szacunek i przyjaźń. Przyjaźń niesie pokój i dobrobyt. - Uśmiechnął się i kilka razy kiwnął głową. - Dziękuj ę, że mnie wysłuchaliście.

Siyee milczeli, gdy Gremmer wstał i odstąpił od krawędzi. Tryss czuł, że serce bije mu jak oszalałe. Tyle moglibyśmy się nauczyć od tych ziemiochodzących, myślał. To, co utraciliśmy, kiedy przyszliśmy w góry. To, co ziemiochodzący przez ten czas wynaleźli...

Ale Tryss widział powątpiewanie na twarzach Siyee. Wystąpiła Sirri.

- My, Mówcy, porozumiemy się teraz z naszymi klanami.

Po czym wszyscy Mówcy zeskoczyli z występu i poszybowali do swoich. Gdy Sirri wylądowała wśród klanu Tryssa, kilka osób próbowało przemówić jednocześnie. Uniosła ręce, by ich uciszyć.

- Nie wszyscy naraz - poprosiła. - Usiądźmy w kręgu i kolejno powiedzmy, co myślimy.

Matka i ojciec Tryssa usiedli, a on zajął miejsce za nimi. Sirri wskazała mężczyznę siedzącego po jej lewej ręce - Tilla, wuja Tryssa.

- To dobra oferta - ocenił. - Przyda nam się ich ochrona. Ale nic nie możemy im dać w zamian. Gremmer mówił o wojownikach. Nie mamy takich.

Sirri spojrzała na następnego Siyee w kręgu, a ten wyraził podobne wątpliwości. Kolejno występowali inni członkowie klanu, a Tryss czuł, jak narasta w nim zniechęcenie. Wreszcie głos zabrała jego ciotka.

- Czy to ważne? - spytała z powagą Vissi. - To są Wybrańcy Bogów. Kto ośmieli się wystąpić przeciw nim? Gremmer ma rację. Zapewne nigdy nie będziemy musieli walczyć. Powinniśmy się zgodzić na to przymierze.

- A jeśli wybuchnie jakaś nieduża wojna? Między krajami sprzymierzonymi z Białymi? Albo bunt? - spytał ojciec Tryssa. - Jeśli wtedy poproszą o naszą pomoc? Czy poślemy naszych młodych mężczyzn i kobiety na pewną śmierć?

Vissi posmutniała.

- Nie pewną. Możliwą. Istnieje takie ryzyko, owszem. To hazard. Ale młodych mężczyzn i kobiety tracimy i tak w starciach z tymi osadnikami. I starszych mężczyzn, i kobiety. I ich dzieci. I nadal będziemy ich tracić, a także naszą ziemię. To bardziej pewne niż to, że wezwą nas na wojnę.

Zebrani Siyee z wahaniem kiwali głowami. Tryss przygryzł wargę. Możemy walczyć, myślał, jakby chciał im to wytłumaczyć. Wydaje się wam, że musimy walczyć jak ziemiochodzący. Tymczasem musimy staczać bitwy jak Siyee - z powietrza. Z moją uprzężą do polowań. Z dmuchawką Drilli.

- Może wcześniej nauczymy się walczyć.

To powiedział Sreil. Radość ogarnęła Tryssa. Czyżby Sreil pamiętał jego uprząż?

- Jeśli przyjdą tu ziemiochodzący, mogą nas wyszkolić - dodał Sreil.

Serce Tryssa zamarło.

- Ale wtedy musielibyśmy przyznać, że sami nie potrafimy - uprzedziła Vissi.

- Myślę, że z tymi Białymi musimy być szczerzy - stwierdziła Sirri. - Są przecież bliżsi bogom niż jakikolwiek śmiertelnik, a bogowie mogą czytać w naszych myślach. Będą wiedzieli, jeśli zachowamy się nieuczciwie.

Klan milczał. Po chwili przemówił ojciec Tryssa:

- W takim razie będą mieli świadomość że nie możemy posługiwać się mieczem ani włócznią. Nie poproszą nas o pomoc, jeśli uznają, że nie mamy dla nich wartości w walce.

Znaczenie ukryte w słowach ojca trafiło Tryssa jak cios. Ogarnął go nagły chłód. Zadrżał. Wolno uniósł głowę i spojrzał w gwiazdy.

Czytacie w moich myślach? zapytał. Zobaczyliście moje pomysły? Czy to właśnie powinno się zdarzyć: że dam moim rodakom sposób, by mogli walczyć?

Wstrzymał oddech. A jeśli bogowie odpowiedzą? Wystraszył się nagle. To by było... cudowne i przerażające.

Ale odpowiedź nie nadeszła. Tryss poczuł się trochę rozczarowany. Usłyszeli go, ale zignorowali? Czy to znaczy, że nie powinien już pracować nad swoimi wynalazkami? A może zwyczajnie nie zwracali na niego uwagi?

Można zwariować od takich myśli, stwierdził. Nie powiedzieli „tak", nie powiedzieli „nie". Uznam, że oznacza to, że nie słuchają albo ich to nie obchodzi, więc będę dalej robił, co chcę.

A chciał tylko udoskonalić swoją uprząż i zobaczyć, jak Siyee używają jej do polowań. Jeśli jego wynalazki rozwiążą kłopoty rodaków... no to jeszcze lepiej. Byłby wtedy sławny. Szanowany.

Jutro, postanowił. Jutro dokończę przebudowę. Potem wypróbuję rezultat. Kiedy będę już pewny, że wszystko działa jak należy, pokażę uprząż Mówcom.

8

Jarime było miastem wielu rzek. Przecinały je na dzielnice, niektóre bardziej zamożne od innych, i były wykorzystywane do żeglugi - łodzie przewoziły pasażerów i towary. Ludzie czerpali z nich wodę, którą potem spuszczali do morza przez podziemne tunele.

Rzeka ciągnęła się wzdłuż połowy granicy terenów Świątyni, a jej dopływ przepływał przez święte grunty. Nad jego brzegami było wiele przyjemnych, ocienionych miejsc, gdzie kapłani i kapłanki mogli znaleźć spokój i odosobnienie, gdyby potrzebowali ich do kontemplacji albo modlitwy. Ujście było strzeżone, by nikt obcy nie zakłócał im spokoju, ale jeśli gość miał odpowiednie pozwolenie, mógł płaskodenną łodzią wpłynąć na teren Świątyni.

Ulubionym miejscem Aurai był nieduży pawilon z białego kamienia. Po jednej stronie schodki prowadziły nad samą wodę, gdzie tkwiły słupki do cumowania łodzi. W tej chwili na zaokrąglonym czubku jednego z nich balansował veez i pilnie badał jego powierzchnię. Potem spojrzał na następny i Auraya wstrzymała oddech, gdy skoczył w jego kierunku. Wylądował miękko i odbił się znowu, przeskakując ze słupka na słupek.

- Mam nadzieję, że umiesz pływać, Figlu - powiedziała. - Jeden błąd i wpadniesz do wody.

Na ostatnim słupku zwierzak stanął na tylnych łapkach i zamrugał.

- Ałaja - powiedział.

Błyskawicznie zeskoczył, podbiegł do jej ławki i wskoczył jej na kolana.

- Kołyk?

Zaśmiała się i podrapała go po policzku.

- Nie ma smakołyków.

- Akoć?

- Ani łakoci.

- Kąska? - zapytał, patrząc jej w oczy.

- Nie ma przekąski.

- Jedzenie?

- Nie ma jedzenia.

- Gfyzienie?

- Ani nic do przegryzienia. - Czekała, ale veez milczał i patrzył na nią błagalnie. - Później - obiecała.

Świadomość czasu była u veeza dość ograniczona. Rozumiał „noc", „dzień" i fazy księżyca, ale zupełnie nie pojmował mniejszych jednostek czasu. Nie mogła mu powiedzieć „za parę minut", więc ograniczyła się do „później", co oznaczało po prostu „nie teraz".

Veez był dziwnym, zabawnym towarzyszem. Kiedy tylko wracała do swoich pokojów, przybiegał i raz po raz powtarzał jej imię. Trudno było się oprzeć takiemu powitaniu. Tak jak sugerowali Somreyanie, starała się poświęcać godzinę dziennie na jego tresurę, ale było dobrze, jeśli znalazła więcej niż kilka minut. Na szczęście uczył się szybko, więc może to wystarczało.

Znalezienie imienia okazało się prawdziwym wyzwaniem. Kiedy się dowiedziała, że veez Mairae nazywa się Gwiezdny Pył, postanowiła znaleźć coś nie tak wymyślnego. Danjin opowiedział jej o pewnej bogatej damie, która nazwała swojego Cnotą - najwyraźniej po to by konwersacje kończyć zdaniem: „Ale bardzo wysoko cenię moją Cnotę". Teraz, kiedy Auraya co rano omawiała z nim plany na dany dzień, zawsze się uśmiechał, gdy dodawała: „Ale trochę czasu zajmie mi pewien Figiel".

Tego ranka jednak zabrała ze sobą Figla nie po to, by go tresować, ale by pomagał odwrócić uwagę od trudnych tematów, gdyby planowana rozmowa okazała się kłopotliwa. Była też ciekawa, jak veez zareaguje na jej gościa. Niestety, swoje opinie o ludziach miał zwyczaj wygłaszać głośno w ich obecności, czego nie zdołała go jeszcze oduczyć.

Otworzyła koszyk i wyjęła skomplikowaną zabawkę z zestawu, który dostarczyli Somreyanie. Odłożyła ją i zaczęła czytać instrukcję użytkowania. Ku jej zdziwieniu, okazało się, że zabawka ma nauczyć

veeza otwierania zamków umysłem. Nie była pewna, co uznać za bardziej komiczne: to że veezy są do tego zdolne czy fakt że Somreyanie uznali to za sztuczkę wartą nauczenia.

Usłyszała plusk i spojrzała w górę rzeki. W polu widzenia pojawiła się płaskodenna łódź, sterowana przez dwóch ludzi z żerdziami. A kiedy zobaczyła pasażera, odetchnęła z ulgą. Martwiła się, czy Leiard przyjmie zaproszenie. Do tej pory nie spotykali się na terenach Świątyni, ale w dyskretnych, spokojnych miejscach na mieście. Wiedząc, że wszystko, co budują cyrklianie, budzi u niego nerwowość i nieufność, obawiała się, czy odważy się znowu tu wkroczyć.

Ale przybył.

I bardzo dobrze. Gdyby nie potrafił się zmusić do wejścia do Świątyni, myślała, nie byłby w stanie wykonać zadań, które chcę mu powierzyć. Patrzyła, jak łódź zbliża się coraz bardziej. Figiel zeskoczył jej z kolan i po maszcie pawilonu wdrapał się na dach. Ludzie z żerdziami wypchnęli łódź z głównego nurtu, a kiedy podpłynęła do schodków, jeden z nich wyskoczył i obwiązał słupki cumą.

Leiard podniósł się zwinnie. Zszedł na brzeg i ruszył po schodkach w górę. Auraya patrzyła na niego w zadumie i z podziwem. Było coś niezwykłego w tej jego nieprzemijającej aurze godności i spokoju. W tym, jak się poruszał z niespieszną swobodą.

Kiedy jednak spojrzała mu w oczy, przekonała się, że wrażenie spokoju było czysto zewnętrzne. Nerwowo uciekał od niej wzrokiem, by za chwilę powrócić i znowu uciec. Zawahała się, po czym przyjrzała się dokładniej. W jego myślach walczyły ze sobą lęk i nadzieja.

Była zadowolona, że udało się spotkać z nim sam na sam. Dyara chciała nadzorować tę rozmowę, jak zwykle, ale Auraya domyśliła się, że obecność innej Białej może go onieśmielić. Zwłaszcza takiej, która aż ociekała niechęcią na samą wzmiankę o tkaczach snów.

Zauważyła, że u Leiarda nadzieja zwycięża chyba z lękiem. Dostrzegał w Aurai potencjał dla zmiany sytuacji jego ludu, a to

sprawiało, że warto było walczyć ze strachem, jaki budziła w nim Świątynia. Zauważyła też, że to zaufanie dotyczy tylko jej. Wierzył, że z własnej woli nie skrzywdziłaby tkaczy snów. Ani nie byłaby zadowolona, gdyby uczynił to inny Biały. Była najlepszą szansą na pokój, z jaką tkacze snów się zetknęli.

Widziała jednak, że on nie do końca w to wierzy. Cyrklianie troszczą się tylko o bogów i o siebie. Gardzą tkaczami snów i się ich boją. Nie był pewien, czy ufając jej, nie postępuje jak głupiec. Frustrowało go, że nie potrafi wyczuć jej emocji. Mogła się zmienić, kiedy została Białą. To może być pułapka...

Auraya zmarszczyła czoło. Już przy wcześniejszych spotkaniach dostrzegała pewne oznaki, że Leiard potrafi wyczuwać emocje innych, ale teraz po raz pierwszy pomyślał o tym wprost, potwierdzając, że to prawda. Wcześniej nigdy nie wspominał o tej umiejętności, nawet kiedy była jeszcze dzieckiem.

Czyli nie o wszystkim mi wtedy mówił, pomyślała. Nic dziwnego. Wieśniakom nie spodobałoby się, że potrafi odczytywać jakąś część ich umysłów, choćby tylko emocje. Ciekawe, czy inni tkacze snów też to potrafią.

Wszystko to przemknęło jej przez głowę, kiedy on wspinał się do pawilonu. Uśmiechnęła się, gdy stanął parę stopni niżej, a ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

- Auraya - powiedział. - Auraya z Białych. Tak właśnie powinienem się do ciebie zwracać, prawda?

Wzruszyła ramionami.

- Oficjalnie, tak. Prywatnie możesz mnie nazywać, jak ci wygodnie. Oprócz „gnojodechu". Dla tego określenia robię wyjątek.

Uniósł brwi, a jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Widząc, że ludzie z łodzi starają się ukryć chichot, odwróciła się i machnęła do nich.

- Dziękuję wam. Czy możecie wrócić za godzinę? Kiwnęli głowami i wykonali oburącz znak kręgu. Odwiązali cumy, wskoczyli do łodzi i pchnęli ją z prądem.

Auraya przeszła do ocienionego pawilonu, wyczuwając, że

Leiard podąża za nią.

- Co u ciebie? - spytała.

- Dobrze - odparł. - A ty, jak się czujesz?

- Tak samo. Lepiej. Cieszę się, że zmieniłeś zdanie i zostałeś w mieście.

- Ja też. - Uśmiechnął się.

- Jak twoi gospodarze?

- Wszystko w porządku. Nauczyciel ich syna umarł zeszłej zimy i nie znalazł się nikt na jego miejsce. Więc na razie ja przejąłem te obowiązki.

Poczuła lekkie ukłucie zazdrości. A może to zwykła tęsknota za przeszłością? Miała nadzieję, że chłopiec szybko zrozumie, jakie miał szczęście, zyskując takiego nauczyciela.

- Wydawało mi się, że łatwiej znaleźć nauczycieli tkaczy snów w mieście niż poza nim - wyznała. - Z pewnością jest ich więcej niż tylko ty i ten chłopak.

Leiard wzruszył ramionami.

- Tak, ale żaden nie był wolny, więc nikt nie mógł przyjąć ucznia. Nie nauczamy więcej niż jednego naraz, a nawet ci z nas, którzy to lubią, potrzebują trochę czasu bez ciągłych wymagań związanych z nauczaniem.

Ciągłych wymagań? Czy to znaczy, że przez najbliższe kilka lat Leiard będzie zajęty?

- Czy ten nowy uczeń zajmie ci cały czas? - spytała. Pokręcił głową.

- Skąd.

- Czy zatrzyma cię w Jarime?

- Nie, jeśli postanowię odejść. Uczeń idzie tam, gdzie jego nauczyciel.

- A nie miałeś może w planach wizyty w Somreyu? Uniósł brwi.

- Dlaczego?

Spoważniała i oznajmiła rzeczowym tonem:

- Mam dla ciebie propozycję, Leiardzie. Bardzo poważną propozycję Białej dla tkacza snów.

Obserwowała jego reakcję na tę nagłą zmianę zachowania. Odsunął się trochę, a na twarzy pojawił się wyraz czujności, ale myśli wypełniła nadzieja.

- Nie myśl, że musisz ją przyjąć - zapewniła. - Jeśli to, co zaproponuję, nie będzie odpowiadać tobie, to może będzie innemu tkaczowi snów. Jeżeli uznasz, że prawdopodobnie żaden tkacz snów się na to nie zgodzi, powiedz mi o tym. W każdym przypadku będę wdzięczna za twoje opinie.

Kiwnął głową.

- Biali chcą zawrzeć przymierze z Somreyem.

Kiedy tłumaczyła mu, jak wygląda sytuacja, milczał. Czasem tylko kiwał głową na znak, że rozumie.

- Juran prosił mnie, żebym przyjrzała się warunkom traktatu - ciągnęła. - I uświadomiłam sobie, że nie wiem o tkaczach snów tyle, ile mi się wydawało. Miałam wiele pytań... - Uśmiechnęła się. - Żałowałam, że nie ma cię przy mnie, żebyś na nie odpowiedział. I zrozumiałam, że potrzebujemy tkacza snów jako doradcy. Kogoś, kto nam powie, które punkty traktatu mogą sprawić kłopoty. Kogoś, kto nam pomoże negocjować. Kogoś, kto w imieniu tkaczy snów będzie mógł negocjować wszędzie. - Urwała, przyglądając mu się z uwagą. - Czy zechcesz być naszym doradcą, Leiardzie? Pojedziesz ze mną do Somreyu?

Patrzył na nią w milczeniu. Opanował już zaskoczenie i zaczął rozważać tę propozycję, dyskutując sam ze sobą:

To jest właśnie ta okazja, o której Tanara mówiła, że może nadejść. Nie wolno mi jej wypuścić. Muszę się zgodzić.

Nie. Jeśli to zrobisz, będziesz musiał wejść do Białej Wieży. Tam mieszka Juran. Tam są bogowie!

Nie mogę ze strachu zlekceważyć takich możliwości.

Musisz. To niebezpieczne. Niech wybierze kogoś innego. Znajdź jej kogoś.

Na to stanowisko nie ma nikogo lepszego ode mnie. Znam ją. Ona mnie zna.

Ona jest niewolnicą bogów.

Ona jest Aurayą.

Dziwnie było obserwować, jak ktoś bije się z własnymi myślami. Rozsądek i nadzieja zwyciężały w starciu z lękiem, ale odkryła, że lęk sięga głęboko. Co wywołało taki strach przed bogami? Czy zdarzyło mu się coś, co napełniło go grozą? Czy też taki strach jest u tkaczy ‚snów czymś normalnym? Opowieści, jakie słyszała o czasach, kiedy tkacze snów byli brutalnie prześladowani, wystarczały, by u każdego wzbudzić dreszcz przerażenia.

Będzie musiał walczyć z tym strachem zawsze, gdy spróbuje wejść do Świątyni. I nagle zrozumiała, że nie może tego wymagać. Powinna znaleźć innego tkacza snów. Nie powinna prosić przyjaciela, by znosił taką grozę.

- To nie musisz by ty - powiedziała. - Szkolisz już tego chłopca, więc pewnie nie masz czasu. Czy mógłbyś polecić innego tkacza snów?

- Ja... - Urwał i potrząsnął głową. - Kolejny raz mnie zaskoczyłaś, Aurayo - wyznał cicho. - Z początku sądziłem, że chcesz tylko rady w sprawie tego sojuszu. Ale twoja oferta to zbyt ważna sprawa, bym podjął decyzję, nie poświęcając jakiegoś czasu na zastanowienie.

Przytaknęła.

- Naturalnie. Pomyśl o tym. Daj mi znać za... Nie jestem pewna, ile mogę ci dać czasu. Tydzień. Może więcej. Zawiadomię...

Oboje podskoczyli, kiedy coś spadło jej na ramię.

- Kołyk! - zapiszczał cienki głos prosto w jej ucho.

- Figiel! - jęknęła, przyciskając dłoń do mocno bijącego serca. - To nie było grzeczne.

- Kołyyyk! - zażądał veez.

Przeskoczył od niej na ramię Leiarda. Auraya z ulgą zobaczyła, że tkacz snów uśmiecha się szeroko.

- No, chodź...

Objął palcami ciałko veeza. Figiel zapiszczał rozpaczliwie, gdy Leiard zdjął go z ramienia i ułożył na grzbiecie. Ale kiedy zaczął go drapać po brzuszku, natychmiast się uspokoił i zamknął oczy. Po chwili leżał bezwładnie na dłoni tkacza snów i tylko palce drgały mu

mimowolnie.

- Jest bezwstydny! - zawołała.

Leiard uśmiechnął się i podał jej veeza. Przez moment patrzył jej w oczy nad kudłatym zwierzątkiem. Auraya poczuła dziwną euforię, widząc błyszczące mu w oczach iskierki. Już dawno nie widziała go tak... rozbawionego.

I nagle przypomniała sobie, co wiele lat temu powiedziała jej matka. Że kobiety z wioski martwią się, czy nie podkochuje się w Leiardzie. Że nie jest taki stary, jak by się wydawało.

Rozumiem, czemu się martwiły. Wydawał mi się kimś prastarym. Ale przecież byłam dzieckiem i widziałam tylko białe włosy i brodę. Tymczasem nie ma chyba więcej niż czterdzieści lat, a gdyby się ostrzygł i ogolił, byłby całkiem przystojny, w takim szorstkim stylu.

Veez ocknął się z transu i uniósł łepek.

- Więcej drap?

Oboje parsknęli śmiechem. Leiard odłożył veeza na ławkę. Zwierzak znów zaczął żebrać o jedzenie, więc Auraya otworzyła kosz i wyjęła przekąski dla całej trójki. Potem głośno przeczytała instrukcję użycia zabawki veeza i oboje się zastanawiali nad sensem uczenia zwierzaka takich sztuczek.

Łódź wróciła aż nazbyt szybko. Leiard poczekał, aż zacumują ją do słupków. Dopiero wtedy wstał. Przez chwilę patrzył na Aurayę.

- Kiedy odpłyniesz do Somreyu? Wzruszyła ramionami.

- Zależy, czy znajdę doradcę. Jeśli nie, to pewnie Mairae odpłynie sama za jakiś miesiąc.

- A jeśli tak?

- Wtedy szybciej.

Kiwnął głową. Potem odwrócił się i ruszył do łodzi. Po kilku krokach przystanął, obejrzał się, uśmiechnął lekko i przechylił głowę.

- Rozmowa z tobą to prawdziwa przyjemność, Aurayo z Białych. Przyjmę stanowisko, jakie mi zaproponowałaś. Kiedy chcesz się ze mną spotkać?

Patrzyła na niego zdumiona.

- Co z tym czasem, który chciałeś poświęcić na zastanowienie?

Wyprostował się.

- Właśnie poświęciłem.

Przyjrzała mu się uważnie. Nie było nawet śladu po tym zamęcie, jaki wcześniej opanował jego myśli. Zdawało się, że rozsądek zwyciężył ze strachem, kiedy tylko Leiard wykorzystał okazję, by chwilę się zastanowić.

- Przekażę Juranowi, że się zgodziłeś. Kiedy nadejdzie konieczność, byś zjawił się w Białej Wieży, prześlę ci wiadomość.

Przytaknął. Odwrócił się, zszedł do łodzi i zajął miejsce na niskiej ławeczce. Skinęła na dwóch ludzi załogi, którzy rzucili cumy do wnętrza i przeszli na pokład. Po chwili popychali już łódź w górę rzeki. Leiard siedział spokojnie między nimi.

Patrząc na nich, Auraya wspominała wątpliwości, które dręczyły ją jeszcze niedawno. Bała się, że nie zechce się z nią spotkać, ale przyszedł. Bała się, że rozmowa będzie niezręczna, ale czuła się przy nim tak swobodnie jak zawsze. A przez cały czas zastanawiała się niespokojnie, co jej odpowie.

Teraz obawiała się tylko tego, że ta nowa sytuacja zniszczy dawną przyjaźń.

Kiedy łódź zniknęła z poła widzenia, Auraya zawołała Figla, wzięła kosz i ruszyła do Białej Wieży.

Fiamo wypił resztkę przyprawody i oparł się o maszt. Był z siebie wyjątkowo zadowolony, i to wcale nie z powodu napitku. Latem połowy zawsze były bardziej obfite, ale dzisiejszy okazał się lepszy niż przeciętny dla tej pory roku. Zarobi niezłe pieniądze.

Uśmiechnął się. Większość trafi do jego załogi, kiedy już wrócą, i do jego żony. Ale zamierzał trochę odłożyć, żeby kupić prezenty dla synów, kiedy znowu ruszy na północny wschód.

Na razie jednak nie miał do roboty nic poza próżnowaniem przy pomoście w Meranie. Wiatr zamarł i pewnie nie wróci przed wieczorem. A tymczasem zapowiadało się jedno z tych ciepłych, leniwych popołudni, nadających się tylko do picia z załogą.

Jego załogę tworzyli sąsiedzi i krewni. Pływał z nimi od lat, najpierw jako prosty rybak, gdy dowodził nimi jego ojciec, teraz jako kapitan, ponieważ ojciec umarł na płucnik pięć lat temu.

Fiamo poczuł, że kuter przechylił się odrobinę, i usłyszał stukot butów na trapie. Uśmiechnął się, kiedy na pokład wszedł stary Marro, niosąc gliniany dzban i płaski podpłomyk.

- Dostawa - oznajmił. - Według zamówienia.

- Najwyższy czas - rzekł szorstkim tonem Fiamo. - Już myślałem...

- Kapitanie!

To wołał Harro, syn sąsiada, najmłodszy w załodze. Fiamo spojrzał na chłopaka, słysząc w jego głosie niepewność i strach. Harro stał na dziobie, obserwując wioskę.

- Co jest?

- Tam... po drodze biegnie stado vornów! Może z dziesięć!

- Co?

Fiamo poderwał się na nogi i na moment jego oczy zaszły mgłą, od przyprawody i gwałtownego ruchu. Po chwili jednak zobaczył to, co zauważył chłopak. Meran był największym portem, jaki mogli osiągnąć w ciągu dnia żeglugi, ale w porównaniu z innymi wioskami wydawał się dość niewielki. Droga zaczynała się od końca pomostu i wspinała się na fale wzgórz. I tą drogą biegło skokami stado czarnych stworów.

- Niech bogowie nas chronią - szepnął i jedną ręką wykonał znak kręgu. - Odcumuj nas. Uderz w dzwon.

Widział już kiedyś vorna w świetle księżyca w pełni. Był wielki, pewnie w jego oczach powiększony dodatkowo strachem. Ale te tutaj były jeszcze większe, niż kiedykolwiek namalowała jego wyobraźnia. I zdawało się, że wcale im nie przeszkadza blask słońca. Pędziły drogą ku niemu jak jedna wijąca się czarna masa.

- Szybciej! - warknął.

Załoga wstała, by przyjrzeć się temu niemożliwemu widokowi. Na jego rozkaz wszyscy skoczyli do lin. Fiamo podszedł do relingu i krzykiem ostrzegł innych stojących w porcie rybaków. Poczuł, jak

kołysze się pokład, kiedy jego ludzie odepchnęli kuter od nabrzeża. Harro gorączkowo uderzał w dzwon. Rozwinięte żagle zwisały luźno. Fiamo czuł, jak mocno bije mu serce. Widział, jak kilku wieśniaków na widok zwierząt biegiem kryło się w domach. Szczelina między jego kutrem i krawędzią pomostu poszerzała się wolno. Odległość między vornami i pomostem kurczyła się o wiele szybciej.

- Wiosła! - krzyknął.

Ludzie rzucili się, by wykonać rozkaz. Bestie docierały już do płaskiego terenu. Wśród nich pojawił się niezwykły kształt i Fiamo usłyszał własne syknięcie.

- Człowiek! Człowiek jedzie na jednym z nich! - krzyknął Harro.

Fiamo poczuł, że łódź przyspieszyła, gdy tylko wiosła zanurzyły się w wodę. Rozejrzał się - inne łódki, lżejsze i mniejsze, posuwały się szybciej. W tej chwili to jego kuter był najbliżej pomostu. Choć nie sądził, by nawet tak wielkie vorny potrafiły przeskoczyć pas wody, coś mu mówiło, że nadal grozi im niebezpieczeństwo.

Stado rozbiegło się po wsi jak czarna fala powodzi. Fiamo lepiej już widział jeźdźca, mężczyznę w ubraniu, jakiego nie nosiłby człowiek z gminu. Kuter oddalił się na dwadzieścia kroków od nabrzeża i zwiększał prędkość, bowiem strach dodawał załodze sił. Vorny nie zwracały uwagi na domy. Wbiegły na pomost i kręciły się na krawędzi. Jeździec spojrzał na oddalające się łodzie, po czym jego wzrok wrócił do kutra Fiamo. Uniósł rękę.

Fiamo nabrał tchu, gotów odmówić, gdyby przybysz kazał im zawracać. Jednak żaden głos nie popłynął nad wodą. Zamiast tego kuter zadygotał i znieruchomiał.

A potem ruszył do tyłu.

Wiosła zablokowały się w swych pierścieniach. Załoga napierała na nie bezskutecznie. Harro wrzasnął piskliwie. Inni wykrzykiwali imiona bogów. Fiamo przykucnął, sparaliżowany grozą - łódź pędziła do brzegu jak kobieta, która właśnie zobaczyła swoją utraconą miłość.

Rozbijemy się o pomost, pomyślał.

W ostatniej chwili kuter zwolnił. I jeszcze zanim dobił do pomostu, vorny już skakały na pokład. Za obiema burtami rozległy się pluski, kiedy ludzie umiejący pływać wyskakiwali do wody. Też powinienem uciekać, pomyślał, ale został na miejscu. Przeklęty dureń ze mnie, ale nie potrafię się zmusić, żeby tak łatwo oddać swój kuter.

Nowa myśl przebiła się do umysłu: jeśli ten człowiek potrafi kontrolować bestie, to tylko jego musimy się obawiać. A z człowiekiem można się potargować.

Mimo to serce waliło w piersi Fiamo jak oszalałe, gdy mijały go vorny, wywieszając jęzory z paszcz pełnych ostrych zębów. Kilka okrążyło go, ale żaden nie rzucił się do gardła. Obejrzał się, gdy usłyszał za sobą krzyki bólu, i sam krzyknął przerażony, widząc vorny trzymające zębami za ręce i nogi jego ludzi. Ale tylko odciągały ich od relingu, nie powalały na pokład. Obciążony ich cielskami kuter zanurzył się głęboko.

Słysząc zgrzyt pocierających o siebie drewnianych elementów, Fiamo odwrócił się szybko. Zobaczył, że trap, niepopychany ludzką ręką, przesuwa się na krawędź pokładu. Kiedy koniec opadł na pomost, obcy wjechał na pokład. Zsunął się ze swego wierzchowca i stanął przed Fiamo.

- Kapitanie - powiedział z dziwacznym akcentem. - Powiedz załodze wziąć wiosła.

Fiamo z lękiem spojrzał na pozostałych jeszcze ludzi, skulonych razem i otoczonych przez vorny. Niektórzy, jak usłyszał, modlili się do bogów.

- Słyszeliście go, chłopcy. Wracać do wioseł.

Głos mu drżał, ale zachował dość autorytetu, by załoga, lękliwie wymijając vorny, wróciła na miejsca.

- Wyciągnąć wiosła i trzymać góra - rozkazał czarownik.

Gdy posłuchali, kuter zaczął oddalać się od pomostu. Trap zsunął się do wody niczym zła wróżba. Fiamo patrzył zdumiony, jak łódź nabiera prędkości i - mimo bezczynnych wioślarzy i braku wiatru - rozcina dziobem powierzchnię wody.

Magia, uznał. Odwrócił się i zobaczył, że obcy spogląda na brzeg. Podążając za jego spojrzeniem, dostrzegł w oddali człowieka jadącego drogą w stronę wioski - białą sylwetkę galopującą na białym wierzchowcu.

Czy to możliwe...?

Nowo przybyły dojechał do końca pomostu i zeskoczył na ziemię. Kuter zatrząsł się i zatrzymał gwałtownie, zwalając z nóg Fiamo, a wraz z nim kilka vornów. Poczuł, że wraca nadzieja, gdy zaczęli płynąć do tyłu. Popatrzył na białą postać.

Tak! To jeden z Białych! Jesteśmy uratowani!

Obcy wymruczał coś i ciągnąca ich ku brzegowi siła przestała działać. Uwolniony kuter zakołysał się w miejscu.

- Wiosłować! - warknął obcy. - Teraz!

Ludzie zawahali się, spoglądając niepewnie na Fiamo.

Vorny zawarczały.

Zaczęli wiosłować. Kapitan wstał chwiejnie. Kuter z wolna oddalał się od brzegu. Kiedy daleka postać stała się zaledwie białą plamką, czarny czarownik zaśmiał się cicho. Odwrócił się plecami do Meranu i zbadał wzrokiem kuter i załogę. Kiedy spojrzał w oczy Fiamo, uśmiechnął się tak, że krew kapitana zmieniła się w lód.

- Kapitanie, masz więcej wiosła?

Fiamo obejrzał się. Harro i stary Marro stali z pustymi rękami. Chłopak zajęczał cicho, kiedy podeszły do niego dwa vorny.

- Nie - przyznał Fiamo. - Ale...

Na jakiś niewypowiedziany rozkaz bestie skoczyły obu mężczyznom do gardeł. Chlusnęła krew, a Fiamo poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Nie było krzyków, ale słyszał uderzające o pokład ręce i nogi.

- Wiosłować! - wrzasnął czarownik.

Fiamo słyszał, jak zbliża się do niego po deskach pokładu. Odgłosy ucztujących zwierząt były aż nadto wyraźne w bezwietrznej ciszy.

Stary Marro. Chłopak moich sąsiadów. Są martwi. Martwi.

Czarownik stanął nad nim.

- Dlaczego? - Fiamo usłyszał własny chrapliwy głos. Tamten odwrócił głowę.

- One głodne.

Szelest płótna zwrócił uwagę Fiamo - to wydymały się żagle. Przybył wieczorny wiatr.

Dokąd ich dzisiaj zaniesie, wolał się nie domyślać.

Wieża była wyższa niż wszystko, co w życiu widziała. Była tak wysoka, że chmury rozrywały się o nią, przelatując...

Nie! Nie znowu...

Emerahl wyrwała się z koszmaru i otworzyła oczy. Dręczył ją niemal każdej nocy przez ostatni miesiąc. Zawsze kończył się tak samo: wieża waliła się na nią, a ona wolno dusiła się pod gruzami. Jeśli pozwoliła, by się dośnił, budziła się roztrzęsiona i przestraszona. Zaczęła więc się budzić, kiedy tylko koszmar dopiero się zaczynał.

W końcu i tak przecież mnie obudzi; równie dobrze mogę to zrobić, kiedy sama zechcę.

Westchnęła, wstała, nalała trochę wody do kociołka i rozpaliła ogień. Płomienie rzucały upiorne cienie na ściany latarni - najstraszniejszym był jej własny, ze zgarbionymi ramionami i rozczochranymi włosami.

Stara wiedźma, pomyślała do cienia. Nic dziwnego, że wieśniacy się ciebie boją.

Od kilku dni nie widziała żadnego z nich. Czasami zastanawiała się, czy „mała Rinnie" nadal unika uścisków ojca i jego kamratów. Zwykle cieszyła się takim spokojem.

Więc skąd te koszmary? pytała samą siebie. Wyjęła ze słoja kilka suchych liści i wrzuciła je do kubka. Kociołek zaszeptał, kiedy woda zaczęła się rozgrzewać. Emerahl splotła palce i zaczęła rozmyślać o śnie.

Zawsze był taki sam. Szczegóły nigdy się nie zmieniały. Przypominał raczej wspomnienie niż sen, ale przecież nie miała takich wspomnień. Szczyciła się swoją pamięcią i tym, że nigdy nie tłumiła niczego, co ta pamięć zachowała z przeszłości. Dobre czy

złe, przyjmowała wszystko jako część tego, czym była.

Ten sen sprawiał wrażenie celowego. Czegoś takiego nie odczuwała już od bardzo dawna. Przypominał jej... przypominał sen przesłany przez tkacza snów!

To odkrycie wzbudziło tak rzadki dreszcz zdziwienia. Możliwe jest, że czarownik opanował taką sztukę albo kapłan... Ale coś jej mówiło, że to dzieło tkacza snów.

Ale czemu go posłał? Czy był skierowany wyłącznie do niej, czy nadawany tak, że mogła go odebrać każda odpowiednio wyczulona osoba? Zabębniła palcami o kolana. Treść snu może być wskazówką co do jego pochodzenia... Przypomniała sobie istniejące w przeszłości wieże, które widziała. Żadna nie wyglądała podobnie, ale przecież ta senna budowla może być symbolem jakiejś innej. Albo budynku, który się zawalił... Dreszcz przebiegł jej po plecach. Mirar zginął, kiedy Juran, przywódca cyrklian, zburzył Dom Tkaczy Snów w Jarime. Pogrzebał go pod jego gruzami. Podobno ciało było tak okaleczone, że ledwie go rozpoznali.

Czy to znaczy, że ktoś śni o śmierci Mirara? Tkacz snów o tak wielkiej mocy, że nadaje te sny dostatecznie głośno, by odebrała je Emerahl w swojej odległej kryjówce? To możliwe, że tkacz snów śni o śmierci ich przywódcy, ale dlaczego śni o tym tyle razy? I dlaczego nadaje?

Woda już bulgotała, ale Emerahl nagle przestała mieć ochotę na nasenne zioła. Chciała pomyśleć. Zdjęła kociołek z paleniska i odstawiła na bok. Kiedy bulgotanie ucichło, usłyszała z zewnątrz jakieś głosy.

Westchnęła. Nareszcie się pojawili. Pora pokazać tym ledwie ucywilizowanym wieśniakom, dlaczego powinni szanować mądrzejszych od siebie.

Wstała i podeszła do wejścia latarni. Rzeczywiście, kolumna ludzi sunęła krętą ścieżką w jej stronę. Emerahl uśmiechnęła się smętnie i pokręciła głową.

Głupcy.

A potem rozbawienie rozwiało się w jednej chwili. Na czele

wieśniaków szedł człowiek ubrany całkowicie na biało.

Kapłan!

Odwróciła się, przeklinając głośno. Żaden cyrkliański kapłan nie był tak potężny, by ją zwyciężyć, ale każdy był reprezentantem bogów. A gdyby zobaczyli ją przez jego oczy...

Zaklęła znowu i wbiegła do środka. Złapała koc i rzuciła na niego swoje najcenniejsze rzeczy. Owinęła je i zawiązała pakunek kawałkiem cienkiego sznurka. Przycisnęła tobołek do piersi i przeskoczyła na drugi koniec pomieszczenia.

- Czarownico!

Głos należał do wójta. Emerahl zamarła, a potem zmusiła się do ruchu. Ściągając w siebie magię, odgarnęła ziemię z części podłogi. Wśród kamieni pojawił się duży prostokątny otwór.

- Wychodź, czarownico, bo wejdziemy tam i sami cię wyciągniemy!

Szybciej! Sięgnęła po więcej magii i ziemia poleciała na bok, ukazując stopnie. Emerahl wypchnęła ubitą ziemię z ciągnącego się dalej przejścia. Pojawił się kamień, potem zagłębienie. Wreszcie, z westchnieniem ulgi odsłoniła wejście do tunelu.

- Jak chcesz! Wchodzimy!

- Ja wejdę pierwszy, dla waszego bezpieczeństwa - odezwał się nieznajomy głos. Rozległy się słabe protesty. - Jeśli jest czarownicą, jak mówicie, to może być bardziej niebezpieczna, niż wam się wydaje. A ja miałem już do czynienia z takimi jak ona.

Emerahl wbiegła do tunelu. Po kilku krokach w ciemności odwróciła się i sięgnęła umysłem za siebie. Do tunelu kaskadą spłynęła ziemia, którą ściągała ku sobie. Nie wiedziała, czy to wystarczy, by zamaskować jej drogę ucieczki.

Lepiej więc się stąd wynosić. Zapragnęła istnienia światła, które odsłoniłoby schodzące w ciemność stopnie. Ściskając swój tobołek, pospieszyła w dół.

Schody wydawały się ciągnąć w nieskończoność, ale przynajmniej tunel nie rozsypywał się za bardzo. Miejscami ściany albo strop nie wytrzymały i musiała przeciskać się ostrożnie bokiem.

Powietrze stało się już wilgotne, kiedy usłyszała z tyłu słabe echo dźwięku.

Znowu zaklęła. Ten tunel był jej tajemnicą od ponad stu lat. Powinna przepędzić tych przemytników, kiedy tylko tu przybyli. Jednak słusznie się obawiała, że wieści o potężnej czarownicy mieszkającej w latarni mogą ściągnąć na nią niepożądaną uwagę. A teraz ich potomkowie wypędzali ją z domu.

Poczuła gniew. Kusiło ją, by w ciemności zastawić na nich pułapkę. Dopóki kapłan jej nie zobaczy, będzie bezpieczna. Mogłaby zabić jego i całą resztę, zanimby zrozumieli, co się dzieje...

„Nic nie pozostaje takie samo. Jedyne, czego w życiu można być pewnym, to zmiana". Mirar to powiedział. I spotkała go ostateczna zmiana: śmierć. Jeden błąd, a ona też do niego dołączy. Nie warto ryzykować.

Zbiegła po schodach.

U ich stóp tkwiły kamienne drzwi. Nie warto było przekonywać ich mechanizmu, by zadziałał - pewnie zupełnie zardzewiał.

Wyciągnęła ręce i przesłała przez nie magię. Energia uderzyła w kamień, który rozpadł się z ogłuszającym hukiem. Emerahl wyszła na wąską dróżkę po lewej stronie drzwi.

Nie była to właściwie ścieżka, a raczej fałda na ścianie klifu. Zgasiła światło i szła przy blasku księżyca. Mięśnie zaczynały ją boleć po tym biegu przez tunel. Czuła się niezbyt pewnie, idąc szybko dróżką, więc dla zachowania równowagi dotykała jedną ręką skały.

Nie śmiała przystanąć i spojrzeć za siebie. Kiedy pościg dotrze do końca tunelu, usłyszy to. Klif wyginał się zresztą, więc pewnie skała zasłaniała ją przed wzrokiem tamtych.

Ścieżka zwęziła się; Emerahl musiała przycisnąć ciało do ściany i przesuwać się dalej ostrożnie, balansując na palcach stóp. Wreszcie wyczuła otwór w skale. Przeszła jeszcze kawałek i przedostała się do groty.

Złożyła dłoń i zapaliła nowe światełko. Grota była płytka, a większą jej część zajmowała łódź. Emerahl obejrzała ją dokładnie.

Była zbudowana z jednego kawałka słonodrzewia, rzadkiego i cennego drewna, które było bardzo trudne w obróbce, ale nie próchniało przez setki lat. Nazwę wymalowała na dziobie już tak dawno, że farba się złuszczyła.

- Witaj znowu, Wiatrościgu - szepnęła, gładząc dłonią drewno. - Nie mam dla ciebie żagli, niestety. Na razie będę musiała wciągnąć koc.

Chwyciła dziób i pociągnęła w stronę otworu. Kiedy spory kawałek kadłuba wystawał już poza skałę, pchnęła mocno magią. Kierowana jej myślą łódź poleciała daleko i w dół, i z pluskiem wylądowała we wzburzonym morzu.

Potem wysłała tam tobołek, z nadzieją, że co delikatniejsze rzeczy przetrwają upadek. Fala groziła ciśnięciem łodzi na skały, ale Emerahl siłą woli utrzymywała ją w miejscu. Stanęła na krawędzi urwiska i nabrała tchu. Woda będzie bardzo zimna...

Z prawej strony usłyszała głosy. Wyjrzała z groty i nie dalej niż pięćdziesiąt kroków od siebie zobaczyła przesuwające się światło.

Zdusiła przekleństwo i zmusiła swe stare ciało, by skoczyło w dół, jak najdalej od klifu.

Spadła.

Otoczył ją płynny lód. Choć przygotowała się na zimno, jednak z bólu i zaskoczenia tylko najwyższym wysiłkiem powstrzymała się, by nie wypuścić z płuc powietrza. Obróciła się i popłynęła w stronę światła księżyca.

Gdy wynurzyła głowę, poczuła, jak fala pcha ją do klifu. Sięgnęła po więcej magii i odepchnęła się od solidnej skały. Woda zapieniła się, kiedy pomknęła przed siebie. Po chwili dotarła do łodzi.

Była teraz niebezpiecznie blisko lądu, gdyż morze wykorzystało okazję, gdy Emerahl zajmowała się nurkowaniem i pływaniem. Czarownica chwyciła burtę i wciągnęła się do środka. Przez chwilę leżała na dnie, parskając i dysząc ciężko, i przeklinając samą siebie za to, że tak rozleniwiła swe ciało.

I wtedy usłyszała krzyk. Usiadła i spojrzała za siebie.

Ludzie przyciskali się do skalnej ściany. Kapłana nigdzie nie było widać.

Z uśmiechem skupiła swój umysł na urwisku i pchnęła. Łódź wystrzeliła przed siebie, rozpryskując wodę po obu stronach. Klif oddalał się powoli, a wraz z nim wieśniacy, którzy wypędzili ją z domu.

Na tę myśl zaklęła wściekle.

- Kapłan! Tutaj! Na boskie jaja, Wiatrościgu, czy nie ma już miejsca, którego cyrklianie nie zatruliby swoim jadowitym smrodem?

Nie było odpowiedzi. Spojrzała na maszt, ułożony bezpiecznie na dnie łodzi, i westchnęła.

- Zresztą, co ty możesz wiedzieć? Przez całe lata siedziałeś w tej dziurze jak wdowiec w żałobie. Myślę, że ty i ja lepiej spróbujemy znaleźć dla ciebie żagiel, a dla mnie nowy dom.

9

Kiedy Danjin wszedł do pokoju przyjęć Aurai, zobaczył przy oknie dobrze już sobie znanego wysokiego mężczyznę. Leiard, pomyślał. Punktualny jak zawsze.

Tkacz snów odwrócił się i uprzejmie skinął głową. Gdy Danjin odpowiedział tym samym, spostrzegł, że para z oddechu Leiarda osiadła na szybie okna. Poczuł, jak włoski na karku stają mu na sztorc. Jak ktoś może stać tak blisko szyby, z taką otchłanią na zewnątrz?

Zauważył, że kiedy Leiard wchodzi do dowolnego pokoju w Wieży, zawsze staje przy najbliższym oknie. Czyżby fascynował go widok? Danjin przyjrzał się uważnie tkaczowi snów, który znowu wyglądał przez okno. Patrzył w skupieniu. Całkiem jakby chciał przejść przez nie i... i...

Uciec, pomyślał nagle Danjin.

Co byłoby przecież zrozumiałe. Oto stał tutaj, w miejscu, gdzie wpływ bogów był najsilniejszy na świecie. Bogów, którzy zabili twórcę tkaczy snów.

Jednak to spojrzenie było jedynym znakiem zaniepokojenia, jaki Danjin u niego zauważył. Leiard nigdy się nie denerwował, ale też nigdy nie był rozluźniony. Sprawiał wrażenie, jakby jego myśli i emocje zawsze były pod ścisłą kontrolą.

Otworzyły się drzwi do prywatnych pokojów Aurai, która stanęła w progu i uśmiechnęła się, widząc obu gości. Danjin wykonał formalny znak kręgu, Leiard jak zwykle pozostał nieruchomy. Auraya nigdy nie dała poznać, że może jest tym urażona.

- Danjinie Spearze. Tkaczu snów Leiardzie - powiedziała. - Czy jesteśmy spakowani i gotowi do drogi?

Jej twarz zdradzała podniecenie. Była jak dziecko, które właśnie ma wyruszyć w pierwszą podróż daleko od domu. Leiard wskazał wytartą sakwę obok krzesła.

- Jestem gotów - zapewnił z powagą. Auraya spojrzała na sakwę.

- To wszystko?

- Wszystko, co zwykle zabieram w drogę.

- Nasz bagaż jest już na statku - poinformował Aurayę Danjin.

Miał na myśli trzy wielkie kufry, które posłał do portu. Jeden pełen był zwojów, prezentów i innych przedmiotów związanych z celem ich podróży. Drugi zawierał rzeczy Aurai. Trzeci, ten największy, pełen był jego ubrań i sprzętów. Leiard i Auraya mają mniej problemów, uznał. Oboje noszą uniformy, a nie te nieskończenie urozmaicone, wytworne stroje, w jakich on sam powinien występować, będąc przedstawicielem wyższych kręgów towarzyskich Hani.

- W takim razie powinniśmy zajrzeć do pokojów Mairae - stwierdziła Auraya. Cofnęła się, schyliła i podniosła coś z podłogi w drugim pokoju. - Chodź, Figiel. Pora ruszać.

Trzymała niedużą klatkę. Wewnątrz siedział skulony veez, zapierając się czterema łapkami o podstawę.

- Klatka zła - oświadczył ponuro.

- Cicho - odpowiedziała.

Ku zdziwieniu Danjina, zwierzątko posłuchało. Auraya podeszła do drzwi. Leiard podniósł swoją sakwę i spojrzał pytająco na Danjina. Doradca wyszedł więc za kapłanką, a tkacz snów podążył za nim.

Auraya ruszyła schodami w górę. Po drodze minęła ich jadąca w dół klatka; jej jedynym pasażerem był młody człowiek w niezwykle wytwornych, oficjalnych szatach. Danjin rozpoznał w nim jednego z licznych książąt Genrii. Książę, widząc Aurayę, skłonił się lekko i wykonał formalny znak kręgu. Auraya uśmiechnęła się w odpowiedzi i skinęła mu głową.

Minęli drzwi prowadzące do kwatery Riana. Danjin przypomniał sobie o krążących w mieście plotkach i domysłach, dotyczących niedawnej wyprawy Białego na południe. Wieści o groźnym czarowniku, napadającym na toreńskie wioski, dotarły aż do Jarime, i wszyscy uważali, że Rian wyruszył rozprawić się z oszustem. Kiedy wrócił przed kilkoma dniami, Danjin spodziewał się jakiegoś

tryumfalnego obwieszczenia, że oto zażegnano groźbę dla sprzymierzonego kraju. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Czy to znaczy, że Rian przegrał? Czy też wyruszył w całkiem innym celu?

Auraya stanęła przed drzwiami Mairae i zastukała delikatnie. Otworzyły się natychmiast i jasnowłosa Biała wprowadziła ich do pokoju przyjęć.

- Jestem prawie gotowa - powiedziała po szybkim, oficjalnym powitaniu. - Rozgośćcie się.

Twarz miała nieco zaczerwienioną, jak zauważył Danjin. Szybko zniknęła w prywatnych pokojach swojej kwatery. Auraya uśmiechnęła się, po czym spoważniała i zerknęła pytająco na Leiarda. Tkacz snów obojętnie popatrzył jej w oczy i wzruszył ramionami. Auraya odwróciła się, wyraźnie usatysfakcjonowana tym, co wyczytała z jego twarzy albo w jego myślach.

Tajemnice otaczają mnie przez cały czas, pomyślał Danjin.

Cichy pisk znów zwrócił jego uwagę na Figla. Veez był wyraźnie niespokojny - krążył po swojej klatce i zatrzymywał się co chwilę, by popatrzeć w górę. Danjin także podniósł wzrok; zobaczył drugiego veeza, trzymającego się sufitu nad klatką...

Veez Mairae... Samiczka. Jak jej na imię? Aha, Gwiezdny Pył.

Rozumiał, skąd taki wybór. Zwierzątko było czarne w maleńkie białe plamki na całym ciele. Gwiezdny Pył zeskoczyła z sufitu na oparcie fotela, a potem zbiegła na podłogę. Podchodząc do klatki Figla, stanęła na tylnych łapkach i wydała z siebie długi świergoczący odgłos, będący naturalnym środkiem porozumiewania się tych stworzeń.

Drzwi otworzyły się i Mairae weszła z powrotem do pokoju przyjęć. Za nią podążała służąca z niedużą sakwą w ręku. Widząc Gwiezdny Pył, Mairae zawołała ją po imieniu.

- Zabierasz Figla? - zwróciła się do Aurai, gdy veez do niej podbiegł.

- Muszę, jeśli chcę dokończyć tresurę zgodnie z somreyańskimi instrukcjami.

Mairae schyliła się i pogłaskała zwierzątko.

- Chętnie wzięłabym Gwiezdny Pył, ale na statkach choruje. - Wskazała drzwi do swoich pokojów. - Wracaj tam.

Gwiezdny Pył podreptała do drzwi, po czym usiadła, spoglądając tęsknie na swoją panią...

- Niedługo wrócę - obiecała jej Mairae.

Zwierzątko westchnęło ciężko i smutnie, potem złożyło łapki i oparło na nich łepek. Mrugało, patrząc błagalnie na Mairae.

- Mała manipulatorka - mruknęła kapłanka. - Powinniśmy szybko wyjść, zanim zacznie płakać.

- Robią to? - zdziwiła się Auraya.

- Nie umieją wytwarzać łez jak ludzie, ale z pewnością potrafią naśladować rozpaczliwe zawodzenie. - Mairae zamknęła drzwi. - Jesteś gotowa do swojej pierwszej morskiej wyprawy?

- Bardziej już nie będę - odparła Auraya.

Mairae rzuciła im jeden ze swych olśniewających uśmiechów.

- W takim razie chodźmy do portu, zanim pomyślą, że zmieniłyśmy zdanie, i odpłyną bez nas.

Danjin uśmiechnął się. Tak jakby jeden ze statków Białych mógł odpłynąć bez Białych na pokładzie... Wyszedł za Mairae z pokoju. I kiedy czekali, aż nadjedzie klatka, rozmyślał o czekającym ich zadaniu.

Czy wszystko ułoży się zgodnie z ich nadziejami? Istnieje na to spora szansa, uznał. Może byłby innego zdania, gdyby tkacz snów nie wywarł na nim tak dobrego wrażenia. Podczas wszystkich konsultacji Leiard był zaskakująco szczery co do warunków, które mogą urazić jego lud. A równocześnie proponowane przez niego zmiany nie były nierozsądne. Jak dotąd Danjin nie zauważył niczego, co mogłoby sugerować, że Leiard ma jakieś inne cele, niż tylko złagodzenie konfliktu między tkaczami snów i cyrklianami.

Jednak było w nim coś dziwnego. Na przykład jego zachowanie wobec Aurai zmieniało się czasem w jednej chwili. Niekiedy był raczej milczący, a maniery i mowa wyrażały szacunek, a kiedy indziej przemawiał autorytatywnie, z wielką pewnością siebie. Może odzyskiwał tę pewność, kiedy zapominał, kim jest Auraya, i tracił ją,

kiedy tylko sobie przypomniał...

A może to coś innego? Danjin nie był pewien. Może niepokoiła go nerwowość Leiarda wobec innych Białych. Wprawdzie kilka razy spotykał się i rozmawiał z Mairae podczas dyskusji o przymierzu, ale zawsze był wobec niej czujny i oficjalny. W obecności Dyary rzadko się odzywał, być może dlatego, że nie kryła swojej niechęci do pogan. Podczas jednego z pierwszych spotkań tak zawzięcie wypytywała Leiarda, aż Mairae zaprotestowała, mówiąc, że to „przesłuchanie" zajęło połowę narady. Danjin podejrzewał, że Dyarę bardzo rozczarowała małomówność i niejasne odpowiedzi tkacza snów. A to niezadowolenie prowadziło do kolejnych pytań.

Rian tylko raz pojawił się na takim spotkaniu, ale odnosił się do Leiarda dość obojętnie. Juran był więc jedynym Białym, którego kontaktów z Leiardem Danjin nie miał okazji oglądać. Podejrzewał, że nic bardziej by nie zaniepokoiło tkacza snów, niż spotkanie z człowiekiem, który zabił założyciela jego kultu.

Kiedy dotarła do nich klatka, Danjin zastanowił się, czy skrępowanie Leiarda nie jest zaraźliwe. Ja czuję się nieswojo przy nim, bo on czuje się nieswojo przy ludziach, których szanuję...

Jednego był pewien: miał zamiar pilnie uważać na tkacza snów. Może rzeczywiście trudno oszukać Białych, ale nie założyłby się, że to całkiem niemożliwe.

W ciągu ostatniej godziny zewnętrzne brzegi Zatoki Jarime zaczęły zbliżać się do siebie, ukazując po obu stronach wysokie klify. Auraya przyglądała się z zaciekawieniem, jak załoga *Herolda* wykonuje swoje zadania, zgodnie z rozkazami dowódcy. Statek wypłynął z zatoki, a potem przesunął się między dwiema wielkimi skalnymi kolumnami, znanymi jako Strażnicy. Lekkie ruchy pokładu zmieniły się w silne kołysanie, kiedy wpłynęli na wody Lustrzanej Cieśniny.

- Na statkach zwykle chorowałam.

Auraya zerknęła na Mairae. Siedziały obie na rufie, gdzie drewniane ławy przylegały do relingu. Ułożono tam dla nich miękkie poduszki, a baldachim osłaniał je od jaskrawego słońca. Danjin i

Leiard stali niedaleko dziobu, a niewielka grupa służących była pod pokładem i przygotowywała lekki posiłek.

- Morska choroba?

- Tak. Działała na mnie tak mocno, że przez większą część rejsu byłam ledwie przytomna. - Mairae uniosła dłoń i rozłożyła palce. Światło słońca błysnęło na białym pierścieniu na jej środkowym palcu. - Czasem to te najdrobniejsze z Darów bogów cenię najbardziej...

Auraya zerknęła na własny pierścień, a potem na parę stojącą na dziobie.

- Mam nadzieję, że Leiardowi i Danjinowi nic nie dolega.

- Jestem pewna, że tkacz snów ma własne sposoby leczenia choroby morskiej, a Danjin pewnie zabrał odpowiednie lekarstwa. Jest bardzo zorganizowany.

- Rzeczywiście. - Auraya uśmiechnęła się. - Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. - Odwróciła się i przyjrzała z uwagą Mairae. - Ty nie masz doradcy?

- Miałam, na początku. Nazywał się Wesso, ale nazywałam go starym Westim, bo pochodził z wyspy Irian i miał tak silny akcent, że czasem trudno było go zrozumieć. Był moim doradcą przez dziesięć lat. - Zamyśliła się. - Wtedy już go nie potrzebowałam, ale odprawienie bardzo by go zraniło. Więc zatrzymałam go przy sobie, dopóki nie umarł. Czasami za nim tęsknię.

Kiedy patrzyła na smutek w oczach Mairae, Aurayę ogarnęło współczucie... i coś zbliżonego do strachu.

- Przyzwyczaiłaś się do tego, że ludzie się starzeją i umierają? - zapytała cicho.

Mairae spojrzała jej prosto w oczy. Twarz miała niezwykle poważną.

- Nie. Ale nauczyłam się, jak najlepiej ich opłakiwać. Daję sobie trochę czasu, by być nieszczęśliwa, a potem idę dalej. I nie pozwalam sobie, żeby za często przewidywać takie rzeczy. Uważam, że nie możesz za bardzo martwić się przyszłością, kiedy ta przyszłość rozciąga się przed tobą w nieskończoność.

- Chyba nie. Ale czasem trudno się nie martwić. Pewnie będę musiała się tego nauczyć, obok innych rzeczy.

Mairae uniosła brwi.

- A co cię tak martwi?

Auraya zawahała się, ale pokręciła głową...

- Takie... drobiazgi. Nic ważnego.

- Nadal jesteś człowiekiem, Aurayo. To, że musisz zajmować się wielkimi sprawami, nie znaczy przecież, że te małe się nie liczą. A ponieważ podczas tej wyprawy zastępuję Dyarę jako twoja nauczycielka, powinnam odpowiadać na pytania, te wielkie i te małe.

- Nie dyskutuję z Dyarą o sprawach drobnych. Mairae uśmiechnęła się.

- Ja też nie. Tym bardziej powinnaś porozmawiać ze mną. No więc?

- Martwię się, że będę samotna - wyznała Auraya. Mairae pokiwała głową.

- Wszyscy się tego lękają, śmiertelni czy nie. Znajdziesz nowych przyjaciół, którzy zastąpią starych. - Uśmiechnęła się znowu. - Kochanków też.

Jak Haime, ten genriański książę? Auraya wróciła pamięcią do tego ranka, kiedy widziała młodego człowieka zjeżdżającego klatką z Wieży. Wychwyciła dostatecznie wiele jego myśli, by wiedzieć, że właśnie opuścił kwaterę Mairae - i co tam robił przez większą część nocy. Co tylko potwierdziło, że plotki o Mairae i jej kochankach były prawdą.

Mairae parsknęła śmiechem.

- Z twojej miny wnioskuję, że słyszałaś o moich.

- Tylko pogłoski - odparła wymijająco Auraya.

- Nie da się zachować tajemnicy przed innymi Białymi, a tym bardziej przed służącymi. - Uśmiechnęła się. - To śmieszne, by ktokolwiek oczekiwał, że zachowamy celibat przez całą wieczność. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Bogowie nie mówili, że musimy.

- Czy kiedykolwiek przemówili do ciebie? - spytała Auraya, korzystając z okazji, by zmienić temat. Była pewna, że jeśli Mairae

zacznie opowiadać o dawnych kochankach, będzie oczekiwała tego samego od niej, a wiedziała, że jej doświadczenia trudno nawet porównać do Mairae. - Do mnie się jeszcze nie odezwali.

Mairae kiwnęła głową.

- Czasami przemawiają. - Przerwała. Na jej twarzy pojawił się wyraz zadumy. - Yranna lubi mój gust co do mężczyzn.

Jest jak starsza siostra. - Odwróciła się do Aurai. - Na pewno słyszałaś o Anyali, wielkiej miłości Jurana. Wszyscy powtarzają, jak wierny jest Juran. Kłopot polega na tym, że on od dwudziestu lat nie miał innej kobiety. To sprawia wrażenie, jakby po nas także spodziewał się zachowania celibatu. Ale ty tak nie uważasz, prawda?

- Nie, ja... Słyszałam, że Juran miał kiedyś żonę. Auraya uznała, że odejście od tematu kochanków nie wychodzi jej najlepiej.

- Nigdy nie byli małżeństwem - sprostowała Mairae. - W tej kwestii bogowie wyrazili się jasno: żadnych małżeństw ani dzieci. A odkąd ona nie żyje, Juran nawet nie spojrzał na żadną inną. Moim zdaniem to niezdrowe. No a Dyara... - Przewróciła oczami. - Dyara jest jeszcze gorsza. Typowa pruderyjna Genrianka. Ta jej tragiczna miłość do Timare trwała prawie czterdzieści lat. Nigdy nie przeszła na etap fizyczny. Moim zdaniem nie mogła znieść tego, że reszta z nas zobaczy ją nagą w myślach Timare. Ona tak się zachowuje, robi takie tajemnice, jakby miłość była czymś, czego należy się wstydzić.

- Timare?

- Jej ulubiony kapłan. - Mairae przyjrzała się uważnie Aurai. - Nie wiedziałaś?

- Spotkałam wysokiego kapłana Timare tylko raz czy dwa, jeszcze zanim zostałam wybrana.

Mairae uniosła brwi.

- Rozumiem. Czyli Dyara trzyma was od siebie z daleka. Pewnie nie chce, żebyś odkryła jej sekrecik. - Zabębniła palcami o ławę. - Czy wspomniała chociaż, jak powinnaś się zachowywać, kiedy chodzi o sprawy twojego serca... i sypialni?

Auraya pokręciła głową.

- To ciekawe. W każdym razie nie pozwól, żeby Dyara narzuciła

ci te swoje staroświeckie wartości. Bo wtedy staniesz się samotna i zgorzkniała.

- A co... co z Rianem? - spytała Auraya. Zrezygnowała z próby zmiany tematu, ale spróbowała skierować go ku innym osobom.

Mairae z niesmakiem zmarszczyła nosek.

- Nie sądzę, żeby potrafił... - mruknęła. I skrzywiła się. - To było okrutne i niesprawiedliwe. Rian jest bardzo przystojny. Tylko że taki... taki...

- Fanatyczny?

- Tak. - Mairae westchnęła. - Nic nie może stanąć między nim a bogami. Nawet miłość. Kobieta mogłaby z tym żyć, ale nie gdyby stale jej o tym przypominał.

Czy ja też taka jestem, zastanawiała się Auraya. Przez te lata, gdy była kapłanką, zakochała się kilka razy. Ale poczucie uniesienia i bliskości nie trwało dłużej niż parę miesięcy. Kiedy myślała o bogach, uczucie szacunku i podziwu dla nich było czymś zupełnie innym. Jeśli to miłość, w niczym nie przypominała tej ziemskiej namiętności, jaką czuła dla swych śmiertelnych kochanków. W jaki więc sposób jedno mogło nie zostawiać miejsca na drugie?

- Trochę surowo podchodzi do samego siebie z powodu wypuszczenia tego pentadrianina - dodała Mairae.

- To prawda - zgodziła się natychmiast Auraya. Mairae w końcu zaczęła mówić o innych sprawach. - Myślisz, że ten czarownik może wrócić?

Mairae skrzywiła się.

- Może i tak. Źli ludzie rzadko dają się powstrzymać na dłużej. Jeśli postąpią źle i uda im się uniknąć kary, zwykle próbują jeszcze raz.

- Czy zatem Juran pośle Riana na południowy kontynent?

- Wątpię. Ten czarownik miał zbyt zbliżoną do Riana moc. Nie sądzę, by na południu żyli inni podobni do niego, ale jest wielu pentadrian tak Obdarzonych, jak nasi wysocy kapłani i kapłanki. Z ich pomocą byłby dla Riana prawdziwym zagrożeniem. Nie; jeśli chcemy go pokonać, musimy czekać, aż sam do nas przyjdzie.

Auraya zadrżała.

- Nie będę się czuła całkiem bezpieczna, dopóki się nie dowiem, że jest martwy.

- Nie przejmuj się tym. - Twarz Mairae przybrała wyraz mądrości, jaki Auraya widywała dotąd tylko u ludzi starszych. - Zawsze istnieli potężni czarownicy, Aurayo. Niektórzy tak potężni, że nawet bez pomocy bogów zyskiwali nieśmiertelność. Zawsze udawało nam się ich pokonać.

- Dzicy?

- Tak. Moc korumpuje ludzi. Mamy szczęście, że kierują nami bogowie, i wiemy, że utracimy nasze Dary, jeśli zwrócimy się w stronę zła. Smutna prawda o tym świecie jest taka, że większość ludzi, którzy posiadają potężną moc magiczną, nie wykorzystuje jej właściwie. Mają zwykle egoistyczne ambicje, a w pobliżu nie ma nikogo dostatecznie silnego, by ich ukarał za ich występki.

- Oprócz nas.

- Właśnie. A zachęcając Obdarzonych, by zostali kapłanami, mamy nowych czarowników pod kontrolą.

Auraya przytaknęła.

- Czy tamten czarownik był jednym z Dzikich? Mairae zmarszczyła czoło.

- Niewielu wymknęło się Juranowi i Dyarze. Kobieta znana jako Wiedźma, chłopiec związany z morzem i żeglarzami, zwany Mewą, oraz para znana jako Bliźnięta. Od stu lat nikt ich nie widział. Juran uważa, że mogli odpłynąć na drugi koniec świata.

- Żadne z nich nie przypomina tego czarownika.

- Nie. Jest nowym Dzikim, jeśli w ogóle jest Dzikim. Bogowie ostrzegli nas, że spotkamy ich więcej. W każdym tysiącleciu rodzi się kilkoro. Musimy zmierzyć się z nimi, kiedy się pojawią. Na razie ty i ja mamy wynegocjować przymierze. - Uśmiechnęła się. - A ty powinnaś jak najlepiej wykorzystać to, że się wyrwałaś spod jarzma Dyary.

- Nie jest taka zła.

- Kłamiesz. Pamiętaj, że była też moją nauczycielką. Wiem, jaka

jest. To jedna z przyczyn, dla których się upierałam, że bez ciebie sobie nie poradzę, Próbowała przekonać Jurana, że masz za mało doświadczenia, ale on wie, że to zadanie nie przekracza twoich możliwości.

Auraya patrzyła na nią i próbowała wymyślić jakąś odpowiedź. Uratował ją znajomy okrzyk.

- Ałaja! Ałaja!

Veez wybiegł spod pokładu, wpadając niemal pod nogi dwóm żeglarzom, i z rozpędu wskoczył na kolana swej pani. Mairae roześmiała się, widząc, jak zaczyna lizać Aurayę po twarzy.

- Przestań! Wystarczy! - broniła się Auraya. A kiedy veez się uspokoił, spojrzała na niego surowo. - Jak się wydostałeś?

Veez wpatrywał się w nią z uwielbieniem.

- Wydaje mi się, że znowu otworzył zamek swojej klatki - odpowiedział męski głos.

Leiard szedł po pokładzie w ich stronę. Serce Aurai zabiło mocniej na jego widok. W roli doradcy okazał się bardziej pomocny, niż na to liczyła. Przyjemnie było w podróży cieszyć się jego towarzystwem. Jego obecność dodawała jej pewności siebie.

- Klatka zła - wymruczał veez.

- Usłyszałem, jak służący go przeklinają, więc zaproponowałem, że sprowadzę go z powrotem.

- Dziękuję ci, Leiardzie. - Westchnęła. - Ale przypuszczam, że znowu ucieknie. Równie dobrze może zostać ze mną...

Leiard kiwnął głową. Przesunął spojrzenie ku Mairae, a potem spuścił wzrok.

- Mairae z Białych - powiedział.

- Witaj, tkaczu snów Leiardzie - odparła.

Znowu zwrócił się do Aurai.

- Powiem służącym, że jest z tobą... Kiedy już odszedł, Mairae westchnęła lekko.

- Lubię wysokich mężczyzn. Ma ładne oczy. Szkoda, że jest tkaczem snów.

Auraya spojrzała na drugą Białą zaszokowana. Mairae wy-

buchnęła śmiechem.

- Och, Aurayo, jesteś tak samo pruderyjna jak Dyara. Tak naprawdę nie chcę iść z nim do łóżka. Ale nie wydaje mi się, żeby było coś złego w podziwianiu tych ładniejszych cech mężczyzny. Nie bardziej niż jest w podziwianiu kwiatu czy czystej krwi reyna.

Auraya z wyrzutem pokręciła głową.

- Nic złego, tylko nie chcę w ten sposób myśleć o mężczyznach wokół mnie.

- A czemu?

- Muszę z nimi pracować. Nie potrzebuję, by rozpraszały mnie rozważania, jacy są w łóżku.

Mairae zachichotała.

- Pewnego dnia możesz zmienić zdanie. Kiedy sobie uświadomisz, na ilu długich i nudnych naradach musisz wysiedzieć.

Aurai nie przyszła do głowy żadna sensowna odpowiedź. Któraś ze służących przybiegła na rufę i wykonała znak kręgu.

- Południowy posiłek jest gotowy - oświadczyła. - Czy mam podać tutaj?

- Tak, bardzo dziękuję - odparła Mairae. Wstała i spojrzała z góry na Aurayę. - Myślę, że wkrótce się dowiemy, jak twój doradca radzi sobie z morską podróżą.

Auraya uśmiechnęła się i posadziła veeza na ramieniu.

- Myślę, że tak.

10

Jest taki szczególny rodzaj napięcia, które ogarnia pod sam koniec podróży. Dla załogi *Herolda* miało to związek z przygotowaniami do wejścia do portu, pełnego już statków i łodzi. Dla pasażerów była to ulga, że wkrótce opuszczą niewygodny statek, połączona z nadziejami i obawami przed tym, co czeka ich u celu.

Leiard myślał o doradcy Aurai, stojącym po drugiej stronie obok dwóch siedzących Białych. Danjin Spear okazał się człowiekiem inteligentnym i doświadczonym, a do Leiarda odnosił się z szacunkiem. Tylko z rzadka jego uwagi zdradzały niechęć do tkaczy snów w ogólności.

Przyjrzał się Mairae. Ze wszystkich Białych poza Aurayą zachowywała się wobec niego najbardziej przyjaźnie. To ciepło wydawało się naturalną cechą jej charakteru, a nie czymś wyćwiczonym. Było jednak oczywiste, że woli towarzystwo osób wysoko urodzonych. Współczuła ubogim i doceniała ciężko pracujących rzemieślników, ale nie traktowała ich tak jak ludzi bogatych i potężnych. Tkaczy snów uważała pewnie za stojących gdzieś pomiędzy ubogimi i rzemieślnikami. Raczej litowała się nad nimi, niż nimi gardziła.

Inaczej Auraya, która ani nie żałowała tkaczy snów, ani nimi nie pogardzała. Leiard spojrzał na nią i nie mógł powstrzymać pewnej dumy. Trudno było jej nie odczuwać, gdy sobie uświadomił, jak daleko zaszła ta dziewczyna.

Inni Biali tolerowali go i przyjmowali jego rady, choć niektórzy z oczywistą niechęcią.

Mają nadzieję, że pomogę doprowadzić do przymierza. Kto mógłby się tego spodziewać? Wybrańcy Bogów liczą na pomoc tkacza snów...

Poryw chłodnego wiatru pchnął statek bliżej miasta. Kanciaste domy z białego kamienia wyrastały na zboczu opadającym stromo ku wodzie - przypominały przez to labirynt przerośniętych schodów. Tu

i tam wśród wszechobecnej bieli widoczne były plamy zieleni - Somreyanie kochali ogrody.

Pośrodku portu na masywnej kolumnie wznosił się ogromny posąg. Bardzo stare, zniszczone przez pogodę i wiatry oblicze było prawie nierozpoznawalne. W umyśle Leiarda błysnęło wspomnienie tak wyraźne, że aż drgnął - zobaczył ten sam posąg, ale nie tak zniszczony.

Wraz z wizją napłynęło imię: Svarlen. Bóg morza.

To musiało być wspomnienie łącza, i to bardzo stare. Leiard patrzył na mijanego olbrzyma i pozwalał, by obraz posągu z czasów jego świetności przesłonił teraźniejszość. Usłyszał głos rogu i odwrócił się znowu w stronę miasta.

Zbliżała się do nich łódź popychana wiosłami. Miała szeroki kadłub i była wspaniale udekorowana, z emblematem Rady Starszych na żaglu.

Kapitan *Herolda* wydał rozkaz. Zwinięto żagiel i statek zatrzymał się powoli. Kiedy łódź rady przybiła do burty, marynarze z obu stron rzucili cumy i połączyli oba statki.

Na pokładzie łodzi stały osoby wyglądające na ważne, ze złotymi szarfami członków Rady Starszych. Po lewej stronie zobaczyli krzepkiego, siwowłosego wysokiego kapłana. Nazywa się Haleed, przypomniał sobie Leiard. Po prawej stała kobieta w średnim wieku, w kamizelce tkaczy snów. To na pewno Arleej, Starsza tkaczy. Przywódczyni jego ludu.

Niecierpliwie czekał na spotkanie z tą kobietą. Na podstawie wiadomości wymienianych za pośrednictwem kapłanów pomiędzy Radą Starszych i Białymi mógł się domyślać, że to dumna, inteligentna osoba. Duma nie była cechą, którą tkacze snów powinni okazywać, ale też - upomniał sam siebie - nie była nią skłonność do szybkich sądów. Przywódczyni tkaczy snów musi być silna w tych czasach.

Trzeci pasażer łodzi, stojący między tą dwójką, był chudy i raczej stary. Choć jednak podpierał się laską, oczy miał bystre i czujne. Leiard odgadł, że to Moderator Rady, Meeran.

Auraya i Mairae wstały z ławy, podziękowały dowódcy *Herolda,* po czym przesiadły się na łódź. Za nimi zeszli Leiard i Danjin, który niósł klatkę z Figlem. Veez pomrukiwał coś obrażony. W czasie rejsu Auraya nauczyła ulubieńca, że cierpliwe znoszenie więzienia przynosi hojne nagrody. Mimo to jego tolerancja dla klatki nigdy nie trwała dłużej niż godzinę.

Gdy tylko obie Białe znalazły się na pokładzie, wystąpił Meeran.

- Witajcie w Somreyu, Wybrane Bogów. - Skłonił się lekko, po czym wykonał formalny znak kręgu. - Jestem Meeran, Moderator. To wielka radość widzieć cię znowu, Mairae Gemshaper, i prawdziwy zaszczyt być pierwszym obcym krajem, który gości Aurayę Dyer.

Arleej przyglądała się Leiardowi. Jej wzrok był natarczywy, pytający; Leiard wyczuwał wątpliwości i podejrzenia. Pochylił głowę, a ona w odpowiedzi opuściła podbródek.

- Jesteśmy szczęśliwe, mogąc odwiedzić wasze piękne wyspy, Moderatorze Meeranie - zapewniła Mairae. - A ja z przyjemnością odnowię znajomość z tobą i wszystkimi członkami Rady.

Spojrzała na Haleeda i Arleej. Oboje skłonili głowy i wymruczeli coś niewyraźnie.

- Ja zaś nie mogłam się doczekać poznania was. - Auraya uśmiechnęła się entuzjastycznie.

Kąciki ust Arleej wygięły się ku górze, lecz uśmiech nie sięgnął jej oczu.

- Wiele słyszałam o urodzie tej krainy i mam nadzieję, że będę mogła zwiedzić wasz kraj - dodała Auraya. - Jeśli znajdę czas.

Inaczej mówiąc: jeśli załatwimy to szybko, pomyślał Leiard.

- W takim razie zorganizujemy dla ciebie wycieczkę. - Uśmiech Meerana był szczery.

Moderator spojrzał poza dwie kapłanki, na Danjina.

- A to musi być Danjin Spear. W młodości miałem przyjemność handlowania z twoim ojcem.

Danjin parsknął śmiechem.

- Tak. Wiele razy wypowiadał się o twoich talentach nego-

cjacyjnych, równocześnie z podziwem i niechęcią.

Meeran uśmiechnął się szerzej.

- Nie dziwię się. Ale chcę wierzyć, że ten talent wykorzystuję teraz lepiej, dla dobra naszego ludu. - Zerknął na Aurayę, a Leiard zastanowił się, czy zauważyła w słowach Moderatora delikatne ostrzeżenie. Tymczasem Meeran zwrócił się do niego. - A ty jesteś zapewne tkaczem snów, doradcą Leiardem?

Leiard przytaknął.

- Czy byłeś już kiedyś w Somreyu?

- Mam wspomnienia z tego miejsca, ale są stare. Arleej leciutko uniosła brwi.

- Zatem witamy znowu, tkaczu snów - rzekł Meeran. - Nie mogę się doczekać, by się dowiedzieć, w jaki sposób zyskałeś tę wyjątkową i rokującą wielkie nadzieje pozycję doradcy Białej. A teraz... - Klasnął w dłonie. - Zechciejcie przyjąć skromny poczęstunek.

Łódź odbiła od burty *Herolda,* a wioślarze znów się pochylili, zanurzając wiosła w wodę. Meeran wskazał gościom miejsca i podjął uprzejmą rozmowę. Tymczasem służba podała puchary ciepłego, korzennego napoju zwanego ahm.

Całe miasto otaczał wysoki mur. Na jego szczycie zebrały się tłumy; ci z przodu siedzieli na krawędzi, zwieszając nogi.

Kiedy łódź podpłynęła bliżej, dały się słyszeć okrzyki. Mairae i Auraya pomachały, wzbudzając tym oklaski i wybuchy radości.

Łódź nie przycumowała jednak przed tym tłumem, ale płynęła dalej. Leiard zauważył uzbrojonych strażników, którzy nie dopuszczali, by ludzie rozchodzili się poza wyznaczoną część nabrzeża. Dalej czekał tylko szereg kapłanów i kapłanek, i to w ich stronę zmierzali.

Wzdłuż całego muru przy porcie zbudowano solidne drewniane pomosty. Kiedy kadłub łodzi dobił do jednego z nich, wioślarze wyciągnęli wiosła z wody. Jedni zacumowali łódź do nabrzeża, inni ustawili rzeźbiony, malowany trap, by goście przeszli po nim na ląd.

Meeran poprowadził ich z łodzi powitalnej do schodów i w górę.

Na szczycie muru kapłani i kapłanki wpatrywali się w Mairae i Aurayę; ich podziw i ekscytacja były tak silne, że Leiard wyczuwał je bez wysiłku. Dwaj wysocy kapłani wystąpili, by Haleed mógł ich przedstawić. Rozglądając się, Leiard uświadomił sobie, że znalazł się w świątyni Arbeem. Budynek wzniesiony był w skromniejszym stylu, niż te w Jarime, i przypominał większość budowli w mieście - był jednokondygnacyjny i prosty.

Słysząc swoje imię, Leiard powrócił myślami do prezentacji. Kapłani przyglądali mu się ze skrywaną ciekawością i nieufnością...

Kiedy już wszyscy zostali przedstawieni, Arleej oznajmiła, że ich opuszcza.

- Muszę wrócić do Domu Tkaczy Snów. Dzisiaj odbędzie się wiosenne połączenie - wyjaśniła i zwróciła się do Leiarda. - Czy chciałbyś w nim uczestniczyć, tkaczu snów Leiardzie?

Puls mu przyspieszył. Łącze - szansa, by jakiś inny tkacz snów ocenił jego dziwne wspomnienia.

- Byłbym zaszczycony - odpowiedział wolno. - Może jednak będę potrzebny tutaj.

- Nie dzisiaj, Leiardzie - zapewniła go Auraya. Spojrzała mu spokojnie prosto w oczy i niemal niedostrzegalnie skinęła głową. Spotkaj się ze swoimi, zdawała się mówić. Pokaż im, że można ci ufać. - Ale chcielibyśmy wysłuchać twoich opinii jutro rano - dodała.

- W takim razie wezmę udział - oświadczył. - I wrócę wieczorem.

- Z prawdziwą radością spotkam was znowu jutro - powiedziała Arleej i skłoniła się uprzejmie.

Pozostali pożegnali ją także. Kiedy się odwróciła, by odejść, jeden z kapłanów zaproponował, że przeprowadzi ich przez teren świątyni.

Starsza tkaczy snów milczała, kiedy szli za nim. Po krótkim spacerze wyszli z budynku na dziedziniec. Okryty, czterokołowy tarn z woźnicą czekał w pobliżu.

- Wysoki kapłan zamierzał wypuścić nas główną bramą - wyjaśniła. - Ale nalegałam, byśmy odjechali w taki sposób. Przed frontem na pewno zbierze się tłum, a to by utrudniło wyjście.

Leiard przytaknął. Czy chciała zasugerować, że tłum mógł być groźny, czy po prostu zastawiałby drogę? Wprawdzie Somreyanie byli ludem wyjątkowo tolerancyjnym i wspierającym tkaczy snów, ale zawsze znajdą się niewielkie grupki o poglądach przeciwnych niż większość.

Tarn był zwyczajny, bez żadnych ozdób, a woźnica został wynajęty. Leiard zajął miejsce obok Arleej. Starsza podała cel podróży i wkrótce jechali już po wąskich, zatłoczonych uliczkach miasta.

Wóz zbliżał się do Domu Tkaczy Snów, a Arleej zastanawiała się nad swym towarzyszem. Nie był taki, jak się spodziewała, ale też jej wyobrażenia nie były zbyt szczegółowe. Liczyła, że będzie to po prostu ktoś mniej podobny do tkacza snów, a bardziej do cyrklianina. Tymczasem Leiard, jeśli już, to był bardziej tkaczem snów niż ona. Sposób, w jaki odpowiadał na pytania, bardzo przypominał jej dawnego nauczyciela. Keefler nie znał roku swojego urodzenia, a większą część życia spędził w jakimś odległym zakątku świata. On także był milczący i uważny.

Odpowiedzi na jej pytania, dotyczące jego kontaktów z Aurayą z Białych, tak ją zaskoczyły, że aż zamilkła. Zaczął uczyć tę kobietę, gdy była jeszcze dzieckiem, w nadziei, że zostanie jego studentką. Tymczasem ona przyłączyła się do cyrklian. Gdyby to Arleej przeżyła takie rozczarowanie, chyba nie potrafiłaby bez urazy patrzeć na dawną uczennicę. Leiard zaś pogodził się z wyborem Aurai i jej wyniesieniem do grona Białych. Opisywał ją, w co trudno uwierzyć, jako przyjaciółkę.

Wszystko to wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Nie do wiary, że bogowie wybrali kogoś, kto uczył się u tkaczy snów i był ich sympatykiem. To że tolerowali myśl o kapłanach współpracujących z tkaczami, wydawało się jeszcze bardziej zadziwiające. Czyżby w końcu pogodzili się z istnieniem pogan?

Wątpiła. Stulecie prześladowań przerzedziło szeregi tkaczy snów, ale ich nie wyeliminowało. Pierwsze lata przemocy, zaraz po śmierci

Mirara, zachęciły ludzi litościwych do wspierania tkaczy, a buntowników - by przyłączyć się do kultu. Może teraz bogowie próbowali zniechęcić ludzi do pogan, udając wielkodusznych i szlachetnych.

Nie uda im się, myślała. Dopóki tkacze snów z pokolenia na pokolenie przekazują sobie wspomnienia łącza, nie zapomną prawdziwej natury bogów.

Tarn skręcił na rogu i zatrzymał się. Na ulicy panował spory ruch - ludzie bez przerwy wchodzili i wychodzili z dużego budynku, przed którym wysiedli.

- Jedyny Dom Tkaczy Snów stojący jeszcze w Północnej Ithanii - oświadczyła Arleej. - Wejdźmy.

Podążył za nią do obszernego holu. Trzech starszych wiekiem tkaczy wyszło im naprzeciw, by powitać Arleej. Mówili po somreyańsku. Kiedy przedstawiła go jako tkacza snów i doradcę Białej, wyraźnie nabrali czujności.

Leiard pozdrowił ich po somreyańsku. Arleej patrzyła na niego zdumiona.

- Opanowałeś nasz język w stopniu imponującym - stwierdziła.

Wzruszył ramionami.

- Znam wiele języków.

- Wiosenne połączenie wkrótce się rozpocznie! - zawołał jakiś głos.

Arleej spojrzała na Leiarda i zauważyła błysk niecierpliwości. On tego chce, uznała. Ruszyła przez korytarz, za nią Leiard, a potem trzech starszych tkaczy snów, nietypowo dla siebie - zdaniem Arleej - milczących. Na pewno już się domyślili, że on do nas dołączy, i zastanawiają się, czy to dobrze. To ryzyko. Może się wiele o nas dowiedzieć, ale przecież rozumieją, że i my dowiemy się o intencjach jego i Białych dotyczących tego sojuszu.

Czy Auraya zdawała sobie z tego sprawę, kiedy zwolniła go z obowiązków na ten wieczór?

Korytarz doprowadził ich do dużych drewnianych drzwi. Arleej pchnęła je i wkroczyła do kolistego ogrodu, obniżonego względem

poziomu podłogi. Powietrze było tu chłodne i wilgotne. Grupa tkaczy snów już czekała, tworząc niepełny krąg. Leiard rozejrzał się z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy. Jak gdyby poznał to miejsce...

Arleej dołączyła do kręgu i przesunęła się, by wpuścić Leiarda. Tkacze snów z holu także zajęli swoje miejsca. Arleej zaczekała, aż wszyscy się uciszą, a potem jeszcze chwilę, by spokój tego ogrodu ukoił jej myśli, zanim wymówiła słowa rytuału:

- Zgromadziliśmy się tutaj w pokoju i w poszukiwaniu zrozumienia. Nasze umysły się połączą. Nasze wspomnienia popłyną między nami. Niech nikt nie podgląda i nie szpieguje, nie narzuca swej woli innemu. Staniemy się bowiem jednym umysłem.

Uniosła ręce i chwyciła dłonie sąsiadów. Dwa umysły dotknęły jej zmysłów, a potem następne - gdy wszyscy tkacze snów złączyli dłonie i jaźnie, nastąpiło wspólne uczucie uniesienia, a potem chwila spokoju.

Obrazy i wrażenia szybko przesłoniły wszelkie poczucie realnego świata. Wspomnienia dzieciństwa zmieszane z pamięcią niedawnych wydarzeń. Obrazy dobrze znanych twarzy, a po nich oblicza obcych. Strzępy zapamiętanych rozmów, odbijające się echem we wszystkich umysłach. Nie próbowała nimi sterować; pozwalała, by te zmieszane myśli płynęły, gdzie zechcą.

Powoli nastąpiło to, co nieuniknione. Wszyscy byli ciekawi nowo przybyłego. Kiedy niektórzy zastanawiali się, kim jest, ci, którzy wiedzieli, ujawniali jego tożsamość. Leiard reagował wolno, rozpoczynając od potwierdzenia swej roli doradcy Białej, a potem skokowo odsłonił wiele warstw myśli. Arleej zrozumiała, że ma nadzieję pomóc swojemu ludowi. Dostrzegła też sympatię i podziw dla Aurai. A równocześnie ujawnił lęk przed Białymi i ich bogami.

Arleej przyglądała się z rozbawieniem, jak krążą jego myśli. Za każdym razem, kiedy poczuł nieufność i niechęć do bogów i Białych, wspomnienie o Aurai dodawało mu otuchy. Wprawdzie wierzył, że nie skrzywdziłaby umyślnie jego i innych tkaczy snów, jednak nie był tak naiwny, by wierzyć, że nie uczyni tego na rozkaz bogów.

Uważał jednak, że warto podjąć to ryzyko.

Wszyscy przekonali się z ulgą, że współpracuje z Białą dla dobra swojego ludu, nie dla korzyści bogów, czy nawet samej Aurai. Jednak przebywanie w pobliżu dowolnego cyrklianina oprócz niej wzbudzało w nim głęboki lęk, a takie uczucie może być jedynie wynikiem własnych doświadczeń. Czy przydarzyło mu się coś strasznego? Gdy Arleej zastanawiała się nad tym, myśli Leiarda skierowały się ku innym kwestiom, które go niepokoiły. Dziwne wspomnienia pojawiają się niewzywane, wyjawił. Czasami do głowy przychodzą myśli, które nie wydają się całkiem jego własnymi.

Zaciekawienie innych połączonych tkaczy snów rosło. I w reakcji na nie popłynęły wspomnienia.

Zobaczyła Strażnika przed portem. Posąg nie był popękany i nagle zrozumiała, kogo przedstawia. To bóg - i to nie z tych, których obecnie czczą cyrklianie.

Zobaczyła mniejsze Arbeem, z niedokończonym murem portowym. Zobaczyła Dom Tkaczy Snów jako nowy budynek, pomalowany w jasne, przyjazne kolory.

Zobaczyła twarz starszego mężczyzny, tkacza snów, i wiedziała, że to jej poprzednik sprzed kilkuset lat. A wraz z nim nadeszła nowa myśl, całkiem niepodobna do wewnętrznego głosu Leiarda.

Dumny człowiek z tego Starszego tkaczy snów. Musiałem go przekonywać, by nie rezygnował z opieki nad Moderatorem, choć ten na to zasłużył. To była moja ostatnia wizyta w Somreyu. Wtedy nie było to duże królestwo - nie uważali go nawet za część Ithanii Północnej. Kto by pomyślał, że stanie się ostatnim schronieniem tkaczy snów?

Arleej mocno biło serce. Leiard ma rację, uznała. To nie są jego myśli. To myśli Mirara.

Spotykała się już z takimi wspomnieniami łącza. Większość tkaczy snów nosiła odpryski pamięci Mirara, uzyskane podczas połączeń. Mirar łączył się z tkaczami snów tak długo, że nadal pozostało wiele takich wspomnień. Było coś pocieszającego w świadomości, że rytuał, który zapoczątkował sam Mirar, by

zwiększał zrozumienie i przyspieszał naukę, teraz w umysłach jego wyznawców zachował przy życiu część jego świadomości.

Jednakże Leiard nosił więcej niż tylko odpryski pamięci. Jego umysł był tak pełen wspomnień, że pojawiło się wrażenie osobowości Mirara. To jakby ktoś znał kogoś innego tak dobrze, że potrafił przewidzieć, jak się zachowa i co powie.

Arleej wyczuwała podniecenie innych tkaczy snów. Widziała, jak chciwie szperają za następnymi wspomnieniami. Jednak strumień osłabł, gdy Leiard zaczął analizować ich źródło. Zrozumiała, że nie znał, a nawet nie domyślał się prawdy. Nie był nawet pewien, od kogo te wspomnienia przejął. Prawdopodobnie od swojego nauczyciela, choć niezbyt dobrze go zapamiętał. Albo ją.

To również go niepokoiło. Dlaczego tak liczne własne wspomnienia okazywały się takie mgliste?

: *Masz wspomnienia łącza,* powiedziała mu. *I wiele lat przeżyłeś w samotności. Z czasem łatwo jest zapomnieć, które wspomnienia są twoje, a które nie. Granice między nimi rozmyły się, więc musisz na nowo je wytyczyć. Łączenie jest najlepszym sposobem. Potwierdzenie twojej tożsamości na zakończenie łącza wzmocni Twoją świadomość.*

: *Ale połączenia dadzą mi jeszcze więcej wspomnień łącza,* zauważył Leiard.

: *Tak, dadzą. Jednak im częściej będziesz się łączył, tym mniejsze kłopoty będzie to sprawiać. Na razie łącz się tylko z jednym tkaczem snów, by ograniczyć przekaz pamięci dla każdego samopotwierdzenia. Próbuj połączeń z młodymi ludźmi, którzy mają niewiele wspomnień do przekazania. Ten twój uczeń, na przykład, powinien być odpowiedni.*

: *Jayim...* Leiard pomyślał, jak niewielkie doświadczenie życiowe ma ten chłopak. *Tak, będzie bardzo odpowiedni - o ile zdecyduje się zostać tkaczem snów.*

Od kilku tkaczy napłynęło rozczarowanie. Zrozumieli, że podczas pobytu w Arbeem Leiard nie może uczestniczyć w kolejnym połączeniu, więc nie zobaczą wspomnień Mirara. Arleej ogarnęło dość ironiczne rozbawienie - tkacze snów zapomnieli o swoich

podejrzeniach; teraz akceptowali go i ufali mu bez zastrzeżeń. Czy tylko dlatego że nosił wspomnienia Mirara? Nie, uznała. On ma dobre zamiary. Jest lojalny wobec nas, choć ta lojalność byłaby poddana ciężkiej próbie, gdyby przyszło mu wybierać między nami i Aurayą. To, że jego zdaniem ta najnowsza Biała jest godna szacunku, to również dobry znak.

Zadowolona, rozpoczęła ostatnią część rytuału: samopotwierdzenie.

Jestem Arleej, tkaczka snów i członek Rady Starszych. Urodziłam się w Teerninyi, a moimi rodzicami byli Leenin Booter i...

Ściągała myśli ku sobie, wspominając fakty, które jej zdaniem najpełniej ją określały. Kiedy otworzyła oczy, przekonała się, że Leiard nie dokończył jeszcze rytuału. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się... Dopiero po chwili odetchnął i spojrzał na nią. Uśmiechnęła się i puściła jego dłoń.

- Zaskoczyłeś nas, Leiardzie.

Popatrzył na innych tkaczy snów, którzy rozmawiali w małych grupkach, i bez wątpienia dyskutowali o nim.

- Dzisiejsze odkrycie i dla mnie było niespodzianką. Muszę to wszystko przemyśleć. Czy urażę kogoś, jeśli wyjdę od razu?

Arleej pokręciła głową.

- Nie, zrozumieją. Większość wraca do domów wkrótce po połączeniu. Ale sądzę, że gdybyś został, złamaliby ten obyczaj. Chodź, odprowadzę cię do wyjścia, zanim się na ciebie rzucą.

Pchnęła go do drzwi. Skinieniem ręki odprawiła jednego z tkaczy snów, który zbliżył się do nich.

- Leiard musi wrócić do swych towarzyszy podróży - oznajmiła.

Rozległy się rozczarowane pomruki. Leiard dotknął serca, ust i czoła, a pozostali z powagą powtórzyli te gesty.

W drodze do wyjścia Arleej nie przychodziło do głowy nic, co mogłaby powiedzieć - jedynie ciąg pytań, które jednak powinny zaczekać do następnej okazji. Na ulicy zobaczyli, że właśnie podjechał wynajęty platten, wiozący rodziców z chorym dzieckiem.

Machnęła na woźnicę.

- Czy masz wolną następną jazdę? - spytała.

- Dokąd? - chciał wiedzieć mężczyzna.

- Do świątyni - odparła. - Tylne wejście.

Woźnica uniósł lekko brwi. Arleej uzgodniła uczciwą cenę i zapłaciła mu. Zaczekała, aż Leiard wsiądzie do środka.

- Zapewne spotkamy się jutro - powiedziała.

- Tak. - Leiard uśmiechnął się i odwrócił.

Uznając to za sygnał, woźnica potrząsnął lejcami i platten odjechał.

Arleej pokręciła głową. Rzeczywiście, to dziwne - odsyłać tkacza snów „do domu" do cyrkliańskiej świątyni...

Kiedy wózek zniknął z pola widzenia, pospiesznie wróciła do Domu. Tak jak się spodziewała, w holu czekał Neeran, jej najbliższy powiernik. W zadziwieniu szeroko otwierał oczy.

- To było... było...

- Szokujące - zgodziła się. - Chodź do mojego pokoju. Musimy porozmawiać.

- Ze wszystkich ludzi ze wspomnieniami Mirara - szepnął, idąc za nią po schodach - musiał to był właśnie tkacz snów, będący doradcą Białych...

- Niezwykły człowiek ha niezwykłym stanowisku - przyznała.

Otworzyła drzwi do pokoju i wpuściła Neerana przed sobą. Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Myślisz, że Biali wiedzą? Zastanowiła się...

- Jeśli on sam nie wiedział, to skąd oni by mogli?

- Wszyscy Biali potrafią czytać w myślach. Z pewnością Juran dostrzegłby w Leiardzie coś z Mirara.

Arleej przypomniała sobie wygląd i zachowanie Leiarda. Wcale nie był podobny do Mirara, jakiego zobaczyła we wspomnieniach łącza.

- Jeśli Juran coś zauważył, to widocznie się tym nie przejął. Jeśli nie, to teraz, kiedy my się dowiedzieliśmy, Biali też to odkryją. Mam tylko nadzieję, że nie wpadnie w kłopoty.

Neeran znów otworzył szeroko oczy i kiwnął głową.

- Będą też wiedzieli, że Leiard pracował dla naszej wspólnej korzyści. Co samo w sobie jest dziwne, prawda?

Przytaknęła.

- Ciekawe, że ktoś mający w sobie tak wiele Mirara, chce doprowadzić do sojuszu...

- Tak.

- Niezależnie od tego, co w sprawie Leiarda zrobią Biali, jedno jest oczywiste. - Podeszła do kominka, gdzie grzała się butelka ahmu. - Powinniśmy rozważyć możliwość, że przymierze między Somreyem i Białymi to coś, czego chciałby Mirar.

Czarna plamka na niebie urosła.

Tryss obserwował ją niespokojnie. Minęły godziny od pory umówionego spotkania z Drilli. Trzy razy już zapinał uprząż, postanawiając, że nie będzie na nią czekał. I za każdym razem rozpinał ją znowu. Wymusiła na nim obietnicę, że powstrzyma się od prób, dopóki ona nie będzie mogła popatrzeć. Nie chciał jej rozczarować.

Teraz, gdy patrzył na nadlatującego Siyee, czuł, jak puls mu przyspiesza z lęku i podniecenia na przemian. Drilli wiele razy przychodziła patrzeć, jak pracuje. Spodziewał się, że w końcu się znudzi, ale ona siedziała obok i rozmawiali bez końca. Ku własnemu zdumieniu, całkiem mu się to podobało. Głównie mówili o swoich rodzinach, o sojuszu oferowanym przez ziemio - chodzącego... Często jednak wypytywała go o rzeczy, które zbudował. Czasami wysuwała własne sugestie. Niekiedy były dobre.

Plamka rozrosła się do sylwetki, która opadła niżej i wtedy z ulgą rozpoznał wzory na skrzydłach Drilli. Podniósł uprząż i przesunął głowę przez pętlę szyjną, po czym zaczął mocować pozostałe zapięcia.

Powitalne gwizdnięcie zapowiedziało jej przybycie. Wylądowała z gracją i uśmiechnięta ruszyła ku niemu.

- Patrzcie tylko... - rzuciła.

- Spóźniłaś się - powiedział, bez skutku udając urażonego.

- Wiem. Przepraszam. Mama przez całe godziny kazała mi skubać girri. - Rozprostowała palce. - Jesteś gotów?

- Już od paru godzin.

- No to zaczynajmy.

Razem skoczyli w powietrze. Paski uprzęży zabrzęczały od wiatru. Była lżejsza od poprzedniej, gdyż miała mniej części, jednak główny ciężar wisiał tuż poniżej klatki piersiowej, więc silniej to odczuwał niż poprzednio.

- Wygodnie? - zawołała Drilli.

- Da się wytrzymać - odpowiedział.

Spłynęli ku wąskiej kotlinie. W przeciwieństwie do górskich zboczy, porośniętych jedynie najbardziej wytrzymałymi drzewami i trawą, dno kotliny pokrywała gęsta roślinność i tam mogła się ukrywać zwierzyna. Kiedy spłynęli nad szczyty drzew, coś wystartowało spomiędzy liści. Drilli aż zapiszczała z podniecenia.

- Zestrzel go! - krzyknęła.

To był ark - ptak drapieżny, bardziej przyzwyczajony do krążenia, pikowania i ogłuszania ofiar paraliżującą magią, niż do unikania pościgu. Sunął spokojnie pod nimi, % rzadka machając skrzydłami.

Tryss ruszył za nim. Złożył ręce i chwycił rurkę zamocowaną u boku, po czym - zanim opadł za nisko - znów rozłożył skrzydła. Kolejny szybki ruch przeniósł dmuchawkę do ust. Nadszedł czas, by sprawdzić, czy jego najnowsza konstrukcja okaże się użyteczna.

Trzymając w zębach jeden koniec rurki, drugi zanurzył w wiszącym mu na piersi koszyku pełnym malutkich strzałek. Zassał powietrze i poczuł, że pocisk blokuje się w dmuchawce.

Uniósł wzrok - ark zmienił kierunek lotu. Tryss pochylił skrzydła i ruszył za nim.

Ptak szybował w dole, niepewny, jak reagować na ścigających. Wprawdzie Siyee chętnie złapaliby i zjedli arka, jednak rzadko chciało im się poświęcać tyle wysiłku, więc ptaki nie rozpoznawały w nich drapieżców. Tryss wymierzył jak najdokładniej, trzymając rurkę między zębami, i dmuchnął z całej siły.

I chybił.

Warknął gniewnie - reakcja najbliższa przekleństwu, do jakiej był zdolny z dmuchawką w ustach. Schylił głowę, by wciągnąć kolejny pocisk, wymierzył znowu... Tym razem minął cel na odległość ramienia. Westchnął i spróbował jeszcze raz, ale w ostatniej chwili ptak zanurkował pod osłonę drzew.

Zniechęcenie oplotło go niczym łodygi powoju. Zacisnął zęby... i poczuł, jak pęka dmuchawka. Tym razem rzeczywiście zaklął, a rurka wypadła mu z ust i poleciała w dół.

Nagle chciał tylko pozbyć się uprzęży. Podleciał do występu na zboczu doliny, wylądował ciężko, potem usiadł i zaczął rozpinać paski. Drilli opadła na ziemię tuż przed nim.

- Zostaw. Ja to zrobię - powiedziała, chwytając go za ręce. Miał ochotę ją odepchnąć.

Dlaczego właściwie tak się złoszczę?

Wstał, uspokoił się i pozwolił jej rozpinać mocowania. Zniechęcenie i gniew odpłynęły, gdy zmniejszył się ucisk pasów uprzęży. I nagle odkrył, że stoi bliżej dziewczyny, niż kiedykolwiek się ośmielił.

- No więc co się stało? - spytała, kiedy uprząż opadła na ziemię.

Skrzywił się.

- Chybiłem. Potem dmuchawka pękła. Ja... rozgryzłem ją. Pokiwała głową.

- Mogę ci zrobić następną, ale musisz się nauczyć lepiej jej używać.

- Jak?

- Ćwicząc. Mówiłam ci, że to nie takie łatwe, jak się wydaje.

- Przecież ćwiczyłem.

- Na ziemi. Musisz poćwiczyć strzelanie z powietrza. Do ruchomych celów. - Obejrzała się i zmarszczyła brwi. - Musisz chyba skonstruować coś, co podtrzyma dmuchawkę przy celowaniu. I żeby nie spadła, kiedy ją wypuścisz.

Popatrzył na nią i po chwili się uśmiechnął.

- Nie wiem, po co tracisz na mnie czas, Drilli.

- Jesteś interesujący, Tryss. I mądry. Chociaż czasami trochę tępy.

Skrzywił się.

- Tępy?

- Mam do ciebie pytanie, Tryss. Ile razy dziewczyna może chłopakowi napomykać, że nie ma partnera na trei - trei, zanim zrezygnuje i spróbuje z kimś innym?

Patrzył na nią zaskoczony. Mrugnęła do niego, cofnęła się o dwa kroki, potem odwróciła i zanurkowała z występu. Po chwili pojawiła się znowu, lecąc stromo w górę.

Pokręcił głową. A potem porzucił uprząż i ruszył w pogoń.

11

Świątynia w Arbeem była piękną budowlą. Choć mniejsza i nie tak wyszukana jak w Hani, nie miała żadnej części, która nie oferowałaby pięknego widoku. Front kierował się ku portowi i w każdym możliwym miejscu wstawiono okna, by dało się spojrzeć na wodę.

Za świątynią znajdował się wielopoziomowy ogród, więc wszystkie okna na tyłach ukazywały bogatą roślinność. Auraya tęskniła za możliwością poznania ogrodu z bliska, jednak przez pięć dni od przybycia do Somreyu nie trafiła się żadna okazja. Dopiero teraz.

Mairae szła obok niej.

- Zastanawiałam się nad Leiardem - wyznała cicho. - Te Mirarowe wspomnienia łącza niezbyt mnie martwią. Może ma ich więcej niż większość tkaczy snów, ale nie czyni go to przecież Mirarem. - Zachichotała. - Mirar był lowelasem, bezwstydnym uwodzicielem. Leiard nie sprawia takiego wrażenia.

- Nie. - Auraya uśmiechnęła się. - Martwisz się, co inni pomyślą. Prawda?

Mairae skrzywiła się.

- Owszem. Rianowi się to nie spodoba, ale on nie wtyka nosa w sprawy innych Białych... Choć oczywiście wygłosi swoją opinię na ten temat. Dyara pewnie się wystraszy i zaniepokoi, że Mirar wciąż będzie poprzez Leiarda działać przeciwko nam. Zechce, żebyś go odesłała, mimo pomocy, jakiej nam udziela.

- A Juran?

- Sama nie wiem. - Mairae zmarszczyła brwi. - Rozmawiałaś kiedyś z Juranem o Mirarze?

Auraya pokręciła głową.

- Nie mówi o tym tak, jak byś się spodziewała. Powinien się cieszyć, że Mirar nie utrudnia mu więcej życia. Ale on twierdzi, że była to... jak to określa... „nieszczęśliwa konieczność". Myślę, że

czuje się nawet winny. A na pewno żałuje.

- Czemu?

- Nie wiem. - Mairae wzruszyła ramionami. - Ale przypuszczam, że gdyby zobaczył w umyśle Leiarda wspomnienia Mirara, pogłębiłoby to jego żal i poczucie winy.

- Rozumiem. - Auraya przygryzła wargę. - Jeśli zastąpię Leiarda innym tkaczem snów i tak istnieje szansa, że będzie mu przypominał o Mirarze. Wielu z nich nosi wspomnienia Mirara, choć rzadko zdarza się aż tyle u jednego człowieka. Młodszy tkacz snów może nie mieć ich wcale, ale nie będzie dla nas tak użyteczny.

Mairae westchnęła.

- Sama obecność tkacza snów będzie mu przypominać o tej historii. To kwestia intensywności. Juran z pewnością potrafi żyć z czymś, co kojarzy mu się z przeszłością. Ale konfrontacja z rzeczywistymi wspomnieniami Mirara to chyba trochę za wiele...

- Co powinnyśmy zrobić? Mairae zacisnęła wargi.

- Zaczekać i zobaczyć. Uprzedzę Jurana o tych wspomnieniach, żeby był przygotowany. Gdyby okazało się to problemem, dam ci znać. W przeciwnym razie, pracuj jak poprzednio.

- Dobrze. - Auraya odetchnęła z ulgą.

Usiadły w niedużym kamiennym pawilonie. We wnęce stał pełnowymiarowy posąg Chai. Był zadziwiająco podobny - kamienna wersja tej jaśniejącej postaci, którą widziała twarzą w twarz podczas Ceremonii Wyboru.

- Powinnam być zmęczona. Tyle politycznych dyskusji, a jednak jakoś mnie nie nużyły.

- To kolejny z Darów bogów - stwierdziła Mairae. - Bez nich byśmy się pochorowały od tych obfitych somreyańskich posiłków. Albo utyły.

- Myślisz, że jest tu jeszcze jakaś arystokratyczna rodzina, która nas nie karmiła? Mam wrażenie, że każdy posiłek jadłyśmy w innym domu.

- Zaczynałam już podejrzewać, że wymyślają nowe pory posiłków, żebyśmy mogły odwiedzić więcej ludzi.

- Mam z tego powodu trochę wyrzutów sumienia. Kiedy my udzielałyśmy się towarzysko, biedny Leiard biegał tam i z powrotem między nami i Domem Tkaczy Snów. Jest wymęczony.

- Więc dla jego dobra miejmy nadzieję, że rada przyjmie poprawki do sojuszu. Inaczej będzie musiał jeszcze raz przez to przechodzić. Aha... Jest kolejny z twoich pomocników.

Auraya uniosła głowę, spodziewając się widoku Danjina, ale to kudłaty kształt wybiegł z ogrodu i wskoczył jej na kolana.

- Ałaja! - Figiel popatrzył na nią i zatrzepotał rzęsami. Stłumiła śmiech. Nauczył się takich zachowań od licznych veezów należących do somreyańskich rodzin. Zdawało się, że w ten sposób potrafią zmiękczyć serca większości tutejszych bogatych kobiet. Ale nie moje, powiedziała sobie, choć dręczyło ją podejrzenie, że może się mylić.

Nie zamierzała brać go na te wizyty, ale Mairae zapewniła, że Somreyanom ich veezy towarzyszą wszędzie i po niej spodziewają się tego samego. Podczas spotkań zwierzaki bawiły się razem z entuzjazmem, choć służba czekała w pobliżu, by nie dopuścić do nieplanowanych wybuchów namiętności. Figiel poznał wiele nowych słów, z których kilka z pewnością zaszokuje służące Aurai w Hani - o ile znają somreyański.

Teraz, gdy zrozumiał w końcu, że ta najnowsza sztuczka nie sprawi, że w jej rękach pojawi się jakiś smakołyk, veez zaczął się dąsać. Prychnął z irytacją i zwiesił łepek.

- Jesteś bezwzględna - uznała Mairae. - Wezmę go do kuchni i poszukam mu czegoś do przegryzienia. Wydaje mi się, że wrażenie, jakie w tej chwili odczuwam, to głód. Już prawie zapomniałam, co to takiego.

- Pójdę z tobą.

- Zostań. Niedługo będziesz tu sama.

Auraya zamrugała zdziwiona, po czym skoncentrowała się na umysłach wokół siebie. Szybko odnalazła Leiarda, idącego przez ogród w jej stronę.

- Figiel. Jedzenie. - Mairae wyciągnęła rękę. Veez spojrzał

pytająco na Aurayę.

- Idź - powiedziała.

Odbił się od jej kolana i wbiegł po ręce Mairae na jej ramię. Auraya przyglądała się, jak odchodzą. Uśmiechnęła się, gdy veez polizał Mairae w ucho, a ona drgnęła.

Po chwil usłyszała kroki. Leiard wyszedł zza zakrętu, zauważył ją, uśmiechnął się i przyspieszył trochę. Gdy dotarł do pawilonu, na chwilę zatrzymał wzrok na posągu Chai, po czym spojrzał na Aurayę.

- Witaj, Aurayo z Białych - zwrócił się do niej oficjalnie.

- Witaj, tkaczu snów Leiardzie - odparła.

- Robi się późno - stwierdził. - Jak myślisz, podejmą dzisiaj decyzję?

Uniosła brwi.

- Nigdy jeszcze nie widziałam, żebyś się tak denerwował. Uśmiechnął się krzywo.

- Byłbym rozczarowany, gdybyśmy dotarli tak daleko, a oni jednak odrzucili przymierze.

- Owszem, ja też. Ale może trzeba jeszcze tylko trochę negocjacji, żeby ich przekonać.

- Może.

Znów zerknął na posąg. Auraya przyjrzała mu się uważniej. Jeśli Chaia patrzył teraz, co sądził o Leiardzie? Czy bogowie przejmowali się faktem, że tkacz snów, doradca Białych, nosi w pamięci wspomnienia Mirara?

Nie, na pewno wiedzieli o tym od początku, uznała. I ostrzegliby mnie, gdyby Leiard był zagrożeniem.

Ale czy by ją uprzedzili, gdyby to jemu groziło niebezpieczeństwo?

Wstała, wyszła z pawilonu i ruszyła wolno alejką. Leiard westchnął z ulgą i ruszył za nią.

To westchnienie wywołało ukłucie irytacji. Przypomniało jej, że jeśli nawet zdoła skłonić cyrklian do tolerancji wobec tkaczy snów, Leiard nigdy nie będzie czuł się swobodnie w obecności

czegokolwiek, co ma związek z bogami. Właściwie trudno się dziwić. Odwrócił się od bogów, by zostać tkaczem snów. Kiedy umrze, bogowie nie przyjmą jego duszy. Przestanie istnieć. A ta myśl sprawiła jej ból. Ja jestem nieśmiertelna. Nigdy nie spotkam go na tamtym świecie. Nie byłoby tak źle, gdyby po prostu czcił jakiegoś boga. Przynajmniej bym wiedziała, że nadal gdzieś istnieje.

Pokręciła głową. Dlaczego ktokolwiek odrzucał bogów i szansę na wieczność? Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Leiard zdziwiony uniósł brwi.

- O co chodzi?

- Dlaczego zostałeś tkaczem snów, Leiardzie? Wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam dokładnie. Wtedy musiało się to wydawać właściwą decyzją.

- A co sądziła o tym twoja rodzina? Pamiętasz to? Zmarszczył czoło, a potem pokręcił głową.

- Moi rodzice umarli.

- Och, przykro mi... Leiard machnął tylko ręką.

- To było dawno, gdy byłem młody. Ledwie ich pamiętam.

Auraya roześmiała się.

- Kiedy byłeś młody? Leiardzie, nie możesz przecież być zbyt stary. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która przy każdym spotkaniu wygląda młodziej.

- To dlatego, że dorastasz. Skrzyżowała ręce na piersi.

- Ile masz lat?

Zastanowił się, marszcząc czoło.

- Sądzę, że około czterdziestu.

- Sądzisz? Jak możesz nie wiedzieć dokładnie, ile masz lat?

Zmarszczki na czole pogłębiły się.

- Arleej uważa, że te luki w pamięci wynikają z tego, że przez wiele lat nie dokonywałem połączenia z innymi tkaczami snów.

Wyczuwając jego zdenerwowanie, postanowiła zmienić temat. Było jasne, że utrata niektórych wspomnień bardzo go martwi.

- A ile lat minęło, odkąd ostatni raz uczestniczyłeś w takim

połączeniu?

- To było jeszcze zanim zamieszkałem w lesie niedaleko twojej wioski.

Zabębniła palcami o swoje ramię.

- A jak długo żyłeś w tym lesie, zanim przeprowadziła się tam moja rodzina?

- Parę lat.

- W takim razie nie łączyłeś się przez prawie dwadzieścia lat. A ile lat mają tkacze snów, kiedy kończą szkolenie?

Spojrzał na nią dziwnie.

- Dwadzieścia, jeśli wcześnie zaczynają.

Kiwnęła głową. Czyli miał rację: koło czterdziestki. Z jakiegoś powodu ją to rozczarowało. Może dlatego, że im jest starszy, tym krócej będzie go znała. On będzie się starzał coraz bardziej, gdy ona pozostanie fizycznie w tym samym wieku. A to budziło u niej nieprzyjemne wrażenie, że czas ucieka. Jeszcze kilka dziesięcioleci i jego dusza odejdzie na zawsze.

- Czy tkacze snów kiedykolwiek służyli bogom? - spytała, zaskakując samą siebie.

- Nie.

- A myślisz, że może zaczną w przyszłości? - Nie.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ nie chcemy. Zerknęła na niego z ukosa.

- Bo doprowadzili do śmierci Mirara?

- Częściowo.

- A ta inna część to...?

- Ponieważ bycie potężnym nie daje jeszcze prawa, żeby mówić innym, co mają myśleć, jak żyć albo kogo zabijać.

- Nawet jeśli ten ktoś jest starszy i mądrzejszy? Jak bóg?

- Nie. - Odwrócił wzrok. - Ludzie powinni mieć wybór, czy chcą czcić boga, czy nie.

- Przecież mają.

- Bez odwetu i kary?

- Więc chciałbyś, żeby przyjmowali twoją duszę niezależnie od

tego, czy oddajesz im cześć, czy nie? - zapytała w odpowiedzi.

- Nie. Chciałbym, żeby mój lud wolny był od prześladowań.

- To już przeszłość.

- Doprawdy? Więc dlaczego tkacze snów nadal boją się chodzić po ulicach Jarime? Dlaczego zakazuje im się stosowania ich sztuki, by pomagać ludziom?

Auraya westchnęła.

- Z powodu tego, co się zdarzyło stulecie temu. I nie mam na myśli śmierci Mirara.

Nic nie odpowiedział, a ona przyjęła to jednocześnie z ulgą i rozczarowaniem. Choć nie chciała się z nim spierać, chętnie jednak poznałaby jego pogląd na zdarzenia, które doprowadziły tkaczy snów do ich obecnej sytuacji.

Według zapisów, jakie poznała, Mirar zarówno wykonywał godną podziwu pracę, jak i folgował sobie w nałogach. Nauczył swych wyznawców wszystkiego o medycynie i opiece nad chorymi i rannymi. Jego Dar uzdrawiania był wyjątkowy, a Mirar dzielił się nim obficie.

Miał jednak reputację kogoś nadużywającego trunków i ziół szczęścia; uważany był też za uwodziciela, co wielu gorszyło. Tkacze snów, choć o tym nie mówili, wiedzieli jednak, że reputacja taka była zasłużona. Prawda kryła się we wspomnieniach łącza, pochodzących od Mirara i tych, którzy go znali, a przekazywanych kolejnym pokoleniom. Auraya widziała tę wiedzę w ich umysłach. Widziała ją u Leiarda.

A jednak to nie wady charakteru Mirara przekonały bogów, że musi zginąć. Mirar otwarcie działał przeciwko nim, starając się nie dopuścić do powstania Białych. Rozsiewał zwątpienie i opowiadał złośliwe kłamstwa o tym, co czeka ludzkie dusze w rękach bogów. Twierdził, że niektórzy z poległych bogów nie zasłużyli na swój los, a ci z Kręgu popełniali straszne akty okrucieństwa. W swej ostatniej akcji, która była dla niego wyrokiem, posłał mieszkańcom Ithanii przerażające sny, które miały zniechęcić ich do bogów.

Ale w efekcie ludzie tylko błagali bogów, by uwolnili ich od

manipulacji Mirara.

Sam sprowadził na siebie zgubę, myślała.

Ale to, co nastąpiło po śmierci Mirara, było potworne. Bogowie nigdy nie nakazywali zabijania zwykłych tkaczy snów, ale wielu ich zamordowali nadmiernie entuzjastyczni wyznawcy cyrklianizmu. Ci fanatycy zostali ukarani, ale trzeba było dłuższego czasu, by zniechęcić innych do naśladownictwa.

Większość cyrklian wiedziała, że żaden kapłan nie dorówna wyszkolonemu tkaczowi snów wiedzą ani umiejętnościami leczenia. Teraz, kiedy Auraya zrozumiała cel i korzyści płynące z połączenia umysłów, zdała sobie sprawę, w jaki sposób tkacze snów dzielą się taką wiedzą i ją przekazują. Według jej źródeł, żaden z kapłanów nie próbował nawet niczego w rodzaju połączenia umysłów. Z wyjątkiem telepatii, która nie wymagała otwierania swego umysłu przed innymi, cyrklianie żywili niechęć do grzebania w swoich myślach. Wdarcie się do cudzego umysłu było zbrodnią - takie prawo wprowadzono z powodu wyczynów Mirara.

Może już czas, byśmy przestali być tacy delikatni, myślała Auraya. Gdyby cyrkliańscy kapłani nauczyli się robić to, co tkacze snów, też mogliby zwiększyć swą wiedzę o uzdrawianiu. Poczuła zimny dreszcz na karku... Gdyby dorównali, a nawet przewyższyli tkaczy snów, zniknąłby najbardziej atrakcyjny element, przyciągający nowych uczniów do tego pogańskiego kultu. I tkacze snów zniknęliby z tego świata po kilku pokoleniach. A może nawet jednym, gdybyśmy ja albo inni Biali przekazali wiedzę, jaką odczytamy z ich umysłów.

Zadrżała... Nie. To uczyniłoby nas winnymi zbrodni, o jaką ludzie zawsze podejrzewali tkaczy snów: naruszania prywatności cudzego umysłu i wykorzystywania zdobytych informacji na szkodę innych.

Ale przecież można tego dokonać bez żadnych myślowych łącz. Gdyby udało się przekonać kapłanów, by pracowali razem z tkaczami snów, na pewno opanowaliby nowe umiejętności i zdobyli nową wiedzę. Proces będzie powolny, ale przyczyni się do większej

tolerancji i wzajemnej akceptacji.

Czy naprawdę chcę być przyczyną upadku tkaczy snów?

Nie. Ale nie mogę ciągle pozwalać, by ludzie odwracali się od bogów i poświęcali swoje dusze. Nie wtedy, kiedy nie jest to konieczne. Ludzie wierzą, że cała wiedza tkaczy snów o uzdrawianiu przepadnie, jeśli niektórzy nie zdecydują się na taką ofiarę. Ale gdyby mogli nauczyć się tego samego, zostając kapłanami. .. czy nadal chcieliby żyć jako poganie?

Dzisiaj, w tym ogrodzie, idąc obok Leiarda, dostrzegła ten przerażający dylemat. Pewnego dnia będzie może musiała wybierać pomiędzy dochowaniem przyjaźni a ratowaniem dusz.

Ale jeszcze nie teraz. Danjin Spear pojawił się na ścieżce przed nimi. Uśmiechnął się szeroko, gdy ją zobaczył, a ona, bez czytania mu w myślach, wiedziała, jakie niesie wieści. Nie czuła jednak tryumfu, a jedynie wymuszoną ulgę.

- Udało się! - zawołał. - Podpisali sojusz!

Emerahl spojrzała przez ramię. Jej niewielka łódka ze srebrzystego drewna lśniła w promieniach księżyca. Czarownica sprawdziła jeszcze cumę i z satysfakcją kiwnęła głową. Potem zarzuciła sobie chustę na głowę i odeszła nabrzeżem.

Już od tygodni żeglowała wzdłuż wybrzeży Torenu. Co kilka dni lądowała w małych, nadmorskich wioskach, by swoje leki wymieniać na żywność, czystą wodę i takie przedmioty jak płótno żaglowe, wodoszczelny marynarski taul czy sznurek do łowienia ryb. Ludzie, z którymi handlowała, traktowali ją z przyjaznym szacunkiem, choć było oczywiste, że dziwią się podróżującej w ten sposób starej kobiecie.

Wioski zdarzały się coraz częściej i były coraz większe, aż miała wrażenie, że w każdej zatoczce wyrasta pomost, dwa albo pięć. Tego popołudnia wpłynęła w głębszą zatokę, gdzie na kotwicy kołysały się duże statki. Budynki pokrywały cały ląd, a port przypominał labirynt drewnianych pomostów.

Dotarła do miasta Porin, stolicy Torenu.

Kawałek suszonego gwiezdnego ziela zyskał jej u przekupnego

portomistrza prawo cumowania. Kilka miesięcy temu jedna z wiejskich kobiet wykradła to ziele mężowi, by wymienić na lekarstwo dla gorączkującego dziecka. Emerahl oszczędzała je dla siebie i nie była zadowolona, że musi je oddać. Właściwości wywoływania halucynacji połączonych z euforią sprawiały, że było jednym z jej ulubionych ziół szczęścia.

Nie miała więc najlepszego nastroju, kiedy szła przez dzielnicę targową Porinu. W każdym dużym mieście istniał taki rejon, w którym nigdy nie przerywano handlu i nigdy nie zamykano sklepów. A zdesperowani ludzie szukali leków o każdej porze dnia i nocy.

Jednak nie zamierzała sprzedawać towaru zwykłym klientom. Prawo handlu w każdym mieście było pilnie strzeżonym artykułem. Gdyby chciała sprzedawać swoje towary, musiałaby się dogadać z kramarzem, by pracować przed jego straganem. Część zysków musiałaby oddać za przywilej prowadzenia interesów. Nie miała na to czasu.

Miała za to rzeczy, które mogła sprzedać sklepom z lekami. Niektóre zdobyła już wcześniej, inne zebrała po drodze. Były tam pęcherzyki jadowe ryby yeryer, stosowane do rozrzedzania krwi, albo kolce kłującej maty, których można używać, by zaaplikować dawkę środka przeciwbólowego do precyzyjnie określonego miejsca. Dodała jeszcze kilka toreb ognilli, która rosła wokół latarni, oraz odrobinę silnie działających ziół.

W sakwie znalazły się też pewne środki bez żadnej wartości medycznej, ale o wielkim znaczeniu handlowym. Większość stanowiły afrodyzjaki. Na ogół nie wywoływały skutków fizycznych, ale ludzie zazwyczaj byli tak podnieceni samą myślą, że używają „środka" do pobudzania seksualnych żądz, że owo podniecenie brali za skutek działania tego „środka". Oczywiście, wszystkie specyfiki pochodziły albo od bardzo dzikich stworzeń - na przykład zęby wielkiego garra, które znalazła wyrzucone na pustą plażę; albo wyglądały jak organy płciowe - suszone morskie glisty, mięsiste falliczne kwiaty wemmin i morski dzwonek, znaleziony w jakichś dryfujących na powierzchni wodorostach. Ten ostatni zamierzała

sprzedać tylko w ostatecznej potrzebie. Był rzadki i bardzo cenny, a żaden handlarz nie zapłaciłby wędrującej kobiecie tyle, ile był naprawdę wart. Kiedyś może znajdzie się w sytuacji pozwalającej się targować.

Gwar i światła ściągnęły ją ku celowi. Wielkie markizy, każda z przywieszonymi latarniami, tworzyły dwa tunele po obu stronach długiej ulicy pełnej sklepów. Muzykanci dodawali wesołe nuty do szumu głosów kupujących. Niektórzy sprzedawcy krzykiem zachwalali swoje towary. Inni obiecywali niskie ceny i uczciwy handel.

Emerahl kupiła bochenek chleba, porcję pieczonego nera - miała już serdecznie dosyć ryb - jakieś przesadnie drogie owoce i kubek słodzonego, sfermentowanego mleka shema. Kiedy szła ulicą dalej, aromaty jedzenia ustąpiły miejsca ostrym zapachom dymu z ziół i kadzidła. Tutaj znalazła to, czego szukała.

Pierwszy sklep z lekami był duży i ruchliwy. Lada ciągnęła się wzdłuż całego frontonu, a na półkach w głębi stały słoje najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Emerahl położyła sakwę na ladzie i cierpliwie czekała, aż ktoś ją zauważy. Sprzedawcą był łysy mężczyzna w średnim wieku, o bystrych oczach. Kiedy tylko skończył sprzedawać jakiś podejrzany lek na stopnicę, zwrócił się do niej.

- Czy mogę w czymś pomóc, młoda damo? Uśmiechnęła się, słysząc tę próbę pochlebstwa.

- Moje biedne ramię cierpi - oświadczyła. - Więc mam nadzieję, że sprzedam tu część zawartości tej oto sakwy.

W bystrych oczach błysnęło rozbawienie.

- Doprawdy? I masz nadzieję sprzedać ją właśnie mnie?

- Tak. - Wyjęła z sakwy słój zawierający pęcherzyki jadowe yeryer. - Może ci się na coś przydadzą? Są świeże. Zebrałam je nie dalej niż tydzień temu.

Kiedy otworzyła słój, uniósł brwi.

- Tydzień, powiadasz? Może mógłbym odżałować za nie kilka monet. - Zerknął na jej sakwę, roztaczającą wyraźnie rybi zapach. -

Co jeszcze tam chowasz?

Wyjęła to i owo, i zaczęły się targi. Kilka razy przerywał je młody człowiek, być może syn sklepikarza; w końcu zniknął w głębi. Emerahl skupiła się na kliencie. Był wybredny i długo się zastanawiał, choć jej zdaniem proponowała dobry towar po niskich cenach. Unikał jej wzroku i nagle pożałowała, że zaniedbała sztukę czytania emocji.

Będę musiała ją odzyskać, uznała. W ten sposób łatwiej też będzie przystosować się do zmian języka. Myślałam, że ten dziwny sposób wyrażania u wieśniaków to efekt ich nędznego pochodzenia, ale wydaje się, że mowa Torenu ogólnie się zmieniła.

Sklepikarz obejrzał dopiero połowę zawartości sakwy. Jednak zmęczona jego powolnością Emerahl postanowiła udawać, że nic więcej nie ma na sprzedaż. Poprosiła o pieniądze.

Wolno odliczał wyjmowane z sakiewki monety. Przerwał w połowie, kiedy jego pomocnik wrócił i zaczął rozmawiać z nim szeptem.

- Niedługo chciałabym już położyć się do łóżka - wtrąciła się Emerahl. Przytknęła dłoń do słojów, które zgodził się kupić, i cofnęła się o pół kroku. - Czy moje ceny nie są dla ciebie dość dobre?

Przepraszająco uniósł dłonie.

- Wybacz mi, pani, ale mój asystent ma delikatną i raczej pilną sprawę, której powinien dopilnować.

Pochylił się nad ladą i odliczył resztę pieniędzy. Pchnęła słoje ku niemu, zgarnęła monety i przerwała wylewne pożegnanie. Wychodząc ze sklepu, sapnęła z irytacją. Czyżby miał nadzieję, że obniżę ceny, żeby tylko trochę przyspieszył? Czy wyglądała, jakby aż tak bardzo zależało jej na pośpiechu?

Zastanawiając się nad tym, zajrzała do pobliskiego baru i kupiła miarkę przyprawody. Usiadła w ciemnym kącie i uniosła naczynie do ust. Równocześnie spoglądała przez ulicę na sklep z lekami.

Niemal się zakrztusiła, kiedy zobaczyła w drzwiach dwóch kapłanów. Sklepikarz podszedł do nich i wskazał bar. Kapłani ruszyli

w jego stronę, a Emerahl szybciej zabiło serce.

Pewnie chcą się tylko napić, tłumaczyła sobie. Ale oni przyglądali się przechodniom na ulicy. Kiedy minęła ich jakaś starsza kobieta, przystanęli i wpatrywali się w nią przez chwilę. Nie, to nie o napitek im chodzi...

I nagle zachowanie sklepikarza nabrało sensu - to unikanie jej spojrzenia, to przedłużanie targów. Zniknięcie jego pomocnika. Ta szeptana rozmowa między nimi...

„...ma delikatną i raczej pilną sprawę, której powinien dopilnować..."

Sprawę starej kobiety, która sprzedaje leki? Czy właściciel sklepu został uprzedzony, że ma na takie uważać? Nie mam pewności, pomyślała. To może być zwykły przypadek. Kapłani mogą szukać kogoś innego. Niedawno jeden z nich wypędził ją z domu i teraz wszystkich zaczynała podejrzewać, że jej poszukują.

Przypadek czy nie, nie będę tu czekać, żeby się przekonać.

Otworzyła sakwę, wyjęła i narzuciła na siebie nasączony olejem, wodoodporny marynarski taul. Ściągnęła z głowy chustę i zastąpiła ją marynarskim kapeluszem z szerokim rondem; wcisnęła pod niego włosy. Sakwę owinęła chustą i wsunęła pod pachę.

Już tylko kilka kroków dzieliło kapłanów od baru. Wyszła na ulicę, przystanęła na moment, by jedną ręką wykonać w ich stronę znak kręgu, a potem oddaliła się rozkołysanym, spokojnym krokiem żeglarza.

Czekała, czy ją zawołają, ale spośród ogólnego gwaru wybijały się tylko zachęty sprzedawców. Miała wrażenie, że minęła cała wieczność, nim w końcu dotarła do końca ulicy.

Trzymając się w cieniu budynków, przyspieszyła trochę kroku.

Czy kapłani mnie ścigają? Jeśli tak, to w jaki sposób odgadli, że zjawię się na nocnym targu w Porinie, żeby sprzedawać leki?

Odpowiedź była prosta. Jeżeli ten kapłan z Corelu podążył wzdłuż wybrzeża, na pewno słyszał o dziwnej starej kobiecie, która żegluje samotnie łodzią i sprzedaje leki. Na pewno odgadł, że to ona, i telepatycznie uprzedził kapłanów w miastach; kazał im uważać na

wędrowną, starą handlarkę. Miała szczęście, że już wcześniej nie spotkał jej żaden z nich.

Ale dlaczego? Przecież nie mogą wiedzieć, kim jest naprawdę...

Może ten w Corelu był ciekaw, kim jest pomylona czarownica, która od tak dawna mieszka w opuszczonej latarni...

Och... Lęk ścisnął jej żołądek. Jeśli wypytał wieśniaków, od jak dawna tam siedzę, mogli mu powiedzieć, że od pokoleń. A to wzbudzi podejrzenia, że może jestem nieśmiertelna. Nawet jeśli w to nie uwierzy, pewnie ma obowiązek sprawdzić...

Zwolniła w okolicy portu. Skradając się do nabrzeża, uważnie badała otoczenie. W oddali widziała swoją małą łódkę, zacumowaną do pomostu. Znalazła jakiś ciemny zakątek, usiadła i czekała.

Nie musiała czekać długo. Portomistrz wynurzył się ze swojej budy, a wewnątrz dostrzegła róg krzesła i plecy kogoś ubranego w coś białego z niebieskim obramowaniem.

Żegnaj, przyjaciółko, pomyślała do łodzi. Mam nadzieję, że znajdziesz dobrego właściciela.

A potem z żalem odwróciła się i zniknęła wśród cieni miasta.

Obcy zajął miejsce w głębi sali i spędził dwie godziny, obserwując gości baru. Roninowi nie spodobał się od chwili, kiedy wszedł do środka. Za dobrze ubrany i tyle. Owinięty wielkim taulem. Cudzoziemiec, a jeszcze taki jakby arogancki w manierach, co sugerowało wysoko urodzonego. Roninowi nie podobało się też, jak patrzy na ludzi, którzy wchodzą i wychodzą.

- Znowu się gapisz na naszego tajemniczego gościa? - mruknął Cemmo.

Roffin spojrzał na towarzysza. Cemmo był żylastym mężczyzną i jednym z najmłodszych wśród miejscowych rybaków.

- To nie jest miejsce dla takich jak on - burknął.

- Ano nie - zgodził się Cemmo.

- Powinien siedzieć w barze dla wysoko urodzonych.

- Zgadza się.

- Ktoś powinien go stąd wyrzucić.

- Upta Garmen. Ale go nie wyrzuci, dopóki nie sprawia nam

kłopotu.

- Garmen może stracić, jak tacy wysoko urodzeni się za niego wezmą. My nie - zauważył Roffin.

Cemmo odwrócił wzrok.

- Niby tak. Ale... Sam nie wiem. Coś w nim tak jakby groźnie wygląda.

- To jego gapienie działa ci na nerwy.

Garmen, właściciel baru, rzucił obcemu nerwowe, ukradkowe spojrzenie. Typ nie pił wiele, zauważył Roffin. Skąpy cudzoziemski drań...

Gdy Roffin walnął o blat swoim trzecim kuflem, obcy odwrócił głowę w jego stronę. Roffin patrzył nieruchomo. Obcy uniósł brwi. I się uśmiechnął.

- Jeśli wszystkim brakuje odwagi...

Cemmo zmarszczył brwi, gdy Roffin wstał. Nie odezwał się jednak. Odsunął tylko stołek i ruszył za kolegą jak milczące wsparcie. Roffin podszedł do obcego, a inni klienci pokiwali z aprobatą głowami.

Obcy bez niepokoju przyglądał się, jak podchodzi. Roffin pochylił się nad nim, w pełni wykorzystując swą zwalistą budowę.

- Trafiłeś do niewłaściwego lokalu - oświadczył. - Miejsce dla ciebie jest na drugim końcu ulicy. W centrum.

Obcy rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Tu się podoba - oświadczył głębokim głosem, dziwnie akcentując słowa.

Roffin się wyprostował.

- Ale ty nam się tutaj nie podobasz. Idź się gapić na sobie podobnych.

- Ja zostaję. - Mężczyzna wskazał miejsce naprzeciw siebie. - Ty zostajesz. My pijemy.

- Pij sobie gdzie indziej - warknął Roffin.

I wyciągnął rękę do ramienia obcego. Mężczyzna zmrużył oczy, ale nie ruszył się. Roffin poczuł, jak żar obejmuje mu palce. Cofnął szybko dłoń, zaklął i spojrzał na poczerwieniałą skórę.

- Ty idź - powiedział obcy z nutą groźby w głosie. Roffin cofnął się o kilka kroków. Ten gość był czarownikiem.

Żadne groźby go stąd nie ruszą...

Cemmo patrzył na niego pytająco. Roffin rozejrzał się po sali i zobaczył, że przyglądają mu się wszyscy klienci baru. Zauważyli, co zrobił ten typ? Pewnie nie. Widzieli tylko, że Roffin cofnął się przed wysoko urodzonym cudzoziemcem.

Ponuro odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

- Wydam swoje pieniądze gdzie indziej - mruknął, wychodząc, i trzasnął drzwiami.

Na ulicy zatrzymał się, niepewny, co robić dalej. Cemmo nie wyszedł za nim. Wieloletnie przyzwyczajenie kazało mu wsłuchać się w uderzenia fal o podstawę klifu i świst wiatru między budynkami. Zapowiadała się burzliwa noc na morzu.

Dłoń go piekła. Spojrzał na nią i uznał, że ktoś powinien ją obejrzeć.

Kapłan. Tak, kapłan na pewno znajdzie jakieś lekarstwo. Roffin zerknął na drzwi baru i uśmiechnął się wrogo.

Kapłan Waiken zapewne chętnie się dowie, że w mieście jest zagraniczny szpieg.

12

Pluszcząca, falująca woda rozciągała się we wszystkich kierunkach. Odbite światło wschodzącego słońca tworzyło na powierzchni pomarańczowe wstęgi. Od czasu do czasu przelatywał jakiś morski ptak, na pozór całkiem nieświadomy statku i jego pasażerów.

Spoglądając na zachód, Danjin widział niebieskawą smugę gór ponad wąskim, ciemnym pasem lądu. Pasmo Zachodzącego Słońca biegło zachodnią granicą Hani aż do Lustrzanej Cieśniny, gdzie zanurzało się w wodę i tworzyło linię małych wysepek, prowadzących aż do większych Wysp Somreyańskich. Według starożytnych kronik, niektóre z tych gór wypluwały kiedyś ogień i popiół; dziś jednak były chłodne i milczące.

- Danjinie...

Obejrzał się zaskoczony. Auraya rzadko wstawała przed świtem. Długie włosy ściągnęła w prosty ogon, zamiast codziennej wyszukanej fryzury. Marszczyła brwi.

- Dzień dobry, Aurayo z Białych - powiedział, wykonując znak kręgu. - Przepiękny ranek, prawda?

Spojrzała na wschodzące słońce, ale nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Rzeczywiście piękny. - Zwróciła się do niego. - W ciągu godziny opuszczę statek. Czy zajmiesz się Figlem i dopilnujesz, by Leiard bezpiecznie dotarł do swojego mieszkania?

Danjin obejrzał się. Kawałek dalej czterech marynarzy szykowało łódź, przez prawie cały rejs bezpiecznie zamocowaną do pokładu.

- Oczywiście - zapewnił. Auraya przygryzała wargę... Wyciągnął rękę, ale nie dotknął jej ramienia. - Czy możesz zdradzić, co cię wzywa?

Powoli odwróciła się do marynarzy.

- Częściowo - odparła cicho. - Juran odebrał meldunki o pentadriańskim kapłanie, prawdopodobnie szpiegu, który wędruje

przez wioski i miasteczka północnego wybrzeża Hani. Posłał Dyarę, by go schwytała, a mnie poprosił, żebym ruszyła tam od północy i odcięła mu drogę ucieczki.

Skinął głową. Rozumiał teraz jej niepokój. Dopiero niedawno zaczęła się szkolić w używaniu Darów. To może być jej pierwsze starcie magiczne.

Bogowie będą ją chronić, powiedział sobie w duchu. A Dyara prawdopodobnie uczyni z tego lekcję, dodał sarkastycznie.

Lekko uniosła w uśmiechu kąciki ust, gdy odczytała jego myśli.

- Wrócę do Jarime z Dyarą, więc zostawiam wszystko pod twoją opieką, Danjinie Spearze.

- Czy Leiard wie, że wyruszasz? I dlaczego? Pokręciła głową.

- Powtórz mu, co ci powiedziałam, ale innym mów tylko, że musiałam załatwić pilną sprawę na lądzie.

Przytaknął.

- Tak zrobię.

Umilkła, wpatrzona w daleką linię brzegu. Kiedy zbliżyli się do lądu, Danjin poczuł, jak narasta w nim niepokój.

Ona jest jedną z Wybranych, przypomniał sam sobie. Potrafi o siebie zadbać.

Uświadomił sobie, że nie o jej bezpieczeństwo się martwi. Być może będzie zmuszona zabić tego szpiega. A to brzemię, którego dźwiganie jak najdłużej powinno być jej oszczędzone.

Gdyby tylko Mairae wracała z nami, zamiast zostać, by ustalić zasady handlu i wizyt kolejnych delegacji, zgodnie z warunkami traktatu. Ale zaraz gdy nadpłynęła ta myśl, wiedział, że jest niegodna. Mairae jest pewnie w pełni wyszkolona - tak przynajmniej zakładał - ale tak samo jak Auraya nie zasługiwała na brzemię śmierci zadanej własnymi rękami.

Słońce wspięło się wyżej i brzeg się zbliżył. Ciemna linia, którą Danjin widział z oddali, zmieniła się w popękane, czarne klify. W polu widzenia pojawiła się budowla z kilkoma szerokimi wieżami, wzniesiona na samej krawędzi urwiska. Opuszczono łódź na wodę i Auraya zeszła do niej zwinnie, by zająć miejsce między wioślarzami.

Danjin wychylił się nad relingiem, patrząc, jak odpływają. Auraya siedziała wyprostowana i nie oglądała się za siebie.

- Doradco Danjinie Spearze.

Danjin obejrzał się na Leiarda. Zastanowił się, od jak dawna już tu stoi.

- Słucham, tkaczu snów Leiardzie. Leiard podszedł do relingu.

- Jak rozumiem, Auraya nie przyłączy się do nas na porannym posiłku.

Danjin pokręcił głową.

- Nie. Popłynęła na ląd. Ma się spotkać z Dyarą, żeby schwytać jakiegoś pentadriańskiego szpiega. Potem wrócą do Jarime drogą lądową.

Leiard jeszcze przez chwilę spoglądał na łódź, po czym zwrócił się do Danjina. Kąciki jego ust przesunęły się ku górze.

- W takim razie lepiej wracajmy pod pokład, zanim wystygną gofry.

Danjin parsknął śmiechem. Odwrócił się od relingu i podążył za tkaczem snów do mesy.

Gdy szalupa zbliżyła się do brzegu, Auraya nie mogła sobie wyobrazić, w jaki sposób zdołają bezpiecznie dopłynąć. Fale rozbijały się o pionową czarną skałę, wypełniając powietrze słonym wodnym pyłem. Było jasne, że każda łódź, która spróbuje tu przybić do brzegu, zostanie rozbita w drzazgi. Wioślarze pochylili się i naparli na wiosła, biorąc kurs wokół wystającej skały. Pojawił się wąski, usiany czarnymi głazami pas ciemnego piasku. Auraya odetchnęła z ulgą, widząc, że załoga tam się kieruje.

Uniosła głowę i zauważyła zygzakującą linię wykutych w skale schodów, prowadzących na sam szczyt. Dno łodzi zaszurało o piasek. Marynarze wciągnęli wiosła, wyskoczyli przez burty, i kiedy fala pchnęła łódź do brzegu, pociągnęli ją aż na plażę.

Auraya wysiadła. Jej sandały zapadły się w piasku, a wzbierająca woda ochłodziła stopy. Podziękowała wioślarzom i zostawiła ich, gdy spychali łódź z powrotem na wodę. Sama ruszyła do schodów.

Stopnie były strome, wąskie i mocno wytarte pośrodku. Zaczęła

się wspinać i już po chwili oddychała ciężko. Im wyżej wchodziła, tym bardziej przerażająco wyglądała w dole plaża. Czuła uderzenia wiatru i zastanawiała się, co by się stało, gdyby spadła. Czy osłona, chroniąca przez atakami magicznymi, ocaliłaby ją także przed uderzeniem o piasek i kamienie?

Może lepiej sobie tego nie wyobrażać... Auraya wypchnęła z umysłu te obrazy i kontynuowała wspinaczkę. Szybko powróciła myślą do zadania, które dał jej Juran. Pentadrianina widziano w rozmaitych barach i gospodach - może liczył, że podsłucha coś interesującego. Jego rysopis nie pasował do tego potężnego czarownika, z którym walczył Rian. Ten był starszy, ciemnowłosy... Ale i tak nie mogła stłumić uczucia lęku.

Nie może być dwóch czarowników o takiej mocy, zapewnił ją Juran. Możemy spotkać jednego takiego na stulecie. Ten człowiek zatrzymuje się w nędznych kwaterach. Wątpię, by jego Dary były tak silne jak u któregoś z wysokich kapłanów...

Kiedy wreszcie dotarła na szczyt, ze zdziwieniem odkryła, że czeka tam na nią grupka ludzi. Od strony lądu zabudowania wioski otaczały budowlę z czarnego kamienia, wyrastającą na krawędzi klifu.

Kapłan wyszedł jej na spotkanie.

- Witaj w Caramie, Aurayo z Białych. Jestem kapłan Valem.

Uśmiechnęła się.

- Witaj, kapłanie Valemie.

Kapłan wskazał dobrze ubranego mężczyznę o jasnych oczach i z pasmami siwizny we włosach.

- To jest Borean Stonecutter, wójt naszej wioski. Tamten pochylił głowę i wykonał formalny, oburęczny znak kręgu. Pozostali w grupie poszli za jego przykładem. Zauważyła, że są ubrani zwyczajnie, a jeden wciąż miał na sobie przypalony fartuch kowala. Większość unikała jej wzroku, ale niektórzy patrzyli na nią z lękiem. Uśmiechnęła się ciepło.

- Jestem także właścicielem strażnicy. - Borean wskazał budowlę na brzegu klifu. - Kapłan Valem zaplanował, że tam się zatrzymasz.

- Będę zaszczycona, wchodząc do twego domu - odparła Auraya. - Mam nadzieję, że nie sprawię ci kłopotu.

- Ależ skąd - zapewnił.

Skinął na nią uprzejmie i razem ruszyli w stronę strażnicy. Kapłan zajął miejsce u jej boku.

- Czasami wynajmuję pokoje wędrowcom, więc nie jestem całkiem nieprzygotowany na wizyty - wyjaśnił Borean. - Ale nie mogę ci obiecać takich wygód jak w Jarime.

- Ani ja, ani inni Biali nie cenimy ekstrawagancji. Czy dom jest bardzo stary?

Nie musiała udawać zainteresowania, kiedy opowiadał jej długą historię budowli. Wzniósł ją jeden z jego przodków wiele stuleci temu, jako dom mieszkalny i jednocześnie strażnicę mającą ostrzegać przed morską inwazją.

Kiedy dotarli do drzwi, podziękowała wieśniakom za to, że wyszli jej na spotkanie. Wewnątrz poprosiła Boreana, by oprowadził ją po domu. Kapłan szedł za nimi, milcząc. Pokoje pełne były pamiątek, ale niezbyt luksusowo wyposażone.

Skończyli w jednej z niskich wież, gdzie Borean przygotował dla niej pokoje.

- Miejscowe kobiety będą usługiwać...

Przerwał mu trzask na dole, a potem kobiecy krzyk. Rozległ się tupot biegnących stóp. Borean i kapłan Valem wymienili zdumione spojrzenia, po czym wójt przeprosił i ruszył do drzwi. Zanim jednak tam dotarł, w progu stanął ubrany w brązowy podróżny taul mężczyzna, który zablokował wyjście. Jego wzrok prześliznął się po wójcie, po wiejskim kapłanie, i wreszcie spoczął na Aurai.

Poczuła mrowienie skóry od tego spojrzenia. Było w tym człowieku coś dziwnego... Cerę miał bladą, a oczy tak czarne, że nie mogła dostrzec źrenic. Ale nie to było powodem zdziwienia. Przyjrzała mu się bliżej i poczuła ucisk w żołądku, kiedy dotarło do niej, co to takiego - nie potrafiła odczytać jego myśli.

- Kim... - zaczął Borean.

Mężczyzna spojrzał na niego i wójt zatoczył się do tyłu. Upadł

ciężko i chwycił się za brzuch, z trudem łapiąc oddech. Auraya ściągnęła magię i pospiesznie wzniosła ochronną barierę, oddzielającą mężczyznę od czarownika. Borean odczołgał się od drzwi; wciąż rzęził. Podeszła do niego, chwyciła za rękę i pomogła wstać; nie spuszczała wzroku z obcego w drzwiach.

- Jesteś ranny? - szepnęła do wójta.

- Tylko... pod... duszony... - odpowiedział chrapliwie.

- Czy jest inne wyjście z tych pokojów? Przytaknął.

- Dobrze. Zabierz kapłana i idźcie.

: *Juran!* zawołała, gdy obaj mężczyźni wybiegli bocznymi drzwiami.

: *Tak?*

: *Ten pentadriański szpieg jest tutaj.*

: *Już?*

: *Tak.* Wzmocniła łącze i pozwoliła mu zobaczyć czarownika swoimi oczami.

: *Co możesz wyczytać z jego umysłu?*

: *Nic. Nie widzę jego myśli. Czy to powszechna wśród pentadrian umiejętność?*

: *Nie wiem. Musimy rozważyć taką możliwość. Skontaktuję się z Dyarą.*

: *On mnie szukał. Nie ma innego powodu, żeby wchodził do domu. Jesteś pewien, że to szpieg? Nie zachowuje się jak szpiedzy.*

: *Pewnie uznał, że jesteś ważną kapłanką, i chce wydobyć z ciebie informacje. Wątpię, czy się domyśla, kim jesteś naprawdę.*

- Ty musisz być Auraya z Białych - rzekł Pentadrianin. Popatrzyła na niego zdumiona.

: *To tyle, jeśli chodzi o twoją teorię,* pomyślała do Jurana. *Gdzie jest Dyara?*

: *Godzinę drogi od wioski,* odpowiedziała Dyara. *Staraj się podtrzymać rozmowę, Aurayo, i nie wychodzić z budynku. Będę tam już niedługo.*

- Tak, to ja - oświadczyła. - A kim ty jesteś?

- Ja jestem Kuar. Pierwszy Głos Bogów.

: *Wielki Chaio! Przywódca pentadrian?* zawołał zdumiony Juran. *Dlaczego przywódca kultu miałby wędrować na północ samotnie? Na pewno kłamie.*

Pentadrianin zaczął przesuwać się ku niej, powoli, krok za krokiem.

- Po co tu przybyłeś? - spytała.

- Przybyłem spotkać się z tobą - odparł czarownik.

- Ze mną? Dlaczego?

- Żeby się uczyć...

Dotarł do jej bariery. Kiedy rozłożył szeroko ręce, taul rozsunął się, ukazując czarny strój i zawieszoną na szyi srebrną gwiazdę. Auraya zmarszczyła czoło. Szpieg nie podróżowałby po obcym kraju, jedynie taulem osłaniając strój swojego ludu.

- Czego chcesz się nauczyć? - spytała.

Magiczny cios uderzył w barierę, wysyłając po powierzchni podobne do błyskawic strużki magii. Syknęła, czując jego siłę. Atak skończył się nagle, a czarownik popatrzył na nią spokojnie.

- Jak silni jesteście wy, poganie.

Przeszyła go - miała nadzieję - lodowatym wzrokiem.

- Czy to odpowiada na twoje pytanie? Wzruszył ramionami.

- Nie całkiem.

Auraya skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na niego wyzywająco. Wewnątrz jednak dygotała od szoku.

: *Juran,* odezwała się w myślach. *Podejrzewam, że ta twoja teoria o jednym potężnym czarowniku pojawiającym się co sto lat jest błędna. I twoja teoria o szpiegu chyba też.*

: *Obawiam się, że masz rację w obu przypadkach,* zgodził się Juran, *jest silny, ale ty również.*

: *Ale nie nauczyłam się prawie niczego poza tym, jak się osłaniać!*

: *Więcej ci nie trzeba. Rozprawi się z nim Dyara, kiedy dotrze na miejsce.*

Czarownik zmrużył powieki. Bariera aż zabrzęczała pod drugim uderzeniem. Po obu stronach pokoju zbłąkana magia wypalała farbę.

Meble stawały w płomieniach. Atak przybierał na sile, a ona ściągała ku sobie coraz więcej magii, by mu się oprzeć.

: *Na bogów, ależ jest silny!*

: *Twoja tarcza jest za szeroka,* ostrzegł Juran. *Ściągnij ją bliżej do siebie. Będzie bardziej skuteczna.*

Postąpiła według jego rady. Kiedy bariera nagle zniknęła, energia ataku roztrzaskała obrazy, okna i meble. Auraya poczuła wyrzuty sumienia.

Atak ustał. Obserwowała twarz pentadrianina - wydawał się zamyślony. Postąpił jeszcze o krok naprzód.

- Są bardziej cywilizowane metody działania - powiedziała. - Moglibyśmy opracować jakąś próbę. Może doroczne konkursy. Ludzie przybywaliby...

Kiedy brutalny, potężny cios uderzył w jej tarczę, musiała skoncentrować się tylko na ściąganiu i przesyłaniu magii. Przeciwnik przyglądał się jej w skupieniu; nie okazywał wysiłku, choć jego atak stawał się coraz potężniejszy. A potem nagle odkryła, że nie może dostarczać magii dostatecznie szybko, by stawiać czoła natarciu. Białe światło oślepiło ją na moment, gdy czarownik przełamał jej obronę. Przeżyła krótką chwilę czystej agonii. Zatoczyła się do tyłu, złapała oddech i spojrzała na siebie: wciąż żyła i - co zaskakujące - była cała.

: *Uciekaj!* Przekaz Jurana był niczym krzyk w jej umyśle. *Jest silniejszy! Nic więcej nie możesz zrobić!*

Ta świadomość uderzyła w nią niczym cios. Pentadrianin mógł ją zabić... Poczuła, jak ogarnia ją groza, i szybko stworzyła nową tarczę. Spojrzała na czarownika i zobaczyła, że uśmiecha się szeroko. To tyle, jeśli chodzi o nieśmiertelność, pomyślała. Ludzie zapamiętają mnie jako najkrócej żyjącą nieśmiertelną w historii.

Zrobiła kilka kroków w stronę bocznego wyjścia, ale natrafiła na niewidzialną zaporę.

- Nie, nie - powiedział Pentadrianin. - Ty nie wychodzisz. Ja chcę zobaczyć, czy ty wezwiesz swoich bogów. Czy oni się zjawią? To by było ciekawe. To by odpowiedziało na liczne pytania.

: *Czy za tobą jest okno?* spytała Dyara.

: *Tak, ale jeśli się do niego przesunę, on mnie zablokuje.*

: *W takim razie musisz się opierać. Potrzebuje czasu, by znowu przełamać twoją osłonę. Wykorzystaj tę chwilę, żeby przedostać się do okna.*

Auraya cofała się przed czarownikiem. Choć walczyła, nie miała dość siły; zepchnął ją pod ścianę. Okno było na wyciągnięcie ręki. Pentadrianin podszedł i stanął przed nią.

- Gdzie są twoi bogowie? - zapytał. - Ja znam twoją moc. Niedługo potrwa, a pokonam cię znowu. Ty wezwij swoich bogów.

Okno było tak blisko... Ale ona nie mogła się ruszyć. Czarownik pokręcił głową.

- Oni nie istnieją. Wy jesteście oszustami. Wy zasługujecie na śmierć.

Rozłożył palce na wysokości jej piersi. Próbowała się cofnąć, ale za plecami czuła twardość ściany. Gdyby tylko mogła przejść przez mur...

Ale przecież może!

Ściągnęła magię i potężnym strumieniem pchnęła ją do tyłu. Ściana ustąpiła z ogłuszającym trzaskiem. Auraya zobaczyła jeszcze, że czarownik ze zdumieniem otwiera szeroko oczy, po czym wypadła przez otwór w murze. Przygotowała się na wstrząs, kiedy jej tarcza zderzy się z ziemią.

Nie nastąpił.

Spadała nadal. A kiedy odwróciła się głową w dół, zobaczyła pędzące ku sobie piasek, kamienie i wodę.

Muszę się zatrzymać!

Poczuła, jak płynie przez nią magia, posłuszna myślowej komendzie. Wrażenie spadania urwało się, zakończone potężnym wstrząsem. Przez chwilę była zbyt oszołomiona, by myśleć. Odetchnęła ostrożnie, potem jeszcze raz... Powoli otworzyła oczy; nie pamiętała, że wcześniej je zamknęła.

Na odległość wyciągniętego ramienia zobaczyła ścianę z ciemnego piasku.

To nie ściana, poprawiła się w myślach, ale plaża. Rozejrzała się; skalne urwisko miała po prawej ręce, morze po lewej. Unosiła się w powietrzu.

Jak to możliwe?

Wróciła pamięcią do myśli, jakie przebiegały jej przez głowę. Chciałam się zatrzymać. Przestać się poruszać.

Ale to coś więcej. Dostrzegała swój ruch w relacji do wszystkiego wokół. Nie konkretnie morza czy klifu. Do wszystkiego. Do świata.

I zatrzymałam się. I ciągle się nie poruszam. Czy mogłabym się przemieścić, chcąc tylko zmienić pozycję względem świata?

Zawahała się. Bała się, że badając swój nowy Dar, utraci go i spadnie na ziemię. Nie będzie to upadek śmiertelny, ale rozczarowujący.

Jednakże, rozumowała, gdyby ta umiejętność, ten Dar, wymagały intensywnego myślenia, wiedziałabym o tym od początku. Nie, to nie przypominało żadnego innego Daru, jakiego dotąd uczyła się używać. To było jak nauka chodzenia. Coś, nad czym człowiek się nie zastanawia.

Jeśli nauka używania zwykłego Daru jest jak nauka gry na instrumencie, to ten jest jak śpiew.

Gdyby udało mi się przemieścić, to tak jakbym leciała... Ta myśl wzbudziła w niej dreszcz podniecenia.

Muszę spróbować. Ja w relacji do świata. Chcę się obrócić twarzą w górę.

W trzech gwałtownych ruchach przetoczyła się bokiem. Ponad nią wyrastał klif. Powoli, a potem coraz szybciej, wzniosła się w górę. Lepiej by było w pozycji pionowej, pomyślała, i powoli przekręciła się głową do góry. Przeleciała obok krawędzi urwiska i zahamowała, kiedy zobaczyła dach strażnicy.

Nagle przypomniała sobie czarownika i jej euforia zgasła. Z otworu, który wybiła w ścianie budynku, unosił się dym. Wieśniacy, ustawieni rzędem od studni do strażnicy, podawali sobie wiadra wody. Czuła, jak strach ściska jej żołądek, gdy rozglądała się za

czarownikiem. Jeśli nadal tam jest, będzie musiała przeczekać do przybycia Dyary.

Przesuwała się nad wioską i szukała go - bez skutku. W końcu dostrzegła ciemną sylwetkę, odjeżdżającą na reynie ku północy. Sięgnęła do myśli jeźdźca i nie znalazła żadnych.

Odetchnęła z ulgą.

Musiał uznać, że zginęłam. A Juran i Dyara na pewno się zastanawiają, co zaszło.

Uśmiechnęła się. Nie uwierzą mi.

Juran.

: *Auraya? Żyjesz. Co...? Gdzie jesteś?*

: *Nad Caramem.*

: *Nie rozumiem...*

: *}a też nie. Bogowie nie mogli uczynić mnie silniejszą, więc w zamian ofiarowali mi nowy Dar. Widzę czarownika. Odjeżdża. Mam go ścigać czy zaczekać na Dyarę?*

: *Nie narażaj się. Czekaj na Dyarę. Potem musicie wracać.*

: *Nie możemy wypuścić tego czarownika,* zaprotestowała Dyara.

: *Musimy. Jesteś silniejsza od Aurai, ale nie wiemy, czy dostatecznie silna. A dopóki Auraya nie zakończy szkolenia, nie powinniśmy stawiać jej naprzeciw tak groźnych czarowników. Nawet jeśli ma wsparcie. Spotkaj się z Aurayę i wracajcie do Jarime.*

Auraya zbadała wzrokiem budynki w dole. Ze strażnicy nie unosił się już dym. Przed domem stanął Borean i - sądząc z gestów - tłumaczył wieśniakom, że woda nie jest już potrzebna.

: *Gdzie jesteś, Dyaro?*

: *Na drodze. Już niedaleko.*

: *Polecę na południe na spotkanie z tobą.*

Auraya przerwała łącze i znowu zapragnęła się przemieścić.

13

Pierwszym, co zauważył Leiard, kiedy Danjin Spear otworzył drzwi do pokojów Aurai, była niezwykła bladość doradcy. Nie panował tak dobrze, jak zwykle, nad swoim lękiem wysokości. Ale tym razem ów lęk łączył się ze zdumieniem i podziwem.

- Witaj, tkaczu snów Leiardzie - powiedział, trochę bez tchu. - Auraya poleciła mi wysłać cię na dach. Schody cię tam doprowadzą.

- Dziękuję ci, Danjinie Spearze.

Z pokoju dmuchnęło chłodne powietrze. Leiard zatrzymał się i ponad ramieniem Danjina zajrzał do środka. Zauważył dwóch robotników stojących przed oknem bez szyby.

Więc to jest źródło lęku doradcy. Zdaje sobie sprawę, że nic nie oddziela go od przepaści na zewnątrz. Ale dlaczego w oknie nie ma szkła? Czyżby ktoś wypadł? Jednak ani u doradcy, ani u dwójki mężczyzn nie wyczuwał niczego, co mogłoby sugerować taki wypadek.

Widok przesłoniły mu zamknięte przez Danjina drzwi. Leiard pokręcił głową i ruszył schodami w górę. Tajemnica doczeka się pewnie rozwiązania po rozmowie z Aurayą.

Trzy dni temu *Herold* powrócił do Jarime, a Leiard do domu Bakerów. Wieści o zawarciu przymierza dotarły szybciej i Tanara przygotowała już uroczystą kolację. Zaprosiła innych tkaczy snów i wspierających ich przyjaciół. Nie wszyscy byli tak pewni jak ona, że to początek pokoju między tkaczami snów i cyrklianami. Wszyscy jednak zgadzali się, że w ostatnich miesiącach nękanie „pogan" w Jarime zdarzało się wyraźnie rzadziej.

Jayim siedział przy stole milczący i zamyślony. Później wypytał Leiarda na temat jego roli. Leiard wyczuł, że chłopak bliski jest podjęcia decyzji o swej przyszłości. Nie popędzał go. Jayim musiał sam dokonać wyboru.

Rano uczucie zdecydowania wypełniło dom. Jayim był cichy, ale spięty; wyraźnie czekał na odpowiedni moment, by zabrać głos. Pod

koniec śniadania zapytał, czy Leiard nadal chce go uczyć. Kilka słów później Leiard miał już nowego podopiecznego.

Tanara ledwie zdążyła się zorientować, co się wydarzyło, gdy nadeszło wezwanie do Białej Wieży. Leiard zostawił szeroko uśmiechniętego chłopaka i jego matkę planującą już kolejne uroczyste przyjęcie. Teraz, kiedy wspinał się po schodach na dach, pytał sam siebie, czy jest zadowolony z nowej sytuacji. Jayim był inteligentny i Obdarzony. Kiedy skończy naukę i dojrzeje, będzie dobrym tkaczem snów. Więc dlaczego Leiard odczuwa odrobinę żalu? Czy pragnie samotności? Czy zwyczajnie nie chce się obciążać uczniem? A może w głębi serca wciąż ma nadzieję, że Auraya do niego wróci?

Jeśli tak, to jestem głupcem.

Nad nim pojawił się koniec schodów i na wpół otwarte nieduże drzwiczki. Kołysały się lekko. Leiard poczuł na twarzy chłodny powiew.

Kiedy wychodził na zewnątrz, coś przeleciało nad nim i zniknęło za krawędzią dachu. Zatrzymał się, marszcząc czoło. To coś było za wielkie na ptaka. Odebrał przelotne wrażenie ludzkich proporcji. Czyżby jakiś Siyee przybył do Jarime? Na samą myśl o tym serce zabiło mu szybciej. O ile wiedział, jeszcze nigdy żaden Siyee nie doleciał tak daleko.

Szybkim krokiem podszedł do balustrady na krawędzi.

Spojrzał i wyraźnie zauważył latającą postać. Nie był to Siyee, ale człowiek o normalnych proporcjach ciała. Choć wydawało się to niemożliwe, ten człowiek - ta kobieta - nie miała skrzydeł. Biała cyrkla powiewała jej na ramionach. Kobieta wolno kręciła pętle w powietrzu. Gdy jej twarz zwróciła się ku górze, coś ścisnęło mu serce.

Auraya!

Patrzył na nią z niedowierzaniem. Jak to możliwe?

Z pomocą magii, naturalnie, odpowiedział głos w jego umyśle.

Nigdy jeszcze tego nie widział. Bardzo wielu czarowników próbowało tego wyczynu, ale żaden nie osiągnął sukcesu. Aż do

teraz nie miał pojęcia, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Ale była tam w powietrzu, opierając się przyciąganiu ziemi.

Lecąc!

Pomyślał, ile kosztowała Siyee możliwość wzlatywania w niebo, i nagle jej widok go zabolał. A prócz bólu odczuwał także pustkę, jakby ulotniły się ostatnie resztki nadziei. Nieważne, jak życie może rozczarować Aurayę, nic jej nie skłoni, by zrezygnowała z lotu...

Uśmiechała się radośnie. Całą uwagę skupiała na figurach, jakie wykonywała płynnie, choć powoli.

- Leiardzie! - Zauważyła go. - Patrz, co potrafię!

Wywinęła kolejną pętlę. Cyrkla wzdęła się i zauważył, że pod nią nosi spodnie, zamiast zwykłej długiej tuniki. Zapewne tunika utrudniała jej lot - a przynajmniej zachowanie godności.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ta dziecięca radość w głosie przypomniała mu dziewczynkę, którą niegdyś była. Spojrzała poza niego, i grymas świadczący o tym, że się bardzo ucieszył, zmienił się w spokojniejszy uśmiech. Spłynęła, a on odwrócił się, by patrzeć, jak opada na dach.

Jakiś kapłan zbliżał się do nich. Nosił się z godnością, ale na twarzy miał wyraz przyjaznej troski. Było w nim coś znajomego.

To on, oświadczył głos z głębi umysłu Leiarda.

Kto? spytał Leiard. Odpowiedź nie nadeszła, ale jej nie potrzebował. Kapłan miał na sobie gładką białą cyrklę, i był tylko jeden Biały, którego Leiard jeszcze nie poznał.

- Juran! - zawołała Auraya. - To jest tkacz snów Leiard. Leiardzie, to jest Juran z Białych.

W umyśle Leiarda błysnęła zapamiętana wizjazdeterminowanej twarzy Jurana. A wraz z nią napłynął strach. Leiard zdołał go stłumić. Nie da się uniknąć tego spotkania Juran nie ma powodu, by mnie krzywdzić, tłumaczył sobie.

Biały zmarszczył brwi - z pewnością pochwycił myśli Leiarda. Ale natychmiast się uspokoił.

- Doradco tkaczu snów Leiardzie - rzekł. - To prawdziwa radość, że wreszcie mogę cię poznać. Dziękuję ci a pomoc w negocjacjach z

Somreyem. Auraya i Mairae zapewniły mnie, że twoje rady były nieocenione.

Leiard skłonił głowę.

- Praca z nimi to przyjemność. - Spojrzał na Aurayę. - A wydaje się, że bogowie także są zadowoleni z wysiłków Aurai.

Juran uśmiechnął się.

- Mogli nas uprzedzić - stwierdził z żalem, ale bez śladu wyrzutu. Po czym znowu spoważniał. - Auraya opowiedziała mi o wspomnieniach łącza. Mówi, że masz wiele pochodzących od Mirara.

Uśmiech Aurai zniknął. Spojrzała niespokojnie n Leiarda.

- To prawda - potwierdził Leiard. - Nie mam pojęcia, gdzie i od kogo do mnie trafiły. Minęło wiele lat, odkąd brałem udział w łączeniu pamięci.

Juran kiwnął głową.

- Jak świeże są te wspomnienia?

- Są fragmentaryczne - odparł szczerze Leiard. Trudno stwierdzić, z jakiego okresu pochodzą. Niektóre ą dawne, ponieważ pewne obiekty w nich nie są tak zniszczcie przez czas. Innych nie da się ocenić.

Juran otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale pokręcił głową i popatrzył na Aurayę.

- Mamy dziś wiele do zrobienia. Jestem pewien, że twój doradca będzie wdzięczny, jeśli do dyskusji o rozmowach z Somreyanami wybierzemy miejsce wygodniejsze od dachu Wieży.

- To może spotkamy się w twoich pokojach? - zaproponowała. - U siebie kazałam zamienić okno na drzwi i jest tam trochę... przewiewnie.

Juran uniósł brwi.

- W takim razie u mnie. - Spojrzał na tkacza snów. - Nie zwlekajmy dłużej.

Uprzejmym gestem zasugerował, że Leiard powinien mu towarzyszyć. Tkacza dręczyła obawa, gdy szedł obok przywódcy Białych. Nie ufaj mu, szepnął ten dziwny głos w umyśle. Leiard

odetchnął głęboko i spróbował go ignorować. Im szybciej zacznie uczyć Jayima łączenia, by móc regularnie potwierdzać swoją tożsamość, tym lepiej.

Tym razem słowa rytuału, jakie Juran wyrecytował na początku spotkania w Ołtarzu, wzbudziły u Aurai poczucie wdzięczności i lojalności. Dwa krótkie zdania, które powtórzyła głośno, wymawiała z większym przekonaniem niż kiedykolwiek wcześniej.

- Dziękujemy wam.

To podziękowanie obejmowało niezwykły Dar, jaki od nich otrzymała. Rankiem Juran wezwał ją na dach, by sprawdzić, czy sam zdoła opanować tę umiejętność. Ale chociaż tłumaczyła mu jak najlepiej, a nawet myślowo przekazała mu zrozumienie Daru, nie zdołał powtórzyć jej wyczynów.

- Może powinienem skoczyć z Wieży... - mruknął w pewnym momencie. Wyjrzał przez balustradę i zadrżał. - Nie. Myślę, że pewnego ryzyka nie warto podejmować. Nie byłby to przyjemny sposób przekonania się, że ten Dar przeznaczony jest tylko dla ciebie.

Co było interesującą możliwością. Czy inni też otrzymają swoje wyjątkowe Dary? Może bogowie wyjaśnią to dzisiaj...

- Prowadźcie nas.

Te słowa skierowały jej myśli do drugiej przyczyny obecnego zgromadzenia. Sposępniała. Mieli dyskutować o jej spotkaniu z pentadriańskim czarownikiem.

Krótki rytuał dobiegł końca i Juran przyjrzał się z powagą pozostałym Białym.

- Dwaj czarni czarownicy - rzekł. - Obaj pentadrianie. Obaj potężni. Jeden twierdzi, że jest Kuarem, przywódcą tego kultu. Jeśli to prawda, dlaczego przybył tu sam? Dlaczego pojawił się ten drugi Pentadrianin? Czy stanowią groźbę dla Ithanii Północnej?

Zamilkł, czekając na ich opinie.

- Odpowiedź na ostatnie pytanie jest jasna - uznała Dyara. - Ten człowiek, podający się za Kuara, zwyciężył Aurayę w starciu mocy. Ona jest silniejsza niż Rian i Mairae. To znaczy, że czarownik

stanowi zagrożenie dla przynajmniej trojga z nas. Pierwszy Pentadrianin też pokazał, jakim jest zagrożeniem dla mieszkańców Ithanii Północnej.

- Kuar nie mordował zwykłych ludzi - przypomniał jej Juran. - Nie powinniśmy oceniać wszystkich pentadrian na podstawie działań pierwszego napotkanego czarownika. Mógł przecież nadużywać mocy, kiedy znalazł się poza kontrolą swoich zwierzchników.

Dyara zmarszczyła czoło i kiwnęła głową.

- To prawda.

- Mamy za to pewność, że traktują nas pogardliwie - wtrącił Rian. - Obaj nazwali nas poganami.

- Tak - zgodziła się Auraya. - Kuar zachęcał, żebym wezwała bogów, jakby nie wierzył, że będą mnie chronić.

: *To jasne, że religia jest głównym powodem ich niechęci do nas oraz że są niebezpieczni,* powiedziała Mairae.

Nawet przez telepatyczne łącze Auraya wyczuwała jej zniecierpliwienie.

: *Chcę wiedzieć, do czego są zdolni i czy planują kolejne ataki.*

- Musimy wysłać więcej szpiegów - uznała Dyara. Juran przytaknął.

- Mamy ich tam trochę, ale pora zwiększyć tę liczbę. Potrzebujemy więcej kapłanów, żeby przyspieszyć komunikację.

- Nie lubią naszych kapłanów - ostrzegł Rian. - Każdego, kto wyruszył do Ithanii Południowej, odesłano z powrotem.

- Więc ci, których wyślemy teraz, wyruszą w przebraniu.

- Jeśli zostaną wykryci, zginą. Juran skrzywił się.

- To ryzyko, które musimy podjąć. Poszukaj ochotników wśród kapłanów i kapłanek. Dopilnuj, by byli o wszystkim poinformowani. Nie wyślę tam nikogo, kto sam nie postanowi narazić się na takie niebezpieczeństwo.

Rian skinął głową.

- Poszukam.

Juran w zamyśleniu potarł podbródek.

- Początkowo Kuar nie starał się zwracać na siebie uwagi. Nie

tak, jak ten pierwszy pentadriański czarownik. Ale obaj sprawiali wrażenie, jakby chcieli wypróbować naszą siłę i możliwości obrony. Mam nadzieję, że uznali nas za naród zbyt potężny, by rozważać agresywne posunięcia. - Westchnął. - Jasne jest, że żadne z nas nie powinno samotnie stawać przeciwko tym czarownikom. Musimy zacząć ukrywać nasze poruszenia, tak żeby tylko nieliczni zaufani wiedzieli, kiedy ktoś z nas odłącza się od pozostałych. - Zmarszczył czoło. - Miejmy nadzieję, że ci dwaj nie powrócą razem.

Auraya zadrżała na samą myśl o tym, co zyskało jej pełne współczucia spojrzenie Dyary. Stosunek kobiety do Aurai zmienił się wyraźnie - stała się mniej krytyczna i niemal przyjazna. Auraya miała nadzieję, że jest to efekt sukcesu w somreyańskich negocjacjach, ale podejrzewała, że Dyara stara się podtrzymywać ją na duchu na wypadek, gdyby wciąż przeżywała starcie z Kuarem.

- Gdzie jest teraz Kuar? - spytała Dyara.

- Po spotkaniu z Aurayą widziano, jak wędrował na północ. Potem, tak jak ten pierwszy, porwał łódź.

- A co z czarownicą zauważoną w Torenie? - zainteresował się Rian.

Juran pokręcił głową.

- Nie jest pentadrianką. Z przekazanych raportów wynika, że żyła samotnie w starej latarni i sprzedawała miejscowym leki. Wójt wsi postanowił z tym skończyć i wezwał kapłana, żeby ją wypędził. Uciekła jednak, zanim się pojawił. Kapłan by na tym poprzestał, ale zaniepokoiły go opowiadane o tej kobiecie historie. Wieśniacy twierdzą, że żyła tam od ponad stu lat. Wystraszył się, że może być jedną z Dzikich.

- Stara kobieta? Czy może być Wiedźmą? Juran wzruszył ramionami.

- Ludzie żyją czasem dłużej niż sto lat, a historie z przeszłości z każdym pokoleniem bywają bardziej przesadzone. Jednakże mamy obowiązek sprawdzać wszystkie meldunki o Dzikich, więc poleciłem kapłanowi, by ją odszukał.

- Czy to nie jest zbyt niebezpieczne? - zaniepokoiła się Auraya. -

Jeśli jest Dziką, to będzie silniejsza od niego.

- To ryzyko kapłan zdecydował się podjąć. My tutaj nie mamy czasu, żeby ją tropić. - Juran pokręcił głową. - Jeśli potwierdzi się, że jest Dziką, to...

Zamilkł zdziwiony. Wszyscy patrzyli zaskoczeni, jak rozwiera się pięć ścian Ołtarza. Wstali z krzeseł.

- Co to znaczy? - spytała Auraya.

- Bogowie są tutaj - szepnął Rian; oczy błyszczały mu religijnym uniesieniem.

Pod ogromną Kopułą zabrzmiały echem czyjeś kroki. Dyara przewróciła oczami.

- Jeśli tu są, to przybrali dzisiaj skromną formę. Nie, chyba ktoś chce nam przerwać, i to w ważnej sprawie.

Kiwnęła głową i spojrzała ponad ramieniem Riana. Obejrzeli się i zobaczyli spieszącego ku nim kapłana.

- Wybaczcie, że przerywam - wysapał, kiedy stanął przy podwyższeniu. - Ale właśnie przybyło do nas dwoje ambasadorów.

- Z jakiego kraju? - spytał Juran. - Z... z Si.

Siyee! Auraya westchnęła cicho i dostrzegła zaskoczenie Dyary. Juran przyjrzał się jej, unosząc brwi. Potem wstał.

- W takim razie wyjdziemy im na spotkanie.

Zeszli z Ołtarza i ruszyli do brzegu Kopuły. Na zewnątrz zebrały się setki kapłanów i kapłanek, a wszyscy zadzierali głowy, patrząc w górę. Auraya poczuła mocniejsze uderzenie serca, kiedy spostrzegła krążące nad Wieżą nieduże skrzydlate sylwetki.

- Oni pewnie nie wiedzą, że jesteśmy tutaj, na dole - zauważyła Dyara. - Może powitamy ich na szczycie Wieży?

- Mogę wam zaoszczędzić drogi - uśmiechnęła się Auraya.

Dyara popatrzyła na nią z nieprzeniknioną twarzą. Juran parsknął śmiechem.

- Z każdą chwilą boskie intencje stają się bardziej oczywiste - mruknął. - Ruszaj, Aurayo. Powitaj ich na ich terenie, że tak powiem.

Auraya skoncentrowała się na poczuciu świata wokół siebie i

własnej pozycji w stosunku do niego. Przywołała magię i przesunęła się ku górze, ciągle zwiększając prędkość, aż pędziła przed nią ściana Wieży... W oknach widziała niewyraźne twarze. Siyee nie zauważyli jej, dopóki nie znalazła się prawie przy nich. Zaskoczeni, odlecieli.

Zwolniła i zatrzymała się, zawieszona w powietrzu. Obserwowała, jak zaczynają krążyć wokół niej, zachowując dystans. Z tej odległości widziała, że wszystko, co opowiadano jej o Siyee, było nieprawdziwe... Z wyjątkiem tego, co mówił Leiard, poprawiła się w myślach.

Wyglądali jak dzieci, nie tylko z powodu niedużych rozmiarów, ale dlatego że ich głowy wydawały się za duże w proporcji do ciała. Piersi mieli szerokie, ale ramiona chude i muskularne. Skrzydła nie miały piór i nie wyrastały z pleców. To ręce były ich skrzydłami - wydłużone kości palców tworzyły szkielet dla półprzezroczystej membrany, sięgającej od czubków palców do tułowia.

Nosili kamizelki z otworami na ręce wydłużonymi aż do bioder, by nie krępować ruchów skrzydeł. Obcisłe spodnie z tej samej szorstkiej tkaniny co kamizelki okrywały dolne części ich ciał, a wąskie paski mocowały nogawki do nóg.

Kiedy podlecieli bliżej, zauważyła niektóre szczegóły. Trzy końcowe palce dłoni tworzyły skrzydła, pozostawiając wolne kciuk i palec wskazujący. Nie mogła się zdecydować, czy Siyee są ładni, czy brzydcy. Kanciaste twarze z dużymi oczami wydawały się subtelne i piękne, ale chudość i te bezpióre skrzydła nie dorównywały opisom w zwojach i znanym jej rysunkom. Obaj krążyli wokół niej ze swobodną gracją, która ją fascynowała.

- Witajcie w Jarime, ambasadorzy Siyee - zawołała. - Jestem Auraya z Białych.

Siyee zaczęli gwizdać między sobą, wtrącając tu i tam wymawiane piskliwym głosem słowo. Czytając im w myślach, odkryła, że to ich mowa.

- Musi być jedną z Wybrańców Bogów - stwierdził jeden z Siyee.

- Na pewno - zgodził się drugi. - Jak inaczej mogłaby stać w powietrzu?

- Nic w tej ich wiadomości nie wspominało, że potrafią... potrafią...

- ...oprzeć się przyciąganiu ziemi? - podpowiedział drugi.

Skoncentrowała się na ich umysłach, znajdując w nich potrzebne słowa. Naśladowanie wymowy okazało się trudniejsze, ale kiedy powtórzyła powitanie, podlecieli bliżej.

- Jestem Tireel z klanu Zielonego Jeziora - przedstawił się Siyee. - Mój towarzysz to Zeeriz z klanu Rozwidlonej Rzeki. Długo i z daleka lecimy, by rozmawiać z Wybrańcami Bogów.

- Wysłali nas nasi Mówcy, by omówić przymierze, które nam proponujecie - dodał drugi.

Auraya kiwnęła głową i znów poszukała w ich myślach właściwych słów.

- Inni Wybrani czekają na dole. Czy wylądujecie na ziemi, by się z nimi spotkać?

Obaj Siyee porozumieli się wzrokiem i kiwnęli głowami. Zaczęła opadać, a oni ruszyli za nią, wciąż krążąc. Rozumiała, że nie mogą tak znieruchomieć, jak ona. Tylko bezustanne szybowanie podtrzymywało ich w powietrzu. Zauważyła minimalne zmiany pozycji, kiedy reagowali na podmuchy wiatru. Kiedy byli już blisko gruntu, odlecieli do otwartego, wybrukowanego placu, by tam wylądować.

Gdy tylko stanęli na ziemi, naprzeciw wyszli Juran, Rian i Dyara. Siyee nerwowo spoglądali na tłum kapłanów i kapłanek.

- Nie obawiajcie się - uspokoiła ich Auraya. - Oni są tak samo zdziwieni waszym widokiem. Nie zrobią wam krzywdy.

Siyee skupili uwagę na trójce Białych. Pierwszy odezwał się Tireel.

- Przybyliśmy, by porozmawiać o przymierzu - oznajmił.

- Lecieliście z daleka - odparł Juran. Mówił bardziej miękko, gdy używał ich niezwykłego języka. - Czy chcielibyście najpierw wypocząć i się pożywić? Mamy w Wieży pokoje dla gości. - Obaj Siyee spojrzeli z powątpiewaniem na budowlę. - Albo, jeśli to wam nie odpowiada, możemy wznieść dom z tkaniny w ogrodach.

Siyee wymienili kilka cichych gwizdnięć. Tireel skinął głową.

- Przyjmiemy wasze pokoje w Wieży - odparł. Juran przytaknął.

- Odprowadzę was zatem i dopilnuję, żeby zadbano o waszą wygodę. Jeśli się zgodzicie, jutro się spotkamy, by omówić przymierze.

- Przyjmujemy to.

Kiedy Juran poprowadził Siyee do Wieży, Auraya zauważyła, że Dyara się jej przygląda.

- Bardzo ładnie się to ułożyło - uznała.

- Co takiego? - Auraya zmarszczyła czoło.

- Zyskałaś umiejętność latania akurat kilka dni przed przybyciem ludu nieba.

- I sądzisz, że ja to zorganizowałam?

- Ależ skąd. - Dyara się uśmiechnęła. - Bogowie rzadko kiedy ukrywają swoje intencje. W tym właśnie mamy przewagę nad pentadrianami. Nie musimy wymyślać tajemniczych znaków ani skomplikowanych sztuczek, by przekonać ludzi o ich istnieniu.

14

Nagie kamienne zbocza Przestrzeni kąpały się w pomarańczowym świetle. Słońce zachodziło, a pośrodku polany zapłonął krąg ognisk. Strzępy piosenek, bębnienie i bezustanne gwizdy Siyee rozlegały się dookoła.

Wszystko to tworzyło atmosferę wyczekiwania i zabawy. Podniecenie ogarniało Tryssa, gdy obserwował całą scenę. Siyee w każdym wieku ubrani byli odświętnie. Na brązowej od słońca skórze wymalowali jaskrawe, barwne wzory. Biżuteria zdobiła zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Każda twarz wydawała się dziwna i niesamowita, gdyż wszyscy nosili maski.

Gdy Tryss wylądował obok ojca, rozejrzał się zachwycony. Jak zawsze zadziwiała rozmaitość i wykonanie masek. Były wśród nich maski zwierząt, maski owadów, maski kwiatów; maski zdobione barwnymi wzorami i maski pokryte symbolami. Aż wstrzymał oddech, gdy zobaczył starannie wyrzeźbioną maskę przedstawiającą Siyee z rozłożonymi skrzydłami; uśmiechnął się, widząc mężczyznę, który „zastąpił" głowę wielką dłonią, i wybuchnął śmiechem na widok kobiety, której maska wyglądała jak ogromne ucho.

Przeszła grupa rozchichotanych dziewcząt w maskach zrobionych z piór. Jakiś starzec pokuśtykał w przeciwnym kierunku; siwe włosy wysuwały się spod wytartej reprezentacji rybiej głowy. Przebiegli dwaj mali chłopcy, ledwie mijając nogi Tryssa; twarz jednego całkowicie skrywało słońce, twarz drugiego częściowo półksiężyc.

Idąc za ojcem w stronę ich tradycyjnego miejsca w wielkim kręgu, Tryss uniósł rękę, by poprawić własną maskę. Wydawała się nieciekawa i głupia w porównaniu z innymi, które tu widział - zwyczajnie odmalował maskę w kształcie jesiennego liścia, którą zachował z festiwalu trei - trei sprzed kilku lat. Nie miał czasu na przygotowanie nowej, gdyż każdą wolną chwilę poświęcał na ćwiczenia ze zmodyfikowaną uprzężą i dmuchawkami.

Drilli była zadowolona z jego postępów, choć nadal równie często chybiał, co trafiał. Przekonywała go, że ludzie nie oczekują przecież od łuczników, by za każdym razem trafiali do celu, więc i po nim nikt nie będzie się tego spodziewał. On sam nie był o tym przekonany. Kiedy nadejdzie czas, by zademonstrować swój wynalazek, musi imponować i oszałamiać. Musi wykazać, że ta metoda polowania jest lepsza niż strzelanie z łuku na ziemi albo zastawianie sideł.

Westchnął. Dzisiaj chciałby o tym wszystkim zapomnieć. Letnie trei - trei, odbywające się pod koniec tej pory roku, było ostatnim radosnym Zgromadzeniem przed długą zimą - ostatnią okazją, by ucztować i tracić energię w akrobatycznych lotach.

A w tym roku miał partnerkę.

Kiedy rodzice zajęli miejsca wśród swojego klanu, Tryss usłyszał dwa głosy, wznoszące się ponad ogólny gwar.

- ...już ją widziałeś, nie?

- Pewnie. Ze trzy lata temu. Trochę świeżej farby nie zmieni starej maski w nową, nie? I jeszcze jesienny liść latem! Nawet z porą roku nie trafił.

Najlepiej udawać, że nic nie słyszałem, pomyślał Tryss. Ale matka spojrzała w tamtą stronę.

- Już się tak nie przyjaźnisz z kuzynami? - spytała z troską.

Tryss wzruszył ramionami.

- To oni się nie przyjaźnią ze mną - odparł. - W każdym razie odkąd miałem dość tego, że robią ze mnie durnia, żeby samym lepiej wypaść - dodał cicho.

Uniosła brwi.

- Więc to tak... Myślałam, że chodzi o coś innego. Spojrzał na nią zdziwiony, ale ona patrzyła już gdzie indziej.

Zerknęła jeszcze na niego, znacząco skinęła głową i znów odwróciła wzrok. Tryss rzucił okiem w tamtym kierunku i zobaczył dziewczynę z motylem zamiast twarzy. Natychmiast rozpoznał Drilli. Żadna inna nie chodziła w taki sposób, myślał, z pewnością siebie, ale bez popisywania. Jej gracja była całkowicie swobodna.

Znowu spojrzał na matkę. Czyżby sugerowała, że to Drilli jest powodem niechęci kuzynów? Prawdopodobnie ma rację. Są zazdrośni. Ale przecież nie mają powodu. Drilli go lubi i pomaga mu w doskonaleniu jego wynalazków, ale przecież nie ma podstaw, by sądzić, że jest dla niej kimś więcej niż tylko przyjacielem.

Tylko że, no... Namówiła go, żeby zaprosił ją jako partnerkę na trei - trei, a dziewczęta nie robią takich rzeczy, jeśli nie chcą czegoś więcej niż tylko przyjaźni z chłopcem.

Ostatnie promienie słońca zgasły. Drilli i jej rodzina także zajęli swoje miejsca. Strzępy muzyki różnych instrumentów dookoła kręgu zaczęły się synchronizować. Urwały się pogaduszki. Mówca innego klanu wystąpił na środek, ubrany w tradycyjnie jaskrawy kostium Wodzireja. Będzie koordynował zabawę, ustalał porządek formacji w locie i przyznawał nagrody.

- Od stuleci, odkąd Huan uznała swe dzieło za zakończone i stwierdziła, że jesteśmy gotowi, by sami się rządzić, każdej zimy i każdego lata zbieramy się wszyscy, by świętować i wyrażać jej wdzięczność - zawołał. - Doskonalimy swe zdolności i sprawdzamy umiejętności, by mogła patrzeć na nas z dumą.

Zimą składamy pokłon najstarszym i najmłodszym spośród nas. Latem cieszymy się partnerstwem mężczyzny i kobiety, czy są nowi w związku, czy też od dawna tworzą rodzinę. - Uniósł ręce. - Niech zatem pary rozpoczną trei - trei!

Kiedy muzycy zagrali tradycyjną żwawą melodię, rodzice Tryssa uśmiechnęli się do siebie i zdjęli maski. Przebiegli kilka kroków, skoczyli w powietrze i dołączyli do innych par, wirujących w klasycznych figurach tańca. Tryss odwrócił głowę w stronę klanu Drilli - spoglądała na niego wyczekująco.

Ruszył ku niej, ale znieruchomiał, gdy z obu stron zbliżyły się do niej dwie znajome postacie. Jej uśmiech zgasł nagle, kiedy Ziss chwycił ją za rękę.

Słowa dziewczyny zginęły w ogólnym gwarze, ale ruch głowy nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Ziss skrzywił się, lecz jej nie puścił. Drilli odwróciła się gwałtownie, popatrzyła na stojącego z

drugiej strony Trinna i na jej twarzy pojawił się wyraz gniewu. Strząsnęła rękę Zissa i odeszła.

Tryss zauważył, że jej ojciec przygląda się temu z uwagą. Niechętnie zmarszczył czoło, kiedy Drilli stanęła obok Tryssa.

Czyżby to dezaprobata? zastanowił się.

- Tryss - odezwała się Drilli. - Nie chciałeś chyba mnie zostawić, żebym musiała sama się bronić przed twoimi kuzynami?

Uśmiechnął się.

- Doskonale sobie radzisz, Drilli.

- Miło, że tak uważasz, ale bardziej by mi pochlebiało, gdybyś dzielnie stanął w mojej obronie.

- To może zostaw mi trochę czasu, zanim sama to załatwisz!

Muzyka się zmieniła. Drilli spojrzała na latających w górze, a oczy jej błyszczały.

- Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała pofrunąć ze mną - powiedział Tryss. Formalne zaproszenie zabrzmiało w jego ustach dość niezręcznie.

Uśmiechnęła się i zdjęła maskę. On zdjął swoją i ułożył obok jej na ziemi. Kiedy zwróciła się do wnętrza kręgu, Tryss obejrzał się jeszcze na kuzynów. Obaj rzucali mu wściekłe spojrzenia.

A potem on i Drilli już biegli. Rozdzielili się i skoczyli w górę. Poczuł, że żar ogniska wzmaga siłę nośną powietrza pod skrzydłami. Poniosła go wyżej, z Drilli u boku, i po chwili zajęli miejsce wśród par, wykonując proste ruchy nieskomplikowanych publicznych figur.

Wiele już razy wykonywał te figury, jednak nie w taki sposób. Kiedy był mały, latał z matką, starannie naśladując każdy jej ruch. Później z młodszymi kuzynami, którymi musiał kierować. Drilli nie kierowała i nie naśladowała. Potrafił odczytać najmniejszą zmianę jej pozycji; wiedział, czego chce, czego się spodziewa; ona tak samo reagowała na niego. Było to równocześnie podniecające i kojące, pobudzające i hipnotyczne.

Pozostawali w powietrzu jeden taniec po drugim, skupieni tylko na sobie, niezależnie od tego, czy muzyka była żywa, czy powolna. Odkrył, że radzi sobie ze skomplikowanymi figurami, których

wcześniej nigdy nie próbował.

W końcu muzyka ucichła i wylądowali na ziemi, by patrzeć, jak ustawiają pierścienie i tyczki do konkursów akrobatycznych. Po chwili Siyee nurkowali i wzlatywali między nimi, oklaskiwani przez patrzących.

Podczas jakiegoś głośniejszego wybuchu braw Drilli pochyliła się do niego.

- Wymknijmy się stąd - szepnęła.

Popatrzył na nią zdziwiony. Wzięła go za rękę i powoli pociągnęła przez tłum w stronę lasu na granicy Przestrzeni. Przystawali niekiedy, czasem by popatrzeć, czasem by porozmawiać ze znajomym. Wreszcie, po długiej i starannej obserwacji otoczenia, znowu się do niego nachyliła.

- Wejdź do lasu, po pięćdziesięciu krokach zatrzymaj się i czekaj. Policzę do stu i pójdę za tobą.

Kiwnął głową. Rozejrzał się szybko, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje, odczekał, aż któryś z akrobatów zacznie skomplikowaną figurę, i dopiero wtedy pomaszerował w głąb lasu. Między drzewami panowała ciemność. Ogromne pnie wydawały się złowrogie, czego nigdy nie zauważył w świetle dnia. Nie potrafił odgadnąć dlaczego - przecież Siyee żyli tu od trzech stuleci, nie wyrządzając im żadnej krzywdy.

Zdał sobie sprawę, że stracił rachunek kroków, więc się zatrzymał. Po chwili usłyszał delikatne poruszenia. Pojawił się dziewczęcy cień, a Tryss rozpoznał sposób chodzenia Drilli i odetchnął z ulgą.

- Twoi kuzyni chyba widzieli, jak odchodzimy - szepnęła. Obejrzał się i zaklął pod nosem, widząc, że obaj idą szybko w ich stronę wzdłuż granicy lasu.

- Założę się, że przez cały wieczór się na nas gapili.

- Durnie - mruknęła. - Każdy, komu się wydaje, że zdobędzie dziewczynę, będąc okrutnym dla innych, jest głupi. Chodźmy. Staraj się nie robić hałasu.

Skradali się przez las. W ciemności czasem nie dało się uniknąć

nadepnięcia na gałązkę czy zeschły liść, choć przez wiele lat wydeptano już gładkie ścieżki. Tryss skupił się na tym, by nadążać za Drilli i by uważać na ścigających, więc kiedy zatrzymała się nagle, nie od razu zrozumiał, gdzie trafili.

- To Altana Mówców - stwierdził. - Nie powinniśmy tu przychodzić!

- Psst... - Dotknęła palcem warg i obejrzała się przez ramię. - Nie ośmielą się przyjść tu za nami. A koło altany nikogo nie będzie. Wszyscy są na festiwalu.

- To dlaczego w środku pali się światło?

- Nie wiem. Pewnie któryś z Mówców zostawił zapaloną latarnię, żeby trafić...

Tryss znieruchomiał, gdy trzy postacie wynurzyły się spomiędzy drzew po drugiej stronie polanki i ruszyły do altany. Na szczęście nowo przybyli nie spojrzeli nawet w ich kierunku, tylko od razu weszli do środka. Światło wewnątrz rzucało na ściany ich zniekształcone cienie.

Drilli oddychała szybciej. Obejrzała się w kierunku, skąd mogli nadejść jego kuzyni, a potem nagle przekradła się bliżej altany i przykucnęła u korzeni wielkiego, starego drzewa.

- Jeśli twoi kuzyni nas znajdą, na pewno nas wydadzą - szepnęła. - Lepiej się schować i ryzykować, że odkryją nas Mówcy.

Z wnętrza altany dobiegały głosy.

- Zaatakowano nas - oświadczył ktoś ponuro. - Ale nie ludzie. Ptaki.

- Ptaki? - Tryss rozpoznał głos Mówcy Sirri.

- Tak. Było ich może ze dwadzieścia. Rzuciły się na nas z drzew, wszystkie naraz.

- Jakie ptaki?

- Nigdy takich nie widziałem. Jakby wielkie czarne kiri.

- Bardzo wielkie - dodał trzeci głos. - Miały skrzydła o rozpiętości prawie takiej jak my.

- Naprawdę? - Tak.

- I co wam zrobiły?

- Uderzały dziobami i pazurami. Wszyscy jesteśmy podrapani - mówił ponuro pierwszy głos. - Niril stracił oko, Liriss oba. Połowa ma porwane membrany skrzydeł, a Virri i Dillir może już nigdy nie będą latać.

Po tych słowach zapadła cisza.

- To straszne - stwierdziła Sirri, szczerze zaniepokojona. - I co wtedy zrobiliście? Jak udało się wam uciec?

- Nie udało się. Zepchnęły nas na ziemię. Próbowaliśmy do nich strzelać, ale rozpierzchły się, kiedy tylko zobaczyły, że sięgamy po łuki. Całkiem jakby rozumiały, do czego służą. - Mówiący przerwał na chwilę. - Przez jakiś czas szliśmy pieszo, a potem ci, którzy jeszcze mogli, polecieli. Trzymali się nisko, między drzewami. Mieliśmy nadzieję, że zdążą wylądować i walczyć, gdyby znowu nastąpił atak. Ktoś westchnął.

- Niepotrzebne nam nowe zagrożenie oprócz tych, z którymi już musimy się mierzyć.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem o takich ptakach. To pewnie nowy gatunek, który zawędrował w nasze strony. Powinniśmy je wyeliminować, zanim się rozmnożą i zagrożą nam wszystkim.

- Zgadzam się. Musimy ostrzec wszystkie klany...

- Jest jeszcze coś - przerwał trzeci głos. - Mój brat sądzi, że sobie to wyobraziłem, ale jestem pewien, że widziałem tam ziemiochodzącą.

- Ziemiochodzącą?

- Tak. Zauważyłem ją, kiedy odchodziliśmy. Obserwowała nas, a ptaki zgromadziły się przy niej.

- Rozumiem wątpliwości twojego brata. Ziemiochodzący nigdy nie zapuszczali się tak daleko w góry. Jak wyglądała ta kobieta?

- Ciemna skóra. Czarne ubranie. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Widziałem ją tylko przez moment.

- To dziwne. Muszę się zastanowić nad tym, co mi powiedzieliście. Czy powinnam wiedzieć coś jeszcze?

- Nie.

- W takim razie odprowadzę was do waszego klanu.

Zniekształcone cienie przesunęły się na jedną stronę altany, a potem trzy postacie wyszły z niej na zewnątrz. Tryss patrzył, jak odchodzą; serce waliło mu jak młotem.

- Chyba nie mieliśmy tego słyszeć - szepnął.

- Nie - zgodziła się Drilli. - Ale przynajmniej nas nie zauważyli.

- Nie.

- Powinniśmy wracać.

Ale nagle odkrył, jak ona jest blisko niego. Nie chciał się odsuwać i Drilli też nie zrobiła żadnego ruchu. Czuł ciepło promieniujące z jej skóry, a zapach jej potu mieszał się z wyraźnie kobiecą wonią.

Przesunęła się bliżej.

- Tryss?

Głos był nieśmiały i pytający, a on zrozumiał nagle, że żadne pytanie już nie padnie. To jego imię było pytaniem.

- Drilli? - wymruczał.

Ledwie ją widział w ciemności - tylko zarys brody w świetle gwiazd. Powoli pochylił się do przodu.

Jej wargi musnęły jego. Ogarnęła go euforia, a potem jej usta zamknęły się na jego i poczuł żar rozlewający się w żyłach. Dwie myśli rozbłyskiwały mu w głowie.

Ona mnie pragnie.

Moi kuzyni dostaną szału.

Nie przejmował się kuzynami. Ona go chciała. Trudno było tego nie dostrzec. To nie był niewinny, przyjacielski pocałunek. .. Ścisnęła go za ramiona, a on wsunął dłonie pod membrany jej skrzydeł i chwycił ją w talii. Odsunęła się lekko.

- Obiecaj mi coś - szepnęła.

Widział tylko gwiazdy odbite w jej oczach.

- Cokolwiek zechcesz.

- Obiecaj, że na następnym Zgromadzeniu pokażesz Mówcom swoją uprząż.

Zawahał się po tej niespodziewanej zmianie tematu.

- Moją uprząż...?

- Tak. - Urwała na chwilę. - Jesteś zdziwiony.

- Uprząż była dość daleka od moich myśli - przyznał. Zaśmiała się cicho.

- Czyżby udało mi się na chwilę skupić na sobie całą twoją uwagę?

Przyciągnął ją do siebie. I kiedy znów ją pocałował, otworzyła usta. Delikatnie ssała jego wargi, budząc rozkoszne dreszcze na karku. Rozłożył dłonie na jej plecach, wyczuwając cudownie regularną linię kręgosłupa. Gdy przygryzła mu dolną wargę, przejechał palcem wzdłuż spojenia ubrania, w miejscu gdzie kamizelka przepuszczała membranę skrzydeł. Poczuł, jak sztywnieje zaskoczona, a potem rozluźnia się i przytula do niego, jej piersi oparły się, jędrne i ciepłe, o jego klatkę piersiową. To zbyt piękne, pomyślał niechętnie. Wsunął dłonie pod jej kamizelkę i westchnął, dotykając nagiej, jedwabistej skóry. Czuł, że jej dłonie suną tą samą drogą pod jego kamizelką, że przesuwają się od karku do... prychnął zaskoczony, kiedy ścisnęła go za pośladki. Ale gdy spróbował zrobić to samo, odsunęła się. Oboje oddychali głośno. Drilli nabrała tchu i wolno wypuściła powietrze.

- Musimy wracać.

Rozczarowany odwrócił głowę, lecz wiedział, że ona ma rację. Jego kuzyni, rozzłoszczeni tym, że w lesie zgubili ich ślad, wrócą do rodziców i opowiedzą, co widzieli. Ale nie widzieli wszystkiego, pomyślał z satysfakcją.

- Obiecaj, że znów to zrobimy - powiedział. Słowa padły, zanim zdążył się nad nimi zastanowić.

Parsknęła.

- Jeśli ty mi obiecasz, że pokażesz Mówcom swoją uprząż. Odetchnął głęboko i skinął głową.

- Obiecuję. - Że...?

- Pokażę Mówcom swoją uprząż.

- Na najbliższym Zgromadzeniu?

- Tak. Chyba że nadarzy się lepsza okazja.

- To brzmi rozsądnie - zgodziła się.

Przez kilka uderzeń serca stali w milczeniu. Zauważył, że przypomina sobie dotyk jej skóry... Pragnął dotknąć jej znowu.

Westchnęła.

- Myślisz, że znajdziesz sam drogę powrotną?

- Nie. Zaśmiała się.

- Kłamca. Oczywiście, że znajdziesz. Myślę, że lepiej będzie, jeśli wrócimy z różnych stron. Przejdę dookoła na tamten koniec Przestrzeni.

- To daleko. Czy to coś złego, że ludzie zobaczą nas razem?

- Mój ojciec nie chce, żebym znalazła męża poza klanem. - Urwała. - Nie żebym cię namawiała do małżeństwa. Ale nie lubi, kiedy z tobą rozmawiam.

Patrzył na nią, czując, że ulatnia się radosny nastrój. Podeszła bliżej.

- Nie przejmuj się - rzuciła swobodnie. - Przekonam go. Pochyliła się i pocałowała go mocno. A potem wyśliznęła się z jego objęć. Dostrzegł jeszcze błysk jej zębów w świetle latarni w altanie, nim odwróciła się i odbiegła.

Dawno temu Emerahl odkryła, że najprostszym sposobem poznania tajników miasta jest zaprzyjaźnienie się z jego najmłodszymi i najbiedniejszymi mieszkańcami. Brudne i chytre dzieci z ulicy lepiej znały ciemne strony miejskiego życia niż dorośli, którzy nim rządzili. Wiedziały, jak być niewidzialnym, a ich lojalność dało się kupić tanio.

Wyszukała je następnego dnia po tym, jak o mało co nie złapali jej wśród sklepów. Znalazła nieduży skwer w biedniejszej części miasta i przez kilka godzin obserwowała i nasłuchiwała wszystkiego, co działo się dookoła. Miejscowi nie byli głupcami, Więc zauważyła tylko dwie udane kradzieże.

Kiedy jeden z chłopców zbliżył się niedbałym krokiem, spojrzała mu prosto w oczy.

- Paskudny masz ten kaszel - stwierdziła. - Lepiej się go pozbądź, zanim zrobi się zimno.

Chłopiec zwolnił i przyjrzał się jej podejrzliwie. Zauważył

znoszone, ale czyste ubranie.

- A czemu się przejmujesz?

- A czemu nie? Zatrzymał się i zmrużył oczy.

- Bo gdybyś się przejmowała, tobyś mi dała jakiś pieniążek. Uśmiechnęła się.

- A co byś z nim zrobił?

- Kupił jedzenie... dla mnie i mojej siostry. - Zastanowił się. - Ona kaszle jeszcze gorzej ode mnie.

- A może to ja ci kupię jedzenie? - zaproponowała. Nie odpowiedział. Odwróciła głowę.

- Tylko w ten sposób możesz coś dostać.

- No dobra. Ale żadnych numerów. Nigdzie z tobą nie idę, tylko na targ.

Ruszyła za nim na miejscowy, nieduży plac targowy, gdzie kupiła mu trochę chleba i owoców. Potem oboje zjedli po cienkim pierogu napełnionym świeżo upieczonym mięsem. Zauważyła, że schował kawałek, więc pewnie ta historia o siostrze była prawdziwa.

- A na kaszel - rzekła - ty i twoja siostra potrzebujecie tego.

Od zielarza kupiła trochę syropu - najpierw powąchała go podejrzliwie, by sprawdzić, czy zawiera te zioła, które powinien.

- Jedną łyżeczkę trzy razy dziennie. Nie więcej, bo się potrujecie.

Popatrzył na nią, biorąc butelkę.

- Dzięki.

- A teraz w zamian mógłbyś mi wyświadczyć pewną przysługę. - Zmarszczył brwi. - Nie martw się, żadnych numerów. Potrzebuję rady. Szukam miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać na parę dni. Tanio. I spokojnie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Tej nocy trafiła w gościnę do niewielkiej grupy dzieciaków, mieszkających w piwnicach spalonego domu na obrzeżu dzielnicy biedoty. Przekonała się, że Rayo - ten chłopiec, któremu pomogła - rzeczywiście ma siostrę poważnie chorą na płuca. Sięgnęła więc do własnych zapasów, pozwalających na bardziej intensywne leczenie.

Niewiele trzeba było czasu, by do dzieci dotarły wieści o kapłanach poszukujących starej zielarki. Następnego dnia przekazały

jej te informacje i swoje podejrzenia.

- Całe miasto huczy. Kapłani szukają czarownicy - oznajmił młodszy chłopiec, Tiro.

- Starej kobiety. Jak ty - dodała dziewczynka, Gae. Emerahl prychnęła niechętnie.

- Też słyszałam. Kapłani uważają, że każda stara kobieta jest czarownicą, zwłaszcza jeśli wie to czy tamto o ziołach i różnych takich. - Wyciągnęła kościsty palec. - Są zwyczajnie zazdrośni, rozumiecie, bo lepiej od nich znamy się na lekach.

- Przecież to głupie - uznał Rayo. - Jesteś stara. Niedługo umrzesz.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Dzięki, że mi o tym przypomniałeś. - Westchnęła. - Owszem, to głupie. Jak sam zauważyłeś, co możemy zrobić? Tylko godzić się z tym, że nas biją.

- Naprawdę cię zbili? - spytał Tiro.

Westchnęła i kiwnęła głową, demonstrując rozerwany taul.

- Świetną porę wybrali, żeby wyrzucić mnie z domu, co?

- No to nie jesteś czarownicą. Jesteś bezpieczna - zapewniła ją Gae.

Emerahl spojrzała na nią smutnie.

- Zależy, czy znajdą tę, której szukają. Jeśli nie, ciągle będą się nas czepiać. Albo mogą złapać którąkolwiek i zrzucić na nią winę, żeby nie przyznać, że ta poszukiwana im uciekła.

- Nie pozwolimy na to - oświadczył stanowczo Rayo. Uśmiechnęła się.

- Jesteście bardzo dobrzy, że pozwalacie mi tutaj mieszkać.

Dzieciom nie przeszkadzało, że te kilka dni, o których mówiła, zmieniło się w tydzień, a potem dwa. Oddawała im swoje rzeczy na sprzedaż, a oni przynosili jedzenie i nawet trochę taniej wody ognistej. Od czasu do czasu szpiegowali kapłanów, żeby wiedziała, czy poszukiwania się skończyły.

- Podsłuchałem dwóch - oświadczył pewnego wieczoru Tiro, niemal bez tchu. - Mówili o jakimś wyższym kapłanie, co kieruje

tymi poszukiwaniami. Ikaro się nazywa. Mówili, że rozmawia z bogami i że umie czytać w myślach.

- Czyli jeszcze jej nie znaleźli?

- Chyba nie.

Emerahl westchnęła, choć jej niepokój wiązał się raczej z informacją o zdolnościach przeciwnika. Oczywiście, ci dwaj podsłuchani przez Tiro mogą tak podziwiać zwierzchnika, że wierzą we wszystkie plotki na jego temat. Ale nie mogła ryzykować, że to prawda. Kapłan, który spróbowałby odczytać jej myśli, nie zobaczyłby niczego. Aby tak ukryć swój umysł, niezbędne są całkiem spore umiejętności magiczne. On może o tym nie wiedzieć, ale wolała nie sprawdzać.

Według tego, co mówiły dzieci, każdy opuszczający miasto łodzią, tarnem, plattenem albo pieszo był obserwowany przez kapłanów. Pilnowane były nawet tajemne przejścia podziemnego świata. Wszystkie stare kobiety prowadzono do wysokiego kapłana. Cyrklianie naprawdę wkładali w te poszukiwania wiele trudu. Jeśli odgadli, kim jest, to bogowie spoglądają przez oczy każdego kapłana i wypatrują jej. A gdyby ją znaleźli. ..

Zadrżała.

Zabiją mnie, jak zabili Mirara, Wyrocznię i Farmera, a prawdopodobnie też Mewę i Bliźnięta, choć nie słyszałam wieści o ich śmierci.

Kusiło ją, by przyczaić się tutaj i przeczekać. Kapłani nie mogą wiecznie jej szukać. Ale zanim zrezygnują, wypróbują jeszcze parę sztuczek. Spodziewała się, że już niedługo wyznaczą za nią nagrodę. A kiedy to nastąpi, nie może już być pewna lojalności dzieci. Są przyjazne, ale przecież nie głupie. Jeśli cena będzie wysoka, wiedziała, że sprzedadzą ją bez chwili namysłu. Była przecież tylko starą kobietą.

W tej chwili nikt nie był dla niej bezpiecznym towarzystwem. Powinna zmienić swój wygląd - ale nie tylko ubranie i kolor włosów. Potrzebowała czegoś bardziej dramatycznego.

Taka przemiana nie przekraczała jej możliwości, choć sama myśl

o niej budziła dreszcze. Już bardzo dawno nie używała tego Daru. Wiele mogło się nie udać. Potrzebowała czasu - może nawet kilku dni - by dokonać takiej przemiany. I nikt wtedy nie mógł jej przeszkadzać.

Dzieci nie mogą się dowiedzieć, oczywiście. Lepiej, gdyby nigdy nie widziały jej nowej postaci, ani nawet nie wiedziały, że się zmieniła. Jednak ukrycie się przed nimi nie będzie łatwe. Gdyby nawet wymyśliła jakiś wiarygodny pretekst, to dokąd pójdzie?

Ale może wcale mnie musi odchodzić? Wiele problemów by się rozwiązało, gdyby uwierzyły, że umarła.

15

Większą część ostatnich dwóch tygodni Danjin Spear przeżył w stanie zachwytu i zdumienia. Nie był jedyną osobą, która tego doświadczała, ale uważał, że jedną z niewielu, które zachowały rozsądek mimo wszystkiego, co się wydarzyło. Większość kapłanów albo chodziła jak ogłupiała, albo bezustannie wysławiała bogów, czy też spekulowała, co jeszcze kryje przyszłość.

Kiedy platten niósł go przez bramę Świątyni, Danjin wspominał wydarzenia, które doprowadziły do takiej sytuacji.

Pierwszym objawieniem był powrót Aurai. Ani statek, ani platten nie dostarczyły jej do miasta. Przyfrunęła do Świątyni jak wielki, biały i bezskrzydły ptak. Powrót Dyary był spokojniejszy, jak dowiedział się od któregoś ze służących. Przyjechała na Nosicielu, na którym wyruszyła, i wyglądała, „jakby musiała sobie wiele rzeczy przemyśleć".

Druga wiadomość okazała się mniej przyjemna. Auraya opowiedziała Danjinowi o swoim starciu z pentadriańskim czarownikiem i o tym, że odkrycie nowego Daru nastąpiło w rezultacie porażki. Jednak ta informacja miała pozostać sekretem. Biali nie chcieli wzbudzać u wiernych niepotrzebnej paniki, ogłaszając, że pentadrianie mają czarowników dostatecznie potężnych, by mogli pokonać kogoś z Białych.

Danjin nie przyzwyczaił się jeszcze do myśli, że kobieta, dla której pracuje, zdolna jest do powietrznych akrobacji, zbyt trudnych nawet dla ptaków. Po przybyciu ambasadorów Siyee zauważył subtelną zmianę w zachowaniu innych Białych wobec Aurai - jakby Siyee swoim istnieniem wyjaśniali, czemu otrzymała taką moc.

To rzeczywiście ma sens, pomyślał. Czy z tego wynika, że będę jej towarzyszył w podróży do Si?

Od ich przybycia widywał Aurayę raz, najwyżej dwa razy dziennie. Nic nie wiedział o ludzie nieba, nie znał ich języka... Prawdziwym wstrząsem było zrozumienie, że w tej chwili zupełnie

nie jest dla niej przydatny. A te kilka razy, kiedy widział ich razem, przekonało go, że skrzydlaci goście ją fascynują. Ona także wywarła na Siyee ogromne wrażenie.

Nic dziwnego, uznał. Ma z nimi więcej wspólnego niż ktokolwiek tutaj.

Platten zbliżył się do budynków Świątyni. Zauważył, że nieliczni kapłani, spacerujący po alejkach o tak wczesnej porze, zajęci są nową i nieoficjalną rozrywką, którą nazwano nieboglądaniem. Większość spoglądała na Wieżę. Szybko odkryli, że okno w pokoju Aurai zastąpiono szklanymi drzwiami, więc ona i jej przyjaciele z Si nie musieli wspinać się na dach, żeby oddać się ćwiczeniom lotniczym. Kiedy się pojawiała, publiczność często witała ją oklaskami.

Wspominając te drzwi w ścianie jej pokoju, Danjin zadrżał. Może to i lepiej, że już go nie potrzebuje.

Potrzebuje oczywiście, powtarzał sobie. Ale to nie pomagało. Oto nadarzyła się okazja, by poznać jeden z nielicznych ludów, o którym nic nie wiedział... Ale nie mógł z niej skorzystać, ponieważ Auraya nie włączyła go do rozmów z nimi.

Platten zatrzymał się, Danjin wysiadł i podziękował woźnicy. Kapłani uprzejmie kiwali mu głowami, kiedy szedł w stronę Wieży, a on odpowiadał im znakiem kręgu. Klatka czekała już u stóp schodów. Skupił się na oddechu, gdy niosła go w górę; aby nie wyobrażać sobie otchłani pod sobą, wyrecytował w myślach zwrotkę wiersza, której nauczył się na pamięć, a potem przetłumaczył ją na dunwayski. Zatrzymał się przed kwaterą Aurai, wysiadł i zastukał.

Otworzyła sama i powitała go uśmiechem. Nie tak szerokim, jaki często miała na twarzy w ostatnich dniach, ale spokojniejszym. Zastanowił się, co takiego tłumiło jej niedawną radość.

- Wejdź, proszę - powiedziała i wskazała mu fotel. Siadając, odruchowo rzucił okiem na okna. Na szczęście szklane „drzwi" były zamknięte.

- Wiem, jesteś rozczarowany, że nie widujesz częściej ambasadorów Siyee - zaczęła. - Mogą się wydawać pewni siebie i

opanowani, ale w rzeczywistości ziemiochodzący ich onieśmielają. Tym bardziej, że znają nas przede wszystkim jako najeźdźców i morderców. Starałam się możliwie ograniczać liczbę ziemiochodzących w ich otoczeniu.

Kiedy mówiła, kosmaty kłębek na sąsiednim fotelu rozwinął się wolno. Figiel zamrugał sennie, przeciągnął się, przeszedł na kolana Aurai i zwinął się znowu. Auraya jakby tego nie zauważyła.

- Miałam nadzieję, że ci to jakoś wynagrodzę, zabierając ze sobą. Obawiam się jednak, że teraz nie będzie to możliwe.

- Zabierając mnie?

W jej oczach błysnęły dobrze już znajome iskierki.

- Do Si. By przystąpić do negocjacji w sprawie przymierza. Juran wysłał im propozycję już parę miesięcy temu, a teraz chcą, żeby ktoś z nas wrócił z nimi do Si. - Jej uśmiech zbladł. - Ale podróż potrwa całe miesiące i prowadzi przez bardzo trudne tereny. Musiałbyś zdobywać góry, żeby się tam dostać, Danjinie. Juran postanowił, że mam wyruszyć sama.

Aha. - Danjin wiedział, że nie zdoła przed nią ukryć zniechęcenia, więc nawet nie próbował. - Masz rację - rzekł. - Jestem rozczarowany. Jestem też niespokojny. W Somreyu miałaś mnie, Mairae i tkacza snów Leiarda. Doradzaliśmy ci. Wybacz szczerość, ale wciąż masz za mało doświadczenia, by sama radzić sobie z przymierzem. Czy to nie może zaczekać? Pokręciła głową.

- Potrzebujemy sojuszników, Danjinie. Nie tylko samotni czarownicy mogą zawędrować z południa na północ. Jednakże nie rozpocznę negocjacji z Siyee natychmiast. Przez kilka miesięcy będę próbowała jak najwięcej się o nich dowiedzieć.

- W takim razie, jeśli wyruszyłbym zaraz, dotarłbym na czas, by pomóc ci w rozmowach...

- Nie, Danjinie - oświadczyła stanowczo. - Będziesz mi potrzebny tutaj.

Sięgnęła pod cyrklę, potem pochyliła się i wyciągnęła rękę. Na jej dłoni spoczywał biały pierścień. Kapłański pierścień... Danjin przyjrzał mu się zaskoczony.

- To zaszczyt, na jaki nie zasługuję - powiedział. - Ale nie pragnę wstąpić...

- To nie jest kapłański pierścień - przerwała mu. - To coś, co nazywamy pierścieniem łączącym. Jak wiesz, kapłani mogą komunikować się między sobą poprzez swoje pierścienie. To możliwe, ponieważ są Obdarzeni, więc ich pierścienie są całkiem proste. To... - Uniosła białą obrączkę. - To jest bardziej skomplikowane i trudniejsze do wykonania. Jeśli zechcę się z tobą skontaktować, będę mogła poprzez ten pierścień. Ale on nie potrafi nic więcej. Nie połączy cię z nikim innym. - Podała mu go. - Noś go, a będę mogła rozmawiać z tobą z Si. Nie zgub go. Mam tylko ten jeden.

Wziął pierścień, uniósł w górę i przyjrzał mu się... Był prosty i gładki; nie domyślał się nawet, z czego jest zrobiony. Wsunął go na palec, po czym uniósł głowę i spojrzał Aurai w oczy.

- Jest jeszcze coś, co mnie martwi... Uśmiechnęła się i oparła wygodniej.

- Twoja troska o mnie jest wzruszająca, Danjinie. Ale w Si ryzyko spotkania pentadrian jest mniejsze niż gdziekolwiek indziej. To odległa, niezamieszkana okolica, trudna do przebycia.

Siyee wykryją i uprzedzą o każdym, kto wtargnie do ich krainy. No i dlaczego Pentadrianin miałby podejmować tak ciężką wyprawę?

- Żeby cię znaleźć - odparł.

- Nie będą wiedzieli, że tam jestem.

- No więc... z tego samego powodu, dla którego ty wyruszasz.

- Siyee nie zaprosili do siebie pentadrian, żeby negocjować sojusze, przynajmniej ambasadorzy nic o tym nie wiedzą. Ani też pentadrianie nie nawiązali kontaktu z innymi krajami.

Westchnął i pokonany skinął głową.

- Więc jak długo będę bezrobotny? Parsknęła.

- Nie będziesz. Wyruszam na kilka miesięcy... Chociaż, jeśli mi się powiedzie, Juran chce wysłać mnie do Elai. Kurier, którego tam posłał, od miesięcy nie meldował o sytuacji.

- Lud morza... - Danjin gwizdnął cicho. - Wkrótce nie będzie już na świecie żadnych zagadek.

Wyraz niepokoju przemknął po twarzy Aurai. Odwróciła głowę. Figiel się poruszył, a ona spojrzała na niego i uśmiech powrócił.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałabym z tobą omówić, Danjinie.

- Tak?

- Czy mógłbyś zaglądać tu codziennie i spędzać trochę czasu z Figlem, kiedy mnie nie będzie? Musisz uważać. Robi się sprytny. Ciągle go znajduję, jak pełza po zewnętrznej stronie okna. Kazałam wstawić zamek, ale on już nauczył się go otwierać. Zanim wyjadę, będę musiała zabić to okno gwoździami.

Danjin zadrżał.

- Zrób to, a będę się nim zajmował. Zaśmiała się.

- Dziękuję ci. Jestem pewna, że Figiel doceni twoje towarzystwo.

Kiedy Danjin wyszedł, Auraya zaczęła krążyć po pokoju.

Wiem, że wydawałam się bardziej pewna siebie, niż się czuję, myślała. To nie żaden konkretny aspekt wyprawy mnie niepokoi, ale to, że muszę wszystko robić tam sama.

Lecz przecież nie będzie pozbawiona kontaktu z resztą świata. W dowolnej chwili może się porozumieć z każdym z Białych. Juran polecił, by konsultowała się z nim, zanim podejmie jakąkolwiek ważną decyzję. Co było równie pocieszające, jak rozsądne.

Dyara nie zaprotestowała ani jednym słowem. Całą drogę powrotną do Jarime poświęciła na lekcje magii, ale w jej instrukcjach znikł ton wykładowcy. Zrezygnowała już z zatrzymywania Aurai, dopóki nie udoskonali każdej przydatnej umiejętności; zdawało się raczej, że postanowiła możliwie szybko przekazać jej wszystko, co sama wie o stosowaniu magii. Powtarzała, że Auraya powinna ćwiczyć, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę.

- My wszyscy mieliśmy czas, by uczyć się we własnym tempie. Może się okazać, że ty, jako ostatnia z nas, go nie dostaniesz - oświadczyła tajemniczo.

To jeszcze bardziej utrudniało spoglądanie w przyszłość bez

niepokoju. Bywały noce, kiedy Auraya budziła się z koszmarów, w których była uwięziona i bezsilna, w okowach magii pentadriańskiego czarownika. Niełatwo żyło się ze świadomością, że istnieje ktoś potężniejszy od niej, kto źle życzy jej samej i jej bliskim.

Podeszła do okna. Tak jak wszyscy śmiertelnicy mogła tylko zaufać bogom.

- Lee - ar.

Odwróciła się. Figiel wpatrywał się w drzwi, nastawiając czujnie szpiczaste uszy. Chichocząc, przeszła przez pokój.

Kiedy otworzyła drzwi, Leiard zamarł z dłonią wzniesioną do stukania.

Witaj, tkaczu snów Leiardzie. - Uśmiechnęła się. - Wejdź.

Dziękuję ci, Aurayo z Białych. - Lee - ar!

Figiel zeskoczył z fotela. Tkacz roześmiał się, gdy veez wspiął się po jego ubraniu na ramię. - Lubi cię.

- Mam szczęście - odparł spokojnie. Drgnął, gdy zwierzak zaczął obwąchiwać jego ucho. Auraya spoważniała. Pomyślała o przysłudze, o jaką poprosiła Danjina. To nie tak, że veez nie lubił Danjina, ale wyraźnie wolał Leiarda. Z początku chciała właśnie tkacza snów prosić o odwiedzanie Figla, jednak wiedziała, jak nieswojo się czuje, kiedy przebywa na terenie Świątyni. Lepiej mu tego oszczędzić.

Stłumiła westchnienie. Akurat tak się złożyło, że obaj jej doradcy mieli powody, by lękać się wizyt u niej... Dla Leiarda było to miejsce największego wpływu bogów, dla Danjina miejsce zbyt oddalone od ziemi. Może to jedna z przyczyn, dla których tak lubiła towarzystwo ambasadorów Siyee. Jak ona kochali latanie i bogów - i przynajmniej Huan. Fakt, byli pierwszymi, jakich spotkała, którzy czcili jednego boga bardziej niż pozostałych. Ale trudno się dziwić - to przecież Huan ich stworzyła. - Wezwałam cię, by zapewnić, że cię nie ignoruję - oświadczyła. Byłam tak zapracowana, że nie miałam czasu na nieoficjalne wizyty. Żałuję tego, ponieważ w najbliższej przyszłości niewiele będziemy mieli okazji do rozmów. Leiard

spojrzał na nią pytająco.

- Wyruszam do Si, negocjować kolejne przymierze. Uniósł brwi.

- Si? - Uśmiechnął się. - Spodoba ci się. Siyee są łagodnym i szlachetnym ludem. Uczciwi i praktyczni.

- Co o nich wiesz?

- Niewiele.

Zdjął Figla z ramienia i usiadł. Veez natychmiast zwinął się w kłębek na jego kolanach. Siedząc naprzeciw, Auraya poczuła lekkie ukłucie zazdrości, że jej własny ulubieniec woli chyba gościa.

- Siyee są w moich wspomnieniach - powiedział Leiard. - Ponieważ długo z nimi rozmawiałaś, dowiedziałaś się pewnie większości tego, co ja wiem. Mogli jednak nie wspomnieć o żadnych tabu ich kultury.

- Tak? - Pochyliła się zaciekawiona.

- Nie wszyscy Siyee potrafią latać - wyjaśnił. - Niektórzy rodzą się niezdolni do lotu, inni tracą tę umiejętność. Wypadki są tragicznie częste. Starość jest dla tych ludzi szczególnie okrutna. Bądź ostrożna, mówiąc o takich Siyee. Nigdy nie nazywaj ich kalekami.

- A jak mam o nich mówić? Pokręcił głową.

- Nie mają powszechnie stosowanego określenia. Jeśli masz się spotkać z jakimś Siyee, pozwól, żeby sam decydował, gdzie to nastąpi. Jeśli jest zdolny do lotu, przyjdzie do ciebie. Jeśli nie, ty musisz iść do niego. W ten sposób nie sugerujesz, że pierwszy nie potrafi latać, a drugiego traktujesz z szacunkiem i nie zwracasz uwagi na jego kalectwo.

- Rozumiem. Zauważyłam, że łatwo się męczą przy chodzeniu.

- Tak. - Zaśmiał się. - Wobec ziemiochodzących zachowują się trochę jak wobec tych nielotnych Siyee. Ale ty... - Zmarszczył czoło. - Nie powinnaś im na to pozwalać. Bo sprawisz wrażenie, że oczekujesz przywilejów, które ci się nie należą.

To cenna rada, uświadomiła sobie. Nie uznałabym za dziwne, gdyby Siyee zawsze umawiali się na spotkanie w miejscu, gdzie się zatrzymam...

- Coś jeszcze?

Zastanowił się, po czym wzruszył ramionami.

- To wszystko, co sobie w tej chwili przypominam. Jeśli coś jeszcze przyjdzie mi do głowy, zanim wyruszysz, na pewno dam ci znać.

Kiwnęła głową.

- Dziękuję. Jeśli coś sobie przypomnisz po moim odlocie, powiedz Danjinowi. On będzie pilnował moich spraw, póki nie wrócę.

- Oczywiście. Kiedy wyruszasz?

- Za kilka dni.

- Jak długo spodziewasz się zostać w Si?

- Tyle, ile okaże się konieczne, i dopóki będę tam mile widziana. Myślę, że parę miesięcy.

Przytaknął.

- Jest mało prawdopodobne, żebyś w tym czasie potrzebowała mojej rady, skoro przymierze somreyańskie jest już zawarte.

- Owszem - zgodziła się. - Ale będzie mi brakowało twojego towarzystwa.

Uśmiechnął się.

- I mnie twojego - zapewnił z błyskiem w oku.

- Jak tam ten twój nowy uczeń, Jayim? Jego twarz wyrażała skruchę i determinację.

- Nieprzyzwyczajony do ciężkiej pracy - odparł. - Ale ma pewną wrodzoną fascynację lekami i uzdrawianiem. Czeka mnie jeszcze wiele trudu.

- Przynajmniej będziesz miał teraz więcej czasu, skoro ja przestanę cię odciągać.

- Ale żadnej wymówki, by uciec od obowiązków - zauważył.

Roześmiała się.

Nagle cichy dzwonek zwrócił jej uwagę na zegar, stojący na stoliku.

- Och... Obawiam się że muszę cię do nich odesłać. Mam teraz lekcję z Dyarą.

Wstała. Leiard ostrożnie podniósł Figla i odłożył go na bok, potem wstał także i ruszył za nią do drzwi. Kiedy życzył jej szczęścia, pokręciła głową.

- Na pewno znajdę jeszcze czas, by z tobą porozmawiać przed odlotem - obiecała.

Przytaknął. Odwrócił się i ruszył schodami w dół.

Gdy Auraya zamknęła drzwi, ogarnął ją smutek. Będę za nim tęskniła. Ciekawe, czy on za mną także.

Podeszła do okna i spojrzała na ludzi daleko w dole. Z jego myśli wiedziała, że dla Leiarda jest nie tylko kimś, kto może pomóc tkaczom snów. Czuł do niej sympatię. Podziw. Szacunek.

A ta myśl wzbudziła wyrzuty sumienia. Przypomniała sobie nagle, na jaki pomysł wpadła w ogrodach somreyańskiej świątyni. Wracała do niego już kilka razy, wciąż niepewna, co powinna, a czego nie powinna robić. Rozsądek podpowiadał, że należy odwodzić ludzi od przystępowania do kultu tkaczy snów. Bogowie nie przyjmują dusz tych, którzy się od nich odwracają. Ocali wiele dusz, jeśli sprawi, że ludzie nie zostaną tkaczami snów.

A jednak czuła, że to nie w porządku, jeżeli doprowadzi do ich upadku. Ci ludzie sami chcieli zostać tkaczami snów i wiedzieli, co poświęcają.

Zwiększenie wiedzy cyrklian o uzdrawianiu to słuszny cel. Jednak świadome czytanie w myślach tkaczy snów dla zdobycia tej wiedzy - już nie. To by była kradzież. Chociaż ułatwienie swoim współwyznawcom samodzielnego jej odkrywania na pewno kradzieżą by nie było.

Jeśli myślę o tym jedynie jako rozszerzeniu wiedzy kapłanów o uzdrawianiu, to przecież nie robię nic złego. Czy można mieć do mnie pretensje, jeśli doprowadzi to do upadku tkaczy snów?

Ponieważ widziałam konsekwencje, a jednak się nie cofnęłam.

Westchnęła. Nie do mnie należy ratowanie tego kultu.

Leiard powinien się mnie bać, pomyślała. I pokręciła głową. Wszystko kręci się wokół Leiarda. Czy waham się ze strachu, że utracę jego przyjaźń?

Przypomniała sobie ostrzeżenie Jurana: „Bądź ostrożna, Aurayo, abyś w imię starej przyjaźni nie zrezygnowała z siebie".

Odeszła od okna. Przecież nie ma pośpiechu. Taki projekt wymaga lat, a jego skutki nie będą widoczne przez co najmniej pokolenie. Długo po śmierci Leiarda.

Usiadła przy Figlu i podrapała go po głowie. Sądząc po tym, co się dzieje, i tak nie będę miała na to czasu. Zawieranie sojuszy i unikanie przedwczesnej śmierci z rąk tych pentadrian dostarczy mi zajęcia na długo.

- Zawsze mówiła, że chce być pochowana w trumnie, jak porządni ludzie.

Rayo popatrzył na siostrę, potem na ciało starej kobiety.

- Trumny kosztują.

- Zostawiła pieniądze - przypomniał Tiro. - I by się należało, żebyśmy część wydali na trumnę.

- Nie musimy - stwierdziła siostra Rayo. - Kiedy byliśmy na wysypisku, widzieliśmy taką skrzynię, co wyglądała całkiem jak trumna. Dlatego zaczęłyśmy o tym gadać. Może dalej tam leży.

- No to idźcie zobaczyć - rzucił Rayo do Tiro. Chłopiec i dwóch jego kolegów odeszli pospiesznie. Rayo przykucnął i ujął dłoń kobiety. Była zimna i sztywna.

- Dziękuję ci, Emerio. Wyleczyłaś moją siostrę i mnie, i byłaś dla nas szczodra. Zdobędziemy ci skrzynię, jeśli wciąż tam jest. Nie będzie ci chyba przeszkadzać, jeśli weźmiemy twoje pieniądze i rzeczy. Przecież i tak nie będą ci potrzebne, skoro jesteś już u bogów.

Pozostali pokiwali głowami. Rayo nakreślił krąg na czole kobiety, po czym wstał. Chłopcy mogą potrzebować pomocy, jeśli skrzynia jest tak duża, że może służyć za trumnę. Trzeba też będzie wykopać dół. To wymaga czasu i sił... Obejrzał się na siostrę.

- Zabierz jej ubranie - polecił. Skinęła głową i wzięła się do pracy.

Godzinę później ciało Emerii leżało już w skrzyni. Jego siostra i inne dziewczęta wymknęły się na wzgórza, by nazbierać kwiatów.

Cała odzież, prócz wytartych halek, została zdjęta, ale zasypane kwiatami ciało wyglądało odpowiednio i godnie.

Po kolei wygłaszali krótkie, łzawe pożegnania. Potem zakryli skrzynię kilkoma nadwęglonymi deskami, wydobytymi ze spalonego domu, pod którym mieszkali. Rayo i inni chłopcy wykopali dół na niewielkim podwórzu za domem. Ziemia była twarda i zanim skończyli, zapadł mrok. W końcu wrócili do domu, wynieśli skrzynię i ułożyli ją w dole.

Kiedy pozostał tylko kopiec ziemi, rzucili jeszcze na niego trochę kwiatów i wrócili do swojej piwnicy. Wszyscy byli milczący i smutni.

- Gdzie są jej rzeczy? - zwrócił się Rayo do siostry. Pozostali ustawili się dookoła i patrzyli, jak układa na środku stos ubrań i sakwę Emerii. Skrzywili się wszyscy, gdy ją otworzyła i wokół rozszedł się wyraźny rybi zapach. Ostrożnie wyjmowała zawartość.

- To są leki. Powiedziała mi, do czego służą i jakich używać. Mówiła, że je sprzeda, bo właściwie to na nic nie pomagają, ale niektórzy myślą, że po nich są dobrzy w seksie, więc sporo można za nie dostać.

- Też możemy je sprzedać - uznał Rayo. Kiwnęła głową...

Wyjęła nieduży skórzany portfel i wysypała jego zawartość. Wszyscy się uśmiechnęli, widząc stos monet.

- Trzymała je przy sobie, przy pasie, którym się obwiązywała. Jej sekretny schowek...

- Nasz sekretny schowek - poprawił ją Rayo. - Każdy coś dostanie, żeby było sprawiedliwie. Zaczniemy od ubrania. Ja biorę taul. Kto chce tunikę?

Kiedy podzielili majątek Emerii, Rayo ogarnęło ciepłe uczucie lekkości. Nie mieszkała z nimi długo... Ale dopóki każdy zachował coś, co do niej należało, to trochę tak, jakby wciąż z nimi była.

Pewnie jest teraz szczęśliwa z bogami, pomyślał. Mam nadzieję, że wiedzą, że dostali to, co miała najlepsze.

16

Choć poranki z każdym dniem stawały się chłodniejsze, Leiard nadal prowadził lekcje z Jayimem na dachu domu Bakerów. Sporo czasu i wytrwałości wymagało przekonanie Tanary, żeby im nie przerywała. Z początku sądziła, że może im przynosić gorące napoje, nie przeszkadzając w lekcjach - pod warunkiem, że nie będzie się odzywać. Leiard wyjaśnił stanowczo, że jej obecność utrudnia koncentrację i że w ogóle ma się nie zbliżać. Potem skradała się tylko po schodach i spoglądała na nich mniej więcej co godzinę. Nie wierzyła, kiedy jej tłumaczył, że to także ich rozprasza.

Nie był pewien, czy w końcu zdołał ją przekonać. Ale zanotował w pamięci średni czas pomiędzy jej wizytami i odpowiednio do tego prowadził zajęcia. Dzisiaj było ważne, żeby zostawiła ich samych, ponieważ zamierzał pokazać Jayimowi pewne techniki łączenia umysłów.

Otwierając oczy, Leiard obserwował, jak pierś jego ucznia unosi się i opada w powolnym, regularnym rytmie uspokajającego transu. Pozostało jeszcze trochę z jego wcześniejszych obaw przed spróbowaniem umysłowego łącza tkaczy snów, ale Leiard nie liczył na to, że wątpliwości znikną w ciągu jednego dnia. Poza tym Jayim był pojętny i starał się. Entuzjastycznie podchodził do nauki o lekach i uzdrawianiu - i w tych dziedzinach robił największe postępy.

To właśnie było jedną z przyczyn, dla których Leiard postanowił spróbować dziś połączenia. Chciał sprawdzić, czy uda się zidentyfikować źródło niechęci Jayima do rozwijania zdolności telepatycznych. Drugim powodem była chęć wzmocnienia kontroli nad wspomnieniami łącza, które nakładały się na jego własne. Nie był pewien, czym mu to grozi. Czy świadomość własnej tożsamości będzie się nadal rozmywać? Czy jego myśli zmienią się w chaos sprzecznych wspomnień? A może zacznie uważać się za Mirara?

Wolał tego nie sprawdzać. Znowu zamknął oczy i wyciągnął przed siebie ręce.

- Zgromadziliśmy się tutaj w pokoju i w poszukiwaniu zrozumienia. Nasze umysły się połączą. Nasze wspomnienia popłyną między nami. Niech nikt nie podgląda i nie szpieguje, nie narzuca swej woli innemu. Staniemy się bowiem jednym umysłem. Chwyć mnie za ręce, Jayimie.

Poczuł muśnięcie wąskich palców chłopca, potem uścisk dłoni. Gdy Jayim wyczuł umysł Leiarda, cofnął się lekko. Tkacz snów usłyszał, jak uczeń oddycha głęboko; potem sięgnął znowu.

Z początku pojawiło się tylko wrażenie wyczekiwania. Leiard wyczuwał nerwowość towarzysza i czekał cierpliwie. Po chwili przez umysł Jayima przemknęły skrawki myśli i wspomnień. .. Wcześniejsze lekcje... Zawstydzenie, kiedy ujawniły się sprawy osobiste... Leiard cofnął się pamięcią do innych łączy z dorastającymi chłopcami i do podobnych, nieintencjonalnie ujawnionych sekretów.

: *Nie staraj się blokować tych wspomnień,* poradził. *Blokowanie zakłóca łącze.*

: *Ale ja nie chcę ich zdradzać,* zaprotestował Jayim.

: *Odsuń je na bok. Spróbuj tak: ile razy zauważysz, że twój umysł wędruje w ich stronę, pomyśl o czymś innym. Wybierz taki obraz, który nie jest ani przyjemny, ani nieprzyjemny, ale który odwiedzie twoje myśli od niechcianego tematu.*

: *Na przykład co?*

: *Ja przypominam sobie listę leków stosowanych u niemowląt.*

Trzeba przyznać, że w myślach Jayima pojawiło się kilka takich środków. Ale szybko powrócił do poprzedniego tematu.

: *Czy takie przekierowanie myśli działa przez cały czas?*

: *Przez większość czasu.*

: *I tej samej sztuczki używasz, żeby nie zdradzić innych sekretów? Na przykład tego, co ci mówi Auraya?*

Leiard uśmiechnął się.

: *Skąd ci przyszło do głowy, że Auraya powierza mi jakieś sekrety?*

: *Wyczuwam, że tak.*

Chłopak był spostrzegawczy. Leiard dostrzegł u niego zadowolenie z siebie.

: *A mogę ci powierzyć te sekrety?* zapytał.

Jayim cały był teraz ciekawością i lojalnością. Oczywiście, że zachowa dla siebie wszystko, czego się dowie. Nigdy by się nie naraził na utratę zaufania Leiarda. Poza tym, gdyby coś zdradził, Leiard dowie się o tym przy następnym połączeniu.

A potem pojawiły się wątpliwości. A jeśli przypadkiem coś mu się wymsknie? Jeśli ktoś podstępem skłoni go do wyjawienia sekretu?

: *Sekrety najlepiej trzymać w sekrecie,* stwierdził Leiard. *Im więcej jest tych, którzy wiedzą, tym mniej są one sekretne. To nie brak zaufania powstrzymuje mnie od zdradzenia ci ich, Jayimie.*

: *Lubisz Aurayę, prawda?*

Ta nagła zmiana tematu zaskoczyła Leiarda. A także wzbudziła cały zespół emocji.

: *Tak,* przyznał. *To moja przyjaciółka.*

Wiedział jednak, że jest kimś więcej. Była dzieckiem, które kiedyś uczył, a teraz wyrosła na potężną i piękną kobietę.

: *Uważasz, że jest piękna,* oświadczył Jayim. Wyraźnie go to rozbawiło. *Masz na nią ochotę!*

: *Nie!*

Jej twarz pojawiła się w myślach, a znajomy podziw wyostrzył się nagle w tęsknotę. Zaszokowany, odsunął się od Jayima i zerwał połączenie.

Chłopiec nie odzywał się, ale Leiard znów wyczuł u niego samozadowolenie. Zignorował to.

Wcale nie pożądam Aurai, powiedział sobie.

Obawiam się, że tak, sprzeciwił się ten inny głos w jego umyśle.

Przecież jest młoda...

Już nie taka młoda.

Jest Białą.

Kolejny powód, by jej pożądać. Pociąg do zakazanego jest potężną siłą.

Nie. To Jayim podsunął mi ten pomysł. Wcale jej nie pożądam. Kiedy następnym razem spotkam się z Aurayą, będę odczuwał to samo co wcześniej.

Zobaczymy.

Otworzył oczy i zobaczył, że Jayim przygląda mu się z zaciekawieniem.

- Twój sekret należy do mnie - powiedział.

- Nie ma żadnego sekretu - odparł stanowczo Leiard. - Podsunąłeś mi sugestię, jakiej dotąd nie rozważałem. Teraz ją rozważyłem i uważam, że się mylisz.

Chłopiec odwrócił głowę i przytaknął, ale było oczywiste, że skrywa uśmiech.

- Może przynieś od matki coś gorącego do picia. Odpoczniemy chwilę i zaczniemy znowu.

Jayim kiwnął głową i wstał. Leiard przyglądał się, jak odchodzi pospiesznie.

Mówią, że uczyć kogoś to uczyć siebie. Mam tylko nadzieję, że lekcja Jayima okaże się błędna.

Gdybym wiedział, jak szybko wyznaczą następne Zgromadzenie, nigdy nie złożyłbym Drilli takiej obietnicy.

Nazajutrz po trei - trei Mówcy ogłosili, że Zgromadzenie odbędzie się za cztery dni. Drilli uważała, że chcą ostrzec wszystkich przed ptakami, a Tryss uznał, że pewnie ma rację. Ale niewiele czasu mu pozostało, by przygotować się do prezentacji uprzęży. Teraz, kiedy nadszedł dzień Zgromadzenia, przypominały mu się tysiące rzeczy, które powinien jeszcze zrobić, i kolejne tysiące takich, które mogą się nie udać.

W krótkim czasie, jaki mu pozostał, uczynił wszystko, co możliwe. Codziennie ćwiczył loty w uprzęży i strzelanie z dmuchawki; unikał domowych obowiązków i dzielnie znosił bury, które za to dostawał. Jednak ojciec złościł się na niego trochę bez przekonania, ponieważ Tryss zawsze przynosił mięso na kolację.

Nie mógł jednak przynosić wszystkich zwierząt, które upolował. Zwróciłoby to powszechną uwagę, a na to było jeszcze za wcześnie.

Wprawdzie udało mu się powalić następnego yerna, ale nie ośmielił się zabrać mięsa z tak wielkiej bestii. Musiał zostawić zdobycz ścierwojadom, a to przygasiło jego euforię.

Podczas demonstracji nie mógł polować na yerna - zwierzęta były za wielkie, by je schwytać i przetransportować do Przestrzeni. Drilli zaproponowała breemy Były małe, szybkie i bały się ludzi, co oznaczało, że prawdopodobnie zostaną w półokręgu zgromadzonych Siyee. A jednocześnie stanowiły wyzwanie i upolowanie ich wystrzeliwanymi z powietrza pociskami powinno zrobić na widzach wrażenie.

Drilli łapała w pułapki po kilka dziennie, żeby Tryss mógł ćwiczyć polowanie. Udekorowała też uprząż, malując ją w jaskrawe kolory, żeby była lepiej widoczna z dystansu. Tryssa wcale nie cieszyła perspektywa bycia tym, który przyciąga spojrzenia wszystkich zgromadzonych Siyee, ale Drilli wyjaśniła, że malowanie zwraca uwagę raczej na uprząż niż na niego. Poczuł się trochę lepiej.

Rankiem przeniósł uprząż z jaskini, gdzie ją ukrywał, do rodzinnej altany; była schowana w wielkim worku z trzcinowego włókna. Za namową Drilli wytłumaczył rodzicom, co to takiego i że wieczorem chce to zademonstrować na Zgromadzeniu. Zareagowali różnie. Mama nie mogła zrozumieć, czemu stare metody polowania już nie wystarczają, ale była rozemocjonowana na myśl, że syn zaprezentuje wszystkim swój wynalazek. Ojciec przeciwnie - konstrukcja wywarła na nim wrażenie, ale martwił się, że Tryss zrobi głupca z siebie i z rodziny.

Bo nim jestem, pomyślał niechętnie Tryss.

Ale gotów był podjąć to ryzyko. Wszystko było już ustalone, więc nie mógł się wycofać. Poza tym nie chciał. Choć sama myśl o pokazie budziła nerwowość, jednak wiara Drilli w niego była chyba zaraźliwa. Kiedy tylko wątpił, ona podtrzymywała go na duchu. Był gotów. Pozostało jedynie poprosić Mówców o czas, by zwrócić się do Siyee.

Zostawił to na ostatnią chwilę. Kiedy to zrobi, rozejdą się plotki, że zamierza pokazać swoje urządzenie do polowań. Czekałoby go

mnóstwo pytań i drwin - zapewne nie tylko ze strony kuzynów.

Słońce opadało już wolno ku zachodowi, kiedy stanął pod Altaną Mówców. Przywódcy Siyee zebrali się przy wejściu i niektórzy spoglądali na niego podejrzliwie.

Zawahał się. Czuł, jak serce bije mu szybko i coś trzepocze w żołądku.

- Czy mogę rozmawiać z Mówcą Sirri? - zapytał z wysiłkiem.

Zajrzał do altany, ale niczego nie dostrzegł w ciemnym wnętrzu. Jakiś cień poruszył się u wejścia i wyszła stamtąd Mówca Sirri.

- Tryss... Mamy wiele ważnych spraw do omówienia, zanim jeszcze rozpocznie się Zgromadzenie. Nie możesz zaczekać do jutra?

- Nie bardzo - odparł. Czuł, że inni Mówcy patrzą na niego z dezaprobatą. - Nie zajmę dużo czasu.

Kiwnęła głową, a potem wzruszyła ramionami.

- No to wejdź.

Serce Tryssa uderzyło mocniej. Nigdy jeszcze nie był w Altanie Mówców. Na miękkich nogach przeszedł obok Sirri.

Po chwili oczy przyzwyczaiły się do mroku. Wnętrze altany był proste, bez żadnych ozdób. Pośrodku stał krąg stołków. Ucieszył się, widząc, że nie ma tu nikogo prócz nich dwojga.

- No więc o co chodzi, Tryss?

Spojrzał na Mówcę Sirri i na chwilę głos uwiązł mu w gardle. Ale Sirri uśmiechnęła się i zauważył zmarszczki wokół jej oczu; przypomniał sobie, że jest tylko kimś z jego klanu, wybranym przez ten klan, że nie ma powodów, by się jej bać.

- Zrobiłem coś - oświadczył. - I chciałbym dziś wieczorem wszystkim to pokazać.

- Twoją uprząż do polowania?

Patrzył na nią zaskoczony. Uśmiechnęła się szerzej.

- Sreil mi o niej opowiadał. Mówił, że ma potencjał.

- Tak mówił? - szepnął Tryss.

Przypomniał sobie ten dzień, kiedy parę miesięcy temu zatrutymi kolcami powalił yerna. Sreil coś wtedy powiedział... „Niezła próba". Tryss uznał wówczas, że to drwina, ale może chłopak mówił

poważnie.

- Tak. - Sirri spoważniała. - Ale muszę cię ostrzec. Nie jest łatwo przekonać innych. Nie spodoba im się pomysł, żeby nosić coś ciężkiego...

- Nie jest ciężka - przerwał jej Tryss.

- .. .albo przeszkadzającego w ruchach - dokończyła. - Jesteś pewien, że ten twój wynalazek zadziała?

Nerwowo przełknął ślinę, ale kiwnął głową.

- W takim razie dam ci chwilę, żebyś go pokazał na początku Zgromadzenia. Czyli masz około godziny, żeby się przygotować. To ci wystarczy?

Znowu przytaknął.

- Więc ruszaj.

Gestem wskazała mu wyjście.

Tryss wyszedł szybkim krokiem. Gdy pozostali Mówcy obejrzeli się na niego, uświadomił sobie, że ma na twarzy głupawy uśmiech. Spoważniał więc i ruszył do domu.

Godzina... Myślałem, że będę musiał czekać na koniec Zgromadzenia. Lepiej powiem Drilli, a potem pójdę po uprząż.

Kiedy tylko wyszedł z gęstego lasu wokół Altany Mówców, skoczył w powietrze. Poleciał do Przestrzeni, do rodzinnej altany Drilli. Wylądował, zawołał ją i natychmiast usłyszał ze środka podniesione głosy. Po chwili dziewczyna wysunęła się zza zasłony, chwyciła go za ramię i odciągnęła szybko. Kiedy się obejrzał, w otworze wejścia zobaczył jej matkę z zagniewaną miną.

- I co? - spytała Drilli. - Zgodzili się, żebyś pokazał uprząż?

- Tak. - Tryss wyszczerzył zęby. - Ale na początku, nie pod koniec Zgromadzenia, tak jak myśleliśmy. Mamy niecałą godzinę.

Otworzyła szeroko oczy.

- Tak szybko?

- Tak. Lepiej przygotuj breemy, a ja zabiorę uprząż.

- Nie, musisz mi pomóc je przenieść. Najpierw pójdziemy po uprząż.

Pobiegli do rodzinnej altany. Tryss zdziwił się, widząc, że jest

pusta.

- Rodzice musieli wcześniej wyjść - stwierdził. - Mówili... Ale słowa uwięzły mu w gardle, kiedy zobaczył, co leży na środku altany.

Jaskrawo pomalowane kawałki drewna rozrzucono po podłodze. Paski skóry i jelit, łączące elementy uprzęży, leżały w kawałkach. Dmuchawka, tak starannie pomalowana przez Drilli, została zgnieciona. Torbę ze strzałkami pocięto na strzępy i nawet każdą strzałkę ktoś przełamał na dwie części.

Tryss patrzył na szczątki swego wynalazku i miał wrażenie, że jego serce za chwilę także rozpadnie się na kawałki.

- Kto to zrobił? - usłyszał własny zbolały, niedowierzający głos. - Kto mógłby zrobić coś takiego?

- Twoi kuzyni - oświadczyła spokojnie Drilli. Pokręciła głową. - To moja wina. Bo oni ci zazdroszczą. Z mojego powodu.

Wydała cichy, zduszony dźwięk i Tryss uświadomił sobie, że dziewczyna płacze. Zdziwiony, że tak rozpacza po czymś, co zbudował - fakt, z jej pomocą - podszedł bliżej i z wahaniem objął ją ramieniem. Odwróciła do niego błyszczącą od łez twarz.

- Tak mi przykro... Przytulił ją mocniej.

- To nie twoja wina - powiedział, gładząc jej włosy. - Jeśli w to uwierzysz, to oni wygrają.

Pociągnęła nosem, po czym wyprostowała się i kiwnęła głową.

- Ale jeszcze nie wygrali - stwierdziła, ocierając łzy. - Jeszcze im pokażemy. Wszystkim pokażemy. Tylko że... nie dzisiaj.

Tryss raz jeszcze spojrzał na to, co pozostało z jego konstrukcji. Czuł, że rozpacz i rozczarowanie twardnieją w mocne jądro gniewu.

- Następnym razem zbuduję dwie uprzęże. Albo trzy.

- A ja poproszę moich kuzynów, żeby pilnowali Zissa i Trinna.

- Jeszcze lepiej przywiązać ich gdzieś na noc. Drilli uśmiechnęła się blado.

- Powiesić za nogi na gałęzi.

- Obok ula tiwi.

- Oblanych sokiem rebi.

- Po zdjęciu z nich ubrań. - I skóry. Nożem.

- Przerażasz mnie...

Drilli uśmiechnęła się drapieżnie. Schyliła się i podniosła zgniecioną dmuchawkę.

- Potrzebujesz coś z tego, żeby zbudować następną?

- Nie.

- Dobrze.

Zdjęła z kołka koszyk i zaczęła zbierać odłamki.

- Co chcesz z nimi zrobić? Skrzywiła się.

- Jedno z nas musi uprzedzić Mówców, że nie pokażesz dzisiaj uprzęży. Jeśli ja pójdę, będą wiedzieli, że ktoś jeszcze w ciebie wierzy. A pokażę im to, żeby wiedzieli, że nie robiłeś sobie żartów.

Tryss dopiero teraz poczuł ciężar świadomości skutków tego, co zrobili kuzyni. Mówcy wiedzieli już, nad czym pracuje. Ludzie zaczną podejrzewać, że chce na innych zrzucić winę za niepowodzenie wynalazku... albo że zabrakło mu odwagi, by go pokazać. Będzie...

- Lepiej poszukaj rodziców i powiedz im o wszystkim. - Drilli wyprostowała się. - Poza tym zachowuj się tak, jakby nic się nie stało.

Zawahała się, po czym zbliżyła się do niego. Wygięła wargi w uśmiechu, pochyliła się i pocałowała go. Ale kiedy próbował oddać jej pocałunek, cofnęła się. Mrugnęła i odsunęła zasłonę w drzwiach.

- Zobaczymy się na miejscu. I odbiegła.

CZĘŚĆ DRUGA

17

Przyglądając się bacznie ambasadorom Siyee, Auraya zauważyła wyraźne oznaki zmęczenia. Drobnej budowy, nie tolerowali większej ilości napojów alkoholowych. Ponadto, jak dzieci, poruszali się bardzo energicznie, ale szybko męczyli.

Dyara rozmawiała cicho z Tireelem. Auraya słyszała strzępki tej konwersacji.

- ...odwagi, by pokonać tak rozległe terytoria ziemiochodzących, gdy wasz lud miał przecież powody, by się nas obawiać.

- Lecieliśmy wysoko i przede wszystkim nocami - odparł Tireel. - Ziemiochodzący nieczęsto spoglądają w górę. A gdyby nawet, pewnie uważali, że widzą wielkie ptaki.

Dyara kiwnęła głową.

- W drodze powrotnej nie musicie podejmować takich środków ostrożności. Auraya nie pozwoli, żeby spotkało was coś złego.

- Za to jesteśmy wdzięczni. Wydaje mi się, że bogowie wspierają nasze przymierze, gdyż inaczej nie daliby jednej z was mocy opierania się ziemskiemu przyciąganiu.

Auraya uśmiechnęła się lekko. Ambasadorowie Siyee nie nazywali jej Daru lataniem. Nie widzieli żadnego podobieństwa między wykorzystaniem magii, jak ona, a szybowaniem na skrzydłach z wiatrem. Mimo to jednak wierzyli, że właśnie ona - ze wszystkich ziemiochodzących - potrafi naprawdę ich zrozumieć. Zdolność latania była jądrem ich tożsamości, zarówno fizycznej, jak i kulturowej.

Kiedy Zeeriz ziewnął, spojrzała znacząco na Jurana.

: *Nasi goście doszli do granic swych możliwości,* oświadczyła w myślach.

: *Chyba masz rację,* zgodził się Juran.

Wyprostował się i odchrząknął. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

- Po raz ostatni, nim nasi goście udadzą się na spoczynek,

chciałbym odmówić modlitwę, a także życzyć szczęśliwej podróży. - Przymknął oczy. - Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru. Dziękujemy za wszystko, co uczyniliście, byśmy spotkali się tutaj i abyśmy zaprowadzili pokój i zrozumienie w krainach Ithanii. Prosimy was o opiekę nad Tireelem z klanu Zielonego Jeziora, Zeerizem z klanu Rozwidlonej Rzeki i Aurayą z Białych, gdy wyruszą do krainy Si. Prowadźcie ich i ochraniajcie.

Otworzył oczy i sięgnął po kielich. Natychmiast podbiegli służący, by wszystkim dolać tintry. Auraya zdusiła uśmiech, gdy zobaczyła wyraz przerażenia na twarzy Zeeriza.

- Życzę wam szczęśliwej i bezpiecznej podróży. - Juran spojrzał nad krawędzią kielicha najpierw na jednego ambasadora, potem na drugiego. Jego poważna twarz złagodniała, gdy się uśmiechnął. Uniósł naczynie do ust i wypił łyk.

Wszyscy poszli za jego przykładem. Auraya zauważyła, że Zeeriz jednym haustem pochłonął prawie całą tintrę, jakby chciał szybciej się jej pozbyć.

Tireel wyszczerzył zęby.

- Zaopiekujemy się Aurayą - obiecał.

- Będzie traktowana jak... jak... - zająknął się Zeeriz.

- Jak honorowy gość - dokończył Tireel.

- Dziękuję wam - odparł Juran. - Teraz lepiej pozwolimy wam się wyspać przed długim lotem.

Odsunął krzesło i wstał. Auraya odwróciła się do Zeeriza, odkryła, że zniknął, i spojrzała w dół. Zamówiła podwyższone krzesła, by Siyee, siedząc, mogli rozmawiać na równym poziomie z resztą gości przy stole. Zawsze ją zaskakiwało, gdy po posiłku nagle wyrastała wysoko ponad nimi.

Zeeriz miał zamknięte oczy. Zachwiał się lekko, potem otworzył je i zamrugał.

- To nieuczciwe, że ziemiochodzący mogą tak dużo wypić - wymamrotał.

Parsknęła.

- Pozwól, że odprowadzę cię do pokoju.

Kiwnął głową i dał się wyprowadzić na korytarz. Usłyszała, że Dyara i Tireel idą za nimi, ciągle pogrążeni w rozmowie. Ambasadorzy dostali kwatery na środkowych poziomach Wieży, w pobliżu sali jadalnej. Auraya i Dyara życzyły im dobrej nocy, po czym zawróciły. Przy głównych schodach Dyara przyjrzała się Aurai w zamyśleniu.

- Wydajesz się bardziej zaniepokojona tą wyprawą niż poprzednią - zauważyła.

- Bo jestem - przyznała Auraya.

- A dlaczego, jak sądzisz?

- Bo wyruszam sama.

- Ciągle możesz radzić się mnie albo Jurana - przypomniała Dyara. - Myślę, że chodzi ci o coś więcej.

Auraya kiwnęła głową.

- Może nie przejmowałam się aż tak bardzo, czy uda mi się w Somreyu, czy nie. To nie znaczy, że się wcale nie przejmowałam - dodała pospiesznie. - Ale niepokoi mnie możliwość porażki u Siyee, danie im powodu, by nas nie lubili. Wydaje mi się, że są bardziej ufni. Somreyanie tacy nie byli. Czyli, jeśli zawiodę, będzie to w pewnym sensie zdradą ich zaufania.

- Ale nie obawiałaś się tak bardzo, że zdradzisz zaufanie tkaczy snów?

Auraya wzruszyła ramionami.

- Przede wszystkim oni nigdy nam nie ufali.

- Nie - przyznała Dyara. Zastanowiła się. - Ale twój przyjaciel ci ufa. To było śmiałe posunięcie: mianować go swoim doradcą. Myślałam, że nierozsądne, ale okazało się bardzo korzystne.

Auraya spojrzała na Dyarę zdumiona, po czym odwróciła wzrok. Czyżby to była pochwała? Od Dyary? Za przyjaźnienie się z tkaczem snów?

Dyara zatrzymała się przed drzwiami do pokojów Aurai.

- Dobrej nocy, Aurayo. Zobaczymy się jutro podczas pożegnania.

- Dobranoc - odpowiedziała. - I... dziękuję.

Dyara uśmiechnęła się, a potem odwróciła i ruszyła schodami w

górę. Auraya weszła do siebie i zastanowiła się nad słowami Białej.

„Twój przyjaciel ci ufa".

Przez ostatnie kilka dni nie miała okazji, by porozmawiać z Leiardem. Jutro wyruszy wczesnym rankiem. Nie zdąży się z nim zobaczyć.

A więc dzisiaj mam jedyną szansę, żeby się pożegnać.

Zmarszczyła czoło. Było już późno. Za późno, żeby go wzywać. Nie mogła przecież posłać kogoś, by go zbudził i przyprowadził do Wieży tylko po to, żeby spędzić z nim pięć minut i odesłać z powrotem.

Czy naprawdę będzie miał jej to za złe? Zacisnęła wargi. Co jest gorsze: ściągnąć go tutaj w środku nocy czy w ogóle się nie pożegnać?

Uśmiechnęła się do siebie, zamknęła oczy i poszukała umysłu kapłana na nocnej zmianie na dole. Udzieliła mu instrukcji i usiadła, by zaczekać.

Jutro o tej porze będę spała w jakiejś wiejskiej świątyni...

Rozejrzała się po pokoju. Wszystko wyglądało tak samo jak zawsze. Nie było żadnych kufrów z bagażem, jedynie nieduży pakunek zawierający biały strój na zmianę i trochę podarunków dla Siyee. Wszystko, co potrzebne, dostanie od kapłanów i kapłanek w świątyniach, w których się zatrzyma.

Kiedy już znajdzie się w górach, nie może liczyć na świątynie. Siyee zapewnili ją, że w swoim kraju zadbają o jej potrzeby. Dostarczą jej takich wytworów cywilizacji, jak papier i atrament, które produkują sami. Otrzyma nawet własną „altanę", by w niej zamieszkać.

Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Kopuła tworzyła rozległy cień otoczony latarniami. Nieliczni kapłani i służący spieszyli gdzieś w swoich sprawach. Miasto w dole wyglądało jak garść świateł w morzu czerni.

Na teren świątyni wjechał tarn wiozący kapłanów uzdrowicieli. Widziała, jak przybywają dwa platteny, a serce zabiło jej szybciej, kiedy spostrzegła, że pod łukiem bramy przejeżdża jeszcze jeden,

wiozący samotnego pasażera. Nawet z wysoka rozpoznała w nim Leiarda. Białe włosy i broda były widoczne z daleka. Kiedy platten podjechał bliżej, tkacz uniósł głowę. Uśmiechnęła się, choć wiedziała, że nie może jej widzieć.

Odsunęła się od okna i zaczęła krążyć po pokoju. Czy będzie zły, że go wezwała? Nagle cel tego przedsięwzięcia - tylko żeby powiedzieć mu „do zobaczenia" - wydał się niemądry. Mogła przecież zwyczajnie wysłać mu wiadomość. Mogła sama go odwiedzić... Nie, to by wzbudziło zamieszanie w całym domu, w którym mieszka.

Zresztą teraz i tak nie da się niczego zmienić, pomyślała. Przeproszę, pożegnam się i odeślę go z powrotem. Zanim znowu wrócę do Jarime, na pewno mi wybaczy.

Spacerowała dookoła. Czemu tak długo go nie ma? Może się pomyliła?

Wróciła do okna.

Mogłabym wypytać dyżurnego kapłana...

Zamarła, słysząc delikatne stukanie do drzwi, a potem gwałtownie wypuściła powietrze.

Jest.

Wygładziła cyrklę, podeszła do drzwi i otworzyła. Tkacz snów patrzył na nią czujnie i wyczekująco.

- Leiardzie... Wejdź. - Wpuściła go do środka. - Przepraszam za tę późną porę. Nie miałam nawet chwili dla siebie i nie mogłam się z tobą spotkać, jak obiecałam. Jutro odlatuję. Nie mogłam się nie pożegnać.

Pokiwał wolno głową, a ona z ulgą się przekonała, że nie jest zirytowany; uspokoił się wyraźnie. Dopiero wtedy przyszło jej do głowy, że to nocne wezwanie mogło budzić lęk, że stało się coś złego. Dlaczego tego nie przewidziała?

- Pewnie powinnam wysłać list, zamiast tak cię budzić - powiedziała zasmucona.

Uśmiechnął się lekko.

- Nic nie szkodzi.

- Chcę nie tylko się z tobą pożegnać. Chcę ci podziękować...

Urwała, po czym sięgnęła po jego rękę. Zawahał się, nim ją uniósł. Ich palce się zetknęły. Nabrała tchu, by mówić dalej, ale zamilkła, gdy spojrzała mu w oczy. Twarz miał skupioną i spiętą, jakby usiłował zapanować nad jakąś emocją. Przyjrzała się dokładniej. W jego myślach panował zamęt. Jej dotyk pobudził...

Poczuła, jak ogarnia ją fala żaru. Jej dotyk go podniecił. Walczył, by stłumić pożądanie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że jego podziw jest taki... ale pewnie nie był, bo zobaczyłabym to w jego umyśle. To coś nowego. To zdarzyło się dzisiaj. Teraz.

Serce biło jej szybko. Jej ciało reagowało na jego pożądanie. Poczuła, jak uśmiech rozciąga jej wargi. Pożądam go. Teraz oboje odkryliśmy coś nowego.

Była świadoma pełnej napięcia ciszy. Jedynym dźwiękiem były ich oddechy. Żadne z nich się nie poruszyło; nadal patrzyli sobie w oczy. Powinniśmy teraz odsunąć się od siebie i udawać, że to się nie wydarzyło.

Zamiast tego uniosła rękę, dotknęła jego policzka i przesunęła palec po wargach. Nie cofnął się, ale też nie oddał pieszczoty. Odczytała wahanie w jego myślach.

To ja muszę podjąć decyzję, zrozumiała. On nie może zapomnieć, kim jesteśmy. Tylko ja mogę dokonać tego wyboru.

Uśmiechnęła się i uniosła usta do jego ust. Delikatnie oddał jej pocałunek, posyłając gorący dreszcz po plecach. Oboje poruszyli się równocześnie, sięgając ku sobie. Pocałowała go mocniej, a on odpowiedział z taką samą namiętnością i pasją. Ich ciała się zetknęły; chwyciła jego kamizelkę i przyciągnęła do siebie. Objął ją, ale grubość cyrkli tłumiła dotyk.

Kamizelka. Cyrkla. Przypomnienie tego, kim są. Nie chciała, by coś jej o tym przypominało. Nie teraz. Muszą zniknąć.

Zaśmiała się cicho. To całkiem do mnie niepodobne...

Usta Leiarda zsunęły się z jej ust. Zaczął całować jej szyję; wargi miał gorące i pewne. To niepodobne także do niego... Odkrywała tę

jego część, której istnienia nawet nie podejrzewała.

I to mi się podoba... Zachichotała. Oplotła go rękami w talii i cofnęła się do drzwi, prowadzących do jej prywatnych pokojów.

Emerahl z uśmiechem przesunęła dłońmi po całym ciele.

Udało się.

Ale to przecież oczywiste. Nigdy jeszcze nie zepsuła przemiany. Mirar powiedział jej dawno temu, że ta umiejętność zmiany ciała to jej wrodzony Dar. Miał teorię, że wszyscy Dzicy mają Dar, który przychodzi im naturalnie. Jak zdolności muzyczne tym, którzy mają prawdziwy talent. Ona potrafiła zmieniać wiek swojego ciała.

Gdy otworzyła oczy, widziała jedynie ciemność. Było jej coraz bardziej duszno. Kiedy tylko ocknęła się w pełni ze śmiertelnego transu, otworzyła wąskie tunele, by powietrze przedostawało się do skrzyni. To nie wystarczało teraz, kiedy wzbudziła ciało z tego spowolnionego funkcjonowania, niezbędnego dla zmiany wyglądu, i zaczęła oddychać w normalnym tempie.

Skrzywiła się. Śmiertelny trans nigdy nie był przyjemny, ale tym razem konieczny, by oszukać dzieciaki. Pozwolił jej też przetrwać pod ziemią. Nie wiedziała, ile dni minęło, ale była pewna jednego: jeśli nie chce się udusić, musi szybko wydostać się z trumny.

Jednak nie wiedziała, gdzie dzieci ją pochowały. Jeśli one albo ktokolwiek inny zobaczy ją, jak wygrzebuje się z grobu, wiadomość o tym rozprzestrzeni się szybciej niż zimowy kaszel. I może zaalarmować kapłanów, którzy odgadną, że zmieniła wygląd.

Musi być ostrożna.

Zamknęła oczy, zbadała umysłem okolicę i z satysfakcją stwierdziła, że wyczuwa emocje ludzi w pobliżu. Niełatwo było je posortować, ale rozpoznała senne myśli dzieci. Zaklęła. Były gdzieś blisko. Musi być ostrożna.

Emerahl powoli ściągnęła ku sobie magię i użyła jej, by wyłamać wieko skrzyni tuż nad swoją głową. Ziemię przesuwała na drugi koniec trumny, zbierając ją przy stopach. Blade niebo przedświtu zajaśniało szybciej, niż się spodziewała.

Powinni zakopać mnie głębiej, pomyślała. Ale ich ignorancja

zaoszczędziła mi wysiłku.

Powiększyła otwór, by przecisnąć całe ciało, potem wyśliznęła się, przeczołgała w górę i wyjrzała. Zobaczyła, że znajduje się na niewielkim dziedzińcu za spalonym domem, pod którym mieszkały dzieci.

Zastanowiła się.

Mogłabym znów się zakopać i poczekać, aż wyjdą. Ale... Nie. Zawsze kilkoro zostaje, żeby pilnować domu w ciągu dnia. Lepiej wyjść teraz, kiedy wszystkie śpią.

Wysunęła ręce, chwyciła krawędź otworu i pociągnęła. Kilka razy musiała przerwać, by nabrać tchu, a kiedy kolejne części jej ciała wysuwały się na światło poranka, odkryła dlaczego. Przemiana zużyła dużą część tłuszczu w ciele.

Ręce miała kościste i słabe, piersi prawie nieistniejące. Kiedy strzepnęła ziemię z brudnej, białej halki, w jakiej zostawiły ją dzieci, poczuła pod nią twardość wystających kości biodrowych.

Jestem słaba i chuda, myślała. Szkielet, który wyrwał się z trumny. Nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś wziął mnie za przeklętą, piekielną kreaturę.

Udało jej się przynajmniej stanąć na nogi. Z ulgą przekonała się, że ma na to dość siły. Pewnie może też chodzić.

Odstąpiła od grobu i przyjrzała się dowodom swojego zmartwychwstania.

Lepiej sprzątnąć ten bałagan.

Przyciągając magię, przesuwała i wyrównywała ziemię, aż zasypała otwór i zatarła wszelkie ślady swego wyjścia. Uśmiechnęła się smutnie, widząc rozrzucone na grobie podwiędłe kwiaty. Chciałaby bardziej pomóc tym dzieciom, ale musiała myśleć o własnym ocaleniu.

Co teraz?

Przyjrzała się sobie. Dłonie i ręce miała brudne, a na sobie tylko poplamioną halkę. Włosy zwisały jej na ramiona - nadal sztywne i siwe jak u starej kobiety. Potrzebowała kąpieli, potem ubrania i jedzenia... I czegoś do ufarbowania włosów.

Dopiero wtedy zauważyła, że zniknęła portmonetka, którą przywiązała paskiem w talii. Nie zdziwiła się; od początku wiedziała, że dzieci prawdopodobnie ją znajdą. Nie mogła przecież ukryć wszystkiego wewnątrz siebie.

Przez moment zastanawiała się, czy nie zakraść się do domu i jej nie poszukać, ale szybko odrzuciła tę myśl. Zbyt wielkie byłoby ryzyko, a dzieci i tak pewnie wydały już większą część pieniędzy. Odwróciła się więc plecami do „grobu" i cicho minęła spalony dom, by zagłębić się w uliczki dzielnicy biedoty.

Szare, przymglone światło poranka rozjaśniało się z wolna.

Ulice były ciche, ale nie całkiem puste. Minęła dwie praczki w średnim wieku, które przyglądały jej się z niechęcią. Potem jakiś młody człowiek z drewnianą nogą przystanął i spojrzał na nią lubieżnie. Poczuła się zakłopotana - po raz pierwszy od ponad stu lat.

A ludzie mnie pytają, dlaczego ja, która mogę być osobą w każdym wieku, wybieram starość...

Z drugiej strony jednak młodość niosła ze sobą pewne przyjemności. W swej młodszej postaci zawsze była atrakcyjna dla mężczyzn. Czasem również dla kobiet. I coś z dawnej urody najwyraźniej było widoczne, mimo jej wychudzenia i niemocy. Wystarczy trochę regularnych i zdrowych posiłków, by odzyskać krągłości.

Ale jedzenie kosztuje. Zmarszczyła brwi, rozważając plany na najbliższą przyszłość. Straciła portfel, a ciało straciło swoje rezerwy. Musiała jak najszybciej znaleźć jakieś źródło dochodu. Mogła kraść, ale dawno już wyszła z wprawy. No i nie miała sił, by uciekać, gdyby została zauważona. A jeśli ją złapią, może zwrócić na siebie uwagę kapłanów.

Kapłani szukali kobiety sprzedającej leki, zatem i w tej dziedzinie nie mogła zarabiać na swej wiedzy i umiejętnościach.

Myśląc, schodziła coraz niżej, coraz bliżej morza. Ten odruchowo wybrany kierunek trochę ją rozbawił. Urodziła się nad morzem i w trudnych chwilach ciągnęło ją do wody. I kiedy wreszcie pojawił się przed nią płaski, falujący horyzont, odetchnęła z ulgą,

przyspieszając kroku.

Po chwili szła już drogą biegnącą wzdłuż brzegu, rozglądając się za jakimś odosobnionym miejscem na kąpiel. Większość niewielkich zatoczek była zajęta. Kiedy zobaczyła kolejną z tylko jednym pomostem, zatrzymała się. Dwaj rybacy pracowali w swojej łodzi - jeden młody, drugi wyraźnie starszy. Szykowali złowione ryby do zabrania na targ. Przyglądała im się przez chwilę, po czym śmiało zeszła na pomost.

- Niezły połów - stwierdziła, mijając ich.

Unieśli głowy, po czym zaczęli się jej przyglądać. Uśmiechnęła się i odwróciła. Dotarła na koniec pomostu i zrobiła następny krok.

Zakryła ją zimna woda, a szok strugą bąbelków wypchnął z płuc powietrze. Poczuła piasek pod stopami i odepchnęła się w górę. Wyrwała się na powierzchnię, gwałtownie odetchnęła i odpłynęła od pomostu.

- Pani!

Przewróciła się na plecy i roześmiała, widząc, że rybacy patrzą na nią, bardzo niespokojni.

- Nie martwcie się! - zawołała. - Chciałam się tylko opłukać.

- Wystraszyłaś nas - oświadczył z wyrzutem młodszy. - My-śleliśmy, że chcesz się utopić.

- Przepraszam. - Popłynęła w ich stronę. Zauważyła, jak ich wzrok przeskakuje z jej twarzy na ciało, które wynurzyło się na powierzchnię. Halka była teraz mokra i półprzezroczysta. - Dziękuję, że chcieliście mnie ratować.

Wpłynęła pod pomost.

Słyszała, jak idą po deskach nad jej głową. Trudno było nie dostrzec ich zainteresowania. Ściągnęła wargi i zastanowiła się. Sposób, by rozwiązać obecne problemy, przyszedł jej do głowy już wcześniej, a teraz nadarzyła się okazja. Przecież nie jest tak, że nigdy dotąd nie zajmowała się taką pracą. Przeciwnie, zawsze uważała, że jest w niej naprawdę dobra.

Zauważyła, że drewniane belki krzyżują się, tworząc jakby wąską, śliską półkę. Ukryta przez wodę, sięgnęła pod halkę i w

siebie.

To jedna z przyczyn, dla których mężczyźni nazywają tę część ciała kobiety „sakiewką ladacznicy", myślała, wyciągając nieduży mieszek. Wewnątrz znajdował się morski dzwonek, wisiorek z soku dembara i parę monet. Monety nie wystarczą na więcej niż kilka posiłków, a żaden jubiler nie da jej nawet ułamka uczciwej ceny za morski dzwonek - nie kiedy wygląda tak jak teraz. Musi się najpierw postarać. Położyła mieszek na półce i wypłynęła spod pomostu.

Rybacy na nią czekali. Szli obok niej, gdy płynęła w stronę łodzi.

- To wasza łódź? - spytała.

- Mojego ojca - odparł młody człowiek, zerkając na swego towarzysza.

- Mogę wejść do niej, żeby się osuszyć? Porozumieli się wzrokiem, po czym ojciec odchrząknął.

- Czemu nie?

Uśmiechnęła się i podpłynęła do burty. Młody człowiek wszedł na pokład, pochylił się, podał jej rękę i wciągnął do środka. Zauważyła, że ojciec rozgląda się, by sprawdzić, czy nikt ich nie widzi. Powstrzymała uśmiech. Myślisz o swojej żonie, co?

Odstąpiła, ściągnęła magię i pchnęła przez halkę strumień ciepłego powietrza. Młody człowiek cofnął się i spojrzał na nią z nowym respektem. Wiedziała, że pewnie mokra wydaje się bardziej podniecająca, ale ci dwaj potencjalni klienci powinni zrozumieć, że nie da się łatwo oszukać na zapłacie.

Już sucha, westchnęła głośno.

- Można by pomyśleć, że ze wszystkimi moimi Darami nie skończę jako ladacznica. - Popatrzyła na nich i zarumieniła się. - Ale dopiero zaczynam. I nie będę się tym zajmować długo, tylko dopóki nie znajdę jakiejś pracy.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, po czym ojciec odchrząknął.

- Ile?

Emerahl uśmiechnęła się.

- Myślę, że tacy dzielni ludzie, którzy chcieli ratować damę przed utonięciem, powinni dostać zniżkę. Prawda?

A to, pomyślała złośliwie, następny powód, dla którego mężczyźni nazywają tę część ciała kobiety „sakiewką ladacznicy”.

18

Świat wyglądał jak ogromny zielony dywan we wzorki w barwach jesieni, trochę pofałdowany w miejscach, gdzie góry przebijały jego splot. Rzeki błyszczały jak srebrne wstążki. Maleńkie domki, jak porozrzucane kawałki mozaiki, leżały tu i tam w większych grupkach, połączone brązowymi drogami. Kiedy Auraya przyglądała się uważniej, drobne poruszenia ukazywały maleńkie zwierzęta... i ludzi.

Chciałaby lecieć bliżej ziemi, ale mimo jej towarzystwa, Zeeriz wolał trzymać się z dala od ziemiochodzących. Pozostawanie cały dzień w powietrzu bardzo go męczyło. Latanie wymagało wysiłku, choć patrząc na Siyee, trudno było w to uwierzyć. Zeeriz był już sztywny i obolały, nim zmierzch skłonił ich do lądowania. Auraya nie wyobrażała sobie nawet, jak wyczerpująca była podróż dla Tireela, który poleciał przodem, by uprzedzić lud nieba o jej przybyciu.

Po kilku godzinach nawet świat w dole przestał być taki ciekawy. Niewiele więc mogło zająć jej umysł, oprócz nadchodzących negocjacji z Siyee. W końcu znużyła się nawet martwieniem o to i planowaniem. Nauczyła się więc naśladować ruchy swego towarzysza - zachowywać się tak, jakby wiatr, pęd i przyciąganie ziemi działało na nią w taki sam sposób jak na Siyee. Uznała, że dzięki temu będzie mogła lepiej rozumieć ograniczenia ich fizycznej budowy.

Wiele się o nich dowiedziała, zaglądając do umysłu ambasadora. Jego myśli obracały się wokół obowiązków, lęku przed ziemiochodzącymi, nadziei na przyszłość i wspomnień z dzieciństwa. Najbardziej interesujące było tłumione poczucie urazy, jakie go ogarniało, gdy spostrzegł, jak naśladuje jego lot. Zastanawiał się, czemu bogowie pozwolili ziemiochodzącej wznosić się w powietrze bez restrykcji i trudów, które były udziałem Siyee.

To, że Siyee pokonali ograniczenia i konsekwencje swej kreacji,

było dla nich powodem do dumy. Wszyscy się uczyli, że ich przodkowie dobrowolnie zaakceptowali cierpienia, deformacje i przedwczesną śmierć, by bogini Huan mogła stworzyć ich rasę. Tę wysoką cenę płacili do dzisiaj, choć liczba kalekich dzieci zmniejszała się w ciągu wieków. Ich populacja rosła powoli i tylko toreńscy osadnicy mogli temu zagrozić.

Coś trzeba zrobić z tymi osadnikami, myślała Auraya. I nie będzie to łatwe. Huan obwieściła, że góry na wschód od Torenu należą do Siyee. Szukający nowych terenów Toreńczycy zinterpretowali słowo „góry" jako obszary zbyt strome, by je uprawiać, i powoli przejmowali żyzne zbocza i doliny. Auraya wątpiła, czy król Torenu wie o tych działaniach swoich poddanych, ale podejrzewała, że gdyby nawet wiedział, nie zareagowałby w żaden sposób.

Ale zareaguje, jeśli Biali się uprą, że musi.

Uśmiechnęła się posępnie. Siyee potrzebowali tego przymierza z Białymi. Chcieli go, ale obawiali się, że za mało mogą ofiarować w zamian. Uważali, że brakuje im siły i zdolności, by przydali się w wojnie, a w dodatku nie mają nic, co byłoby cenne w handlu. Jej zadaniem było znalezienie czegoś, co uznają za godne wymiany za ochronę Białych, albo przekonanie ich, że nawet najmniejsza pomoc, jakiej zdołają udzielić w wojnie, handlu czy polityce, w zupełności wystarczy.

Znowu popatrzyła na Zeeriza. Uśmiechnął się do niej.

Mało wiadomo o tym ludzie. Auraya wiele się nauczyła od ambasadorów, Tireela i Zeeriza, ale lepsze zrozumienie Siyee zyska dopiero wtedy, kiedy spotka ich przywódców i przyjrzy się codziennemu życiu. To, że Biali zadali sobie trud, by odwiedzić dany kraj, zawsze robiło dobre wrażenie na mieszkańcach. Obaj ambasadorzy byli zachwyceni tym, że chce obejrzeć ich ojczyznę. Miała nadzieję, że inni Siyee odbiorą to podobnie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w ciągu kilku miesięcy Auraya w imieniu Białych zdobędzie ich szacunek i zaufanie.

Widząc w oddali ciemną linię gór, czuła, że ogarnia ją pod-

niecenie. Prawdę mówiąc, cieszyła się, że może odwiedzić Si - nie mniej niż ambasadorzy, którzy ją tam eskortowali. Zmierzała tam, gdzie dotarło niewielu ziemiochodzących, i miała poznać bardzo niezwykłą rasę.

Nic nie mogłoby uczynić ją szczęśliwszą.

I natychmiast poczuła znajomy niepokój. Nie było to zwątpienie we własne siły czy lęk przed porażką. Nie, to myśl o bałaganie, jaki za sobą zostawiła.

- Masz bardzo interesujący styl żegnania się - powiedział wtedy Leiard.

W umyśle błysnęła wizja skłębionej w nogach łóżka pościeli, splątanych nagich kończyn... A potem wróciły rozkoszne wspomnienia tego, co było wcześniej.

Kto by to przewidział, myślała, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Ja i Leiard. Biała i tkacz snów.

Na tę myśl uśmiech zniknął, a nastrój zaczął się zsuwać ku bardziej mrocznym regionom. Opierała się, ale bez przekonania. Muszę się z tym zmierzyć. Muszę to zrobić teraz. Kiedy dotrę do Si, będę zbyt zajęta, by marnować czas na dręczenie się konsekwencjami.

Westchnęła i zadała sobie pytanie, którego dotąd starała się unikać.

Jak zareagują inni Biali, kiedy się dowiedzą?

Dyara pierwsza przyszła jej na myśl. Ta kobieta niemal warczała z dezaprobatą, kiedy tylko Leiard znalazł się w pobliżu. Niełatwo będzie jej się pogodzić z faktem, że został kochankiem Aurai. Inaczej Mairae - zapewne nie będzie miała nic przeciwko temu, choć chyba wolałaby, aby Auraya nie szła do łóżka z tkaczem snów. Rianowi się to nie spodoba. Nigdy wprost nie sugerował, że pozostali Biali powinni żyć w celibacie jak on, ale na pewno nie będzie zadowolony z faktu, że jedno z nich sypia z poganinem.

A Juran? Auraya zmarszczyła czoło. Nie miała pojęcia, jak zareaguje Juran. Zaakceptował Leiarda jako jej doradcę. Czy będzie go tolerował jako jej kochanka? Czy raczej powie, że oczekuje zbyt

wielkiej tolerancji Białych dla tkaczy snów?

Nie... Powie, że ludzie się z tym nie pogodzą. Że to osłabi wpływ wszystkiego, co mówiłam i robiłam, by zachęcić do większej tolerancji dla tkaczy snów. Ludzie uznają, że moja opinia wynikała z miłości - albo pożądania - a nie z rozsądku. Przypomną sobie, że Mirar był uwodzicielem. Pomyślą, że dałam się wykorzystać, i okażą te uczucia, atakując tkaczy snów.

To się stało zbyt szybko, by oczekiwać, że ludzie się z tym pogodzą. Być może czas był tu kluczem... Przez chwilę przygryzała wargę. Jeśli swój romans zachowa w tajemnicy, może Biali i inni ludzie w końcu się przyzwyczają. Przecież to nie jest tak, że ciągnie do łóżka każdego przystojnego, nieżonatego i wysoko urodzonego mężczyznę w Ithanii Północnej. Skoro Mairae takie rzeczy uchodzą, to przecież i Aurai ujdzie jakoś sypianie z tylko jednym tkaczem snów.

Znowu westchnęła. Chciałabym, żeby to było prawdą. Jaką mam szansę zachowania tego w tajemnicy? Wszyscy wiedzą o romansach Mairae, a jeśli Dyara nie potrafiła ukryć przed Białymi swego tragicznie czystego związku z Timare, to jak ja zdołam ukryć mój?

Na szczęście najbliższe kilka miesięcy spędzi daleko od Jarime. W tym czasie wiele może się zdarzyć. Może przecież odzyskać zmysły. Albo Leiard odzyska swoje.

A jeśli już odzyskał? Jeśli nie ma zamiaru więcej się ze mną widywać? Jeśli zaspokoił ciekawość i nic go więcej nie interesuje? Serce jej zamarło.

Nie! On mnie kocha! Widziałam to w jego myślach!

A ja kocham jego. Poczuła, że ogarnia ją ciepły blask szczęścia. Wróciły miłe wspomnienia... Lecz zaraz straciła humor, kiedy w pamięci pojawił się obraz jego kamizelki tkacza snów i jej cyrkli, leżących razem na podłodze. To był otrzeźwiający widok. Wydawał się jakby bluźnierczy.

Bogowie muszą wiedzieć, pomyślała.

Pokręciła głową. Nie możemy tego robić. Powinnam go odsunąć. Ale wiedziała, że tego nie uczyni. Dopóki bogowie nie wyjawią

swoich opinii, nie będę próbowała zgadywać, co o nas myślą.

Obejrzała się przez ramię. Jarime już wiele godzin temu zniknęło za horyzontem. Jak mogłam zostawić za sobą taki zamęt? Powinnam zawrócić, powinnam frunąć do miasta.

Przywołała na myśl Siyee. Jak byliby rozczarowani i urażeni... Jak bardzo chciała na własne oczy zobaczyć ich krainę...

Parę miesięcy, tłumaczyła sobie. Zanim przyjdzie czas powrotu, zdecyduję, co powinnam zrobić.

I mam nadzieję, że będę miała dość odwagi, by zrobić to naprawdę.

Deszcz bębnił o daszek pojazdu. Danjin poczuł, że coś spadło mu na głowę, więc spojrzał w górę. Woda przedostała się jakoś przez grubą, nasączoną olejem tkaninę. Uchylił się przed następną kroplą, przesunął na bok siedzenia w plattenie, a potem sięgnął po chusteczkę, by wytrzeć głowę.

Zamiast niej, palce natrafiły na kawałek pergaminu. Danjin wyjął go i westchnął, jeszcze raz odczytując wiadomość od ojca.

Theran powrócił. Zaprosiłem twoich braci na kolację.

Twoja obecność jest pożądana.

Ta - Spear

- Kiedy mówiłem, że przyjemnie będzie mieć trochę czasu dla siebie, bogowie musieli mnie słyszeć - mruknął. Spojrzał w górę. - Wielki Chaio, co takiego zrobiłem, by na to zasłużyć?

- Zaniedbywałeś rodzinę? - zasugerowała Silava. Danjin przeniósł wzrok na siedzącą naprzeciw kobietę.

Światło latarni maskowało zmarszczki na jej twarzy. W większości powstały wskutek uśmiechów i wesołości. W większości. Bowiem mieli za sobą także trudniejsze chwile. Tyle samo, ile ci, którzy pobierali się z miłości, jak zauważył w ostatnich latach. Oboje nie byli sobie wierni, oboje się przekonali, że szczerość jest najtrudniejszą, ale jedyną ścieżką ku wybaczeniu. I chociaż nigdy nie kochali się romantycznie i namiętnie, z czasem zostali najlepszymi przyjaciółmi.

- Którą rodzinę? - zapytał Danjin. - Moją czy naszą?

- O to powinieneś pytać bezstronnego sędziego, Danjinie. - Uśmiechnęła się. - Ale możesz być pewny, że nasza rodzina chętnie widywałaby cię częściej. Zwłaszcza kiedy już urodzą się wnuki.

Wnuki... Myśl o tym, że zostanie dziadkiem, była jednocześnie zachwycająca i przerażająca. Oznaczała, że się starzeje. Ale także, że córki będą szczęśliwe. Rozkwitały w swoich nowych domach. Z satysfakcją stwierdził, że znalazł im dobrych mężów, choć w tej kwestii postępował głównie według rad Silavy. Szkoda, że nie można wybierać sobie rodziców.

- Jeśli chodzi ci o rodzinę mojego ojca, to ty również zostałaś ukarana - zauważył.

- To prawda. Ale zwykle ignoruje mnie na tych przyjęciach. To ty będziesz jego celem.

Danjin aż zadrżał, słysząc te słowa. Silava pochyliła się i poklepała go po kolanie.

- Na nocnej szafce zostawiłam dla ciebie butelkę tintry.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się z wdzięcznością.

Platten zwolnił. Danjin wyjrzał spod daszka i na widok ojcowskiej rezydencji poczuł znajome ssanie w żołądku. Ale zaraz przypomniał sobie o pierścieniu na palcu. Świadomość, że Wybrani Bogów nie uważali go za takiego nieudacznika, za jakiego miał go własny ojciec, dodała mu pewności siebie.

Wysiadł z powozu i odwrócił się, by pomóc żonie. Deszcz padał gęsto i szybko przemoczył ich taule. Oboje odetchnęli z ulgą, kiedy dotarli do drzwi.

Wysoki, chudy mężczyzna z wyniosłą miną wprowadził ich do wnętrza. Danjin przyglądał mu się podejrzliwie. Forin, główny lokaj, miał zwyczaj tak przepraszająco anonsować jego przybycie, jakby przeszkadzał, a nie składał proszoną wizytę.

- Witajcie, Danjinie Spearze i Silavo - powiedział Forin, skłaniając głowę przed obojgiem.

- Doradco Danjinie Spearze - poprawił go Danjin. Zdjął taul i podał go lokajowi.

Oczy Forina błysnęły. Otworzył usta, ale potem spojrzał na taul i

zawahał się. Danjin zrozumiał, że wpatruje się w lśniący na jego palcu biały pierścień.

- Oczywiście. Proszę o wybaczenie.

Odebrał taule jego i Silavy, po czym wyszedł pospiesznie.

Silava spojrzała na męża, kiedy wchodzili do sali przyjęć. Nie uśmiechnęła się, ale zauważył w jej oczach znajomy błysk tryumfu. Taki, jaki zwykle widywał, kiedy przegrywał z nią w dyskusji.

Dwaj bracia Danjina czekali w pokoju, stojąc przy grzejnikach. Widząc ich, poczuł, że satysfakcja z niewielkiego zwycięstwa rozpływa się bez śladu. Przywitanie z braćmi było oficjalne i sztywne. Ich żony rzuciły Silavie wymuszone uśmiechy, po czym wróciły do rozmowy, całkowicie ją ignorując. Deszcz padał przez otwór w dachu do sadzawki w dole. Ławy, przykryte poduszkami i kosztownymi pledami, ustawiono symetrycznie wokół ścian. Podłoga była z żyłkowanego marmuru, a ściany zdobiły murale przedstawiające statki i rozmaite towary.

Pojawił się służący z grzanym somreyańskim ahmem. Sącząc trunek, Danjin przyglądał się rodzinie. Z pewnością Theran, ulubiony syn, na powitanie którego ich tutaj zaproszono, zatrzymał się w rezydencji i już rozmawiał z ojcem.

Wszyscy synowie Ta - Speara pracowali w rodzinnych przedsięwzięciach handlowych, z różnymi sukcesami. Theran, drugi syn, okazał się urodzonym kupcem. Dwaj młodsi bracia zginęli w katastrofie morskiej dwadzieścia lat temu. Ma - Spear, która po urodzeniu Danjina nigdy nie wróciła do zdrowia, zachorowała i umarła wkrótce po nich. Rok temu przestało bić serce najstarszego syna, teraz więc pozostało ich czterech: Theran, Nirem, Gohren i on.

Siedmiu synów miało w zamierzeniach rozwijać imperium handlowe Spearów. Danjin próbował, ale wytrzymał tylko do swej pierwszej wyprawy - miał wtedy szesnaście lat. W ciągu dwóch dni od przybycia do Genrii zaprzyjaźnił się z jakimś dalekim pociotkiem króla i trafił w sam środek politycznych manewrów, o wiele dla niego ciekawszych i ekscytujących niż długie wyprawy handlowe czy nieodłączne kupieckie rejestry i rachunki. Zajęty innymi

sprawami, nie dopilnował ziarna dostarczanego na statek, więc nim powrócił do Jarime, szkodniki zniszczyły połowę ładunku.

Ojciec był wściekły.

- Danjin...

Słysząc szept żony, Danjin uniósł głowę. Dwaj mężczyźni nadchodzili korytarzem prowadzącym do pokoju przyjęć. Forin stanął na środku.

- Ta - Spear i Theran Spear - oznajmił.

Twarz ojca pokrywała pajęczyna zmarszczek, a idąc, podpierał się laską. Wzrok twardych, zimnych oczu przesuwał się od twarzy do twarzy. Po jego prawicy szedł Theran. Brat uśmiechnął się przyjaźnie do Nirema i Gohrena, ale już bardziej z przymusem, gdy spojrzał na Danjina. Zamiast jednak zlekceważyć młodszego brata, co zwykle czynił, Theran uniósł brwi.

- Danjin... Nie spodziewałem się, że przyjdziesz. Tato mówił, że obowiązki w Świątyni nie pozwalają ci na uczestnictwo w takich rodzinnych spotkaniach.

- Ale nie dzisiaj - odparł Danjin.

Zresztą, jak mógłbym przepuścić okazję, by być pogardliwie ignorowanym albo by stać się obiektem twoich żarcików?

Starzec podszedł do długiej ławy i usiadł. Reszta rodziny znieruchomiała, czekając, aż ich poprosi o zajęcie miejsc.

- Siadajcie. Siadajcie - powiedział takim tonem, jakby ten formalizm go krępował.

Danjin wiedział jednak, że wszelkie odchylenie od tego rytuału zawsze ojca złościło. Usiedli teraz na miejscach ustalonych rodzinną tradycją: Theran po prawicy Ta - Speara, Nirem z żoną po lewej, Gohren obok Therana, a Danjin najdalej od ojca, obok żony Nirema.

Kiedy służące wnosiły kolejne smakołyki, rozmowa toczyła się wokół spraw handlowych. Danjin zmuszał się do słuchania i roztropnie zachowywał milczenie. Już dawno nauczył się unikać takich dyskusji. Każda uwaga czy pytanie, jakie zadał, uznawane były za dowód jego ignorancji.

Nieważne, jak bardzo starał się nie zwracać na siebie uwagi -

ojciec zawsze musiał wspomnieć o jego pracy. Gdy Theran zakończył długi opis udanej transakcji, Ta - Spear spojrzał na najmłodszego syna.

- Nie widzę, by nasz doradca Białej mógł liczyć na podobny dochód, służąc Świątyni. - Ta - Spear wskazał gestem ściany. - Jeśli jesteś tak ważny dla cyrklian, to czemu zwykły kupiec mieszka w lepszych warunkach od ciebie? Musisz prosić o podwyższenie pensji, gdy znowu zobaczysz się z pracodawczynią. Kiedy to nastąpi?

- Auraya wyruszyła do Si, ojcze - odparł Danjin. - Ma negocjować przymierze.

Ojciec uniósł brwi.

- Nie towarzyszysz jej?

- Góry Si są trudno dostępne dla ziemiochodzących.

- Ziemiochodzących?

- Tak Siyee nazywają zwykłych ludzi. Ojciec prychnął niechętnie.

- Jakież to prymitywne. Może i dobrze, że cię zostawiła. Kto może wiedzieć, jakie niegustowne obyczaje mają ci osobnicy.

Wrzucił do ust jakiś smaczny kąsek, po czym wytarł dłonie w serwetkę, którą podsunęła mu służąca.

- Jeśli Si sprzymierzy się z Hanią, być może będziesz ich tu częściej widywał. Przyślą do nas ambasadora i będą przybywać w poszukiwaniu wykształcenia, by przystąpić do stanu kapłańskiego albo zająć się handlem.

W oczach ojca błysnęło zainteresowanie. Przeżuł, przełknął i popił odrobiną wody.

- A czym mogą handlować?

- To jedno z pytań, na które Auraya spróbuje znaleźć odpowiedź - uśmiechnął się Danjin.

Ta - Spear zmrużył oczy.

- Nadarza się więc okazja, mój synu. Być może nie zarabiasz przyzwoicie, ale jeśli skorzystasz z tego rodzaju szansy, nie będzie to takie istotne.

- Nie mogę wykorzystywać stanowiska, żeby zyskać przewagę w

handlu - odparł z oburzeniem Danjin.

- Nie bądź takim cnotliwym durniem - prychnął ojciec. - Kiedyś przecież przestaniesz być doradcą.

- Tak, jeśli nadużyję swych przywilejów.

I jeśli podążę twoim śladem, dodał w myśli Danjin, wspominając wrogów, jakich ojciec zyskał przez długie lata. Potężnych wrogów, którzy w pewnych miejscach uniemożliwiali mu handel.

: *Dlaczego mu o tym nie przypomnisz?*

Danjin drgnął, słysząc głos w swym umyśle.

: *Auraya?*

: *Tak, to ja. Przepraszam, nie chciałam się wtrącać. Zeeriz już śpi, a ja... cóż... ja się nudzę.*

Zaczął się uśmiechać, ale natychmiast się opanował.

- .. .sława i chwała przeminą - mówił ojciec. - A ty szybko popadniesz w zapomnienie.

Danjin otworzył usta, by odpowiedzieć.

: *Twój ojciec w jednym ma rację. Powinniśmy ci więcej płacić.*

Zakrztusił się.

: *Jak długo słuchałaś?*

Odpowiedziała nie od razu.

: *Zajrzałam chwilę temu.*

: *Zajrzałaś?*

: *Żeby sprawdzić, czy nie jesteś zajęty.*

- Słuchasz mnie? - spytał zirytowany Ta - Spear.

Danjin uniósł głowę. Zastanowił się nerwowo, czy powinien wyjaśnić, z kim się porozumiewał.

: *Oczywiście, powiedz,* zachęciła go Auraya.

: *Z całym szacunkiem,* odpowiedział, *ale nie znasz mojej rodziny. Czasem lepiej nie budzić licha.*

- Rozważałem twoją radę, ojcze - odparł głośno. Ta - Spear zmrużył podejrzliwie oczy. A potem zwrócił się do Nirema.

- Widziałeś ostatnio kapitana Raeriga?

Nirem przytaknął i zaczął wspominać jakieś pijaństwo w dalekim porcie. Ucieszony, że uwaga ojca skupia się już na kimś innym,

Danjin pozwolił swym myślom błądzić swobodnie... do chwili, gdy ktoś wspomniał o południowym kulcie.

- Powiedział, że to dobrzy klienci, ci pentadrianie - opowiadał Nirem. - Połowa ich kapłanów to wojownicy. Kupuje dunwayską broń, sprzedaje ją na południowym kontynencie... i nie może im nastarczyć. Sądzisz, że powinniśmy...?

Ku zaskoczeniu Danjina, ojciec zmarszczył brwi.

- Może... Słyszałem, że gromadzą tam armię. Wasz pradziad zawsze powtarzał, że wojna jest dobra dla interesów, ale to zależy, kto z kim planuje walczyć.

- A z kim oni planują walczyć? - spytał Danjin. Ojciec uśmiechnął się blado.

- Sądziłem, że wiesz takie rzeczy, doradco Białych.

- Może i wiem - odparł lekceważąco. - A może nie. Dlaczego uważacie, że chcą walczyć?

Ojciec wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Na razie wolę swoją wiedzę zachować dla siebie. Jeśli można wykorzystać ją w interesach, nie chciałbym, by jakieś nieopatrznie wypowiedziane słowo zrujnowało tę okazję.

Danjin poczuł gniew. To nie ta zawoalowaną, obraźliwa sugestia, że zdradzi, czego się dowie, tak go rozzłościła. Raczej to, że ojciec posiadał informacje, które były Danjinowi potrzebne. Były potrzebne Białym...

Ale w chwilę później gniew się ulotnił. Gdyby ojciec w obawie o swoje interesy nie chciał, by Danjin dowiedział się o pentadrianach gromadzących armię, w ogóle by o tym nie wspominał. Może to właśnie było ostrzeżenie - jedyne, na które było stać jego ojca.

: *Słyszałaś, Aurayo?*

Nie było odpowiedzi.

Danjin obracał pierścień na palcu i zastanawiał się, co zrobić. Dowiedzieć się czegoś więcej, uznał. Zebrać informacje. Kiedy następnym razem Auraya odezwie się do niego przez ten pierścień, będzie mógł przekazać jakieś konkrety.

19

Leiarda obudziło uczucie duszenia. Usiadł, dysząc ciężko, i rozejrzał się niepewnie. Panował mrok, ale wyczuwał, że świt jest już blisko. Nie pamiętał snu, który go zbudził.

Wstał, umył się, ubrał i wyśliznął za drzwi. Stworzył małą iskierkę światła, przeszedł przez wspólną salę i wspiął się do dachowego ogrodu. Wyszedł na chłodne powietrze i skierował się do ogrodowych mebli, gdzie zwykle prowadził lekcje Jayima.

Usiadł i spróbował przypomnieć sobie sen, po którym pozostało jedynie uczucie trwogi. Zamknął oczy i skoncentrował się na myślowych ćwiczeniach służących odzyskiwaniu utraconych snów. Nic jednak nie pojawiło się w pamięci. Tylko strach trwał.

Sny, które pamiętał, dotyczyły Aurai. Niektóre były przyjemne, pełne radości i namiętności. Nie miał takich podniecających snów od... od tak dawna, że już tego nie pamiętał. Niestety, niektóre z tych snów mówiły też o nieprzyjemnych konsekwencjach, o oskarżeniach, zemście i straszliwej, straszliwej karze...

Powinieneś był wyjść. Powinieneś był sobie przypomnieć, kimona jest, odezwał się głos w myślach.

Tak zrobiłem.

Powinieneś był sobie przypomnieć mocniej.

Ten inny głos w umyśle - myśli, które według Arleej były manifestacją wspomnień łącza Mirara - często ostatnio do niego przemawiał. To logiczne, że skoro miał dyskutować sam ze sobą o Aurai, ten wyimaginowany Mirar będzie krytykował wszelkie związki z Białymi. Został przecież zabity przez jednego z nich.

Zastanawiał się, czy Mirar wywierał na niego jakiś wpływ podczas tej nocy w pokoju Aurai. Wolał się jednak wystrzegać oskarżania swej drugiej osobowości o własne czyny. Żaden obcy głos nie zachęcał go do uwodzenia Aurai. Mirar milczał aż do poranka następnego dnia - nie odezwał się, dopóki Leiard nie opuścił Wieży.

Auraya pocałowała go na pożegnanie i poprosiła, by ich spotkanie zachował w tajemnicy. Całkiem rozsądna prośba, biorąc pod uwagę, kim był. I kim ona była. Czy ktoś go widział, gdy wychodził? Nie zauważył ani śladu służby, ale był przygotowany, by zachowywać się tak, jakby nie zaszło nic poza nocnymi konsultacjami.

Kłamstwo jednak nie wydawało się wiarygodne. Służący chętnie sobie wyobrażali, że za zamkniętymi drzwiami późno w nocy dzieją się rzeczy o wiele ciekawsze od zwykłych dyskusji politycznych, zwłaszcza jeśli rzekome konsultacje trwają prawie do świtu. Gdyby zaczęli podejrzewać erotyczny charakter jego wizyty u Aurai, inni Biali wyczytaliby to z ich myśli. A gdyby ktoś z Wybranych zechciał to potwierdzić, wystarczyłoby wezwać Leiarda i zbadać jego umysł.

Ale żadne wezwanie nie nadeszło. Miał nadzieję, że oznacza to, iż jego wizyta nie została zauważona i nie stała się tematem domysłów. Kiedy pomyślał, jakie skutki dla jego ludu miałoby wykrycie takiego skandalu, drżał z przerażenia. Jednakże, gdy tylko się nie martwił, od razu planował, jak po jej powrocie zdoła ją w tajemnicy odwiedzić.

Jeśli tylko ona zechce... Może uważa mnie jedynie za nocną rozrywkę. Kochanka, którego odsunie, gdy zda sobie sprawę, jak niezręcznie jest trzymać go przy sobie. Gdybym tylko mógł sprawdzić, czego chce naprawdę...

Istniał pewien sposób, ale niebezpieczny... Mógł połączyć się z nią snem.

Nie bądź idiotą, jeśli doniesie, to cię ukamienują.

Nikomu nie powie.

- Leiard?

Podskoczył i uniósł głowę. Ze zdumieniem zobaczył stojącego przed sobą Jayima. Ogród rozjaśniało już blade światło świtu. Tak się zamyślił, że nie zauważył...

Chłopiec ziewnął i usiadł naprzeciwko, otulając się kocem. Idzie zima, pomyślał Leiard. Powinienem nauczyć go sposobów utrzymywania ciepła.

- Czy znów będziemy ćwiczyć połączenie umysłów? - spytał Jayim.

Leiard zastanowił się. Nie łączyli się, odkąd uczeń zauważył jego pociąg do Aurai. Tak go to wtedy wzburzyło, że odkładał dalsze nauczanie tej sztuki.

Teraz sama myśl o połączeniu budziła trwogę. Jayim z pewnością odkryłby u Leiarda wspomnienia nocy spędzonej z Aurayą, a także nadzieje na kontynuację romansu. A gdyby Jayim to wiedział, to w Jarime byłyby już dwie osoby, u których Biali mogliby wyczytać tę tajemnicę.

- Nie - rzekł. - Mamy chłodny ranek. Wyjaśnię ci, w jaki sposób zimno wpływa na ciało człowieka i jak można się temu przeciwstawić.

Wysoki kapłan Ikaro zatrzymał się przed salą audiencji króla Berro. Odetchnął głęboko i dopiero wtedy wszedł. Wokół tronu stali sekretarze, doradcy i reprezentanci ważniejszych cechów, jednak sam tron był pusty - król przyglądał się wielkiej urnie.

Ikaro zauważył, że jest ozdobiona w nowoczesnym stylu - całą pokrywała czarna powłoka, w której wydrapano postacie, odsłaniając pod spodem białą glinę. Król obejrzał się na Ikaro i przywołał go gestem.

- Podoba ci się, wysoki kapłanie Ikaro? Przedstawia mnie, kiedy mianuję Cimro moim następcą.

- W samej rzeczy. - Ikaro stanął u boku władcy. - W tych liniach jest gracja i piękno, a szczegóły budzą podziw. Czynisz mi wielki zaszczyt, wasza wysokość.

Król zmarszczył czoło.

- Pokazując ci ją? Zamierzam ją tutaj ustawić. Będziesz ją widział za każdym razem, kiedy wejdziesz do tej komnaty.

- Nie będę miał jednak okazji, by stać przed nią i się zachwycać, wasza wysokość. Zawsze będą mnie zajmować ważniejsze sprawy.

Król uśmiechnął się.

- To prawda. - Odwrócił się i wolno ruszył do tronu. - Nie wiedziałem, że jesteś wielbicielem sztuki.

- Jestem zaledwie wielbicielem piękna. Berro parsknął śmiechem.

- Ironią jest więc, że wywróciłeś moje miasto do góry nogami, szukając brzydkiej starej wiedźmy. - Król usiadł. Spoważniał nagle i Zabębnił palcami po poręczy tronu. - Jak długo jeszcze zamierzacie kontynuować te poszukiwania?

Ikaro zmarszczył brwi. Nie potrafił zajrzeć do umysłu władcy - umiał czytać myśli jedynie w obecności Huan. Ale też nie potrzebował - król nie starał się nawet ukrywać niecierpliwości. Zwykłe zapewnienia tym razem Berra nie zadowolą. I nie był pewien, co go uspokoi. Oprócz...

- Zapytam bogów.

Król otworzył szeroko oczy. Wszyscy obecni wymienili spojrzenia, często sceptyczne.

- Teraz?

- Chyba że pora nie jest właściwa - dodał Ikaro. - Mógłbym skorzystać z pałacowej świątyni...

- Nie, nie - zapewnił go Berro. - Rozmawiaj z nimi, jeśli twoim zdaniem to właściwe.

Ikaro kiwnął głową i zamknął oczy.

- Przyłączcie się do mnie w modlitwie - wymruczał, składając obie dłonie w znak kręgu.

Kiedy zaczął znaną inkantację adoracji, był wdzięczny, słysząc liczne wtórujące mu głosy. Czerpał z nich odwagę. Pod koniec modlitwy zamilkł i nabrał tchu.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru! Proszę, by jedno z was przemówiło do mnie, bym odebrał wasze instrukcje.

Czekał z bijącym mocno sercem. Aż nagle zamrowiła go skóra, gdy energia wypełniła powietrze.

: *Wysoki kapłanie Ikaro.*

Zdumione syknięcia odezwały się w całej sali. Ikaro otworzył oczy i rozejrzał się... Nie zobaczył nawet śladu właściciela głosu, ale po minach obecnych poznawał, że wszyscy go usłyszeli.

- Huan? - zapytał.

: *To ja.*

Skłonił głowę.

- Uczyniłem tak, jak mówiliście, ale nie znalazłem czarownicy. Czy mam dalej prowadzić poszukiwania? Czy jest inny sposób, bym mógł ją schwytać?

: *Niech wierzy, że zrezygnowałeś. Odwołaj poszukujących. Zrezygnuj z kontrolowania ludzi w porcie i przy głównej bramie. Zamiast tego, niech te miejsca obserwują kapłani w przebraniu. Jeśli uwierzy, że poszukiwania się skończyły, może skorzystać z okazji, by opuścić miasto. Będę na nią uważała.*

Ikaro przytaknął.

- Jeśli da się ją znaleźć tym sposobem, to ją znajdę - zapewnił z determinacją.

Zniknęło wrażenie obecności bogini. Ikaro spojrzał na króla, który zamyślił się głęboko.

- Dopiero od niedawna bogowie przemawiają do ciebie w taki sposób?

- Tak - przyznał Ikaro. Król zmarszczył czoło.

- Bogini bez wątpienia zdaje sobie sprawę, jak jestem wdzięczny za cofnięcie ograniczeń w życiu miasta, ale oczywiście włączę podziękowania do swoich modlitw. Jednak choć nie chcę, by niebezpieczna czarownica krążyła po moim mieście, obawiam się, by moi poddani nie ucierpieli wskutek ograniczeń handlu. Czy potrzebna ci będzie pomoc w wykonywaniu instrukcji bogini?

Ikaro pokręcił głową, ale zawahał się.

- Może wasza wysokość mógłby zawiadomić strażników, że żebraków przy bramach powinni zostawiać w spokoju.

- Żebraków, tak? - Berro uśmiechnął się krzywo. - Oryginalne przebranie, nie ma co.

Ikaro parsknął śmiechem.

- A jeśli to nie kłopot, kilka strażniczych uniformów też by się przydało.

Berro skinął głową.

- Dopilnuję, żebyś je dostał.

Przez cały ostatni dzień lecieli nad widowiskowo poszarpanymi górami. Auraya przeżyła większą część swego dzieciństwa w cieniu łańcucha oddzielającego Hanię od Dunwayu, ale były to zaledwie pagórki w porównaniu do tych wysokich, ostrych szczytów.

Spoglądając z góry na strome zbocza, rumowiska, splątane gałęzie drzew i ostre skalne iglice, rozumiała, jak trudno byłoby dotrzeć do Si pieszo. „Grunt" częściej był pionowy niż poziomy, a każdy dostępny kawałek gleby porastała gęsta roślinność, od ostrych traw po gigantyczne drzewa.

Las przecinały zasypane kamieniami koryta szerokich rzek. Wysokie brzegi, usiane ogromnymi martwymi drzewami, mówiły o gwałtownych wiosennych wylewach. Burzliwy nurt niósł te rzeki do migoczących błękitnych jezior, skąd wylewały się już tylko dwie - ogromne i zmierzające wprost do morza.

Od Jarime lecieli cały czas na południowy wschód, a potem skręcili na południe, by przelecieć przez przełęcz między górami. Tej nocy obozowali w jaskini, gdzie znaleźli palenisko, proste legowiska i zapas suszonej żywności. Rankiem obudził ją zapach smażonych jajek; ze zdumieniem odkryła, że Zeeriz wyfrunął o świcie i obrabował kilka ptasich gniazd. Najwyraźniej Siyee nie mieli oporów przed zjadaniem innych skrzydlatych istot.

Cały ranek kierowali się znów na południowy wschód. Wreszcie, gdy słońce stanęło w zenicie, uwagę Aurai zwrócił długi pas odkrytej skały na zboczu góry.

- To Przestrzeń - wyjaśnił Zeeriz. - Główne miejsce naszych zgromadzeń i skupisko naszych mieszkań.

Kiwnęła głową, by pokazać, że zrozumiała.

: *Juran?*

: *Tak, Aurayo.*

: *Zbliżamy się do celu.*

: *Zawiadomię pozostałych. Bardzo chcą to zobaczyć.*

Auraya wyczuła w jego głosie lekkie podniecenie. Nawet Juran, zwykle tak poważny, był podekscytowany perspektywą zobaczenia domu Siyee.

Niedługo potem przesunął się nad nią jakiś cień. Uniosła głowę i zobaczyła trójkę Siyee. Przyglądali się jej z fascynacją.

Podleciała bliżej do Zeeriza.

- Powinnam się zatrzymać i przywitać z nimi?

- Nie - odparł. - Jeśli będziesz się witać z każdym Siyee, który przyleci się na ciebie gapić, nie dolecimy do Przestrzeni przed wieczorem. - Spojrzał na nowo przybyłych i uśmiechnął się. - Ściągniesz spory tłum.

Lecieli dalej; co pewien czas oglądała się i uśmiechała do Siyee nad sobą. Wkrótce przyłączyli się do nich nowi, potem następni, aż miała wrażenie, że ściga ją wielka, trzepocząca chmura. Bliżej Przestrzeni rozróżniała już pojedynczych przedstawicieli ludu nieba stojących na skalistym gruncie - i oni także zaczęli ją dostrzegać. Niektórzy wznieśli się w powietrze, by przyjrzeć się nadlatującym. Inni zostali na stromym zboczu i patrzyli.

Gdzieś w tle tych obserwacji Auraya cały czas była świadoma nieprzerwanego łącza z Juranem. Jedno po drugim, kolejni Biali przyłączali się także, a ona pozwalała im widzieć jej oczami. Ta stroma skalna powierzchnia, tworząca Przestrzeń, wyglądała jak wielka blizna na zboczu góry - podłużna i otoczona lasem. Drzewa były ogromne, a zapewne z ziemi wydawały się jeszcze bardziej imponujące.

Skalista powierzchnia była nierówna, przełamana na trzy stopnie. W środkowej części stała w rzędzie grupa dorosłych Siyee. Domyśliła się, że to przywódcy klanów - Mówcy.

Z dołu rozległo się dudnienie, co zwróciło jej uwagę na kilka bębnów ustawionych po obu stronach Przestrzeni. I nagle Siyee zaczęli przelatywać przed nią. Zauważyła, że wszyscy są młodzi i tak samo ubrani, więc zapewne ten lotniczy pokaz przygotowano specjalnie, by zrobić na niej wrażenie.

Pikowali i wzbijali się na przemian, z pełną synchronizacją. Tworzyli dość skomplikowane figury, a jednak umieli utrzymać równe tempo, gdy wraz z Zeerizem zniżała się na spotkanie czekających Mówców.

Bębny ucichły, a uczestnicy pokazu polecieli na boki. Zeeriz spłynął ku ziemi i wylądował lekko przed Mówcami. Auraya opadła przy nim. Na spotkanie wyszła jej kobieta, trzymająca w jednej ręce drewniany kubek, a w drugiej coś, co wyglądało na niewielkie ciastko.

- Jestem Mówcą Sirri - przedstawiła się.

- Jestem Auraya z Białych.

Siyee podała jej kubek i ciastko. Kubek pełen był krystalicznie czystej wody. Zeeriz uprzedził ją o tym rytuale powitalnym, więc Auraya bez wahania zjadła ciastko, słodkie i twarde, i wypiła wodę. Oddała Mówcy kubek. Nie powinna dziękować, uprzedził ją Zeeriz. Wszyscy Siyee ze wszystkich klanów witali gości pożywieniem i wodą, gdyż żaden nie mógł sam zabrać zbyt wiele. Nawet wrogowie muszą dawać i otrzymywać posiłek, a milczenie nie pozwalało, by słowa podziękowania uwięzły komuś w gardle.

Sirri cofnęła się i rozłożyła ramiona, odsłaniając membrany skrzydeł. To, jak wyczytała Auraya z jej myśli, było powitaniem zarezerwowanym jedynie dla tych, którym Siyee ufali.

Siyee ufali bogom, więc oczywiście ufali też ich Wybranym.

- Witaj w Si, Aurayo z Białych. Auraya z uśmiechem powtórzyła jej gest.

- Jestem wzruszona, że ty i twój lud tak serdecznie mnie przyjmujecie.

Twarz Sirri złagodniała.

- To zaszczyt gościć jedną z Wybranych Bogów. Auraya wykonała znak kręgu.

- To zaszczyt być witaną przez najcudowniejszą i najpiękniejszą z boskich kreacji.

Sirri szeroko otworzyła oczy, a jej twarz pokryła się rumieńcem. Auraya zauważyła, że inni Mówcy wymieniają spojrzenia. Czyżby powiedziała coś niewłaściwego? Ale nie wyczuwała u nich urazy. Odczytywała chaotyczny gwar myśli i z wolna pojmowała, że - jako rasa - Siyee od dawna zastanawiali się nad swoim miejscem w świecie. Czy ich istnienie ma jakiś cel? Czy też ich kreacja była tylko

przelotnym kaprysem, rozrywką dla bogini, która ich stworzyła? Słowa Aurai sugerowały, że może częścią tego celu jest po prostu być wyrazem piękna i cudowności.

Musi być bardzo ostrożna. Ci ludzie potrafią odczytać z jej uwag znaczenia, których nie chciała im nadawać. Koniecznie powinna wytłumaczyć, że wie nie więcej od nich o szerszych planach bogów. W końcu nawet się do niej nie odezwali od Ceremonii Wyboru.

- Zwołaliśmy Zgromadzenie, by omówić proponowane przez was przymierze - oświadczyła Mówca Sirri. - Do wszystkich klanów wyruszyli posłańcy, prosząc, by przybyli ich Mówcy albo reprezentanci. Trzeba dwóch, trzech dni, by zdążyli tu dotrzeć. Tymczasem dzisiaj wydajemy niewielkie przyjęcie powitalne. Rozpocznie się o zachodzie słońca w Altanie Mówców.

- Będę czekać niecierpliwie - zapewniła Auraya.

- Do zachodu pozostało jeszcze wiele godzin. Czy wolisz odpocząć, czy może obejrzeć Przestrzeń?

- Bardzo bym chciała obejrzeć miejsce, w którym żyjecie. Sirri uśmiechnęła się i gestem wskazała drzewa z boku Przestrzeni.

- Będę zaszczycona, mogąc cię oprowadzić.

20

Gdy woda w misie się wygładziła, Emerahl przestudiowała swoje odbicie, pochylając głowę tak, by zobaczyć nasadę włosów. Naturalny, młodzieńczy kolor właśnie zaczynał się przebijać, choć trzeba było naprawdę dobrze się przyjrzeć. Był to mniej ostry odcień czerwieni niż farba, którą nałożyła kilka dni temu; zamaskuje zmianę, stopniowo rozrzedzając farbę.

Wyprostowała się i zastanowiła nad sobą. Z wody patrzyła na nią młoda kobieta o oszałamiająco zielonych oczach, z lekko piegowatą bladą cerą i włosami w barwie zachodzącego słońca. Długa tunika miała kolor wyblakłej zieleni i kiedyś mogła pasować kolorem do oczu; jednak dekolt wyglądał prowokująco, a będzie jeszcze bardziej, kiedy właścicielka nabierze trochę ciała.

Lekki uśmiech dziewczyny z odbicia zniknął, zastąpiony przez zmarszczkę na czole.

Tak, stanowczo muszę odzyskać krągłości, uznała. Koścista ze mnie ladacznica.

Niestety, prawie cały skromny dochód od pierwszych klientów wykorzystała, by na kilka nocy wynająć pokój. Ceny mieszkań trochę wzrosły w ciągu ostatnich stu lat. Podobnie jak innych rzeczy. Nie odgadła - póki nie było już za późno - czemu rybacy nie targowali się zbyt gorliwie. Uznała, że to pożądanie skłoniło ich od ustępliwości, tymczasem po prostu zrobili świetny interes.

Najważniejsze jednak było ubranie. W ramach transakcji z rybakami zyskała stary, brudny taul, który wypatrzyła w kabinie. Mogła się nim okryć, dopóki nie kupiła tuniki i nie wynajęła pokoju. Tej nocy, kiedy się porządnie wykąpała, wyszła na ulicę, by napełnić mieszek.

Klienci nie garnęli się do niej i ledwie zarobiła na jedzenie i czynsz za następną noc. Trzeciego wieczoru mężczyzna, którego przyprowadziła, gapił się na jej białe włosy i traktował ją szorstko. Kiedy wychodził, ociekał niemal mściwą satysfakcją. Zastanawiała

się, czy ta kobieta, którą chciał zranić, wie, jak bardzo jej nienawidzi.

Zrezygnowała z posiłku, by kupić farbę do włosów. Następnej nocy nie brakowało jej klientów. Niewiele rudowłosych kobiet pracowało na ulicach Porinu. Była ciekawostką.

Raz jeszcze przeciągnęła grzebieniem po włosach. Bezgłośnie przeklęła kapłana, który wypędził ją z domu, po czym wyprostowała się i wyszła.

Nie musiała chodzić daleko. Wynajęła pokój w bocznym zaułku ulicy Głównej, ważnej arterii biegnącej przez gorsze dzielnice miasta. Wszystko można było tu kupić albo zorganizować: ladacznice, czarnorynkowy towar, truciznę, nową tożsamość, cudzą własność, cudze życie... Konkurencja wśród ladacznic była ostra, więc jej obecność szybko została zauważona i oprotestowana. Stając na swoim miejscu na rogu, Emerahl rozejrzała się za znajomymi już niechętnymi twarzami. Ciemnoskóre bliźniaczki, pracujące zaraz za drugim rogiem zaułka, próbowały ją zastraszyć i skłonić do odejścia, ale niewielka demonstracja jej Darów przekonała je, by dać spokój. Ostronosa dziewczyna z drugiej strony ulicy chciała się zaprzyjaźnić, ale Emerahl ją odepchnęła. Nie zostanie tu tak długo, by potrzebować przyjaciół, a nie miała ochoty dzielić się klientami i zyskiem.

Zaczął padać chłodny deszcz. Emerahl ściągnęła do siebie magię i uformowała z niej osłonę nad głową. Zauważyła, że bliźniaczki kulą się pod daszkiem okna. Jedna z nich złożyła dłonie i spomiędzy palców zajaśniało czerwone światło. Druga objęła siostrę ramieniem.

Po przeciwnej stronie ulicy dziewczyna z ostrym nosem na deszczu szybko zmieniła się z młodej kobiety w przemoczone dziecko. Ku zdumieniu Emerahl, przylegająca suknia skusiła jednak klienta. Pokiwała głową, gdy oboje zniknęli. Co prawda nie chciała przyjaźni tej dziewczyny, ale współczuła ulicznicom i martwiła się, widząc, jak proszą się o choroby.

Deszcz przybierał na sile. Przechodniów było coraz mniej i tylko nieliczni poświęcali dziewczynom choćby chwilę uwagi. Emerahl patrzyła, jak drugą stroną ulicy idzie nonszalancko dwóch młodych

ludzi. Jeden spojrzał na nią i szturchnął kolegę łokciem. Drugi zaczął się odwracać w tę stronę, ale zanim zdążył ją zobaczyć, coś przesłoniło mu widok.

Emerahl zmarszczyła niechętnie brwi, widząc osłonięty platten, który się przed nią zatrzymał. Dopiero po chwili zauważyła mężczyznę, przyglądającego się jej zza rozcięcia budy. W średnim wieku, jak zauważyła, ale dobrze ubrany. Uśmiechnęła się.

- Witaj - powiedziała. - Szukasz czegoś?

Zmrużył oczy. Na jego ustach pojawił się kpiący uśmieszek.

- Istotnie. Podeszła do plattenu.

- Czegoś, w czym mogłabym pomóc? - wymruczała.

- Możliwe - przyznał. - Szukałem towarzystwa. Jakiejś pobudzającej rozmowy...

- Mogę cię pobudzić i mogę porozmawiać - odparła. Roześmiał się. Potem spostrzegł magiczną osłonę nad jej głową.

- Użyteczny Dar.

- Mam wiele Darów - zapewniła znaczącym tonem. - Niektóre są użyteczne dla mnie, inne mogą być użyteczne dla ciebie.

Zmrużył oczy, choć nie była pewna, czy to reakcja na ostrzeżenie, czy zaproszenie w jej słowach.

- Jak ci na imię?

- Emmea.

Rozchylił osłonę powozu.

- Wejdź, Emmeo.

- To będzie cię kosztować co najmniej...

- Wsiadaj, nie targujmy się na deszczu.

Wahała się przez chwilę, ale w końcu wzruszyła ramionami i wsiadła. Gdyby cena była za niska albo mężczyzna okazał się kłopotliwy, zawsze mogła użyć Darów, by się uwolnić. Ryzykowała najwyżej spacer w deszczu. A kiedy usadowiła się na miękkich poduszkach obok potencjalnego klienta i zauważyła złote pierścienie na jego palcach, wiedziała, że warto podjąć to ryzyko.

Mężczyzna wydał polecenie i platten ruszył z miejsca. Jechał dość wolno. Emerahl przyglądała się klientowi. On patrzył na nią.

- Trzydzieści renów - powiedział.

Serce jej podskoczyło. Szczodry jest. Może da się naciągnąć na więcej... Udała pogardę.

- Pięćdziesiąt.

Przygryzł wargę. Zaczęła rozwiązywać sznurowania sukni. Jego oczy śledziły każdy ruch palców.

- Trzydzieści pięć - zaproponował. Prychnęła cicho.

- Czterdzieści pięć.

Uśmiechnął się, kiedy rozsunęła tkaninę tuniki, demonstrując nagie ciało. Odchyliła się na poduszkach i zobaczyła, jak w jego oczach rośnie pożądanie, gdy przesunęła dłońmi po skórze - od małych piersi do trójkąta rudych włosów w kroczu.

Odetchnął głęboko i spojrzał jej w oczy.

- Heybrin nie ochroni cię przed chorobą.

A więc zwrócił uwagę na zapach ziół. Uśmiechnęła się krzywo.

- Wiem, ale mężczyźni nie wierzą, kiedy mówię, że moje Dary to potrafią.

Zadrżał mu kącik ust.

- Ja wierzę. Co powiesz na czterdzieści?

- Niech będzie czterdzieści - zgodziła się. Przesunęła się na siedzeniu i sięgnęła po troki jego pięknie uszytych spodni.

Pochylił się i przesunął czubkiem języka wzdłuż jej szyi aż do sutków; palce wsunęły się we włosy łonowe, pieszcząc ją delikatnie. Uśmiechnęła się, udając, że ją to podnieca. Nie uzna chyba, że może zapomnieć o zapłacie, jeśli da jej w zamian odrobinę rozkoszy.

Zajęła się jego ciałem i po chwili interesowała go tylko rozkosz. Kiedy już był w niej, pozwoliła własnym instynktom utrzymywać rytm zgodny z jego poruszeniami, a sama skupiła się na jego umyśle. Emocje, głównie pożądanie, napływały do niej niczym smużki dymu. Coraz lepiej je wyczuwała.

Poruszył się szybciej, potem sapnął, szczytując. Jak większość mężczyzn, wycofał się po krótkiej przerwie. Westchnęła i rozparła się na poduszkach - zdecydowanie wygodniejszych niż twardy ceglany mur za plecami.

Zauważyła, że przygląda się jej uważnie.

- Dlaczego tak piękna młoda kobieta jak ty, Emmeo, pracuje na ulicy?

Zdołała jakoś powstrzymać się przed spojrzeniem na niego jak na idiotę.

- Pieniądze.

- No tak, oczywiście. Ale co na to twoi rodzice?

- Wyrzucili mnie z domu.

- A co takiego zrobiłaś?

- Chcesz powiedzieć: kogo? - rzuciła swobodnie. - A kogo nie? Myślę, że byłam stworzona do tej pracy.

- Lubisz ją?

Przyglądała mu się chłodno. Czemu ją tak wypytuje?

- Na ogół tak - skłamała. Uśmiechnął się.

- A jak się dowiedziałaś o heybrinie?

Zastanowiła się. Platten wciąż sunął powoli. Nie odjechali daleko, ale im dłużej on gada, tym bardziej się oddalają od Głównej. Czyżby chciał ją wystraszyć, bo liczył, że zrezygnuje z zapłaty, by mu uciec? No więc to mu się nie uda.

- Ja... Moja babcia dużo wiedziała o ziołach i magii. Nauczyła mnie. Matka uważała, że nie powinna mi mówić, jak nie mieć dzieci, dopóki nie wyjdę za mąż, ale... - Emerahl uśmiechnęła się krzywo. - Babunia chyba lepiej mnie znała.

- Moja babcia powtarzała, że wszyscy mają jakieś wady, więc równie dobrze można na tym zarobić. - Zmarszczył czoło. - Za to mój ojciec wręcz przeciwnie: bardzo moralny. Byłby wściekły, gdyby mnie teraz zobaczył. Wziął pieniądze z jej „niemoralnych przedsięwzięć" i zainwestował je we wschodnich górach. Zarobiliśmy fortunę na rzadkich gatunkach drewna i wydobyciu rud.

Nagle zrozumiała, co się dzieje. To był ten rodzaj klienta, który lubił sobie pogadać. Mówił przecież, że ma chęć na pobudzającą rozmowę. Proszę bardzo, może się tak zabawić. Może przy okazji zdoła się czegoś dowiedzieć... A jeśli okaże się dobrą słuchaczką, całkiem możliwe, że zyska stałego klienta.

- No to chyba podjął właściwą decyzję - uznała.

- Może. - Skrzywił się. - A może nie. Te blokady przy bramach spowolniły ruch towarów i straciliśmy klientów. Nie wiem, po co w ogóle marnują czas. Skoro czarownicy nie znalazł nawet kapłan z Darem czytania w myślach, to kto da radę? A teraz chodzą słuchy, że Biali zamierzają się sprzymierzyć z Siyee, a Siyee chcą ziemi, która należy do nas.

- Biali?

- Tak. Siyee wysłali ambasadorów do Białej Wieży. Podobno jedna z Białych, ta najnowsza, ruszyła z wizytą do Si. Ale chyba nie ma co liczyć, że z braku doświadczenia zawali całą sprawę.

Emerahl pokręciła głową.

- Kto to są Biali? Wytrzeszczył oczy.

- Nie wiesz? Jak możesz nie wiedzieć?

Coś w jego głosie powiedziało jej, że zdradziła się z ignorancją w kwestii doskonale znanej każdemu współczesnemu człowiekowi. Wzruszyła ramionami.

- Mieszkałam daleko. Nie mieliśmy nawet kapłana. Uniósł brwi.

- No cóż... Nic dziwnego, że uciekłaś.

Uciekła? Nie powiedziała tego, ale może z jej zachowania poznał, że kłamie, i próbował się domyślić powodów. Ucieczka z domu to dla dziewczyny z ulicy prawdopodobna historia.

- Biali to najwyżsi cyrkliańscy kapłani i kapłanki - wyjaśnił. - Wybrani Bogów. Juran był pierwszy, potem Dyara, Mairae, Rian i teraz Aurayą.

- Ach, Wybrani...

Emerahl miała nadzieję, że zdołała zamaskować szok. W jaki sposób Juran może ciągle być żywy? Odpowiedź jest oczywista: bogowie chcą, żeby był. Kiwnęła głową. Najpewniej ci inni Biali też są długowieczni. A co to za Biała Wieża? Nagle przypomniała sobie sen o wieży, który ciągle jeszcze ją dręczył, choć coraz rzadziej. Czy to ta wieża?

- Wyglądasz... Coś sobie skojarzyłaś? Przytaknęła.

- Tak, trochę to poruszyło moją pamięć. Babunia opowiadała mi

coś podobnego, ale prawie wszystko zapomniałam. -Spojrzała na niego. - Możesz powiedzieć więcej?

Uśmiechnął się, ale smętnie pokręcił głową.

- Muszę wracać do domu. Ale najpierw odwiozę cię do twojego.

Przekazał woźnicy instrukcje i platten zakołysał się w szybszym tempie. Po chwili zwolnił i stanął.

Sięgnął pod tunikę, wyjął mieszek i w milczeniu odliczył drobne miedziane monety.

- Pięćdziesiąt renów - rzekł, wręczając jej pieniądze. Zawahała się.

-Ale...

- Wiem. Umawialiśmy się na czterdzieści. Jesteś warta więcej, Emmeo.

Uśmiechnęła się, a potem pochyliła się impulsywnie i pocałowała go w usta. Oczy mu błysnęły, a kiedy wysiadała, poczuła, że pogładził ją dłonią w talii.

Wróci, pomyślała z przekonaniem. Wiedziałam, że nie będę tu tkwiła długo.

Zauważyła, że zniknęły bliźniaczki. Obejrzała się za odjeżdżającym plattenem i pomachała swojej nocnej inwestycji. Potem, z pięćdziesięcioma renami w sakiewce, ruszyła do swojego pokoju.

Tej nocy Tryss budził się kilkukrotnie. Za każdym razem, kiedy otwierał oczy, widział jedynie ciemność. W końcu jednak zamrugał i dostrzegł blade światło, sączące się przez ściany altany rodziców.

Wstał i ubrał się cicho, mocując do pasa narzędzia. W ostatniej chwili, wychodząc, złapał jeszcze kawałek chleba, a zanim dotarł do Przestrzeni, została z niego tylko spalona skórka, którą rzucił w bok.

W ciszy porozciągał mięśnie i zrobił szybką rozgrzewkę. Jeśli miał dzisiaj wypróbować nową uprząż, nie chciał, by sztywne mięśnie utrudniały mu ruchy. Wykonując kolejne ćwiczenia, spoglądał w stronę północnej granicy Przestrzeni, ale altana Białej kapłanki była ukryta w mroku między drzewami.

Obecność ziemiochodzącej wprowadziła Siyee w stan ekscytacji i napięcia. Wszyscy rozmawiali tylko o niej i o proponowanym

przymierzu. Tryss dostawał już mdłości od tego -zwłaszcza że ludzie najbardziej podnieceni wizytą Wybranki Bogów byli tymi, którzy najgłośniej go wykpiwali, gdy słyszeli o jego uprzęży. Ludzie, którzy nie wierzyli, że Siyee mogą cokolwiek ofiarować Białym w zamian za ich ochronę.

To dlatego że są najmniej inteligentni z nas, wyjaśniła Drilli, kiedy podzielił się z nią tym spostrzeżeniem.

Uśmiechnął się do tego wspomnienia, a potem skoczył w powietrze. Mroźny wiatr dmuchnął mu w twarz i ochłodził membrany skrzydeł. Zima była już coraz bliżej i śnieg przyprószył najwyższe szczyty. Wiele drzew w lesie utraciło liście, odsłaniając stada zwierząt, na które zamierzał polować.

W tym roku moja rodzina nie będzie głodna, powiedział sobie.

Potrzebował godziny, by dotrzeć do groty, w której obecnie chował nową uprząż. Dostał się do niej okrężną trasą, która powinna zmylić każdego, kto próbowałby go śledzić. Kuzyni wciąż się napawali swym złośliwym wyczynem, ale żaden z nich nie próbował go dręczyć. Ojciec wspominał, że obaj są zajęci pracą, jaką wyznaczyła im Mówca Sirri.

Wylądował przed jaskinią i szybko wszedł do środka. Za każdym razem, kiedy wchodził i znajdował wszystko takie, jakim je zostawił, czuł ulgę. Ale nie tym razem... Jakaś postać stała przy uprzęży. Zamarł przerażony, ale zaraz ogarnęło go poczucie ulgi i równocześnie niepokoju - rozpoznał Mówcę Sirri.

Przywódczyni klanu uśmiechnęła się do niego.

- Jest skończona? Tryss zerknął na uprząż. -Prawie. Spoważniała.

- Czyli jeszcze jej nie wypróbowałeś?

-Nie.

Przyjrzała mu się w zadumie. Skinęła ręką.

- Siadaj przy mnie, Tryss. Musimy porozmawiać. Usiadła, podkurczywszy nogi. Tryss zajął miejsce po drugiej stronie uprzęży. Przyglądał się Mówcy z uwagą.

Sirri zamyśliła się na chwilę. A potem zwróciła do niego.

- Myślisz, że możesz mieć ją gotową i działającą do jutrzejszego

wieczoru?

Na jutrzejszy wieczór zaplanowano Zgromadzenie. Przemówi do nich Biała kapłanka... Tryss poczuł, jak przyspiesza mu tętno.

- Może.

- Potrzebuję wyraźnego „tak" albo „nie". Nabrał tchu.

-Tak. Kiwnęła głową.

- A zechcesz zaryzykować, by zademonstrować ją na tak ważnym Zgromadzeniu?

Serce biło mu jak szalone.

-Tak.

Sirri znowu pokiwała głową.

- W takim razie dopilnuję, żeby znalazło się to w programie Zgromadzenia. Powinieneś dobrze zaplanować pokaz, jeśli masz zrobić na nich wrażenie.

- Z radością przekonam parę osób - mruknął. Zaśmiała się.

- Och, musimy przecież przekonać wszystkich.

- Niektórzy nigdy w to nie uwierzą. Pochyliła głowę na ramię.

- Zdajesz sobie sprawę, że jedną z przyczyn, dla których nie chcą otworzyć swoich umysłów, jest strach, że możesz mieć rację?

Zmarszczył czoło.

- Dlaczego? Jeśli mam rację, mogą polować. I walczyć.

- I iść na wojnę. A jeśli ruszymy na wojnę, wielu z nas nigdy nie wróci, nawet gdy walka będzie wygrana. Nie jesteśmy tak liczni jak ziemiochodzący, nie rodzimy tak wielu zdrowych dzieci. Zwycięstwo Białych może być ostateczną klęską Siyee.

Lodowaty dreszcz przebiegł Tryssowi po plecach. Jeśli jego wynalazek pozwoli im uczestniczyć w wojnie, a to okaże się końcem Siyee, to on sam będzie odpowiedzialny za śmierć swego ludu.

- Ale jeżeli będziemy mogli polować i uprawiać ziemię, będziemy silniejsi - powiedział wolno, głośno myśląc. - Będziemy mieli więcej zdrowych dzieci. Jeśli zdołamy bronić się przed najeźdźcami, więcej nas przeżyje, by mieć dzieci. Kiedy pójdziemy na wojnę, musimy atakować z takiej odległości, by strzały wrogów nas nie dosięgły. Nikt z nas nie musi ginąć.

Sirri zaśmiała się cicho.

- Gdyby tylko było to prawdą... Mamy przed sobą dwie drogi, a wybór każdej z nich ma swoją cenę. Być może jest to ta sama cena. - Wstała. - Dziś późnym wieczorem przyjdź do mojej altany. Omówimy formę i program twojego pokazu.

- Przyjdę - obiecał. - Dziękuję, Mówco Sirri.

- Jeśli to zadziała, wszyscy Siyee będą ci wdzięczni, Tryss. - Zastanowiła się przez chwilę, po czym mrugnęła do niego. - Oczywiście nie chcę wywierać na ciebie żadnej presji.

Wyszła z jaskini i wzleciała w górę. Tryss został sam. Dręczyło go niejasne przeczucie, że wyświadczyła mu przysługę, której być może będzie żałował.

21

Yzzi tłumiła chichot, patrząc, jak ciemnoskóra ziemiochodząca w czarnym stroju schodzi ostrożnie po skalnej ścianie. Kobieta poruszała się wolno i niezgrabnie, ostrożnie wybierając chwyty dla rąk i oparcia dla stóp. A jednak w jej ruchach była jakaś pewność, która sugerowała, że umie to robić. Przypominała Yzzi chłopca z jej klanu, który urodził się bez membran między ramionami i tułowiem. Nie mógł latać, ale umiał chodzić dalej i skakać wyżej niż jakikolwiek normalny Siyee. Z początku jego wysiłki wydawały się śmieszne i żałosne, ale z czasem inne dzieci zaczęły go szanować za tę determinację, by stać się tak ruchliwym, jak to tylko możliwe.

Kobieta dotarła do samej podstawy zbocza i przystanęła, by napić się wody z wąskiego strumyczka. Na pewno dobrze opanowała wspinaczkę, uznała Yzzi, bo przecież, żeby dostać się tak daleko na tereny Siyee, musiała pokonać wiele takich przeszkód.

Yzzi przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę, bez trudu utrzymując równowagę na gałęzi. Kobieta wyprostowała się i spojrzała... prosto w jej oczy. Dreszcz przebiegł Yzzi po plecach, ale nie poruszyła się... Możliwe, że kobieta jej nie widzi; może przesłania ją listowie...

- Witaj... - zawołała obca.

Serce Yzzi niemal stanęło. Zobaczyła mnie! Co robić?

- Nie bój się - powiedziała kobieta. - Nic ci nie zrobię.

Dopiero po chwili Yzzi zdołała zrozumieć te słowa. Nieznajoma trochę się zacinała, mówiąc w języku Siyee, i trochę myliła wysokość gwizdnięć. Yzzi zastanawiała się... Czy powinna z nią rozmawiać? Ojciec powtarzał, że nie wolno ufać ziemiochodzącym, ale zmienił zdanie, kiedy dzisiejszego ranka odwiedziła ich klan Biała kapłanka.

- Czy zejdziesz i porozmawiasz ze mną?

Yzzi znów przestąpiła z nogi na nogę i podjęła decyzję. Będzie rozmawiać, ale z tego miejsca.

- Jestem Yzzi. A ty?

Kobieta uśmiechnęła się szerzej.

- Jestem Genza.

- Po co przyszłaś do Si?

- Żeby zobaczyć, jak tu jest. Może jednak zejdziesz? Ledwo cię widzę.

Yzzi znów się zawahała. Ziemiochodząca była taka wielka... Rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby przysiąść bliżej kobiety, ale z którego potrafiłaby szybko odlecieć. Półka na stromym zboczu, z którego kobieta właśnie zeszła, wydawała się odpowiednia. Yzzi zanurkowała z gałęzi i wylądowała miękko na skale.

Odwróciła się i popatrzyła na ziemiochodząca. Kobieta wciąż się uśmiechała.

- Jesteś taka ładna... - wymruczała obca. Yzzi zrobiło się przyjemnie.

- A ty jesteś dziwna - wyrzuciła gwałtownie. - Ale w miły sposób.

Kobieta roześmiała się.

- Przekażesz wiadomość ode mnie swojemu przywódcy? Yzzi wyprostowała się... Przekazywanie wiadomości było ważne, więc dzieci nieczęsto dostawały coś istotnego do przekazania.

- Dobrze.

Kobieta podeszła o kilka kroków i z naciskiem spojrzała w oczy Yzzi.

- Powiedz mu, że bardzo mi przykro z powodu tego, co zrobiły ptaki. To nie powinno się zdarzyć. Próbowały mnie ochraniać, a ja nie zrozumiałam, co się dzieje, dopóki nie było już za późno. Przybyłam, żeby sprawdzić, czy możemy być przyjaciółmi. Zapamiętasz to wszystko, Yzzi?

Yzzi kiwnęła głową.

- Więc powtórz to teraz, żebym wiedziała, że... Odległy świst przyciągnął uwagę Yzzi. Uniosła wzrok i aż krzyknęła, widząc, że nad nimi przelatuje duża grupa Siyee, otaczająca biało odzianą postać, wyraźnie widoczną ze względu na swoją wielkość i brak skrzydeł.

Biała kapłanka, pomyślała Yzzi. Zobaczyła, że Genza przykucnęła pod liśćmi wielkiego drzewa felfea. Twarz kobiety wyglądała przerażająco - wyrażała równocześnie gniew i strach.

- Jak długo ona tu jest? - warknęła.

- Od paru dni - odparła Yzzi. - Jest miła. Powinnaś przyjść i z nią porozmawiać. Na pewno chciałaby też być twoją przyjaciółką.

Genza wyprostowała się i złagodniała, patrząc na dziewczynkę. Wymruczała kilka dziwnych słów, których Yzzi nie zrozumiała, po czym westchnęła.

- Możesz powtórzyć waszemu przywódcy klanu coś jeszcze?

Yzzi przytaknęła.

- Powtórz, że jeśli Siyee sprzymierzą się z heretyckimi cyrklianami, zyskają o wiele potężniejszego wroga. Teraz, kiedy wiem, że ona tu jest, nie zostanę.

- Nie chcesz się spotkać z Mówcami?

- Nie, póki ona tu jest.

- Przecież dotarłaś tak daleko... Na pewno nie było ci łatwo.

Genza skrzywiła się.

- Nie. - Westchnęła i spojrzała z nadzieją na Yzzi. - Nie znasz przypadkiem łatwej drogi z powrotem na wybrzeże?

Yzzi rozpromieniła się.

- Nie byłam nigdy tak daleko, ale pomogę ci, jak potrafię. Genza uśmiechnęła się z wdzięcznością...

- Dziękuję ci, Yzzi. Mam nadzieję, że pewnego dnia spotkamy się znowu i będę mogła ci się zrewanżować.

Gdy Danjin wszedł do pokojów Aurai, usłyszał radosny pisk.

- Daaaa-nin!

Natychmiast się uchylił i spojrzał w górę. Sufit był pusty. Rozejrzał się, szukając właściciela tego głosu. Szara smuga przemknęła przez pokój i skoczyła mu na ręce.

- Witaj, Figlu - odpowiedział.

Veez wpatrywał się w niego z zachwytem. Całkiem polubił Danjina, gdyż ostatnio jego jedynym towarzystwem byli doradca, służba i z rzadka Mairae z Gwiezdnym Pyłem. W dodatku za bardzo

zabawne uznał spadanie Danjinowi z sufitu na głowę, co było tylko trochę mniej denerwujące niż widok z okna.

Danjin podrapał veeza po łepku i przemawiał do niego przez chwilę. Wkrótce jednak powrócił myślą do odkryć, jakich dokonał w ostatnich dniach. Odwiedził przyjaciół i znajomych w całym mieście, w bogatych i ubogich dzielnicach. To, co usłyszał, potwierdziło jego najgorsze obawy: pentadrianie z południowego kontynentu gromadzili armię.

Szkolenie wojskowe było elementem ich kultu, miał więc nadzieję, że brat i ojciec wyciągnęli z zakupów broni błędne wnioski. Jednakże zarówno były żeglarz, z którym Danjin zaprzyjaźnił się w pierwszych latach wypraw, jak i ambasador Dunwayu opowiadali o intensywnej rekrutacji żołnierzy i kowali na terenach Murru, Avvenu i Dekkaru, krajów na południowym kontynencie.

Figiel zaczął się kręcić na rękach Danjina, najwyraźniej niezadowolony z niedostatecznie poświęcanej sobie uwagi. Przeskoczył na krzesło i patrzył, jak Danjin zaczyna krążyć po pokoju; mała, szpiczasta główka veeza przesuwała się tam i z powrotem.

Czy to Imania Północna jest celem pentadrian? Oczywiście. Inne masywy lądowe leżały na północnym wschodzie i wschodzie, ale tak daleko, że uznawano je niemal za legendy. Jeśli pentadrianie chcieli podbić jakiś inny kraj, najbliżej znajdował się kontynent na północy.

: *Co się stało, Danjinie?*

Głośno odetchnął z ulgą.

: *Auraya! Nareszcie!*

: *Miło, że za mną tęskniłeś, ale widzę, że nie to cię niepokoi. O co chodzi z tymi pentadrianami zdobywającymi Ithanię?*

Szybko przekazał jej, czego się dowiedział.

: *Rozumiem. Więc tak mówią ludzie... Nie sądzę, by groźbę wojny dało się jeszcze długo utrzymać w tajemnicy.*

: *Wiedziałaś to wszystko?*

: *Tak i nie. Dopiero niedawno zaczęliśmy dostawać wiarygodne raporty o tym, co dzieje się na południu. To obserwacje ludzi, którzy*

bardzo pilnują, by nie dać się zauważyć. Informacje, do których dotarłeś - zakup materiałów i zmiana sytuacji militarnej - to dla mnie nowość. Opowiedz Juranowi, czego się dowiedziałeś. To mu pomoże zobaczyć sprawy w szerszej perspektywie.

: *Tak zrobię. Jak ci idzie praca w Si?*

: *To fascynujące miejsce. Nie mogę się doczekać, żeby ci wszystko opowiedzieć. Ci ludzie są tak łagodni z natury... Spodziewałam się jakichś konfliktów wewnętrznych, czegoś w rodzaju dawnych sporów między klanami Dunwayczyków. A tutaj mamy tylko delikatne współzawodnictwo, które wyraża się w zawodach lotniczych. Zachęcają do małżeństw mężczyzn i kobiety z różnych klanów, a pobierają się w młodym wieku, co skłania młodzież do szybszego dojrzewania. Miałeś jakiś kontakt z Leiardem?*

Danjin zamrugał, zdziwiony tą nagłą zmianą tematu.

: *Nie. Żadnego, od twojego odlotu.*

: *A mógłbyś... mógłbyś go odwiedzić? Żeby wiedział, że tak całkiem o nim nie zapomniałam.*

: *Wybiorę się tam jutro.*

: *Dziękuję. A jak... Aha, idzie Mówca Sirri. Niedługo odezwę się znowu.*

Wrażenie jej obecności rozwiało się, by nagle powrócić.

: *I podrap Figla specjalnie ode mnie.*

: *Tak zrobię.*

Wtedy zniknęła. Danjin podszedł do krzesła, przykucnął i podrapał veeza za uchem.

- Masz, to od twojej pani.

Figiel zamknął oczka. Jego trójkątny pyszczek wyrażał rozkosz.

Danjin westchnął. Gdybym to ja tak łatwo dawał się pocieszyć... Auraya wie o pentadriańskiej armii, ale sytuacja nie staje się przez to mniej przerażająca. Mam tylko nadzieję, że Biali robią wszystko, co możliwe, by zapobiec wojnie - albo przynajmniej ją wygrać, gdyby była nieunikniona.

- Przepraszam cię, Figiel - zwrócił się do veeza. - Zostawię cię teraz. Muszę powiedzieć Juranowi, co wiem.

Raz jeszcze podrapał veeza za uchem i wyszedł.

Kiedy odeszła Mówca Sirri, Auraya powoli okrążyła altanę, którą Siyee dla niej zbudowali. Była to cudowna konstrukcja, pełna prostoty, a równocześnie piękna. Przygotowali ją dwa razy większą niż normalnie, dopasowując rozmiar do ziemiochodzącego imieniem Gremmer, który dostarczył im propozycję sojuszu.

Miała kształt kopuły, zbudowanej z długich, giętkich wsporników, jednym końcem zakopanych w ziemi, drugim umocowanych do pnia gigantycznego drzewa. Między nimi rozciągnięto cienką błonę - Auraya nie wiedziała, czy była zwierzęcego, czy roślinnego pochodzenia. W dzień przenikało przez nią światło, wypełniając wnętrze ciepłym blaskiem. Błony rozciągnięto także pomiędzy zewnętrzną ramą i masztem wbitym koło pnia; w ten sposób podzielono altanę na trzy komory.

Auraya lekko pogładziła palcami ściany i ich giętkie wsporniki, a potem odwróciła się i przyjrzała prostym meblom.

Krzesła zrobione były z drewnianych ram i naciągniętej na nie tkaniny. Na podłodze leżał kamienny blok z zagłębieniem pośrodku, przeznaczony do gotowania. W większości rodzin Siyee był ktoś z dostatecznymi zdolnościami magicznymi, by opanować Dar podgrzewania kamienia. Łóżko w drugim pomieszczeniu składało się z płachty materiału rozciągniętej między mocnym, wbitym w podłogę wspornikiem a pętlą wokół pnia. Koce, utkane z delikatnej sierści małych zwierząt domowych, były cudownie miękkie. Przyzywały ją teraz. Było późno... Jutro czekało ją nowe wyzwanie - miała przemówić do Siyee podczas ich Zgromadzenia.

Zdjęła białą cyrklę i włożyła prostą tunikę, która służyła jej do spania. Odkąd opuściła Jarime, nie zadawała sobie trudu, by ułożyć włosy zgodnie z wyrafinowaną hanijską modą, gdyż całą ciężką pracę szybko marnowały podmuchy w czasie lotu. Splatała włosy w pojedynczy warkocz, który teraz rozplotła.

Udało jej się bez większych kłopotów wejść do łóżka, będącego właściwie hamakiem. Ułożyła się wygodnie na poduszkach, otuliła kocem i pozwoliła myślom błądzić bez celu. Czas mijał, ale sen nie

nadchodził. Wiadomości Danjina tylko pogłębiły niepokój, dręczący ją od wcześniejszego połączenia z Juranem. Codziennie rosło w niej przekonanie, że Ithania Północna stanęła wobec groźby wojny z pentadrianami. Juran ściągnął z Somreyu Mairae, gdyż obawiał się, że jest tam narażona na atak czarnych czarowników.

A ja tutaj próbuję przekonać Siyee, żeby się z nami sprzymierzyli. Jeśli to zrobią i wybuchnie wojna, będą musieli wraz z nami stanąć do walki. Nie są przecież silni ani wytrzymali. Jak mogę ich prosić, by walczyli, kiedy na pewno niektórzy wtedy zginą?

Westchnęła i przesunęła się nieco. Byłoby nieuczciwe, gdyby ukrywała przed Siyee zagrożenie wojną, dopóki nie podejmą decyzji. Ale jeśli im powie, może ich zniechęcić do sojuszu z Białymi. Będzie musiała ich przekonać, że odrzucenie przymierza i unikanie udziału w wojnie nie uratuje ich przed pentadrianami. Jeżeli toreńscy osadnicy stanowią dla nich zagrożenie, to tym bardziej będzie nim armia obcych najeźdźców.

Siyee mogą uznać, że zaryzykują. W końcu pentadrianie wcale nie muszą zaatakować Ithanii Północnej. Ona sama jednak nie mogła zakładać, że wojny nie będzie i że nie musi ostrzegać przed nią Siyee. Gdyby się dowiedzieli, że ukryła przed nimi zagrożenie, na pewno mieliby jej to za złe.

Wydawało się, że pentadrianie celowo rozpowszechniają pogłoski o planowanej wojnie, by zniechęcić wszystkich do sojuszów z Białymi. Nie, pomyślała. To zbyt przewrotne, by było prawdą. Pentadrianie nie odwiedzali nawet Si. Nic nie sugerowało, że chcą, by Siyee - którzy czczą Huan - zostali ich sprzymierzeńcami.

Znów się przewróciła; hamak się zakołysał.

W końcu będę musiała powiedzieć Siyee o możliwości wojny, myślała. Jeśli wybiorę odpowiedni moment, może uda mi się ich jednak przekonać, że przymierze jest korzystne. W końcu nie możemy przegrać, mając po swojej stronie bogów.

Z tą myślą zapadła wreszcie w sen.

: *Aurayo.*

Głos był szeptem w jej umyśle.

: *Aurayo.*

Tym razem zabrzmiał mocniej. Ocknęła się z trudem i zamrugała w ciemności. Pokój był pusty, a kiedy poszukała umysłów w pobliżu, nie znalazła żadnego. Czyżby to było wezwanie myślowe?

Nie, uznała; sprawiało wrażenie snu. Pewnie mi się przyśniło, że ktoś mnie woła.

Zamknęła oczy. Czas płynął powoli i zapomniała o tamtym śnie.

: *Aurayo.*

Poczuła, jak wznosi się ku świadomości, jakby wynurzała się z wody. Świadomość cudzego umysłu rozwiała się. Auraya otworzyła oczy, ale nie próbowała nawet szukać wołającego. Był ograniczony do snu.

On? Serce jej zamarło. Któż jeszcze wołałby ją we śnie, jeśli nie Leiard?

I nagle usiadła całkiem przytomna i wzburzona. Powinnam odpowiedzieć? Jeśli odpowiem, czy nawiążę połączenie snu? Połączenie snu jest przestępstwem.

Tak samo jak korzystanie z usług tkaczy snów. To bezsensowne prawo. Chcę się dowiedzieć, na czym polega połączenie snu. Czy jest lepszy sposób, niż w nim uczestniczyć?

Ale jeśli dokonam połączenia snu, złamię prawo. On również.

Przecież nie jestem bezbronną ofiarą. W każdej chwili mogę go zmusić, żeby przerwał.

Mogę?

Długo leżała przytomna. Jakaś jej część chciała porozmawiać z Leiardem, ale inna się wahała. Zresztą, nawet gdyby się zdecydowała, to przecież najpierw musiała zasnąć. Wątpiła, czy przyjdzie jej to z łatwością.

Po pewnym czasie znowu usłyszała swoje imię i natychmiast zrozumiała, że jednak zasnęła i że musi porozmawiać z Leiardem.

: *Leiard!* spróbowała.

Wrażenie osobowości wzmocniło się, ogarniając ją niby gęsty, słodki dym. To był Leiard... a jednocześnie nie Leiard. To był

człowiek, którego odkryła ostatniej nocy w Jarime. Ciepły, namiętny i męski, ukryty pod pełną godności powierzchownością tkacza snów.

: *W tym stanie nie mogę być nikim prócz samego siebie,* powiedział.

: *Domyślam się, że ja też nie,* odparła.

: *Nie. Tutaj możesz ukazać prawdę albo ją ukryć, ale nie skłamać.*

: *Więc to jest połączenie snu?*

: *Tak. Wybaczysz mi je? Chciałem tylko w jakiś sposób być z tobą.*

: *Wybaczam ci. A czy ty też mi wybaczysz?*

: *Co takiego?*

: *Tę noc, kiedy...*

Wspomnienia rozbłysły jej w umyśle, jeszcze wyraźniejsze niż na jawie. Nie tylko zobaczyła ich ciała razem, ale poczuła dotyk skóry na skórze. U Leiarda wyczuła rozbawienie i tęsknotę.

: *Co tu jest do wybaczania?*

Uderzyły kolejne, inne już wspomnienia. To, co odkryły, było zaskakujące. Doświadczenie przyjemności z jego punktu widzenia...

: *Oboje tego chcieliśmy. Myślę, że to było oczywiste,* powiedział.

: *Co się dzieje?* spytała. *Te wspomnienia są tak żywe...*

: *W stanie snu zawsze takie są.*

: *Mogę dotykać, smakować...*

: *Sny są potężne. Mogą przynieść pocieszenie w rozpaczy, pewność słabym...*

: *Sprawiedliwość złoczyńcom?*

: *Kiedyś tak, miały i taką rolę. Już nie. Ale połączenia snu nadal pozwalają ukochanym na spotkanie, gdy są daleko. To dostępna tkaczom snów alternatywa dla kapłańskich pierścieni.*

: *Dałabym ci pierścień, ale nie sądziłam, że go przyjmiesz.*

: *Czy ty przyjmujesz ten sen? Łamiemy prawo.*

Milczała przez chwilę.

: *Tak,* powiedziała wreszcie. *Musimy porozmawiać. To, co zrobiliśmy - choć cudowne - będzie miało swoje konsekwencje.*

: *Wiem.*

: *Nie powinnam była cię zapraszać.*

: *Nie powinienem był przyjmować zaproszenia.*

: *Co nie znaczy, że żałuję.*

: *Ani ja.*

: *Ale jeśli ludzie się dowiedzą... Nie chciałabym sprowadzić na ciebie nieszczęścia. Ani na twój lud.*

: *Ja też nie.*

Z wahaniem zmusiła się do powiedzenia tego, co powiedzieć powinna.

: *Nie zrobimy tego więcej.*

: *Nie.*

Zamilkli oboje.

: *Miałeś rację,* stwierdziła. *W tym miejscu nie można kłamać.*

Uniósł rękę i dotknął jej twarzy.

: *Ale możemy być sobą.*

Zadrżała od jego dotyku. Budził wspomnienia.

: *Chciałabym, żebyś tu był.*

: *Ja też bym chciał. I jestem, przynajmniej w pewnej formie. Wspomnienia, jak już mówiłem, w stanie snu są bardziej żywe. Czy chciałabyś znowu jakieś przeżyć?*

Uśmiechnęła się.

: *Tylko kilka.*

22

Słońce było jasną kulą, której ostry blask łagodziła mgła spowijająca miasto. Niewielu ludzi było na ulicach, a ci nieliczni zwalniali, przechodząc obok Leiarda. Na pewno interesowało ich, co robi tkacz snów, włócząc się po nabrzeżu w taki ranek.

Myślał. Wspominał sny o wspomnieniach... i miał wyrzuty sumienia.

Już wiele dni temu postanowił, że nie będzie próbował sięgać do niej w snach, ale ostatniej nocy własna podświadomość podjęła inną decyzję. Zanim się zorientował, co robi, było już za późno - Auraya odpowiedziała.

Nawet wtedy powinien mieć dość silnej woli, by przestać, ale Auraya weszła w połączenie snu tak naturalnie i całkowicie... Nie można było jej odepchnąć, a rozkosze tej nocy były czymś, czemu nie potrafił się oprzeć.

Niezłą ma wyobraźnię, trzeba przyznać, wymruczał głos w jego umyśle. *Szkoda, że jest narzędziem bogów.*

Leiard zmarszczył brwi.

Jest czymś więcej niż tylko narzędziem.

Tak? A myślisz, że gdyby bogowie kazali jej cię zabić, toby odmówiła?

Tak.

Jesteś głupcem.

Leiard zatrzymał się i spojrzał ponad wodą. Statki kołysały się na falach jak widma wśród mgły.

Jestem głupcem, zgodził się.

Trochę to trwało.

Leiard postanowił to zignorować.

Nie powinienem był tego robić. Złamaliśmy prawo.

Głupie prawo.

Ale jednak prawo, którego złamanie karze się śmiercią.

Wątpię, czy zostanie ukarana. A co do ciebie... Znowu byłeś

sprytny i dopilnowałeś, żeby to była jej decyzja. Jeśli w ogóle ma sumienie, to tylko siebie będzie winić za to, że zachęciła cię do złamania prawa.

To nie była jej wina.

Nie? Czyli uważasz się za tak czarującego, że ona straciła wszelką wolę i nie mogła ci się oprzeć?

Och, cicho bądź!

Leiard zmarszczył czoło i skrzyżował ręce na piersi. To przecież śmieszne: kłócił się ze wspomnieniem Mirara. Co zresztą zdarzało się ostatnio częściej... Nie próbował połączenia z Jayimem, gdyż bał się, że chłopak dowie się o nocy z Aurayą; ale Arleej mówiła, że łącza są konieczne, jeśli chce odzyskać poczucie własnej tożsamości. Czy to dlatego osobowość Mirara stała się tak... tak...

Opiekuńcza? Bo wiem, że jak tylko ona wróci, planujecie wymknąć się do jakiegoś sekretnego miejsca w mieście i zaspokajać swoje żądze. Bo jesteś tkaczem snów i kiedy ta sprawa zostanie wykryta, cenę zapłaci mój lud.

Nic nie odkryją, bronił się Leiard. Nie, jeśli inni Biali nie będą mieli okazji odczytać moich myśli. Będę musiał zrezygnować ze stanowiska doradcy.

To tylko wzbudzi ich podejrzenia. Będą chcieli z tobą porozmawiać. Zapytać dlaczego.

Wyślę im wiadomość. Powiem, że potrzebuję więcej czasu na naukę Jayima.

Bardzo wiarygodna historyjka.

Przecież nawet o mnie nie pomyślą. Jestem tylko zwykłym tkaczem snów. Pewnie się ucieszą, że się mnie pozbyli. Oni...

- Leiard?

Głos zabrzmiał całkiem blisko. Leiard zamrugał i uświadomił sobie, że stoi na końcu pomostu. Odwrócił się i zobaczył za sobą Jayima.

- Jayim? - zdziwił się. - Co ty tutaj robisz? Chłopiec zmarszczył czoło.

- Szukam cię. - Rozejrzał się. - Z kim rozmawiałeś? Leiard

wytrzeszczył oczy na ucznia. Rozmawiał? Przełknął ślinę i zauważył, że istotnie coś go trochę drapie w gardle, jakby mówił głośno i przez dłuższy czas.

- Z nikim - odpowiedział w nadziei, że nie wygląda na tak zaniepokojonego, jak się czuje. - Recytowałem głośno formuły.

Jayim kiwnął głową, przyjmując to wyjaśnienie.

- Będziemy dzisiaj mieli jakieś lekcje?

Leiard spojrzał na statki. Mgła się przerzedziła i unosiła kłębami w górę. Nie miał pojęcia, jak długo stał w tym miejscu. Parę godzin, sądząc z pozycji słońca.

- Tak. Myślę, że znowu o lekach. Nie można się o nich nauczyć zbyt wiele.

- Żadnych połączeń? - Jayim skrzywił się. Leiard pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

Uparte łomotanie wyrwało opierającą się Emerahl z głębin snu. Osiągnąwszy stan otępiałej świadomości, rozpoznała ten głos jako dźwięk wydawany przez pięść stykającą się z drzwiami. Otworzyła oczy i wymruczała przekleństwo. Jedną z zalet nocnej pracy i sypiania do późna było to, że przestał ją nawiedzać sen o wieży. Ale od czasu do czasu gospodarz przychodził wcześnie po czynsz.

- Słyszę, słyszę! - zawołałaś - Już idę!

Z trudem stanęła na nogach i natychmiast poczuła, jak opadają lepkie więzy snu. Zamrugała, potem tarła oczy tak długo, aż przestały się zamykać. Kilka razy ziewnęła, narzuciła na siebie brudny, stary taul i podeszła do drzwi.

Gdy tylko szczęknął rygiel, drzwi otworzyły się gwałtownie do wnętrza. Emerahl zatoczyła się do tyłu, szybko ściągając do siebie magię, by uformować niewidzialną tarczę. Intruzem okazała się potężna kobieta w średnim wieku, ubrana w kosztowną suknię. Za nią stali dwaj mężczyźni o szerokich barach, najwyraźniej wynajęta ochrona.

Ale u nieznajomej i ochroniarzy nie wyczuła złych zamiarów - raczej ciekawość i arogancję, typową dla bogatych i silnych.

Emerahl przyjrzała się kobiecie.

- Kim jesteś? - zapytała.

Tamta zignorowała pytanie. Z niesmakiem rozejrzała się po pokoju, a potem obrzuciła Emerahl badawczym wzrokiem.

- Więc ty jesteś tą dziwką, którą odkrył Panilo. - Ściągnęła wargi. - Zdejmij taul.

Emerahl nie poruszyła się. Spokojnie patrzyła kobiecie w oczy.

- Kim jesteś? - powtórzyła.

Obca skrzyżowała ręce i wypięła obfite łono.

- Jestem Rozea Peporan.

Najwyraźniej spodziewała się, że Emerahl rozpozna nazwisko. Po krótkiej chwili zmarszczyła brwi, opuściła ręce i wsparła je na biodrach.

- Jestem właścicielką najdroższego zamtuzu w Porinie. Zamtuz? W Torenie możliwości same pukają do drzwi...

A raczej się dobijają.

- Doprawdy? - spytała Emerahl.

- Tak.

Czarownica uniosła dłoń do ust.

- Panilo to ten kupiec, który kupował moje usługi przez ostatnie kilka nocy?

- Zgadza się. To nasz stały klient. A przynajmniej był nim do niedawna. Ma dobre oko, więc zawsze jestem podejrzliwa, kiedy szpiedzy mi doniosą, że odwiedza Główną.

- Czyli chcesz mi teraz powiedzieć, żebym się wyniosła? Rozea uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały zimne.

- To zależy. Zdejmij taul. I halkę.

Emerahl zsunęła z ramion okrycie i rzuciła je na łóżko. Potem wyprostowała ramiona i obróciła się wkoło, demonstrując swe nagie ciało. Nie musiała wytężać zmysłów, by wyczuć zainteresowanie ochroniarzy. Kobieta przyglądała się jej chłodno i z wyrachowaniem. Emerahl potrząsnęła głową.

- Chuda jesteś - stwierdziła Rozea. - Ale masz niezłe kości. Z dobrymi kośćmi zawsze można coś osiągnąć. Żadnych blizn... Jaki jest twój naturalny kolor włosów?

- Rudy.

- Więc czemu je farbujesz?

- Żeby były bardziej rude. Żebym się wyróżniała.

- Wygląda tanio. Moja firma nie jest tania. Moje dziewczęta mogą usunąć kolor i przefarbować cię na naturalny odcień. Czy ktoś z twoich klientów chorował?

- Nie. - A ty? - Nie.

- Dobrze. Ubierz się.

Emerahl podeszła do krzesła, na którym powiesiła swoją zieloną tunikę, wczoraj wypraną i wysuszoną.

- A dlaczego sądzisz, że zechcę pracować w twoim zamtuzie? - spytała, wkładając ją.

- Bezpieczeństwo. Czysty pokój. Lepsi klienci. Lepsze pieniądze.

- Mam Dary. Potrafię się bronić - oświadczyła. Spojrzała na Rozeę z ukosa. - O jakich pieniądzach tu mówimy?

Rozea zaśmiała się.

- Na początku będziesz zarabiać nie więcej niż pięćdziesiąt renów.

Emerahl wzruszyła ramionami.

- Panilo tyle mi płaci już teraz. Chcę sto.

- Sześćdziesiąt, nowe suknie i trochę biżuterii.

- Osiemdziesiąt.

- Sześćdziesiąt - powtórzyła stanowczo Rozea. - Nie więcej.

Emerahl usiadła na brzegu łóżka i udała, że się zastanawia.

- Żadnych brutalnych klientów. Słyszałam, że tacy jak ty pozwalają mężczyznom zachowywać się wobec dziewcząt paskudnie, jeśli tylko dobrze zapłacą. Ale to nie ze mną. Mam Dary. Jeśli spróbują czegoś takiego, zabiję ich.

Kobieta zmrużyła oczy, po czym westchnęła.

- Dobrze, żadnych brutalnych typów. Dogadałyśmy się?

- I żadnych chorych. Pieniądze nie są warte choroby. Rozea uśmiechnęła się.

- Bardzo się staram, żeby moje dziewczęta były bezpieczne - oświadczyła z dumą. - Klientów zachęcamy do kąpieli, co daje nam

możliwość, żeby się im przyjrzeć. Żaden klient, o którego chorobie wiemy, nie jest wpuszczany do przybytku. Wszystkie dziewczęta dostają oczyszczające zioła. Jeśli jesteś dostatecznie Obdarzona, są też inne metody, których możesz się nauczyć. - Spojrzała na Emerahl wyniośle. - Musimy dbać o naszą reputację najczystszego zamtuzu w Porinie.

Na Emerahl zrobiło to wrażenie. Kiwnęła głową.

- Brzmi rozsądnie. Mogę spróbować.

- W takim razie zabierz swoje rzeczy. Platten czeka na dole.

Emerahl rozejrzała się. Pamiętała, że sakiewkę ma w kieszeni tuniki, a morski dzwonek jest wszyty w rękaw. Wstała więc i ruszyła do drzwi. Rozea zerknęła na porzucony taul i halkę, po czym uśmiechnęła się i poprowadziła ją na zewnątrz.

- Informujemy naszych klientów, że dziewczęta pochodzą z dobrych rodzin, które popadły w kłopoty - tłumaczyła, kiedy schodziły po schodach. - Masz staroświecką wymowę, która pasuje do tej historii. Nauczysz się manier właściwych dla wyższych sfer. Jeśli okażesz się pilną studentką, nauczymy cię też jednego czy dwóch języków.

Emerahl uśmiechnęła się krzywo.

- Przekonasz się, że szybko się uczę.

- To dobrze. Umiesz czytać?

- Trochę.

Miała nadzieję, że mówi prawdę. Jeśli język zmienił się w ciągu stulecia, to jak bardzo zmieniło się pismo?

- A pisać?

- Trochę.

- Śpiewać?

- Tak dobrze, żeby płoszyć ptaki z pola. Rozea zaśmiała się cicho.

- Czyli bez śpiewów. Co z tańcem? - Nic.

To zapewne prawda. Minęło bardzo dużo czasu.

- Jak ci na imię?

- Emmea.

- Już nie. Twoje nowe imię to Nefryt.

- Nefryt... - Emerahl wzruszyła ramionami. - To z powodu oczu, tak?

- Oczywiście. W tej chwili to twoja najlepsza cecha. Moje dziewczęta nauczą cię, jak podkreślać swoje zalety, a ukrywać wady, odpowiednio dobierając stroje, korygując posturę, a w ostateczności stosując farbę.

Na parterze Rozea pchnęła drzwi. W zaułku czekał platten. Dwaj ochroniarze wcisnęli się na ławeczkę obok woźnicy. Rozea skinęła na Emerahl, by ta usiadła z nią wewnątrz.

Wsiadając, Emerahl rozejrzała się szybko. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć kilku śpiących żebraków. Nikt nie będzie świadkiem jej „zniknięcia" - nawet gospodarz domu, co uznała za miłą okoliczność.

Na komendę woźnicy, arem pociągnął platten za sobą, uwożąc Emerahl ku nowej przyszłości. Zamtuz, myślała. Czy kapłani mają większą szansę czy mniejszą, żeby mnie tam znaleźć? Pewnie ani jedno, ani drugie. Mogła przynajmniej liczyć na wygodniejsze mieszkanie. A może i większe dochody.

23

Wieczorny firmament był czarnoniebieski. Gwiazdy mrugały i migotały, ale przyczyna ich zmienności stawała się widoczna dopiero wtedy, kiedy ktoś spojrzał ku zachodowi. Setki skrzydlatych sylwetek rysowały się na tle nieba, rozjaśnionego jeszcze zachodzącym słońcem.

Te sylwetki spływały ku Przestrzeni, lądując na Płasku - poziomym obszarze pośrodku skalistego zbocza. Ogniska rozpalone w wielkim kręgu oświetlały twarze zgromadzonych Siyee.

Wiele z nich Auraya rozpoznała. Rozmawiała z Siyee w różnym wieku, o różnej pozycji i pochodzeniu. Niedaleko niej stał traper z klanu Wężowej Rzeki, który opisał jej, jak toreńscy osadnicy wyparli jego lud z żyznych dolin. Trochę dalej zajęła miejsce stara matrona z klanu Ognistej Góry, która pokazała Aurai kuźnie, gdzie jej pobratymcy wytwarzali groty strzał i miecze, korzystając z obfitych złóż żelaza w Si. Właśnie lądowali trzej młodzi ludzie z klanu Świątynnej Góry, którzy zwrócili się do niej z pytaniem, czego muszą się nauczyć, by zostać kapłanami.

- Za mojego życia nie było jeszcze tak licznego Zgromadzenia - rzucił niegłośno Mówca Dryss. - A uczestniczyłem we wszystkich.

Auraya spojrzała na niego.

- Mówca Sirri wyjaśniła mi, że tylko Mówcy albo ci wybrani jako ich przedstawiciele muszą brać udział w Zgromadzeniu.

Nie dziwię się jednak, że zjawiło się więcej chętnych. Dzisiejsza decyzja może zmienić wasze życie. Gdyby to mnie dotyczyło, chciałabym być tutaj i wysłuchać tego postanowienia.

- To prawda. Ale jestem pewien, że niemało ich przybyło w nadziei, że choć przez chwilę zobaczą Wybrankę Bogów - odpowiedział ze śmiechem.

Uśmiechnęła się także.

- Wasz lud jest bardzo serdeczny, Mówco Dryss. Przyznam, że niemal się zakochałam w tym miejscu. I żałuję, że będę musiała je

opuścić.

Uniósł brwi.

- Nie tęsknisz za wygodami swego domu?

- Trochę. Najbardziej brakuje mi gorących kąpieli. I przyjaciół.

Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale w tej właśnie chwili Sirri zwróciła się do szeregu Mówców.

- Chyba już pora. Jeśli będziemy czekać na spóźnialskich, noc minie, nim zaczniemy.

Pozostali kiwnęli głowami. Gdy Sirri wstąpiła na Skałę Mówców, Siyee w dole przestali rozmawiać i spojrzeli na nią wyczekująco.

Uniosła ręce.

- Ludu gór. Klany Siyee. My, Mówcy, wezwaliśmy was tu dzisiaj, byście wysłuchali słów Aurai z Białych, jednej z Wybranych Bogów. Jak wiecie, przybyła do nas, by rozmawiać o przymierzu między Siyee i cyrklianami. Dzisiaj dowiemy się, co ma nam do powiedzenia i co my o tym myślimy. Za siedem dni zgromadzimy się znowu, by podjąć ostateczną decyzję.

Sirri odwróciła się i spojrzała zachęcająco na Aurayę. Ta stanęła obok Mówcy i przyjrzała się zebranym w dole Siyee. Od swego przybycia nie musiała czytać im w myślach, by odkryć wątpliwości i nadzieje. Mówili o nich całkiem otwarcie.

Teraz prześliznęła się po umysłach.

Wahali się; byli pewni, że czeka ich kara, niezależnie od tego, czy zgodzą się na przymierze, czy nie. Byli ludem spokojnym, który rzadko uciekał się do przemocy. Byli też dumni. Co prawda nie chcieli ruszać na wojnę, gdzie zapewne niektórzy zginą, ale gdyby do tego doszło, pragnęli dać się poznać jako żołnierze wartościowi i skuteczni. I do tej dumy powinna się teraz odwołać.

- Ludu Si! Stworzeni przez Huan! Przybyłam do waszej krainy na wasze zaproszenie, by opowiedzieć wam o swoich rodakach i zbadać możliwość przymierza między nami. Wiele się o was nauczyłam; zaczęłam podziwiać waszą wytrwałość i wasz spokój. Nie jestem już bezstronna. Bardzo mi zależy, by nasz i wasz lud się połączyły.

Jestem wzburzona tym, że ziemiochodzący zabijają Siyee. Widzę też, że współpraca może wzbogacić wasze i nasze życie na wiele sposobów, choćby poprzez handel i wymianę wiedzy. Myślę również, samolubnie, że taki sojusz byłby wspaniałym pretekstem, by zaniedbywać moje obowiązki Białej i odwiedzać Si częściej, niż to konieczne.

Te słowa na wielu twarzach wywołały uśmiechy. Przerwała na chwilę i spoważniała.

- Sojusz wymaga zgody w kilku kwestiach, a pierwszą, którą omówię, jest wojna. Jeśli my, Biali, zgodzimy się ochraniać wasze ziemie, możemy bez rozlewu krwi przerwać napływ osadników. Po prostu zażądamy od króla Torenu, by podjął właściwe działania i ich powstrzymał. W zamian za tę pomoc prosimy o obietnicę, że i wy nam pomożecie, gdyby najeźdźcy zagrozili nam albo naszym sprzymierzeńcom.

Zauważyła posępne miny i kiwnęła głową.

- Wiem. Nie wierzycie, że możecie pomóc w wojnie. Ale przecież żądać od Siyee, by zmierzyli się z ziemiochodzącymi twarzą w twarz, byłoby równie śmieszne co wymagać tego ode mnie. Moja siła leży w magii. Wasza w locie. Zdolność latania czyni was skutecznymi zwiadowcami. Możecie informować o pozycjach i ruchach wrogich żołnierzy, ostrzegać o zasadzkach i pułapkach. Możecie przenosić i dostarczać niewielkie i cenne przedmioty: leki i bandaże dla rannych, wiadomości dla oddziałów pozbawionych kapłana, który by przekazywał im rozkazy.

Nastrój prawie wszystkich Siyee był teraz taki sam. Dobrze przyjęli jej słowa - niektórzy z entuzjazmem, inni ostrożnie przyznając, że ma rację. Z zadowoleniem pokiwała głową.

- Trudno mi prosić was o coś, co może pewnego dnia sprowadzić śmierć i zgryzotę. Tak samo trudno byłoby mi, gdyby do tego doszło, prosić synów i ojców mojego ludu, by walczyli w naszej obronie. Mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę dnia, który zmusi nas do tak strasznych wyborów.

Przeszła do mniej groźnych kwestii.

- Pewnie się zastanawiacie, jakie korzyści przyniesie wam ten sojusz w czasie pokoju. Możemy wam zaoferować handel, wiedzę i dostęp do stanu kapłańskiego. Wielu z was nie wierzyło, że macie cokolwiek wartościowego, co nadaje się na sprzedaż. To nieprawda. Wytwarzacie niezwykłe przedmioty o wielkiej wartości praktycznej i artystycznej. Posiadacie złoża minerałów, które można wydobywać. Macie rzadkie rośliny o właściwościach leczniczych. Nawet te miękkie koce w altanie, którą dla mnie zbudowaliście, w Jarime uzyskałyby wysokie ceny. To jedynie towary, które zauważyłam w ciągu kilku krótkich tygodni pobytu tutaj. Doświadczony kupiec zobaczy o wiele więcej.

Odetchnęła.

- Są też korzyści płynące z wymiany kultury i wiedzy. Wiele możemy się od siebie nauczyć. Wasze metody rządzenia i rozstrzygania sporów są wyjątkowe. Kapłani cyrkliańscy dają wykształcenie i praktykę w uzdrawianiu i magii. W zamian prosimy tylko, byście podzielili się z nami swoją wiedzą, co pozwoli nam lepiej pomagać naszym rodakom.

Przerwała znowu. Jej wzrok przesunął się po setkach twarzy.

- Mam nadzieję, że nasze krainy mogą się zjednoczyć, przyrzekając sobie przyjaźń, szacunek i wzajemną pomoc. Dziękuję, że zechcieliście mnie wysłuchać, ludu Si.

Cofnęła się znad krawędzi występu i zerknęła na Sirri. Mówca z uśmiechem kiwnęła głową, po czym znowu uniosła ręce.

- Mówcy naradzą się teraz ze swoimi klanami.

Auraya zobaczyła, że szereg się rozbiega, Mówcy kolejno wzlatują z krawędzi i szybują do swoich. Została sama. Usiadła i patrzyła, jak tłum dzieli się na klany.

Raz jeszcze pozwoliła sobie dotknąć umysłów Siyee, posłuchać, jak spierają się i debatują. Choć poruszyły ich jej słowa, zachowali naturalną ostrożność.

Zmiany, o których mówiła, podekscytowały ich, ale także wzbudziły lęk.

Powinni się głęboko zastanowić. Mało prawdopodobne, by ich

świat pozostał taki sam, nawet jeśli wojna nie wybuchnie. Ziemiochodzący przyjdą tu i zostawią po sobie idee - dobre i złe. Będą chcieli poprowadzić w głąb Si drogę, żeby ułatwić podróże. Siyee muszą być ostrożni - może się okazać, że groźnych osadników zamienili na chciwych, pozbawionych skrupułów kupców. Zwłaszcza jeśli postanowią otworzyć więcej kopalń.

Muszę dopilnować, by tak się nie stało.

Zaskoczyła ją własna opiekuńczość. Przecież zjawiła się tutaj ledwie kilka tygodniu temu. Czy ci ludzie tak bardzo ją oczarowali?

Owszem, pomyślała. Czuję się, jakbym była wśród swoich. Ciągle zapominam, jak bardzo się od nich różnię; chciałabym niemal zmniejszyć się o połowę i mieć skrzydła...

Spojrzała ku koronom ogromnych drzew, ale pochwyciła jakiś odprysk myśli i szybko odwróciła głowę. Tam, na górze, ktoś był - chłopiec, niecierpliwie czekający na swój moment. Auraya zobaczyła dość myśli Sirri, by wiedzieć, że przywódczyni Siyee zaplanowała na Zgromadzenie niespodziankę.

Jakiś pokaz, myślała Auraya. Coś, co według niej przekona Siyee, by zgodzili się na przymierze.

Oparła się pokusie, by zajrzeć do umysłu chłopca. Skoncentrowała się na Siyee. Czas mijał. Jeden po drugim, Mówcy opuszczali swoje klany i wracali na poprzednie miejsca. Kiedy przyfrunął ostatni, Sirri znowu stanęła na występie, a Siyee się uciszyli.

Mówcy przemawiali kolejno, przekazując opinie swoich klanów. Większość popierała sojusz, ale nie wszystkie.

- Każdy klan musi się zgodzić - oświadczyła Sirri. - A tak się nie stało. Zanim ogłoszę koniec tego Zgromadzenia, proszę, byście mnie wysłuchali. Uważam, że niechęć, by otworzyć nasz kraj dla ziemiochodzących, spowodowana jest tym, że nie potrafimy z nimi walczyć. Czemu mamy ryzykować życie na wojnie, skoro nie potrafimy zranić naszych wrogów? Czemu wpuszczać na nasze ziemie ziemiochodzących, skoro nie potrafimy ich wypędzić, gdyby się okazało, że mają złe zamiary?

Auraya przyglądała się Mówcy ze zdziwieniem. Wiedziała, że Sirri chce przymierza, ale te dwie kwestie raczej zniechęcą do niego Siyee...

Sirri uniosła ręce.

- Możemy walczyć! Możemy się bronić! Jak? Zaraz wam pokażę!

Spojrzała w górę, gdzie na drzewie czekał chłopiec, a potem w stronę skraju lasu. Skinęła głową.

Ze swojej kryjówki na drzewie Tryss słyszał głosy ludzi w dole, choć nie rozróżniał słów. Zrezygnował z prób zrozumienia i poszukał w tłumie Drilli. Spostrzegł ją w końcu, stojącą z rodzicami.

Nie rozmawiał z nią od ponad tygodnia. Jej ojciec znalazł Tryssa i kazał mu trzymać się z daleka od córki. Nie wyjdzie za chłopaka z innego klanu, oświadczył, a już na pewno nie za takiego z dziwacznymi pomysłami, który po całych dniach śni na jawie. Stać ją na kogoś lepszego.

Kuzyni nie ukrywali, kto ujawnił wzajemną sympatię Drilli i Tryssa, ale mogli przecież kłamać, żeby go rozzłościć. Każdy, kto przyglądał się Drilli i Tryssowi w czasie trei - trei, musiał podejrzewać, że są sobie bliscy. W końcu łatali razem przez większą część nocy.

Popatrzył na swoją uprząż. Czy rodzice Drilli zmienią zdanie na jego temat, jeśli skończy z wynalazkami i zacznie się zachowywać jak inni chłopcy Siyee? Czy on sam zrezygnuje, jeśli będzie to jedyny sposób, by spotykać się z Drilli?

To pytanie nie dawało mu spokoju. Starał się wypchnąć je z myśli, ale wciąż powracało. Spojrzał na Drilli. Była piękna i mądra. Z pewnością zrobiłby wszystko...

Słysząc ponownie głos Mówcy Sirri, oderwał wzrok od dziewczyny. Sirri patrzyła na niego, potem na Siyee pilnującego klatek breemów. Kiwnęła głową.

To sygnał! Serce zabiło mu mocniej. Przeszukał wzrokiem teren, wypatrując ruchu... Tam!

Zanurkował. Nie myślał o tłumie patrzących, a jedynie o małym

zwierzątku, które dostrzegł na ziemi. Musiał się skupić. Uprząż była nowa i trochę sztywna, miał tylko blask ognia, by wypatrzyć zwierzęta, a breemy były szybkie.

Liście biły go po uszach. Rozłożył ramiona i wyfrunął spomiędzy gałęzi. Wciągnął strzałkę do rurki, wymierzył i dmuchnął.

Breem pisnął, gdy strzałka trafiła go w nogę. Utykając, biegł dalej, ale trucizna szybko go zabije. Tryss wypatrzył drugiego breema i skręcił za nim, a strzałka tym razem wbiła się w sam środek grzbietu zwierzaka. Ogarnęło go poczucie tryumfu; machnął skrzydłami, by nabrać wysokości, i rozejrzał się za następnymi.

Dwa wybiegły od drugiej strony Płasku. Celując w pierwszego, chybił, ale drugiego trafił. Tryss zawrócił, jeszcze raz wymierzył w pierwszego i dmuchnął, jednak zwierzę skręciło w ostatniej chwili i strzałka niegroźnie odbiła się od skały. Breem zniknął między nogami patrzących Siyee.

Rozczarowany Tryss znowu wzbił się wyżej. Zauważył, że ostatnie dwa breemy wybiegają na pustą przestrzeń, i wykonał błyskawiczny zwrot. Pikując w ich stronę, mocniej ścisnął zaczepione na kciukach paski nowego urządzenia, które dodał do swojej uprzęży. Miał tylko kilka godzin, by nauczyć się go używać, a celować z niego było o wiele trudniej.

Dwa breemy zatrzymały się na środku Przestrzeni, widząc jedynie otaczających je Siyee. Tryss wymierzył, zgiął kciuki i poczuł, że odskoczyły sprężyny. Za późno sobie uświadomił, że niechcący zwolnił obie. Małe strzałki pomknęły do przodu; jedna trafiła breema, druga przesunęła się po ziemi i wbiła w ścianę występu... .. .z którą zaraz się zderzy...

Wygiął grzbiet i poczuł, że skała muska jego biodro, gdy o włos uniknął kolizji. Ale ten manewr doprowadził do utraty wysokości i Tryss musiał wylądować gwałtownie w sposób, który - miał nadzieję - wyglądał na zaplanowany.

Siyee milczeli. Dopiero po chwili ktoś w tłumie zaczął entuzjastycznie gwizdać, jak przy pokazach akrobatycznych w czasie trei - trei. Inni się przyłączyli, a Tryss stał rozpromieniony, gdy

entuzjazm ogarnął całą Przestrzeń. Obejrzał się na Mówcę Sirri - uśmiechnęła się i z aprobatą pokiwała głową.

Potem uniosła ręce i gwizdy zamilkły.

- Ludu gór. Klany Siyee. Wierzę, że wy, podobnie jak ja, potraficie dostrzec potencjał tego, co Tryss nam dzisiaj pokazał. To, co zbudował, jest bronią. Ale nie bronią dla ziemiochodzących, jaką odrzuciliśmy już dawno. To broń specjalnie dla nas. Jest nie tylko znakomitym narzędziem myśliwskim, ale czymś, co pozwoli nam walczyć dumnie i skutecznie, czy to w obronie własnej, czy naszych sprzymierzeńców. Za późno już, byśmy dyskutowali o możliwościach tej broni i o tym, jak może ona zmienić nasz pogląd na propozycję sojuszu z Białymi. Proponuję, byśmy wrócili do tego za siedem dni, kiedy zbierzemy się znowu, by podjąć decyzję. Czy zgadzacie się na to?

Siyee krzykami wyrazili zgodę. Sirri obejrzała się na innych Mówców. Wszyscy przytakiwali.

- Tak więc się stanie. Zgromadzenie jest zakończone. Obyście bezpiecznie wrócili do domów.

Wśród Siyee wybuchły gorączkowe dyskusje. Tryss spojrzał na kapłankę, nagle ciekaw, jaka będzie jej reakcja. Ona jednak patrzyła na Sirri i w zadumie marszczyła czoło. Zaraz zresztą przestała, kiedy zagadnął ją któryś z Mówców.

Poczuł szarpnięcie za ramię, odwrócił się i zobaczył wyszczerzonego Sreila.

- To było fantastyczne! Czemu nigdy nie przyłączasz się do zespołu akrobatycznego na trei - trei?

- Ja, tego...

Ktoś go klepnął w plecy i uratował przed koniecznością udzielenia odpowiedzi.

- Ciężkie to jest? A z czego zbudowane?

I nagle otoczył go tłumek Siyee, którzy koniecznie chcieli obejrzeć uprząż. Ich pytania nie miały końca i często się powtarzały, ale zmusił się, by zostać i odpowiadać.

Tu nie chodzi o pokaz, tłumaczył sobie. Muszę ich przekonać,

żeby sami spróbowali.

Ale marzył, żeby się stąd wymknąć i odnaleźć Drilli. Kiedy tylko w tłumie wokół niego powstawała szczelina, wypatrywał jej - na próżno.

Ona i jej rodzina odeszli.

24

Niedługo po wejściu Danjina do pokojów Aurai, ktoś zastukał do drzwi. Figiel spał mu na kolanach - stracił zwykłą energię wskutek ataku częstej u veezów choroby. Danjin odłożył zwierzaka na bok i podszedł do drzwi. Ku jego zdumieniu w progu stał Rian.

- Doradco Danjinie Spearze - odezwał się Biały. - Chciałbym z tobą pomówić.

Danjin wykonał znak kręgu.

- Czy chcesz poprowadzić tę rozmowę tutaj, czy w innym miejscu, Rianie z Białych?

Rian kiwnął głową.

- Może być tutaj.

Z bliska Rian wydawał się mieć nie więcej niż dwadzieścia lat, a Danjin musiał sobie przypomnieć, że jego rzeczywisty wiek to raczej pięćdziesiąt. Niełatwo było zapomnieć, kim jest - zachowywał się jak człowiek świadomy swej pozycji i dumny z niej; w przeciwieństwie do Aurai zawsze był poważny i oficjalny. Jego sposób patrzenia na rozmówcę bez mrugania oczami był niesamowity.

- Spostrzeżenia twoich krewnych, dotyczące sprzedaży broni pentadrianom, okazały się rzetelne - oświadczył Rian. - Czy sądzisz, że mają też inne wartościowe informacje?

Danjin przygryzł wargę.

- Możliwe.

Ale czy mi je zdradzą, to całkiem inna kwestia, dodał w myślach.

Rian uniósł brwi.

- Czy sądzisz, że zechcieliby pracować dla Białych jako szpiedzy?

Szpiedzy? Danjin uświadomił sobie, że wytrzeszcza oczy na Riana, więc spuścił wzrok. Zastanowił się, jak ojciec i bracia mogliby zareagować na taką propozycję, i poczuł zniechęcenie. Oczywiście, że się zgodzą. Będą zachwyceni takim potwierdzeniem własnej wartości. Handlarze informacji, nie tylko towarów.

- Myślę, że tak.

Ale musiałbyś czytać im w myślach, by mieć pewność, że mówią wszystko, co wiedzą. Nie potrafił się pozbyć przekonania, iż ukryliby pewne informacje, które mogłyby przynieść dochód albo zaszkodzić ich interesom.

Rian przytaknął.

- W takim razie zorganizuję spotkanie z nimi. Czy chcesz wziąć w nim udział?

Danjin zastanowił się, po czym pokręcił głową.

- Moja obecność niepotrzebnie skomplikowałaby rozmowy.

- Dobrze. - Biały zrobił krok w stronę drzwi, ale zatrzymał się. - Co wiesz o Sennonie, doradco?

- Sennon? - Danjin wzruszył ramionami. - Kilka razy odwiedziłem ten kraj. Zwykle drogą morską, ale dwukrotnie przekroczyłem również pustynię. Mówię po sennońsku. Mam tam trochę kontaktów.

- Cesarz Sennonu podpisał wczoraj sojusz z pentadrianami.

I znowu Danjin wytrzeszczył oczy na Riana - tym razem z przerażeniem. Przypomniał sobie pierwsze spotkanie Aurai z sennońskim ambasadorem. Zaprosił ją, by złożyła u nich wizytę. Śmieszne było jego oczekiwanie, że nowa Biała, nieprzeszkolona i bez doświadczenia na tym stanowisku, wyruszy w długą podróż do Sennonu. Może należało tam wysłać innego Wybrańca... Przypomnieć cesarzowi, że za górami na zachodzie leży potężny sojusznik wspierany przez bogów... To mogłoby go zniechęcić do układów z pentadrianami.

- Uważasz, że powinniśmy bardziej się starać, by zaprzyjaźnić się z sennońskim cesarzem i jego poddanymi - stwierdził Rian, marszcząc brwi.

Danjin uśmiechnął się krzywo.

- Owszem, ale co mogliście zrobić? Jest was tylko pięcioro... do niedawna czworo. Dopiero co sprzymierzyliście się z Somreyem, a teraz Auraya pracuje nad Si. Nie mieliście czasu ani możliwości, by równocześnie zabiegać o Sennon.

Rianowi drgnął kącik ust.

- Rzeczywiście, nie mieliśmy. Panowanie nad czasem nie należy do Darów, jakie otrzymaliśmy od bogów.

- Może cesarzowi nie spodobają się jego nowi przyjaciele i zmieni zdanie. Wyobrażam sobie, że ze spotkania z tymi czarnymi vornami ucieszy się tak samo jak Toreńczycy.

Rian sposępniał.

- Chyba że zechce wytresować własne stado. Wszystkim cyrkliańskim kapłanom doradził wyjazd. Twierdzi, że to dla ich bezpieczeństwa.

Danjin skrzywił się.

- Och... - Pokręcił głową. - Cesarz zawsze utrzymywał, że nie chce faworyzować jednej religii kosztem innej.

I nagle przypomniał sobie o tkaczach snów. Poczuł wyrzuty sumienia. Auraya prosiła go, by odwiedził Leiarda, ale był zbyt zajęty szukaniem informacji o pentadriańskich zbrojeniach.

- Sądzisz, że powinienem uprzedzić doradcę tkacza snów Leiarda?

Rian wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz. Wszystkie otrzymane raporty sugerują, że pentadrianie są tolerancyjni wobec wyznawców niewielkich pogańskich kultów. Tylko cyrklianom są niechętni, z pewnością dlatego że wiedzą, iż czcimy prawdziwych bogów.

Zazdrośni, co? Danjin uśmiechnął się ponuro. Jeśli wybuchnie konflikt, cyrklianie mają przynajmniej tę przewagę: ich bogowie są prawdziwi i będą ich ochraniać. Obawiał się tylko, jakich zniszczeń zdążą dokonać pentadrianie. Na wojnie zawsze są ofiary.

Blask pojawił się w oczach Riana. Popatrzył na Danjina z aprobatą.

- Dziękuję za twoją pomoc, doradco. Danjin skłonił głowę i wykonał znak kręgu.

- Cieszę się, że byłem przydatny.

Odprowadził Riana do drzwi i otworzył je. Biały przestąpił próg, ale obejrzał się jeszcze.

- Kiedy będę rozmawiał z twoją rodziną, nie wspomnę, że konsultowałem się z tobą.

Danjin z wdzięcznością skłonił głowę. Odprowadził Riana wzrokiem i zamknął drzwi. Figiel spojrzał na niego, sennie mrugając oczkami.

- To... - powiedział do veeza doradca - .. .było niezwykle ciekawe.

Auraya otworzyła oczy. Panowała ciemność; ledwie dostrzegała ściany dookoła. Czy coś próbowało ją obudzić?

No to nie poradziło sobie. Ciągle się czuję, jakbym spała...

Otworzyła oczy po raz drugi. Tym razem ciemność była absolutna. Nie .widziała niczego... oprócz znajomej postaci w stroju tkacza snów.

: *Leiard?*

: *Witaj, miłośniczko śniących i śniąca o miłości.*

Jego wargi się poruszały, kiedy zabrzmiały te słowa.

: *Czy... czy to wspomnienie? Czuję, jakbyś to ty do mnie mówił, ale jednak nie.*

: *Tak i nie. To ja mówię do ciebie, ubrany w twoje wspomnienie o mnie. To mój umysł, któremu twój nadał formę. Szybko się uczysz. Masz chyba do tego naturalny talent.*

: *Może powinnam zostać tkaczem snów?*

: *Ale twoje serce należy do bogów.*

: *Dusza należy do bogów. Serce jest twoje.*

Leiard uśmiechnął się - tajemniczym, chytrym uśmiechem. Nigdy nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy. Może to jej umysł zobrazował nastrój, jaki u niego wyczuła?

: *Zawsze podejrzewałem, że dusza to pojęcie wymyślone przez bogów, by zachęcać ludzi do służenia im. Szczerze mówiąc, rozmawiałem kiedyś z bogiem, który przyznał, że...*

Obudziła się gwałtownie i spojrzała w sklepienie altany. Przez ściany sączyło się światło dnia.

- Aurayo...

Głos dobiegał od strony wejścia. Auraya wstała, okryła kocem

ramiona i przeszła do największego pomieszczenia. Odchyliła klapę zasłaniającą wejście i zobaczyła Mówcę Sirri.

- Tak, Mówco? Kobieta uśmiechnęła się.

- Wybacz, że tak wcześnie cię budzę. Właśnie otrzymaliśmy wiadomość i uważamy, że pilnie powinniśmy ją z tobą omówić.

Auraya kiwnęła głową.

- Wejdź. Zaraz będę gotowa.

Wróciła do sypialni, opuszczając za sobą kotarę. Rozebrała się, ochlapała wodą z drewnianej misy i wysuszyła z pomocą magii. Włożyła cyrklę, przejechała grzebieniem po włosach i zaplatając je w warkocz, wróciła do większego pokoju.

Mówca Sirri stała przy wejściu i stukała palcem o wspornik altany. Auraya nie odgadłaby jej nastroju z wyrazu twarzy, ale drobne oznaki zniecierpliwienia kazały jej przyjrzeć się uważniej. Natychmiast wyczuła, że Mówca walczy z rosnącym niepokojem, jaki wzbudziły wieści o widzianej w Si ziemiochodzącej. Kobieta przeprosiła za atak czarnych ptaków na myśliwych Siyee - Sirri opowiadała jej o tym jakiś czas temu.

- Na spotkaniu podadzą coś do jedzenia - obiecała Sirri, wychodząc na zewnątrz.

Natychmiast wzniosła się w powietrze, a Auraya podążyła za nią. Sirri znalazła prąd wstępujący i poszybowała na szczyt Przestrzeni, gdzie wylądowała miękko. Obfita roślinność skrywała tu przed wzrokiem niepowołanych altanę.

Auraya odwiedzała już wcześniej Altanę Mówców, ale była pewna, że za każdym razem prowadzono ją inną ścieżką. Oparła się pokusie, by odczytać myśli swej przewodniczki - Sirri wyraźnie chciała wyjawić niepokojącą wiadomość w obecności wszystkich Mówców.

Ufam jej, myślała. A może po prostu wiem, że ona niczego przede mną nie ukrywa, ale ma powody, by czekać.

Dotarły do altany. Sirri w milczeniu podeszła i odchyliła klapę. Wewnątrz czekali już Mówcy pozostałych czternastu klanów. Wstali na powitanie, a Auraya wyczuła u nich dziwną ostrożność. Sirri

wskazała jej jeden z niskich stołków, po czym zajęła swoje miejsce. Spojrzała kolejno na zebranych przywódców klanów, nim znowu zwróciła się do Aurai.

- Aurayo z Białych - zaczęła. - Pamiętasz, jak ci opowiadałam o wielkich czarnych ptakach, które miesiąc temu zaatakowały klan Słonecznej Grani?

- Tak. Jeden z łowców twierdził, że zauważył w pobliżu ziemiochodzącą.

Sirri przytaknęła.

- Ptaków od tego czasu nie widziano, choć niektórzy z nas wypatrywali ich pilnie. Ale kobieta pojawiła się znowu, całkiem niedawno. - Zerknęła na Mówcę klanu Bliźniaczych Szczytów. - Widziało ją dziecko. Nie mamy powodów, by wątpić w opowieść tej dziewczynki; nigdy nie zdradzała skłonności do wymyślania dziwacznych historii. Mówi, że niedaleko swojej wioski spotkała kobietę, która poprosiła ją o przekazanie wiadomości. Przeprosiła za atak na łowców. Twierdziła, że to był wypadek, że nie wiedziała, co robią jej ptaki, dopóki nie było za późno. Tak naprawdę to chciała się z nami zaprzyjaźnić. Sirri spojrzała na Aurayę.

- Wtedy zobaczyła, że przelatujesz, i zmieniła zdanie. Postanowiła opuścić Si, prosząc jeszcze dziecko, by powtórzyło przywódcy klanu inną wiadomość. Powiedziała, że jeśli Siyee sprzymierzą się z cyrklianami, zyskają sobie jeszcze silniejszego wroga.

Chłód przeszył Aurayę.

- Jak wyglądała ta ziemiochodząca?

- Miała ciemną skórę. Wydawała się młoda i silna.

- A jej strój?

- Była ubrana na czarno i nosiła srebrny wisior. Chłód zmienił się w lodowaty dreszcz na karku. - Aha...

- Słyszałaś już o tej kobiecie? Auraya potrząsnęła głową.

- Nie, ale spotykałam podobnych do niej. Należy zapewne do kultu z Ithanii Południowej. Muszę powiedzieć o tym Juranowi.

Zamknęła oczy i w myślach wezwała imię najstarszego z

Białych.

: *Tak?* odpowiedział.

: *Myślę, że jakaś pentadrianka węszyła w Si.*

Powtórzyła mu, czego się dowiedziała.

: *Kobieta z ptakami, mężczyzna z vornami... Wśród pięciu przywódców, których wskazali nasi szpiedzy, są dwie kobiety.*

: *Zgadza się. Co mam powiedzieć Siyee?*

: *Wszystko. Niedługo cała Północna Ithania będzie wiedziała o tych czarownikach. To może ich zachęcić do zawarcia sojuszu.*

Auraya stłumiła westchnienie i otworzyła oczy. W co ja próbuję wciągnąć tych ludzi? spytała samą siebie po raz kolejny. Jaki los ich czeka, gdy ich porzucę i nie zdołam przekonać, by szukali u nas obrony?

Spojrzała na niespokojne twarze Mówców.

- Juran i ja sądzimy, że wiemy, kim ona jest, tak samo jak ona wiedziała, kim ja jestem. To pentadriańska czarownica. Spotkaliśmy jeszcze dwóch takich czarowników. Pierwszy wkroczył do Torenu ze stadem vornów. Stwory były większe i miały ciemniejszą sierść niż ich dzicy krewniacy; wydawało się, że są posłuszne myślowym poleceniom. Dla ich pana jedynym celem przybycia do Torenu było chyba szerzenie terroru i śmierci. Rian odszukał tego człowieka i walczył z nim. Czarownik uciekł, gdy stało się jasne, że nie może zwyciężyć.

Po chwili mówiła dalej:

- Drugiemu czarownikowi nie towarzyszyły vorny. - Wspomnienie przyciskającej ją do ściany mocy przywołało echo tamtej trwogi. Auraya odetchnęła głęboko, odsuwając od siebie zarówno wspomnienie, jak i lęk, który ze sobą niosło. - Ani żadne inne zwierzę prócz zwyczajnego reyna. O ile wiemy, nie skrzywdził nikogo. Wysłano mnie, żebym pomogła Dyarze go odszukać, ale on również uciekł.

- Czego chcą ci czarownicy? - zapytał któryś z Mówców.

- Nie wiem. - Auraya skrzywiła się. - Jedno jest pewne: nienawidzą cyrklian. Nazywają nas heretykami.

- A w co sami wierzą?

- W pięciu bogów, jak my, ale ich nie są prawdziwi.

- Może dlatego tak zażarcie bronią swojej wiary - mruknął Dryss.

- A po co czarownica przybyła do Si? - spytał inny Mówca.

- Z tego samego powodu co Auraya: by szukać z nami przyjaźni - odparł jeszcze ktoś.

- Napadając na nas?

- Powiedziała, że to była pomyłka. I że w rzeczywistości chciała się z nami zaprzyjaźnić.

- Dopóki nie zobaczyła Aurai...

Kilkoro mówców spojrzało na kapłankę. Spokojnie patrzyła im w oczy, mając nadzieję, że wygląda na bardziej pewną siebie, niż jest w rzeczywistości.

- Groziła nam - przypomniał im Dryss. Skrzywił się niechętnie. - Obawiam się, że jesteśmy zmuszeni wybierać między dwiema wielkimi potęgami. Cokolwiek postanowimy, nie zdołamy uniknąć zmian.

- Nie musicie wybierać żadnej - zauważyła Auraya. - Możecie zostać tacy, jak w tej chwili.

- I powoli wymierać z głodu albo wybijani przez tych ziemiochodzących osadników? - mruknął ktoś inny. - To żaden wybór.

- Teraz możemy przecież walczyć z najeźdźcami! - zawołał młody Mówca. - Możemy używać tych miotaczy strzałek. Nie musimy się z nikim sprzymierzać!

Inne głosy włączyły się do dyskusji. Auraya uniosła ręce i Mówcy uciszyli się.

- Jeśli zechcecie, opuszczę Si. Kiedy już odlecę, możecie zaprosić tu czarownicę. Dowiedzcie się, czego od was chce i co proponuje w zamian. Ale proszę, bądźcie ostrożni. Może naprawdę nie chciała robić krzywdy waszym łowcom, ale wiem z całą pewnością, że jeden z jej współwyznawców jest człowiekiem okrutnym, który dla zabawy zadaje śmierć i cierpienie. Bardzo bym nie chciała, by Siyee cierpieli z jego rąk.

- Może był wyrzutkiem. Może uciekł do Północnej Ithanii,

ponieważ został wypędzony z krain pentadrian - upierał się młody Mówca.

- Przynajmniej ci pentadrianie nigdy nie próbowali nam odebrać naszej ziemi - mruknął ktoś inny.

- Być może tylko dlatego że nie mają z nami granicy - zauważyła Sirri.

Auraya wzdrygnęła się.

- Teraz już mają.

Mówcy ze zdziwieniem zwrócili się w jej stronę.

- Co masz na myśli? - zapytał Dryss.

- Cesarz Sennonu podpisał wczoraj traktat o sojuszu z pentadrianami. A Sennon ma z wami wspólną, choć krótką granicę.

- Po ich stronie jest tylko pustynia.

- Oprócz miejsca, gdzie kończy się pustynia i zaczynają góry. - Te słowa wypowiedział Mówca, który do tej pory nie uczestniczył w dyskusji. - Wzdłuż brzegu leży kilka osad ziemiochodzących.

Mówcy umilkli, spuszczając wzrok. Auraya współczuła im tej walki z własnymi lękami.

- Szlachetni mieszkańcy Si - powiedziała cicho. - Wolałabym, żebyście nie stali wobec tak ciężkich czasów i tak trudnych wyborów. Nie mogę ich za was dokonać. Nie mogę powiedzieć, komu możecie zaufać. Nawet mi się nie śni, by zmuszać was do podjęcia takiej czy innej decyzji. Wierzę, że kiedy bogowie poprosili mnie i innych Białych, by w całej Ithanii szukać sprzymierzeńców, chcieli po prostu zobaczyć nas zjednoczonych w pokoju. Być może przewidywali jakiś przyszły konflikt... Nie wiem. Wiem jednak, że bylibyśmy zaszczyceni, gdyby mieszkańcy Si stali obok nas, czy to w czasie wojny, czy pokoju.

Wstała, skłoniła głowę i wyszła. Oddalając się od altany, słyszała dobiegające z jej wnętrza stłumione głosy. Nie rozróżniała słów, ale jej Dary pozwoliły obserwować przebieg rozmowy.

- Wpadliśmy w to... jakkolwiek to nazwać... czy to nam się podoba, czy nie. Uważam, że powinniśmy wybrać jedną ze stron, bo sami z pewnością wyginiemy.

Chwila ciszy, a potem:

- Jeśli mamy decydować, komu zaufać, to raczej tej, która przybywa w sekrecie, prowadząc ze sobą groźne ptaki, czy tej, która czekała, aż ją zaprosimy?

I w końcu:

- Huan nas stworzyła. Czy ci pentadrianie oddają cześć Huan? Nie. Wybieram Białych.

25

W mroku wokół Leiarda i Jayima dały się dostrzec tylko niewyraźne kształty drzew i krzewów. Mogliby znajdować się w środku lasu. Ale brak znajomych odgłosów niszczył tę iluzję, zdradzając, że są na dachu domu Bakerów.

Tęsknię za lasem, uświadomił sobie Leiard. Tęsknię za życiem w spokoju. Za sercem i umysłem, których nie dręczy zamęt. Za bezpieczeństwem.

Więc tam wróć, ty głupcze.

Leiard zignorował rozbrzmiewające w umyśle drwiące słowa. Głos w mojej głowie to jedynie echo dawno zmarłego czarownika, przypomniał sam sobie. Jeśli nie będę na niego zwracał uwagi, to sobie pójdzie.

Spojrzał na Jayima. Chłopak czekał cierpliwie, przyzwyczajony do długich przerw w naukach Leiarda.

- Jest wiele sposobów użycia magii w celu uzdrawiania - rzekł tkacz snów. - Dary, jakich chcę cię nauczyć, podzielone są na trzy poziomy trudności. Pierwszy obejmuje proste działania: zaciśnięcie żyły z krwią dla zatamowania krwotoku; kauteryzację; nastawianie złamanych kości. Drugi dotyczy bardziej skomplikowanych interwencji: zachęcanie lub zniechęcanie do przepływu krwi; pobudzanie i sterowanie procesami gojenia; blokowanie bólu. Trzeci poziom wymaga korzystania z Darów tak trudnych, że potrzeba lat, by je opanować. Jeśli to w ogóle możliwe. Tylko jeden czy dwóch tkaczy snów na pokolenie osiąga ten poziom. Te Dary wymagają transu koncentracji oraz dokładnej wiedzy o wszystkich procesach wewnątrz ciała. Możesz wtedy sprawić, że rana zniknie, nie pozostawiając blizny. Możesz ślepcowi przywrócić wzrok, a kobietę jałową uczynić płodną...

- Mogę wskrzeszać umarłych?

- Nie. Nie tych, którzy naprawdę są martwi. Jayim zmarszczył czoło.

- Czy ktoś może być martwy, ale nie naprawdę martwy?

- Istnieją metody...

Leiard urwał i odwrócił się w stronę schodów. Usłyszał ciche, coraz bliższe kroki. Dwie pary stóp... Wysunęła się lampa, zalewając dach światłem. Przez otwór wyszła Tanara, a za nią znajomy, bogato ubrany mężczyzna.

- Leiard! - zawołała ostrożnie kobieta. - Masz gościa.

- Danjin Spear... - Leiard wstał. - Co cię sprowadza...?

- Zanim zaczniecie rozmawiać, wejdźcie do środka - przerwała mu gospodyni. - Tutaj jest za zimno na przyjmowanie gości.

- Rzeczywiście. - Leiard kiwnął głową. - Masz rację.

Tanara sprowadziła ich schodami do wspólnej sali, ogrzewanej przez piece, a potem zabrała ze sobą Jayima, żeby pomógł jej przygotować coś ciepłego do picia. Danjin z westchnieniem usiadł w fotelu.

- Wyglądasz na zmęczonego, doradco - zauważył Leiard.

- Bo jestem - przyznał Danjin. - Żona i ja mieliśmy nadzieję, że kiedy Auraya odleci do Si, będę miał trochę więcej czasu. Obawiam się jednak, że jest przeciwnie. Co u ciebie słychać?

- Cały mój czas poświęcam nauczaniu Jayima.

Oprócz nocy, kiedy bawisz się nielegalnymi, erotycznymi snami, które dzielisz z jedną z Białych, wyszeptał Mirar. *Ciekawe, co on by o tym pomyślał. Jego pani, którą kocha jak córkę, chodzi do łóżka z tkaczem snów...*

Tanara wróciła, niosąc na tacy dwa parujące kubki gorącej, korzennej tintry. Danjin wypił łyk i uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Dziękuję, Ma - Baker. Bardzo mi się to przyda. Na dworze jest zimno.

- Rzeczywiście jest... - zgodziła się, zerkając znacząco na Leiarda. - Zwłaszcza że dzień jest zbyt chłodny, żeby ktokolwiek przesiadywał na dachu.

- Mamo! - dobiegł zza drzwi protest Jayima. - Setki razy ci tłumaczyłem, że on mnie nauczył, jak ogrzewać się magią.

Pociągnęła nosem, po czym uśmiechnęła się do Danjina.

- Proszę zawołać, gdybyście czegoś potrzebowali.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Leiard spojrzał na gościa. Uwaga Mirara przypomniała mu, że nie miał pojęcia, co osiągnęła Auraya w Si. W tych wspólnych snach niewiele czasu poświęcali na dyskusje o jej pracy z Siyee. Koncentrowali się raczej na... innych sprawach.

- Co słychać u Aurai? - zapytał. Danjin uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Wspaniale się tam czuje. Ale czy odnosi sukcesy w swej pracy... - Pokręcił głową. - To nie jest jasne. Ich przywódcy, Mówcy, zanim cokolwiek podpiszą, chcą, by wszystkie klany zgodziły się na sojusz. Podczas pierwszego Zgromadzenia kilka było przeciwnych. Ma nadzieję, że nowe zdarzenia skłonią je do zmiany zdania. Pierwsze to groźba wojny. Drugie to szczęśliwy zbieg okoliczności. Jeden z Siyee zbudował broń, która pozwala im atakować cel z powietrza, a to z kolei czyni ich skuteczną formacją bojową. Za tydzień zbierają się na kolejnym Zgromadzeniu, na którym mają zadecydować.

Co to za broń? zastanowił się Leiard. Niepokoiła go sama myśl o tym, że Siyee mogliby stać się wojowniczy. Zawsze znajdował pocieszenie w świadomości, że na świecie istnieje przynajmniej jedna łagodna rasa, niestosująca przemocy.

Łagodny lud stworzony przez Huan, mruknął Mirar. *Czysta ironia.*

- Prosiła, żebym cię odwiedził - dodał Danjin i wychylił kubek tintry.

- Czyli jeszcze o nas nie zapomniała... - Leiard uśmiechnął się.

- Nie. - Danjin parsknął. - Ale podejrzewam, że gdyby nie jej oddanie Białym, zostałaby w Si na zawsze.

- Jest oczarowana - wyjaśnił Leiard. - To się zdarza niedoświadczonym wędrowcom. Odkrywają jakieś miejsce i zakochują się w nim. Uważają, że wszystko tam jest właśnie takie, jak powinno. Dopiero później zaczynają widzieć to miejsce takie, jakie jest naprawdę, jego dobre i złe strony.

Danjin spoglądał na Leiarda z dziwną miną. Tkacz snów wyczuł u niego zaskoczenie i niechętny szacunek.

- W młodości jako kupiec, a potem jako kurier i negocjator, zauważyłem właśnie takie zjawisko. - Doradca przyjrzał się pustemu kubkowi w dłoni i odstawił go na bok. - Muszę wracać do domu. Już późno i żona na mnie czeka. - Wstał. - Przekaż, proszę, podziękowania za gorącą tintrę.

- Na pewno.

Leiard odprowadził Danjina do głównych drzwi. Kiedy stanęli przy nich, doradca zawahał się jeszcze i niemal ukradkowo zerknął na tkacza snów. Leiard wyczuł nagłą zmianę w jego nastroju. Wyraźnie chciał mu coś jeszcze przekazać... Może ostrzeżenie?

Danjin odwrócił się w stronę wyjścia.

Zapytaj go, czy jest coś jeszcze, odezwał się Mirar.

Nie, odparł Leiard. Gdyby mógł mi powiedzieć, toby powiedział.

Tego nie możesz być pewny. Obaj wiemy, że jego rodzina zawsze nienawidziła tkaczy snów. Jeśli ty nie spytasz, ja to zrobię.

Leiard poczuł, że coś mu się wyślizguje - wrażenie, jakby nie zdążył pochwycić spadającego przedmiotu, który wysunął mu się spomiędzy palców. Jego usta otworzyły się, choć tego nie chciał.

- Jest coś jeszcze, prawda?

Danjin odwrócił się i spojrzał na niego zdziwiony.

Nie tak zdziwiony jak ja, myślał Leiard. Walczył o panowanie nad własnym ciałem, ale nigdy jeszcze nie stracił nad nim kontroli i nie wiedział, jak ją odzyskać.

- Coś cię dręczy - oświadczył Mirar, oczami Leiarda patrząc na Danjina. - Coś ważnego. Możliwa groźba dla mojego ludu.

Danjin milczał i zastanawiał się. Widać było, że nie wiedział, co powinien powiedzieć, i nie dostrzegł zmiany w Leiardzie. W końcu westchnął cicho.

- Jeśli twój lud ma jakiekolwiek powody, by obawiać się pentadrian, to radziłbym im opuścić Sennon - wymamrotał. - Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Mirar kiwnął głową.

- Dziękuję ci. Za ostrzeżenie i za wizytę. Danjin wyprostował się.

- Przyszedłbym wcześniej, gdybym mógł. - Skłonił głowę. - Dobrej nocy, doradco tkaczu snów Leiardzie.

Gdy Leiard usłyszał swoje imię, władza Mirara nad jego ciałem osłabła i zniknęła. Znowu nad sobą panował. Zachwiał się oszołomiony. Danjin przyglądał mu się wyczekująco.

- Dobranoc - powiedział Leiard.

Patrzył, jak doradca Aurai podchodzi do osłoniętego plattenu i wsiada do środka. Gdy woźnica popędził arema i odjechali, zamknął drzwi, oparł się plecami o ścianę i odetchnął głęboko. Serce biło mu jak szalone.

Co się przed chwilą stało?

Mirar nie odpowiedział.

Właśnie utraciłem władzę nad własnym ciałem na rzecz echa pamięci, odpowiedział Leiard sam sobie. Czy coś takiego może się powtórzyć? Czy Mirar odbierze mi ciało już na stałe?

Uświadomił sobie, że nie ma o tych rzeczach pojęcia. Muszę znaleźć kogoś, kto ma... Ale kogo? Uśmiechnął się posępnie... Tkaczka snów Arleej. Jeśli przywódczyni tkaczy snów nie zna odpowiedzi, to nikt jej nie zna.

Aż podskoczył, gdy ktoś poruszył się w drzwiach, ale to była tylko Tanara. Przyjrzała mu się zatroskana.

- Dobrze się czujesz, Leiardzie? Nabrał tchu.

- Tak. Jestem zmęczony. Ja... pójdę się teraz położyć. Z uśmiechem skinęła głową.

- Powiem Jayimowi. Przyjemnych snów.

Leiard spodziewał się jakiejś złośliwej uwagi Mirara, ale intruz w umyśle zachowywał milczenie. Zatrzymał się jeszcze, mijając Tanarę.

- Danjin prosił, żeby ci podziękować za tintrę - powiedział.

- Wyglądał na bardzo miłego człowieka. Całkiem nie pasuje do tego, co słyszałam o rodzinie Spearów.

- Nie - zgodził się Leiard.

- Dobranoc.

Wszedł do swojego pokoju, zdjął kamizelkę i położył się do łóżka.

Wszyscy tkacze snów uczą się myślowych ćwiczeń, pozwalających szybciej dokonać przejścia do stanu uśpienia. Mimo to minęła ponad godzina, nim Starsza tkaczy snów odpowiedziała na jego wezwanie. Domyślił się, że musiała dopiero co zasnąć.

: *Leiard?*

: *Tak. Pamiętasz mnie?*

: *Oczywiście. Nie zapomina się tkacza snów, mającego tak wiele wspomnień Mirara.*

: *Nie, rzeczywiście. Ale zaczynam tego żałować.*

: *Och... A dlaczego?*

Opowiedział, co się stało, i wyczuł u niej troskę.

: *Jak często łączyłeś się ze swoim uczniem?*

: *Raz czy dwa,* odpowiedział wymijająco. *Jeszcze trochę za wcześnie na takie połączenia.*

: *Unikasz ich,* oświadczyła, nieprzekonana jego wymówką.

: *Tak,* przyznał. *Ja... Stałem się posiadaczem pewnego sekretu i nie zaryzykuję ujawnienia mu go.*

: *Rozumiem. Musisz więc znaleźć kogoś innego, komu go zdradzisz. Kogoś, komu ufasz. W przeciwnym razie obawiam się, że utracisz własną tożsamość. Nie będziesz ani sobą, ani wcieleniem Mirara, ale na wpół obłąkaną mieszanką obu.*

: *Nie znam nikogo...*

: *W Jarime są inni tkacze snów. Może wystarczy któryś z nich?*

: *Możliwe.* Urwał na moment. *Jest jeszcze jedna sprawa, o której powinienem ci powiedzieć. Dziś wieczorem rozmawiałem z Danjinem Spearem. Ostrzegł mnie, że coś może grozić tkaczom snów w Sennonie.*

Mówił o sojuszu między Sennonem i pentadrianami.

: *Ach!*

: *Tak. Ze strony pentadrian nie mamy się czego obawiać. Zawsze dobrze traktowali tkaczy snów. Kiedy znów będziesz się widział z tym doradcą, przekaż mu, by przypomniał Białym, że tkacze snów w*

wojnie nie stają po żadnej stronie. Jeśli wybuchnie konflikt, będziemy opatrywać rannych ze wszystkich krajów, jak to zawsze czynimy.

: *Przekażę mu. Czy zanosi się na wojnę?*

: *Im więcej się dowiaduję o tych pentadrianach, tym bardziej się obawiam, że konflikt jest nieunikniony.* Zastanowiła się. *Co o nich wiesz?*

: *Na ten temat nie mam żadnych wspomnień łącza,* odparł Leiard. *To, co wiem, opiera się na komentarzach Aurai i plotkach krążących w Jarime. Czy ich bogowie istnieją naprawdę?*

: *Nikt tego nie wie. Cyrklianie oczywiście zakładają, że nie. Nawet jeśli mają rację, czyni to pentadrian tylko odrobinę mniej niebezpiecznymi.*

: *To przynajmniej coś...*

: *Owszem. Muszę teraz odejść. Powinnam się skontaktować z innymi tkaczami snów. Uważaj na siebie, Leiardzie. Pamiętaj, co ci powiedziałam.*

Połączenie urwało się, gdy skierowała swój umysł ku innym sprawom. Leiard odpłynął w nicość, wiedząc, że jej rada jest rozsądna, ale obawiając się konsekwencji. Jeśli dopuści do tajemnicy innego tkacza snów, to następny, z którym ten dopuszczony się połączy, także pozna sekret. A w krótkim czasie będą wiedzieli wszyscy...

: *Leiard?*

Serce mu skoczyło, gdy rozpoznał myślowe wołanie Aurai. Natychmiast ruszył ku niej.

Nie można cofnąć tego, co zrobiliśmy. Równie dobrze możemy się tym cieszyć, póki to możliwe.

Wracając do pokoju, rozgrzana i rozluźniona po godzinie moczenia się w gorącej wodzie, Emerahl myślała o tym, jak poprawiła się jej sytuacja. Nadal była dziwką, ale przynajmniej dobrze odżywioną i przyjmującą klientów wyższej kategorii niż poprzednio. Zarabiała też więcej pieniędzy, choć Rozea upierała się, by większość trzymać w depozycie.

Co prawda już dwa razy w swoim długim życiu udawała

prostytutkę, ale nie była to jej ulubiona rola. Wspominając pierwszy raz, sprzed ponad pięciuset lat, skrzywiła się niechętnie. Trójka bardzo potężnych czarowników polowała na nią w całej Ithanii; postanowili wydobyć z niej sekret nieśmiertelności, choć byli za słabi, by ją pokonać. Pojedynczo nie mogli się z nią mierzyć, ale razem stanowili potężnego przeciwnika. W desperacji zmieniła swój wygląd i zaczęła grać rolę, o której sądzili, że jest zbyt dumna, by choćby o niej pomyśleć.

Mieli rację. Duma kłuła ją za każdym dotknięciem każdego klienta. Jak ona, jedna z nieśmiertelnych, mogła zniżać się do sprzedawania własnego ciała ludziom, którzy widzieli w niej tylko chwilową rozrywkę?

Grupa czarowników w końcu się rozpadła, a jeden z nich zabił dwóch pozostałych. Dowiedziała się o tym dopiero po dwóch latach. Dwóch latach narzucanego sobie poniżenia, którego wcale nie musiała znosić... Ale co innego mogłam zrobić? Ludzie na ulicach nie dbają o cudzoziemskich czarowników. Takie wieści rozchodzą się powoli.

Westchnęła. Ludzie często zakładali, że ponieważ jest nieśmiertelna, musi bardzo dużo wiedzieć. Spodziewali się po niej, że potrafi opisać przełomowe wydarzenia historyczne tak, jakby sama je oglądała. Tymczasem przez prawie całe życie trzymała się na uboczu, z daleka od gry o władzę i ludzi, którzy w niej uczestniczą.

Tak właśnie wolałaby żyć. Sława i władza straciły swój urok w ciągu pierwszych kilkuset lat. Za drugim razem zajęła się prostytucją, by uciec od jednej i drugiej. Osiadła w dalekiej wiosce i zaczęła leczyć miejscowych, jak zawsze to robiła. To, co zaczęło się jako strumyczek wędrowców przybywających, by odwiedzić czarownicę - uzdrowicielkę, szybko zmieniło się w powódź, a wioska nagle się wzbogaciła. Z początku jej to pochlebiało i tłumaczyła sobie, że w ten sposób zrobi dla ludzi więcej dobrego. Ponieważ upierała się, że jest tylko starą wiedźmą, zyskała pieszczotliwe przezwisko „Wiedźma".

Sporo ludzi zaproponowało pomoc w organizacji noclegów dla

przybywających i wkrótce już wyciągali pieniądze od chorych. Zmęczona ich chciwością i fanatyzmem, wymknęła się. Nie doceniła jednak swojej sławy. Ludzie z nawet najbardziej odległych wiosek słyszeli o Wiedźmie. Wielbiciele wypatrywali jej wszędzie, a kiedy już ją zauważyli, wieści rozchodziły się szybko.

To anonimowość prostytucji skusiła ją za drugim razem, ale niedługo pozostawała ladacznicą. Znalazł ją Mirar. Uśmiechnęła się do siebie, wspominając, jak był popularny wśród dziewcząt i jak bardzo się zdziwił, kiedy ją znalazł w takim miejscu. Choć rozumiał, dlaczego w taki sposób ukrywa się przed ludzkością, twierdził, że to dla niej niedobre. Zabrał ją w Pustkowia na długo przed ich kolonizacją przez Siyee. Byli kochankami i przyjaciółmi, ale nigdy nie była w nim zadurzona.

- Nefryt - zawołał gardłowy głos.

Uniosła głowę. Na końcu korytarza stały dwie kobiety. Jedną była Liść, przyjazna dama w średnim wieku, która organizowała dziewczęta dla Rozei i oprowadziła Emerahl po zamtuzie, kiedy ta zjawiła się tu po raz pierwszy. Drugą była duma zamtuzu, Promyk, piękność o krągłych kształtach, z ciemnymi włosami, bladą skórą i czystymi fiołkowymi oczami. Te oczy studiowały teraz Emerahl od stóp do głów, a śliczny nosek marszczył się z niesmakiem.

- Właśnie przyjechał Panilo - oznajmiła Liść, gdy Emerahl stanęła przy nich. - Pyta o ciebie.

Promyk uniosła brwi.

- Więc ty jesteś tą uliczną dziwką, która spodobała się Panilo? - spojrzała jej w oczy. - Nie przywiązuj się do niego. Nigdy zbyt długo nie poświęca uwagi jednej dziewczynie.

W jej głosie zabrzmiała gorycz.

- Wiesz o tym z własnego doświadczenia? - spytała spokojnie Emerahl.

W oczach dziewczyny błysnął gniew.

- Łaskawość Panilo to jedyny element moich początkowych lat, który mnie z tobą łączy.

Emerahl uśmiechnęła się rozbawiona, że kobieta tak łatwo się

irytuje.

- Wątpię, czy twoje wczesne łata były w czymkolwiek podobne do moich. A teraz bardzo przepraszam, ale...

Urwała. Jej zmysły podpowiadały jej jeszcze coś na temat tej kobiety... Skupiła się na brzuchu Promyk - coś się tam poruszyło.

- .. .muszę się zająć klientem - dokończyła. Odwróciła się i poszła do swojego pokoju. Przed drzwiami obejrzała się jeszcze - Promyk schyliła się do ucha Liść. Jedną dłoń oparła lekko na brzuchu, a twarz miała ściągniętą niepokojem.

Jest w ciąży, myślała Emerahl. Mogę to wykorzystać, by zyskać jej zaufanie albo osłabić jej pozycję, jeśli okaże się dla mnie kłopotliwa. Potrząsnęła głową. Lepiej nie zwracać na nią uwagi. Nie chcę za bardzo się wyróżniać.

W progu zauważyła, że obie jej współlokatorki nie śpią..

- Patrz, Nefryt... Fala nadeszła - powiedziała Żagiew, wskazując drugą dziewczynę.

Fala przewróciła oczami, słysząc ten żart.

- Może w końcu przestaniesz? To już nie jest zabawne.

Emerahl zaśmiała się. Przeszła bokiem obok łóżek do rzędu długich, kobiecych tunik, wiszących na hakach w ścianie. Zdjęła nową, zieloną, uszytą z wynalezionego w ostatnim stuleciu materiału, który błyszczał jak metal, ale w dotyku był cudownie miękki.

- Panilo wrócił? - spytała Fala.

- Tak.

Żagiew wykrzywiła się i padła na wznak na łóżko; jej jasne, złociste włosy rozsypały się na poduszce.

- Słyszałam, że jest miły, ale za wcześnie przychodzi, jak na mój gust.

Emerahl zrzuciła płaszcz kąpielowy i wciągnęła tunikę.

- Nie jestem przyzwyczajona do spania przez cały dzień i pracy przez całą noc, więc mnie odpowiada.

Fala podeszła i zdjęła jej z tuniki jakąś nitkę.

- Zatrzymaj go jak najdłużej - poradziła. ~ Jest miły i bogaty.

- Postaram się. - Podeszła do drzwi, ale zatrzymała się jeszcze i obejrzała. - Jak moje włosy? - spytała.

- Wspaniale - zapewniła Żagiew. - Biegnij już, Nefryt, zanim jakaś nowa dziewczyna wpadnie mu w oko.

Emerahl uśmiechnęła się i ruszyła szybko korytarzem. Kilka zakrętów, schody i jedne drzwi później znalazła się w obszernym, bogato zdobionym salonie. Wysokie sklepienie i gustowne dekoracje na ścianach i kolumnach nadawały pokojowi pozór elegancji i szacowności. Świetlik w dachu ukazywał błękitne niebo, odbijające się w sadzawce na dole. Obrazy na ścianach przedstawiały mężczyzn i kobiety zajętych wzajemnymi pieszczotami. Rzadko miała czas, by się im przyjrzeć, ale podczas każdej wizyty zauważała nowe intrygujące sceny, wśród nich takie, jakie wydawały się całkiem nieprawdopodobne.

Panilo zobaczył ją już w progu. Z uśmiechem poderwał się na nogi.

- Emmeo...

- Nefryt - poprawiła, przykładając mu palec do warg.

- Niech będzie Nefryt - ustąpił. - Wolałem Emmeę.

Zerknęła na dwóch innych mężczyzn w salonie. Jeden siedział rozparty na ławie i wydawał się na kogoś czekać. Drugiego otaczała grupka flirtujących fachowo dziewcząt. Obaj spojrzeli na nią z zainteresowaniem.

Ich nieskrywany podziw wzbudził u Emerahl dreszcz zarówno satysfakcji, jak niepokoju. Może powinnam być trochę zaniedbana... Nie wolno mi za bardzo zwracać na siebie uwagi.

- Nie daj się im onieśmielić - wymruczał Panilo. - Galero, tego tam, nie stać na ciebie, a Yarro żąda tylko najlepszych w domu, a na szczęście dla mnie, nie osiągnęłaś jeszcze tej pozycji.

Uśmiechnęła się w podzięce za ten komplement; zastanawiała się, ile każe mu płacić Rozea.

- Chodźmy stąd, żebym miała cię tylko dla siebie... Pociągnęła go za drzwi, w stronę pokojów. Liść kazała jej używać jednego z luksusowych apartamentów, kiedy przyjmowała Panilo, oraz

mniejszego, skromniejszego pokoju dla innych klientów. Co skłaniało do zastanowienia, jak wysoko postawiony jest Panilo w toreńskich kręgach towarzyskich.

- Kąpiel? - spytała.

Każdy z luksusowych pokojów miał dużą wannę. Pokręcił głową.

- Potem.

Wyciągnął rękę i przeczesał palcami jej włosy. Wpatrywał się w jej twarz.

- Jesteś taka piękna, Emmeo. Cieszę się, że Rozea sprowadziła cię tutaj, nawet jeśli spotkanie z tobą kosztuje mnie dwa razy więcej.

Uśmiechnęła się i pociągnęła go na łóżko.

- Ja też się cieszę. To o wiele wygodniejsze niż drewniana ławka w plattenie. Tutaj mam więcej czasu...

Zaczęła z demonstracyjną powolnością rozsznurowywać tunikę.

Zaśmiał się.

- Ale nie za dużo. - Wyciągnął rękę, by jej pomóc. - Mam jeszcze jedno spotkanie.

Jeszcze jedno spotkanie? Emerahl powściągnęła ciekawość, skupiając się na pracy. Ale ta uwaga tliła się w pamięci. Odkąd zjawiła się w zamtuzie, odwiedzał ją prawie co wieczór i za każdym razem wspominał o innych spotkaniach. Nabierała coraz większej pewności, że w mieście coś się dzieje - coś, o czym wiedzą tylko najwyżsi dostojnicy i ladacznice, które ich obsługują. Bezustannie doskonaląc umiejętności umysłu, zarówno na klientach, jak i innych dziewczętach, odzyskała zdolność wyczuwania emocji. Dominującymi uczuciami, jakie wykrywała w całym zamtuzie, były niepokój i wyczekiwanie.

Była pewna, że Panilo wie, co się dzieje. I najwyższy czas, by jej powiedział.

Później, kiedy wypoczywał w kąpieli, zastanowiła się, jak najlepiej zdobyć tę informację. Nie lubił słownych gierek. Wolał szczerość od podstępów. Być może wystarczy zapytać go wprost.

- A co takiego rozgorączkowało całe miasto? - rzuciła od niechcenia.

Spojrzał na nią z wyraźnym zakłopotaniem. Zaczęła przepraszać, ale uciszył ją szybkim gestem.

- Nie uraziłaś mnie, pytając, ale... - Westchnął. - To nie jest przyjemny temat. Ten ostatni tydzień...

Nagle wydał się bardzo zmęczony.

- Przepraszam - szepnęła Emerahl. - Zepsułam ci wieczór. Przypomniałam o sprawach, które cię martwią. Zaraz...

Stanęła za nim i zaczęła masować mu ramiona.

- Nie zepsułaś mi wieczoru - zapewnił. - To nastąpi, kiedy opuszczę twoje towarzystwo. - Zamilkł na chwilę, po czym westchnął. - Pewnie i tak w końcu się dowiesz. Obiecasz, że zatrzymasz wszystko dla siebie?

- Oczywiście... Ale nie mów, jeśli nie chcesz.

- Ależ chcę. Muszę komuś powiedzieć, a moja żona nie należy do kobiet, które słuchają.

Żona, tak?

- W takim razie muszę cię przed czymś ostrzec.

- Co takiego? - zapytał ostrym tonem.

- Myślę, że połowa dziewcząt tutaj obiecała dotrzymać tego samego sekretu.

Roześmiał się.

- W to nie wątpię. - Zanucił cicho. - Przyjemne jest to, co robisz...

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem wyczuła, jak napinają się mięśnie jego ramion.

- Biali poprosili, byśmy przygotowali nasze wojska do wojny - oświadczył.

- Wojny? - Ogarnęło ją połączone uczucie lęku i nadziei. Wojna niosła ze sobą zagrożenie, ale i liczne okazje. Być może też okazję, by uciec z tego miasta. - Z kim?

- Z pentadrianami.

Milczała. Był zdumiony, gdy się okazało, że nie wie, kim są Biali. Czy powinna przyznać, że nie ma również pojęcia o pentadrianach?

- Zastanawiasz się, co to za jedni, prawda? - zapytał. - No cóż, nie mogę ci dokładnie wytłumaczyć. Wiem tylko, że to kult panujący na południowym kontynencie. Udało im się przekonać Sennon do zawarcia sojuszu.

- Planują napaść na Toren?

- Planują zaatakować całą Północną Ithanię. Żeby się pozbyć wszystkich cyrklian. Nienawidzą ich.

- Dlaczego?

- Nie wiem. I chyba nikt nie wie.

Mogłabym prawdopodobnie wyliczyć kilka przyczyn, pomyślała Emerahl. Cyrklianie wielu tak zwanym „poganom" dali powody do nienawiści. Kto wie, co zrobili tym pentadrianom...

- No więc wygląda na to, że za kilka tygodni wyruszę na wojnę - ciągnął Panilo. - Z własnym oddziałem pod komendą. Ale co ja wiem o wojnie? Nic.

To tyle, ile każdy powinien wiedzieć, pomyślała ze smutkiem. Biedny Panilo. Wydaje się, że mój najlepszy klient nie pojawi się przez dłuższy czas. Może już nigdy.

- Pewnie będziesz musiał tylko przekazywać swoim ludziom rozkazy - pocieszyła go. - To król będzie podejmował wszystkie decyzje co do wojsk Toreńczyków.

Panilo przytaknął.

- A on będzie wykonywał polecenia Białych.

Biali... Oczywiście. Wszyscy kapłani i kapłanki zostaną wezwani do walki. Odwołają straże przy bramach... Będę mogła opuścić to miasto. Jeszcze tylko kilka tygodni.

Panilo wyprostował się.

- Jak możemy przegrać, skoro mamy po swojej stronie bogów? Ci pentadrianie to przecież tylko poganie.

- To prawda. - Uśmiechnęła się, przytuliła do jego pleców i objęła go za pierś. - Kiedy wrócisz, wszystko mi opowiesz.

26

Odkąd pokazał wszystkim swoją uprząż, Tryss budził się wcześnie. Czasami wstawał po cichu i wymykał się na polowanie; kiedy indziej zostawał w łóżku, nasłuchując dźwięków codziennych zajęć rodziców. Dzisiaj postanowił poleżeć dłużej. Późno się położył i teraz wciąż jeszcze był śpiący.

Wrócił myślą do rozmowy z poprzedniego wieczoru. Sreil, syn Mówcy Sirri, mówił, że młodzi ludzie z innych klanów nie mogą się doczekać, by wypróbować jego wynalazek, ale ich Mówcy nakazali zostawić Tryssa w spokoju. Chcieli mieć pewność, że żaden klan nie wyda się uprzywilejowany w stosunku do innych. Mówca Sirri zaproponowała, by do początkowej grupy wybrać po jednym przedstawicielu z każdego klanu. Tych będzie uczył Tryss, a oni potem przekażą te nauki innym.

Tryss nie był pewien, czy to dobry pomysł. Na pewno nie jest to najszybsza metoda, a może się okazać, że także nie najskuteczniejsza. Jeśli któryś z tych wybranych czegoś nie zrozumie, przekaże błędy innym.

Zresztą nic się nie wydarzy, dopóki nie podpiszą traktatu z Białymi. Wczoraj odbyło się drugie Zgromadzenie Siyee i tym razem wszystkie klany się zgodziły. Jednak nastrój był raczej mroczny niż radosny. Co prawda większość Siyee cieszyła się z tej decyzji, jednak niektórzy uważali, że aby uchronić się przed osadnikami, zmuszeni są do wyboru między Białymi i wrogami Białych.

Tak jakby to kapłanka była winna sytuacji w Si...

Nie jest, uznał Tryss. Zarzucać Białym to, że mają wroga, to jakby zarzucać Siyee, że najeźdźcy kradną im ziemię. Wydawało się słuszne, że Biali i Siyee mogą sobie teraz pomagać.

Jego uwagę zwróciły ciche odgłosy dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia. Przez chwilę nasłuchiwał uważnie, by w końcu uznać, że to mama, która pewnie szykuje śniadanie.

Mógłbym tam pójść i jej pomóc, stwierdził. Chyba i tak już nie

zasnę.

Zsunął się z łóżka, umył i ubrał. Wchodząc do głównej komory, uśmiechnął się do mamy, która spojrzała na niego i także odpowiedziała uśmiechem. Potem zajęła się zawartością dużej kamiennej misy.

- Późno wstałeś. Wzruszył ramionami.

- To była długa noc.

- Widziałam, jak rozmawiałeś ze Sreilem - stwierdziła z aprobatą. - Mądry z niego chłopak.

- Tak.

Woda w naczyniu zaczęła parować, potem zabulgotała. Matka wrzuciła do niej orzechowiec i suszone owoce. Woda przestała wrzeć. Tryss przyglądał się, jak matka wpatruje się w zupę, aż znowu zabulgotała. Gdyby Siyee byli bardziej Obdarzeni, może nie potrzebowaliby żadnych uprzęży, myślał. Większość radzi sobie z takim podgrzewaniem kamienia, tak jak teraz jego matka, ale potrafi niewiele więcej. Z tego, co słyszał, ziemiochodzący też zwykle posiadają tylko niewielkie Dary.

- Nie widziałam ostatnio Zissa ani Trinna.

- Ja też nie - przyznał. - Huan niech będą dzięki. Zerknęła na niego.

- Nie powinieneś pozwolić, by ten ich drobny figiel zniszczył waszą przyjaźń.

- To nie był drobny figiel - odparł. - A oni nigdy nie byli moimi przyjaciółmi.

Uniosła brwi.

- Lepiej uważaj, jak ich teraz traktujesz. Stałeś się bardzo popularny, a oni będą ci to mieli za złe. Nie warto robić sobie wrogów z...

- Halo! Ktoś się już obudził?

Niegłośno wypowiedziane słowa dochodziły zza wejścia do altany. Tryss poznał głos Mówcy Sirri i porozumiał się wzrokiem z matką.

- Tak. Wejdź, Mówco Sirri - zawołała.

Klapa odsunęła się i starsza kobieta weszła do środka Skłoniła się z szacunkiem matce Tryssa i uśmiechnęła do chłopca.

- Dziś rano Mówcy mają się spotkać, by być świadkami podpisania sojuszu. Chciałabym, żeby Tryss też w tym uczestniczył.

Matka zmarszczyła czoło.

- Naprawdę? Nie mam nic przeciwko temu. Ma jeszcze chwilę, żeby coś zjeść?

Sirri wzruszyła ramionami.

- Tak, jeśli nie zajmie mu to zbyt dużo czasu.

- A ty?

Kobieta zamrugała zdziwiona. - Ja?

- Może zjesz trochę pasty orzechowej? Jest świeża i mamy jej mnóstwo.

Sirri spojrzała z ukosa na kamienną misę.

- Jeśli to nie kłopot...

Matka Tryssa z uśmiechem rozlała do czterech misek gorącą gęstą ciecz. Sirri usiadła i wzięła się do jedzenia. Z wyrazu ulgi na jej twarzy Tryss odgadł, że nie miała dziś czasu, by zjeść cokolwiek. Po chwili rozsunęła się zasłona w drzwiach do sypialni rodziców i pojawił się ojciec. Włosy sterczały mu na wszystkie strony. Spojrzał na Sirri ze zdziwieniem.

- Mówco... - powiedział.

- Witaj, Tiss.

- Czy to śniadanie tak pachnie? - spytał, zwracając się do żony.

- Właśnie ono. - Podała mu miskę.

- Musicie być dumni z Tryssa - stwierdziła Sirri.

Tryss poczuł, że serce nabrzmiewa mu radością, gdy rodzice pokiwali głowami.

- Zawsze był bystrym dzieckiem - oświadczyła mama. - Wierzyłam, że sobie w życiu poradzi, będzie może budował altany albo wykuwał groty. Ale nigdy nie pomyślałam, że pomoże doprowadzić do tak wielkich zmian wśród naszego ludu...

- Nie mogliśmy trzymać się dawnego życia - dodał ojciec. - Mój dziadek zawsze powtarzał, że przyjmowanie zmian i przy-

stosowywanie się do nich to największa siła Siyee.

- Twój dziadek był mądrym człowiekiem - stwierdziła Sirri.

Matka Tryssa kiwnęła głową i zerknęła na syna.

- Boję się tylko tego, co każda matka: że te zmiany mają straszną cenę.

Sirri skrzywiła się.

- Dobrze znam te lęki. Jeśli pójdziemy na wojnę u boku Białych, a obawiam się, że pójdziemy, wątpię, czy zdołam zatrzymać tu Sreila. I nie powinnam. Czekają nas trudne czasy.

Rodzice Tryssa znowu przytaknęli. Potem jedli w milczeniu. W końcu Sirri odstawiła swoją miskę i spojrzała na chłopca.

- Zmiana na nikogo nie czeka, ale podpisywanie traktatu nie zacznie się bez głównego Mówcy. Musimy iść. Dziękuję za śniadanie, Trilli. Naprawdę jestem wdzięczna.

Matka Tryssa zebrała naczynia i odprowadziła Mówcę i syna do wyjścia.

Gdy Tryss wyszedł za Sirri na światło dnia, zauważył ruch w sąsiedniej altanie. Serce zabiło mu mocno, kiedy w drzwiach stanęła Drilli. Zobaczyła go i uśmiechnęła się, ale ten uśmiech zniknął, gdy z altany wynurzył się jej ojciec. Rzucił Tryssowi groźne spojrzenie i odszedł, a za nim Drilli.

Tryss westchnął i odwrócił się. Sirri przyglądała mu się z uwagą.

- Twoi sąsiedzi spędzali dużo czasu z przedstawicielami klanu Rozwidlonej Rzeki. Nie zastanawiałam się nad tym, dopóki sobie nie przypomniałam, że rodzina z ich klanu osiedliła się wśród tych z Rozwidlonej Rzeki. Podejrzewam, że Zyll chce przekonać córkę, by wyszła za kogoś z tej drugiej rodziny. Bardzo mu zależy, żeby klan Wężowej Rzeki nie został wchłonięty przez inne.

Tryss miał wrażenie, że serce mu pęka. Kiedy Sirri na niego spojrzała, wzruszył tylko ramionami - bał się, że jeśli coś powie, głos zdradzi jego uczucia.

- Oczywiście, nie może jej zmusić, jeśli dała już obietnicę innemu. - Sirri pokręciła głową. - Zawsze uważałam, że to głupie prawo. Zmusza młodych ludzi, by zbyt wcześnie wybierali sobie

małżonków. Nie podoba mi się też, kiedy ojcowie wydają córki za młodych ludzi, których prawie nie znają.

Skinęła na Tryssa.

- Chodźmy już.

Razem wzięli rozbieg, skoczyli i rozłożyli skrzydła. Sirri złapała wiatr i wzbiła się w górę, Tryss podążył za nią. Jej słowa raz po raz rozbrzmiewały mu w głowie, gdy lecieli w stronę Przestrzeni.

„...nie może jej zmusić, jeśli dała już obietnicę innemu..."

Czy wiedziała, jak często się spotykali z Drilli, dopóki nie wtrącił się jej ojciec? Sirri wyraźnie się nie podobało to, co robił Zyll. Czyżby sugerowała, by on i Drilli wymienili obietnice małżeństwa?

To może być jedyny sposób, by znowu mógł się z nią widywać.

Ale małżeństwo... To taka dorosła sprawa. Musiałby się wyprowadzić z altany rodziców, a klan zbudowałby im nową, Zastanowił się, jak by to było mieszkać z Drilli.

Uśmiechnął się szeroko. Byłoby miło. Własna altana. Wspólnie spędzany czas. Prywatność.

Czy była dla niego odpowiednią dziewczyną? Przypomniał sobie inne, które znał. Te z własnego klanu, z którymi dorastał, były jak rodzina. Kilka zachowywało się przyjaźnie, ale to coś zupełnie innego niż z Drilli. Ona jest... wyjątkowa.

Sirri wylądowała i zaczekała na niego. Opadł na ziemię tuż obok, po czym ruszył za nią jedną ze ścieżek prowadzących do Altany Mówców. Myśli o Drilli ulotniły się szybko, gdy zrozumiał, że za chwilę będzie uczestniczył w wydarzeniu, które zapewne stanie się częścią historii Siyee.

- Co... co mam tam robić? - zapytał.

- Nic. Siedź z tyłu i się nie odzywaj, chyba że ktoś cię o coś zapyta.

Nagle zaschło mu w ustach i niepokojąco zamrowiło w żołądku. Sirri podeszła do wejścia i szarpnęła zasłonę. Zniknęła wewnątrz, a Tryss nerwowo przełknął ślinę i podążył za nią.

W komorze tłoczyli się Siyee. Wszyscy spojrzeli na wchodzącą Sirri, a teraz z zaciekawieniem przyglądali się Tryssowi. Była też

kapłanka; w zamkniętym pomieszczeniu wydawała się większa niż kiedykolwiek. Popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się, a on poczuł, że czerwienieje.

Sirri podeszła do wolnego miejsca. Gdy usiadła, Tryss rozejrzał się, ale nie zauważył innych stołków. Siadł więc na podłodze, skąd widział Sirri między dwoma innymi Mówcami.

- Zeszłego wieczoru wszystkie klany raz jeszcze rozważyły propozycję sojuszu z Białymi - powiedziała Sirri. - Podjęły decyzję i jednogłośnie zdecydowały tak samo. My, Siyee, zawrzemy sojusz z Białymi. Staniemy się sprzymierzeńcami cyrklian. Długo debatowaliśmy nad doborem słów tego wzajemnego zobowiązania. - Spojrzała na kapłankę. – Dziś rano Auraya z Białych spisała te słowa na pergaminie w językach Si i Hani. Te dwa zwoje zostały sprawdzone przez wszystkich.

Biała kapłanka podniosła je. Tryss zauważył, że drewniane wałki, umocowane do pergaminu, rzeźbione są we wzory Siyee.

- Pozostaje tylko, by każdy z nas podpisał je w imieniu swojego klanu - zakończyła Sirri.

Sięgnęła za siedzenie i podniosła płaską deskę. W zagłębieniu umocowano nieduży pojemnik z czarną farbą, w drugim leżał pędzelek. Sirri ułożyła sobie deskę na kolanach.

Biała kapłanka trzymała zwoje przed sobą. Zamknęła oczy.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru. Dzisiaj wasze życzenie, by widzieć Północną Ithanię zjednoczoną w pokoju, znalazło się o krok bliżej spełnienia. Wiedzcie, że Siyee, ludzie stworzeni przez Huan, postanowili sprzymierzyć się z Białymi, ludźmi, których wybraliście, by reprezentowali was na tym świecie. Czynimy to z radością i wielkimi nadziejami na przyszłość.

Tryss poczuł mrowienie. Nie miał czasu się nad tym zastanowić, gdyż Auraya otworzyła oczy i wręczyła Sirri jeden ze zwojów. Mówca rozwinęła pergamin, wzięła pędzelek i zanurzyła go w farbie.

Gdy czubek pędzla sunął po pergaminie, w altanie zaległa całkowita cisza. Dreszcz przebiegł Tryssowi po plecach. Patrzył, jak Sirri maluje znak swojego imienia i znak klanu także na drugim

zwoju, po czym oddaje deskę następnemu Mówcy.

Uświadomił sobie, że nie jest to żaden rytuał, uświęcony setkami lat tradycji. Siyee nie mieli odpowiednich dla takiego wydarzenia ceremonii - nigdy wcześniej nie zawierali przymierza. To był nowy rytuał, który narodził się właśnie dzisiaj.

Milczenie trwało, gdy zwój przechodził od Mówcy do Mówcy. Biała kapłanka przyglądała się temu cierpliwie. Tryss zauważył, że niekiedy zaczynała wpatrywać się w pustkę, jak gdyby słuchała niedostępnego dla innych głosu. Raz uśmiechnęła się lekko, ale nie dostrzegł niczego, co wyjaśniałoby to rozbawienie.

Wreszcie oba zwoje wróciły do niej. Podpisała je wolno, wyraźnie nieprzyzwyczajona do posługiwania się pędzelkiem. Kiedy skończyła, oddała deskę i jeden zwój Sirri. Mówca odłożyła podkładkę, ale zatrzymała zwój.

- Dzisiaj nasze ludy połączyły ręce i serca w przyjaźni i wzajemnej pomocy - oznajmiła Sirri. - Niechaj wszyscy Siyee i nasi potomkowie wypełniają to przymierze.

- Dziś Biali zyskali sprzymierzeńca, którego będą cenić po wsze czasy - odparła Auraya. - Zgodnie z umową, jaką właśnie zawarliśmy, naszym pierwszym zadaniem będzie skłonienie toreńskich osadników, by powrócili na ojczystą ziemię. To wymaga czasu, jeśli ma być osiągnięte bez rozlewu krwi, ale jesteśmy zdecydowani rozwiązać tę kwestię w ciągu dwóch lat.

Na twarzach Mówców pojawiły się tryumfalne uśmiechy. Oficjalny, sztywny nastrój minął, gdy jeden z nich zapytał, jak można to osiągnąć, nie pogarszając perspektyw przyszłego handlu z Torenem. Siyee zaczęli rozmawiać między sobą, niektórzy wstali i podeszli do Sirri, by obejrzeć zwój.

Tryss przyglądał się temu w milczeniu, ale już po chwili jeden z Mówców go zauważył. Starszy mężczyzna zaczął wypytywać o konstrukcję uprzęży, inni się przyłączyli i Tryss odkrył, że zanim zdąży odpowiedzieć na jedno pytanie, już pada następne. Poczuł się trochę przytłoczony.

- Mówcy, miejcie litość dla tego chłopca - przerwał te pytania

głos Sirri. Przecisnęła się przez otaczający Tryssa krąg mężczyzn i kobiet. - Tak naprawdę chcecie wiedzieć, kiedy wasze klany dostaną własne uprzęże i kiedy zaczną się szkolić w ich stosowaniu. - Spojrzała na Tryssa. - Jak sądzisz?

Popatrzył na Mówców, odetchnął głęboko i zastanowił się...

- Uprzęże trzeba najpierw zbudować. Mogę uczyć dwóch konstruktorów z każdego klanu, żeby jeden mógł poprawiać drugiego, gdyby wystąpiły jakieś błędy. Zaczniemy naukę, jak tylko przybędą.

- Zgadzacie się? - Sirri obejrzała się na Mówców. Przytaknęli.

- Dobrze. - Poklepała Tryssa po ramieniu. - Powiedz nam teraz, co mają ze sobą przynieść.

Wymieniając narzędzia i materiały, których używał do budowy uprzęży, Tryss czuł, jak ogarnia go zdumienie. Udało mu się. Przekonał ich - dzięki Sirri. Wysłuchała go, kiedy pierwszy raz chciał pokazać swoją konstrukcję. Dostrzegła jej możliwości. Dała mu szansę. Spojrzał na nią i poczuł wdzięczność... Okazywała także sympatię jemu i Drilli, a nawet podpowiedziała sposób, by znowu mogli być razem.

Wiele jej zawdzięczał. Pewnego dnia może zdoła jakoś się odpłacić. Na razie najlepsze, na co było go stać, to nauczanie innych Siyee, jak mają polować i walczyć.

Przyszło mu do głowy, że nigdy dotąd nie użył tej uprzęży do walki. Tylko własna wyobraźnia sugerowała, że będzie to skuteczna broń.

To jeszcze nie koniec, myślał. Wiele jeszcze muszę się nauczyć.

Odkąd dowiedziała się, że jakiś czas temu przeleciała tuż nad pentadriańską czarownicą, Auraya zaczęła w locie zwracać baczniejszą uwagę na las w dole. Na szczęście nie zauważyła żadnych czarno odzianych ziemiochodzących - tylko obfitość zwierząt i drzew.

Czarownica już dawno odeszła - tak przynajmniej uważali Siyee. Auraya uniosła głowę i rozejrzała się - ze wszystkich stron wyrastały pokryte śniegiem iglice skał, a las wspinał się na ich strome zbocza.

W dolinach i rozpadlinach w dole wiły się migotliwe wstążki wody, płynąc w kierunku morza.

Wspaniałe, pomyślała.

Czuła się lekka, lżejsza od powietrza. Nie był to żaden szczególny Dar, ale nastrój, który ją ogarnął, kiedy tu przyleciała, a który swój szczyt osiągnął dziś rano, po tym jak wykonała zadanie zjednoczenia Siyee i Białych.

To zresztą nie wszystko. Tego ranka zbudziła się ze snu o Leiardzie - tak pełnego miłości i namiętności, że chciała by nigdy się nie kończył. Marzyła, by wrócić do Jarime, choć czasem zastanawiała się, czy rzeczywistość nie rozczaruje jej po porównaniu do tych wspólnych snów.

Nie. Będzie lepsza, powiedziała sobie.

Sirri zmieniła nieco kierunek, więc Auraya także skorygowała kurs. Przez ostatnią godzinę Mówca stopniowo zwiększała wysokość i powietrze stało się lodowate. Auraya bezustannie ściągała do siebie magię, by się ogrzać. Na Siyee chłód zdawał się nie mieć żadnego wpływu.

Leciały przez większą część dnia i słońce zbliżało się już do horyzontu. Spoglądając przed siebie, Auraya widziała, że zmierzają w stronę szczytu nieco niższego od innych. Dostrzegała wizję ich celu w umyśle kobiety, i dzięki temu wiedziała, że kierują się do tej właśnie góry i że znajdą na niej świątynię.

Aurayę zaintrygowała wiadomość, że Siyee mają własną świątynię. Co prawda czcili Huan, ale nie byli prawdziwymi cyrklianami. Nie wypełniali - ani nawet nie wiedzieli o nich - rytuałów i tradycji, które stworzyli ziemiochodzący, by wyrazić swe oddanie pięciorgu bogom.

Chciała odwiedzić tę świątynię, ale prawo Siyee zakazywało zbliżania się tam, chyba że na zaproszenie bogini albo w towarzystwie Strażnika - była to najbliższa kapłańskiej funkcja, jaką znali Siyee. Dziś rano Sirri przekazała takie zaproszenie i od tej chwili Auraya czuła nerwowy ucisk w żołądku. Czy to oznaczało, że w końcu się do niej odezwą?

Jeśli tak, to czemu zwyczajnie do mnie nie przemówią? Po co to zaproszenie, dostarczone przez innych? Auraya zastanawiała się nad tym nie po raz pierwszy. Może dlatego że chcą, by Siyee to ujrzeli. Gdyby bogowie zwrócili się wprost do niej, Siyee nic by nie wiedzieli albo musieliby wierzyć, że mówię prawdę. Gdyby zaś bogowie pojawili się w obecności Siyee, odebraliby część świętości temu miejscu, ponieważ tu właśnie przybywają Siyee, gdy chcą rozmawiać z Huan.

Kiedy zbliżyły się do szczytu, Auraya zaczęła rozróżniać szczegóły. Najwyższa część iglicy miała dziwny kształt - cylindryczny, zaokrąglony u góry. Dostrzegła wewnątrz konturu iskrę nieba i zrozumiała, że konstrukcja jest w środku pusta. I nagle to, co widziała w myślach Sirri, nabrało sensu: niewielki pawilon świątyni był wykuty w skale.

Zastanawiała się, jak go zbudowano. Poniżej kolistej podstawy ze wszystkich stron otaczały go niemal pionowe ściany. Być może, jeśli udało się wykonać pierwsze zagłębienie, potem cała struktura mogła być wykuta od środka. Nikt oprócz Siyee nie mógł dotrzeć do miejsca tak niedostępnego i tak wysoko położonego. Nie zdawała sobie sprawy, że ich kamieniarze są tak sprawni.

Z bliska przekonała się, że budowla jest prosta i pozbawiona dekoracji: pięć kolumn wspierało kopułę dachu. Proporcje były perfekcyjne, a wypolerowane powierzchnie aż lśniły.

Sirri machnęła skrzydłami, by wzbić się trochę wyżej, a potem przechyliła je tak, że wylądowała gładko między dwiema kolumnami. Auraya przestała udawać, że podlega siłom wiatru i przyciągania. Wyprostowała się i znieruchomiała w powietrzu, potem przesuwała się do przodu, aż stopami dotknęła środka podłogi świątyni.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że budowla ma proporcje właściwe dla ziemiochodzących - nie musiała się schylać, by nie uderzyć o sklepienie.

- To jest świątynia - oznajmiła cicho Sirri. - Zawsze tu była. Nasze zapisy mówią, że stała tutaj na długo przed stworzeniem

Siyee.

- To nie Siyee ją zbudowali?

- Nie. - Sirri pokręciła głową.

- Więc kto?

- Nikt tego nie wie. Może Huan.

Auraya skinęła, choć nadal była to dla niej zagadka. Bogowie mogą oddziaływać na ten świat jedynie za pośrednictwem ludzi, i to wyłącznie chętnych. Czyli w budowę musiał się zaangażować przynajmniej jeden człowiek. Być może Huan dała kamieniarzowi zdolność lotu, by mógł zbudować tę świątynię.

- To święte miejsce. Nawet ci z klanu Świątynnej Góry, którzy mają je pod opieką, rzadko tu przylatują. - Sirri rzuciła Aurai szybki uśmiech. - Nie chcemy bez potrzeby odrywać Huan od zajęć.

Auraya pogładziła dłonią powierzchnię kolumny. Nie było najmniejszych śladów zniszczenia czy starości.

- To zadziwiające...

- Mam jeszcze jedno pytanie, zanim odlecę - rzekła Sirri. - Mówcy chcieliby wiedzieć, kiedy pragniesz wyruszyć do Borra.

- Kiedy? Nigdy. - Auraya westchnęła. - Ale muszę, i to już wkrótce. Chcę się przekonać, czy zdołam namówić Elai, by się do nas przyłączyli.

- W takim razie życzę szczęścia. - Uśmiechnęła się Mówca. - Oni nie ufają obcym.

Auraya kiwnęła głową.

- Mówiliście mi. A jednak handlują z wami.

- My, stworzeni przez Huan, chcemy pozostawać w kontakcie. Klan Piasku handluje z Elai. Zanim wyruszysz, powinnaś się spotkać z ich Mówcą. Na pewno powie ci o ludzie morza więcej niż ja.

- Tak uczynię.

Sirri spoważniała nagle.

- A teraz, Aurayo z Białych, muszę cię opuścić. - Podeszła na krawędź świątyni i wyciągnęła rękę. - Widzisz tę rzekę?

Auraya stanęła przy niej i spojrzała w dół. Wstążka odbitego nieba wiła się wąskim jarem.

- Tak.

- Kiedy skończysz, poleć tamtędy. Klan Świątynnej Góry żyje w jaskiniach wzdłuż wąwozu.

Uśmiechnęła się jeszcze, potem wychyliła się poza krawędź i poszybowała w dół.

: *Aurayo.*

Wstrzymała oddech. Głos odezwał się w jej umyśle i był wyraźnie kobiecy.

: *Huan?*

: *Tak.*

Powietrze pojaśniało. Auraya cofnęła się, a serce zabiło jej mocno, gdy przed nią uformowała się świetlista postać. Osunęła się na kolana, a potem padła przed boginią na twarz.

: *Wstań, Aurayo.*

Auraya wykonała polecenie, drżąc cała z radości i grozy równocześnie. Stała sama przed jedną z Pięciorga. Choć należę do ich Wybranych, to przecież dla nich jestem całkiem zwykłym człowiekiem...

Huan uśmiechnęła się.

: *Nie jesteś zwykłym człowiekiem, Aurayo. Nie wybieramy zwykłych ludzi. Wybieramy tych, którzy posiadają nadzwyczajne talenty, a ty bez wątpienia okazałaś, że masz ich więcej, niż początkowo sądziliśmy.*

Huan mówiła to z aprobatą, choć Auraya wyczuła w jej głosie nutę ironii. Nie miała czasu się zastanowić, o co chodzi, gdyż bogini przemawiała dalej:

: *Jesteśmy zadowoleni z waszych dotychczasowych sukcesów w jednoczeniu Północnej Ithanii. A ja cieszę się szczególnie, widząc Siyee sprzymierzonych z Białymi. Przekonasz się jednak, że z moich dwóch ras z nimi łatwiej się zaprzyjaźnić. Twoja umiejętność latania nie zrobi wrażenia na Elai. Będą dla ciebie większym wyzwaniem.*

: *Jak mogę na nich wpłynąć?*

: *Sama musisz to odkryć, Aurayo. Oni sami muszą dokonać wyboru, więc nie będziemy się wtrącać, ani udzielając ci rad, ani*

wydając Elai polecenia.

: *Rozumiem.*

Wargi Huan rozciągnęły się w kpiącym uśmiechu.

: *Wątpię. Jesteś młoda i wiele musisz się jeszcze nauczyć. Zwłaszcza w sprawach sercowych. Nie przeszkadza mi, że bawisz się tym tkaczem snów, Aurayo. To do innych Białych należy decyzja, co jest lub nie jest do przyjęcia dla ludzi. Jednakże wysłuchaj mojego ostrzeżenia: taka miłość niesie tylko cierpienie. Bądź na nie gotowa. Twój lud potrzebuje twojej siły. Jeśli się zachwiejesz, mogą ucierpieć.*

Auraya poczuła na twarzy falę ciepła, kiedy po zaskoczeniu napłynęło zakłopotanie.

: *Będę.* Tylko tyle potrafiła powiedzieć.

Huan kiwnęła głową. Jej postać zmieniła się w kolumnę światła, potem przygasła, rozwiała się i znikła.

Kimyala, najwyższy kapłan wyznawców Gareilema, wolno wkładał swój wielowarstwowy octavestim, zgodnie z pradawnym rytuałem przodków. Układając i przewiązując kolejne elementy stroju, mruczał modlitwy do swego boga. Bardzo ważne było, by pamiętać każdy etap rytuału i każdy rytuał dnia.

Zapytał swojego mistrza, poprzedniego najwyższego kapłana, czemu tak jest. Wielki Shamila odpowiedział tylko, że ważne jest, by pamiętać.

Wtedy Kimyala nie zrozumiał. Dziś podejrzewał, że nie chciał zrozumieć, powodowany młodzieńczym zniecierpliwieniem dla powolnych, niekończących się rytuałów. Teraz pojmował to lepiej. Ważne jest, by pamiętać, gdyż zbyt mało jest takich, którzy pamiętają.

Niewielu jeszcze wierzyło. Cyrklianie uważali, że Gareilem jest martwy, i gardzili jego wyznawcami. Pentadrianie też w to wierzyli i litowali się nad Kimyalą. Tkacze snów zgadzali się z jednymi i drugimi, ale przynajmniej traktowali go z szacunkiem.

Kimyala był pewien tylko jednego: bogowie nie mogą umrzeć. To był jeden z odwiecznych sekretów wyznawców Gareilema. Niech

inni sobie wątpią, ale on i jego lud znali prawdę. Bogowie są istotami z magii i mądrości. Istnieją, dopóki istnieje magia, więc i Gareilem musi gdzieś istnieć, w jakiejś formie. Może pewnego dnia powróci. Jego milczenie może nawet być próbą ich wiary. Pozwalał, by malała liczba wyznawców, aż w końcu pozostaną tylko ci najbardziej lojalni.

Dokończywszy rytuału ubierania, Kimyala wyszedł z pokoju i wspiął się na dach starej świątyni. Gareilem był bogiem skał, piasku i ziemi. Jego świątynie budowano zawsze wysoka na zboczach gór. Tutaj, w pobliżu południowego wybrzeża Sennonu, wyrastało tylko kilka wzgórz. Świątynię wzniesiona na skalnym występie pośród morza wydm, ale brak roślinności wyższej od słonokrzewu sprawiał, że nic nie zasłaniało widoku na całą okolicę.

Stając na dachu, Kimyala rozejrzał się dookoła. Zwrócił uwagę na słońce, wiszące tuż nad horyzontem. Rytualna inkantacja na koniec dnia zabrzmiała mu w pamięci, ale czas jeszcze nie był odpowiedni. Po zachodniej stronie niewiele było do oglądania - tylko grzbiety kilku jeszcze wzniesień na brzegu. Zatoka Smutku rozciągała się przed nim, szarobłękitna. Trochę dalej wzdłuż brzegu Przesmyk Grya sięgał aż do południowego kontynentu. U jego podstawy leżała ciemna smuga, będąca miastem Diamyane.

Miasto leżało dostatecznie blisko, by mógł rozróżnić kreski dróg i grupy niskich domów między nimi. Przy dobrej pogodzie był w stanie dostrzec mieszkańców, nawet nie korzystając z lunety. Dzisiejszy lekki, ale uparty wiatr poderwał dość kurzu, by zamazać detale miasta. Nie było tam nic ciekawego. Oprócz... kiedy przyjrzał się uważniej, zauważył coś niezwykłego.

- Jedire! - wykrzyknął. - Przynieś moją lunetę! Szybko! Usłyszał kroki akolity, który studiował wiedzę w pokoju na dole. Kimyala spojrzał na słońce i uznał, że ma jeszcze kilka minut, zanim dotknie linii horyzontu. Już wkrótce zgaśnie światło i wszystko zniknie w ciemności.

Odgłos sandałów na kamiennych schodach zapowiedział pojawienie się Jedire. Chłopak dotarł na dach i wręczył Kimyali

lunetę. Najwyższy kapłan uniósł rurę do oka.

Odszukał miasto, a potem znalazł Przesmyk. Ciemna smuga, którą zauważył, teraz nabrała kształtów. W stronę Sennonu maszerowały kolumny ludzi; niektórzy nieśli chorągwie. W samym środku każdej czarnej płachty widniała biała, pięcioramienna gwiazda.

- Pentadrianie - stwierdził niechętnie, oddając akolicie lunetę.

Chłopiec uniósł ją do oka.

- Co oni robią?

- Nie wiem. Może to pielgrzymka.

- Niosą broń - oświadczył ściszonym głosem chłopiec. - Idą na wojnę.

Kimyala wyrwał mu lunetę i odwrócił się w stronę miasta. Przyłożył ją do oka, znowu odszukał pentadrian i dokładnie przyjrzał się maszerującym. Rzeczywiście, niektórzy mieli pancerze. Między nimi toczyły się ciężko wyładowane wozy. Kiedy patrzył, czoło czarnej kolumny sięgnęło miasta.

Zaklął pod nosem. Przez tych pentadrian stracił już dwóch uczniów. Niełatwo było ich utrzymać, kiedy tamci stale kręcili się w pobliżu, afiszując się swoimi bogactwami i mocami. A gdyby nawet to nie wystarczało, żeby skusić młodych chłopców, pozostawały jeszcze plotki o ich rytuałach płodności. Podobno urządzali orgie, podczas których wszyscy uczestnicy nosili maski, a czasami dołączali też do nich bogowie.

- To jest wojsko, prawda? - spytał Jedire. - Jak to możliwe, że zajęli Sennon?

Kimyala pokręcił głową.

- Nie wiem. Nikt nie próbuje ich zatrzymać.

- Jeśli nie przyszli, żeby na nas napaść, to kogo chcą najechać?

Odwrócił się i spojrzał na chłopca, któremu oczy aż błyszczały z podniecenia.

- Niech ci nie wpadnie do głowy żadna głupia myśl o dołączeniu do Ewarli i Gilare - ostrzegł go Kimyala. - Chłopcy giną w bitwach. Giną straszną śmiercią, cierpiąc okropny ból. A teraz odnieś tę lunetę

na dół, ale szybko. Muszę odprawić rytuał.

Kiedy Jedire odbiegł, Kimyala przyjrzał się słońcu. Ognisty dysk miał właśnie dotknąć horyzontu. Pora już przestać się przejmować złowróżbną obecnością armii w dole i rozpocząć rytuał.

27

Okno było otwarte i Danjin w myślach przeklął służących. Jak mogli do tego dopuścić? Figiel mógł się wydostać - i tkwić teraz przyciśnięty do zewnętrznego muru, w ogóle nie zdając sobie sprawy z groźby upadku.

Powinien wezwać służbę i nakazać komuś załatwić tę sprawę, ale odkrył, że nie może się powstrzymać i idzie w stronę otworu. Owiało go zimne powietrze. Przesunął się na krawędź... Poczuł, jak palce u nóg zginają się na brzegu parapetu, chłodzone wiatrem.

Jestem na krawędzi, pomyślał... i zmarszczył brwi. Dlaczego nie noszę butów?

Spojrzał poza swoje stopy, na ziemię daleko, bardzo daleko w dole... I wszystko zawirowało.

Nagle znalazł się u podstawy Białej Wieży, patrząc w górę. Powinien czuć się lepiej, skoro stał na dobrym, solidnym gruncie, ale to jedynie bardziej go przeraziło. Wieża wznosiła się nad nim, pochylała... Za późno zauważył pęknięcia.

Zobaczył, jak się rozpada, jak spadają ku niemu gruzy... Nie mógł się ruszyć. Odłamki runęły na niego deszczem, zasypały go, przygniotły. Starał się opanować grozę. Leż spokojnie, powtarzał sobie...

- Danjin.

Poczuł przypływ nadziei. Usłyszał kogoś, a to znaczy, że może leży tak blisko powierzchni, by zdążyli go odkopać...

Gardło miał suche i tak pełne kurzu, że nie potrafił wydać głosu.

Cierpliwości. Nie da się stąd wydostać szybko.

Ale przecież nie może zwlekać. Musi jakoś ostrożnie wykorzystać pozostałe jeszcze siły...

- Danjin! Obudź się!

Dłoń ścisnęła go za ramię. Ratunek!

- Danjin!

Ocknął się gwałtownie i rozejrzał po pokoju; ciasno owinął

wokół siebie koc - ale stopy miał gołe. Z góry patrzyła aa niego żona.

- Co?

Silava wyprostowała się i oparła ręce na biodrach.

- Na ulicy jest wojsko.

Wojsko? Wyplątał się z pościeli i podszedł za nią do okna. Od tej strony dom przylegał do jednej z głównych ulic miasta. Wyjrzał i zdumiony patrzył na kolumny maszerujących żołnierzy.

Budzili dziwne emocje. Hanijscy żołnierze zawsze byli widoczni w całym mieście, od gładkich dróg przy rezydencjach bogatych rodzin po nędzne uliczki dzielnic biedoty. Nigdy jednak nie widział aż tylu naraz. Równy tupot sandałów brzmiał tak pewnie i zorganizowanie...

- Nie tracą czasu - mruknął do siebie.

- Na co?

- Wczoraj wieczorem na spotkaniu Juran poinformował, że pentadriańska armia wkroczyła do Sennonu. Pentadrianie twierdzą, że ich celem jest uwolnienie świata od cyrklian - wyjaśnił. - Sporo czasu minęło, odkąd Hania musiała się zmierzyć z militarnym zagrożeniem. Wielu arystokratów wyrażało wątpliwości, czy nasza armia sobie poradzi. To powinno ich przekonać.

Przyjrzała się żołnierzom.

- A dokąd oni idą? Zastanowił się.

- Pewnie do Świątyni, żeby otrzymać błogosławieństwo bogów.

- Wszyscy naraz?

- Wraz z kapłanami urządzą takie widowisko, że młodzi ludzie będą się ustawiać w kolejkach, żeby wstąpić do wojska i wziąć udział w wielkiej przygodzie. Podobnie jak wojska innych krain, chociaż tamte nie mają wyboru. Wiążą ich traktaty z Białymi.

Przyglądała mu się w zadumie.

- To znaczy, że wolno ci o tym mówić?

- Tak. Od wczorajszego wieczora to wiedza powszechna.

- Nic nie mówiłeś, kiedy przyszedłeś do domu.

- Bo spałaś.

- Wieści tak ważne warte są obudzenia.

- Człowiek waha się przed przerywaniem komuś snu, kiedy samemu tak mu go brakuje.

Rzuciła mu mordercze spojrzenie. Rozłożył ręce.

- Czy sprawiłoby to jakąś różnicę, gdybyś się o tym dowiedziała pięć godzin wcześniej?

Zmarszczyła nos.

- Tak. Prawdopodobnie w ogóle bym nie spała. - Westchnęła. - Domyślam się zatem, że będziesz towarzyszył Aurai w tej wielkiej przygodzie?

Raz jeszcze popatrzył na maszerujących w dole żołnierzy.

- Prawdopodobnie tak, chociaż nie jestem ekspertem od wojskowości ani żołnierzem. Pewnie w efekcie będę wykonywał te same zadania co teraz, o czym wczoraj wieczorem mój ojciec nie omieszkał mi wielokrotnie przypomnieć.

Zaśmiała się.

- To do niego podobne. Powiedziałeś mu, że wiesz, iż wszyscy oni szpiegują dla Białych?

- Nie. Zmieniłem zdanie. Był nieznośnie pewny siebie. Auraya i ja uznaliśmy, że będzie zabawniej, jeśli pozwolimy mu wierzyć, że nic nie wiem.

Silava uniosła brwi.

- Wróciła?

Pokręcił głową i postukał palcem w skroń.

- Chciała zobaczyć reakcje arystokracji i ambasadorów. Są bardziej otwarci, kiedy w towarzystwie nie ma nikogo z Białych.

Znieruchomiała.

- Czy teraz też jest w twojej głowie?

- Nie. - Ujął jej dłoń, wspominając inne okazje, kiedy zirytowała ją wzmianka o Aurai patrzącej przez jego oczy. - To nie tak. Ona nie przejmuje mojego umysłu. Nadal jestem sobą. Może tylko słyszeć, co ja słyszę, i widzieć, co ja widzę.

Silava cofnęła rękę.

- Rozumiem. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ale nic nie poradzę, że mi się to nie podoba. Skąd mam wiedzieć, czy na mnie

patrzy, czy nie?

Zaśmiał się.

- Jest dyskretna.

- Brzmi to tak, jakby była twoją kochanką.

- Jesteś zazdrosna? Odeszła, unikając jego wzroku.

- Nie pochlebiaj sobie.

Ruszył za nią, szeroko uśmiechnięty. - Chyba jesteś. Moja żona jest zazdrosna o Aurayę z Białych.

- Ja... ona spędza z tobą więcej czasu niż ja. Przytaknął.

- To prawda. Otrzymuje ode mnie suche informacje o obyczajach, polityce i prawach. Wiem, że tak bardzo je lubisz. Tego ci brakuje? Mam ci opowiedzieć o prawach ustanowionych przez króla Genrii przed pięćdziesięciu laty? Albo licznych tradycjach i rytuałach podawania teho w wyższych sferach Sennonu?

- Masz w sobie tego więcej niż czegokolwiek innego - odparowała.

Chwycił ją za rękę i odwrócił do siebie.

- To może być prawdą, ale wszystko inne, co można mieć, oddaję tobie. Moją przyjaźń, mój szacunek, moje dzieci, nawet moje ciało... Choć pewnie nie widzisz nic wartościowego w tej smętnej, zaniedbanej formie.

Lekko zacisnęła wargi, ale z tego, jak pogłębiły się zmarszczki wokół jej oczu, poznał, że jest zadowolona i rozbawiona jego słowami.

- Na pewno masz nadzieję, że spróbuję cię przekonać, że jest inaczej. Byłabym głupia, gdybym cię o to nie podejrzewała.

Uśmiechnął się.

- A czy mogłabyś dla mnie przynajmniej udawać głupią? Wyrwała mu się i podeszła do drzwi.

- Nie mam na to czasu, a mój mąż z pewnością musi się spieszyć, by zgromadzić więcej suchych informacji do przekazania swojej kochance.

Westchnął ciężko.

- Jak mogę mierzyć się ze światem, wierząc w takie rzeczy na

swój temat?

Już w drzwiach obejrzała się z uśmiechem.

- Na pewno sobie poradzisz.

Gdyby Auraya nie wiedziała, że Siyee jest wielokrotnie więcej, niż w tej chwili zebrało się w Przestrzeni, mogłaby pomyśleć, że na jej pożegnanie przybyła cała rasa. Największa grupa stała pod występem, skąd na obu Zgromadzeniach przemawiali Mówcy. Inni obsiedli gałęzie ogromnych drzew po obu stronach. Pozostali szybowali w górze, rzucając na ziemię rozpraszające uwagę, ruchliwe cienie.

Kiedy wyszła spomiędzy drzew, wszystkie twarze zwróciły się ku niej i zabrzmiały ostre gwizdy. W ten sposób wyrażali entuzjazm... Uśmiechała się do nich - nie mogła przestać, choćby nawet chciała.

- Twoi ludzie są tacy przyjaźni - zwróciła się do Sirri. - Chciałabym tu zostać trochę dłużej.

Mówca parsknęła śmiechem.

- Bądź ostrożna, Aurayo. Choć chcielibyśmy mieć cię dla siebie, wiemy, jak jesteś ważna dla Północnej Ithanii i dla naszej własnej przyszłości. Jeśli za bardzo ci się u nas podoba, będziemy chyba musieli przestać być tacy mili.

- Wiele by trzeba, żebym zmieniła opinię o tobie i twoim ludzie - zapewniła Auraya.

Sirri przystanęła i przyjrzała jej się w zamyśleniu.

- Polubiłaś nas, prawda?

- Nigdy jeszcze nie byłam taka szczęśliwa jak tutaj.

- Jesteś jedyną ziemiochodzącą, przy której cały czas zapominam, że jest ziemiochodzącą. - Sirri zmarszczyła brwi. - Czy to ma sens?

Auraya zaśmiała się głośno.

- Owszem, ma. Ja też stale zapominam, że jestem ziemiochodzącą.

Dotarły do pierwszego w szeregu Mówców, stojących na brzegu występu. Auraya z każdym zamieniła kilka słów - dziękując za

gościnność, jeśli odwiedziła jego klan, albo obiecując odwiedziny w przyszłości, jeśli tego nie uczyniła. Mówca Tyrli, stojący na końcu szeregu, był przywódcą klanu Piasku. Ten poważny starszy mężczyzna oraz kilku członków jego klanu, którzy przybyli do Przestrzeni na Zgromadzenie, mieli odprowadzić ją na wybrzeże.

- Nie mogę się już doczekać naszej wspólnej podróży i zobaczenia twojego domu, Mówco Tyrli - powiedziała.

Skinął głową.

- To zaszczyt móc udzielić pomocy Wybranej Bogów.

Wyczuła, że jest trochę onieśmielony. Zrobiła jeszcze parę kroków i zatrzymała się obok Mówcy Sirri, która zwróciła się do tłumu patrzących.

- Ludu gór. Klany Siyee. My, Mówcy, wezwaliśmy was tutaj, by pożegnać gościa na naszej ziemi. Jak wszyscy wiecie, nie jest to zwyczajny gość. To Auraya, jedna z Wybranych, nasz sprzymierzeniec. - Spojrzała na kapłankę. - Leć wysoko, leć szybko, leć dobrze, Aurayo z Białych.

Tłum powtórzył te słowa. Auraya uśmiechnęła się i wystąpiła naprzód.

- Mieszkańcy Si, dziękuję wam za waszą gościnność. Każda spędzona wśród was chwila była radością. Zasmuca mnie, że muszę stąd odejść, i zaraz po odlocie będę niecierpliwie czekać powrotu. Życzę wam tego, co najlepsze. Niech bogowie was strzegą.

Oburącz wykonała znak kręgu. Sporo dzieci w tłumie powtórzyło ten gest. Powietrze wibrowało od entuzjastycznych gwizdów.

Podszedł Tyrli.

- Pora ruszać - wymruczał.

Pochylił się, rozłożył skrzydła i zeskoczył ze skały. Wiatr wzniósł go wyżej. Auraya uniosła się w powietrze i ruszyła za nim.

Wtedy spośród drzew wylecieli Siyee i przyłączyli się do niej; niektórzy ciągle gwizdali. Śmiała się głośno, gdy ta młodociana eskorta zataczała kręgi dookoła.

Kiedy oddalili się od Przestrzeni, niektórzy zaczęli oglądać się za siebie. Stopniowo ich liczba malała - zawracali kolejno, a niektórzy

żegnali ją jeszcze ostatnim gwizdnięciem. W końcu został tylko Tyrli i jego ludzie.

Czas zdawał się zwalniać. Podczas lotu Siyee zwykle zachowywali milczenie. Jeśli już się porozumiewali, zwroty najczęściej używane - kierunki czy polecenia - od dawna zastępowali gwizdami. Rozmowa w powietrzu wymagała lotu blisko siebie, by dało się rozróżniać słowa. Siyee nie czuli się dobrze, lecąc w zbyt ścisłym szyku. Uważali, że jest im ciasno.

Dlatego Auraya zdziwiła się, kiedy Tyrli zwolnił i zbliżył się do niej, by porozmawiać.

- Chciałaś dowiedzieć się więcej o Elai - zaczął. Kiwnęła głową.

- Rządzi nimi król - powiedział. - Jeden przywódca zamiast wielu.

- Mają klany?

- Nie. Kiedyś mieli. Jeden na każdą wyspę. Teraz mało kto mieszka poza główną wyspą.

- Dlaczego?

- Od wielu lat atakowali ich ziemiochodzący. Niebezpiecznie jest żyć na zewnętrznych wyspach. - Spojrzał na nią z ponurą miną. - Z tego powodu Elai nie lubią ziemiochodzących.

Auraya zmarszczyła czoło.

- Dlaczego ziemiochodzący ich napadali?

- Żeby rabować. Skrzywiła się.

- Piraci...

- Tak. Elai są w sytuacji o wiele gorszej niż Siyee. Bardzo wielu zabili ci ziemiochodzący. Żyje wiele tysięcy Siyee, ale ledwie kilka tysięcy Elai.

- Wszyscy mieszkają w tym mieście? Widziałeś je? Wydawał się zasmucony.

- Nikt prócz Elai go nie widział. Tylko oni mogą tam dotrzeć. Leży w wielkiej grocie, do której trzeba płynąć przez podwodne tunele. Podobno jest bardzo piękne.

- Podwodne miasto... Tam nie muszą się obawiać piratów.

Ale jak ma rozmawiać z Elai, jeśli żyją pod wodą? Czy bogowie

zamierzali zesłać jej Dar oddychania wodą?

- Nie podwodne - odparł Tyrli. Miała niemal wrażenie, że się uśmiechnął. - Oni co prawda żyją w wodzie, ale oddychają powietrzem. Tylko że ten oddech mogą wstrzymywać na bardzo długo.

Patrzyła na niego zdumiona.

- Czyli legendy kłamią... Pokrywają ich łuski? Mają rybie ogony zamiast nóg?

Zaśmiał się.

- Nie i nie.

Wychwyciła obraz z jego myśli: prawie nagi, bezwłosy człowiek o ciemnej, lśniącej skórze i szerokiej klatce piersiowej.

- Huan dała im grubą skórę, żeby mogli zostawać w wodzie przez wiele godzin, i wielkie płuca, żeby mogli długo wytrzymać bez oddychania. Dała im też płetwy... ale nie takie jak u ryb. Ich płetwy tak są podobne do rybich jak nasze skrzydła do ptasich. Zrozumiesz, kiedy ich zobaczysz.

Kiwnęła głową.

- Czy jakiś ziemiochodzący kiedyś się z nimi zaprzyjaźnił?

Zastanowił się.

- Jeden. Dawno temu. Nas także odwiedzał. Słyszałem, że znał tajemną drogę do Si, choć teraz nawet Siyee nie wiedzą, którędy ona prowadzi. Wielu ludzi go lubiło. Był wybitnym uzdrowicielem. Potrafił wyleczyć skrzydła, które były nieodwracalnie uszkodzone.

- Musiał być potężnym czarownikiem. Jak się nazywał? Milczał przez chwilę, marszcząc brwi, wreszcie kiwnął głową.

- Miał na imię Mirar. Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Mirar? Twórca tkaczy snów? Przytaknął.

- Tkacz snów... Tak, zgadza się.

Auraya odwróciła wzrok, ale ledwie zauważała teren pod sobą. Myślała o tym odkryciu. Czy to naprawdę takie dziwne, że dawno temu wędrował po tych górach Mirar? Potem sobie przypomniała: Leiard mówił, że ma wspomnienia o Siyee. Czy to wspomnienia Mirara? A jeśli tak, czy ma również wspomnienia o Elai?

Przygryzła wargę. Może dziś wieczorem, kiedy połączy się z nią we śnie, zapyta go o lud morza. Wydawało się wprawdzie, że Elai potrzebują pomocy Białych nawet bardziej niż Siyee, ale podejrzewała, że ich niechęć do ziemiochodzących może utrudnić negocjacje. Może Leiard będzie wiedział, jak zdobyć ich zaufanie. Potrzebowała wszelkich dostępnych informacji.

Z uśmiechem zwróciła się znowu do Tyrli.

- No więc jak długo twój klan handluje z Elai?

Drilli westchnęła ciężko i wyszła za rodzicami z altany. Szli na kolejne spotkanie rozbitego klanu Wężowej Rzeki. Rodziny mieszkające z innymi klanami wykorzystywały Zgromadzenia jako okazję, by spotkać się w jednym miejscu i omówić plany na przyszłość.

Drilli obejrzała się na altanę rodziny Tryssa, choć wiedziała, że nie ma go w domu. Na pewno szkoli innych Siyee w używaniu uprzęży. Nawet jego kuzyni nie kręcili się w pobliżu.

Ojciec zauważył, co ją zainteresowało, i z dezaprobatą zmarszczył brwi. Odwróciła wzrok, choć miała ochotę rzucić mu wyzywające spojrzenie. Posłusznie ruszyła za nim leśną ścieżką.

Jak on może mi to robić?

Przez długie miesiące prowadzili swoistą grę. Z początku była to taka żartobliwa zabawa - pytał ją, co sądzi o jakimś młodym człowieku, ona udzielała jakiejś uprzejmej, wymijającej odpowiedzi, ojciec kiwał głową i zostawiał ten temat.

W końcu poznała Tryssa. Nie był silniejszy ani lepiej urodzony niż inni kandydaci, których proponował ojciec, ale był interesujący. W towarzystwie większości młodych ludzi ze swojego klanu zwyczajnie umierała z nudów. Zresztą w towarzystwie starszych również. Z wyjątkiem dziadka... ale dziadek zginął w czasie inwazji na ich domy.

I tak jak dziadek, Tryss był pomysłowy. Myślał o różnych rzeczach - ale naprawdę myślał. Nie udawał, nie przechwalał się, by zwrócić jej uwagę. Po prostu patrzył na nią tymi poważnymi, spokojnymi oczami...

Ojciec stracił cierpliwość, kiedy się dowiedział, że tak dużo czasu spędza z Tryssem. Nie potrafił podać żadnego powodu swojej niechęci do syna sąsiadów - prócz tego, że nie pochodził z klanu Wężowej Rzeki.

Dla Zylla uchronienie klanu od wchłonięcia przez inne było ważniejsze niż cokolwiek innego, nawet - jak się przekonała - szczęście własnej córki. Zakazał jej rozmów z Tryssem. A te klanowe spotkania wykorzystywał, by szukać dla niej męża.

Nic nie mogła na to poradzić. Prawo Siyee mówiło, że rodzice mogą zaaranżować pierwsze małżeństwo dziecka. Wczesne związki były niegdyś bardzo ważne, gdyż zwiększały szanse na narodziny zdrowych dzieci.

Zawsze mogę żądać rozwodu, pomyślała. Musimy zostać razem tylko dwa lata... Ale te dwa lata wydawały się wiecznością. W tym czasie Tryss może sobie znaleźć inną. A ja mogę mieć dzieci.

Skrzywiła się. Przecież nawet nie wiem, czy Tryss chce się ożenić. Kłopot z tymi spokojnymi typami polega na tym, że nie wiadomo, czego właściwie chcą. Bez wątpienia bardzo ją lubił i czuł do niej pociąg - tego była pewna.

Błysk światła zwrócił jej uwagę - z przodu zobaczyła kilka lamp ustawionych wokół polanki. Wprawdzie wieczór dopiero się zbliżał, ale drzewa tutaj rosły tak blisko siebie, że do ziemi docierało niewiele dziennego światła.

Jedna lampa stała pośrodku, a wokół usiadło kilkoro kobiet i mężczyzn. Rozpoznała Stylla, Mówcę jej klanu. Obok siedział najnowszy wybrany przez ojca konkurent, Sveel. Chłopak uśmiechnął się do niej, a ona poczuła wyrzuty sumienia.

Najwyraźniej entuzjastycznie podchodził do planowanego małżeństwa.

Zauważyła siedzącą obok Stylla kobietę i trochę się zdziwiła. Między członkami jej klanu zasiedli Mówca Sirri i jej syn Sreil. Szaleńcza myśl przyszła Drilli do głowy - może Sirri też szuka żony dla syna? Może Sreil i Sveel będą musieli o nią walczyć? Stłumiła śmiech, wyobrażając to sobie. Masz pecha, Sreil. Ojciec nie zgodzi

się na nikogo urodzonego poza klanem Wężowej Rzeki - nawet syna przywódczyni wszystkich Siyee.

Jej rodzina zasiadła w kręgu, a ojcu udało się skierować ją do miejsca obok Sveela. Zmuszała się, by z nim rozmawiać - dlaczego miałaby być niegrzeczna? Jeśli już musi za niego wyjść, to lepiej żyć z nim w zgodzie. Zresztą nie był niesympatyczny, tylko nieciekawy i niezbyt błyskotliwy.

- Czemu zawdzięczamy twoją obecność, Mówco Sirri? - zapytał jej ojciec. - Słyszałem, że nie zgadzasz się z naszymi tradycjami małżeńskimi.

- Nie to, że się nie zgadzam, Zyll - odparła z uśmiechem Sirri. - Uważam po prostu za głupie, by Siyee tak młodo wchodzili w związki. W wieku czternastu lat nie są jeszcze w pełni rozwiniętymi osobnikami.

- I dlatego najlepiej, żeby to rodzice wybierali im partnerów.

Pokręciła głową.

- Gdybyś miał rację... Wśród związków zaaranżowanych przez rodziców widziałam już tyle samo złych, co dobrych. Być może rodzice starannie dokonują wyborów, ale nie zmienia to faktu, że ich synowie czy córki nie stali się jeszcze osobami, jakimi będą. Czy mogą wybrać im odpowiedniego partnera, jeśli nie wiedzą jeszcze, jaki charakter będzie miał ich potomek?

Zyll spojrzał niechętnie.

- Tu nie chodzi tylko o charakter. Chodzi też o więzy krwi i związki klanowe.

Uniosła brwi.

- Już ponad sto lat temu Huan zwolniła nas z praw zakazujących krzyżowania.

- Ale nie chcemy cofać się do stanu, gdy połowa naszych dzieci rodziła się...

- Teraz to już nam prawie nie zagraża - przerwała mu Sirri. Jej oczy stały się nagle lodowate. Drilli przypomniała sobie, że pierwsze dziecko Mówcy urodziło się bez skrzydeł, było słabe i zmarło w niemowlęctwie. - Jest nas dostatecznie wielu, by takie rzeczy

zdarzały się rzadko.

- Nie mówię o kontaktach międzyklanowych - wyjaśnił Zyll. - Mówię o związkach w ramach klanu. Mój klan jest rozproszony. Zniknie za kilka lat, jeśli nie będziemy ostrożni.

Twarz Sirri zmieniła się delikatnie, stała się jednocześnie bardziej zamyślona i groźniejsza.

- Nie musisz się już o to martwić. Biali oddadzą wam wasze ziemie, a dzięki młodemu Tryssowi macie już skuteczne środki ich obrony.

Zyll zesztywniał na wzmiankę o Tryssie.

- Jeśli nawet, to i tak musimy wzmocnić więzy między naszymi rodzinami. Inaczej po powrocie odkryjemy, że jesteśmy sobie całkiem obcy.

Uniosła brwi, ale po chwili z szacunkiem kiwnęła głową.

- Jeśli musicie posuwać się do takich metod, by dodać sobie pewności, to widać istnieje taka konieczność. Będzie mi brakowało waszej rodziny tutaj, w Przestrzeni. - Spojrzała na Sveela. - Szkolisz się z wojownikami, prawda? Jak ci idzie?

Sveel wyprostował się.

- Jest ciężko, ale codziennie ćwiczę.

- Dobrze. Przyda ci się to, żeby bronić waszej ziemi, kiedy wrócicie. I właśnie o tym chciałam z wami wszystkimi porozmawiać. - Urwała i spojrzała na syna. - Sreil, przyniosłeś ten koszyk?

Chłopiec zamrugał, a potem szeroko otworzył oczy.

- Oj, zapomniałem. Przepraszam. Westchnęła ciężko, kręcąc głową.

- No to idź po niego. Przynieś też trochę wody.

- A niby jak mam nieść to wszystko naraz?

- Zabierz Drilli.

Dziewczyna zamrugała zdziwiona, a potem spojrzała pytająco na ojca. Kiwnął przyzwalająco głową, chociaż nie wyglądał na zachwyconego. Wstała więc i ruszyła za Sreilem.

Syn Sirri narzucił szybkie tempo i po chwili głosy rozmów ucichły. Obejrzał się wtedy i zwolnił, by mogła go dogonić.

- Czyli wychodzisz za mąż - powiedział. Wzruszyła ramionami.

- Na to wygląda.

- Ale jakoś nie zdradzasz entuzjazmu.

- Nie? - rzuciła ironicznie.

- Nie. Nie lubisz Sveela, co?

- Jest w porządku.

- Ale to nie za niego chciałabyś wyjść? Zmarszczyła czoło.

- Czemu pytasz? Uśmiechnął się.

- Na trei - trei było dość oczywiste, kto zyskał twoje względy, Drilli. Więc dlaczego nie wyjdziesz za Tryssa? Jest teraz sławniejszy niż założyciele.

Żal ścisnął jej serce.

- Bo nie mam wyboru.

- Oczywiście, że masz. Westchnęła.

- Mam? Od tygodni nie rozmawiałam z Tryssem. On też nawet nie próbował. Skąd niby mam wiedzieć, czy w ogóle chce się ze mną ożenić?

- Mógłbym go o to zapytać. Serce jej zamarło.

- Zrobiłbyś to?

- Oczywiście.

Zachichotał z zadowoleniem, a ją natychmiast ogarnęły podejrzenia.

- A co ci z tego przyjdzie, Sreil? Czemu nam pomagasz? Spojrzał na nią, nadal rozbawiony.

- Dlatego że... - Przygryzł wargę i zastanowił się. - Nie powinienem mówić.

Zmierzyła go groźnym wzrokiem.

- No wiesz... - Skrzywił się. - Twój ojciec jest takim klanowym snobem. Nie tylko dlatego że nie dopuszcza nawet myśli o oddaniu cię komuś, kogo wynalazek może ocalić jego lud i zwrócić ziemię... choć to już naprawdę przesada. Chodzi o inne rzeczy, które mówił i robił, odkąd tu przybył. - Jego twarz, dotąd gniewna, przybrała przepraszający wyraz. - Wybacz.

Kiwnęła głową. To, co mówił, było prawdą, choć czuła się nieco

urażona, że w taki sposób postrzegana jest jej rodzina. Przecież po wszystkim, co przeżyli...

- Mama uważa, że prawdopodobnie miałaś swój udział w sukcesie Tryssa - dodał. - Może cię jeszcze potrzebować, więc głupio byłoby mu ciebie odbierać.

Zamrugała zdziwiona i już miała zaprzeczyć, kiedy przypomniała sobie, że to ona pokazała mu, jak się używa dmuchawek. To on wpadł na pomysł, żeby wbudować dmuchawkę w uprząż, ale gdyby nie ona...

- Spytaj go - powiedziała. - Ale nie mów dlaczego. Wolałabym, żeby nie żenił się ze mną tylko po to, by uratować mnie przed wyjściem za kogoś innego. Musi po prostu chcieć zostać moim mężem.

Sreil wyszczerzył zęby.

- Dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

28

Millo Baker był człowiekiem spokojnym. Leiard rozumiał, że ojciec Jayima bardziej docenia bycie zadowolonym niż szczęśliwym. Millo może nie był swym życiem przesadnie uradowany, ale też nie był w nim nieszczęśliwy.

Przy porannym posiłku rzadko kiedy przyłączał się do żony, syna i gościa. Dziś jednak atak zwykłej zimowej infekcji zmusił go do odpoczynku. Zaskoczył Leiarda tym, że był nadzwyczajnie rozmowny, powtarzając im wszystkie wieści, które słyszał - czy to oficjalne informacje, czy tylko domysły. Zdarzało się jednak, że lek, który Leiard mu zaaplikował, wywoływał u ludzi taki efekt.

- Byłeś w Świątyni? - zapytał tkacza snów.

- Nie, odkąd odleciała Auraya. Millo pokręcił głową.

- Nigdy jeszcze nie widziałem tylu żołnierzy. Musi tam być cała armia. Kolejki mężczyzn i kobiet, którzy chcą wstąpić do wojska, sięgają aż poza bramę i ciągną się jeszcze dwie przecznice dalej wzdłuż drogi.

Tanara zmarszczyła czoło i spojrzała na Jayima.

- Całe szczęście, że nie biorą tkaczy snów.

Twarz chłopaka nie zdradzała żadnych emocji, ale Leiard wyczuł u niego mieszaninę ulgi, poczucia winy i irytacji.

- A ty wiesz coś o tych pentadrianach, Leiardzie? - zapytał Millo.

Tkacz wzruszył ramionami.

- Niewiele. Tylko tyle, ile powiedzieli mi inni tkacze snów. Są młodym kultem, mają najwyżej kilkaset lat. Oddają cześć pięciu bogom, jak cyrklianie.

- Prawdziwym bogom czy martwym? - zainteresował się Millo.

- Nie wiem. Ich imiona są dla mnie obce.

- A jak się nazywają?

- Sheyr, Ranah, Alor, Sraal i Hrun.

- Może to dawni, martwi bogowie, którzy na południowym kontynencie noszą inne imiona - zasugerował Jayim.

- Możliwe - zgodził się Leiard, zadowolony, że uczeń o tym pomyślał.

Chłopak rozpromienił się.

- A może to ci sami bogowie, w których wierzą cyrklianie, tylko inaczej nazywani?

- To by nie miało sensu - zauważyła Tanara. - Posyłaliby swoich własnych wyznawców do walki z innymi wyznawcami.

Leiard popatrzył na nią zamyślony i pokręcił głową.

- Nie, nie widzę w tym dla nich żadnej korzyści. Zmarszczyła brwi.

- Myślisz, że zrobiliby coś takiego, gdyby mogli na tym skorzystać?

- Możliwe.

- Ale to by było niewyobrażalnie okrutne.

- Bogowie nie są tacy szlachetni ani sprawiedliwi, jak każą nam wierzyć cyrklianie. - Leiard usłyszał własny głos. - My, tkacze snów, pamiętamy, co robili w przeszłości, zanim zaczęło się to przedstawienie z troską o śmiertelnych. Wiemy, do czego są zdolni.

Tanara patrzyła na niego ze zgrozą. Mirarze, pomyślał surowo Leiard, mówiłem ci, żebyś tego nie robił.

Owszem, mówiłeś. Ale jak możesz mnie powstrzymać? odpowiedział mu tamten głos. Leiard zignorował to pytanie. Co chcesz osiągnąć, strasząc ją w ten sposób? *Teraz kolejna osoba zna prawdę.* A jak to jej pomoże? Mirar nie odpowiedział. Tanara odwróciła wzrok.

- W takim razie miejmy nadzieję, że zechcą kontynuować to przedstawienie - wymruczała.

Jayim obserwował Leiarda spod zmrużonych powiek.

- A co te twoje wspomnienia mówią o pentadrianach?

- Nie mam takich wspomnień. Mówiłem już: wszystkiego, co wiem, dowiedziałem się od tkaczy snów w Somreyu.

- Przez połączenie snów? - Tak.

Jayim zmarszczył czoło. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale westchnął tylko i pokręcił głową.

- Co o nich myślą? - zapytał po chwili.

- Tkacze snów nie mają się czego obawiać ze strony pentadrian. Południowy kult traktuje nas ze współczuciem, nie z lękiem czy niechęcią. Co dowodzi - dodał - że ich bogowie nie są tymi samymi, co cyrkliańscy.

Chłopiec przytaknął powoli i z namysłem.

- Czy przyłączymy się do wojny?

- Tkacze snów nie walczą - przypomniał mu Leiard.

- Wiem, ale czy ruszymy jako uzdrowiciele?

- Zapewne.

Tanara szeroko otworzyła oczy. Spojrzała na syna i zagryzła wargi. Millo zmarszczył czoło.

- Będziemy całkiem bezpieczni - uspokoił ich Leiard. - Pentadrianie rozumieją, że opiekujemy się wszystkimi, niezależnie od rasy i religii. Nasze Dary będą nas chronić od nieszczęśliwych wypadków i nieporozumień. - Zerknął na Jayima. - Dla Jayima będzie to dobra okazja, żeby doskonalić sztu...

Przerwało mu pukanie. Spojrzeli po sobie, potem Millo wstał i ruszył do drzwi.

Leiard wychylił swój kubek i odszedł od stołu. Jayim już wcześniej skończył jeść - jak większość chłopców w tym wieku był bezustannie głodny. Wstał także i ruszył za Leiardem do schodów prowadzących na dach.

- Zaczekajcie obaj! - zawołał Millo.

Odsunął się od drzwi. Do środka weszła kobieta, a Leiard zamrugał zdumiony, widząc strój tkacza snów i znajomą twarz.

- Starsza tkaczy snów Arleej - powiedział, dotykając serca, ust i czoła.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała tym samym gestem.

- Doradco tkaczu snów Leiardzie...

- Dobrze znów cię zobaczyć. Co u ciebie słychać?

- Jestem trochę zmęczona. Dopiero przyjechałam.

- Na pewno chętnie coś zjesz i napijesz się czegoś gorącego - wtrąciła Tanara. - Usiądź.

Usadowiła Arleej przy stole i wybiegła. Leiard zajął miejsce obok Starszej i skinął na Jayima, stojącego niepewnie przy schodach, by do nich dołączył. Millo poczłapał do swojego pokoju.

- Co cię sprowadza do Jarime? - spytał Leiard. Arleej uśmiechnęła się krzywo.

- Nie słyszałeś? Będzie wojna. Wydaje się, że ty i Auraya w ostatniej chwili przekonaliście nas do przymierza.

Leiard uśmiechnął się. W jej głosie nie było pretensji, tylko ironia.

- Nic dziwnego, że jesteś zmęczona. Czy płynęłaś statkiem z setkami żołnierzy, czy może somreyańscy tkacze snów zdobyli cały dla siebie?

Pokręciła głową.

- Podróżujemy małymi grupkami na statkach kupieckich, przybywających przed somreyańską armią i po niej. Wspomnienia masakr tkaczy snów na kontynencie wciąż są żywe. W taki sposób mniej zwracamy na siebie uwagę.

- Nie sądzę, by cokolwiek wam groziło, gdybyście przybyli wszyscy naraz z somreyańskim wojskiem.

- Chyba masz rację. Widok żołnierzy innego kraju, którzy doceniają tkaczy snów, mógłby skłonić Hanijczyków do podobnego postępowania. Jednak dawne przyzwyczajenia i lęki trudno jest pokonać, zwłaszcza nam. - Arleej przyglądała mu się uważnie, wręcz niepokojąco. - A jak u ciebie, Leiardzie? Czy łączenie z Jayimem pomogło ci zapanować nad wspomnieniami łącza?

Leiard wyczuł zaskoczenie ucznia.

- Czynię pewne postępy z moimi...

- Nie łączy się ze mną - przerwał mu Jayim. - Uczy mnie wszystkiego oprócz łączenia umysłów i łączenia snów.

Arleej spoglądała to na jednego, to na drugiego. Zatroskana marszczyła brwi.

- I jeszcze przez cały czas coś do siebie mamrocze - dodał z napięciem chłopiec. - Czasami jakby w ogóle nie wiedział, że stoję obok. Albo mówi dziwne rzeczy jakimś obcym głosem.

- Leiardzie... - Głos Arleej był spokojny, ale brzmiał w nim tłumiony lęk. - Czy wiesz...? Jesteś...? - Pokręciła głową. - Wiem, że rozumiesz, jakie jest ryzyko. Czy ten twój sekret jest tak ważny, że poświęcisz dla niego własną tożsamość... własny rozum?

Zadrżał. Mój rozum... Może już go straciłem. Słyszę głosy... a przynajmniej jeden.

Myślisz, że tracisz rozum? wtrącił Mirar. *Życie w twoim umyśle każdego może doprowadzić do obłędu.*

Jeśli ci się nie podoba, to możesz sobie iść.

- Leiard?

Uniósł wzrok. Arleej przyglądała mu się niespokojnie. Westchnął i potrząsnął głową.

- Nie mogę się łączyć z Jayimem. - Zwrócił się do swego ucznia. - Przykro mi. Powinieneś sobie poszukać innego nauczyciela. Ktoś z Somreyan z pewnością...

- Nie! - wykrzyknął Jayim. - Jeśli to, co mówi Ar... Starsza tkaczy snów Arleej, jest prawdą, bez mojej pomocy zwariujesz. - Przerwał i nabrał tchu. - Jakikolwiek sekret ukrywasz, zachowam go. Nikomu nie powiem.

- Nie rozumiesz - odparł łagodnie Leiard. - Jeśli zdradzę ci ten sekret, już nigdy nie będziesz mógł się połączyć z żadnym tkaczem snów. Nie chcę tak ograniczać twojej przyszłości.

- Jeśli to niezbędne, by cię ocalić, zrobię to.

Leiard patrzył na niego zaskoczony. Kiedyż to, przez ostatnie miesiące, chłopak stał się taki lojalny? Arleej gwałtownie wypuściła powietrze.

- Sama nie wiem, Jayim. Zapłaciłbyś bardzo wysoką cenę. - Jej twarz wyrażała udrękę. - Jak... jak długo Jayim musiałby dochować tego sekretu?

Na zawsze... Leiard potrząsnął głową. To niesprawiedliwe, ale nie mógł już odwrócić przeszłości.

Wiesz przecież, że ten romans nie może trwać długo, szepnął Mirar. *W końcu i tak zostanie odkryty, więc możesz powiedzieć o nim Jayimowi.*

A dlaczego chcesz, żeby się skończył? Wydawało mi się, że całkiem ci się podobają te połączenia snów.

Jest pionkiem bogów. Bawi mnie ironia sytuacji. Może następnym razem sam się z nią trochę zabawię.

Leiarda ogarnęły mdłości. Czy Mirar mógłby się wtrącić do połączenia snu?

Mogę ci pokazać parę rzeczy, o których myślałeś, że ich nie znasz.

Nie ośmielisz się. Gdyby Auraya wiedziała, że masz taką władzę...

To co by zrobiła? Zabiła mnie? Ale wtedy zabiłaby i ciebie. Myślę, że nie byłoby to dla niej takie trudne, gdyby się dowiedziała, że w bardzo nieodpowiednim momencie jej kochanek może się zmienić w znienawidzonego Mirara.

Leiard westchnął. Więc co powinienem zrobić?

Wyjedź z Jarime. Zamieszkaj gdzieś daleko, gdzie Auraya cię nie znajdzie. Ucz Jayima łączenia umysłów.

Jeśli Arleej ma rację, to będzie oznaczało koniec twojego istnienia.

Nie chcę już istnieć. To jest Era Pięciorga. Mój czas to przeszłość, kiedy żyło mnóstwo bogów, a nieśmiertelni wędrowali po świecie - okres, który teraz nazywają Erą Wielu. A może też daleka przyszłość, ale tego nie wiem.

Leiarda zdumiało to wyznanie. Jeśli ten cień Mirara nie chciał dłużej istnieć, to dlaczego tak się przejmował bezpieczeństwem swego gospodarza?

Drugi głos nie odpowiedział.

No dobrze, pomyślał. Ale najpierw przyłączę się do tkaczy snów idących na wojnę.

Spodziewał się protestu Mirara, gdyż podążanie za wojskiem oznaczało przebywanie w pobliżu Białych - i Aurai - ale głos milczał. Leiard odetchnął z ulgą i spojrzał na Arleej.

- Mogę to zrobić, tylko jeśli razem z Jayimem opuścimy Jarime - oświadczył. - Przyłączę się do udzielania pomocy rannym w tej

wojnie. Potem znikniemy na jakiś czas. Z innymi tkaczami snów spotkamy się w przyszłości, kiedy to znowu będzie bezpieczne. - Zwrócił się do Jayima. - Nigdy nie będziesz mógł się znaleźć w obecności nikogo z Białych. Potrafią czytać myśli o wiele dokładniej niż jakikolwiek czarownik.

Jayim zmarszczył brwi.

- Jeśli mogą czytać w moich myślach, to mogą i w twoich. I czy nie odkryją w nich twojego sekretu?

- Nie.

- Ale przecież jesteś doradcą.

- Już niedługo. Zrezygnuję, kiedy tylko będę gotów do wyjazdu.

- Dlaczego nie teraz?

- Mogliby chcieć się ze mną spotkać, żeby poznać przyczyny. Gdy odbiorą moją wiadomość, chcę być już daleko stąd.

Jayim szeroko otworzył oczy.

- To musi być ważna tajemnica... Arleej uśmiechnęła się posępnie.

- Tak. Mam nadzieję, że warta jest tych kłopotów.

- Jakich kłopotów?

Obejrzeli się wszyscy. W drzwiach stała Tanara, trzymająca tacę z jedzeniem. Gdy Arleej tłumaczyła jej, o co chodzi, Leiarda ogarnęły wyrzuty sumienia. Zamierzał zabrać Jayima daleko od rodziny; być może chłopak nigdy już nie wróci. A potem nowa myśl przyszła mu do głowy i jęknął zrozpaczony.

- O co chodzi? - zdziwiła się Arleej. Spojrzał na nią przepraszająco.

- Biali mogą dowiedzieć się od ciebie i Bakerów, że wyjechałem, ponieważ miałem jakąś tajemnicę, którą chciałem przed nimi ukryć.

Skrzywiła się.

- To byłby dostateczny powód, żeby wysłać ludzi, którzy was odszukają i sprowadzą z powrotem. - Wzruszyła ramionami. - Ja i tak nie mam zamiaru się do nich zbliżać. - Spojrzała na Tanarę. - Wątpię, czy Biali zechcą szukać ciebie i twojego męża. Za bardzo są zajęci przygotowaniami do wojny. Ale na wszelki wypadek, czy

moglibyście przez kilka tygodni przebywać gdzie indziej? Jeśli potrzebujecie pieniędzy na mieszkanie, możemy ich dostarczyć.

- Millo ma brata mieszkającego na północy - oświadczyła Tanara. - Już od dłuższego czasu go nie odwiedzaliśmy.

- No to odwiedźcie. Myślę, że ja sama bez trudu mogę się trzymać z dala od Białych, jeśli tylko będą mieli doradcę tkacza snów, żeby się z nim konsultować. - Zwróciła się do Leiarda. - Zastanowiłeś się już, kto może objąć tę funkcję?

Pokręcił głową.

- To powinna być twoja decyzja. Albo Aurai. Zacisnęła wargi, a potem zmrużyła oczy.

- Ponieważ Auraya jest nieobecna, a inni Biali zajęci przygotowaniami wojennymi, sprawa pewnie będzie odłożona do jej powrotu. Chyba że zaproponuję jakichś kandydatów. Hmm... To wymaga pewnego namysłu. - Przez chwilę postukiwała palcem o blat stołu. - Moi ludzie wyruszą przed wojskiem. Zawsze będziemy więcej niż dzień drogi od cyrklian. Biali nie będą wiedzieli, że jesteś przy mnie, a nawet gdyby to odkryli, będą zbyt zajęci, żeby cię szukać. Wolałabym być pod ręką, dopóki nie rozwiążesz tej sprawy. Może przyda ci się moja pomoc.

Leiard skłonił głowę.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie będę jej potrzebował.

Wschodni horyzont rozjaśniał się coraz bardziej, rzucając na morze słaby, zimny blask. Auraya szła plażą w towarzystwie Tyrli i analizowała pierwsze wrażenia z siedziby klanu Piasku. Przyzwyczaiła się kojarzyć Siyee z wysokimi górami i lasami. Kiedy wczoraj wśród bezdrzewnych wydm nad brzegiem zobaczyła ich altany, musiała na nowo wszystko przemyśleć. Wygodnie żyli również tutaj, na granicy Si, co tylko podkreślało, jak wiele utracili, gdy toreńscy osadnicy wyparli ich z żyznych dolin.

- Masz wszystko, czego potrzebujesz? - upewnił się Mówca.

- Wszystko z wyjątkiem czasu - odparła.

I rad Leiarda, dodała w myślach. Od wielu dni nie łączyła się z nim snem - dzięki czemu łatwiej jej było wstać dzisiaj przed świtem.

Wczoraj i przedwczoraj także budziła się wcześnie, martwiąc się o powody jego milczenia.

- Gdybyś miała więcej czasu, przedstawiłbym cię Elai, którzy z nami handlują, ale spotkamy się z nimi dopiero za miesiąc.

- Chętnie bym zaczekała, choćby po to żeby lepiej poznać twój klan - wyznała szczerze. Tylko przelotnie widziała, jak ludzie tu żyją, i pragnęła dowiedzieć się więcej. - Ale Juran naciska, żeby jak najszybciej zacząć rozmowy z Elai.

- Będą inne okazje - odparł.

- Dopilnuję tego. - Zwróciła się ku niemu. - Wrócę do Przestrzeni za jakieś dziesięć dni.

Skłonił głowę.

- Będziemy gotowi.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego ponurą stanowczość. Wysłał kurierów do Przestrzeni z wiadomościami o pentadriańskiej inwazji i prośbą Jurana o pomoc w nadchodzącej bitwie. Westchnęła i spojrzała ponad wodę.

- Powinnaś tam być koło południa - zapewnił ją.

- Jak znajdę drogę? Wskazał na góry.

- Widzisz ten podwójny szczyt? - Tak.

- Leć, oddalając się od niego, mając go w jednej linii z tą plażą. Po prawej stronie zobaczysz wybrzeże. Podążaj wzdłuż niego aż do końca półwyspu. Potem skręć wprost na południe. Wokół Borry jest wiele małych wysepek. Jeśli będziesz leciała ponad godzinę i żadnej nie zobaczysz, to ominęłaś Elai i powinnaś znowu skierować się na północ.

- Dziękuję ci, Tyrli. Skłonił się.

- Powodzenia, Aurayo z Białych. Leć wysoko, leć szybko, leć dobrze.

- Niech bogowie wskazują wam drogę i ochraniają. Zwróciwszy się twarzą w stronę morza, Auraya ściągnęła ku sobie magię i wystrzeliła prosto w górę. Plaża oddaliła się od niej, aż Tyrli stał się maleńką kropką na wielkim sierpie piasku, przez wschodzące słońce zabarwionym na złoto. Zerknęła w tył i zapamiętała pozycję

podwójnego szczytu. Odwróciła się plecami i pomknęła w przeciwnym kierunku.

Przez ostatnie kilka miesięcy przyzwyczaiła się do naśladowania lotu Siyee. Teraz, kiedy została sama, nie musiała udawać, że jej możliwości ogranicza siła fizyczna albo przyciąganie ziemi. Zaczęła eksperymentować. Siyee mogli latać tak szybko, jak pozwalały im wiatr i wytrzymałość. Nie miała pojęcia, do jakiej prędkości sama jest zdolna, więc przyspieszyła.

Wiatr już teraz sprawiał kłopoty i odgadła, że będzie czynnikiem ograniczającym. W czasie lotu uderzał ją po twarzy, wysuszał oczy i chłodził całe ciało. Mogła użyć magii, by się ogrzać, ale kiedy zwiększyła szybkość, strumienie powietrza natychmiast porywały ciepło. Co ciekawe, zauważyła również, że trudno jej oddychać.

Stworzyła przed sobą magiczną tarczę, lecz ta wyhamowała ją gwałtownie, jak wiosło wsunięte do wody. Tarcza działa jak wiosło ze względu na swój kształt, domyśliła się. Ale ona przecież nie potrzebuje wiosła, tylko... grotu strzały. Jak w natchnieniu zmieniła kształt tarczy w ostry stożek. Teraz łatwo przebijała się przez powietrze i odchylała wiatr na boki, więc znowu mogła oddychać.

Poruszała się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, na lądzie czy w powietrzu, ale wiedziała o tym tylko dzięki prądom płynącym wokół niej. Morze leżało zbyt daleko, by dać poczucie prędkości, nie widziała żadnych Siyee, ani nawet jeźdźców na reynach, do których mogłaby się porównać.

Na horyzoncie pojawił się cień - ten brzeg, o którym mówił Tyrli. Jeśli skręci nad ląd, będzie miała lepsze wyobrażenie, jak prędko leci. Niecierpliwie wpatrywała się w coraz bliższy brzeg. Pojawiły się skalne ściany - klify. Kiedy wreszcie do nich dotarła, skręciła w lewo i podążyła wzdłuż tego skalnego, pionowego szlaku.

Czuła ekscytację. Skalna ściana pędziła obok. Wiatr świszczał. Leciała szybciej, niż sądziła. Trudno było dokładnie ocenić, jak szybko. Szybciej, niż gdyby spadała?

Pewnie prędzej leciałaby w linii prostej, ale odruchowo trzymała się zakrętów urwiska. To była czysta euforia. Nurkowała w zatoki i

prześlizgiwała się pod występami. Przed nią pojawiła się skalna brama. Przeleciała przez nią i zaczęła zataczać pętle wokół kilku skalnych iglic, które przetrwały powolną erozję powierzchni klifu. Przed sobą widziała jedną ogromną skalną wieżę, wyrastającą niczym nieulękły strażnik tuż za kolejnym występem. Podleciała i okrążyła ją.

Kiedy znowu spojrzała na brzeg, ogarnęło ją gwałtowne rozczarowanie. Od tego miejsca klify skręcały ostro na północny wschód, a ten kamienny strażnik wyznaczał kraniec półwyspu. Jej flirt z linią brzegową dobiegał końca.

Kilka razy okrążyła skałę, powoli nabierając wysokości, aż dotarła do szczytu i wylądowała na płaskiej kamiennej powierzchni. Cichy szum wiatru w pęknięciach i szczelinach skalnych wydawał się dziwnie spokojny po ryku powietrza podczas jej lotu. Przyjrzała się brzegowi, a potem odwróciła w kierunku morza.

Borra leżała zbyt daleko, by dało się ją zobaczyć z półwyspu. Jak dotąd, miała całkiem dobry czas. Jeśli poleci dalej równie szybko, może tam dotrzeć w ciągu kolejnej godziny.

Przyciągnęła więcej magii i wystartowała do ostatniego etapu swej podróży.

Pierwszą z wysepek dostrzegła po kilku minutach. Po niej pojawiły się podobne, a w oddali większe. Zanim do nich dotarła, na horyzoncie wyrosły całkiem spore.

W przeciwieństwie do tych najmniejszych, wyglądających jak wierzchołki piaskowych wydm, na które fale nanosiły roślinność, te większe przypominały wierzchołki na wpół zatopionych gór. Pierwsza, nad którą przeleciała, była raczej parą gór połączonych skalnym grzbietem. Po lewej stronie widziała niższy pojedynczy szczyt, po prawej wyrastał z morza wysoki skalny półksiężyc. Te fragmenty lądu i malutkie wysepki między nimi tworzyły gigantyczny pierścień wielkości górskiego łańcucha Si.

Tyrli poradził jej szukać Elai na plażach największej wyspy. To pewnie ta w kształcie półksiężyca, uznała i ruszyła w jej stronę, zniżając się powoli. Kiedy już mogła rozróżnić rosnące przy

brzegach krzewy, zaczęła się rozglądać za ludźmi morza.

Zauważyła ich w chwilę później. Ciemnoskórzy mężczyźni i kobiety stali na wszystkich plażach i rozkładali na piasku pasy lśniących wodorostów; dostrzegła też ludzkie sylwetki pływające pod wodą wokół ciemnych plam roślinności i wycinające więcej wodorostów.

Większość pracowała nieprzerwanie, choć w każdej grupie jeden Elai wydawał się zajmować tylko kierowaniem innymi. Kilku wspięło się wyżej i stali nieruchomo, obserwując morze. Miała wrażenie, że jeden z nich patrzy wprost na nią, i wyczuła jego zaskoczenie. Nie zamachał rękami i nie próbował powiadomić innych o jej obecności - w jego myślach wyczytała, że nie wierzy w to, co widzi.

Zabrzmiał ryk gniewu, a patrzący podskoczył i obejrzał się na plażę w dole. Kierujący grupą Elai pogroził mu pięścią. Obserwator wyciągnął rękę w jej stronę, a nadzorca uniósł głowę i natychmiast cofnął się o krok ze zdumieniem.

Pora się przedstawić, pomyślała kwaśno Auraya.

Nadzorca wciąż wytrzeszczał na nią oczy, a inni Elai przerwali pracę i zaczęli się rozglądać za tym, co go tak zdumiało. Zniżała się powoli, wyczuwając u nich strach i podziw. Opadała kilka kroków przed nimi, ale oni się cofnęli.

I kiedy dotknęła stopami gruntu, wszyscy rzucili się na piasek. Zamrugała zdziwiona, po czym zajrzała do ich umysłów. Szybko odkryła powody takiej reakcji: brali ją za Huan.

- Ludu Borra - odezwała się powoli, wybierając z umysłów słowa ich języka. - Nie musicie korzyć się przede mną. Nie jestem boginią Huan, ale jedną z jej sług.

Głowy się uniosły. Elai wymienili spojrzenia i wolno powstali. Teraz widziała ich wyraźnie: byli tylko trochę niżsi od ziemiochodzących i całkowicie bezwłosi. Skórę mieli gładką, lśniącą i ciemnoniebieską, podobną do skóry oceanerów, jakie widziała wokół statków podczas powrotu z Somreyu. Ich klatki piersiowe były wielkie, dłonie i stopy szerokie, płaskie, z membraną między

palcami. Zauważyła, że ich oczy mają różową obwódkę. Dopiero gdy się przyjrzała, jak mrugają, odkryła, że to także membrana opadająca na oczy jak drugi zestaw powiek.

Wszyscy wpatrywały się w nią, a ona przejrzała pobieżnie ich myśli. Kilku szybko doszło do wniosku, że skoro nie jest boginią i oczywiście nie jest Siyee, to jest ziemiochodzącą i nie można jej ufać. Ci Elai patrzyli na nią z nieskrywaną podejrzliwością i jakby sugestią nienawiści. Reszta wciąż była oszołomiona, a ich myśli dość niemrawe. Należeli do najniższej warstwy społeczeństwa Elai, uznała. Byli powolni albo pechowi. Wykonywali prace fizyczne, ponieważ nie potrafili właściwie nic więcej.

Zerknęła na nadzorcę. Nie był mądrzejszy od reszty, ale dzięki wrodzonej brutalności zyskał wyższe stanowisko.

Wyprostował się, kiedy spojrzała mu w oczy.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Jestem Auraya z Białych - odparła. - Jedna z Wybranych Bogów. Przybyłam tu w imieniu bogów, by spotkać się z władcą Elai, królem Aisem.

Kierujący zmrużył oczy.

- Po co?

W myślach robotników Elai trudno było znaleźć właściwe słowa, gdyż pełne były tych kojarzonych z ziemiochodzącymi - zabijanie, gwałt, rabunek. Określenia pokoju, negocjacji czy sojuszu nie przychodziły im do głów.

Zmieniła więc podejście. Nadzorca nie oczekiwał, że będzie mu się tłumaczyć.

- To przeznaczone jest tylko dla królewskich uszu. Skinął głową.

- Czy poślesz kogoś do króla, żeby o mnie zawiadomił? - spytała.

Zmarszczył czoło.

- Po co?

- Nie wkroczę do miasta bez jego zgody - odparła. Zastanowił się chwilę i rozejrzał. Wskazał człowieka, który pierwszy ją zauważył - obserwatora. Ten stał przygarbiony, a jego skóra straciła połysk. Odczytała u niego zmęczenie i zrozumiała, że jest odwodniony, bo

za długo już stoi na piasku. Ucieszył się otrzymanym rozkazem, który oznaczał, że będzie mógł wreszcie popływać.

- Idź powiedz Ree - polecił mu nadzorca. - On wyśle kogoś do pałacu.

Kiedy obserwator z pluskiem wskoczył do wody, tamten znów przemówił do Aurai.

- To potrwa - oświadczył. - Pałac nie zwraca uwagi na zbieraczy. Teraz mamy pracę do wykonania. Czekaj tutaj, jeśli chcesz.

Kiwnęła głową. Kierujący zakończył rozmowę i podniesionym głosem ponaglił robotników. Auraya przyglądała mu się przez chwilę, ale kiedy wychwyciła kilka niechętnych myśli o tym, że się gapi, oddaliła się. Starała się wyglądać, jakby zajęło ją coś innego.

Słońce wspięło się do zenitu, a potem zaczęło opadać. Elai nie robili przerw na odpoczynek, choć od czasu do czasu przerywali pracę, by zmoczyć skórę. Z ich umysłów dowiedziała się więcej o tutejszych obyczajach.

Ich miasto było zatłoczone i większość mieszkała w maleńkich pokoikach. Życie tak blisko siebie nauczyło ich szacunku dla prywatności innych. Istniały silne tabu, obejmujące dotykanie się albo patrzenie sobie w oczy, a opierające się na sztywnej hierarchii społecznej.

Bardzo, naprawdę bardzo się różnili od Siyee.

Mimo barier klasowych, wszyscy mieli silne poczucie obowiązku wobec pozostałych Elai. Ci mężczyźni i kobiety chętnie wychodzili z miasta, by zbierać wodorosty, dawali się popędzać takim ludziom jak nadzorca i narażali na ataki piratów, aby pomóc wykarmić swych rodaków. U wielu z nich wyczytała troskę o robotnika, który zachorował i któremu przynosili jedzenie.

Nawet ci bogaci i potężni pracowali dla bezpieczeństwa miasta. Jeśli król wiedział, że jego poddani głodują, rozdzielał wśród nich żywność. Cztery razy w roku wydawał przyjęcie, na które zaproszeni byli wszyscy Elai. Pełnił też dyżury w strażnicy ponad miastem, wspinając się po długich schodach, by wypatrywać piratów.

Schody? Nad miastem? Auraya uśmiechnęła się. A zatem istnieje

droga wejścia inna od podwodnej...

Była to ciekawa informacja, choć nie zamierzała jej wykorzystywać. Gdyby to zrobiła, pewnie nigdy nie zdobyłaby zaufania Elai. Myśli robotników zdradziły jej, jak bardzo ataki piratów wpłynęły na życie morskiego ludu. Nic dziwnego, że nienawidzili ziemiochodzących. Jako przedstawicielka bogów może liczyć na audiencję u króla, ale nic więcej. Będzie musiała wykazać, że jest godna zaufania.

Westchnęła. A na to nie mam czasu...

- Kobieto ziemiochodzących...

Drgnęła, słysząc chrapliwy głos. Obejrzawszy się, zobaczyła podchodzącego nadzorcę. Wstała i ruszyła mu na spotkanie.

- Król przysłał odpowiedź na wiadomość od ciebie - oświadczył z wahaniem. Z rozczarowaniem zauważyła, że zbiera się na odwagę. Sądził, że się rozgniewa, i bał się, jak wyładuje ten gniew. - Powiedział: Król Elai nie życzy sobie rozmowy z ziemiochodzącą, która twierdzi, że przemawia w imieniu bogów. Ziemiochodzący nie są tu mile widziani, nawet gdyby chcieli zostać tylko na najmniejszej wyspie. Odejdź stąd.

Wolno kiwnęła głową. W jego umyśle nie było śladu fałszu. Słowa wiadomości mogły się trochę zmienić w kolejnych powtórzeniach, ale z pewnością nie jej sens.

Nadzorca popatrzył na nią z lękiem, po czym oddalił się pospiesznie.

: *Juran?*

: *Tak, Aurayo?* odpowiedział natychmiast.

: *Król Elai odmówił mojej prośbie o spotkanie. Chyba nie wierzy, że jestem tym, kim mówię, że jestem.* Powtórzyła otrzymaną wiadomość. *Ale to nie wszystko. Nienawiść tych ludzi dla ziemiochodzących jest naprawdę silna. Powinniśmy wykazać, że można nam zaufać. Gdybyśmy mogli coś zrobić z tymi piratami...*

: *To wyeliminuje ważną zachętę do przymierza z nami.*

: *Nie wydaje mi się, żeby obietnica pozbycia się piratów kiedyś w przyszłości, zrobiła na nich wrażenie. W przeciwieństwie do Siyee,*

tutaj pomoc musi nadejść przed, a nie po zawarciu przymierza.

: *Nie możesz być tego pewna, dopóki nie spotkasz się z królem. Bądź uparta. Przyjdź w to samo miejsce jutro i pojutrze. Możesz przynajmniej zaimponować mu swoją determinacją.*

Uśmiechnęła się.

: *Tak zrobię.*

Spostrzegła, że robotnicy przywiązują do pleców ogromne wiązki wodorostów. Niektórzy wchodzili już do wody i odpływali. Pochwyciła strzępy myśli, mówiące, że odchodzą wcześniej niż zwykle, a niektórzy podejrzewają, że to jej obecność wystraszyła nadzorcę.

Westchnęła rozczarowana. Jak zdoła przekonać do siebie Elai, jeśli sam jej pobyt na plaży wywiera skutek przeciwny do pożądanego?

Huan mówiła, że to wyzwanie, przypomniała sobie.

Z krzywym uśmieszkiem ściągnęła do siebie magię i uniosła się w niebo.

29

Kiedy zsunęły się z niej mroczne fałdy snu, Emerahl zaczęła rozróżniać głosy.

- Nefryt... Obudź się.

- To chyba nie jest jej prawdziwe imię.

- Nie wiem, jak się naprawdę nazywa. Ty wiesz?

- Nie, nie mówiła.

- A pytałaś?

- Nie. To niegrzeczne.

- Znałam kiedyś dziewczynę, która miała na imię Nefryt.

- Bo to ładne imię. Nie takie jak Żagiew. Kto by swoje dziecko nazwał Żagiew? Nie znoszę tego imienia.

Kim są te kobiety? Emerahl poczuła, że jej umysł wznosi się ku pełnej świadomości, i wtedy wróciła pamięć. Mieszkają ze mną w jednym pokoju. Zdziwiła się. Obudziły się przede mną? To niezwykłe.

- Kto nazwałby swoją córkę Fala? Albo Promyk? - pytała Fala.

Żagiew zachichotała.

- Mój młodszy brat miał kiedyś muhaka i nazywał go Promykiem.

Fala parsknęła.

- Promyk. Diament. Niewinność... Imiona najbardziej odpowiednie dla ladacznic albo zwierzaków. Tylko idiota pokarałby takim własne dziecko. Nefryt nie jest jeszcze takie złe. Patrz, w końcu się obudziła.

Emerahl otworzyła oczy i spojrzała na dwie atrakcyjne młode kobiety. Ziewnęła i usiadła.

- Co robicie na nogach tak wcześnie? Żagiew uśmiechnęła się smętnie.

- Rozea wezwała nas na zebranie. Lepiej się ubierz. I to szybko.

Emerahl wysunęła nogi spod koca i przeciągnęła się. Obie współlokatorki miały na sobie starsze tuniki, nie te najlepsze. Sama

więc także sięgnęła po znoszoną, prostą tunikę, którą dała jej Liść, by miała co na siebie włożyć poza godzinami pracy i na lekcjach.

Podczas ubierania widziała i słyszała w korytarzu inne dziewczęta. Żagiew i Fala czekały uprzejmie, choć wyczuwała w ich umysłach podniecenie i niecierpliwość.

- O co chodzi z tym zebraniem? - spytała, szybko przeczesując włosy.

- Nie mam pojęcia - odparła Żagiew.

- Pewnie coś w związku z wojną.

- Pospiesz się, to szybciej się dowiemy...

Emerahl uśmiechnęła się i podeszła do drzwi. Razem wyszły na korytarz. Idąc za Żagwią, starała się zapamiętywać kolejne zakręty, a kiedy wspięła się na trzecie schody, doszła do wniosku, że spotkanie odbędzie się na górnym piętrze budynku.

W końcu przeszła z towarzyszkami przez jedne z dwojga szeroko otwartych drzwi prowadzących do ogromnej sali. Rozjaśniały ją liczne okna, a na końcu, na podwyższeniu, stał wielki parawan malowany w sceny miłosne. Dziewczęta wypełniały prawie całą przestrzeń.

Emerahl rozglądała się zdziwiona, że jest ich tak wiele. Niektóre zdążyła już przelotnie poznać, odkąd się tu wprowadziła, inne przedstawiały się i witały ją przyjaźnie. Wiele było takich, które widziała po raz pierwszy. Przyglądając się twarzom wokół siebie, dostrzegła jedną wyraźnie męską i zdała sobie sprawę, że są tu nie tylko dziewczęta, ale i młodzi mężczyźni. Nigdy wcześniej nie widziała męskich ladacznic.

- To sala taneczna - wyjaśniła cicho Fala. - Rozea wydaje tu co roku dwa albo trzy wielkie bale. Czasami nawet król się zjawia. W zeszłym roku...

Przerwało jej głośne dzwonienie. Wszystkie oczy zwróciły się ku podwyższeniu, na którym stanęła Rozea. Odczekała, aż zapadnie cisza, po czym oddała Liść duży złoty dzwonek.

- Przyjemnie jest znowu widzieć was wszystkich razem - zaczęła z uśmiechem. - Tyle ślicznych buź w jednej sali...

Rozejrzała się i spoważniała.

- Na pewno nie jest już tajemnicą, że za tydzień toreńska armia wyrusza, by przyłączyć się do walki z pentadriańskimi najeźdźcami. Wielu naszych klientów pójdzie na wojnę i będzie dla nas narażać życie. - Przerwała na moment i uśmiechnęła się. - A my podążymy za nimi.

Emerahl zamarło serce. Przecież nie mogła wlec się za tymi kapłanami, którzy próbowali ją wytropić. Będzie musiała porzucić zamtuz.

- No, może nie wszystkie - poprawiła się Rozea. - Część pozostanie tutaj. Wam samym pozostawiam wybór. W każdym razie będziemy podróżować możliwie wygodnie. Zamówiłam już odpowiednie tarny i namioty. Nasi klienci będą tej samej klasy co dotąd, więc za swoje pieniądze będą wymagali pewnego luksusu.

Znowu się uśmiechnęła.

- Dla niektórych z was będzie to jedna z rzadkich okazji wyjazdu poza miasto. Będziecie też świadkami wielkiego wydarzenia. Nie codziennie ma się szansę zobaczyć Białych w bitwie. A przy odrobinie szczęścia możecie nawet spotkać ich osobiście.

Emerahl stłumiła uśmiech. Rozea przedstawiała tę wędrówkę za wojskiem jako wspaniałą przygodę. Tymczasem oznaczało to dużo pracy w ciężkich i niebezpiecznych warunkach.

Z pewnością żadne z dziewcząt i chłopców nie da się oszukać tej pięknej przemowie.

Ale zmysły mówiły jej, że sala aż brzęczy podnieconym gwarem. Westchnęła. Nikt tutaj nie miał pojęcia o wojnie, przypomniała sobie. Z tego, co słyszała, nie mieli tu wojny od ponad stu lat.

Jeszcze jedna para oczu nie błyszczała ekscytacją - Promyk stała z boku, pełna rezerwy. Emerahl wyczuła u niej lekką zazdrość.

Rozea przemówiła rzeczowym tonem.

- Te z was, które chcą wyruszyć, niech przejdą do przodu. Te, które wolą zostać, niech się cofną. No, dalej. Nie ma się czego wstydzić w żadnym przypadku. Potrzebni mi ludzie i tam, i tutaj.

Żagiew bez wahania ruszyła naprzód. Po chwili poszła za nią

Fala. Emerahl została na miejscu, z tyłu. Kiedy sala się podzieliła, Rozea zbadała wzrokiem twarze przy sobie, zmarszczyła brwi i spojrzała ku dalszej części sali. Zobaczyła Emerahl i z rozczarowaniem zacisnęła wargi. Emerahl poczuła w żołądku ucisk niepokoju. Próbowała odgadnąć przyczynę, dla której Rozea chciała ją zabrać na tę wyprawę, jednak nic nie przychodziło jej do głowy.

Kobieta tymczasem zwróciła się do grupy przed sobą.

- Dziękuję wam. Zostańcie tu, a Liść zapisze wasze imiona. Możecie dostać dzień wolny, żeby przed wyjazdem odwiedzić rodziny, jeśli chcecie. Jeszcze raz dziękuję.

Zeszła z podwyższenia i ruszyła do pary szerokich drzwi. W progu zatrzymała się jeszcze i obejrzała na Emerahl.

- Nefryt. Chodź ze mną. Chciałam z tobą porozmawiać.

Emerahl stłumiła westchnienie i podążyła za Rozeą do dużego pokoju, wyposażonego w ogromne, prawdziwie królewskie łoże. A właściwie, pomyślała, pewnie rzeczywiście jest przeznaczone dla króla.

Rozea zamknęła za sobą drzwi i zwróciła się do niej.

- Dlaczego nie chcesz z nami wyruszyć, Emmeo? Emerahl westchnęła i spuściła głowę.

- Niedawno tutaj trafiłam. Czuję się tu wygodnie i bezpiecznie, po raz pierwszy od... no, od bardzo dawna.

Rozea uśmiechnęła się.

- Rozumiem. A gdybym ci powiedziała, że mam wobec ciebie pewne plany? Gdybym powiedziała, że zanim wrócisz do Porinu, będziesz najbogatszą, najbardziej pożądaną kurtyzaną w całym Torenie?

- O co ci chodzi?

Rozea uśmiechnęła się szerzej. Ujęła Emerahl pod rękę i pociągnęła w stronę łoża. Usiadły.

- Promyk jest w ciąży. Nie mogę jej ze sobą zabrać, a zresztą i tak wkrótce będzie mi potrzebna nowa faworyta. Komentarze, jakie na twój temat wygłaszali klienci, dowiodły, że miałam rację. Jesteś dobra w tej pracy. Masz w sobie coś, co intryguje mężczyzn. Chcę,

żebyś została nową faworytą. A ponieważ wszyscy muszą widzieć, że sobie na to zapracowałaś, wyjedziesz z dziewczętami, a nową pozycję uzyskasz, kiedy...

- Nie chcę być nową faworytą - przerwała jej Emerahl. Rozea uniosła brwi.

- Dlaczego? Będziesz przyjmowała mniej klientów, i to tylko najlepszych. Zarobisz dziesięć razy więcej niż teraz.

- Ale Panilo...

- Jeśli zarezerwowałaś dla niego specjalne miejsce w swoim sercu, to przecież możesz nadal go widywać.

- Nie chcę wyjeżdżać z Porinu.

Rozea wstała, wyprostowała się i skrzyżowała ręce na piersi.

- Dam ci kilka dni na przemyślenie wszystkiego. Ale muszę cię ostrzec, Nefryt. Na tę wygodę i bezpieczeństwo, z których tu korzystasz, musisz sobie zapracować. Spodziewam się, że pojedziesz z nami, jako faworyta albo nie. - Wskazała jej drzwi. - Idź.

Emerahl skłoniła głowę i wyszła. W żołądku rosła jej twarda gruda strachu. Spojrzała na wszystkie ladacznice rozmawiające w podnieceniu i westchnęła ze smutkiem. Myślałam, że znalazłam miejsce, gdzie mogę się przyczaić i ukryć. A tymczasem mam zostać najsłynniejszą kurtyzaną w mieście. To tyle, jeśli chodzi o anonimowość prostytucji...

Rozważyła swoje możliwości. Mogła porzucić zamtuz i pozostać w Porinie - samotna, bez ochrony, z ograniczonym zasobem pieniędzy w na wpół opustoszałym mieście. O ile Rozea mi zapłaci... Emerahl przygryzła wargę. Albo mogę wyjechać z miasta z Rozeą i dziewczętami.

Rozea zechce pewnie jechać z tyłu, za armią, a nawet za taborami. Kapłani pojadą na czele tej kolumny, prowadząc wojska. Będą zajęci innymi sprawami. Ale ten kapłan, który mnie szuka, może odgadnąć, że zechcę wykorzystać okazję i wyjechać. Może zostać z tyłu, by mnie wypatrywać. To takie irytujące... Nie wiem nawet, czy on nadal pilnuje bram.

Nie lubiła podejmować nawet niewielkiego ryzyka. Jeden drobny

błąd może doprowadzić ją do śmierci. Żyła już bardzo długo, a im dłużej trwało życie, tym bardziej jej się podobało.

Albo to, albo po prostu jestem teraz większym tchórzem.

W takim razie muszę to jakoś rozwiązać. Czasami trzeba trochę zaryzykować, bo inaczej człowiek skończy osaczony i pokonany.

Zatem, co jest większym ryzykiem?

Opuszczenie miasta z ladacznicami może nie być aż tak groźne jak samotny wyjazd. Będzie jedną z wielu dziewcząt, więc kapłani mogą nie przyglądać się zbyt dokładnie. Ale z drugiej strony może się wyróżniać jako jedyna, której myśli nie da się odczytać.

Chyba że, oczywiście, uznają, że jest rozsądny powód tego braku myśli. Rozsądny powód... Gdybym na przykład była martwa... albo nieprzytomna.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej po skórze. Udawanie trupa to nie coś, co chciałaby powtórzyć, jeśli nie będzie do tego zmuszona. Ale brak świadomości... Istniało wiele sposobów osiągnięcia tego stanu, nie wszystkie nieprzyjemne...

- Co się stało, Nefryt?

Emerahl obejrzała się - korytarzem nadchodziła Żagiew.

- Rozea kazała mi jechać. Żagiew prychnęła niechętnie.

- Tyle zostało z naszego prawa wyboru. Chcesz odwiedzić rodzinę przed wyjazdem?

- Nie. A ty?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak. Nie lubię ich specjalnie, ale skoro trafia się okazja, żeby na dzień wyjść z tego zamtuzu...

Emerahl zmarszczyła czoło. Rozea raczej nie pozwoli jej wyjść. W jaki sposób ma zdobyć substancje, które pozwolą jej stracić przytomność?

Natychmiast pojawiło się oczywiste rozwiązanie. Zniżyła głos.

- Wyświadczysz mi przysługę, Żagiew?

- Zależy jaką - odparła dziewczyna.

- Prawdopodobnie będę potrzebowała tego i owego, żeby rozluźnić się w tej podróży. Mogłabyś zrobić dla mnie zakupy?

Żagiew uniosła brwi, a potem uśmiechnęła się szeroko.

- Jasne.

Ciepły prąd wznoszący się od wąwozu pchnął w górę młodego przedstawiciela klanu Zielonego Jeziora. Siyee przechylił skrzydła i wylądował lekko na szczycie urwiska. Twarz miał zaczerwienioną z zakłopotania i gniewu.

- To nie takie łatwe, prawda? - Tryss uśmiechnął się ironicznie. - Ale przypomnij sobie, jak było, kiedy pierwszy raz uczyłeś się używać łuku. To jest trudniejsze. Poruszasz się ty i twój cel. Jeśli miałeś dość wytrwałości, by opanować łuk, to wystarczy ci jej, żeby nauczyć się tego.

Twarz Siyee złagodniała. Tryss podszedł do następnego młodego wojownika, czekającego z posępną miną. Zmarszczył czoło.

- Masz za luźną uprząż.

- Jest niewygodna - burknął mężczyzna. Tryss spojrzał mu w oczy.

- To mnie nie dziwi. Dobrze dopasowana, powinna poruszać się wraz z tobą. Kiedy tak zwisa, tylko utrudnia ci ruchy. Gdy pierwszy raz niosłeś łuk, czułeś jego ciężar. Powiedziano ci, że musisz przywiązać go mocno do ciała, bo inaczej będzie niebezpieczny w czasie lotu. Tak samo jest z uprzężą. I jak z łukiem, szybko się przyzwyczaisz do jej ułożenia i ciężaru. Dopasuj ją porządnie, a ja...

Głośny okrzyk i śmiechy zagłuszyły jego słowa. Tryss obejrzał się; w pobliżu wylądowała grupa chłopców pod przywództwem Sreila. Wszyscy mieli przypięte na plecach nieduże pakunki. Widząc je, Tryss odetchnął z ulgą. W tych paczuszkach przynieśli zapasowe strzały i strzałki do uprzęży. Siyee za młodzi albo za starzy, by walczyć, wytwarzali je w wielkiej liczbie. Wiedział, że wojownicy z klanu Zielonego Jeziora chętniej będą ćwiczyć, jeśli pojawi się możliwość prawdziwego polowania.

Chłopcy rozdzielili amunicję, a Tryss wyjaśniał, jak umocować ją w uprzężach. Zauważył, że posępny mężczyzna dociągnął wreszcie paski. Sreil odesłał chłopców do domu, a sam zwrócił się do Tryssa.

- Możemy chwilę pogadać?

Tryss przytaknął. Obejrzał się na grupę wojowników.

- Znajdźcie mi coś wartego polowania - polecił. - Dołączę do was.

Mężczyźni wyszczerzyli zęby. Odwracali się kolejno i ze-skakiwali z urwiska. Tryss przyglądał się, by mieć pewność, że uprzęż działają jak należy. Trzy dni temu jedna z nich się zablokowała. Jej właściciel leciał dość nisko, ale i tak przy upadku połamał sobie obie nogi. Tryss polecił, by uprzęże były codziennie sprawdzane przez członków klanów, najbardziej wprawnych w ich budowie i użytkowaniu.

- Znów rozmawiałem z Drilli - oznajmił Sreil.

Serce Tryssa zamarło. Patrzył na chłopaka niecierpliwie. - I?

- Nie było łatwo. Ojciec trzyma ją teraz zamkniętą w ich altanie, praktycznie przez cały czas. Myślę, że coś podejrzewa. Tego dnia kiedy spotkaliśmy się z klanem Wężowej Rzeki, matka nie była zbyt subtelna w kwestii naszych zamiarów. Nie zdziwiłbym się....

- Sreil! Co powiedziała? Chłopak uśmiechnął się.

- Ależ jesteś dzisiaj nerwowy... Można by pomyśleć, że masz się ożenić.

Tryss skrzyżował ramiona i spojrzał groźnie. Odkąd zaczął szkolić syna Mówcy, z satysfakcją odkrył, że doskonale się ze sobą dogadują. Sreil niczym się specjalnie nie martwił. W każdej sytuacji znajdował coś zabawnego. Czasami jego poczucie humoru wydawało się obłąkańczo mroczne, kiedy indziej mogło doprowadzić do szału. Jak na przykład teraz.

Sreil uniósł rękę, jakby chciał zasłonić się przed ciosem.

- Przestań się tak przyglądać! Przerażasz mnie. Tryss patrzył nieruchomo.

- No dobra. Powiedziała: tak.

Dwie emocje ogarnęły Tryssa - ulga i groza, od której kręciło się w głowie. Drilli zgodziła się za niego wyjść. Była skłonna sprzeciwił się ojcu i opuścić swój klan, by zostać jego żoną.

Miał się ożenić.

To przecież nie jest tak, tłumaczył sobie, że za parę lat nie

możnaby zmienić zdania, gdyby uznała, że jednak mnie nie lubi.

Ale jednak oznaczało to koniec dzieciństwa. Staną się dorosłymi, którzy powinni w pełni uczestniczyć w życiu klanu. Nie w tych prostych pracach, jakie wykonywał codziennie dla rodziców, ale w gromadzeniu żywności, budowaniu altan i walce.

Co zresztą i tak już robię, pomyślał. Tyle że zamiast wracać do domu rodziców, będę wracał do Drilli... A może za jakiś rok także do dziecka.

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak bawi się z własnym małym synkiem albo córeczką. Ta wizja przemawiała do niego. Czego mógłby ich nauczyć...

Muszę najpierw przeżyć wojnę... A ona musi przeżyć poród.

Spróbował odepchnąć tę myśl. Nie może iść przez życie, cały czas wystraszony, że zdarzy się najgorsze. Ludzie walczyli z kłopotami, kiedy te nadchodziły. W tej chwili musiał sobie poradzić tylko z jednym - nie licząc oczywiście szkolenia wojowników. Powinien jakoś wyrwać Drilli spod ojcowskich skrzydeł, aby mogła się odbyć ceremonia małżeństwa. A do tego potrzebował pomocy Sreila.

- Więc kto zajmie się rytuałem? - zapytał. - Twoja matka?

- Nie - odparł z uśmiechem Sreil. - Nie będzie jej przeszkadzać, jeśli ludzie będą podejrzewać, że maczała w tym palce, ale nie chce, by ktokolwiek to wiedział na pewno. Gdyby to ona odprawiła rytuał, byłoby oczywiste, że to zaplanowała. Kiedy już uda nam się wykraść Drilli, sprowadzę innego Mówcę. Przywódca klanu Świątynnej Góry wciąż tu jest. Założę się, że nie ma pojęcia, co się dzieje.

- A jeśli odmówi?

- Nie może. Musi to zrobić. Takie jest prawo. Tryss odetchnął głęboko.

- Więc kiedy? Sreil skrzywił się.

- To zależy od ojca Drilli. Musimy czekać, aż on i jej matka zostawią ją samą w altanie.

- Może by coś zorganizować? Dać im jakiś powód do wyjścia?

- Dobrze - zgodził się Sreil. - Tak właśnie zrobimy. - Z radością

zatarł ręce. - To będzie strasznie zabawne.

- Może dla ciebie... - burknął Tryss. - Bo ja będę umierał z nerwów. - Ale zaraz uśmiechnął się szeroko. - Cieszę się, że pomaganie nam cię bawi, Sreil.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Lepiej pójdę i zacznę spiskować. Myślę, że twoi uczniowie znaleźli coś wartego polowania.

Tryss przeszukał wzrokiem niebo i spostrzegł wojowników z klanu Zielonego Jeziora. Krążyli nad lasem, a jeden akurat zanurkował pomiędzy drzewa.

- Lepiej przypilnuję, żeby byli ostrożni.

Skinął Sreilowi głową, skoczył z urwiska i pofrunął do najnowszej grupy trenujących.

30

Nowy kostium Danjina - mundur doradcy - był sztywny i obcisły. Do tej pory nie podejrzewał, by cokolwiek było mniej wygodne niż ten wyrafinowany strój, który człowiek z wyższych sfer powinien nosić w miejscach publicznych. Gruba skórzana kamizelka, mająca naśladować pancerz, zbyt ciasno opinała białą tunikę, która wyglądała jak nieudolna kopia kapłańskiej cyrkli. Najwyraźniej ci, którzy szyli te mundury, nie mogli się zdecydować, czy doradcy są bardziej wojskowi, czy kapłańscy, więc połączyli w kostiumie oba style.

Drzwi do jego sypialni otworzyły się. W progu stanęła Silava.

- Przerażające, co? - zapytał. Przytaknęła.

- Jeśli trafi ci się okazja, zgub kamizelkę, nie tunikę. Podejrzewam, że w samej tunice będziesz wyglądał całkiem dobrze, lecz nie masz takiego ciała, żeby nosić samą kamizelkę.

Klepnął się po piersi i brzuchu.

- O co ci chodzi? Nie jestem dostatecznie męski? Skrzywiła się drwiąco.

- Na to pytanie nie odpowiem. Jeśli zechcesz pozbyć się i kamizelki, i tuniki, pamiętaj, żeby to dobrze zgrać czasowo. Twój przeciwnik będzie pewnie oślepiony taką ilością bladej skóry. Albo zacznie się śmiać tak bardzo, że upuści miecz. Tak czy inaczej, może ci to dać szansę ucieczki.

Danjin nadąsał się, oburzony.

- Ja? Uciekać?

Spodziewał się jakiejś drwiny ze swej formy fizycznej, ale żona spoważniała nagle.

- Tak. - Podeszła do niego i spojrzała mu w oczy. - Uciekaj. Jestem za młoda, żeby zostać wdową.

- Nie mam zamiaru... Chwileczkę? Żeby co? Uszczypnęła go w ramię i udało jej się sprawić mu ból, mimo grubego materiału tuniki. - Au!

- Zasłużyłeś na to. Próbuję ci powiedzieć, jak bardzo będę się o ciebie martwiła.

Przyszło mu na myśl kilka złośliwych odpowiedzi, ale zignorował je. Delikatnie objął ją za ramiona. Kamizelka hamowała mu ruchy, więc zirytował się, że w tym śmiesznym stroju nawet uściskanie żony jest trudne.

Silava pociągnęła nosem. Odsunął się zaskoczony, a ona otarła łzy i odwróciła się, zakłopotana.

- Będziesz... będziesz ostrożny? - spytała cicho.

- Oczywiście.

- Obiecaj.

- Obiecuję, że będę ostrożny. Kiwnęła głową.

- Trzymam cię za słowo.

Słysząc zbliżające się kroki, oboje spojrzeli w stronę drzwi. Pojawił się ich zdyszany sługa.

- Przybył Ta - Spear.

- Zaraz do niego zejdę. - Danjin odwrócił się do żony i pocałował ją. - No to na razie, Silavo.

Oczy jej lśniły, ale głos brzmiał całkiem normalnie, gdy odpowiedziała:

- Na razie.

Zawahał się. Nie chciał jej zostawiać takiej zdenerwowanej, ale ona tylko niecierpliwie machnęła ręką.

- Idź już. Nie każ ojcu czekać.

- Nie, to nigdy nie wychodzi na dobre.

Udało jej się uśmiechnąć. Mrugnął porozumiewawczo i wyszedł z pokoju. Kiedy schodził schodami na parter, odetchnął głęboko, szykując się na pogardliwe uwagi ojca.

Mimo jasnego porannego słońca, na dworze panował chłód. Ta - Spear czekał w zakrytym plattenie. Danjin wyszedł z domu i wsiadł do powozu.

- Ojcze - powiedział na powitanie.

- Witaj, Danjinie. Jaki piękny dzień, by wyruszyć na wojnę, prawda? Zastanawiam się, czy to bogowie o to zadbali.

- Zadbali czy nie, powinniśmy być wdzięczni za każdy dzień bez deszczu.

Ojciec rozparł się na ławeczce i zawołał do woźnicy, by ruszał. A kiedy platten potoczył się naprzód, przyjrzał się synowi w typowy dla siebie wyrachowany sposób.

- Musisz czuć się dzisiaj dumny - stwierdził.

- Dumny?

- Narażasz życie dla swojego kraju. To coś, z czego można być dumnym.

Danjin wzruszył ramionami.

- Nie będzie mi groziło żadne poważne niebezpieczeństwo, ojcze. Z pewnością nie takie, z jakim ostatnio stykali się moi bracia. Wyprawy na południe wymagają teraz większej odwagi niż moja.

Ojcu błysnęły oczy.

- Istotnie, ich praca często wymaga narażania się na niebezpieczeństwo.

Danjin zaśmiał się.

- Rzeczywiście, choć nie byłem zaskoczony, gdy Rian zauważył, że Theran ma skłonność do podejmowania zbędnego ryzyka.

- Rian tak powiedział?

- Tak. Wspomniał także, że Theranowi nie najlepiej idzie wykonywanie rozkazów. Ale przypuszczam, że to niełatwe dla kogoś, kto zawsze miał wolną rękę.

Ta - Spear patrzył na Danjina, z wolna mrużąc oczy.

- Co wiesz o podróżach Therana?

- Wszystko, co zechciał przekazać w raportach. Bardziej można było polegać na Niremie i Gohrenie. Byli też ostrożniejsi.

- Ty... wiedziałeś od początku! Danjin spojrzał prosto w oczy ojca.

- Oczywiście, że tak.

Ta - Spear przyglądał się synowi. Jego twarz nie wyrażała aprobaty ani niechęci.

- Czy to był twój pomysł?

- Nie - przyznał szczerze Danjin. - Nawet gdyby przyszło mi to

do głowy, nie proponowałbym takiego rozwiązania. Nie mógłbym świadomie narażać na niebezpieczeństwo moich braci. Rian rozmawiał wcześniej ze mną o tej sprawie i przekazywał informacje o ich działaniach.

- Rozumiem. Dlaczego nam nie powiedziałeś, że wiesz?

- To nie było konieczne. Takie sprawy lepiej zostawić w spokoju. Dla dobra wszystkich zainteresowanych.

- Więc czemu mówisz mi teraz?

- Ponieważ Rian i jego ludzie są zbyt zajęci przygotowaniami do wojny, żeby ci przekazać najnowsze wieści. Dlatego zaproponowałem, że ja ci powiem. - Danjin urwał na chwilę. - Theran został schwytany, tak jak podejrzewaliśmy, ale naszym ludziom udało się go uwolnić. On, Nirem i Gohren są już w drodze do domu.

Ojciec skinął głową. Na jego twarzy malowała się ulga - taka sama, jaką czuł Danjin, gdy się o wszystkim dowiedział. Co prawda jego stosunki z braćmi nie były zbyt dobre, ale nie chciałby widzieć ich w niewoli lub zabitych.

Odetchnął głęboko i z wysiłkiem mówił dalej:

- Jest coś jeszcze, ojcze, o czym powinieneś wiedzieć. Kiedy Theran przebywał w niewoli, był torturowany. Wyjawił wiele imion, w tym Nirema i Gohrena. Z tego powodu ani on, ani Nirem i Gohren nie mogą już bezpiecznie żeglować po południowych morzach. Biali zwolnili ich z obowiązków. Sugeruję, byś ich nie wysyłał...

- Nie! - Oczy Ta - Speara błysnęły. - Theran by nigdy...

- Owszem, tak - zapewnił stanowczo Danjin. - Żaden człowiek nie może z góry wiedzieć, jak zachowa się przy torturach on sam czy ktoś inny. Biali zdają sobie z tego sprawę i nie potępiają go. Są wdzięczni za wszystko, co przetrwał, by dostarczyć nam informacje o pentadrianach.

Ojciec odwrócił wzrok; pajęczyna zmarszczek pokryła mu czoło. Jak wyrozumiały się okażesz, ojcze, myślał Danjin. Nigdy nie tolerowałeś słabości, zwłaszcza u swoich synów.

Ta - Spear milczał przez resztę drogi. Park wokół Świątyni,

kiedyś porośnięty równo skoszoną trawą, teraz pokrywało błoto, namioty, wozy, żołnierze i zwierzęta. Długa kolumna plattenów uformowała się wzdłuż drogi do Wieży. Kiedy ich pasażerowie wysiadali, powozy odprowadzano na wydzielony plac za głównymi budynkami.

Ich platten w końcu zatrzymał się pod Wieżą. Danjin zaczekał, aż ojciec - jako głowa rodziny - wysiądzie pierwszy. Starzec jednak, z poważną miną, nie ruszał się z miejsca.

- Uważaj na siebie, Danjinie - powiedział cicho. - Nie jesteś może moim ulubionym synem, ale jesteś moim synem i nie chciałbym cię stracić.

Danjin patrzył zdumiony, jak ojciec powstał i wysiadł z plattenu. Pokręcił głową i ruszył za nim.

Więc to możliwe... Ale nie mam zamiaru wyruszać na wojnę za każdym razem, kiedy będę chciał, by mi pokazał, że jakoś tam trochę mnie ceni.

- Muszę iść na swoje miejsce - oznajmił, gdy powóz odjechał. - Dbaj o siebie, ojcze. I o moich braci.

- Pewnie przez najbliższy rok będę próbować odrobić straty, jakie ponieśliśmy wskutek zerwania kontraktów w Sennonie - mruczał cicho Ta - Spear. - Ruszaj już. Zrób, co należy w tej niedochodowej ale koniecznej wojnie.

Danjin uśmiechnął się lekko - ojciec znowu wrócił do swojej zwykłej, zrzędliwej postaci... Skłonił się uprzejmie, po czym ruszył szukać pozostałych doradców. Po zakończeniu parady mieli wyruszyć razem, jednym tarnem. Nie wiedział, gdzie ma się z nimi spotkać, ale domyślał się, gdzie ich szukać. Po kilku minutach zauważył niewielką grupę mężczyzn i kilku kobiet w takich samych jak on uniformach. Spostrzegł też, że czują się w nich równie swobodnie jak on...

Stali w kręgu obok platformy, którą zbudowano, by Biali mogli z niej przemówić do żołnierzy. Ich uwagę przyciągało coś albo ktoś pośrodku. Podchodząc, Danjin zobaczył, że to Rian coś im tłumaczy, więc szybko zajął miejsce w kręgu.

- Doradco Danjinie Spearze... - powitał go Rian i rozejrzał się. - Teraz, kiedy jesteśmy już wszyscy, chcę wam kogoś przedstawić.

Zerknął przez ramię, po czym cofnął się. Ku zdumieniu Danjina, w pobliżu grupy stała tkaczka snów. Biały skinął na nią, a ona podeszła, obserwując ich nieufnie.

- Doradca tkaczka snów Raeli. Zastąpi tkacza snów Leiarda, który zrezygnował, by całkowicie poświęcić się nauczaniu swojego studenta.

Doradcy uprzejmie skłonili głowy, ale tkaczka snów nie uśmiechnęła się i nie odpowiedziała na powitanie. Spojrzała Danjinowi w oczy, a on uświadomił sobie, że wpatruje się w nią zdumiony.

- W takim razie życzę mu wszystkiego najlepszego - powiedział głośno. - Był dla nas użytecznym i niezawodnym doradcą.

Kobieta podziękowała lekkim skinieniem głowy, a następnie odwróciła wzrok. Danjin spojrzał na Riana. Czy Auraya wie o tym? Nic nie wspominała wczoraj wieczorem, kiedy rozmawiała z nim poprzez pierścień. Już myślał, czy nie zapytać Riana, ale Biały odwrócił się nagle w stronę platformy. Przed nią zgromadził się spory tłum wysokich kapłanów i kapłanek, a za nimi reszta stanu kapłańskiego. Jeszcze dalej stali żołnierze. Danjin widział tylko pióropusze na ich hełmach - niebieskie u Hanijczyków, czerwone i pomarańczowe u Somreyan.

- Muszę was teraz opuścić - rzekł Rian. - Jesteśmy prawie gotowi.

Jedną ręką wykonał znak kręgu, a wszyscy doradcy - oprócz tkaczki snów - odpowiedzieli tym samym. Potem odszedł, by dołączyć do stojących przy platformie Jurana, Dyary i Mairae. Po krótkiej rozmowie czwórka Białych wkroczyła na schody.

Stanęli w szeregu, a tłum natychmiast zaczął się uspokajać. Jako trzecia pod względem mocy, Auraya stałaby pośrodku, pomyślał Danjin. Czy patrzy teraz?

Oczywiście, że tak. Ale z pewnością łączy się z innymi Białymi. Mają stamtąd najlepszy widok. I mają co oglądać...

Juran wystąpił naprzód i uniósł ręce. Kiedy ostatnie głosy przycichły do szeptów i pomruków, opuścił je.

- Cyrklianie! Mieszkańcy Hani i Somreyu. Lojalni przyjaciele i sprzymierzeńcy. Dziękuję wam za to, że odpowiedzieliście na moje wezwanie do broni. Razem wyruszymy na Złote Równiny. Tam połączymy się z wojskami Genrii, Torenu i Si. Utworzymy ogromną armię, która samym widokiem będzie wzbudzać podziw. Bowiem nigdy jeszcze tak wiele krain Północnej Ithanii nie połączyło się dla jednego celu. Ale będzie to także widok straszny, gdyż tym, co nas zjednoczyło, jest wojna. Wojna, którą nie my wywołaliśmy. Wojna, którą przynieśli do nas ludzie głupi i barbarzyńscy: pentadrianie.

Kiedy wymawiał nazwę pogańskiego kultu, w jego głosie dźwięczała pogarda.

- Opowiem wam o nich. Twierdzą, że oddają cześć piątce bogów, tak jak my. Ale to fałszywi bogowie. Pentadrianie muszą niewolić, uwodzić mężczyzn i kobiety, by skłonić ich do wyznawania tej wiary. Wyruszyli do Północnej Ithanii, by i nas do tego zmusić. Ale to się nie uda!

Jego głos zadźwięczał mocno i gniewnie. Kilka innych w tłumie odpowiedziało, wykrzykując zaprzeczenia.

- Nie zamienimy naszych bogów na tych zepsutych kapłanów i czarowników! - zawołał Juran.

- Nie! - zabrzmiała odpowiedź.

- Przepędzimy ich z powrotem do ich pogańskich świątyń!

- Tak!

- Pokażemy, co to znaczy wierzyć w prawdziwych bogów, mających prawdziwą moc!

Tłum krzyczał z entuzjazmem. Juran odczekał, aż ucichną, nim przemówił znowu.

- Bogowie dali nam, Białym, wielką moc, byśmy mogli was chronić. Zebraliśmy własną armię. My, cyrklianie, nie lubimy przemocy. Nie chcemy rozlewu krwi. Ale będziemy się bronić. Będziemy bronić siebie nawzajem. Będziemy bronić naszego prawa do wyznawania Kręgu Bogów. I zwyciężymy!

Uniósł rękę i zacisnął pięść. Reakcja tłumu była ogłuszająca. Danjin powstrzymał uśmiech. Przy jasnym słońcu, z Juranem, którego pewność udzielała się wszystkim, trudno byłoby sobie wyobrazić, że przegrają w tej bitwie.

Co nie znaczy, że w ogóle mogę sobie wyobrazić klęskę. Jak możemy przegrać, jeśli mamy po swojej stronie bogów? pomyślał.

- Chodźcie z nami! - zawołał Juran. - Idziemy na wojnę! Zstąpił z platformy i dosiadł swojego Nosiciela. Inni Biali poszli za jego przykładem i skierowali potężne, białe reyny w tłum. Kapłani i kapłanki rozstąpili się, by przepuścić swych przywódców.

Stopniowo ludzie ruszali za nimi. Danjin przesunął się do platformy i wspiął na kilka stopni, patrząc, jak ogromna masa ludzi przesuwa się do wewnątrz, by dołączyć do maszerującej kolumny. Słysząc głuchy ryk, Danjin spojrzał ponad ich głowami - Biali właśnie minęli bramę i wjechali do miasta. Wszedł trochę wyżej i zobaczył wzdłuż drogi tłumy gapiów.

Stopnie zadygotały, kiedy wstąpił na nie ktoś jeszcze. Danjin popatrzył w dół i rozpoznał Lanrena Songmakera, jednego z doradców wojskowych.

- Powinniśmy trzymać się bliżej nich - powiedział. - Wątpię, by armia chciała na nas czekać, jeśli nie będziemy gotowi, by dołączyć do kapłanów.

- To prawda - zgodził się Danjin.

Zszedł na ziemię i stanął obok reszty doradców. Kiedy ostatni kapłani i kapłanki ruszyli za kolumną, Lanren ponaglił ich, by zajęli swoje miejsce.

Auraya spojrzała na resztki wczorajszego posiłku i skrzywiła się niechętnie. Lubiła ryby, ale jedynym gatunkiem, jaki potrafiła tu złapać, były drewryby. Same z siebie nie miały żadnego smaku, a nie znalazła żadnych ziół, żeby je przyprawić. Cierpiała więc nad mdłym posiłkiem, dręczona wizjami wspaniałej uczty, w której uczestniczył Danjin podczas ich wczorajszego myślowego kontaktu.

Gdybym wiedziała, że będę obozować na pustej krawędzi klifu, zabrałabym ze sobą trochę jedzenia. I mydło.

Właśnie umyła się w znalezionej wczoraj niewielkiej sadzawce z deszczówką. Jej cyrkli daleko było do dawnej oślepiającej bieli, choć codziennie korzystała ze swych Darów, by usunąć brud i plamy. Czasem miała uczucie, że używa magii tylko do tych codziennych prac.

No, poza lataniem i czytaniem ludziom w myślach.

Podeszła do krawędzi urwiska i spojrzała na wyspy Borry. Wracała tam codziennie od czterech dni i za każdym razem jej prośba o rozmowę z królem spotykała się z odmową. Wczoraj jednak wiadomość, którą powtórzył jej kurier, brzmiała inaczej: „Powiedz jej, że spotkam się z nią tylko wtedy, gdy przyjdzie do pałacu".

Czyżby się bał, że chce go wywabić z bezpiecznej podwodnej siedziby? Przecież Elai, którzy ją widzieli, z pewnością zameldowali, że zawsze przybywa sama... A może wymyślił taki warunek złośliwie, pewien, że nie zdoła się przedostać do miasta albo że utonie, próbując?

Uśmiechnęła się i skoczyła z klifu. Co prawda bez trudu mogła wejść do miasta tajną ścieżką ze strażnicy, ale w ten sposób nie zdobyłaby ich zaufania. Jeśli ma sprostać królewskiemu wyzwaniu, musi tam dotrzeć podwodnym szlakiem. Jej przybycie wywoła tyleż ciekawości, co lęku. Zainteresują się, jak zdołała dotrzeć do ich miasta, i przestraszą, że obcy trafił do ich domu.

Czekając, aż posłańcy Elai przekażą jej prośbę o spotkanie z królem, miała dość czasu, by się zastanowić, jak dostanie się do pałacu. Obserwując niezwykły morski lud, zauważyła, jak szybko umieją pływać i jak długo potrafią wstrzymywać oddech - okazało się, że nie tak długo, jak sądziła. Mogli wytrzymać pod wodą jedynie trzy, cztery razy dłużej niż ziemiochodzący. Za to pływali zadziwiająco szybko. Jej własne doświadczenia z pływaniem ograniczały się do taplania w zakolu rzeki niedaleko wioski. Ale to nie będzie problemem - nie miała zamiaru pływać.

Powietrze było dzisiaj wilgotne, a wiatr drażnił fale, wyrzucając w górę strzępy piany. Szarpał nią i utrudniał lot, więc przybyła na miejsce o godzinę później niż wczoraj. Kiedy tylko dostrzegła

wyspy, skierowała się do tej z dwoma szczytami. Opadała powoli, zauważając, że plaże są opuszczone. Poszukała umysłów i odkryła kilka par Elai, trzymających straż na wyższym szczycie, i więcej ich w wodzie. Gdy wylądowała na piasku, pochwyciła ciąg myśli strażników - zauważyli ją. Z uśmiechem podeszła do wody.

Zatrzymała się, nim dotarła do linii fal pluszczących na piasku. Stworzyła wokół siebie magiczną tarczę, a potem uniosła się odrobinę i przesunęła do przodu. Kiedy znalazła się nad głębszą wodą, opadła. Tarcza się zanurzyła. Woda stawiała opór, ale Auraya ćwiczyła to już wiele razy. Bąbel powietrza wokół niej próbował się wyrwać na powierzchnię, ale na to nie pozwoliła. Wzmocniła tarczę, pchnęła się ku dołowi i znalazła w widmowym świecie.

Uginające się promienie słońca tworzyły wokół złudzenie ruchu. Szarpane wiatrem fale wyrywały z morskiego dna chmury piasku. W półmroku dostrzegała niesamowite kształty. Dookoła niej wyrastały struktury podobne do drzew i grzybów albo wielkich wzorzystych jaj, a frędzle morskich traw i wodorostów kołysały się, poruszane falami. W tym niezwykłym morskim ogrodzie kryły się ryby. Podejrzewała, że to te same gatunki, które oślepiały ją podczas pierwszych podwodnych wycieczek, tu jednak, w słabym świetle, ich kolory były przygaszone.

Fantastyczny podwodny las skończył się nagle. Przesunęła się nad krawędzią przepaści i spojrzała z góry na nieskończony mrok. Dno morza mogło się znajdować kilkaset kroków pod nią - a mogło i kilka tysięcy. Zadrżała i ruszyła w dół. Z odczytanych myśli Elai wiedziała, że jej cel jest niezbyt odległy.

Jakiś ciemny kształt okrążył ją i znieruchomiał. Elai - kobieta - zawróciła i wytrzeszczyła oczy. Auraya uśmiechnęła się do niej. To spowodowało tylko, że kobieta otrząsnęła się z szoku i odpłynęła.

Pojawiało się więcej Elai - oni także przyglądali się jej i uciekali. Słabe światło zwróciło uwagę Aurai na wielki otwór w ścianie podwodnego urwiska. Elai wpływali tam i wypływali bez przerwy, jednak kiedy ją zobaczyli, ruch zamarł. Jedni przemknęli obok niej i zniknęli, inni zawrócili i skryli się w otworze.

Światło, jak odkryła, pochodziło od najbrzydszych ryb, jakie w życiu widziała, uwięzionych w niedużych klatkach. Klatki ustawione były parami, a ich więźniowie wydawali się zafascynowani sobą nawzajem. Zaraz za wylotem otworu minęła taką parę - jedna ryba skoczyła ku drugiej, ale klatka nie pozwoliła, by jej ostre zęby zatopiły się w ciele.

Powietrze wewnątrz tarczy stawało się trochę stęchłe, ale Auraya starała się nie przyspieszać - nie chciała jeszcze bardziej straszyć Elai. Zdawało jej się, że przez całą wieczność sunie wznoszącym się wolno tunelem, nim wreszcie natrafiła na pierwszy rezerwuar powietrza. Był płytki, ale wystarczająco szeroki, by w razie potrzeby mogło zaczerpnąć tchu kilku Elai. Wiedziała z ich myśli, że dzięki wąskim otworom i pęknięciom w skale, sięgającej ponad powierzchnię wody, powietrze było świeże.

Otworzyła czubek bąbla osłony i wpuściła powietrze do środka. Było chłodne. Kiedy poczuła ten chłód przy kostkach, uszczelniła tarczę i zanurzyła się znowu.

Choć ich nie widziała, wyczuwała umysły Elai przed sobą i z tyłu. Gdyby chcieli, mogliby uciec, woleli jednak trzymać się blisko i ją obserwować. To dobrze, uznała. Nie są tacy płochliwi, jak się z początku wydawało. Muszą też mieć lepszy wzrok ode mnie...

Jeszcze osiem razy zatrzymywała się, by nabrać powietrza. Potem ściany tunelu rozsunęły się nagle, a nad powierzchnią błysnęły światła. Ruszyła do góry. Kiedy jej tarcza wysunęła się ponad wodę, Auraya zobaczyła, że znalazła się przy brzegu ogromnej groty.

W ścianach wyryto tysiące otworów, a ponad połowa z nich wypełniona była światłem. Po drugiej stronie podziemnego jeziora wyrastał wielki łuk, a dno groty wynurzało się z wody jak wielka rampa. Masa Elai kręciła się nad brzegiem i spoglądała na nią, a przez cały czas z wody wychodzili kolejni.

Zabrzmiał róg i grotę wypełniły echa. Elai rozbiegli się na obie strony rampy, a zza nich wyszła grupa mężczyzn niosących włócznie i mających dumne miny. Zatrzymali się na linii wody i uformowali

szereg, gotowi do obrony.

Auraya przesuwała się powoli do przodu, aż zakołysała się nad wodą tuż przed nimi.

- Jestem Auraya z Białych. Jak zażądał król, przybyłam do miasta Elai, aby się z nim spotkać.

Wojownicy nie ruszyli się z miejsca, ale kilku zmarszczyło brwi. Z boku zabrzmiał głos:

- Tego zażądałem. Chodź zatem. Ci ludzie odprowadzą cię do pałacu.

Auraya przeszukała najbliższą przestrzeń, ale nie widziała i nie wyczuwała właściciela tego głosu. Zaciekawiona, przesunęła się do przodu i postawiła stopę na ziemi. Wojownicy zrobili zwrot i uformowali podwójną kolumnę. Ściągnęła tarczę bliżej siebie i podążyła za eskortą do podziemnego miasta ludu morza.

31

Leiard patrzył na śnieg, osiadający na pędzelkowatych uszach i krótkich rogach aremów. Ciężki krok wielkich, nakrapianych bestii, ciągnących czterokołowy tarn, niósł ukojenie. Aremy były silne, spokojne i dobrze się nadawały do ciągnięcia wozów albo pługów. Pamiętał, że widywał rzeźby tych zwierząt zaprzężonych do tarnów w ruinach z dawno minionych wieków, wiedział więc, że zostały udomowione tysiące lat temu. Można było ich dosiadać, ale zbyt wolno chodziły i reagowały na komendy, zbyt szerokie miały grzbiety, by wygodnie na nich usiąść. Żaden wysoko urodzony mężczyzna czy kobieta nie zniżyliby się do jazdy wierzchem na aremie. Drobnokościste, lekkie reyny, preferowane przez arystokratów, nie nadawały się jednak na zwierzęta pociągowe - choć dało się je wytresować do ciągnięcia wyścigowych plattenów.

W przeciwieństwie do innych zwierząt, aremy nie miały chyba żadnych Darów. Większość zwierząt i nawet roślin wykorzystywała magię na wiele drobnych sposobów, pomagających im znaleźć pożywienie, bronić się albo znajdować partnerów. Jeśli aremy miały już jakiś Dar, to Leiard podejrzewał, że jest to zdolność wyczuwania w umyśle woźnicy celu podróży. W swej imponującej pamięci przechowywały drogi i miejsca, jakie odwiedziły. Krążyło wiele opowieści o tym, jak woźniców, którzy zasnęli z powodu choroby czy pijaństwa, dowoziły do domów. Albo do domów ich kochanek.

Tkacze snów na zmianę powozili trzema czterokołowymi tamami, które kupili w Jarime, by załadować na nie żywność, namioty i zapasy. Niektórzy szli pieszo, by roztapiać albo odsuwać śnieg w miejscach, gdzie blokował drogę. Przed sobą Leiard widział jedynie umocowane na wozie i owinięte płótnem duże paki. Nie warto było się oglądać, gdyż widok zasłaniał mu własny, równie mocno wyładowany tarn. Słyszał głosy tkaczy snów z grupy Arleej.

- Myślisz, że wojsko nas dogoni? - zapytał Jayim. Leiard zerknął na siedzącego obok młodego człowieka, potem znów spojrzał na

aremy.

- Nie. Większa część podróżuje pieszo.

- Dlaczego? - zdziwił się chłopak. Leiard parsknął śmiechem.

- W Hani nie ma ujeżdżonych reynów nawet dla połowy miejscowej armii, a co dopiero dla Somreyan.

Jayim przygryzł wargę.

- Przecież jedziemy niewiele szybciej, niż gdybyśmy szli piechotą. W dodatku musimy się czasem zatrzymywać z powodu śniegu. A więc nie możemy oddalić się od nich za bardzo.

- Możemy. Pamiętaj, nie mamy armii, którą trzeba kierować. Wyobraź sobie, ile trzeba czasu i wysiłku, by co wieczór rozbić obóz, zorganizować wydawanie żywności i opału do ognisk, rozstrzygnąć wszelkie spory, a rano zmusić wszystkich, by wstali, spakowali się i pomaszerowali dalej. Nawet kiedy znikną te ostatnie śniegi i dni będą cieplejsze, i tak będzie sporo roboty.

Jayim zamyślił się.

- Ciekawie byłoby to zobaczyć. Prawie żałuję, że nie jedziemy razem z nimi, chociaż rozumiem dlaczego.

Leiard kiwnął głową. Podczas połączenia umysłów pokazał Jayim owi kilka wspomnień łącza z dawnych wojen. Tkacze snów nie stawali po żadnej stronie; leczyli chorych i rannych niezależnie od ich narodowości czy religii, a to często budziło niechęć. W przeszłości wielu tkaczy snów zostało zabitych za „pomaganie nieprzyjacielowi".

Tkacze nie podróżowali z wojskiem. W niewielkich grupach posuwali się przed armią i za nią. Trzymali się z daleka od szaleństwa bitwy, a potem wkraczali na pole walki i do obozów obu armii jednocześnie, ofiarując swoją pomoc.

Jayim zerknął na swego nauczyciela i szybko odwrócił głowę.

- O co chodzi?

- O nic.

Leiard uśmiechnął się i czekał. Takie wahanie było całkiem do Jayima niepodobne. Chłopiec odezwał się dopiero po kilku minutach:

- Czy... czy myślisz, że kiedyś spotkasz jeszcze Aurayę? Dźwięk tego imienia wzbudził u Leiarda dreszcz nadziei i oczekiwania. Odetchnął głęboko i przypomniał sobie, dlaczego jest tutaj z Arleej.

- Musielibyście spotykać się w tajemnicy, prawda?

- Niekoniecznie.

- Nic by wam chyba nie groziło, jeśli w pobliżu nie byłoby żadnych Białych, którzy by ci czytali w myślach.

- Tak.

- Czy myślisz, że się... no, spotkacie? Ostatni raz? Leiard zerknął na niego. Chłopak wyszczerzył zęby.

- To nie jest prosta sprawa, Jayimie. Naraziłem nas na wielkie niebezpieczeństwo. Nie rozumiesz tego?

Nie bądź takim nudziarzem. Ten biedny chłopak jest jeszcze prawiczkiem. To, co zobaczył w twojej pamięci, było ciekawsze niż wszystko, co sobie wcześniej wyobrażał.

Leiard zmarszczył czoło, słysząc w głowie znajomy głos. Wciąż sobie nie poszedłeś, Mirarze?

Trzeba jeszcze kilku połączeń, żeby się mnie pozbyć. A może o wiele więcej.

- Oczywiście, że rozumiem - zapewnił Jayim z powagą, Ale natychmiast znowu się uśmiechnął. - Ale musisz też dostrzec zabawne strony tej sytuacji. Ze wszystkich kobiet, jakie miałeś do wyboru... To jak jedna z tych sztuk, co je oglądają w wyższych sferach. Same skandaliczne romanse i tragiczni miłość.

- Oraz ich konsekwencje - dodał Leiard.

Podoba mi się ten chłopak, oświadczył Mirar. *Ma poczucie humoru, w przeciwieństwie do typa, w którego umyśle utkwiłem.*

- Czasami kochankom się udaje - zauważył Jayim.

- Szczęśliwe zakończenia to luksus, na jaki może sobie pozwolić fikcja - odparł Leiard.

Chłopak wzruszył ramionami.

- To prawda. Ze wszystkich sekretów, jakie mógłbyś ukrywać, nie spodziewałem się czegoś tak... tak...

- Nieprzyzwoitego?

- Tak. To była niespodzianka. Sam nie wiem czemu, ale myślałem, że Biali są... no, że żyją w celibacie. Chociaż, jeśli człowiek jest nieśmiertelny, to byłoby chyba zbyt wielkie wymaganie. Może dlatego Mirar był taki, jaki był.

Leiard zdusił śmiech.

No jak? Czy to z tego powodu byłeś taki niegrzeczny?

Nie wiem. Może. Czy człowiek wie, dlaczego robi te rzeczy, które robi?

Miałeś dość czasu, żeby się zastanowić.

Czasami nie da się znaleźć odpowiedzi, nawet mając do dyspozycji cały czas świata. Nieśmiertelność nie czyni cię wszechwiedzącym.

- Zastanawiam się, czy wszyscy Biali są tacy - mówił Jayim. - Jeśli nieśmiertelność sprawia, że są... no, wiesz. Pewnie ludzie by coś słyszeli, gdyby inni Biali ciągnęli do łóżka każdego, kogo zobaczą.

Leiard zmarszczył brwi, oburzony.

- Auraya nie ciągnęła do łóżka każdego, kogo zobaczyła.

- A może jednak? Skąd wiesz?

- Dość tych plotek - rzekł stanowczo. - Jeśli masz czas na plotkowanie, to masz czas na naukę.

Jayim skrzywił się z niechęcią.

- W drodze?

- Tak. Przez najbliższe lata będziemy dużo podróżować. Musisz się przyzwyczaić do lekcji w drodze.

Chłopiec westchnął. Odwrócił głowę, by spojrzeć przez ramię, ale zrezygnował.

- Nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim nie wrócę do domu - mruknął, niemal zbyt cicho, by dało się go usłyszeć. Potem wyprostował się i spojrzał na Leiarda. - No więc czego się dzisiaj nauczę?

Coś się wydarzyło, uznała Imi, podążając korytarzem za Teiti, swoją ciotką i nauczycielką. Najpierw przybył posłaniec; dysząc z wysiłku, podbiegł do Teiti i wyszeptał jej coś do ucha, po czym

odszedł chwiejnym krokiem. Następnie ciotka oświadczyła, że Imi musi zostawić staw i inne dzieci, i nie słuchała żadnych protestów, kiedy ciągnęła ją do domu.

Poszły jednym z tajnych szlaków, co od razu wzbudziło u Imi podejrzenia. Kiedy dotarły do pałacu, gwardziści nie uśmiechnęli się do niej, tak jak zawsze. W ogóle nie zwrócili na nią uwagi - wydawali się sztywni i strasznie poważni. Strażnicy, którzy stali przy drzwiach do jej pokoju, owszem, uśmiechnęli się na jej widok, ale tak jakoś dziwnie rozejrzeli się po korytarzu i od razu zgadła, że też są czymś zdenerwowani.

- Co się dzieje? - zapytała ciotkę, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Teiti przyjrzała się jej spod zmarszczonych brwi.

- Mówiłam ci już, księżniczko, że nie wiem.

- To się dowiedz - rozkazała Imi.

Teiti skrzyżowała ręce na piersi i z dezaprobatą zmarszczyła czoło. W przeciwieństwie do reszty pałacowej służby, nie dawała się łatwo zastraszyć. Nie była wynajętą opiekunką, ale członkiem rodziny, i to o statusie tylko trochę niższym od samej księżniczki.

Jednak nie zbeształa Imi.

- Święta Huan... - szepnęła. - Czekaj tutaj. Pójdę i postaram się sprawdzić, co się dzieje.

Imi uśmiechnęła się i złożyła razem dłonie.

- Dziękuję ci. Spiesz się, proszę.

Starsza kobieta podeszła z powrotem do drzwi. Położyła dłoń na klamce, ale obejrzała się jeszcze i zmierzyła dziewczynkę podejrzliwym wzrokiem.

- Bądź grzeczna, Imi. Nigdzie nie odchodź. Dla własnego bezpieczeństwa zostań w pokoju.

- Zostanę.

- Jeśli nie będzie cię tutaj, kiedy wrócę, nic ci nie powiem - ostrzegła ciotka.

- Przecież mówię, że nigdzie nie pójdę.

Teiti zmrużyła oczy, ale odwróciła się w końcu i wyszła. Gdy

tylko zamknęły się za nią drzwi, Imi popędziła do sypialni. Podeszła do rzeźby na jednej ze ścian, wsunęła za nią rękę, pomacała przez chwilę i natrafiła na rygiel. Pociągnęła go i rzeźba bezgłośnie odchyliła się na zewnątrz, jak drzwi.

Za nią był otwór. Ojciec pokazał jej go już wiele łat temu. Powiedział, że gdyby jacyś źli ludzie wdarli się do pałacu, powinna wczołgać się tam i czekać, aż sobie pójdą.

Nie powiedział jej, że otwór jest początkiem tunelu. Odkryła to pewnej nocy, kiedy nuda przezwyciężyła lęk przed wchodzeniem w nieznane i ciemne miejsce. Popychając przed sobą świeczkę, przeczołgała się tylko kawałek, nim natrafiła na ścianę ze spojonych zaprawą kamieni.

Ale nie była to solidna przegroda. Dorosły Elai, który ją budował, miał za mało miejsca i się nie postarał. Imi słyszała zza niej jakieś głosy, docierające przez pęknięcia i otwory. Głosy, które nie całkiem mogła zrozumieć.

Przez cały miesiąc zamiast spać, co noc wciskała się do tunelu i odłupywała kawałki muru. Pył i drobne odłamki wysypywała do wygódki, większe kamienie przemycała pod ubraniem na zewnątrz.

Teraz, wczołgując się do otworu, Imi raz jeszcze pogratulowała sobie odkrycia. Kiedy już usunęła blokadę i dotarła dalej, znalazła w ścianie tunelu małe drewniane drzwiczki. Otworzyła je i trafiła do niewielkiej szafy. Za nią był pokój o ścianach pokrytych rurami.

Od razu się domyśliła, co to takiego. Ojciec mówił jej, że ma urządzenie, które pozwala mu przemawiać albo słuchać ludzi w innych częściach miasta. Opisał jej te rury przenoszące dźwięki.

Nie wiedział, że je znalazła i że sama z nich korzysta.

Przychodzenie tutaj było cudowną zabawą. Zawsze się upewniała, że jest zajęty do późna, i dopiero wtedy prześlizgiwała się do tego pokoju. Przyciskała ucho do uchokształtnych otworów w rurach i podsłuchiwała rozmowy ważnych ludzi, kłótnie służących, romantyczne wyznania kochanków. Znała wszystkie plotki w mieście - i prawdę także.

Imi nasłuchiwała przez chwilę odgłosów z drugiej strony

drewnianych drzwiczek, po czym przecisnęła się przez nie. Szybko podbiegła do rury, która prowadziła do królewskiej sali audiencyjnej. Przycisnęła ucho do otworu.

- ...korzyści z handlu. Dekoracje, jakie widzę w tej komnacie, biżuteria, którą nosicie... wszystko to dowodzi, jakich macie utalentowanych rzemieślników. Mogą wytwarzać towary na sprzedaż poza Borrą. W zamian moglibyście korzystać z luksusów mojego ludu, na przykład z pięknych tkanin produkowanych w Genrii, które migoczą jak gwiazdy, albo błyszczących, czerwonych ognistych kamieni z Torenu.

Głos należał do kobiety, a słowa były dziwnie akcentowane. Mówiła powoli, przerywając często, jakby szukała odpowiednich fraz, a nad każdą się zastanawiała. Imi wstrzymała oddech, słysząc o migoczących tkaninach i ognistych kamieniach. Opis brzmiał cudownie i miała nadzieję, że ojciec kupi ich trochę.

- Istnieje też cały świat przypraw, ziół i egzotycznych potraw, których chcielibyście może spróbować. Wiem, że na północy żyją ludzie, którzy zapłacą majątek za nowe smaki i produkty z Borry. Ale nie myślcie, że mamy na sprzedaż tylko przedmioty luksusu. Mój lud zna dużo skutecznych lekarstw na wszelkiego rodzaju choroby. Nie byłabym zdziwiona odkryciem, że wy znacie leki, jakich nigdy nie spotkaliśmy. Wiele jest dziedzin, w których możemy prowadzić wymianę, panie.

- To prawda. - Serce Imi zabiło szybciej, gdy poznała głos ojca. - Piękną wygłaszasz mowę, ale już takie słyszeliśmy. Ziemiochodzący przybywali do nas, zapewniając, że interesuje ich tylko handel. Ale w rzeczywistości okradali nas, zabierając święte obiekty nawet z tej komnaty. Wytropiliśmy ich i odebraliśmy naszą własność. A potem przysięgliśmy już nigdy nie zaufać ziemiochodzącym. Dlaczego mamy teraz złamać tę przysięgę i uwierzyć w to, co mówisz?

Ziemiochodząca? zdumiała się Imi. Ta kobieta jest ziemiochodzącą? Jak się dostała do miasta?

- Rozumiem wasz gniew i waszą ostrożność - odpowiedziała obca. - Zachowałabym się tak samo, gdyby to mnie oszukano. I

gdybyście mieli wpuścić do siebie kupców, nalegałabym na zachowanie tej ostrożności. Oni nie zawsze są najuczciwszymi z ludzi. Ja jednak nie jestem kupcem. Jestem kapłanką bogów. Jedną z pięciorga wybranych, by reprezentować ich na tym świecie. Tak jak wy, nie mogę usunąć ze świata obłudy. Mogę jednak starać się jej zapobiegać i pilnować, by nie uchodziła bezkarnie. Przymierze z nami obejmuje też warunek wzajemnej obrony. Pomożemy Wam chronić wasze ziemie od najeźdźców, jeśli wy zgodzicie się nam pomagać.

- Jakiej pomocy moglibyśmy udzielić tobie, czarownicy o wielkiej mocy, dysponującej licznymi armiami ziemiochodzących?

- Takiej, jaka jest możliwa, panie - odpowiedziała spokojnie. - Siyee podpisali z nami taki traktat. Nie są może wielcy czy silni ciałem, ale mogą nam pomóc na wiele sposobów.

Zapadła cisza. Imi słyszała, jak jej ojciec cmoka językiem o podniebienie, jak zawsze, kiedy się nad czymś zastanawia.

- Jeśli rzeczywiście jesteś tym, kim mówisz, że jesteś - oznajmił nagle - powinnaś być w stanie przywołać teraz Huan. Uczyń to, a ja ją zapytam, czy mówisz prawdę.

Kobieta wydała cichy dźwięk, jakby próbowała powstrzymać śmiech.

- Jestem jedną z jej reprezentantów - rzekła. - Ale nie daje mi to prawa rozkazywania bogini. - Milczała przez chwilę, a potem odezwała się tak cicho, że Imi ledwie ją słyszała. - Lecz rozmawiałam niedawno z Huan o waszym ludzie. Powiedziała, że decyzja należy do was. Nie będzie się wtrącać.

Znowu chwila ciszy.

- Wiecie już o tym, prawda? - dodała, jakby odrobinę zdziwiona.

- Bogini tak właśnie mówiła naszym kapłanom - przyznał ojciec. - Mamy sami postanowić. Widzę w tym znak, że ufa moim sądom.

- Tak by się wydawało - zgodziła się kobieta.

- Mój sąd jest taki: za mało wiem o tobie, ziemiochodząca. Nie widzę powodu, by narażać nasze życie dla paru świecidełek. Propozycja ochrony jest kusząca, z pewnością zdajesz sobie z tego

sprawę, ale jak zdołacie nas obronić, jeśli żyjecie na drugim końcu kontynentu?

- Odnajdziemy tych piratów i rozbijemy ich. Z innymi zagrożeniami poradzą sobie statki wysłane z Porinu.

- Nigdy nie dotrą na czas. A ty zaraz zaproponujesz, by statek stał tutaj na kotwicy. Potem zechcesz wybudować osadę dla załogi. To nie do przyjęcia.

- Rozumiem. Znajdziemy inne rozwiązanie. Jeśli omówimy...

- Nie.

Imi rozpoznała twardy upór, który rozbrzmiewał w głosie ojca, kiedy ten podjął decyzję. Westchnęła rozczarowana. Cała ta rozmowa o handlu była taka ekscytująca... I przecież najprostszym sposobem pozbycia się piratów jest zapłacenie komuś innemu, żeby to zrobił...

- Imi!

Podskoczyła. To był głos Teiti i nie docierał tu przez rurę. Nauczycielka wróciła.... Imi zamarło serce. Jedyna możliwość, by mogła słyszeć jej wołanie, to ta, że rzeźbę - drzwi do tunelu - zostawiła odsuniętą! Jeśli ciotka odkryje tunel, skończą się wizyty w pokoju z rurami.

Imi skoczyła do szafy. Zamknęła za sobą drzwi i przecisnęła się do tunelu. Drewniane drzwiczki były trudniejsze - urosła trochę ostatnio i miała za mało miejsca, by sięgnąć ręką i zamknąć zasuwkę.

Jak najszybciej Poczołgała się z powrotem. Zatrzymała się tuż przed otworem i wyjrzała ostrożnie - Teiti była w drugim pokoju i biegała dookoła. Kiedy zajrzała pod krzesło, Imi miała ochotę się roześmiać - ciotka wyraźnie myślała, że się gdzieś chowa.

- Imi, to bardzo brzydko. Wyjdź natychmiast!

Ruszyła do sypialni. Imi zamarła, ale gdy Teiti zatrzymała się, by zajrzeć do szafy, szybko wyciągnęła rękę i przyciągnęła rzeźbę, zasłaniając otwór.

Słuchała, jak Teiti biega po pokoju i woła ją drżącym głosem. Imi zdziwiła się. Czy ciotka jest zła? Czy tylko zdenerwowana? Odgłosy ucichły, kiedy nauczycielka wróciła do drugiego pokoju.

I wtedy Imi usłyszała ciche chlipnięcie. Zaczerwieniła się ze wstydu - Teiti płakała!

Odsunęła rzeźbę, jak najciszej wysunęła się z tunelu, starannie zasunęła i zablokowała rzeźbę, po czym pobiegła do drugiego pokoju.

- Przepraszam, Teiti! - zawołała. Kobieta uniosła głowę i odetchnęła z ulgą.

- Imi! To nie było zabawne!

Nietrudno było wyglądać na zawstydzoną. Teiti była wprawdzie wymagającą nauczycielką, ale była też wesoła i wielkoduszna. Imi lubiła robić żarty swoim przyjaciołom, jednak tylko po to, żeby ich rozbawić. Nikomu nie chciała sprawiać przykrości.

- To chyba poważna sprawa - powiedziała. Teiti otarła oczy i uśmiechnęła się.

- Tak. W pałacu jest ziemiochodząca. Nie wiem, jak się tu dostała i po co, ale lepiej się stąd nie ruszajmy, gdyby były jakieś kłopoty. - Teiti zmarszczyła czoło. - To nie znaczy, że cokolwiek ci grozi, księżniczko. Ona nawet nie wie o twoim istnieniu, więc jesteś chyba całkiem bezpieczna.

Imi pomyślała o tej kobiecie, której rozmowę z ojcem podsłuchała. Czarownica i kapłanka bogów, która chciała, by Elai i jej lud zostali sojusznikami - co jest innym słowem na określenie przyjaciół. Nie mówiła jak ktoś, kogo trzeba się bać.

Imi kiwnęła głową.

- Ja też tak uważam, Teiti.

Księżyc wyglądał jak radosny biały uśmiech. Kiedy Tryss go zobaczył, pomyślał, że to dobra wróżba. Teraz, kilka godzin później, blady sierp bardziej mu przypominał drwiący grymas.

Albo morderczą klingę, pomyślał. Odetchnął głęboko, wydmuchując kłąb pary, i pokręcił głową. Zabobonne bzdury i tyle. To przecież tylko wielki głaz osadzony w zamarzniętej toni nieba. Nic więcej, nic mniej.

- Nie wierzę... On krąży! Spokojny i poważny Tryss chodzi w kółko!

Tryss aż podskoczył, słysząc ten głos.

- Sreil? - szepnął. - Co się stało?

- Nic - odparł starszy chłopak. - Po prostu rozcięcie ściany zajęło więcej czasu, niż myślałem.

Dwie postacie wyłoniły się z mroku; śnieg tłumił ich kroki. Księżyc oświetlał obie twarze, ale Tryss widział tylko jedną: Drilli, otuloną futrem yerna. Serce zabiło mu mocniej, kiedy się jej przyjrzał. Oczy miała szeroko otwarte, a wyraz twarzy... pełen wahania. I niepewny.

- Na pewno...

- ...chcesz?

Wypowiedzieli te słowa równocześnie. Drilli uśmiechnęła się, a Tryss poczuł, że robi to samo. Podszedł i ujął ją za ręce, a potem pogładził jej twarz. Na moment z rozkoszą zamknęła oczy. Dotknął wargami jej ust. Jej pocałunek był mocny i pewny, a on poczuł, że żar ogarnia jego ciało. Zdawało się, że zimowy chłód zniknął wokół nich. Kiedy oderwali się od siebie, serce biło mu jak szalone, a wszelkie wątpliwości zniknęły.

Albo całkiem straciłem rozum, pomyślał. Zresztą tak właśnie mówią o młodych ludziach. Zwrócił się do Sreila.

- Dokąd teraz? Chłopak zachichotał.

- Czyżbyśmy się spieszyli? Wciąż uważam, że Ryliss będzie najlepszy. Obozuje trochę dalej od Przestrzeni niż cała reszta. Wiecie, jacy są ci ze Świątynnej Góry. Zawsze poważni i zawsze samotnicy. Chodźcie za mną.

Tryss wziął Drilli za rękę i pomaszerowali za Sreilem przez las. Droga była długa - musieli okrążyć górny koniec Przestrzeni. Czarne cienie drzew przesłaniały księżyc, a śnieg pokrywał wszystko. Oboje potykali się o przeszkody.

Drilli jęknęła cicho.

- Co się stało?

- Stopy mnie bolą.

- Mnie też.

- Nie moglibyśmy polecieć?

- Gdybyśmy mogli, to jestem pewien, że Sreil nie szedłby piechotą.

- Myślę, że to dla niego tak samo ciężkie jak dla nas. Umilkła. A po kilku chwilach ścisnęła jego dłoń.

- Przepraszam. Bardzo to romantyczne, w noc ślubu skarżyć się na obolałe stopy.

Zachichotał.

- Jeśli chcesz, później ci je romantycznie rozmasuję.

- Mmm... Owszem, chętnie.

W końcu między drzewami pojawiła się altana i Tryss odetchnął z ulgą. Sreil kazał im zaczekać i poszedł sprawdzić, czy Mówca Ryliss jest sam. Tryss poczuł, jak lęk ściska mu żołądek. Sreil zbliżył się do wejścia altany. Jakiś cień stanął przy drzwiach. Ktoś ściągnął na bok zasłonę, a potem syn Sirri odwrócił się i wezwał ich gestem.

Drilli mocno ściskała go za rękę, kiedy szli do altany. Zatrzymali się przed wejściem, a Mówca Ryliss przyjrzał im się z uwagą spod gęstych siwych brwi. Potem skinął ręką.

- Wejdźcie.

Oboje przekroczyli próg. Wewnątrz pod ścianą płonął ogień, dając przyjemne ciepło. Dym wydostawał się przez otwór w stropie. Ryliss wskazał im długą ławę, a sam usiadł na stołku.

- A więc wy dwoje zamierzacie dzisiejszej nocy zawrzeć małżeństwo - rzekł. - To poważna sprawa. Oboje jesteście pewni, że tego chcecie?

Tryss zerknął na Drilli i przytaknął. Ona uśmiechnęła się i wymówiła ciche „tak".

- Jak rozumiem, jest to wbrew życzeniom waszych rodziców?

- Rodziców Drilli - sprostował Tryss. - Moi nie będą protestować.

Starzec obserwował ich z powagą.

- Oboje powinniście wiedzieć, że choć możecie zdecydować się na małżeństwo bez zgody rodziców, jednak wasze klany nie będą wtedy zobowiązane do wydania dla was uczty ani ofiarowania żadnych podarunków. Wasi rodzice nie muszą się zgadzać, byście zamieszkali z nimi w ich altanie.

- Rozumiemy - odparła Drilli. Mówca skinął głową.

- Nie mogę odmówić wam rytuału, jeśli poprosicie o niego oficjalnie.

Tryss powstał. Drilli stanęła przy nim.

- Jestem Tryss z klanu Łysej Góry. Postanowiłem zawrzeć związek z Drilli z klanu Wężowej Rzeki. Czy przeprowadzisz rytuał?

- Jestem Drilli z klanu Wężowej Rzeki. Postanowiłam zawrzeć związek z Tryssem z klanu Łysej Góry. Czy przeprowadzisz rytuał?

Ryliss przytaknął.

- Zgodnie z prawem, muszę spełnić wasze żądanie. Niech Tryss stanie teraz za Drilli, Weźcie się za ręce.

Drilli uśmiechała się, kiedy wykonywali polecenie. Oczy błyszczały jej jasno, gdy obejrzała się na niego przez ramię. Wydawała się równocześnie podekscytowana i trochę wystraszona.

- Ostatnia szansa, żeby się wycofać - szepnęła. Uśmiechnął się także i mocniej ścisnął jej dłonie.

- Tylko jeśli uda ci się wyrwać.

- Uciszcie się, proszę - upomniał ich Ryliss, marszcząc czoło. - To poważna sprawa. Musicie pozostać razem przez najbliższe dwa lata, nawet jeśli zaczniecie żałować swej decyzji. Podnieście ręce.

Otworzył nieduży mieszek u pasa - mieszek, jaki nosili wszyscy Mówcy. Wyjął z niego dwa jaskrawe sznurki. Po czym zaczął związywać razem jedną parę ich rąk.

- Jestem Ryliss z klanu Świątynnej Góry. Związuję Tryssa z klanu Łysej Góry i Drilli z klanu Wężowej Rzeki jako męża i żonę. Od dzisiaj lećcie razem.

Przeszedł do drugiej pary splecionych rąk.

- Jestem Ryliss z klanu Świątynnej Góry. Związuję Tryssa z klanu Łysej Góry i Drilli z klanu Wężowej Rzeki jako męża i żonę. Od dzisiaj lećcie razem.

Gdybyśmy lecieli tak blisko siebie, pomyślał Tryss, wyczuwalibyśmy każdy swój ruch. Pewnie o to właśnie chodzi. Ryliss odstąpił i skrzyżował ręce.

- Postanawiając związać się razem, wstępujecie w związek

małżeński. Przyjmujecie odpowiedzialność za swoje zdrowie, szczęście i wychowanie dzieci, jakie narodzą się z tego związku. Jako że to wasze pierwsze małżeństwo, dokonujecie też przejścia w dorosłość. Oboje musicie pracować dla dobra tego klanu, z którym zdecydujecie się zamieszkać.

Przerwał na moment, nim kiwnął głową.

- Ogłaszam, że jesteście małżeństwem.

Stało się, pomyślał Tryss. Spojrzał na uśmiechniętą Drilli i objął ją ramionami, przesuwając po ciele także jej ręce. Sreil odchrząknął.

- Pozostał jeszcze tylko jeden krok.

Tryss obejrzał się wystraszony. O co mu może chodzić...

- To prawda. - Kącik ust Rylissa drgnął lekko, co było najbliższą uśmiechu reakcją, jaką widzieli u niego tej nocy. Zwrócił się do Tryssa i Drilli. - Wrócę rano. Proszę, nie naróbcie bałaganu.

Po czym wyszedł z altany i zniknął. Tryss zdziwiony popatrzył na Sreila.

- Jaki krok?

Sreil uśmiechnął się szerzej.

- Nie mogę uwierzyć, że o to pytasz.

- Och...

Tryss poczuł, że się czerwieni, kiedy nagle zrozumiał, o czym mówi Sreil.

Drilli zachichotała.

- Czasami dziwię się, jak ktoś tak mądry może być takim głuptasem - powiedziała.

- Ja również - zgodził się Sreil. - No dobrze. Jestem pewien, że nie będziecie mieli problemów z dokończeniem rytuału. Nie potrzebujecie mojej pomocy, więc wracam do siebie.

- Dziękuję ci, Sreil - odezwała się dziewczyna.

- Ja też - zgodził się Tryss. - Jestem ci winien przysługę. Sreil zrobił niewinną minę.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Zupełnie nic - odparł Tryss. - No to idź. Nie powiemy nikomu ani słowa.

Sreil parsknął śmiechem, wycofał się z altany i opuścił za sobą zasłonę. Tryss słuchał skrzypienia śniegu pod jego stopami. W końcu kroki ucichły w oddali.

Drilli podniosła rękę i przyjrzała się sznurowi.

- Mam nadzieję, że Ryliss nie zawiązał ich za mocno.

32

Karawana ladacznic stanowiła imponujący widok. Przed budynkiem stanęło dwanaście tarnów, każdy zaprzężony w dwa aremy. Pierwsze sześć było jaskrawo pomalowane, z wypisanym na burtach imieniem Rozei. Grube, sztywne osłony miały obszycie w tych samych barwach. Druga szóstka tarnów nie miała już ozdób. Wokół nich kręciła się służba - przy jednym czekały kobiety, na inny mężczyźni ładowali jakieś worki i skrzynie.

Żagiew i Fala głośno wyrażały swój zachwyt, a ich oddechy zmieniały się w parę w chłodnym powietrzu. Wraz z Emerahl i jeszcze trójką dziewcząt podeszły do czwartego wozu. Godzinę temu, gdy czekały w sali tanecznej, Rozea kazała im podzielić się na sześcioosobowe grupy, a potem przydzieliła tarny, losując z torby żetony z numerami.

Nasza pracodawczyni chce uchodzić za sprawiedliwą, myślała Emerahl. Ciekawe, czy Promyk też tak uważa. Czy wie, że Rozea zaplanowała, bym po powrocie stała się faworytą w jej zamtuzie? Czy mnie nienawidzi? Czy też jest zadowolona, że może zrezygnować z tej roli?

To bez znaczenia. Emerahl nie zamierzała tu wracać. Planowała wymknąć się z karawany, gdy tylko opuszczą miasto.

To znaczy, poprawiła się w myśli, o ile uda się jej wyjechać z miasta niepostrzeżenie.

Oparła się pokusie, by przesunąć palcami wzdłuż brzegu rękawa. Wcisnęła tam niewielkie paciorki, z których każdy był ściśniętą grudką formtanu. Przyjmowany w tej postaci, działał wolniej, a efekty trwały około godziny.

W Porinie nie był to narkotyk nieznany. Na ogół przyjmowano go jako napar albo palony w fajce jak tytoń. Powodował rozkoszne ukojenie, tłumił mdłości, a w większych ilościach działał usypiająco.

Sen jednak Emerahl nie wystarczał. Musiała stracić przytomność.

Lęk ściskał jej żołądek, kiedy rozważała, na co się naraża. Plan

był ryzykowny - jeśli umiejący czytać w myślach kapłan, pilnujący miejskiej bramy, zauważy, że nie jest w stanie zajrzeć do umysłu jednej z ladacznic, może postanowi zbadać sprawę. Gdy uzna za podejrzane, że pod wpływem formtanu straciła przytomność, zatrzyma je, dopóki Emerahl się nie obudzi - a wtedy jej nienaturalnie długi żywot dobiegnie końca.

Aby narkotyczny stan uczynić mniej podejrzanym, przygotowała kilka dodatkowych porcji formtanu. Miała zamiar dać je pozostałym dziewczętom. Mniejsze dawki, oczywiście, więc poczują tylko cudowne ukojenie. Tarn pełen nieprzytomnych kobiet z pewnością raczej by wzbudził podejrzenia, niż je oddalił.

Jako ostatnia wspięła się na wóz. Wszystkie miały na sobie grube taule i niosły koce. Budy na tamach osłonią je przed deszczem, ale nie przed chłodem. Do końca zimy pozostało jeszcze sporo czasu, a im dalej na południe dotrą, tym surowszy będzie klimat.

W środku było dość ciasno, z szóstką kobiet ściśniętych na twardych ławkach.

- Z zewnątrz wydawały się bardziej obszerne - mruczała Żagiew. - Uważaj, jak chodzisz, Gwiazdko.

- Cuchnie tu wędzonym nerem - poskarżyła się Życzliwość.

- Wątpię, czy Rozea kupiła te wozy nowe. - Ptaszek kopnęła piętami w deski, aż zadudniło. - Coś tam jest pod ławką.

Emerahl zajrzała pod siedzenia po drugiej stronie.

- Skrzynki. Myślę, że jest tam część naszych zapasów. Nasze siedzenia stoją bliżej siebie niż to konieczne. Nie zdziwiłabym się, gdyby z tyłu były tajne skrytki.

- Ale po co? - zdumiała się Fala. - Rozea jest zbyt skąpa, żeby kupić więcej tarnów?

- Nie - odparła Żagiew. - To na pewno schowki, w których będziemy ukrywać różne rzeczy na wypadek, gdyby ktoś chciał nas obrabować.

Pozostałe umilkły i spojrzały na nią niespokojnie.

- Rabusie pomyślą, że wszystko, co mamy, jest na tych wozach z ładunkiem - wyjaśniła Żagiew. - A gdyby zajrzeli tutaj, to zobaczą

nas i nic więcej.

- Przecież nikt nas nie obrabuje - oświadczyła Gwiazdka. - Będziemy podróżować z wojskiem.

- Ale możemy zostać z tyłu - stwierdziła lękliwie Ptaszek. - A nawet się od nich oddzielić.

- Na pewno nie - uspokoiła ją Gwiazdka. - Rozea na to nie pozwoli.

Na zewnątrz rozległ się przenikliwy gwizd. Dziewczęta wymieniły nerwowe spojrzenia, lecz milczały, dopóki tarn nie ruszył z miejsca.

- Teraz już za późno, żeby zmienić zdanie - mruknęła Fala.

- Mogłybyśmy wszystkie wyskoczyć i pobiec z powrotem - zaproponowała Życzliwość, ale bez przekonania.

Emerahl parsknęła lekceważąco.

- Rozea pośle kogoś, żeby was ściągnął. Myślałam, że oprócz mnie, wszystkie marzycie o tej wspaniałej przygodzie.

Pozostałe dziewczęta wzruszyły ramionami.

- A ty nie chcesz jechać, Nefryt? - spytała Gwiazdka. - Dlaczego?

Emerahl odwróciła głowę.

- Uważam, że rabusie to najmniejszy z naszych problemów.

To żołnierzy będziemy musiały się strzec. Oni uznają, że walka daje im u nas prawo do darmowej obsługi, kiedy tylko przyjdzie im ochota. A nie mamy dosyć własnej ochrony, by im tego zabronić. To będzie ciężka, brudna praca. Życzliwość skrzywiła się.

- Może już o tym nie mówmy. Wolę raczej się łudzić, że przeżyjemy wspaniałą przygodę i będziemy świadkami wielkich wydarzeń, o których kiedyś będę mogła opowiadać wnukom.

- Bardzo dobrze, że babciom wolno wycinać te nieprzyjemne kawałki - zachichotała Żagiew. - I rozwijać te ładne. Żołnierze będą dzielni, generałowie przystojni, a kapłani szlachetni i jeszcze przystojniejsi...

Na wspomnienie o kapłanach, strach ścisnął Emerahl za gardło. Wychyliła się za Falę i uniosła klapę w burcie - były już w połowie drogi do bramy. Zaschło jej w ustach, ale powstrzymała chęć, by

sięgnąć po formtan. Jeszcze nie teraz.

- A spałaś kiedyś z kapłanem? - spytała Żagiew Fala.

- Z paroma.

- Ja nie. A wy, Gwiazdka, Życzliwość? Gwiazdka wzruszyła ramionami.

- Raz. Nie był przystojny. Był gruby. I szybki, dzięki Yrannie.

- Ja z kilkoma - przyznała z uśmiechem Życzliwość. - Myślę, że lubią mnie z powodu mojego imienia. Wracają potem do żon i tłumaczą, że spędzili wieczór, pracując nad życzliwością wobec grzeszników. I to jest prawda.

Żagiew wybuchnęła śmiechem.

- Rozea umie dobierać imiona. A ty, Nefryt? - Ja?

- Byłaś kiedyś w łóżku z kapłanem?

- Nigdy. - Stanowczo pokręciła głową.

- Może trafi ci się podczas tej wyprawy.

- Może.

Żagiew znacząco poruszyła brwiami.

- Podobno są w tym całkiem dobrzy.

- Domyślam się, że tak dobrzy, jak dowolna narodowość albo wyznanie, które podobno jest w tym dobre.

- Jesteś zbyt poważna, Nefryt. I dlaczego ciągle wyglądasz na ulicę?

Emerahl opuściła klapę. Westchnęła i potrząsnęła głową.

- W podróży jest mi niedobrze. Gwiazdka jęknęła niechętnie.

- Ale nie będziesz wymiotować, co? Emerahl skrzywiła się złośliwie.

- Jeśli tak, to będę się pochylać w twoją stronę.

- Wariatka jesteś. No już. - Fala wstała, opierając się o plandekę. - Siadaj przy oknie. Jak ci się zbierze na wymioty, odchylisz klapkę i odetchniesz świeżym powietrzem.

- Dzięki. - Emerahl uśmiechnęła się z przymusem i przesunęła na ławce. Fala usiadła w środku i współczująco poklepała ją po kolanie.

Emerahl znowu wyjrzała i uznała, że są już niedaleko miejskiej bramy. Opuściła klapę i zwróciła się do dziewcząt.

- Coś kupiłam. Pomaga na mdłości. Ale nie byłoby uczciwie, gdybym się z wami nie podzieliła.

Żagiew zrobiła mądrą minę.

- Formtan?

- Formtan! - wykrzyknęła Gwiazdka. - Skąd go wzięłaś?

- Zajrzałam na targ, kiedy szłam z wizytą do rodziny - wyjaśniła Żagiew.

Emerahl wyciągnęła lewą rękę i wysunęła z rękawa pierwszą grudkę. Wrzuciła ją sobie do ust i połknęła, a potem zaczęła wysuwać następną.

- Kto ma ochotę?

Dziewczęta pochyliły się z ciekawością.

- Nigdy jeszcze tego nie próbowałam - przyznała Fala.

- Jest cudownie - szepnęła Życzliwość. - Wydaje się, że czas zwalnia, a ty się czujesz lekka, jakbyś się unosiła w powietrzu. - Wzięła grudkę formtanu. - Dziękuję, Nefryt.

Emerahl poczuła zawrót głowy. Wysunęła z rękawa kolejną porcję i oddała ją Żagwi. Musiała się bardzo koncentrować, by wydobyć jeszcze trzy kuleczki dla Fali, Ptaszka i Gwiazdki. Potem rozluźniła się, oparta o burtę wozu. Zalewały ją fale rozkosznego oszołomienia.

- Masz więcej? - spytała rozmarzona Gwiazdka.

Emerahl pokręciła głową. Wolała już się nie odzywać. Pomyślała, że mogłaby sprawdzić, jak daleko jest jeszcze do bramy, ale nie potrafiła się do tego zmusić.

Pozostałe dziewczęta także uśmiechały się błogo. Ależ miały głupie miny... Emerahl czuła, jak wzbiera w niej śmiech. Uśmiechały się do niej zdziwione.

- Co cię tak ubawiło?

- Takie jesteście szczęśliwe - wymamrotała.

Fala zachichotała, a potem wszystkie wybuchnęły leniwym, głośnym śmiechem.

- Lepiej się teraz czujesz, Nefryt? - spytała Żagiew. - Już Ne - frytnięta?

Emerahl parsknęła, potem pochyliła się. Zachwiała. Wzrok się jej zamglił.

- Mój był trch mosniszy - wybełkotała.

A potem osunęła się w przyjemną, mglistą ciemność.

Czas się zatrzymał, ale była zbyt rozleniwiona, by się tym przejąć. Jej umysł opadł w bezpieczny, ciepły mrok. A w mroku pojawiła się wieża. Ten widok zaniepokoił... Przeszył ją impuls irytacji.

Nie... Znowu to samo...

Wieża wyrastała niemożliwie wysoko. Rozrywała dryfujące nad nią chmury. Emerahl nie mogła się powstrzymać od patrzenia na nią. Wieża nieodparcie przyciągała jej uwagę.

Co to za miejsce?

Wieża zniknęła nagle. Emerahl spojrzała niżej i zamiast niej zobaczyła całkiem inny budynek - dawny Dom Tkaczy Snów w Jarime. Ten, pod którym został pogrzebany Mirar, kiedy zabił go Juran, wysoki kapłan Kręgu Bogów.

Śnię. A nie powinnam. Powinnam być nieprzytomna. To niedobrze...

Spróbowała się uwolnić, ale sen tylko mocniej ją pochwycił. Nagle znowu wyrosła nad nią wysoka biała wieża, jeszcze bardziej złowieszcza niż poprzednio. Chciała uciekać, ale nie mogła ruszyć z miejsca. Wiedziała, że jeśli tu zostanie, zobaczą ją. Lecz nie mogła przestać patrzyć. Wystarczy, że ją zauważą, i...

- Co jej jest?

.. .odkryją, kim jest...

- Wzięła formtan. Niedobrze jej w podróży. I chyba był trochę za mocny.

.. .a kiedy się dowiedzą...

- Na pewno był. Powinna była stracić przytomność, ale zamiast tego pochwycił ją sen.

...to ją zabiją...

- Pochwycił...? Potrafisz to zobaczyć?

- Tak, jestem kapłanem.

- W mundurze strażnika? - Tak.

- Czy ona się obudzi?

.. .wieża pochylała się nad nią. Zdawała się wyginać. Groza ogarnęła Emerahl, gdy dostrzegła pęknięcia biegnące po powierzchni...

- Tak. Uwolni się z tego snu, kiedy skończy się działanie narkotyku.

...i wieża runęła...

- Dziękujemy, kapłanie...?

- Ikaro.

Głosy ledwie docierały do umysłu Emerahl. Sen był nazbyt realny. Być może to one były snem, a sen rzeczywistością? Słyszała huk padającej wieży, czuła ból łamanych kończyn, żar w płucach, kiedy dusiła się powoli. Trwało to i trwało, i trwało, całą wieczność bólu...

- Nefryt?

Nie podoba mi się ta rzeczywistość, myślała Emerahl. Wolę sen. Może jeśli zdołam siebie przekonać, że sen jest prawdą, to jakoś ucieknę przed bólem... Starała się lepiej słyszeć ten głos; koncentrowała się na słowach. Ból odpłynął.

- Nefryt. Obudź się.

Ktoś siłą podniósł jej powieki. Rozpoznała twarze. Czuła niepokój promieniujący ze znajomych umysłów. Skupiona na nim, wyrwała się ze snu.

Wciągnęła do płuc cudownie czyste powietrze i spojrzała na pięć pochylonych nad sobą dziewcząt. Ich imiona przesunęły się w umyśle. Czuła kołysanie tarnu. Leżała na plecach. Sen o wieży, pomyślała. Znowu mnie dręczył. Tym razem były w nim głosy... Jakby sen wewnątrz snu.

- Co się stało?

Ulga na twarzach dziewcząt była wzruszająca. Mają dobre serca, pomyślała. Będę za nimi tęsknić, kiedy odejdę.

- Wzięłaś za dużo formtanu - wyjaśniła Żagiew. - Straciłaś przytomność.

- Kapłan spod bramy przyszedł cię obejrzeć - dodała Życzliwość. - Nie mam pojęcia, skąd wiedział.

Emerahl poczuła ukłucie trwogi. Usiadła gwałtownie. Kapłan? To znaczy, że ten sen wewnątrz snu był rzeczywistością?

- Co mówił?

- Obejrzał cię - odparła z uśmiechem Fala. - Powiedział, że nic ci nie jest, tylko śnisz.

Widział, że śnię? Zmarszczyła czoło. Musiałam opuścić osłonę.

- Martwiłyśmy się, że pomyliłaś dawkę - mówiła Żagiew. - Albo że próbowałaś się zabić.

- Nie próbowałaś się zabić, prawda? - spytała nerwowo Fala.

- Nie... - Emerahl wzruszyła ramionami. - Myślałam tylko, że jeśli wezmę więcej, to efekt potrwa dłużej.

- Głuptas - skarciła ją Żagiew. - Drugi raz już tego błędu nie zrobisz.

Emerahl smętnie pokręciła głową. Zsunęła nogi z ławki. Żagiew usiadła obok.

- Dalej wyglądasz trochę sennie - stwierdziła. - Oprzyj się o mnie i zdrzemnij... jeśli potrafisz zasnąć przy tym kołysaniu.

Emerahl uśmiechnęła się z wdzięcznością. Oparła głowę na ramieniu wyższej dziewczyny i zamknęła oczy.

Kapłan odczytał mój umysł, myślała. I wszystko, co tam zobaczył, odrzucił jako sen. Przypomniała sobie ten strach przed odkryciem, obecny w śnie o wieży - strach podobny do jej własnego lęku. Bezgłośnie podziękowała tkaczowi snów, który przesyłał te wizje. Prawdopodobnie ocalił jej życie...

Auraya zbudziła się i uświadomiła sobie, że nie śniła o Leiardzie. Westchnęła rozczarowana.

Od odlotu z Si nie odwiedzała jego snów. Pielęgnowała słabą nadzieję, że ma to jakiś związek z jej podróżami, że trudno ją znaleźć, że połączą się, kiedy wróci do Przestrzeni. Ale ostatniej nocy także nic nie zakłóciło jej snu.

To tylko jedna noc, pomyślała. Nie wie jeszcze, że wróciłam - a ja znowu wyruszam.

Wstała i zaczęła się myć. Na pewno każdej nocy sprawdza, czy wróciłam. Może jest zbyt zajęty... A może połączenie snów jest zbyt męczące, żeby poświęcać mu każdą noc...

Nie powinnam się nad tym zastanawiać. Powinnam myśleć o poprowadzeniu Siyee na wojnę.

Musiała wiele zorganizować. Do późnej nocy rozmawiała z Mówcami, dyskutując o tym, co mają ze sobą zabrać, a co otrzymają od armii ziemiochodzących. Siyee nie mogli przenosić dużych ciężarów Wezmą broń, małe składane altany oraz dość żywności, by dotrzeć na Złote Równiny. Ale nic więcej. Auraya naradziła się z Juranem, który zapewnił, że kiedy Siyee dołączą do reszty wojsk, na pewno dostaną żywność.

Auraya dokładnie sprawdziła swój strój i z pomocą magii usunęła jak najwięcej plam. Rozczesała splątane włosy, które jej się poskręcały w czasie wczorajszego lotu. Siyee stanowczo mieli rację, ścinając włosy na krótko, myślała. Ciekawe, jak ja bym wyglądała z krótkimi...

Zaplotła je w długi warkocz i przeszła do głównego pomieszczenia swojej altany. Poprzedniego wieczoru kobieta Siyee przyniosła jej kosz z jedzeniem. Auraya napiła się wody i usiadła do śniadania.

Być może to była moja ostatnia noc tutaj, na wiele miesięcy. Po wojnie Juran każe mi wracać do Jarime... Ta myśl wywołała smutek. Nie chciała stąd odchodzić. Ale poczuła także dreszcz ciekawości: jakie będzie moje następne wyzwanie? Kolejny sojusz do wynegocjowania? Czy wrócę na Borrę, żeby znowu namawiać króla Elai?

Słowa nie wystarczą, by przekonać króla Aisa do rozważenia sojuszu. W umysłach Elai dostrzegła wiele podejrzliwości i nienawiści dla ziemiochodzących. Pokonanie piratów pozwoli może zdobyć zaufanie morskiego ludu. Jeśli nie, usunie przynajmniej główną przyczynę nienawiści. W ciągu kilku pokoleń ich podejrzliwość zmniejszy się i kontakt ze światem zewnętrznym przestaną uważać za niebezpieczny. To mniej więcej tłumaczyła

Juranowi, a on przyznał jej rację.

Jeśli jej następnym zadaniem nie będą Elai, to co? Zastanowiła się nad możliwymi skutkami wojny. Sennon wspierał pentadrian. Jeśli bogowie nadal chcieli, by Sennon sprzymierzył się pokojowo z resztą Ithanii Północnej, po wojnie czeka ich sporo pracy, w tym wcale niełatwa zachęta do przebaczenia ze strony sojuszników Białych. Jednocząc się z nieprzyjacielem, Sennon sprowadzi śmierć na wielu Północnych Ithańczyków.

Wielu zechce potem kary dla Sennonu, ale to spowoduje tylko kolejne pretensje i więcej nienawiści.

Zmarszczyła brwi. Przekonanie Sennończyków do podpisania traktatu najlepiej zostawić Juranowi. Ona sama i pozostali Biali będą zapewne przekonywać innych cyrklian, by uznali takie przymierze. Ale to nie wypełni jej całego czasu.

Zawsze pozostawali jeszcze tkacze snów.

Serce jej zamarło na tę myśl. Od miesięcy prawie nie pamiętała o swoich pomysłach - chciała przecież zwiększyć umiejętności cyrkliańskich uzdrowicieli, by kult tkaczy snów nie kusił nowych chętnych.

Nie chodzi przecież o to, że chcę szkodzić tkaczom snów, tłumaczyła sobie. Chciałabym tylko uratować dusze tych, którzy jeszcze do nich nie przystąpili.

- Aurayo z Białych... Czy mogę wejść? Obejrzała się, wdzięczna, że coś zajęło jej uwagę.

- Tak, Mówco Sirri. Proszę.

Zasłona w drzwiach odsunęła się i do wnętrza weszła Sirri. Miała na sobie strój, jakiego Auraya jeszcze nie widziała: przecinana paskami twarda skórzana kamizelka i fartuch zakrywały jej pierś i uda. Do piersi miała umocowany jeden z tych nowych aparatów wyrzucających strzałki, a na plecy zarzuciła łuk i kołczan ze strzałami. Na biodrze nosiła mieszek i dwa noże.

- Wyglądasz, jakbyś szła walczyć! - zawołała Auraya.

- To dobrze. - Sirri uśmiechnęła się. - Mój lud musi wierzyć, że ich przywódca gotów jest walczyć wraz z nimi.

- Ty jesteś gotowa - stwierdziła kapłanka. - Gdybym była pentadrianinem, tobym chyba uciekła.

Sirri uśmiechnęła się szerzej.

- Raczej wybuchnęłabyś śmiechem. Prawdę mówiąc, uważam, że wiele się nauczymy na tej wojnie.

Auraya spoważniała nagle.

- Nie chcę udawać, że nie będzie żadnych kosztów. Mam tylko nadzieję, że nie okażą się zbyt wysokie. Obiecuję ci, że będę się o to starać.

Mówca skinieniem głowy przyjęła tę obietnicę.

- Wiemy, z czym mamy się mierzyć. Jesteś gotowa? Auraya przytaknęła.

- Twoi ludzie już się zebrali?

- Spakowani i gotowi do lotu. Trzeba im jeszcze tylko jednej czy drugiej przemowy.

Auraya odstawiła pusty kubek, wstała i ostatni raz rozejrzała się po altanie. Sięgnęła po nieduży pakunek, jaki zabrała w podróż do Si, i wyszła za Mówcą. Usłyszała zgromadzonych Siyee, zanim jeszcze ich zobaczyła - gwar tak wielu połączonych głosów przypominał wodę spływającą kaskadami po skałach. Kiedy wraz z Sirri stanęły na skalnym występie, rozległy się ogłuszające gwizdy. Auraya uśmiechnęła się do największego tłumu Siyee, jaki dotąd oglądała.

Klany różniły się wielkością, od kilkudziesięciu rodzin do ponad tysiąca osobników. Z tych tysięcy Siyee, ponad połowa tworzyła armię. Nie wszyscy byli wojownikami - na każdych dwóch ubranych do walki, widziała jednego, który nie był. Każdy klan zabierał własnych uzdrowicieli i pomocników, którzy mieli też przenosić składane altany i jak najwięcej zapasów żywności.

Przybycie Sirri było dla pozostałych Mówców znakiem, by wystąpili i stanęli w rzędzie. Auraya zajęła miejsce kilka kroków od końca szeregu. Patrzyła, jak Sirri wstępuje na Skałę Mówców i rozkłada szeroko ręce.

- Ludu gór! Klany Siyee! Spójrzcie tylko na siebie! -

Uśmiechnęła się. - Jaki przerażający widok stanowimy!

Siyee krzyczeli i gwizdali w odpowiedzi. Sirri pokiwała głową i wzniosła ręce wyżej.

- Dzisiaj opuszczamy nasze domy i odlatujemy na wojnę. Czynimy tak, by dotrzymać obietnicy. Jakiej? Obietnicy, że pomożemy przyjacielowi. Nasi sprzymierzeńcy wśród ziemiochodzących potrzebują naszego wsparcia. Potrzebują nas, Siyee, by bronić się przed najeźdźcami. Sirri spoważniała.

- Wiemy, jak to jest. Wiemy, co się czuje, kiedy najeźdźcy mordują naszych bliskich i odbierają nam ziemie. Ale ten ból już nam nie grozi, gdyż nasi sojusznicy także dotrzymują obietnic. Zeszłej nocy Auraya z Białych przekazała mi radosne wieści, że król Torenu nakazał swym poddanym opuszczenie naszej krainy.

Gwizdy, jakie wybuchły po tym oświadczeniu, mogły ogłuszyć. Hałas nie cichł przez długi czas. Sirri obejrzała się i skinęła na Aurayę. Kapłanka podeszła do Mówcy i tłum się uspokoił.

- Dziękuję wam, mieszkańcy Si - powiedziała. - Udzielając wsparcia mojemu ludowi, pomagacie zwyciężyć strasznego wroga. Od wielu lat słyszeliśmy pogłoski o barbarzyńskich mieszkańcach południowego kontynentu, byli jednakże zbyt daleko, by się nimi przejmować. Słyszeliśmy, że niewolą mężczyzn i kobiety, że wyznawcy pentadriańskiego kultu zmuszają swych wiernych do udziału w dziwnych, perwersyjnych rytuałach. Wiemy, że cenią wojnę dla samej przemocy. Teraz pentadrianie chcą poszerzyć swą władzę. Chcą zniszczyć mój lud, chcą wziąć w niewolę całą Ithanię.

Przerwała. Siyee milczeli i wyczuła u nich pierwsze oznaki lęku.

- Nie uda im się! - zapewniła. - Ponieważ ci, którzy ruszają na wojnę dla samej przemocy, nie są prawdziwymi wojownikami, jak my! Tym, którzy najeżdżają inny kraj, nie dodaje siły chęć obrony swoich domów, jak nam! A co najważniejsze, tych, którzy należą do pogańskich kultów, nie będą wspierać prawdziwi bogowie... - Przerwała na moment, a potem dodała, cicho, ale twardo wymawiając każde słowo: - Jak nas.

Złożyła dłonie w znak kręgu.

- Jako jedna z Białych jestem waszym łączem z bogami.

Będę tłumaczem i heroldem. Jestem dumna, że mogę pośredniczyć między bogami i takim ludem jak wy. Jestem dumna, że będę towarzyszyć takiej armii.

: *A ja jestem dumna, że taki lud stworzyłam.*

Twarze w dole zmieniły się. Oczy otworzyły się szeroko, rozdziawiły się usta. Poczuła ich zachwyt niczym podmuch wiatru, a równocześnie dotarło do niej wrażenie obecności u boku. Cały tłum opadł na kolana, Auraya zaś odwróciła się do jaśniejącej postaci bogini. Huan uniosła rękę, nakazując, by kapłanka pozostała na stojąco.

: *Powstańcie, dobrzy ludzie z Si,* powiedziała.

Siyee podnosili się wolno. Z szacunkiem spoglądali na boginię.

: *Czuję radość, widząc was dzisiaj zgromadzonych w tym miejscu. Staliście się silni i liczni. Jesteście gotowi, by zająć należne wam miejsce wśród ludów Ithanii Północnej. Dobrze wybraliście sobie sprzymierzeńców. W Aurai macie nie tylko sojusznika, ale i wiernego przyjaciela. Kocha was. Wszyscy Biali będą was ochraniać w miarę swych możliwości. Ale to wasza prężność zagwarantuje wam przetrwanie, nie Auraya ani ja. Bądźcie silni, ale bądźcie też mądrzy, ludzie z Si. Bądźcie świadomi swych mocnych, lecz i słabych stron. I trwajcie!.*

Bogini uśmiechnęła się jeszcze, a potem jej świetlista postać zbladła i zniknęła. Sirri spojrzała na Aurayę, wciąż szeroko otwierając oczy, a potem zwróciła się do Siyee.

- Usłyszeliśmy słowa bogini Huan! Nie zwlekajmy dłużej! Ruszajmy na wojnę!

Skinęła Mówcom, a ci natychmiast przeszli na brzeg występu i odlecieli, by dołączyć do swoich klanów. Sirri odwróciła się do Aurai.

- Miałam zaplanowaną na koniec porywającą przemowę, ale całkiem zapomniałam, co chciałam powiedzieć - wyznała cicho.

Auraya z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Boska wizyta wywiera czasem taki efekt.

- To bez znaczenia. Ważne było, żebyśmy wyruszyli pełni zapału, a Huan doskonale o to zadbała. Wygląda na to, że mój klan nie może się już doczekać startu. Czy zechcesz lecieć z nami?

- Tak. Dziękuję.

Sirri kiwnęła głową, a potem obie poszybowały ze skały. Klan Mówcy wzbił się natychmiast, by do nich dołączyć, a za nimi kolejne. Auraya obejrzała się na chmurę Siyee i poczuła radosny dreszcz.

Natychmiast jednak pojawił się niepokój. To ich pierwsza wojna, myślała. Niemożliwe, by byli w pełni przygotowani na to, co ich czeka.

Westchnęła. Niemożliwe też, żebym ja była przygotowana.

CZĘŚĆ TRZECIA

33

Równiny powinny być przecież płaskimi kawałkami ziemi, myślał Danjin, wspinając się po zboczu wzgórza. Do Złotych Równin najlepiej pasowało określenie „falujące". W części zachodniej falowały mniej, ale wschodnią można było nazwać „płaską" tylko w porównaniu do ostrych, poszarpanych gór na jej brzegu.

Nie wypełniały też drugiego określenia swej nazwy. Złote były jedynie latem, kiedy żółkły trawy. Teraz, krótko po zimie, pokrywała je jasna zieleń świeżych pędów, wyrastających wśród starszej, ciemniejszej roślinności.

Danjin dotarł na szczyt i przystanął. Na pustkowiu wyraźnie słyszał własny ciężki oddech. Odwrócił się - i natychmiast zapomniał o swoich obiekcjach i zmęczeniu. U podnóża góry stał największy wojskowy obóz, jaki w życiu widział.

Jedyny wojskowy obóz, jaki widziałem, poprawił się szybko. Ale z pewnością jest większy od wszystkich, o których czytałem.

Mężczyźni, kobiety, zwierzęta, tarny, platteny i namioty wszelkich rozmiarów zapełniały rozległą kotlinę, otoczoną przez niskie wzgórza. Trawa, która dała równinom ich piękną nazwę, została wdeptana w błoto. Światło popołudniowego słońca padało na linię brązu, prowadzącą z jednej strony do kotliny, a z drugiej ciągnącą się ku górom. Szeroki pas zgniecionych traw wzdłuż zachodniej części traktu pokazywał kierunek, z którego nadeszły wojska. W pobliżu środka kotliny stał wielki namiot, wciąż biały, mimo że co noc ustawiano go tuż przy przecinającej obozowisko błotnistej alei. Tam właśnie Biali prowadzili narady wojenne.

Trudno byłoby sobie wyobrazić potęgę, która mogła stawić czoła takiej armii. Danjin spojrzał w stronę gór na wschodzie - nawet z tej odległości wydawały się surowe i niedostępne. Stał zbyt daleko, by zobaczyć drogę wijącą się ku przełęczy. Gdzieś za tymi szczytami znajdowała się inna armia i według wszelkich danych, była jeszcze większa od tej w dole.

Trochę pocieszał go fakt, że wojska cyrkliańskie jeszcze się w pełni nie zebrały. Jak dotąd, tworzyły je siły tylko trzech państw: Hani, Somreyu i Genrii - te ostatnie przyłączyły się kilka dni po opuszczeniu Jarime. Armia Torenu miała się zjawić za parę dni, Dunwayczycy byli niewiele dalej, a Siyee... Siyee przybędą lada chwila.

Odwrócił się plecami do obozowiska i spojrzał na południowe niebo. Było bezchmurne, poza jedną ciemną smugą nad horyzontem. Auraya mówiła, że dotarli już do równin, pomyślał. Więc gdzie są?

Wpatrywał się w niebo, aż oczy zaczęły mu łzawić od blasku. Odwrócił głowę i otarł łzy rękawem. Odgłos kroków sprowadził go z powrotem na ziemię; obejrzał się i zobaczył żołnierza. Był jednym z wielu wartowników patrolujących wzgórza wokół obozu.

- Dobrze się pan czuje, sir? - zapytał z troską.

- Tak, dziękuję - odparł Danjin. - To tylko jasność nieba. Mężczyzna spojrzał na południe, znieruchomiał nagle i osłonił oczy dłonią.

- Proszę popatrzyć na tę chmurę...

Danjin spojrzał. Ciemna smuga urosła i... rozpadła się na wiele maleńkich punkcików. Serce zabiło mu mocniej.

- To oni - szepnął.

Zostawił żołnierza ze zdziwioną miną i szybko pobiegł po zboczu. Zdawało się, że droga do obozu jest dłuższa, choć prowadzi w dół - nie pomagało, że cały czas oglądał się przez ramię w obawie, czy zdąży na czas. Zwolnił dopiero przy pierwszych rzędach namiotów. Żołnierze obserwowali go czujnie, jak zwykle wypatrując nerwowości wśród dowódców i ich doradców.

Docierając do głównej alei, Danjin zobaczył, że Juran, Dyara, Rian i Mairae stanęli już przed białym namiotem i wpatrywali się w niebo. Starszy król Genrii, Guire, stał niedaleko ze swymi doradcami i służbą. Kawałek dalej Danjin zauważył Meerana, Moderatora Rady Somreyu, w towarzystwie Haleeda, Starszego cyrklian. Ambasador Dunwayu, Jen z Rommel, stał przy dunwayskim kapłanie, który zawsze mu towarzyszył i którego głównym zadaniem było chyba

zapewnienie komunikacji z nieobecnymi dunwayskimi przywódcami.

Danjin dyskretnie dołączył do niewielkiej grupy doradców. Zauważył, że zjawiła się też nowa tkaczka snów. Raeli rzadko uczestniczyła w wojennych naradach, a i wtedy sprawiała wrażenie obojętnej i na pozór niezainteresowanej. Wyczuła chyba, że na nią patrzy, i obejrzała się. Danjin uprzejmie skłonił głowę, a ona odwróciła wzrok. Stłumił westchnienie.

Chyba brakuje mi Leiarda, pomyślał. Nie był bardziej rozmowny od tej kobiety, ale za to... jaki właściwie? Przystępny, można powiedzieć.

Raeli spojrzała w niebo. Danjin podążył za jej wzrokiem i zdążył zobaczyć, jak pierwsi z Siyee pojawiają się nad szczytem wzgórza, z którego zszedł niedawno. Dwoje okrążyło kotlinę, budząc zdziwione pomruki patrzących, a potem nagle cała masa przelała się nad wzgórzem. Danjin usłyszał zdumione gwizdy i okrzyki, kiedy tysiące Siyee spłynęło w dół, do kotliny. Poczuł, że serce bije mu jak szalone. Szum ich skrzydeł był jak podmuch wiatru, a odgłos lądujących na trawie stóp jak stukot kropel ulewnego deszczu.

Po lądowaniu ich niewielkie rozmiary nagle stawały się wyraźnie widoczne. Jednak z dziecięcym wyglądem kłócił się strój i broń. W przeciwieństwie do dwójki wysłanników, którzy przybyli do Jarime, ci Siyee nosili łuki i strzały, noże i coś, co wyglądało jak dmuchawki na strzałki, przypięte na skórzanych kamizelkach i spodniach. Mężczyźni i kobiety mieli krótkie włosy, muskularne ciała i dumną postawę. Byli wojownikami - małymi, ale walecznymi.

- Ciekawe... Bardzo ciekawe...

Danjin obejrzał się na mówiącego. Był to Lanren Songmaker, doradca wojskowy Białych, obecnie ceniony wyżej niż inni. Popatrzył na Danjina i uśmiechnął się ponuro.

- Widzę, że ci ludzie mogą być nam przydatni.

- Auraya też tak uważa - odparł Danjin.

- Tam jest...

Danjin odwrócił się w chwili, gdy Auraya opadła na ziemię przed

Białymi. Obok niej spłynęła z góry i wylądowała kobieta Siyee.

Juran wystąpił i oburącz wykonał znak kręgu.

- Witajcie, Mówco Sirri i wszyscy Siyee. Cieszymy się i jesteśmy wdzięczni, że przybyliście z tak daleka, by pomóc nam bronić naszej ziemi.

Auraya zwróciła się do kobiety i wydała serię gwizdnięć i dziwnych dźwięków. Tłumaczy, domyślił się Danjin.

Gdy Sirri odpowiedziała, Auraya przetłumaczyła znowu, dla wygody słuchaczy. Danjin przyglądał się twarzom ludzi w pobliżu. Większość obserwowała Siyee. Niektórzy wydawali się zafascynowani, inni rozbawieni. Doradca tkaczka snów sprawiała wrażenie równie obojętnej jak zawsze, za to Lanren Songmaker cały był wirem tłumionych emocji.

Siyee w różny sposób reagowali na to zainteresowanie. Część z nich nieufnie spoglądała na ludzi, inni wpatrywali się w swoją przywódczynię i Białych. Danjin zauważył podobieństwa i różnice w ich ubiorach i zdał sobie sprawę, że Siyee stoją w grupach - każda należała zapewne do innego klanu.

Rozmowa skończyła się, gdy Juran podniósł głos i zwrócił się do Siyee w ich własnym języku. Danjin uśmiechnął się krzywo - był niemal zirytowany, że prosty Dar zesłany przez bogów mógł unieważnić umiejętności, które on sam starał się opanować przez lata.

Po chwili Siyee ruszyli za Mówcą wzdłuż alei, by rozbić obozowisko. Auraya wystąpiła naprzód, by dołączyć do Białych. Jej wzrok padł na Raeli, która odpowiedziała obojętnym spojrzeniem; potem Biała popatrzyła na Danjina i uśmiechnęła się.

: *Witaj, Danjinie Spearze.*

: *Witaj znowu,* pomyślał do niej.

: *Brakowało mi ciebie. Wiele mamy sobie do opowiedzenia.*

: *Rzeczywiście. Ale muszę cię uprzedzić: Juran często zapomina, że śmiertelnicy potrzebują jedzenia i snu. Możemy mieć kłopot ze znalezieniem czasu na tę rozmowę.*

: *W takim razie będę musiała dopilnować, żeby pamiętał.*

Kiedy Siyee odeszli, by się urządzić, Juran zaprosił wszystkich do namiotu. Lanren Songmaker patrzył, jak ustala się hierarchia ważności. Przywódca Białych wprowadził najpierw króla Genrii, jedynego monarchę wśród obecnych. Potem weszli Somreyanie, ponieważ Moderator piastował najwyższe stanowisko, jakie w ogóle istniało w Somreyu. Po nim szli dwaj Dunwayczycy jako przedstawiciele swego kraju. Lanren nie mógł się doczekać, by sprawdzić, jak wpasuje się w ten ciąg król Torenu, stojący na poziomie władcy Genrii. Guire był człowiekiem rozsądnym, ale Berra znano raczej z tego, że bywał niegrzeczny i nieznośny.

Po nich do namiotu weszli doradcy, nie przestrzegając żadnego porządku. Biali dbali o to, by nikt z nich nie czuł się ważniejszy od innych, ale Lanren uważał, że rozsądniej jest ustępować miejsca ich osobistym doradcom. Mieli bliższy kontakt z Wybranymi i pracowali z nimi o wiele dłużej.

Szedł do wejścia namiotu za Danjinem Spearem. Lanren przekonał się, że najmłodszy z braci Spearów jest inteligentny, dobrze wykształcony i przezorny - pod tym ostatnim względem całkiem niepodobny do braci. Do tej pory wydawał się trochę zagubiony, pewnie dlatego że wciąż nie było Aurai, a o wojnie doradca wiedział tyle, ile wyczytał w książkach historycznych.

W kwestiach strategii i walki, to Lanren był „ekspertem". Sam się za takiego nie uważał, ale nie było wielkiego wyboru. Nikt nie może być ekspertem od wojny, skoro przez ostatnie sto lat w Ithanii Północnej zdarzały się najwyżej drobne konflikty. On sam jeszcze jako dziecko studiował strategię i działania wojenne, był świadkiem większości potyczek i powstań, jakie wybuchały w ostatnich pięciu dekadach, przez kilka lat mieszkał w Dunwayu, by studiować tę wojowniczą kulturę, a ponad dziesięć lat temu spędził trochę czasu w Avvenie, obserwując militarny kult pentadrian - chociaż z dystansu.

Kiedy wszedł do namiotu, przekonał się, że wszystko jest tam ustawione tak samo jak podczas poprzednich spotkań. Kilka krzeseł - jednakowych rozmiarów i pozbawionych ozdób - ustawiono w kręgu pod ścianami. Pośrodku stał duży, pięciokątny stół, a na nim

przepiękna mapa. Było to prawdziwe dzieło sztuki - najlepsza mapa, jaką widział, wymalowana mocnymi kolorami na wellumie.

Juran zwrócił się do Aurai.

- Siły dunwayskie dotarły do południowej granicy kraju i czekają na naszą decyzję. Zanim przybyłaś, dyskutowaliśmy, co powinny zrobić: przyłączyć się do nas czy pozostać w Dunwayu.

Zerknęła na mapę.

- W czasie drogi też się nad tym zastanawiałam. Każdy wybór niesie ze sobą ryzyko. - Spojrzała na ambasadora Dunwayu. - Jak rozumiem, Jenie z Rommelu, jeśli Dunwayczycy przyłączą się do nas po tej stronie gór, pozostawią kraj bezbronny w przypadku, gdyby pentadriańska armia skręciła na północ. Nie powinniśmy prosić waszych ludzi, by własne granice zostawili nieobsadzone. Zamyśliła się.

- Jednakże z raportów wiadomo - podjęła - że pentadriańska armia jest ogromna. Dunwayscy wojownicy sławni są ze swoich umiejętności bitewnych, ale cyrkliańscy szpiedzy donieśli, że wojownicze sekty pentadriańskie także wychowują doskonałych żołnierzy. Z naszych spotkań z czarnymi czarownikami wiemy, że są potężniejsi niż ci w Dunwayu. Nawet jeśli wszystkie dunwayskie wojska pozostaną, by bronić ojczyzny, i tak obawiam się, że ich kraj upadnie.

Dunwayski ambasador zmarszczył brwi, ale pokiwał głową.

- Jeśli zostaną w domu - ciągnęła Auraya - a pentadrianie nie będą z nimi walczyć, tylko pójdą dalej przez góry, istnieje możliwość, że nasza armia nie dorówna wyszkolonym żołnierzom pentadriańskim. Muszę więc postawić pytanie: jeśli nasze wojska poniosą klęskę, jak długo utrzyma się Dunway?

- Czy w takim razie uważasz, że powinniśmy przekroczyć góry? - spytał ambasador.

Auraya przytaknęła.

- Owszem. Ale... - Zawahała się, patrząc na Jurana. - Może nie wszyscy. Może zostawmy część Dunwayczyków w domu. Jeśli pentadrianie zaatakują Dunway, wasi wojownicy spowolnią ich

natarcie, dając nam czas na przekroczenie gór i uderzenie na nieprzyjaciela.

Ci ludzie niczego nie osiągną, uznał Lanren. Ale... ona chyba wie o tym. Chce tylko, żeby Dunwayczycy czuli się bezpieczniejsi. Jednak nic z tego nie będzie. Mają zbyt wiele doświadczenia w walkach, by pozwolić sobie na wiarę w takie iluzje.

Juran zerknął na Laurena i potrząsnął głową.

- Nieliczni obrońcy nie spowolnią marszu armii tak wielkiej jak ta, którą ma nieprzyjaciel.

- Racja - zgodził się ambasador Dunwayu.

- Mogę coś zaproponować? - wtrącił Lanren. Juran skinął przyzwalająco.

- Wiemy, że pentadrianie są już niedaleko gór - mówił doradca. - Im więcej będziemy mieli czasu, by osiągnąć i ufortyfikować pozycje obronne na przełęczy, tym lepiej. Gdyby dunwayska armia szła przez góry, mogłaby po drodze zastawiać pułapki i w ten sposób hamować marsz pentadrian.

I bardzo by się jej to spodobało, dodał w myślach.

- Rzeczywiście, mogłaby - zgodził się Juran. Spojrzał na pozostałych Białych, a każdy z nich skinął głową. Wtedy zwrócił się do ambasadora. - Przekaż, proszę, I - Portakowi nasze oceny i sugestie. Powiedz, że wolelibyśmy, aby przyłączył się do nas tutaj, ale dostrzegamy ryzyko, jakie się z tym wiąże. Dlatego jemu pozostawiamy decyzję.

- Tak uczynię - odparł ambasador.

Juran raz jeszcze przyjrzał się mapie, przygryzł wargę, po czym się wyprostował.

- Wieczorne meldunki o pozycji pentadrian jeszcze nie nadeszły. Może najpierw zjemy wczesną kolację, a potem spotkamy się znowu i zastanowimy nad drogą do przełęczy. Chciałbym, żeby w tej dyskusji wzięli udział Siyee.

Wielu obecnych z ulgą przyjęło tę propozycję. Lanren uśmiechnął się ironicznie. Co prawda żaden z nich nie pokonał pieszo więcej niż kilku kroków drogi z Jarime, jednak wszyscy byli

zmęczeni. Mało spali, gdyż narady kończyły się zwykle po północy. Lanren nie był jedynym, który przyzwyczaił się do spania na siedząco, w kołyszącym się i podskakującym tarnie.

Jak zawsze, trzymał się z tyłu i obserwował, kto z kim wychodzi z namiotu. Zauważył, że Auraya wymieniła spojrzenia z Danjinem Spearem, który nie wydawał się już tak zagubiony. I wtedy nagle coś małego przemknęło przez namiot i rzuciło się na Białą.

- Ałaja! Ałaja!

Wszyscy się obejrzeli. Małe, szare stworzonko wspięło się po cyrkli Aurai na jej kark. Zaczęło przebiegać z ramienia na ramię, sapiąc z podekscytowania.

- Witaj, Figiel. - W oczach Aurai błysnęło rozbawienie. - Cieszę się, że cię widzę. Chodź... ja tylko... mógłbyś przestać tak biegać?

Ominął jej dłoń i przystanął, by polizać ucho.

- Auuu! Figiel! Przestań! - zawołała.

Wykrzywiła się, ściągnęła go z ramienia, jedną ręką przycisnęła do piersi, a palcami drugiej podrapała za uszami. Zwierzątko patrzyło na nią z zachwytem.

- Ałaja w domu.

- Tak. I głodna - odpowiedziała. Spojrzała na Danjina. - A ty?

- Też. Uśmiechnęła się szerzej.

- No to chodźmy. Zobaczymy, co uda się zdobyć. Możesz mi opowiedzieć, jak wiele napsocił Figiel, kiedy mnie nie było.

- Mnóstwo - stwierdził krótko Danjin.

Kiedy wyszli z namiotu, Lanren poczuł znajomy niepokój. Nękał go, kiedy coś, co zobaczył, mogło się okazać pożyteczne. Coś w rozmowie, której był świadkiem.

A może po prostu możliwości wykorzystania samego veeza tak go poruszyły? Te stworzenia mogą być bardzo użyteczne jako zwiadowcy albo kurierzy.

Zaburczało mu w żołądku. Pokręciwszy głową, Lanren odłożył te rozważania na później. Ruszył na poszukiwanie kolacji.

Długo po północy Auraya krążyła po swoim namiocie. Dyskusja o planach wojennych przeciągnęła się do późna. Z początku czas

płynął szybko, ale w miarę upływu godzin widok nowej doradcy tkaczki snów zaczął przypominać Aurai o pytaniach, które chciała zadać Leiardowi.

Z myśli Raeli wiedziała, że nie ma pojęcia, czemu Leiard zrezygnował ze stanowiska. Ale Auraya łatwo mogła się domyślić - każdy z Białych mógł zajrzeć do jego umysłu i dowiedzieć się o ich romansie. Musiał się wycofać, by do tego nie dopuścić.

Poczuła wyrzuty sumienia. Gdyby tamtej nocy zastanowiła się nad konsekwencjami... Ale człowiek nie jest stworzony do tego, by w chwilach uniesienia cokolwiek analizować. Wiadomo to choćby z ludowych opowieści o miłości i bohaterstwie. Nawet w tych historiach zakazana miłość ma swoją cenę. Najwyraźniej Leiardowi też nie przyszło do głowy, ile to spowoduje kłopotów. Zresztą nawet gdyby wtedy zapanowali nad sobą, i tak pozostałaby świadomość łączącej ich miłości, a ją Biali mogliby wyczytać z jego myśli.

Czy istnieje szansa, by zaakceptowali mój wybór? Na pewno nie byliby zachwyceni, ale z czasem mogliby zacząć nas wspierać. Stalibyśmy się symbolem pojednania między cyrklianami i tkaczami snów.

Ale mogła sobie marzyć, że będzie symbolem jedności, gdy tymczasem nie wiedziała nawet, gdzie on jest i - lęk ścisnął jej serce - czy nie zmieniły się jego uczucia. Przy kolacji spytała Danjina, czy widział byłego doradcę. Okazało się, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa Leiard i ktokolwiek z tkaczy snów. Wiedziała, że tkacze wolą wędrować z daleka od wojsk, by nie wydawało się, że wybierają którąś ze stron konfliktu, jednak nie mogli przecież być zbyt daleko. Cel mieli ten sam co obie armie: pole bitwy.

Powinna już spać, lecz wiedziała, że nie zaśnie. Jutro Juran zechce, by przyłączyła się do reszty prowadzących armię Białych. Na szukanie Leiarda mogła poświęcić tylko te kilka godzin nocą.

Kiedy dotarła do wyjścia z namiotu, usłyszała cichy, stłumiony głosik.

- Ałaja idź?

Spojrzała na koszyk, który Figiel wykorzystywał na posłanie.

Wśród fałd koca widziała główkę i parę błyszczących oczu.

- Tak - powiedziała. - Figiel zostaje.

- Figl Ałaja idź.

Zastanowiła się, niepewna, o co mu chodzi. Veez wyskoczył z kosza i przebiegł obok niej. Zatrzymał się kilka kroków przed nią i obejrzał.

- Figl Ałaja idź - powtórzył.

Chciał z nią pójść... uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Auraya lecisz - oświadczyła. Popatrzył na nią z dołu.

- Figl Ałaja lecisz.

Czy naprawdę rozumiał, co do niego mówi? Skupiła się na jego umyśle i zobaczyła barwną mieszaninę uwielbienia i gorliwości. Próbowała mu przekazać wrażenie unoszenia się nad ziemią. Zwierzak zadrżał z podniecenia, potem pisnął i pędem wbiegł jej na ramię.

Nie wiedziała, czy rzeczywiście zrozumiał. Może jeśli wzniesie się kawałek nad ziemię, Figiel wystraszy się i zeskoczy. Potem będzie już znał słowo „lecisz" i zapamięta, że nie może z nią w taki sposób podróżować.

Wyszła przed namiot i wzleciała powoli. Pazurki veeza wbiły się jej w ramię, ale nie wyczuła u niego lęku. Oczywiście, zrozumiała, przecież bez przerwy biega po ścianach i po suficie.

Wzniosła się wyżej, sprawdzając jego odporność. Jedyną zmianą w jego nastroju była rosnąca niecierpliwość. Kiedy wreszcie spojrzała z góry na szczyty namiotów, ruszyła naprzód. Figiel usadowił się jej na karku i rozkoszował wiatrem.

Lubi to, zdziwiła się. Kto by pomyślał? Mam nadzieję, że wie, iż z pewnej wysokości trudno jest bezpiecznie zeskoczyć...

Dotarła już do granicy obozowiska. Leciała dalej nad zboczem wzgórza. Nad szczytem zatrzymała się i rozejrzała.

I rozpoczęła poszukiwania Leiarda.

34

Tryss patrzył z góry na setki ognisk i uśmiechał się. Z daleka łatwo czuć się lepszym od tych ziemiochodzących. Rozmawiali o tym z Drilli wczoraj w nocy. Na przykład rzadko kiedy w ogóle spoglądali do góry. Przypuszczał, że rzadko kiedy musieli - aż do teraz. Jeśli pentadrianie mają tę samą słabość, będzie ją można wykorzystać w nadchodzącej bitwie.

Kolejnym słabym punktem ziemiochodzących była ich powolność. W ciągu godziny czy dwóch Siyee mogli pokonać dystans, na jaki reszta armii potrzebowała całego dnia. Szybko stało się oczywiste, że Siyee nie będą podążać na pole bitwy razem z pozostałymi - nie było sensu, by latali wkoło, czekając na ziemiochodzących, poruszających się swym powolnym, ale niestrudzonym marszem. Sirri zaproponowała więc, że polecą naprzód, by poszukać dogodnego miejsca na obóz. Juran się zgodził.

Nie spieszyli się, więc mieli dość czasu, by zbadać okolicę. Równiny tworzyły inny rodzaj terenu niż ten, do którego byli przyzwyczajeni. Lecąc nisko, straszyli stada ptaków albo niewielkich, drobnokościstych zwierząt, które ziemiochodzący nazywali lyrimami. Te stworzenia dawały znakomite możliwości ćwiczeń w używaniu uprzęży i strzelania z dmuchawek. Tryss i Drilli prowadzili jedną z wielu grup łowców. Ustrzelili tak dużo tych zwierząt, że pod koniec dnia mieli więcej mięsa niż potrzebowali na posiłek. Nadwyżka została ugotowana i przekazana armii ziemiochodzących, która wieczorem dotarła na miejsce.

To przyniosło im popularność. Ziemiochodzący podnosili kubki i przeznaczali swoje racje napoju, by po kolacji wypić za Siyee - to był ich kolejny zabawny obyczaj.

Jednakże polowanie uczyniło Siyee bardzo niepopularnymi wśród niedużych grup ziemiochodzących, które pojawiły się następnego ranka. Okazało się, że te stada lyrimów były ich własnością. Juran dał im spore sakiewki metalowych krążków,

których ziemiochodzący używali jako pieniędzy, i pasterze lyrimów odeszli posępni, ale już nie rozgniewani.

Poczucie wyższości szybko znikało, gdy tylko Tryss znalazł się wśród ziemiochodzących. Sama ich wielkość wystarczała, by wystraszyć dowolnego Siyee, ale obserwowanie ich ćwiczeń z bronią naprawdę otrzeźwiało. Wojownicy często zachowywali się arogancko. Raz któryś z nich otwarcie szydził z Tryssa i grupy Siyee. Auraya usłyszała później o tym incydencie i bardzo się rozgniewała. Wyjaśniła, że niektórzy ziemiochodzący uważają zabijanie człowieka z dystansu, bez walki twarzą w twarz, za niehonorowe. Z tego powodu gardzili też ziemiochodzącymi łucznikami. Łatwo im mówić, powiedziała wtedy Auraya. Urodzili się wielcy i silni. Gdyby tylko wielcy i silni ludzie walczyli na wojnach, armie byłyby całkiem małe.

- Tryss!

Drgnął, wyrwany z zadumy. Mówca Sirri płynęła ku niemu na fali wznoszącej. Wylądowała obok na szczycie wzgórza.

- Rada wojenna właśnie ma się zacząć - powiedziała. - Chcę, żebyś tam ze mną poszedł.

- Ja? - wykrzyknął.

- Tak. Prawdopodobnie mogę zabrać kilka osób, ale nie sądzę, żeby udało mi się wprowadzić czternastu Mówców. Wolę nie wybierać między nimi, więc postanowiłam wziąć kogoś innego.

Serce biło mu mocno.

- Przecież nic nie wiem o planowaniu wojny!

- Ja też nie. - Zaśmiała się. - Ale wiem jedno: jesteś mądry. Myślisz inaczej niż ja. Nie warto brać tam kogoś, kto myśli podobnie, bo zauważy pewnie te same problemy i wpadnie na te same pomysły, co ja. Potrzebuję kogoś, kto zrozumie to, czego ja nie rozumiem.

- Mogę niczego nie zrozumieć.

- Wątpię. To jak, idziesz? Uśmiechnął się.

- Tak!

- Dobrze.

Poszybowała w dół, a Tryss za nią. Lecieli w stronę białego namiotu, gdzie zebrał się niewielki tłumek ziemiochodzących. Tylko jeden z nich spojrzał w górę i zobaczył zbliżających się Sirri i Tryssa. Gdy wylądowali, pozostali aż krzyknęli ze zdziwienia i zaczęli się im przyglądać. Ten, który ich zauważył, wystąpił i przyłożył dłoń do piersi.

- Lanren Songmaker - powiedział. Otworzył dłoń i wskazał na Sirri. - Glufny Muffca Sirii?

Sirri przytaknęła. Obejrzała się na Tryssa i wymówiła jego imię. Ziemiochodzący uniósł brwi, a potem udał, że strzela. Mówca znów kiwnęła głową. Ziemiochodzący pokazał palcem swoją głowę, a potem wykonał kciukiem gest, który wydawał się trochę niemądry, ale chyba oznaczał aprobatę.

Tryss z uśmiechem pokiwał głową, by pokazać, że zrozumiał. Takie publiczne pochwały powinny go zawstydzić, ale zamiast tego czuł rosnące przerażenie. Ci ziemiochodzący nie znali języka Siyee, a on nie znał ich mowy. Jak miał pomagać Sirri, jeśli nie zrozumie ani słowa z tego, co będzie mówione na naradzie?

Człowiek zwany Songmakerem odwrócił się i przedstawił pozostałych. Mimo kłopotów językowych zdołał wyraźnie przekazać pewne określenia. Mówiąc „Glufny Muffca”

i wskazując kogoś, informował, że to przywódca. Wskazując swoją głowę, usta, a potem inną osobę, mówił im, że mężczyzna lub kobieta są tu obecni, by przekazywać przywódcom swoje myśli i słowa.

Doradcy, uznał Tryss. Jak ja.

Milcząca kobieta w wielobarwnej kamizelce uśmiechnęła się blado, kiedy została przedstawiona. Sirri mruknęła do Tryssa, że to jedna z legendarnego kultu tkaczy snów. Songmaker znowu pokazał głowę i usta. Kolejny doradca, domyślił się Tryss.

Potem Songmaker wskazał siebie, klepnął pochwę u pasa, po czym postukał się w głowę.

Czyli jest wojownikiem i doradcą. Warto się z nim przyjaźnić podczas wojny... gdyby nie problem porozumienia. Ciekawe, ile

trzeba czasu, by poznać ich mowę. Język Siyee rozwinął się z języka ziemiochodzących, więc może nie będzie to aż tak trudne. Niektóre słowa są pewnie takie same, a przynajmniej podobne.

Ziemiochodzący obejrzeli się nagle. Tryss nie widział, co zwróciło ich uwagę, ale po chwili przywódcy i doradcy rozstąpili się, robiąc miejsce Białym.

Byli imponującymi postaciami. Pięcioro pięknych mężczyzn i kobiet, okrytych bielą. Człowiek, który zwrócił się do zebranych - Juran - powitał wszystkich poważnym, ale ciepłym głosem. Auraya pochwyciła spojrzenie Tryssa i uśmiechnęła się.

Juran zwrócił się do Sirri.

- Witaj, Mówco Sirri. A to jest wynalazca Tryss, prawda? - zapytał w mowie Siyee.

Tryss poczuł, że się czerwieni. Nie wiedział, co odpowiedzieć temu potężnemu, wspaniałemu człowiekowi. Auraya parsknęła śmiechem.

- Tak, to łowca Tryss.

Powiedziała coś jeszcze w języku ziemiochodzących, a Tryss domyślił się, że tłumaczy. Odetchnął z ulgą, gdy uświadomił sobie, że jego obawy nie mają podstaw. Jeśli Juran albo Auraya będą wszystko tłumaczyć, narada wojenna nie będzie całkiem niezrozumiała.

Patrzył, jak Biali zapraszają do namiotu przywódców i doradców. Człowiek zwany Moderatorem Meeranem zatrzymał się tuż przed wejściem. Auraya skinęła na Sirri. Tryss poszedł za Mówcą, kiedy ta weszła równocześnie z ziemiochodzącym. Domyślał się, że ma to jakieś znaczenie. Jeśli trafi się okazja, później zapyta o to Aurayę.

W namiocie stał stół, za wysoki, by Tryss widział, co na nim leży. Wszyscy prócz Białych podeszli do stołków ustawionych w kręgu pod ścianami namiotu. Dwa z nich były puste. Tryss zmarszczył brwi, gdy Auraya im je wskazała. To były krzesła odpowiednie dla ziemiochodzących, z siedzeniami na wysokości jego piersi.

Mogliby przynieść dla nas trochę mniejsze, westchnął. To

niezbyt uprzejme...

Sirri jednak nie narzekała. Podeszła i bez trudu wskoczyła na siedzenie. Tryss czuł na sobie zaciekawione spojrzenia, kiedy podskoczył na drugi stołek. Odwrócił się przodem do stołu i przekonał się, że widzi już blat.

Aha, więc dlatego nie przynieśli mniejszych...

Na stole leżała duża płachta jakiegoś cienkiego materiału, z wymalowanym na niej barwnym kształtem otoczonym błękitem. Tryss przyjrzał się uważnie i poczuł dreszcz emocji - to była mapa. Nigdy jeszcze nie widział mapy tak szczegółowej i wielkiej - obejmowała cały kontynent Ithanii Północnej.

Przyglądał się, próbując odgadnąć, gdzie jest Si. W końcu zrozumiał, że falujące linie małych trójkącików, jakby odwróconych „v", to pasma górskie. A wielka masa tych „v" na samym dole to na pewno Si - najbardziej górzysta część Ithanii Północnej. Nie mógł jednak zrozumieć rozmieszczenia konkretnych szczytów. O ile wiedział, żaden ziemiochodzący nigdy nie mierzył Si, więc twórca mapy pewnie zgadywał ich położenie.

Przywódca Białych, Juran, zaczął przemawiać. Równocześnie Auraya odeszła od stołu i wsunęła się między Sirri i Tryssa.

- Mówi, że teraz porozmawiamy o tym, jak Siyee mogą nam pomóc przed i w trakcie bitwy - szepnęła. - Ponieważ będzie się zwracał przede wszystkim do was, będzie mówił w waszym języku, tak jak potrafi, a Dyara przetłumaczy pozostałym.

Sirri kiwnęła głową. Juran odwrócił się w jej stronę.

- Witaj na naradzie wojennej, Główny Mówco Sirri - powiedział, wolno i starannie formułując słowa.

Dyara tłumaczyła cicho dla pozostałych.

- Dziękuję ci, Juranie, przywódco Białych - odparła Sirri. - Chętnie pomożemy wam, jak tylko potrafimy.

Uśmiechnął się.

- To, jak możecie nam pomóc, będzie tematem dzisiejszej dyskusji. W jakiej roli widziałabyś swoich ludzi?

Sirri zastanowiła się.

- W roli łuczników z powietrza. W roli oczu na niebie.

- Rzeczywiście, tak chyba najlepiej można ich wykorzystać. Nie wydaje mi się rozsądne, by w bitwie posyłać was do przypadkowych ataków na nieprzyjaciela. To byłoby ryzykowne i marnowało wasz potencjał. Powinniśmy wykorzystać każdą możliwość zaskoczenia przeciwnika i pracować wspólnie na ziemi i w powietrzu, by zyskać jak największą przewagę.

- Jak można tego dokonać? - spytała Sirri.

- Nasz doradca wojskowy, Lanren Songmaker, ma wiele propozycji w tej kwestii.

Sirri spojrzała na mężczyznę, który ich przywitał.

- Chętnie ich wysłucham.

- W takim razie opowie o nich. Lanrenie?

Przyjazny ziemiochodzący powstał. Na znak Jurana zaczął mówić. Auraya tłumaczyła. Tryss słuchał zafascynowany opisów możliwych spotkań z wrogiem i tego, jak mogą być rozstrzygnięte z wykorzystaniem pomocy Siyee. Do tej pory wyobrażał sobie raczej dwie armie ścierające się w jednej wielkiej bitwie, a nie w tych starannie zaplanowanych skomplikowanych etapach i poziomach starć.

Ten człowiek zdumiewająco dobrze rozumiał ograniczenia lotu Siyee. Tryss uznał, że widocznie nie jest jedyną osobą, która obserwuje i ocenia silne i słabe strony sojuszników czy wrogów. A potem ziemiochodzący zrobił błąd - założył, że zachowanie wiatru w górach jest takie samo jak na równinach. Tryss wtrącił się odruchowo; za późno sobie uświadomił, co robi, i zamilkł. Twarz mu płonęła.

- Mów dalej, Tryss - szepnęła Auraya. - Mów. Po to się zebraliśmy: by poprawiać swoje błędy. Lepiej teraz, niż kiedy doprowadzą do śmierci żołnierzy na polu bitwy.

Popatrzył na nią, potem na Sirri. Mówca kiwnęła zachęcająco głową.

- Powietrze w górach porusza się inaczej - powiedział. - Czasami nam to pomaga, czasami nie.

Auraya przetłumaczyła.

- Możecie przewidzieć, jak zachowają się wiatry? - zapytał Songmaker.

- Tylko bardzo ogólnie. Dopiero na miejscu możemy się przekonać, czy powietrze przepływa tak, jak się spodziewaliśmy.

Od tego momentu dyskusja była bardziej szczegółowa. Sirri się włączyła, ale często oglądała się na Tryssa, gdy opisywane przez Songmakera scenariusze stawały się coraz bardziej skomplikowane. Doradca wojskowy był pełen entuzjazmu, ale po chwili przerwał i zwrócił się do Jurana. Auraya tłumaczyła.

- Możemy o tym rozmawiać przez wiele godzin, a nawet dni. Czy mogę zaproponować, byśmy kontynuowali w moim namiocie? Wszyscy, których interesują takie szczegóły, mogą się przyłączyć.

- Dobrze - zgodził się Juran. - Teraz chciałbym się zastanowić, jak wykorzystać Siyee jeszcze przed bitwą, jako nasze „oczy na niebie". - Spojrzał na Sirri i przeszedł na język Siyee. - Nie mamy szpiegów w pentadriańskiej armii. Czarownicy, którzy dowodzą, potrafią czytać myśli i wykryli naszych ludzi, którzy przeniknęli do ich wojsk. Jedyne raporty, jakie otrzymujemy, pochodzą od zwiadowców obserwujących pentadrian z daleka. Ostatni meldunek mówił, że weszli do lasów u stóp wzgórz. Czy moglibyście wysłać grupę waszych ludzi, żeby dowiedzieli się czegoś więcej?

- Oczywiście - zgodziła się Sirri.

- Ile czasu zajmie wam przelot nad górami i powrót? Wzruszyła ramionami.

- Dzień, może dwa, żeby przelecieć na drugą stronę, tyle samo na powrót. Ile czasu zajmie im rozpoznanie, kiedy już dotrą na miejsce, zależy od tego, ilu Siyee tam poślę i jak trudno będzie zobaczyć coś w tym lesie. Jak duży jest obszar, który powinni przeszukać?

Juran wskazał jedno z górskich pasm na mapie. Sirri kiwnęła głową, kiedy zakreślił palcem część terenu.

- Wyślę dwadzieścia par. To powinno zredukować czas poszukiwań do jednego dnia.

Juran skinął głową.

- Mogą wyruszyć jeszcze dziś w nocy?

- Dziś w nocy nie ma księżyca. Niebezpiecznie jest lecieć przez góry w takiej ciemności. Ale mogą wyruszyć przed świtem. Zanim dotrą do gór, powinno już być dosyć światła.

- W takim razie musimy czekać - zgodził się Juran z uśmiechem. - Dziękuję, Mówco Sirri.

Sirri zachichotała.

- To ja powinnam podziękować, Juranie z Białych. Mam zbyt wielu młodych ludzi, których rozpiera energia i emocje. Nie mogą się doczekać przygody. W ten sposób przynajmniej niektórzy będą mieli co robić.

Ziemiochodzący uśmiechnęli się szeroko, gdy Auraya przetłumaczyła jej słowa.

- Powinnaś może wybrać tych bardziej rozsądnych - zaproponowała Auraya. - Takich, którzy się nie ujawnią bez potrzeby. Mamy nadzieję, że Siyee okażą się niemiłym zaskoczeniem dla naszych wrogów.

Mówca z rezygnacją pokiwała głową.

- Niestety, masz rację. Będę musiała wybierać rozważnie.

- Czy są jakieś zmiany, jakieś decyzje, które powinniśmy podjąć dla waszej wygody? - dopytywał się Juran. - Niczego wam nie brakuje?

- Mamy wszystko, co trzeba - zapewniła Sirri. - Chciałam jednak przeprosić za omyłkowe polowanie na lyrimy. Gdybyśmy wiedzieli...

- Nie ma za co przepraszać - przerwał jej. - Gdybyśmy natrafili na te stada, sam kazałbym je wybić. Pasterze i farmerzy rozumieją, że w czasie wojny takie rzeczy się zdarzają. Jeśliby nie byli tego świadomi, nie odważyliby się przychodzić do mnie i żądać zapłaty.

- A więc to tak. - Sirri zastanowiła się. - Czy w takim razie mamy nadal na nie polować?

Juran uśmiechnął się.

- Jeśli chcecie... Ale bierzecie tylko połowę każdego napotkanego stada, zostawiając kilku samców i ciężarne samice, żeby lyrimy szybko mogły odtworzyć dawną liczebność.

- Tak będzie - obiecała Sirri.

- Czy powinniśmy omówić coś jeszcze?

Pokręciła głową. Juran rozejrzał się i zwrócił do innych ziemiochodzących.

- Pyta, czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania - wyjaśniła Auraya.

Nikt się nie odezwał, choć niektórzy wyglądali, jakby mieli na to ochotę. Rozmowa potoczyła się na inne tematy, a Tryss uspokoił się, gdyż nikt nie zwracał na niego uwagi. Pilnie słuchał tłumaczenia Aurai, by się dowiedzieć, w jaki sposób ziemiochodzący planują prowadzić tę wojnę.

Młody hanijski żołnierz wpatrywał się w ognisko. W płomieniach widział sylwetki groźnych wojowników i wielkich czarowników.

Jak to będzie, myślał. Wstąpiłem do wojska w zeszłym roku. Przecież to chyba za krótko, żeby mnie wyszkolili. Ale kapitan twierdzi, że dyscyplina i duch bojowy to wszystko, czego mi trzeba.

: *I jeszcze wielkiego szczęścia,* dodał Jayim.

: *Ruszamy dalej,* polecił uczniowi Leiard. *Zaglądasz, żeby się uczyć, ale jeśli zwlekasz, szukając rozrywki, nadużywasz swojego Daru.*

Jayim uczył się szybko. Poprzedniej nocy osiągnął stan transu, pozwalający mu przeglądać umysły, ale nie potrafił równocześnie rozmawiać z Leiardem, nie tracąc przy tym koncentracji. Teraz radził sobie o wiele lepiej.

Następny umysł był bardziej ożywiony. Mężczyzna Siyee o myślach zamglonych przez tintrę. On i jeszcze dwóch innych z jego klanu zaprosiło do swojej altany kilku somreyańskich żołnierzy. Nie byli przygotowani na efekt, jaki na ich drobne ciała wywiera alkohol.

: *Mam nadzieję, że Somreyanie ich nie wykorzystają,* zmartwił się Jayim.

: *Mogą, ale nie muszą. Nie możesz im pomóc, nie zdradzając, że zaglądałeś do ich umysłów. Nie zrozumieliby, czemu to robimy. Ruszaj.*

Kolejne myśli, jakie pochwycili, były mniej werbalne, a bardziej

fizyczne. Ta Siyee myślała tylko o swoim partnerze, o dotyku i odczuwaniu. Nie pamiętała o walce ani o zbliżającej się bitwie. Dla Jayima było to bardzo, bardzo interesujące.

: *Ruszaj.*

Jayim był wyraźnie skrępowany swym ociąganiem. Odwrócił umysł od kochanków.

: *Siyee mają kobiety - wojowniczki. Dunwayczycy również. Dlaczego nie Hanijczycy?*

: *A jak myślisz?*

: *Bo nasze kobiety są słabsze?*

: *Mogą być równie silne jak Dunwayki, gdyby tylko chciały. To wymaga jedynie ćwiczeń.*

: *Ponieważ ktoś musi pilnować naszych dzieci i naszych domów?*

: *A co z dziećmi i domami Siyee? Wiesz z wielu umysłów, których dzisiaj dotknęliśmy, że zostawili swoje dzieci pod opieką starszych Siyee.*

: *No to nie rozumiem. Może Hanijczycy zwyczajnie ich nie potrzebują? Mamy dość mężczyzn, żeby za nas walczyli.*

: *Albo taką nadzieję.*

: *Nie warto chyba zabierać kobiet, jeśli nie są przeszkolone. Kobiety nie mają czasu na szkolenie, jeśli młodo wychodzą za mąż i rodzą dzieci.*

: *Siyee też pobierają się młodo.*

: *Więc jaki jest powód?*

: *Nie wiem na pewno. Nie możemy zajrzeć do umysłu całej rasy, tak jak dzisiaj zaglądamy do umysłów pojedynczych osobników. Obyczaje i tradycje akumulują się z czasem i opierają zmianom. Tylko wielka potrzeba może zmienić sposób życia ludzi albo ich poczucie moralności.*

: *Czyli gdybyśmy nie mieli dość mężczyzn do walki, kobiety by się jej nauczyły?*

: *Prawdopodobnie. Kłopot polega na tym, że jeśli sytuacja zmusi kobiety, by walczyły, nie będzie już czasu, by je wyszkolić. A teraz poszukaj innego umysłu.*

Leiard podążał za Jayimem. Chłopiec musnął umysły tkaczy snów, rozłożonych wokół ich namiotu. U jednego pojawiło się ostre uczucie trwogi, ale nie od ich dotyku. Coś innego... Kształt w ciemności, poza obozem...

: *Czekaj. Wróć.*

Jayim zatrzymał się, po czym wrócił do poruszonego umysłu tkacza snów. Przez jego oczy zobaczył wynurzającą się z ciemności postać. Kapłanka. Wysoka kapłanka. A kiedy kobieta się zbliżyła, tkacz snów rozpoznał ją i pozwolił sobie na ostrożną ulgę. To ta przyjazna. Auraya.

: *Auraya.*

Poczuł, jak zalewa go fala równocześnie radości i lęku. Przyszła do mnie, pomyślał

: *Wygląda na to, że moje dzisiejsze lekcje skończą się wcześniej,* stwierdził złośliwie Jayim.

: *Jutro nadrobimy stracony czas,* odparł Leiard.

: *Ale mam nadzieję, że moja ofiara nie pójdzie na marne.*

Leiard westchnął. Chłopak nie był lepszy od Mirara.

Dość, Jayimie. Potwierdź swoją tożsamość.

Gdy Jayim wykonywał rytuał, Leiard także skupił się na poczuciu własnej tożsamości.

Jestem Leiard, tkacz snów...

I dureń, przerwał mu głos w umyśle. *Wiedziałeś, że dołączy do armii, a jednak lazłeś za nimi razem z innymi tkaczami snów, gdy powinieneś uciekać w przeciwnym kierunku.*

Mirar... Leiard westchnął. Kiedy wreszcie się ciebie pozbędę?

Kiedy odzyskasz zmysły. To nie ze swoją tożsamością masz kłopoty, ale ze swoimi lędźwiami.

Nie przybyłem tu, żeby się spotkać z Aurayą, pomyślał Leiard stanowczo. Jestem tkaczem snów. Moim obowiązkiem jest udzielać pomocy ofiarom tej wojny.

Kłamiesz. Masz obowiązek ochraniać swój lud, odparł Mirar. *Jeśli ci cyrklianie, którym chcesz pomagać, odkryją, że uwiodłeś ich najwyższą kapłankę, to wezmą te swoje miecze i zarżną każdego*

tkacza snów, jakiego znajdą. Będą mieli miłą rozgrzewkę przed bitwą z pentadrianami.

Nie mogę tak po prostu zniknąć, protestował Leiard. Powinienem jej wytłumaczyć, czemu musiałem odejść.

Ona już wie, czemu musiałeś odejść.

Ale muszę porozmawiać z...

I co jej powiesz? Że znasz taki miły i odległy zakątek, idealny na te chwile, kiedy przyjdzie jej ochota trochę się poobściskiwać? Możesz jej to powiedzieć we śnie, tak samo jak możesz wtedy wytłumaczyć...

- Leiard?

To był Jayim. Tkacz otworzył oczy. Chłopak wpatrywał się w niego.

- Wcale ci się nie poprawiło, prawda? Leiard wstał.

- Od tygodni nie odebrał mi kontroli. To postęp. Myślę, że trzeba czasu.

- Jeśli coś...

- Halo? Leiard?

Głos wzbudził dreszcz na karku Leiarda - głos Aurai. Nie słyszał go od miesięcy. Przyniósł wspomnienia snów, które dzielili, echa tamtej pierwszej wspólnej nocy. Serce biło mu jak oszalałe.

Musiał tylko ją zaprosić. Nabrał tchu, by się odezwać, ale znieruchomiał. Czekał na protest Mirara, ale ten milczał. Może z ostrożności. Gdyby się odezwał, Auraya by usłyszała, a wtedy...

- Leiard?

- Jestem tutaj. Wejdź, Aurayo.

Odsunęła klapę i weszła do środka. Poczuł ucisk w piersi i uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Wolno wypuścił powietrze. Włosy zaplotła do tyłu w warkocz, ale kilka kosmyków uwolniło się od wiatru, a raczej wskutek lotu, i opadało jej na twarz. Była teraz jeszcze piękniejsza, uznał. Zmierzwione włosy, jak po nocy...

- Pozdrowienie, Aurayo z Białych - odezwał się Jayim. Spojrzała na chłopca z uśmiechem.

- Pozdrowienie, Jayimie Baker. Jak przebiega twoje szkolenie?

- Dobrze.

Jej uśmiech był ciepły, ale zbladł trochę, kiedy odwróciła się i spojrzała na Leiarda.

- Słyszałam, że zrezygnowałeś. Kiwnął głową.

- Miło było znów cię zobaczyć, Aurayo - wtrącił Jayim. - Ale lepiej już pójdę.

Obserwowała, jak wychodzi z namiotu, po czym zwróciła się do Leiarda.

- On wie.

- Tak. To słabość naszych metod nauczania za pośrednictwem łącza umysłów. Ufam mu.

Wzruszyła ramionami.

- W takim razie ja też. - Postąpiła krok w jego stronę. - Rozumiem, czemu zrezygnowałeś. W każdym razie tak mi się wydaje. Musiałeś, na wypadek, gdyby nas wykryto i moi ludzie źle to przyjęli.

- Zrezygnowałem nie tylko po to, by chronić tkaczy snów - odparł, sam siebie zaskakując mocą swych słów. - Zrobiłem to także po to, by... byśmy mogli dalej się spotykać.

Szeroko otworzyła oczy, a potem uśmiechnęła się. Jej twarz pokryła się rumieńcem.

- Muszę przyznać, że byłam trochę niespokojna. Połączenia snów się urwały i potrzebowałam dwóch nocy, żeby cię odnaleźć.

Podszedł i wziął ją za ręce. Miała taką delikatną skórę... Patrzyła na niego, wyginając wargi w nieco zmysłowym uśmiechu. Jej zapach był kusząco delikatny i budził chęć, by odetchnąć nim głęboko.

Co ja chciałem powiedzieć? Zamrugał i cofnął się myślą... A tak.

- Musiałem podjąć kilka decyzji - oświadczył. - Decyzji, które najlepiej podejmować samemu.

Przez dłonie wyczuwał jej napięcie. - I co zdecydowałeś?

- Zdecydowałem...

Urwał. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bliski był tego, by ulec Mirarowi. Życie byłoby prostsze, gdyby zwyczajnie

uciekł. Ale teraz znowu był z Aurayą - widział ją, dotykał jej - i wiedział, że nie potrafiłby od niej uciec. Wspomnienie o niej prześladowałoby go we dnie i w nocy.

- Zdecydowałem, że najważniejsze jest, byśmy byli tym, kim jesteśmy - rzekł. - Ty jesteś jedną z Białych. Ja jestem tkaczem snów. Jesteśmy kochankami. Gdybyśmy próbowali czegoś innego, przeczylibyśmy temu. Złem byłoby pozwolić innym cierpieć z powodu naszej miłości. Oboje to wiemy. A zatem...

- Zatem...?

- Możemy się spotykać tylko w tajemnicy.

- Gdzie?

- Daleko od Jarime. Myślę o pewnym miejscu... We śnie prześlę ci jego położenie.

Kącik jej ust drgnął.

- Tylko położenie? Nic więcej? Parsknął.

- Za bardzo lubiłaś te sny, Aurayo. Bałem się, że mnie dla nich zostawisz.

Mocniej ścisnęła jego dłonie.

- Nie, nadal wolę to, co rzeczywiste. Albo... Tak mi się przynajmniej wydaje. - Obejrzała się przez ramię, w kierunku łóżka. - Może lepiej się upewnię.

Zerknął na klapę namiotu. Jayim dobrze ją zaciągnął - żadnych szczelin.

- Nie martw się - szepnęła Auraya. - Nikt niczego nie usłyszy. Zadbałam o to.

Kiedy pociągnęła go w stronę łóżka, Leiard nie mógł powstrzymać zdziwienia ironią tej sytuacji. Co myśleli bogowie, gdy jedna z ich wybranych kapłanek wykorzystywała swe Dary, by ukryć tajemny romans z tkaczem snów?

Otrzeźwiał. Niewielka była szansa, że wciąż o nim nie wiedzą. Gdyby to potępiali, zareagowaliby już dawno.

A potem Auraya go pocałowała i wszelkie myśli o bogach odpłynęły.

35

Emerahl otuliła się futrzanym kapturem taula. Podeszła do klapy namiotu, odetchnęła głęboko, wyprostowała się i wyszła na zewnątrz.

Natychmiast poczuła na sobie spojrzenia czujnych oczu strażników, którzy mieli jej pilnować. Powinni ją chronić, ale byli raczej dozorcami. Musiała znosić ich dyskretne zainteresowanie od dnia, kiedy karawana wyjechała z Porinu.

Gdy Rozea usłyszała o „wypadku" z formtanem, stwierdziła, że musi natychmiast ogłosić, kto jest nową faworytą, by zapobiec uleganiu „głupim i szkodliwym zwyczajom". Od tego czasu Emerahl podróżowała w tarnie Rozei i otrzymywała wszystko, co najlepsze - w tym własną, osobistą ochronę.

Inne ladacznice stały o wiele niżej. Od wyjazdu z Porinu Emerahl prawie się z nimi nie spotykała. Ze strzępków rozmów z Falą wynikało, że uważały, iż zaplanowała swój mały „wypadek" z formtanem, by zwrócić na siebie uwagę Rozei i skłonić madame, by ją awansowała.

Nie pomagało też, że Rozea nie pozwalała jej odwiedzać Fali i Żagwi ani nie zgadzała się na ich wizyty. Wiedziała, że to Żagiew kupiła formtan dla Emerahl, i podejrzewała, że przyjaciółki spróbują jej coś przemycić.

Nowa pozycja miała jedną dość wątpliwą zaletę - klientami Emerahl byli najbogatsi arystokraci w armii. Kapłanów, którzy odwiedzali namioty zamtuzu, nie było stać na usługi faworyty. Jak dotąd.

Emerahl niemal żałowała wyjawienia Rozei, że nie chce wyruszać na tę wyprawę. Kiedy Gwiazdka opowiedziała o ponurych przewidywaniach koleżanki, Rozea uznała, że faworyta może ulec swoim lękom. Co wieczór rozbijano obóz w taki sposób, by namiot Emerahl był widoczny ze wszystkich stron. Nie pozwalano jej posiadać żadnych ostrych narzędzi, a klientów grzecznie proszono o

pozostawienie na zewnątrz całej broni. Rozea lubiła awanturnicze opowieści przygodowe i wiedziała, że wykradziony nóż i szybkie cięcie niestrzeżonej ściany namiotu wielu fikcyjnym bohaterkom pozwoliły uciec od prześladowców.

Żaden z tych środków ostrożności nie mógłby powstrzymać Emerahl przed odejściem. Nie chodziło o straże ani ściany namiotu, myślała, gdy służący sprawnie usunęli maszty i cała konstrukcja opadła na ziemię.

Chodziło o sąsiedztwo.

Rozejrzała się po pustym polu, na którym obozowali. Resztki zebranych już plonów zostały wdeptane w ziemię - najpierw przez żołnierzy, teraz przez karawanę Rozei. Ogarnęło ją poczucie wyczekiwania. Do tej pory udawało się im dotrzymać kroku toreńskim wojskom. Oddziały znikały często w dali za dnia, ale wędrowny zamtuz zawsze doganiał je wieczorem.

Wczoraj nie dogonił. Niewielka grupa bogatych klientów dotarła do nich na wierzchowcach i odjechała o świcie. Klient Emerahl, jakiś królewski kuzyn, powiedział, że armia wędruje teraz tak szybko, jak tylko ludzie mogą wytrzymać, aby dołączyć do cyrklian przed bitwą.

Każdego wieczoru - oprócz ostatniego - zamtuz rozbijał namioty między żołnierskimi. Każdego wieczoru kapłani chodzili wśród żołnierzy, dodając odwagi i budząc poczucie obowiązku. To właśnie oni nie pozwalali Emerahl na ucieczkę. Dowolny spór między nią i jej strażnikami musiałby zwrócić uwagę. Gdyby nawet wymknęła się niezauważona, wieści o ucieczce najdroższej dziwki Rozei wielu żołnierzom podsunęłyby myśl o darmowym numerze z normalnie niedostępną ślicznotką i o nagrodzie za doprowadzenie jej z powrotem. Oczywiście, bez trudu mogłaby się obronić, ale to znowu zwróciłoby na nią uwagę. Nie miałaby żadnych szans, gdyby zaczęła jej szukać cała armia.

Teraz, kiedy wojsko oddaliło się od karawany, to zagrożenie zniknęło. Już wkrótce zamtuz będzie za daleko, by arystokraci odwiedzali go nocami. Wtedy wystarczy zająć czymś strażników i zniknąć. Bez klienta w łóżku jej nieobecność zostanie pewnie

odkryta dopiero rano.

- Nefryt...

Emerahl obejrzała się. Rozea zbliżała się w oblepionych błotem wysokich butach. Ta kobieta lubiła chyba życie w drodze, i każdego ranka maszerowała wokół obozu, wykrzykując rozkazy.

- Tak? - odpowiedziała Emerahl.

- Jak się czujesz? Wzruszyła ramionami.

- Nieźle.

- No to chodź.

Zaprowadziła ją do tarnu i wpuściła przed sobą do środka. Służąca podała im kielichy grzanej przyprawody. Emerahl szybko wypiła swoją, by jak najprędzej położyć się i zasnąć. Nie była dziś w nastroju do rozmów z Rozeą, a jeśli wieczorem miała spróbować ucieczki, chciała być wypoczęta i sprawna.

- Jakaś milcząca dziś jesteś - zauważyła Rozea. - Za wcześnie dla ciebie?

Emerahl kiwnęła głową.

- Musimy już wyruszyć, jeśli chcemy wieczorem dogonić wojsko.

- Myślisz, że dogonimy? Rozea wzruszyła ramionami.

- Może. Ale jeśli nie, to przynajmniej będziemy nadał wyprzedzać karawanę Krema.

Kremo należał do konkurentów Rozei. Jego karawana była większa, a obsługiwała wszystkich oprócz najuboższych żołnierzy. Ci mogli sobie pozwolić tylko na samotne, wynędzniałe ladacznice, ciągnące za armią jak robactwo.

- W takim razie lepiej się prześpię - stwierdziła Emerahl.

Rozea kiwnęła głową. Emerahl ułożyła się na ławie i natychmiast zasnęła. Tylko na moment obudziło ją szarpnięcie ruszającego tarnu. Kiedy następnym razem otworzyła oczy, powóz stał nieruchomo. Zauważyła, że Rozea zniknęła.

Przymknęła oczy i zaczęła zapadać w drzemkę. Męskie krzyki rozbudziły ją gwałtownie. Otworzyła oczy, przeklinając w duchu hałaśliwych strażników.

Za tarnem rozległy się wrzaski.

Emerahl wstała i szarpnęła klapę w bok. Wokół drogi gęsto rosły drzewa. Jacyś nieznani jej ludzie biegli między nimi w kierunku karawany. Z drugiej strony tarnu usłyszała Rozeę, wydającą rozkazy strażnikom, którzy przesuwali się już w stronę napastników.

Tamci nosili pancerze i wymachiwali mieczami i włóczniami. Toreńscy żołnierze, uświadomiła sobie Emerahl. Przyjrzała się uważnie jednemu z nich - jego emocje były mieszanką chciwości, żądzy i radosnej euforii z uwolnienia się wreszcie od wszystkich rozkazów i obowiązków.

Dezerterzy, domyśliła się. Którzy zapewne zostali złodziejami i rabusiami.

Rozejrzała się z bijącym mocno sercem. Napastników chyba było niewielu, ale następni mogli się przecież kryć między drzewami. Znieruchomiała, widząc przed tarnem Rozei powalone drzewo. Ktoś je zrąbał - to nie była naturalna przeszkoda.

Jakiś człowiek pojawił się nagle tuż przed nią. Cofnęła się wystraszona i schowała w tarnie. Tamten wyszczerzył zęby i zerwał płócienną klapę. Kiedy zaczął się wspinać do środka, Emerahl opanowała lęk. Ściągnęła ku sobie magię i zastanowiła się przez moment. Najlepiej, żeby to wyglądało jak fizyczny cios...

Uformowała ją w kulę energii i pchnęła mu w twarz.

Uderzenie odrzuciło mu głowę do tyłu; stęknął zdumiony. Krew popłynęła z nosa.

Warknął gniewnie i wlazł do wozu.

Twardy drań, pomyślała. I głupi. Ściągnęła więcej mocy i skierowała ją w jego pierś. Tym razem cios wyrzucił go z tarnu, a jego głowa z głośnym trzaskiem uderzyła o drzewo.

Emerahl podeszła ostrożnie do wyjścia. Podskoczyła, kiedy stanął przed nią kolejny mężczyzna, ale uspokoiła się, rozpoznając twarz jednego ze strażników zamtuzu. Schylił się, a ona usłyszała odgłos cięcia.

- Nie będzie cię więcej niepokoił, pani - zawołał wesoło.

- Dziękuję - odparła oschle.

- A teraz się ukryj. Kiro i Stillo przyda się pomoc. Krzyki ladacznic zmieniły się w paniczne piski. Kiedy strażnik odbiegł, Emerahl zignorowała jego polecenie i wyjrzała.

Trzech dezerterów broniło się, odwróconych plecami do jednego z tarnów. Walczyli z dwoma strażnikami - teraz trzema, kiedy dołączył do nich jej wybawca. Dziewczęta wewnątrz wozu krzyczały histerycznie. Nagle chudy, wycieńczony z wyglądu napastnik zaatakował - szybciej niż wydawało się to możliwe - i strażnik, który z nim walczył, osunął się na ziemię.

Chudy rabuś spojrzał na dwóch towarzyszy, ale zamiast im pomóc, wszedł za nich, odwrócił się i rozciął płótno na tarnie. Rama pękła i buda się zapadła. Dziewczęta znów zaczęły wrzeszczeć.

Równocześnie upadł jeden z dezerterów. Chudy sięgnął pod płótno. Emerahl wstrzymała oddech, a potem serce jej zamarło, gdy mężczyzna wyciągnął z tarnu szczupłą rękę. Szarpnął za nią, a Gwiazdka wypadła na ziemię u jego stóp.

Przyłożył jej miecz do brzucha.

- Cofnijcie się albo ona zginie!

Walczący znieruchomieli na moment, a potem odstąpili od siebie. Ostatni dezerter krwawił obficie z rany na nodze.

- Teraz lepiej. Przynieście tu wasze pieniądze. Strażnicy wymienili spojrzenia.

- Przynieście pieniądze!

Emerahl ze smutkiem pokręciła głową. Ta sytuacja mogła się skończyć tylko w jeden sposób. Jeśli strażnicy zlekceważą żądania chudzielca, zabije Gwiazdkę. Jeśli posłuchają, chudzielec zabierze ją, by zniechęcić strażników do pościgu i próby odzyskania pieniędzy. I pewnie ją zabije, gdy tylko uzna, że udało mu się uciec.

Chyba że coś zrobię. Ale nie mogę. Zdradziłabym, jak potężne mam Dary.

Ale czy naprawdę? Rozea wiedziała przecież, że nowa faworyta jest Obdarzona. Jeśli Emerahl użyje prostej magii - na przykład zastosuje słabe pchnięcie, by wytrącić napastnikowi miecz z ręki - nikt się specjalnie nie zdziwi. Musi jednak zaczekać na odpowiedni

moment, kiedy coś odwróci uwagę chudzielca. Przy najmniejszej sugestii magicznego ataku mężczyzna wbije ten miecz w brzuch dziewczyny.

Ściągnęła ku sobie magię i czekała.

- Nie dostaniesz od nas nawet miedziaka, ty tchórzliwa kupo aremowego gówna - oznajmiła Rozea, wyłaniając się spomiędzy dwóch tarnów.

Ranny dezerter tę właśnie chwilę wybrał, by upaść. Chudzielec nawet nie spojrzał na towarzysza, a tylko mocniej docisnął miecz do brzucha Gwiazdki. Dziewczyna krzyknęła.

- Jeden ruch, a ją zabiję.

- Rób, co chcesz, zbóju! - zawołała wyzywająco Rozea. - Mam dość innych, takich jak ona. - Skinęła na strażników. - Zabijcie go.

Strażnicy spojrzeli twardo i wznieśli miecze. Emerahl posłała magiczny pocisk, ale równocześnie zauważyła, że klinga chudzielca opada w dół.

Gwiazdka krzyknęła z bólu. Magia Emerahl odrzuciła ostrze na bok w tej samej chwili, gdy miecz strażnika rozciął chudzielcowi gardło. Gwiazdka krzyknęła znowu i chwyciła się za bok. Emerahl z przerażeniem zobaczyła, że uderzenie wyrwało ostrze z ciała, powodując jeszcze większe uszkodzenia. Z rany tryskała krew.

Zaklęła i wyskoczyła z tarnu. Strażnicy wytrzeszczyli oczy, kiedy wyminęła ich i pochyliła się nad Gwiazdką. Usłyszała ostry głos Rozei, wykrzykujący jej imię, ale nie obejrzała się.

Uklękła przy dziewczynie i mocno przycisnęła dłoń do rany. Gwiazdka jęknęła.

- Wiem, że boli - powiedziała cicho Emerahl. - Ale musimy zatrzymać krwawienie.

Jednak sam ucisk nie mógł powstrzymać krwotoku - wiedziała to dobrze. Sięgnęła po magię i uformowała ją w barierę pod dłońmi.

Uniosła głowę i spojrzała na strażników.

- Przynieście coś, co da się pod nią włożyć, żebyśmy mogli ją przenieść do mojego tarnu.

- Ale ona...

- Przynieście - warknęła.

Odeszli pospiesznie. Emerahl rozejrzała się. Rozea wciąż stała o kilka kroków od niej.

- Masz zestaw ziół i leków? - spytała Emerahl. Madame wzruszyła ramionami.

- Tak, ale nie warto ich marnować. Przecież ona nie przeżyje.

Co za suka z lodowatym sercem... Emerahl ugryzła się w język.

- Nie bądź taka pewna. Widziałam gorsze rany leczone przez tkaczy snów.

- Widziałaś? - Rozea uniosła brwi. - Z każdym dniem stajesz się bardziej interesująca, Nefryt. Kiedy taka biedna uciekinierka jak ty miała okazję oglądać tkaczy snów przy pracy? Skąd pomysł, że uda ci się coś, czego oni uczą się latami?

Emerahl spojrzała jej prosto w oczy.

- Może pewnego dnia ci opowiem. Jeśli przyniesiesz mi zestaw i trochę wody. I bandaże. Dużo bandaży.

Rozea krzyknęła na służące. Klapa w ostatnim tarnie odsunęła się, ukazując przerażone twarze, a w chwilę później jedna ze służących wyskoczyła i podbiegła do Rozei. Strażnicy wrócili, niosąc wąską drewnianą płytę. Emerahl przewróciła Gwiazdkę na bok. Dziewczyna nie jęknęła nawet - straciła przytomność. Strażnicy wsunęli pod nią płytę, a Emerahl, ciągle przyciskając dłonie do rany, przetoczyła Gwiazdkę na deski. Strażnicy chwycili zaimprowizowane nosze i ponieśli ranną do tarnu Rozei.

Rozea szła za nimi.

- Nie wkładajcie jej tam! Na zewnątrz też możesz ją leczyć!

Im szybciej odejdę od tej kobiety, tym lepiej, pomyślała Emerahl.

- Kiedy już ją pozszywam, nie powinno się jej przenosić. Dlatego najpierw musimy ją ułożyć w jakimś wygodnym i ciepłym miejscu. - Obejrzała się na strażników. - Wnieście ją do środka.

Posłuchali. Kiedy wysiedli, Rozea chciała wejść, ale Emerahl chwyciła ją za ramię.

- Nie - powiedziała. - Pracuję sama.

- Nie pozwolę ci...

- Pozwolisz - warknęła. - Jesteś ostatnią osobą, którą chciałaby oglądać, kiedy się obudzi.

Rozea skrzywiła się.

- I tak by ją zabił.

- Wiem, lecz ona potrzebuje czasu, żeby to zrozumieć. W tej chwili tylko byś ją zdenerwowała, a musi być spokojna.

Rozea zmarszczyła brwi, ale odsunęła się, a Emerahl weszła do wnętrza i pochyliła się nad Gwiazdką. Po chwili służące ustawiły na podłodze przy wejściu dużą misę z wodą, kawałki tkaniny i żałośnie małą skórzaną sakwę.

Emerahl nie sięgnęła po nie, ale przyłożyła dłonie do rany.

- Niech nikt mi nie przeszkadza! - zawołała. - Słyszysz?

- Słyszę - odpowiedziała Rozea.

Emerahl zamknęła oczy. Spowolniła oddech i skoncentrowała umysł.

Szybko osiągnęła odpowiedni stan. Ta technika uzdrawiania była podobna do stosowanej przy zmianie fizycznego wyglądu, ale nie tak wymagająca pod względem czasu i magii. Jej umysł musi zmienić sposób myślenia, by zmierzyć się ze światem ciała i kości. W tym stanie świadomości wszystko - ciało, kamień, powietrze - było niczym ogromna łamigłówka z całej masy kawałków. Te kawałki układały się we wzory. Lubiły układać się we wzory. Przy uzdrawianiu musiała tylko poprzestawiać je mniej więcej we właściwy sposób, aby dawne połączenia utworzyły się od nowa.

Właśnie w ten sposób lubiła pracować. Mirar starał się ją zachęcić do doskonalenia umiejętności ponad to, co konieczne. Swoje metody doprowadził do rangi sztuki, ciągle próbował poprawiać rezultat, dopóki pacjent nie wracał do początkowego - albo nawet lepszego - stanu zdrowia, bez żadnej blizny, bez konieczności odpoczynku dla odzyskania sił. Emerahl nie widziała sensu w poświęcaniu energii i czasu tylko dla estetycznych względów. Zresztą, gdyby Gwiazdka wyszła z tego bez żadnej blizny, inni by odgadli, że dokonała czegoś niezwykłego. Opowieści o tym z pewnością zwróciłyby uwagę kapłanów.

Wewnętrzne brzegi rany połączyły się z wolna. Płyny nie wylewały się już, ale biegły właściwymi kanałami. Kiedy pozostało już tylko płytkie rozcięcie, Emerahl otworzyła oczy.

Sięgnęła po wodę i pasy tkaniny, podgrzała pierwszą, a drugich użyła do oczyszczenia rany. Z sakwy wyjęła igłę i nitkę. Odrobiną magii rozgrzała igłę tak, jak uczył ją Mirar, by nie dopuścić do zakażenia. Nitka pachniała ziołowym olejkiem, który zapobiegał ropieniu ran. Sakwa była może niewielka, ale dobrze wyposażona.

Zauważyła, że Gwiazdka się jej przygląda.

- Nie jesteś tym, kim się wydajesz, prawda, Nefryt? - szepnęła.

Emerahl spojrzała na nią podejrzliwie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Przed chwilą uzdrowiłaś mnie magią. Czułam to.

- Po prostu dziwnie się czujesz po leku, który ci podałam. Gwiazdka pokręciła głową.

- Obserwowałam cię. Nic nie robiłaś, tylko siedziałaś z zamkniętymi oczami, a ja czułam, jak coś się we mnie porusza. I mniej mnie teraz boli, a powinno bardziej.

Emerahl zastanowiła się. Mogła zaprzeczyć, ale wątpiła, czy Gwiazdka uwierzy.

- No tak. Użyłam takiej magicznej sztuczki, której nauczył mnie kiedyś tkacz snów, żeby złagodzić ból. Niech ci się nie wydaje, że jesteś porządnie uzdrowiona. Jeśli nie będziesz uważać, rana może znowu się rozejść. Dlatego muszę cię teraz zaszyć. Chcesz jakiś lek, żeby cię uśpił?

Gwiazdka spojrzała na igłę i zbladła.

- Ja... Może lepiej daj trochę...

Emerahl odłożyła igłę i zajrzała do sakwy. Znalazła buteleczkę jakiejś cieczy z etykietką „dla uśpienia - trzy krople". Ciesz pachniała formtanem i innymi środkami nasennymi.

- To wystarczy. - Emerahl spojrzała na Gwiazdkę i westchnęła. - Możesz mi coś obiecać?

Gwiazdka zastanowiła się, po czym kiwnęła głową.

- Nie chcesz, żeby ktoś się dowiedział, że używasz magii?

- Rozea już wie, że mam Dary. Ale lepiej, żeby nie wiedziała, jak jestem Obdarzona, bo każe mi robić z klientami rzeczy, na które nie mam ochoty. Udawajmy więc, że nie byłaś tak ciężko ranna, jak się wydawało, i że użyłam magii tylko by zahamować upływ krwi i przytrzymać wszystko na miejscu, kiedy cię zszywałam.

- Tak im powiem - zgodziła się Gwiazdka.

- Obiecujesz, że nie wyjawisz nic więcej?

- Obiecuję.

Emerahl uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Tęsknię za wami, wiesz? Siedzenie tu z Rozeą jest takie nudne... Nie pozwala nawet, żeby Żagiew przyszła ze mną pogadać.

- Teraz będziesz mogła rozmawiać ze mną - zauważyła Gwiazdka.

Nie, jeśli dzisiaj odejdę, pomyślała Emerahl.

Wsunęła dłoń pod kark dziewczyny i uniosła jej głowę, by wlać do ust kilka kropli leku. Gwiazdka przełknęła, skrzywiła się i mówiła dalej:

- Miałaś rację, że ta wyprawa będzie niebezpieczna. Jesteśmy teraz daleko za wojskiem. Iłu strażników nie żyje?

- Nie wiem.

- Niektórzy na pewno. Wiem o tym. A jeśli znowu nas napadną? - Gwiazdka patrzyła na Emerahl, a oczy zachodziły jej mgłą. - Tak się cieszę, że z nami jesteś. Masz moc i możesz nas ochraniać. Potrzebujemy cię.

Emerahl odwróciła głowę, skupiając się na nawlekaniu igły. Z tych strażników, których widziała podczas walki, na końcu tylko dwóch pozostało żywych. Inni mogli gdzieś pilnować karawany przed kolejnymi atakami, ale jeśli nie, to będą teraz bardzo słabo chronione.

No a dwóch strażników nie może mnie skutecznie pilnować...

Zaczęła zszywać brzegi rany. Gwiazdka jęknęła cicho, ale po chwili jej oddech wyrównał się i pogłębił.

Gwiazdka ma rację. Ladacznice potrzebują ochrony, myślała

Emerahl. Zwłaszcza że karawana przez wiele dni nie zdoła dogonić wojska.

Dni, kiedy nie będzie jej groziło wykrycie przez kapłanów.

Rzuciła pod nosem przekleństwo. Skończyła szycie; schowała do sakwy igłę i szpulkę nici. Potem zawołała Rozeę.

Madame wsunęła głowę do środka. Spojrzała na Gwiazdkę, unosząc brwi.

- Żyje?

- Na razie.

- Bardzo dobrze. - Rozea wspięła się do tarnu i usiadła naprzeciwko śpiącej dziewczyny. - Niezłe szycie. Jesteś osobą pełną niespodzianek, Nefryt.

- Tak - zgodziła się Emerahl. - A wśród nich jest i ta: odchodzę. Chcę pieniądze, które mi jesteś winna.

Rozea znieruchomiała. Emerahl wyczuła, jak jej zaskoczenie zmienia się w złość, gdy zrozumiała, że nie zdoła zapobiec ucieczce swej najcenniejszej ladacznicy.

- Jeśli odejdziesz teraz, nie dostaniesz ani miedziaka. Emerahl wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. Ale możesz być pewna, że już mnie nie zobaczysz. Nigdy.

Madame zawahała się.

- Przypuszczam, że mogę ci dać żywność i trochę pieniędzy. Dosyć, żeby wystarczyło na drogę do Porinu. Kiedy wrócę, porozmawiamy o reszcie. Co o tym myślisz?

- Brzmi rozsądnie - skłamała Emerahl.

- No dobrze. Ale zanim odejdziesz, powiedz, czemu uznałaś, że musisz nas porzucić. Czy chodzi o dzisiejsze nieprzyjemności? Mieliśmy trochę pecha, ale przecież podróżowanie z karawaną jest bezpieczniejsze niż samotna wędrówka. Widziałaś te, które pracują samodzielnie. Wyglądają na chore i wycieńczone...

- Nie zamierzam sprzedawać swojego ciała. Mogę pracować jako uzdrowicielka.

- Ty? Czemu ludzie mają ci płacić, kiedy za darmo mogą mieć

usługi kapłana albo tkacza snów?

- Kiedy nie mają wyboru, przyjmą każdą pomoc. W wioskach między nami a Porinem niewielu chyba pozostało kapłanów i tkaczy snów. Wszyscy poszli na wojnę.

- Oczywiście, że tam są. Jest mnóstwo uzdrowicieli za starych, by wyruszyć. - Głos kobiety złagodniał. - Jesteś pewna, Nefryt? Nie chciałabym, żeby przydarzyło ci się coś złego. Myślisz, że te parę Darów da ci bezpieczeństwo, ale tam są ludzie o okrutnych umysłach i większej mocy.

Emerahl spuściła wzrok.

- Jakie są szanse, że uda ci się przemknąć? Samotna dziewczyna z twoją urodą? Tu, z nami, będziesz bezpieczna. Gdy tylko dogonimy wojsko, wynajmę nowych strażników. Co ty na to?

- Może gdyby... - Emerahl odwróciła głowę i przygryzła wargę.

- Tak? - Rozea pochyliła się. - Powiedz.

- Chcę, żebym mogła odmówić klientowi, który mi się nie spodoba - oświadczyła Emerahl, patrząc madame prosto w oczy. - I chcę mieć co trzecią noc wolną...

- O ile nie będziesz odmawiać przez cały czas, myślę, że to możliwe dla faworyty. Ale odpoczynek co trzecią noc jest nierozsądny. Może co szóstą?

- Co czwartą.

- Co piątą i podniosę ci stawkę.

- A jaki to ma sens? I tak mi nie płacisz.

- Zapłacę, kiedy będziesz potrzebować. I będzie mnie stać na ochronę. - Kobieta zamilkła na chwilę... - No dobrze - rzekła powoli. - Zgodzę się na twoje warunki. - Oparła się wygodniej i uśmiechnęła. - Ale musisz mi dać słowo, że zostaniesz ze mną przez następny rok.

Emerahl otworzyła już usta, by wyrazić zgodę, ale powstrzymała się. Nie powinna zbyt łatwo ustępować.

- Sześć miesięcy.

- Osiem?

Emerahl westchnęła i skinęła głową. Rozea pochyliła się i poklepała ją po kolanie.

- Wspaniale. A teraz zaczekaj tu, a ja sprawdzę, czy chłopcy zdołali już usunąć to drzewo.

Wyszła z tarnu, a Emerahl obejrzała się na Gwiazdkę i uśmiechnęła ponuro. Nie miała zamiaru dotrzymywać słowa. Odejdzie, gdy tylko karawana zbliży się do armii i dziewczęta będą bezpieczne. Warunki, które postawiła, miały tylko pomóc jej spokojnie dotrwać do tej chwili.

Może uda mi się tak to ułożyć, żebyśmy zostały daleko za wojskiem, a kapłani i arystokraci nie mogli już nas odwiedzać?

Gdy tylko stopy Aurai dotknęły ziemi, Figiel zeskoczył jej z ramienia i pobiegł do namiotu. Auraya zbliżała się ostrożniej. Lecąc, zauważyła wewnątrz światło, a brak znaków obecności jakiegokolwiek umysłu zdradził jej, że to ktoś z Białych na nią czeka.

- Mrae! Mrae!

- Witaj, Figiel.

Auraya uspokoiła się trochę, choć sama nie była pewna, czemu wizyta Mairae miałaby się różnić od spotkania z którymkolwiek innym Białym. Może dlatego że Mairae otwarcie przyznawała się do kontaktów z licznymi kochankami. Ona jedna ze wszystkich Białych nie będzie się chyba przejmować tym, że i Auraya ma jednego.

Klapa namiotu była odchylona. Auraya zajrzała do środka i zobaczyła siedzącą na stołku Mairae. W blasku lampy kobieta wydawała się jeszcze młodsza i piękniejsza. Zauważyła Aurayę i uśmiechnęła się.

- Witaj, Aurayo. Auraya weszła do namiotu.

- Coś się stało?

- Nic nowego. - Mairae wzruszyła ramionami. Jej uśmiech stał się bardziej wymuszony. - Nie mogłam zasnąć, więc postanowiłam cię odwiedzić. Czasem odnoszę wrażenie, że w zasadzie nie mam okazji, by z kimkolwiek normalnie porozmawiać. Ciągle tylko wojna i polityka... Nigdy zwyczajna pogawędka między dwojgiem ludzi.

Chodzi o coś więcej, domyśliła się Auraya. Coś dręczy Mairae. Nie musiała czytać w jej myślach, by to wiedzieć.

Podeszła do skrzyni, którą zapakował dla niej Danjin, otworzyła wieko i wyjęła dwa pucharki i butelkę tintry.

- Napijesz się?

- Chętnie - uśmiechnęła się Mairae.

Auraya napełniła pucharki, a Mairae uniosła jeden z nich i wypiła wielki haust.

- Więc gdzie dzisiaj byłaś? Tak sobie latałaś po okolicy? Auraya wzruszyła ramionami.

- Tak.

- Juranowi chyba bardzo zależy na tym starciu z pentadrianami. Zauważyłaś?

- Nie powiedziałabym, że mu zależy. Bardziej chyba... Wiesz, jeśli już musi to zrobić, chce to zrobić dobrze.

- Bo ja... trochę się boję - przyznała Mairae i skrzywiła się lekko. - A ty?

- Na pewno nie wyczekuję tej bitwy. - Auraya uśmiechnęła się niechętnie. - Ale nie mam żadnych wątpliwości, że zwyciężymy. Bogowie o to zadbają.

Mairae westchnęła i wypiła łyk tintry.

- To nie porażki się obawiam. Boję się zabijania... rozlewu krwi...

Auraya kiwnęła głową.

- Ty jakoś się nie martwisz - zauważyła Mairae.

- Ależ tak. Jak tylko o tym pomyślę, zaraz staram się skupić na czymś innym. To będzie potworne. Tego możemy być pewni. Nie ma sensu teraz dręczyć się tym, jak bardzo potworne. Wolę te myśli odłożyć do czasu, kiedy to zdarzy się naprawdę.

Mairae przyglądała się jej w zamyśleniu.

- Czy dlatego te ostatnie noce spędzasz na lataniu? Żeby czymś zająć myśli?

- Pewnie tak...

Mairae znacząco uniosła brwi.

- A może kimś?

Auraya mrugnęła zaskoczona, a potem roześmiała się.

- Żeby tak było! - Dolała Mairae tintry i pochyliła się. - Jak

myślisz, uda mi się przekonać Jurana, żeby odwołał prawo zakazujące korzystania z usług tkaczy snów?

- Jestem zdziwiona, że jeszcze nie spróbowałaś.

- Spróbowałabym, gdybym nie była w Si. - Auraya spojrzała jej w oczy. - Myślisz, że odwoła?

- Możliwe. - Mairae zmarszczyła brwi. - Gdyby się wahał, zaproponuj cofnięcie zakazu na ustalony czas po bitwie.

- Tak zrobię. Będę spała spokojniej, wiedząc, że ci, którzy przeżyją bitwę, może nie umrą od ran.

- Nie wydaje mi się, żeby pomogło mi to zasnąć - mruknęła niechętnie Mairae.

- Wygląda na to, że powinnaś sobie znaleźć coś, co zajmie myśli. - Uśmiechnęła się. - Przecież w największej armii, jaką kiedykolwiek oglądała Ithania Północna, znajdzie się jeden czy drugi mężczyzna, który zwróci twoją uwagę.

Oczy Mairae błysnęły.

- Owszem, nawet całkiem sporo. Ale ponieważ jest tutaj również tak wielu moich dawnych kochanków, muszę zachowywać się właściwie. Ktoś mógłby uznać, że stawiam jednych sojuszników wyżej niż innych. - Zamilkła, a na jej twarzy pojawił się wyraz zadumy. - Chociaż jest pewna rasa, której jeszcze nie próbowałam...

Zgroza ogarnęła Aurayę, gdy zrozumiała, o czym mówi Mairae.

- Nie!

Mairae uśmiechnęła się.

- Czemu nie? Są może mali, ale...

- To zakazane - oświadczyła stanowczo Auraya. - Przez Huan. Stosunki z ziemiochodzącymi prowadzą do narodzin zdeformowanych dzieci.

- Przecież nie nastąpi poczęcie.

- Nie. Jednak jeśli skłonisz któregoś, by złamał jedno z ich najważniejszych praw, możesz skazić, a nawet zniszczyć przyjaźń Siyee z ziemiochodzącymi.

Mairae westchnęła.

- Prawdę mówiąc, też nie uważam tego za porywający pomysł. -

Uniosła pucharek do ust, ale zawahała się. - Jak myślisz, ktoś będzie mi miał za złe, jeśli poszukam nie wśród arystokratów? W genriańskiej armii jest taki przystojny woźnica bojowego plattenu... Prawdziwy atleta.

Auraya stłumiła westchnienie. Pozostała część nocy raczej nie upłynie jej szybko.

36

Ledwo Danjin odpłynął w sen, obudził go ktoś trącający mu nogi. Otworzył oczy, gdy to dziwne wrażenie zmieniło się w poczucie ciepłego ciężaru. Spojrzał w dół - Figiel właśnie zwijał się w kłębek na jego kolanach.

Westchnął i pokręcił głową. Nieważne, jak starannie zamykał klatkę veeza, zwierzakowi zawsze jakoś udało się uciec. Powinien wsadzić go z powrotem, ale klatka stała pod siedzeniem po drugiej stronie, za nogami Lanrena Songmakera. Doradca wojskowy spał, a Danjin nie chciał go budzić.

Zresztą veez był źródłem dodatkowego przyjemnego ciepła. Na pewno ojciec chciałby mnie teraz zobaczyć... Zatrudnili mnie ze względu na moją inteligencję i wiedzę o świecie, ale do tej pory przydaję się tylko jako dozorca tego zwierzaka.

Rozejrzał się po tarnie. Pozostali pasażerowie spali, nawet ta nowa tkaczka snów, doradca Raeli. Jej twarz straciła wyraz czujnej niechęci. Nie była piękną kobietą, ale bez tego bezustannie zmarszczonego czoła, nie była też nieatrakcyjna.

Wczoraj przy kolacji Auraya wyjaśniła mu, że rezerwa Raeli bierze się z lęku i podejrzliwości. Kobieta obawiała się złego traktowania i tego, że popełni błędy, które zaszkodzą jej ludowi. Nie szukała przyjaciół, gdyż bała się, że ją zdradzą. Auraya zapewniła, że Raeli dostrzega i docenia każdy przyjazny gest. Podkreśliła też, że Danjinowi łatwiej się będzie zaprzyjaźnić z tkaczką snów niż jej, jednej z Białych. Uznał to za sugestię, że chce, by w jej imieniu zbliżył się do Raeli.

Co nie będzie łatwe. Tkaczka na większość pytań odpowiadała jak najkrócej. Dziś rano, kiedy wsiadł do tarnu z Figlem, jakby ślad ciepła pojawił się w jej wzroku, więc zaczął się zastanawiać, czy veez może stać się zaczątkiem porozumienia. Była Somreyanką, a trzymanie veezów jako zwierząt pokojowych to somreyański zwyczaj. Co prawda nie miał pojęcia, jak znajdzie czas na kontakty

przy bezustannych naradach, rozmowach z Aurayą, i niepisaną regułą zakazującą pogaduszek w tarnie doradców.

Zamknął oczy i westchnął. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby Leiard się nie wycofał. Nie widział go od tamtego dnia, kiedy złożył mu wizytę w Jarime. Zeszłego wieczoru Auraya wspomniała, że poprzedniej nocy rozmawiała z Leiardem. Opowiedziała mu, jak latając nad okolicą, zauważyła z daleka obozowisko tkaczy snów. Odwiedziła ich i spotkała tam Lenarda.

To musiało nastąpić już po naradzie. Czy ona w ogóle nie potrzebuje snu?

Ziewnął. Może i nie. Ale ja tak.

Przez jakiś czas jego myśli dryfowały bez celu. Zmęczenie pokonało wreszcie niewygodę spania na siedząco i wstrząsy tarnu, toczącego się po nierównej drodze. I wtedy coś kopnęło go tak, że poczuł wdzięczność za ciężką skórzaną kamizelkę osłaniającą krocze. Obudził się z przekleństwem, a pierwszym, co zobaczył, był veez, wyślizgujący się pod klapą w otworze wejścia. Potem zauważył, że jest obiektem kilku pełnych wyrzutu spojrzeń. Otrząsnął się z resztek snu, poderwał i ruszył w pogoń za Figlem.

Na zewnątrz padał deszcz. Armia była długą linią mężczyzn, kobiet, zwierząt i pojazdów. Kolumna z przodu wyglądała trochę jak procesja. Niektórzy przywódcy państw przybyli w obszernych, bogato dekorowanych tamach, innym je dostarczono, i poruszali się pod ochroną elitarnego regimentu wojska. A jeszcze dalej przed nimi jechał wielki, osłonięty tarn pomalowany na biało.

Nie zauważył nawet śladu Figla, ale z doświadczenia wiedział, że najlepszym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań jest to, gdzie akurat przebywa Auraya. Gdybym chociaż miał wciąż ten pierścień, pomyślał. Wtedy mógłbym zapytać. Ale Auraya zabrała mu pierścień, by oddać go przywódcy zwiadowców Siyee. Wiedza, co widzą ludzie nieba, była najwyraźniej ważniejsza niż ułatwienie szybszego znalezienia veeza.

Ach, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jest przydatny, dopóki go nie straciłem.

Zmarszczył czoło, zastanawiając się, co robić. Jeśli Auraya i Siyee wrócili już z lotu w towarzystwie do następnego obozowiska, to pewnie przebywała wśród innych Białych. Ruszył więc truchtem w stronę białego tarnu.

Kiedy się zbliżył, zobaczył, że obok pojazdu jedzie Juran na jednym z tych słynnych Nosicieli. Przywódca Białych większą część dnia spędzał w siodle. Zawsze jechał gdzieś przy długiej kolumnie wojska i rozmawiał z ludźmi. Danjin widywał stajennych prowadzących pozostałych czterech Nosicieli, ale z Białych jeździli na nich jeszcze tylko Dyara i Rian. Mairae wolała wygodę tarnu, a może zostawała tam, aby każdy, kto chciał spotkać się z Białymi, wiedział, gdzie zawsze może zastać jedno z nich.

Zdawał sobie sprawę, że Auraya nie nauczyła się jazdy wierzchem. Danjin nie był pewien, po co w ogóle zabrano dla niej Nosiciela. Może Biali nie chcieli, by brak umiejętności jeździeckich przedostał się do powszechnej wiadomości - choć oczywiście umiejętność latania wynagradzała to z nawiązką.

Lot był teraz jej ulubioną metodą podróży. Wczoraj odleciała z Siyee, daleko wyprzedzając armię. W części po to by zapewnić im ochronę i przemówić w imieniu władzy, gdyby pasterze postanowili się zemścić za polowania na ich stada. W części by umożliwić komunikację między Białymi i ludem nieba, ponieważ Siyee nie mieli kapłanów, którzy telepatycznie przekazywaliby obrazy. Danjin podejrzewał, że chciała również dopilnować, by obozowiska wybrane przez Siyee nadawały się też dla ziemiochodzących i były łatwo dostępne dla wozów.

Wiedział, że z początku Juran niechętnie zgadzał się na oddzielenie Aurai od reszty Białych. Kiedy jednak pokazała, jak szybko potrafi wrócić do głównych sił, zmienił zdanie. Jej Dar pozwalał na lot z niewyobrażalną prędkością.

Danjin za to mocno się zasapał, nim dotarł do białego tarnu. Z ulgą zobaczył wewnątrz Mairae i Aurayę. Juran obejrzał się na niego.

- Doradca Spear...

- Czy Figiel...?

Danjin zrównał się z tarnem i zwolnił kroku. Auraya uśmiechnęła się do niego.

- Och, Danjinie... - parsknęła kpiąco. - Mogłeś przysłać po niego kogoś ze służby. Wejdź do nas. Figiel trochę się uspokoi i będziesz mógł go zabrać.

Doradca wspiął się do środka powozu. Mairae na wpół leżała na jednym z siedzeń, z nogami podkurczonymi z boku. Auraya mocno opierała stopy o podłogę; buty i brzeg cyrkli miała powalane błotem. Figiel siedział na jej kolanach, a na białej tkaninie pozostawił ślady łapek.

- Lecisz! - powtarzał z uporem. Gdy Danjin usiadł obok, Figiel spojrzał na niego podejrzliwie. - Klatka nie.

- Lecisz nie - odpowiedziała Auraya. - Lecisz później. Veez zasmucił się wyraźnie.

- Witaj, Danjinie. - Mairae uśmiechnęła się przyjaźnie. - Jest trochę niesforny, ale nie martw się. Nie uzna cię za wroga, dopóki będziesz go karmił.

Danjin otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zawahał się, widząc, że do tarnu zbliża się szybko Nosiciel, niosący na grzbiecie Dyarę. Mairae obejrzała się przez ramię, po czym zerknęła na Aurayę.

- Nie widzę w tym sensu - mruknęła. - Czego możesz się nauczyć przez te kilka dni?

Auraya wzruszyła ramionami.

- Być może czegoś pożytecznego. Przynajmniej zyskam trochę praktyki w walce.

Mairae zwróciła się do Jurana.

- Sam mówiłeś, że dopóki Auraya podąża za tobą... my wszyscy podążamy... nic jej nie grozi. Sama z siebie nie rzuci się przecież do walki z którymś z tych czarnych czarowników. Nie po tym co ją wcześniej spotkało.

Juran pokręcił głową.

- Gdyby Auraya odłączyła się od nas, co jest możliwe, bo przecież tak często odlatuje z Siyee, mogłaby zostać zaskoczona

przez któregoś z tych czarowników. Być może wtedy umiejętności ją ocalą, nie moc. - Odwrócił się, patrząc, jak Nosiciel Dyary podjeżdża z drugiej strony tarnu. - I jak, Dyaro? Guire się zgodził?

Biała uśmiechnęła się lekko.

- Tak. On zawsze jest rozsądny, ale jak długo zachowa ten rozsądek, to już zależy od Barra. Kiedy dotrą tu Toreńczycy, sytuacja stanie się interesująca. - Uprzejmie skinęła głową Danjinowi, a potem zwróciła się do Aurai. - Pomyślałam, że możemy przejść kawałek na północ i oddalić się trochę od żołnierzy.

- To brzmi sensownie - zgodziła się Auraya. - Nie chcemy przecież nikogo przestraszyć ani niczego rozbić. - Spojrzała na Jurana. - Zastanowisz się nad moją propozycją?

Juran przytaknął.

- Tak. Jak powiedziałaś, żołnierze będą mieli pretensje, jeśli nie zostawimy im wyboru.

Auraya wstała i położyła Figla na kolanach Danjina. Doradca patrzył to na nią, to na Jurana i próbował odgadnąć, o czym mówią.

- Lecisz? - zapytał z nadzieją veez.

- Nie lecisz - odparła stanowczo Auraya. - Zostań z Danjinem. Bądź grzeczny, to potem polecimy.

Głowa veeza odwracała się pod nieprawdopodobnymi kątami, by śledzić wysiadającą Aurayę.

Dyara zsunęła się z grzbietu Nosiciela. Stajenny podbiegł natychmiast, by wziąć od niej wodze. Gdy wraz z Aurayą zeszły z drogi, Danjin usłyszał ciężkie westchnienie Figla.

Juran obejrzał się nagle przez ramię.

- Moja obecność znowu jest niezbędna - stwierdził z uśmiechem.

- No to jedź - zaśmiała się Mairae. - Tylko nie baw się tam za dobrze. - A kiedy odjechał, zwróciła się do Danjina. - Nie byłoby uczciwe prosić cię, żebyś został i dotrzymał mi towarzystwa. Wyglądasz, jakbyś naprawdę musiał się wyspać. Auraya zresztą też.

Uśmiechnął się krzywo.

- A już prawie zaczynałem podejrzewać, że Biali w ogóle nie śpią.

Posmutniała.

- Potrzebujemy snu tak samo jak śmiertelni, choć nasze Dary pozwalają przezwyciężyć skutki jego braku. Na pewien czas. Niełatwo jest teraz znaleźć wolną chwilę, by się przespać. A jeśli nawet ją znajdziemy, nie możemy zasnąć.

Danjin patrzył na nią zdziwiony. Żadne z Białych nie okazywało nawet śladu niepewności - ale może po prostu dobrze ją ukrywali. Było coś równocześnie niepokojącego i pocieszającego w tym, jak Juran i Mairae chłodno analizowali szanse Aurai na przeżycie w starciu z wrogim czarownikiem.

Mairae wzruszyła ramionami.

- Wszyscy mamy jakieś sposoby radzenia sobie ze strachem. Juran nie kładzie się przez całą noc, planuje i ocenia. Rian się modli. Auraya fruwa po okolicy. - Nagle Mairae uśmiechnęła się skromnie. - Przynajmniej tak mówi. - Zerknęła z ukosa na Danjina. - Zastanawiałam się, czy może znalazła sobie inne zajęcie. Może spędza ten czas z kimś bliskim sercu?

Danjin zmarszczył brwi. A potem zrozumiał, co sugeruje Biała, i ogarnęło go uczucie zakłopotania i zaskoczenia. Auraya ma kochanka? To możliwe, oczywiście. Ale przecież z pewnością by mu powiedziała. Przecież ufała mu dostatecznie... Z drugiej strony, jeśli chciała to ukryć przed innymi Białymi, to nie mogła mu nic mówić...

Potrząsnął głową.

- I jak mam teraz zasnąć? Przez cały dzień będę się nad tym zastanawiał.

Mairae wybuchnęła śmiechem.

- Wybacz, Danjinie Spearze. Nie chciałam dokładać ci kolejnego źródła wzburzenia. Idź. Wracaj do swojego tarnu, zanim podsunę ci kolejne niepokojące pomysły.

Wstał, wykonał znak kręgu, po czym wysiadł z tarnu. Z Figlem na ramieniu pomaszerował wzdłuż kolumny. Zdawało się, że veez zapomniał o Aurai. Danjin podrapał stworzonko pod pyszczkiem, jak to robił Leiard.

Leiard!

Danjin stanął jak wryty. Dwa dni temu Auraya, „latając po okolicy", znalazła obozowisko tkaczy snów. Czy właśnie tam była ostatniej nocy? Czy ta wizyta oznaczała coś więcej niż spotkanie ze starym przyjacielem?

Na pewno nie... Wiedział, że ona uważa Leiarda za przyjaciela, nie tylko doradcę, ale jeśli te uczucia są silniejsze od zwykłej przyjaźni?

To by wyjaśniało te tajemnice...

Jakie tajemnice? Danjin pokręcił głową i ruszył dalej. Wiem tylko, że Auraya widziała się raz z Leiardem i że nocą wychodzi polatać. To jeszcze nie dowód, że ma jakiegoś kochanka, a co dopiero, że jest nim Leiard.

Zbliżając się do celu, przystanął raz jeszcze i obejrzał się na biały tarn.

A poza tym, pomyślał, Auraya nie jest przecież głupia. Nie narażałaby wszystkiego, co osiągnęła, biorąc sobie na kochanka tkacza snów.

Słońce stało już nisko, kiedy Dyara z Aurayą ruszyły z powrotem na trakt.

- I jak mi idzie? - spytała Auraya. Dyara uśmiechnęła się niewesoło.

- Całkiem nieźle. Masz wrodzony talent do magii, ale to żadna niespodzianka. W przeciwnym razie bogowie by cię nie wybrali.

- Myślałam, że to z powodu mojej czarującej osobowości. Ku zdziwieniu Aurai Dyara parsknęła śmiechem.

- Na pewno to też wpłynęło na wybór. Ale urok osobisty nie pomoże ci przetrwać na wojnie, Aurayo. I wiem, że jesteś tego świadoma.

Auraya przytaknęła.

- Powtórzyłyśmy prawie wszystko, czego się nauczyłam od dnia Wyboru. Co planujesz na jutro?

Dyara zmarszczyła brwi.

- Zastanawiałam się, w jaki sposób można wykorzystać twoją umiejętność latania. Wiesz, że kiedy ściągasz do siebie bardzo dużo

magii, zmniejszasz jej ilość istniejącą bezpośrednio dookoła ciebie. Magia napływa, by uzupełnić to, co ubyło, ale za wolno, jeżeli to, co robisz, bardzo szybko zużywa wielkie ilości mocy. By to kompensować, musisz ściągać magię z większej odległości, co wymaga dużego wysiłku. Albo przemieścić się fizycznie do miejsca, gdzie magia nie jest wyczerpana.

- I uważać, żeby nie przesunąć się tam, gdzie stał mój przeciwnik.

- Tak. Ale twoje możliwości nie są ograniczone do powierzchni ziemi, jak nasze. Masz do dyspozycji całe niebo. Twoje źródła magii zawsze będą świeże, dopóki pozostaniesz w powietrzu i w ruchu.

Auraya poczuła dreszczyk emocji.

- Rozumiem. Nie pomyślałam o tym.

- Niestety, Juran chce, żebyś była przy nas, ponieważ wtedy łatwiej...

: *Aurayo! Patrzysz?*

Auraya znieruchomiała. Myślowe wezwanie było słabe i niepewne, ale dostatecznie wyraźne, by mogła rozpoznać nadawcę. Tireel, ambasador Siyee, który przybył kiedyś do Jarime, teraz zgłosił się na ochotnika, by poprowadzić zwiadowców za góry. Dała mu swój pierścień łączący, żeby się z nią skontaktował, kiedy dotrą na miejsce.

: *Tireel! Gdzie jesteście?*

: *Po drugiej stronie gór. Znaleźliśmy pentadrian. Są o wiele bliżej, niż mówiliście, że będą.*

Ogarnęło ją podniecenie i lęk. Połączyła się z Dyarą, Juranem, Mairae i Rianem, powiedziała, co się dzieje, a potem zaczęła przekazywać komunikaty Tireela.

: *Jak blisko nich jesteście? Pokaż mi, co widzisz.*

Potrzebował kilku prób, zanim zdołał wysłać wyraźny obraz otoczenia. Kiedy mu się udało, przekazał widok obserwowanej z wysoka wąskiej doliny. Dwie rzeki wiły się w dole, jedna błękitna, jedna czarna. I nagle zrozumiała, że ta czarna to strumień ludzi, nie wody.

Pentadriańskie wojska.

Ten obraz nie był niespodzianką, ale jednak szokował. Do tej pory wiedziała o wrogach tylko z raportów, a na własne oczy widziała jedynie samotnych, czarno odzianych czarowników. Widok tej ciemnej kolumny, sunącej powoli w kierunku przełęczy i jej kraju, czynił groźbę inwazji bardzo realną i przerażającą.

: *Możecie się zbliżyć?* spytał Juran.

: *Zatoczę krąg i podlecę, mając słońce za plecami.*

Tireel skierował innych Siyee, by zbadali sąsiednie doliny, a pozostałym polecił zaczekać poza zasięgiem wzroku żołnierzy. Dowolny Pentadrianin, który spojrzy w górę, uzna lecący kształt za dużego drapieżnego ptaka. Ale drapieżne ptaki polują samotnie. Kilka takich na pewno zwróciłoby uwagę i nie trzeba by długo czekać, by ktoś zdał sobie sprawę, że to może wcale nie ptaki, tylko ludzie.

Zadowolony z wykonania poleceń, Tireel zaczął opadać. Zniżał się etapami, naśladując zwyczaje ptaków. Można już było dostrzec szyk armii. Auraya zauważyła, że kolumna podzielona jest na pięć części. Każdą prowadził samotny jeździec, a za armią podążały wozy z zaopatrzeniem.

: *Czy ci dowódcy to tych pięcioro czarowników i czarownic, o których nam mówiono?* zapytał Juran.

: *Spróbuję przyjrzeć się któremuś z bliska,* zaproponował Tireel.

Spłynął jeszcze niżej i Auraya zobaczyła, że jeden z prowadzących jeźdźców jest kobietą. Na jej ręku siedział ogromny czarny ptak. W przeciwieństwie do łownych ptaków genriańskiej arystokracji, ten nie miał kaptura. Cały czas kręcił głową, obserwując drzewa po obu stronach drogi. Nagle spojrzał w górę i rozłożył skrzydła. Głośny skrzek odbił się echem w dolinie.

Kobieta gwałtownie podniosła głowę. Tireel widział owal jej twarzy, ale nie mógł poznać miny. Poruszyła ręką... Czarny ptak uderzył skrzydłami i wzbił się w powietrze.

: *Uciekaj,* ponagliła Auraya.

Tireel zawrócił. Oglądając się, dostrzegł jeszcze kilka ptaków,

startujących spomiędzy pentadrian. Strach dodał mu sił i Auraya wyczuła w nim napięcie, gdy machał szybko skrzydłami.

: *Myślisz, że poznała, kim on jest?* zastanowiła się Mairae.

: *Jeśli jest jedyną pentadrianką z ptakami, to prawdopodobnie właśnie ona odwiedziła Si,* odpowiedziała Auraya. *A zatem widziała już Siyee.*

: *Lepiej założyć, że nie mamy co liczyć na zaskoczenie nieprzyjaciela.* Myśl Jurana była cicha i słyszalna tylko dla Białych.

: *Wątpię, czy w ogóle udałoby się nam ich zaskoczyć,* odpowiedziała Dyara. *Ta kobieta widziała Aurayę wśród Siyee. Na pewno wzięła pod uwagę możliwość, że Siyee się do nas przyłączą.*

: *Więc to są te czarne ptaki, które...*

Wrażenia uderzenia i bólu przerwały pytanie Mairae. Po nim nastąpił chaos myśli i uczuć. Oszołomiony Tireel mógł się tylko zastanawiać, co się stało. Głowę i ramiona miał obolałe, całkiem jakby w locie zderzył się z urwiskiem, ale widział, że nadal jest w powietrzu. Nie spadał. Leżał na czymś. Ale gdy spojrzał w dół, widział tylko ziemię w oddali.

Pentadriańska armia zatrzymała się. Setki twarzy kierowały się ku niemu. Czarownica stała ze wzniesionymi rękami, wyciągniętymi w jego stronę. Czarne ptaki krążyły między nim a gruntem.

Auraya poczuła, że coś skręca jej żołądek.

: *Czarownica go trzyma,* pomyślała przerażona Dyara.

: *Niedobrze,* mruknął Juran.

To, co podtrzymywało Tireela, zniknęło nagle i Siyee pomknął w dół. Rozłożył skrzydła i zahamował upadek, ale znalazł się zbyt blisko ptaków.

Podleciały do niego, uderzając dziobami i szponami. Tireel ściągnął ramiona do ciała, instynktownie chroniąc skrzydła, i runął jak kamień. W następnej chwili zrozumiał, że to może być sposób, by się im wymknąć. Spaść nisko i odlecieć...

Auraya poczuła nadzieję.

Ptaki ścigały go. Widział za sobą smukłe kształty, skrzydła zwinięte do nurkowania... Ziemia pędziła ku niemu. Znowu rozłożył

ramiona.

Natychmiast ruszyły, by dziobać i szarpać. Zacisnął zęby z bólu i powstrzymał odruch, by się osłonić. Grunt był całkiem blisko. Nie mógł już tracić wysokości.

: *Uciekaj!* szepnęła Auraya, choć wiedziała, że nie może uciec.

Pod sobą Tireel widział wrogów. Setki zwróconych ku sobie twarzy. A potem pazury rozerwały mu skrzydła, a on krzyknął z bólu i runął. Świadomość, że nigdy już nie poleci, była niczym dodatkowy ciężar, ciągnący go w dół. Zamknął oczy i modlił się, by śmierć była natychmiastowa.

Ale grunt nie nadszedł jak ostatni miłosierny cios; zawinął się wokół niego, spowalniając upadek. Czuł na plecach jego fakturę i mimo wszystko ogarnęła go nadzieja. Żył. Skrzydła może i są porwane, ale jednak...

A potem otworzył oczy i zobaczył wokół siebie krąg czarno ubranych mężczyzn i kobiet.

: *Niedobrze,* powtórzył Juran.

: *Niedobrze,* zgodziła się Dyara. *Wiele się o nas od niego dowiedzą.*

: *Co możemy zrobić?* spytała Mairae.

: *Nic.*

: *Może inni Siyee go zabiją.*

: *Jeśli spróbują, to też zostaną schwytani,* stwierdziła Auraya. *Nie mogą podlecieć dostatecznie blisko i nie dać się złapać.* Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. *To moja wina. Powinnam z nimi polecieć. Powinnam polecieć zamiast nich. Mogłabym dotrzeć tam i wrócić w ciągu...*

: *Nie, Aurayo,* przerwał jej stanowczo Juran. *Gdybyś poleciała, stracilibyśmy Białą zamiast Tireela.*

: *On ma rację, Aurayo,* zgodziła się Mairae.

: *Nie wiedzieliśmy, że te ptaki tam będą ani że zobaczą Tireela i zaalarmują czarownicę,* zauważyła Dyara.

: *Wiem, że trudno na to patrzeć, ale musimy wiedzieć, co powie Tireel,* wtrącił Rian. *Utrzymuj połączenie, Aurayo.*

Skoncentrowała się na umyśle Tireela. Wzrok miał zamglony; tracił dużo krwi. Czarownica stała obok. Wzięła go za rękę i pociągnęła do siebie. Ten ruch szarpnął membraną skrzydła i wzbudził nową falę bólu. Poczuł, jak coś zsuwa mu się z palca.

: *Pierścień!* zawołała przerażona Dyara. *Ona bierze pierścień!*

: *To strata, której nie możemy zapobiec,* mruknął Juran. *Ale może być opłacalna, jeśli zajrzymy w jej myśli...*

Pierścień przestał dotykać palca Tireela i świadomość jego umysłu zgasła. Zastąpiło ją uczucie żalu, hamowane bezlitosną determinacją. Siyee postanowili sprzymierzyć się z poganami, myślała kobieta. Nie wolno o tym zapominać. A co to takiego? Błyskotka, czy może coś więcej? Może jakieś urządzenie magiczne. .. A gdybym tak... Nie!

Jej myśli zgasły nagle, kiedy odrzuciła pierścień. Auraya otworzyła oczy. Przez chwilę zdezorientowana wpatrywała się w trawiaste pagórki dookoła. Dyara stała przy niej.

: *Dowiedzieliśmy się czegoś użytecznego?* spytała z nadzieją Mairae.

: *Nie,* odparł ze znużeniem Juran. *A w każdym razie nie od niej. Tireel pokazał nam wiele z tego, czego nie wiedzieliśmy. Wielkość ich armii. Jak blisko przełęczy się znajdują. Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy się tam z nimi spotkać. Jest też to nowe zagrożenie, które stanowią ptaki, zwłaszcza dla Siyee. Wiele musimy dzisiaj przedyskutować. Wyślę po ciebie twojego Nosiciela, Dyaro. Co z tobą, Aurayo?*

: *Polecę.*

: *W takim razie wkrótce się zobaczymy.*

Kiedy zerwał połączenie, Auraya spojrzała na linię gór na wschodzie i westchnęła.

- Nie myślałam, że pierwszą ofiarą będzie Siyee - szepnęła Dyara.

- Ja też nie.

- Chcesz, żebym zawiadomiła Mówcę Sirri? Auraya spojrzała na nią i pokręciła głową.

- Nie. Sama jej powiem. Dyara przytaknęła.

- Więc ruszaj. Nic mi nie będzie, kiedy przejdę się sama. Ta chwila samotności będzie całkiem przyjemna, oczywiście względnie. Jestem pewna, że Juran nie będzie miał ci za złe, jeśli się nie pospieszysz.

Spojrzały sobie w oczy i Auraya zrozumiała nagle, że twardość Dyary wcale nie jest taka niewzruszona. Choć zimna, nie była przecież nieczuła. Śmierć Tireela bardzo nią wstrząsnęła.

Auraya odwróciła się, odetchnęła głęboko i pomknęła w górę.

37

Tryss ocknął się z twarzą wciśniętą w membranę przenośnej altany. Przez cienkie błony docierały do niego stłumione głosy. Przetoczył się i poczuł dotyk ciepłego ciała za sobą.

- Hmm... Obudziłeś się - stwierdziła Drilli, gdy się odwrócił. - Myślałam, że będę musiała tobą potrząsnąć. Strasznie późno wczoraj wróciłeś.

Uśmiechnął się, przysunął bliżej i położył dłoń na jej nagiej talii.

- Zawsze budzę się wcześnie, kiedy jesteś przy mnie. Chwyciła go za rękę, gdy zaczął ją przesuwać w stronę jej piersi. Nadąsał się, a ona parsknęła śmiechem.

- Nie jest aż tak wcześnie - powiedziała. - Dziwię się, że Sirri jeszcze nie przyszła sprawdzić, czemu nie jesteśmy spakowani.

Pocałowała go i odsunęła się. Usiadła, skrzywiła się i pomasowała brzuch.

- Ciągle ci niedobrze? - zapytał.

- Trochę - przyznała. - To przez jedzenie. Za dużo mięsa i chleba, za mało owoców i warzyw.

Rozejrzała się po altanie - ledwie wystarczało w niej miejsca, by mogli usiąść. Przez chwilę Drilli nasłuchiwała głosów z zewnątrz.

- Coś bardzo wszystkich poruszyło.

Wsłuchiwała się w stłumiony gwar. Z boku dobiegł wzburzony okrzyk. Blisko wyjścia z altany dwójka Siyee rozmawiała ze sobą nerwowo, ale nie mogła rozróżnić słów.

- Ubierzmy się i chodźmy sprawdzić.

Sięgała już po ubranie. Wciągnęli na siebie kamizelki i wsunęli się w spodnie. Potem zapięli uprzęże i broń. Drilli skończyła pierwsza, ale zanim wypełzła z altany, zaczekała jeszcze na Tryssa.

Siyee stali w niewielkich grupach. Z wyrazu ich twarzy Tryss odgadł, że zdarzyło się coś poważnego - niektórzy wyglądali na przestraszonych, inni na rozgniewanych.

- Tryss! Drilli! - zawołał znajomy głos.

Obejrzeli się. Sirri opuściła jedną z grup i ruszyła ku nim. Drilli pospieszyła jej na spotkanie, a Tryss ruszył za nią.

- Co się stało? - spytała Drilli.

- Zwiadowcy spotkali armię pentadrian. Ich dowódca, Tireel z klanu Zielonego Jeziora, został schwytany.

Serce Tryssa zamarło.

- Jak?

- Podleciał do nich za blisko. Nie zauważył, dopóki nie było za późno, że część armii prowadzi czarownica z czarnymi ptakami, tymi samymi, które zaatakowały ludzi z klanu Słonecznej Grani. Ptaki go dostrzegły, a czarownica ściągnęła na ziemię.

- Zginął? - spytała cicho Drilli.

- Nie wiemy. - Sirri skrzywiła się. - Nie zabił go upadek, ale był w złym stanie, kiedy zerwało się jego połączenie z Aurayą.

- Jeśli jest szansa, że przeżył, musimy to sprawdzić. - Tryss dostrzegł iskierkę nadziei. - Musimy go ratować!

Mówca westchnęła i pokręciła głową.

- Gdybyśmy tylko mogli, Tryss... Jest w samym środku pentadriańskiej armii, więziony przez czarowników. Zyskalibyśmy tyle, że i nas by złapali.

- Oczywiście... - Tryss poczuł, że się czerwieni. Odpowiedź była przecież prosta. - Auraya go uratuje!

- Nie. - Sirri położyła mu dłoń na ramieniu. - Musiałaby walczyć z piątką potężnych pentadriańskich czarowników i ze wszystkimi ich kapłanami. Sama też by tego nie przeżyła. Możemy wygrać tę wojnę bez jednego Siyee, ale nie sądzę, by się nam udało bez jednej Białej.

Tryss patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Mamy tak po prostu zrezygnować? - Ogarnęło go zniechęcenie i gniew. - To przecież mogłem być ja! Chciałem poprowadzić zwiad, ale powiedziałaś, że bardziej się przydam, pracując z Songmakerem...

- Tryss... - szepnęła Drilli.

- I się przydajesz - zapewniła stanowczo Mówca. - Rozpaczam po nim tak samo jak ty, ale jednocześnie cieszę się, że z nimi nie

poleciałeś. Potrzebny mi jesteś tutaj. Być może Tireel ocalił życie wielu z nas. Teraz już wiemy o tych czarnych ptakach. Mamy czas, żeby wynaleźć jakieś sposoby walki z nimi.

Spojrzał na nią ostro. To, jak wymówiła słowo „wynaleźć", sugerowało, że użyła go specjalnie. No jasne, powiedział sobie. Próbuje odwrócić moją uwagę od losu Tireela, a skierować ją na coś bardziej pilnego - bezpieczeństwo nas wszystkich.

Uśmiechnął się z przymusem.

- W takim razie lepiej zacznijmy planować. Ścisnęła go za ramię.

- Właśnie dlatego zwołałam Zgromadzenie. Ziemiochodzący mogą dzisiaj wyruszyć bez nas. Dogonimy ich później, kiedy omówimy to między sobą. Dziś wieczorem na radzie wojennej ty i ja przekażemy wszystkim nasze plany.

Spojrzała ponad jego ramieniem i zmrużyła oczy.

- Idzie Mówca Vreez. Muszę was opuścić. Kiedy dołączę do mojego klanu, żeby omówić nowe pomysły, mam nadzieję, Tryss, że będziesz ich miał pod dostatkiem.

- Będę - obiecał.

Kiwnęła głową. Zdążyła jeszcze rzucić Drilli przelotny półuśmiech, po czym wyminęła ich i ruszyła do trójki starszych mężczyzn.

Tryss poczuł, że Drilli ściska go za rękę.

- Jeśli znów będę narzekać, że po całych nocach tylko dyskutujesz z Songmakerem, możesz mnie kopnąć - szepnęła.

Kiedy ostatni masywny pień drzewa został opuszczony na drogę, Kar usłyszał za sobą kroki.

- Jak dotąd to moja ulubiona.

Obejrzał się. Fin, lem wojowników Tarrep, był wysoki jak na Dunwayczyka. Ale był też przystojny. Brodę ścinał krótko, a tatuaże na twarzy podkreślały lekko skośne oczy i inteligentne spojrzenie.

- Widzę, że prawdziwą przeszkodą jest ukryte gniazdo ostruch, ale po co rozpaliłeś ognie po obu stronach? - zapytał Fin.

- Dym otępia ostruchy - wyjaśnił Kar. - Drewno to mytten. Pali się wolno, a kiedy jest zielone, daje bardzo dużo dymu. To utrzyma

je w ulu, dopóki ktoś nie poruszy belek.

- Co zmniejszy szanse, że jakieś zabłąkane ostruchy ostrzegą o naturze pułapki. - Fin pokiwał głową. - Rozumiem.

Rzucił rozkaz wojownikom ognia i członkom klanu, a potem odwrócił się. Kar ruszył za dowódcą po trakcie wiodącym na przełęcz. Reszta maszerowała za nimi w milczeniu; na końcu jechał otwarty tarn, wiozący narzędzia i materiały do budowy pułapek.

Szlak wił się i zakręcał. Niektóre jego odcinki były strome. Kar rozważał wszelkie potencjalnie korzystne punkty. Wciąż chciał wypróbować kilka pomysłów, ale wymagały odpowiedniego terenu. Szli już przez godzinę, kiedy skręcili za skałę i Kar się zatrzymał.

- Ach.

- Tak myślałem, że ci się spodoba - stwierdził z uśmiechem Fin.

Trakt wspinał się stromo między dwiema skalnymi ścianami, pochylonymi do wnętrza tak, że niemal się stykały. Kilka kroków za początkiem „korytarza" nad ścieżką tkwił zaklinowany ogromny głaz.

Kar pogładził brodę, po czym ruszył naprzód. Podszedł do ścian i przyjrzał im się z uwagą - było w nich mnóstwo nierówności i pęknięć biegnących wzdłuż traktu. Przechodząc pod głazem, spojrzał na niego, po czym wrócił do badania ścian. Na końcu przejścia skały odsuwały się od siebie, tworząc zbocza wąskiego wąwozu, pełnego kamieni i głazów. Droga wiła się dalej.

Zawrócił, a wychodząc z korytarza, zobaczył to, na co liczył: tuż za zakrętem, w miejscu, gdzie stał, gdy po raz pierwszy ujrzał zawieszony w górze głaz, biegła szeroka półka. Westchnął radośnie, skinął na wojowników ognia i wyjaśnił im, czego od nich chce.

Skończyli po niecałej godzinie. Wyglądali na zmęczonych - praca wymagała nieustającej koncentracji. Mimo chłodu czoła błyszczały im od potu, a złote opaski pokrywał kurz. Miał nadzieję, że wystarczy im sił na następne zadanie.

Spoglądając na ściany, z trudem dostrzegał dwie cienkie linki biegnące szczelinami w skale. Podtrzymywały je osadzone w kamieniu, niewielkie żelazne pierścienie. Podążył za linkami aż do

półki, gdzie były przymocowane do worków z piaskiem, blokujących starannie ułożone stosy kamieni.

Następnie prześledził bieg linek z powrotem wzdłuż ściany; pomocnicy szli za nim, kiedy pokonywał strome przejście między skałami. Nawet nie spojrzał na głaz nad głową. U wylotu korytarza znalazł czekającego Fina.

Przywódca klanu zmarszczył brwi, ale nie odezwał się ani słowem, kiedy Kar polecił czarownikom przetoczyć do wylotu najbliższy z wielkich głazów. Patrzył w skupieniu, jak żelazne pierścienie zostają osadzone w kamieniu, a linki przywiązane. Dopiero kiedy Kar uznał, że pułapka jest gotowa, Fin poprosił o wyjaśnienia.

- Nie wykorzystałeś tego zawieszonego głazu...

- Wykorzystałem - zapewnił go Kar. - Dla odwrócenia uwagi.

- To znaczy?

- Nieprzyjaciel tak bardzo będzie się niepokoił, że to głaz jest pułapką, że nie zauważy linek.

Fin powoli kiwnął głową.

- A kiedy czarownicy wroga odsuną ten głaz na bok, zrzucą tę masę kamieni z półki, z tyłu przy zakręcie. Tym razem nie uderzasz w czoło armii, ale w jej trzewia.

- Poślą na czoło swoich wojowników ognia, żeby chronili ich przed pułapkami i usuwali zatory.

Fin zaśmiał się.

- Zastanawiam się, co będzie następne... Kar odpowiedział uśmiechem.

- Nadal nie użyliśmy kwasu. - Spojrzał na wojowników ognia. - Ale stosowanie go wymaga czujnych i wypoczętych umysłów.

- Owszem. Wszyscy potrzebujemy odpoczynku. Poszukajmy miejsca, gdzie można usiąść. - Skinął na woźnicę tarnu. - Przynieś nam jedzenie i wodę.

Ludzie usiedli na skałach, by odpocząć i posilić się. Kar spoglądał na drogę przed sobą. Do przełęczy i Hani pozostało jeszcze wiele godzin marszu. On, Fin i pomocnicy zostali daleko w tyle za

dunwayską armią, ale w końcu ją dogonią. Za dzień czy dwa dołączą do głównych sił cyrkliańskich.

Uśmiechnął się. A potem wezmą udział w największej bitwie śmiertelników, jaka kiedykolwiek miała miejsce w Ithanii Północnej.

Złote Równiny były poprzecinane drogami. Te, którymi podążali tkacze snów, były węższe i gorzej utrzymane niż główny szlak z zachodu na wschód, wykorzystywany przez armię. Czasami biegły równolegle do niego, czasami skręcały na boki, ale ogólnie tkacze snów dość łatwo potrafili dotrzymać kroku wojsku.

Dzisiaj byli zmuszeni wędrować po nierównej, zarośniętej ścieżce, odbiegającej daleko od trasy armii. Arleej nie przejmowała się jednak. Miejscowi farmerzy twierdzili, że ścieżka wkrótce dołączy do bardziej uczęszczanej drogi, biegnącej prosto na południe, na spotkanie z zachodnim traktem. Od tego miejsca tkacze snów zaczną podążać za armią, choć w bezpiecznej odległości.

Leiard zerknął na swego ucznia. Jayim obserwował ziemię przed aremami; na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Nabrał wprawy i pewności w prowadzeniu tarnu, ale wciąż musiał się koncentrować. Chyba nie mógł od niego wymagać, by równocześnie słuchał wykładu.

Jayim miał skłonność do odbiegania myślą od lekcji i wdawał się w spekulacje na temat Aurai albo zbliżającej się bitwy. Kiedy Leiard miał już dość odpierania pytań chłopca, po prostu oddawał mu lejce.

- Mam pytanie - odezwał się nagle Jayim.

No cóż, zwykle to działa, pomyślał kpiąco Leiard. - Tak?

- Uczysz mnie tego samego, co w Jarime, no i łączenia umysłów. Myślałem, że skupisz się raczej na uzdrawianiu za pomocą magii. Przecież po to właśnie tu jesteśmy.

Leiard uśmiechnął się lekko.

- Nauczanie magicznego uzdrawiania wiąże się z pewnym problemem. Jak mogę ci cokolwiek pokazać, jeśli nie masz żadnych ran, na których mógłbyś ćwiczyć? My, tkacze snów, nie zadajemy ran innym ani sobie, żeby dostarczyć obiektów do uzdrawiania.

Chłopiec milczał przez chwilę...

- Czyli nie nauczę się tego, dopóki nie znajdę się na polu bitwy?

- Nie.

- Spodziewałem się... myślałem, że... no, że będę już gotów, zanim tam dotrzemy.

- Nikt nigdy nie jest gotów do pierwszego spotkania z polem bitwy. - Leiard spojrzał na Jayima i zaśmiał się. - Ale kiedy już tam trafisz, nauczysz się dużo w krótkim czasie. Nie obawiaj się, będę przy tobie.

Jayim pokręcił głową.

- Nie warto martwić się czymś, czego nie można uniknąć. Dość będzie zmartwień, kiedy to już nastąpi.

Leiard spojrzał na niego zaskoczony.

- To stare powiedzenie... Chłopak wzruszył ramionami.

- Mama ciągle mi to powtarzała.

- Aha... Jak rozumiem, dawałeś jej wiele powodów... Tarn przed nimi zwolnił nagle i stanął. Jayim szarpnął lejce, a Leiard wychylił się w bok, by spojrzeć, co się dzieje z przodu. Inny wóz stał tam w poprzek, blokując przejazd, a przy nim czekała czwórka tkaczy snów, których Leiard nie znał.

- Wygląda na to, że nasza liczebność właśnie trochę wzrosła - stwierdził. - Zostań tu. Pójdę się przywitać z nowymi.

Zeskoczył z wozu i ruszył na czoło karawany. Kiedy podszedł bliżej do obcych, zauważył, że jego grupa dotarła właśnie do końca ścieżki. Trzy tarny czekały przy szerszej drodze. Arleej rozmawiała z jednym z nowo przybyłych, krępym mężczyzną o jasnych włosach. Zauważyła Leiarda i wezwała go gestem.

- To jest tkacz snów Leiard, były doradca Białych - przedstawiła go. - Leiardzie, to jest tkacz snów Wil.

Mężczyzna był Dunwayczykiem, jak zauważył Leiard.

I uniósł brwi, kiedy Arleej wspomniała o dawnym stanowisku Leiarda.

- Doradca Białych - mruknął. - Słyszałem coś o tym. - Zawahał się, po czym prychnął niechętnie. - Powiem ci od razu, że miałem poważne wątpliwości co do sensu takiego rozwiązania. Ci Biali

potrafią czytać w myślach. Mogą nas okraść z naszej wiedzy.

- Tylko wtedy, kiedy będzie dla nich wartościowa i akceptowalna - odparła Arleej. - A tego nie ma wiele, jeśli sobie przypomnisz, że nasze zastosowania ziół uważają za dziwaczne, a nasze umiejętności łączenia umysłów to dla nich tabu.

Wil pokręcił głową.

- Takie podejście może się zmienić.

- I zmieniło się na naszą korzyść. Na razie. - Uśmiechnęła się. - Przekonasz się, Wil, że Auraya z Białych jest niezwykłą osobą. Odwiedza nas co noc. Ona i Leiard są starymi przyjaciółmi, jeszcze z czasów sprzed jej Wyboru.

Wil otworzył oczy nieco szerzej. Przez chwilę przypatrywał się Leiardowi, po czym wzruszył ramionami.

- W takim razie chętnie ją poznam.

- A teraz lepiej wracajmy do naszych tarnów - rzekła stanowczo Arleej. - Przed nami daleka droga, zanim znowu zbliżymy się do armii.

Wil kiwnął głową i ruszył do pierwszego z wozów swojej grupy. Gdy Leiard już odchodził, Arleej zawołała go cicho. Obejrzał się, a ona wskazała swój tarn.

- Przyłączysz się do mnie na chwilę?

Wspiął się za nią na siedzenie. Nowi tkacze snów zaczekali, aż Arleej popędzi aremy i zajmie pozycję na czele podążającej nową drogą kolumny. Po kilku minutach tkaczka uśmiechnęła się do Leiarda.

- Biali powiedzieli Raeli, że wycofają zakaz korzystania z naszych usług na czas jednego dnia po bitwie.

- To dobra wiadomość.

- Tak. Wydaje się, że twoja przyjaźń z Aurayą prowadzi do czegoś dobrego.

Przytaknął.

- Nie sądzę, żeby zdradziła ci plany Białych co do armii? Leiard pokręcił głową.

- Nic, czego byśmy nie wiedzieli.

- Wspomniała w ogóle o naszej nowej doradcy?

- Raz. - Skrzywił się. - Powściągliwość Raeli ją rozczarowuje, ale rozumie jej powody. Ma nadzieję, że później zdarzy się okazja, by się z nią zaprzyjaźnić, a przynajmniej zyskać jej szacunek.

- Rozumiem. A o czym jeszcze mówi?

O niczym, co mógłbyś teraz powtórzyć, wtrącił Mirar. Cicho, pomyślał surowo Leiard.

- Wspomina. - Wzruszył ramionami. - Opowiada o swoich wizytach w Si i Borra.

Kłamca.

- Zauważyła, jakie masz kłopoty ze wspomnieniami łącza Mirara, które zyskały w twoim umyśle osobowość?

Zmarszczył czoło i odwrócił wzrok.

- Nie jestem pewien. Nie wspominała o tym.

Bo za dokładnie mnie blokujesz, kiedy z nią jesteś, burknął Mirar. *Nie ma nic lepszego od czystej żądzy, żeby przywrócić mężczyźnie pełne panowanie nad swoim ciałem.*

A więc to ona jest sposobem, żeby się ciebie pozbyć.

Nie. Nie. Nie możesz być z nią przez cały czas.

Miał wrażenie, że ta odpowiedź niesie groźbę. Poczuł, że traci kontrolę nad sobą. Spojrzał na Arleej.

- Muszę coś wyznać - usłyszał własny głos. - Ten durny tkacz snów...

Nie!

Leiard odepchnął Mirara i odzyskał kontrolę nad sobą. Arleej przyglądała mu się zdziwiona.

- Co się stało?

Leiard pokręcił głową. Bał się odezwać, gdyż lękał się, że słowa, które padną z jego ust, nie będą tymi, które chciał wypowiedzieć.

- To Mirar, prawda? Przytaknął.

Ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jayim mówił, że jego zdaniem twój stan się ostatnio pogorszył - powiedziała z troską. - Sądzi, że to się zaczęło, kiedy Auraya odwiedziła cię po raz pierwszy.

Spojrzał na nią wystraszony.

- Nie martw się, dotrzymał obietnicy. Ale nie potrafił ukryć, jak się o ciebie martwi.

Arleej wzięła go za rękę i przytrzymała, kiedy spróbował ją wyrwać.

- Jest w tym coś więcej, niż chcesz wyjawić. Zostawiłabym cię z twoimi sekretami, ale podejrzewam, że one cię niszczą. Powiedz mi, Leiardzie. Pewnie Mirar chce, żebyś to zrobił.

Potrząsnął głową.

- Już teraz unikam Białych, by się nie dowiedzieli, że coś przed nimi ukrywasz. Równie dobrze mogę poznać całą prawdę.

Odwrócił głowę. Arleej milczała przez chwilę. Westchnęła.

- Mirar.

To imię padło jak rozkaz. Jak wezwanie. Poczuł, że jego samokontrola topnieje.

- Nareszcie.

Jego własny głos brzmiał inaczej. Był wyższy, pełen władczości i arogancji, których on sam nigdy nie posiadał. Poczuł, że prostuje się i odwraca, by spojrzeć na Arleej.

Patrzyła na niego, a on zauważył na jej twarzy cień lęku.

- Dlaczego to robisz Leiardowi?

- Dla jego własnego dobra. Nie może ciągnąć tego romansu z Aurayą. To zniszczy i jego, i mój lud.

Szeroko otworzyła oczy.

- Romans?

- On ją kocha. Ona prawdopodobnie kocha jego. To żało... słodkie. Ale niebezpieczne.

- Rozumiem. - Odwróciła głowę i wpatrzyła się w pustkę, rozważając, czego się dowiedziała. - Nie sądzę, by Leiard zrobił cokolwiek, by zaszkodzić naszemu ludowi - stwierdziła powoli. - Musi wierzyć, że nie ma niebezpieczeństwa.

- Myli się.

- Dlaczego? Jeśli jego sekret pozostanie sekretem, nie ma bezpośredniego...

- Nawet jeśli sprawa przez przypadek nie wyjdzie na jaw, możesz być pewna, że bogowie wiedzą.

Zadrżała.

- Najwyraźniej nie są temu przeciwni. Inaczej by ich powstrzymali.

- Zrobią to, kiedy przyniesie im to największą korzyść. I bądź pewna, że my na tym nie zyskamy. Niech ci nawet nie przychodzi do głowy, że przestali nas nienawidzić. Nosimy pamięć mroczniejszych czasów, kiedy nie byli tacy dobrotliwi. Nie chcą, żeby ich wyznawcy wiedzieli, do czego są zdolni.

Arleej trochę zbladła. Skrzywiła się i pokręciła głową.

- Leiardzie, Leiardzie... Co ty wyczyniasz?

I nagle Leiard znowu nad sobą zapanował. Westchnął i uniósł do twarzy drżące dłonie.

- Wróciłeś! - wykrzyknęła Arleej. - Wymówiłam twoje imię - dodała w zadumie.

- Jeśli tak to działa, to proszę, nie wymawiaj więcej jego - wykrztusił.

Przepraszająco poklepała go po kolanie.

- Nie będę. Wybacz mi. - Przerwała na chwilę. - Co ty wyprawiasz, Leiardzie? Ryzyko, które podejmujesz...

- Jest niewielkie - dokończył, odsuwając dłonie od twarzy. - Kiedy ta wojna się skończy, zamieszkam gdzieś w odosobnieniu. Nikt nie musi się o nas dowiedzieć.

- Nikt? Mirar ma rację. Bogowie muszą wiedzieć. Może też nie myli się co do tego, że czekają na odpowiedni moment do odwetu. A ty... ty masz obowiązek chronienia swojego ludu. Powinieneś przerwać ten romans, Leiardzie.

Leiard uciekł wzrokiem.

- Wiem. Ale kiedy z nią jestem, nie mogę nawet o tym myśleć.

Twarz Arleej złagodniała. Oparła się wygodniej i westchnęła.

- Och... Więc to miłość, nie ma co...

Zapatrzyła się przed siebie, marszcząc czoło. Leiard przyglądał się jej uważnie. Co zrobi? Czy zmierzy się z Aurayą? Czy każe mu

przestać się z nią widywać?

A posłuchasz jej? zainteresował się Mirar.

Prawdopodobnie nie, przyznał Leiard. Jeśli zechce, bym teraz odszedł, odejdę.

- Nie wiem, co z tobą zrobić - westchnęła Arleej, nie patrząc na niego. - Muszę się nad tym zastanowić. Od tej chwili nie będziemy obozować tak blisko armii, jak to robiliśmy w przeszłości. Wolałabym, żeby odwiedzanie nas było dla Białych raczej niedogodne. Jeśli zjawi się Auraya... nie będę się wtrącać. Zrobię, co mogę, by ten sekret nie został odkryty.

- Dziękuję ci - wymruczał Leiard. Spojrzała na niego.

- Wolę zastanawiać się w samotności.

Skinął głową, czując się jak skarcone dziecko. Zeskoczył z tarnu i powlókł się do Jayima.

38

Auraya zapięła cyrklę i wróciła do Leiarda, wciąż leżącego na podłodze i oplątanego kocem. Uśmiechnęła się do niego z góry. Odpowiedział uśmiechem i poczuła jego dłoń, ściskającą ją za kostkę.

Jego myśli były pełne tęsknoty. Żałował, że nie może zostać z nim dłużej - że nie będzie jej tutaj, kiedy obudzi się rankiem. Wiedział jednak, że nie wolno im tak ryzykować.

Wszyscy tutaj wierzyli, że te krótkie wizyty w środku nocy poświęcone są sprawom oficjalnym, myślał. Zjawia się nocą, bo jest zbyt zajęta albo nie chce, żeby nowa tkaczka snów na stanowisku doradcy wiedziała, że ciągle konsultuje się ze mną. Westchnął i pomyślał o Arleej. Wszyscy w to wierzą oprócz dwóch osób.

Auraya zmarszczyła brwi. Jego uśmiech zniknął, gdy zrozumiał, że czytała mu w myślach. Poczuła, że puszcza jej kostkę.

- Arleej wie o nas - powiedziała. - Tak.

Auraya przygryzła wargę. To może się okazać niewygodne. Ktoś zajmujący tak wysoką pozycję w Somreyu i wśród tkaczy snów prawdopodobnie prędzej czy później spotka kogoś z Białych. Jedna przypadkowa myśl Arleej i ich romans zostanie odkryty.

- Możemy jej ufać. Nic nie powie.

Przyjrzała mu się w skupieniu.

- Nie jesteś tego całkiem pewny.

Skrzywił się i usiadł. Koc zsunął się z jego nagich ramion.

- Niepokoi się obecnością Mirara w moim umyśle.

- Wspomnieniem łącza? - Auraya wzruszyła ramionami. - Dlaczego?

Zawahał się.

- Nie zauważyłaś... - Odwrócił wzrok. - Nie odzywa się, kiedy tu jesteś.

Auraya potrząsnęła głową. To, co mówił, nie miało sensu.

- Kto?

- Mirar albo echo jego osobowości w moim umyśle. Czasami do mnie mówi. Parę razy... mówił przeze mnie.

Przyjrzała się dokładniej i zaczęła rozumieć. Ta manifestacja wspomnień Mirara przemawiała niekiedy, korzystając z głosu Leiarda. Niepokoiło go to - trudno się dziwić. Bał się, że ją zniechęci.

- Zawsze mi się udawało odzyskać kontrolę - zapewnił.

- Jasne. Rozumiem, czemu cię to niepokoi, ale dlaczego martwi też Arleej? Powinna się cieszyć z kontaktu z dawnym przywódcą.

- Chodzi o to... - Zawahał się... - Nie przeszkadza ci to? - zapytał niepewnie.

Auraya wzruszyła ramionami.

- To tylko wspomnienia. Okazały się całkiem przydatne. To, co opowiedziałeś mi o Siyee, było bezcenne.

Odwrócił się i wyczuła, że nadal jest wzburzony.

- Mnie to martwi - powiedział. - Jemu się nie podoba, że jesteśmy razem. Twierdzi, że zagrażamy mojemu ludowi.

Te słowa trochę ją zraniły. Jakaś część Leiarda jej nie chciała. To nie całkiem prawda, tłumaczyła sobie. Te wspomnienia pochodzą od człowieka, który nienawidził i bał się bogów, i który na ich rozkaz został zabity przez Jurana. Oczywiście, że budzę w jego umyśle echo trwogi.

- Nie zgadzam się z nim - rzekł Leiard.

- Więc się z nim kłócisz? Spojrzał na nią zdziwiony.

- Tak. Ale... nie, kiedy tu jesteś. Uśmiechnęła się z ulgą.

- To znaczy, że dobrze na ciebie działam? Kąciki jego ust uniosły się lekko.

- Tak.

A jednak wyczuła wahanie. Zajrzała głębiej i zrozumiała: poddanie się tej drugiej osobowości także przyniosłoby ukojenie. Czasami było kuszące.

Usiadła i objęła go ramionami.

- W takim razie będziemy z nim walczyć. Pomogę, jak tylko potrafię. Kiedy tylko skończy się wojna - dodała. - Możesz zaczekać

tak długo?

Przeczesał palcami jej włosy.

- Czekałbym wieki na jedną chwilę z tobą. Uśmiechnęła się.

- Znowu się robisz romantyczny... Musisz czekać tylko jeden dzień, nie wieki. Jutro w nocy znowu tu będę.

Pochyliła się i pocałowała go. Wargi miał ciepłe. Zbudziły się miłe wspomnienia... Chciała go dotknąć, ale się opanowała. Odsunęła się i wstała.

- Lepiej się ubierz i mnie odprowadź.

Zrobił nadąsaną minę, ale zaraz się uśmiechnął i odrzucił koc. Nagi, zaczął podnosić z podłogi swoje rzeczy. Patrzyła, jak się ubiera. Było w tym coś równocześnie fascynującego i otrzeźwiającego. Zupełnie jakby z ubraniem wkładał na siebie zwykłą tożsamość.

Kiedy skończył, odprowadził ją do wyjścia niczym troskliwy i pełen szacunku gospodarz.

- Miło było znów cię zobaczyć, Aurayo z Białych - powiedział oficjalnym tonem.

Skłoniła głowę.

- Jak zawsze, mam nadzieję. Przekaż moje uszanowania Starszej tkaczy snów, Arleej.

- Na pewno.

Odsunął klapę namiotu i wypuścił Aurayę. Blask lampy wylał się z wnętrza, oświetlając ciemne bryły innych namiotów. Potem klapa opadła i zapanowała ciemność.

Spojrzała na niebo i skoncentrowała się na świecie wokół siebie. Teraz było to już tak łatwe... Ściągnęła magię i przesunęła się w górę.

Chłodny wiatr mierzwił jej włosy. Kilka kosmyków, mokrych jeszcze po szybkim myciu w misie wody, chłodziło szyję. Wysuszyła je magią. Wzniosła się wyżej i zobaczyła światła obozu.

Czy rzeczywiście było ich więcej niż zwykle, czy tylko to sobie wyobraziła?

Sięgnęła po więcej magii, stworzyła tarczę, by osłonić ciało od

wiatru, i pomknęła w stronę obozu. W krótkim czasie jej podejrzenia się potwierdziły - zobaczyła sunącą między namiotami linię pochodni. W miejscu, gdzie linia się rozszczepiała, przy granicy obozowiska, zauważyła stawiane namioty.

Przybyli nowi żołnierze. Z pewnością wojska Torenu.

Podlatując bliżej, spostrzegła cztery jasne postacie przed namiotem narad. Przed nimi stała niewielka grupka, a światło lamp odbijało się od obfitości lśniącego metalu i błyszczących tkanin. Jedna z postaci stała o kilka kroków przed resztą...

Berro. Król Torenu. Dlaczego Juran mnie nie wezwał, kiedy przybyli?

Zawisła nad rozmawiającymi. Docierał do niej głos króla. Uznała, że niegrzecznie byłoby przerywać, więc wysłała komunikat do Jurana.

: *Juran? Mam do was dołączyć?*

Drgnął zdziwiony, po czym spojrzał w górę.

: *Tak,* odpowiedział. *Kiedy dam znak.*

Usłyszała, że coś mówi. A potem wezwał ją dyskretnym skinieniem. Opadła ku ziemi i wylądowała obok Mairae.

Król wytrzeszczył na nią oczy. Popatrzył w niebo, jakby się spodziewał, że zobaczy jakąś konstrukcję, z której zeskoczyła. A potem znów spojrzał na nią.

- Aurayo - odezwał się Juran. - O ile wiem, spotkałaś się już z królem Berro zaraz po swoim Wyborze?

- Tak - potwierdziła. - To przyjemność znowu widzieć waszą wysokość.

Król odetchnął głęboko i wyraźnie się opanował.

- Jestem zaszczycony ponownym spotkaniem, Aurayo z Białych. Niezwykle szybko i pewnie podjęłaś obowiązki wiążące się z twoją pozycją. Słyszałem o twoim Darze lotu, ale aż do tej chwili nie całkiem wierzyłem w te opowieści.

Uśmiechnęła się i wykonała znak kręgu.

- Bogowie zsyłają nam to, co potrzebne, byśmy mogli spełniać ich wolę.

Zerknął w bok, a ona przekonała się z satysfakcją, że jego myśli kierują się ku Siyee. Przypominając, że bogowie ofiarowali jej Dar lotu, zasugerowała, że być może zrobili to, by mogła przekonać Siyee do przymierza z Białymi. Miała nadzieję, że dwa razy się zastanowi, nim spróbuje opóźnić wycofanie toreńskich osadników z terenów Siyee. Żaden monarcha nie ośmielał się sprzeciwiać bogom.

Król zwrócił się do Jurana.

- Maszerowaliśmy w najszybszym tempie, jakie mogli utrzymać moi żołnierze, aby dołączyć do was na czas. Jesteśmy, o ile wiem, dwa dni drogi od przełęczy. Czy będziemy mogli odpocząć?

Juran zmarszczył czoło.

- Mogę wam obiecać tylko krótszy marsz jutro. Twoi żołnierze będą mieli więcej czasu na odpoczynek, kiedy dotrzemy już do przełęczy.

- To wystarczy.

- Ty także jesteś zmęczony - stwierdził Juran. - Za późno już, by omawiać plany wojenne. Jeśli się zgodzisz, jutro wyruszę z tobą i przekażę wszystko, o czym dyskutowaliśmy i co postanowiliśmy.

Berro uśmiechnął się z ulgą.

- Zgodzę się z radością. I dziękuję.

Juran kiwnął głową i wykonał formalny znak kręgu.

- A zatem porozmawiamy rankiem, wasza wysokość. Król odpowiedział takim samym gestem i odszedł wraz z grupą arystokratów. Auraya spojrzała na czwórkę Białych. Juran wydawał się uspokojony, Dyara zrezygnowana, Rian i Mairae chyba zadowoleni.

- Przynajmniej już dotarli - mruknęła Dyara. - Dunwayczycy są na przełęczy i zastawiają pułapki. Kiedy się do nas przyłączą, będziemy poważną siłą.

Pozostali pokiwali głowami. Mairae i Rian oddalili się, Dyara przystanęła jeszcze na moment, nim ruszyła w stronę obozu Genrian. Widząc, że Juran nie odchodzi, Auraya podeszła.

- Coś się stało? - zapytał.

- Byłam zdziwiona, że mnie nie wezwałeś. Odetchnął z ulgą.

- Mairae powiedziała, że jesteś na powietrznym patrolu. Że wylatujesz tak już od kilku nocy i że lepiej ci nie przeszkadzać. Właściwie to jestem trochę zaskoczony, że nic nie mówiłaś.

Auraya wzruszyła ramionami.

- To taki mój sposób krążenia po pokoju, kiedy nie mogę zasnąć.

Uśmiechnął się, ale nagłe spoważniał.

- Ale pamiętaj, że skutki braku snu mogą pojawić się nagle, kiedy najmniej się ich spodziewasz. Nie sądzę, żeby mimowolna drzemka wyszła ci na zdrowie, gdybyś akurat była w powietrzu.

- Nie. - Skrzywiła się. - Nie bardzo. Ale... nie wahaj się mnie wzywać, kiedy tylko będę potrzebna.

- Oczywiście.

- Teraz lepiej pójdę się położyć - stwierdziła. Spojrzała na niego. - Ty też.

Westchnął.

- Tak, masz rację.

Odwróciła się. Słysząc ziewnięcie, zerknęła jeszcze przez ramię i zobaczyła, jak Juran zasłania dłonią usta. Może będzie mógł zasnąć spokojniej, skoro przybyli wreszcie Toreńczycy.

Emerahl obudziła się gwałtownie. Przez moment czuła narastającą panikę. Czyżby ktoś zaatakował karawanę? A potem tlące się jeszcze wrażenie braku powietrza ożywiło pamięć i znowu napłynął sen...

Sen o wieży. Poczuła nagłą irytację. Czy tkacze snów stali się tak niedokształceni, że nie mogli nauczyć tego kogoś, by nie nadawał dookoła swoich snów?

- Dobrze się czujesz, Nefryt?

Emerahl spojrzała na Gwiazdkę. Do tarnu Rozei przyniesiono dla niej siennik i Gwiazdka całkiem skutecznie udawała, że rana jest poważna, ale nie potencjalnie śmiertelna. Niestety, ponieważ dziewczyna była prawie zupełnie uleczona, szybko nudziła się leżeniem. Czasem Emerahl udawała, że zasypia, by uciec od jej paplania. W tej chwili dziewczyna przyglądała jej się z troską.

- Zły sen, nic więcej - odparła Emerahl.

- A co ci się śniło? Chyba nie padająca wieża? Emerahl zamrugała zdziwiona.

- Czemu pytasz?

Gwiazdka wzruszyła ramionami.

- Kilku moich klientów mi o tym opowiadało. Że wiele razy mieli ten sam sen.

- Dużo?

- Nie wiem. Nie mówili.

Emerahl pokręciła głową.

- Chodzi mi o to, czy dużo klientów ci opowiadało o tym śnie.

Gwiazdka zastanowiła się przez chwilę.

- Trzech, może czterech. Czyli ty też go miałaś? Emerahl przytaknęła.

- Pierwszy raz?

- Nie, śnił mi się już wcześniej.

- A o co w nim chodzi?

- Jest wieża. I ona pada. Gwiazdka uśmiechnęła się.

- Chodzi mi o to, czemu ludzie mają ten sam sen. Co to oznacza?

- „Znaczenie snu zależy od śniącego" - zacytowała Emerahl. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad możliwością, że sen przedstawia śmierć Mirara. Coś tu nie pasowało...

- Dać się zmiażdżyć pod budynkiem... - Gwiazdka zadrżała. - Paskudna śmierć.

Emerahl z roztargnieniem pokiwała głową. Jeśli śniący śnił o śmierci Mirara, to nie mógł przeżywać własnych doświadczeń. Przeżywał doświadczenia Mirara. Żeby to było możliwe, musiał mieć wspomnienia łącza z jego śmierci, a więc ktoś musiał być z nim połączony, kiedy umierał.

To niesamowite. Sama myśl o tym budziła lodowate dreszcze. Nic dziwnego, że śniący nie potrafił się powstrzymać od przeżywania tego snu znowu i znowu...

- Może to znaczy, że Biali ulegną.

- Sny to nie przepowiednie, Gwiazdko - upomniała ją Emerahl.

W każdym razie nie ten. Ten jest historyczny. Doświadczenia

konającego Mirara musiały być przekazywane od jednego tkacza snów do drugiego przez minione stulecie. A teraz, z umysłu potężnego tkacza, były nadawane do każdego człowieka dostatecznie Obdarzonego, by odbierać sny.

Ciekawe, czy to jest świadome. Może ktoś próbuje przypomnieć światu, kto zabił Mirara?

- Nefryt?

Emerahl uniosła dłoń, by uciszyć Gwiazdkę. Bogowie uczynili Mirara męczennikiem. Ten sen bez wątpienia trafia też do umysłów kapłanów i kapłanek. Oczywiście, bogowie próbują to powstrzymać.

- Muszę ci coś wyznać - odezwała się cicho Gwiazdka. - Powiedziałam...

Może nie mogą. Może ten śniący jest chroniony. Ale przez kogo? Kogoś potężnego... Nieprzyjaciela bogów. Przez pentadrian! To możliwe.

- ...powiedziałam Rozei, że mnie uzdrowiłaś magią. Emerahl spojrzała gniewnie.

- Co takiego? - warknęła. Gwiazdka zadrżała.

- Przepraszam - jęknęła. - Wyciągnęła to podstępem... Dziewczyna wyglądała na przestraszoną. Emerahl natychmiast pożałowała swej ostrej reakcji. Złagodniała.

- Oczywiście, Rozea jest sprytna i potrafiłaby podstępem wyciągnąć od kupca jego statek. Tak się właśnie zastanawiałam, czemu nagle jest taka miła.

- Nigdy sobie nie radziłam z dochowywaniem sekretów - przyznała się Gwiazdka.

Emerahl przyjrzała się jej uważnie. Wyczuła dosyć, by wiedzieć, że to wyciąganie podstępem raczej nie było trudne.

Co teraz powinnam zrobić?

Odejść stąd.

Emerahl uśmiechnęła się... Skoro Rozea wiedziała już, że jest czarownicą, nie warto było tego ukrywać. Mogła bez trudu odebrać należne sobie pieniądze - siłą, jeśli to konieczne. Ale kiedy już karawana dogoni wojsko, Rozea z pewnością opowie o czarownicy,

która ją okradła. A ta historia może zwrócić uwagę kapłanów.

Nie, po prostu odejdę. Pieniądze nie są warte takiego ryzyka.

A jednak wciąż czuła się głupio zobowiązana, by jak najdłużej ochraniać dziewczęta. Gdy tylko karawana zbliży się do armii i Rozea wynajmie nowych strażników, będą stosunkowo bezpieczne.

A potem? Emerahl wróciła do myśli o śniącym, osłanianym przez pentadrian. Nie snuła żadnych planów poza tymi, by uciec kapłanowi, potem z Porinu, a teraz z zamtuzu. Może poszuka tego śniącego. Może on czy ona będzie w stanie zaoferować Emerahl ochronę przed bogami i ich sługami...

Jeśli ma to oznaczać przyłączenie się do pentadrian, niech tak będzie. Z tego, co wiem, mogą przecież wygrać tę wojnę.

39

Pod wieczór doszli do miejsca, gdzie prowadząca z zachodu na wschód droga napotkała szeroką, kamienistą rzekę. Potem biegła dalej wzdłuż brzegu, a bezustanny szum wody na kamieniach zagłuszał wszystkie dźwięki oprócz podniesionych głosów i z rzadka ryku arema czy rżenia reyna. Trakt prowadził szeroką doliną. Mijali nieduże wioski, gdzie żołnierzy witali uśmiechnięci dorośli i podniecone dzieci. Wreszcie, kiedy ostatnie promienie słońca zniknęły za horyzontem, dotarli do końca doliny i Juran zarządził postój.

To pewnie oznacza, że opuściliśmy równiny, myślał Danjin, wchodząc do namiotu narad. Od tego miejsca będzie już pod górkę. Rozejrzał się i zauważył wyniosłą minę króla Berro, sztywną postawę Mówcy Sirri i zatroskane, współczujące spojrzenia, jakie król Guire rzucał przywódczyni Siyee.

Przeszedł na bok, by zaczekać. Niezwykła cisza trwała w namiocie aż do przybycia Aurai ze zwiadowcami Siyee.

Biała wykonała znak kręgu.

- Pozdrowienia dla wszystkich. To jest Sveel z klanu Wężowej Rzeki i Zeeriz z klanu Rozwidlonej Rzeki, pierwsi Siyee, którzy powrócili z wyprawy zwiadowczej.

Wystąpił Juran. Przemówił do dwóch Siyee w ich języku, a Dyara tłumaczyła dla reszty obecnych.

- Dziękuję wam, Sveelu z klanu Wężowej Rzeki i Zeerizie z klanu Rozwidlonej Rzeki, za podjęcie się tego niebezpiecznego zadania. Bez waszej pomocy o wiele mniej wiedzielibyśmy o nieprzyjacielu. Zasmuca mnie jednak, że jeden z was zapłacił życiem za zdobycie tych informacji.

Obaj wojownicy kiwnęli głowami. Danjin zauważył, że wyglądają na zmęczonych.

- Auraya przekazała mi, że spieszyliście się z powrotem, by poinformować o czymś, co waszym zdaniem może być ważne. Co to

takiego?

Siyee imieniem Zeeriz wyprostował się.

- Kiedy Tireel został schwytany, staraliśmy się trzymać w pobliżu, by zobaczyć, co się stanie, ale atakowały nas ptaki i musieliśmy odlecieć dalej, by ich uniknąć. Nie pozwalały nam się zbliżyć do armii aż do nocy, kiedy wreszcie odleciały i mogliśmy odszukać Tireela. Znaleźliśmy go przy drodze. Nie żył.

Przerwał i głośno przełknął ślinę. Danjin zauważył, że Sirri pochyliła głowę i zamknęła oczy. Podziwiał ją. Nie wyobrażał sobie, by król Torenu uronił łzę po zabitym zwiadowcy.

- Wybrano mnie, bym dowodził zamiast niego - mówił dalej Zeeriz. - Zostawiłem czterech, by pochowali Tireela, a z resztą ruszyłem w pogoń za armią. Nie mogliśmy ich znaleźć. Nie maszerowali już drogą i nie udało się ich odszukać w okolicy.

Juran zmarszczył czoło.

- Żadnych śladów?

- Żadnych nie odkryliśmy, ale jesteśmy ludem powietrznym i nie mamy wprawy w tropieniu. Grunt jest tam skalisty i twardy, więc stopy nie odciskają się mocno.

- Może szli szybciej, niż sądziliście - odezwała się Dyara. Zeeriz pokręcił głową.

- Okrążyliśmy duży obszar. Polecieliśmy dalej, niż mogliby dotrzeć w ciągu dnia. Kiedy nie udało się ich odszukać, postanowiliśmy wrócić o pierwszym brzasku.

Król Berro pochylił się do przodu.

- Była noc, kiedy szukaliście, prawda?

Gdy przetłumaczono pytanie, zwiadowca popatrzył na monarchę i kiwnął głową.

- Więc to jasne, co się wydarzyło. Wiedzieli, że będzie was więcej, dlatego szli bez pochodni. Najpewniej mieliście ich pod samym nosem, ale nie widzieliście o tym.

- Duże grupy ziemiochodzących robią sporo hałasu - zauważyła Mówca Sirri. - Nawet jeśli moi zwiadowcy ich nie widzieli, na pewno by usłyszeli.

- Chyba że wydano żołnierzom rozkaz, by byli cicho - odparował Berro.

Zeeriz wyprostował się.

- Jestem pewien, usłyszałbym ich, gdyby tam byli. Tak liczna armia nie może maszerować cicho.

- Och... - Berro z niedowierzaniem uniósł brwi. - A skąd to wiesz?. Jak wiele tak licznych armii spotkaliście do tej pory?

- Twoją słyszeliśmy o pół dnia drogi stąd - oświadczyła kwaśnym tonem Sirri. - Nawet gdyby twoi ludzie trzymali zamknięte gęby, i tak byśmy ich usłyszeli.

Berro otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zabrzmiał kolejny głos.

- Możliwe, że pentadrianie schronili się na noc w starych kopalniach - wtrącił spokojnie Jen z Rommelu, ambasador Dunwayu.

Danjin usłyszał, jak ktoś syknął nerwowo. Obejrzał się na Lanrena Songmakera, który szeroko otworzył oczy, gdy uświadomił sobie tę możliwość.

- Kopalnie? - zdziwił się Juran. - Masz na myśli starożytne kopalnie w Rejurik?

Jen wzruszył ramionami.

- Możliwe. Choć podejrzewam, że chodzi o młodsze. Są tak samo rozległe jak ich sławne poprzedniczki, ale jest mniejsza szansa, że się zapadną. W głębi są groty tak wielkie, że zmieszczą całą armię. Ale dlaczego to zrobili? - Rozłożył ręce. - Zła wentylacja, żadnych ognisk, brak ciepłego pożywienia. .. Tej nocy nie spali wygodnie.

- Czy mogą przedostać się pod górami do Hani? - spytał Lanren Songmaker.

Jen pokręcił głową.

- Nie mogą. Kopalnie nigdy nie sięgały tak daleko.

- Mają mnóstwo czarowników. Mogliby je tak daleko przeciągnąć.

- Nie - stwierdził Juran. - Potrzebowaliby miesięcy, może lat, żeby wyryć dostatecznie szeroki tunel. Usunięte kamienie i odłamki trzeba by gdzieś wynosić. Musiałyby powstać szyby wentylacyjne, a

czarownicy siedzieć przy nich i wciągać powietrze do środka, bo dla tylu ludzi naturalny obieg nie wystarczy.

Kiedy przetłumaczono wszystko na mowę Siyee, Zeeriz przyjął to z ulgą. Danjin trochę współczuł młodemu człowiekowi, który pędził z powrotem do obozu tylko po to, by król Berro tak wzgardliwie powątpiewał w jego umiejętności.

- Wygląda na to, że istotnie schronili się na noc w kopalniach - stwierdził Berro, machając na Zeeriza. - Może obawiali się ataku naszych małych szpiegów?

Mali szpiedzy... Danjin stłumił westchnienie. Berro znany był ze swojej skłonności do urażania Genrian. Zdawało się, że planuje obrażać także Siyee.

- Czy armia wynurzy się za dnia, dowiemy się, kiedy jutro wrócą pozostali zwiadowcy - odpowiedziała mu Sirri.

- Jeśli ich zobaczą.

- Armię tak wielką trudno jest przeoczyć z powietrza - zauważyła Auraya. - Nawet jeśli zejdą ze szlaku, spowolni to ich marsz, a w końcu i tak będą musieli na niego wrócić, by dostać się na przełęcz. Przez góry prowadzi tylko jedna droga.

Berro z szacunkiem schylił głowę.

- To prawda, Aurayo z Białych.

Ta bezwarunkowa akceptacja jej słów podkreśliła tylko lekceważący stosunek do Siyee. Auraya spojrzała na Jurana, który skinął głową.

- Czy ktoś jeszcze ma pytania do Sveela z klanu Wężowej Rzeki i Zeeriza z klanu Rozwidlonej Rzeki?

Wszyscy milczeli. Auraya zwróciła się do dwóch zwiadowców.

- Dziękujemy, że przybyliście i złożyliście nam meldunek. Jesteście zmęczeni i głodni. Pozwólcie, że odprowadzę was do obozu.

Kiedy wyszli, Danjin zauważył, że przygląda mu się Mairae. Uśmiechnął się i lekko skłonił głowę. Kąciki jej ust uniosły się w górę, a na twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Odwróciła się, spoglądając za odchodzącą Aurayą.

Od razu przypomniał sobie wczorajszą rozmowę. A kiedy natychmiast wróciła do niego wzrokiem, zrozumiał, że tego właśnie chciała.

Nie wiem, czy ma kochanka, pomyślał do niej. *A ty?*

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

Zamrugał zdumiony.

Kto to?

Wzruszyła ramionami.

Odwrócił wzrok, wzburzony, ale zaciekawiony. Wizja kogoś w łóżku z Aurayą była niczym wizja jego córek w trakcie aktu ze swoimi mężami - nie było to coś, co mógł przyjąć obojętnie. Ale chciał też wiedzieć, kto zwrócił jej uwagę.

Rozejrzał się po namiocie, ale zanim jeszcze ocenił obecnych mężczyzn, zrozumiał, że to nie może być żaden z nich. Mairae umiała czytać w myślach i wiedziałaby, gdyby któryś był kochankiem Aurai.

Czyli to musi być albo ktoś, komu nie potrafi zajrzeć do umysłu, albo ktoś, kogo nie spotkała.

O ile wiem, Biali nie umieją czytać nawzajem swoich myśli. Spojrzał na Mairae. Możliwe zatem...

Mairae szeroko otworzyła oczy ze zgrozy. Potrząsnęła głową, jakby zadrżała. Ale zaraz się uśmiechnęła. Najwyraźniej myśl o fizycznym zbliżeniu z innym Białym uznała za odrażającą, co jednak nie oznaczało, że Auraya ma podobną opinię. Danjin jednak przestał o tym myśleć, by nie budzić zakłopotania Mairae.

Jeśli kochankiem Aurai nie był Biały, to musiał nim być ktoś, kogo Mairae nigdy nie spotkała. Jeśli tak, a Auraya regularnie go odwiedza, to pewnie chodzi o kogoś w wojsku.

Ku jego zaskoczeniu, Mairae pokręciła głową. Skąd ma tę pewność? Uśmiechnęła się tylko. Czyli ktoś poza armią, pomyślał. Ale dostatecznie blisko, by Auraya mogła go odwiedzać.

Poczuł ucisk w żołądku, gdy powróciła rozważana wczoraj ewentualność.

Tkacze snów. Leiard.

Nie, powiedział sobie stanowczo. Są przyjaciółmi. Niczym więcej.

To przecież rozsądne, że Auraya odwiedza Leiarda. Mairae pewnie zakłada, że w tych nocnych wycieczkach Aurai kryje się coś więcej. Popatrzył na Mairae. W zadumie marszczyła czoło, ale kiedy wyczuła jego wzrok, uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i skinęła głową...

A potem Juran ogłosił przerwę na kolację i Danjin odetchnął z ulgą. Trochę się bał, że Auraya wróci i odkryje, że jej doradca spekuluje na temat jej życia osobistego. Miał nadzieję, że zanim znowu ją zobaczy, umysł będzie miał zajęty czymś innym.

Dzień był męczący, ale teraz, kiedy wreszcie udało jej się wymknąć z narady, czuła, że znużenie ustępuje miejsca niecierpliwości. Już niedługo znowu spotka się z Leiardem. Jedynym, co psuło jej nastrój, była nieobecność Figla. Kiedy wróciła do namiotu, znalazła otwartą klatkę. Z pewnością ktoś ze służby ścigał teraz veeza po całym obozie.

Nie ośmieliłaby się odlecieć bez niego. Mógłby doprowadzić sługę bardzo daleko - aż do obozu tkaczy snów. A wtedy tłumaczenia byłyby dość kłopotliwe.

- Auraya?

Poznała głos Danjina i podeszła do wejścia do namiotu Doradca trzymał w ramionach wyrywającą się, wijącą kulę futra. Odetchnęła z ulgą...

- Dziękuję ci, Danjinie. - Zaprosiła go gestem. - No więc, Figiel, gdzie się chowałeś?

- Ałaja. Ałaja. Zły człowiek. Zabrał Figi. Zły.

Wystraszona, spojrzała na Danjina. Skrzywił się tylko i wypuścił veeza, który natychmiast znalazł się na rękach Aurai, a potem owinął się jej na szyi.

- Nie tak mocno... - Odetchnęła. - Co się stało? Twarz doradcy wyrażała niepokój i poczucie winy.

- Przy kolacji służąca zawiadomiła mnie, że Figiel zniknął. Przez długie godziny nie mogłem go znaleźć. W końcu to on mnie znalazł.

- Danjin westchnął. - Cały czas powtarza „zły człowiek". Obawiam się, że ktoś mógł go porwać.

Auraya czuła, jak szybko bije serce veeza. Głaskała go i delikatnie sondowała umysł... Ludzka twarz, z dolną częścią czymś zakrytą. Otwierająca się klatka i dłoń chwytająca za kark. Drapanie, gryzienie, smak krwi. Bycie uwięzionym w czymś. Przegryzienie tego i ulga wolności.

Zły człowiek! powiedział w jej myślach.

Drgnęła. Jeszcze nigdy nie odezwał się do niej telepatycznie.

- Chyba masz rację, Danjinie - oświadczyła.

Spojrzała na niego i znowu wyczuła wyrzuty sumienia. Przecież chyba nie...

Przyjrzała się dokładniej i z ulgą odkryła prawdziwe źródło zakłopotania. Parę dni temu Mairae spytała go, czy Auraya ma kochanka, a on zapomniał o tym do chwili, gdy dziś wieczorem powtórzyła pytanie. Wstydził się rozmyślania o jej sprawach osobistych. Ale nagle w jego myślach rozbłysło imię Leiarda i jej ulga ulotniła się w jednej chwili. Danjin wierzył, że odwiedza tkacza snów z przyjaźni, ale sądził, że Mairae podejrzewa coś więcej.

Zlodowaciała. Wiedziała, że Mairae lubi takie spekulacje, ale nie sądziła, że nakłoni doradcę, by rozważał jej możliwych kochanków. Jeśli była gotowa to zrobić, to jak daleko jeszcze się posunie, by zaspokoić ciekawość? Wystarczy przecież kilka godzin jazdy i trochę czytania w myślach, by hipoteza stała się potwierdzonym faktem.

Serce zabiło jej szybciej. Być może Mairae jedzie już do obozu tkaczy snów... Nie mogę tak ryzykować. Leiard musi odjechać. Jeszcze dziś w nocy.

Zdjęła Figla z szyi i oddała go Danjinowi.

- Zostań tu. Dotrzymaj mu towarzystwa. Coś go przeraziło. Chcę się dowiedzieć, o co chodzi. Która służąca kazała ci go szukać?

- Belaya.

Kiwnęła głową, po czym wyszła z namiotu. Serce biło jej mocno. Rozejrzała się - oczami i umysłem - ale nie wykryła żadnych

obserwatorów. Ściągnęła magię i pchnęła się w górę, stworzyła osłonę od wiatru i pomknęła naprzód.

Obóz tkaczy snów znajdował się dalej niż ostatnio, ale dotarła do niego w ciągu kilku chwil. W namiocie Leiarda paliła się lampka.

Wylądowała przed nim i podeszła do wejścia.

- Tkaczu snów Leiardzie...

Klapa odchyliła się na moment, ale żadna ręka nie przytrzymała jej z boku. Auraya zajrzała do wnętrza i serce jej zamarło. W namiocie czekał Juran.

On wie. Ta świadomość ogarnęła ją niczym podmuch lodowatego wichru. Dostrzegła gniew na jego twarzy. Całe ciało było spięte, dłonie zaciskał w pięści.

- Wejdź, Aurayo - powiedział cichym, groźnym głosem.

Zdziwiła się, że ta wściekłość jej nie przeraża. Poczuła za to napływ cieplejszych uczuć. Znała Jurana dobrze i wiedziała, że nigdy nie pozwoli, by gniew wygrał z rozsądkiem. Nie lubił przemocy. Kilkakrotnie wspominał o zabiciu Mirara i zawsze wyrażał żal, że było to konieczne.

Ufam mu, myślała. Ufam nawet, że nie skrzywdzi Leiarda, niezależnie od tego, co wie.

Ale tkacza nie było w namiocie. Zniknęła też sakwa, którą zawsze miał przy sobie.

- Juranie - odezwała się spokojnie. - Gdzie jest Leiard? Nabrał tchu i głośno wypuścił powietrze.

- Odesłałem go. Spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Zmarszczył brwi. - Sądzisz, że nie wykryłem twojego romansu? A może uważasz, że pozwolę ci go kontynuować?

Auraya skrzyżowała ręce na piersi.

- Czyli chcesz zatwierdzać moich kochanków? Zawahał się.

- Kiedy się dowiedziałem o... o tym, zadałem sobie to samo pytanie. Odpowiedź jest prosta: mam obowiązki przede wszystkim wobec swego ludu. I ty również. - Pokręcił głową. - Jak mogłaś to robić, Aurayo, skoro wiedziałaś przecież, jakie będą konsekwencje,

gdybyś została odkryta?

Podeszła o krok bliżej.

- Mogę zgodzić się z tym, że nasz lud powoli akceptuje zmiany, że te zmiany wymagają pokoleń. Zamierzałam ten związek zachować w tajemnicy właśnie dlatego, by nie wystawiać na próbę ludzkiej tolerancji. Wiedziałam, że nie ukryję go przed tobą na zawsze. I nie zamierzałam. Od dawna nie lubisz tkaczy snów i nie miałam pojęcia, jak długo powinnam czekać, zanim ci powiem. Wątpiłam, czy odrzucisz wszelkie uprzedzenia. Jak długo miałam czekać, aż to nastąpi? Lata?

Dekady? Wieki? Jestem zakochana teraz, Juranie. Leiard robi się coraz starszy. Pewnego dnia umrze. Nie mogłam zwlekać do czasu, aż pogodzisz się z myślą, że tkacz snów może być mnie godny. Przyglądał się jej w skupieniu.

- Moje poglądy nie są tu istotne, Aurayo. Jesteś jedną z Białych. Twoim podstawowym obowiązkiem jest przewodzić i ochraniać ludzi. Możesz mieć kochanków, ale nie wolno im stawać między tobą a naszym ludem. Jeśli tak się stanie, musisz z nich zrezygnować.

- On nie stanie między...

- Stanie. Już stanął. Widziałem to w jego umyśle. Złamałaś prawo zakazujące łączenia snów. Co dalej?

- Już wcześniej korzystałam ze sztuki uzdrawiania tkaczy snów. Zakazuje tego podobnie bezsensowne prawo. Nie jesteś chyba tak głupi, by uznać, że to oznaka nieposzanowania prawa w ogóle.

- Musisz przynajmniej wydawać się praworządna - odparł. - Inaczej stracisz szacunek u ludzi. Sama wiadomość o tym romansie zaszkodzi twojej opinii.

- Nie tak bardzo, jak myślisz. Nie wszyscy są niechętni tkaczom snów.

- Ale większość im nie ufa. - Zamilkł na chwilę i westchnął. - Aurayo, wolałbym nie prosić cię o to. - Skrzywił się. - Nie chciałbym sprawiać ci bólu. Ale musisz zrezygnować z Leiarda.

Pokręciła głową.

- Nie mogę, Juranie.

- Możesz - rzekł stanowczo. - Kiedyś wspomnisz ten moment i przekonasz się, że była to słuszna decyzja, chociaż teraz bolesna. Musisz mi zaufać.

Zaufać? To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Wszystko, co powiedział, bierze się ze strachu. Strachu, że tkacz snów będzie miał na mnie zbyt wielki wpływ. Strachu, że jeśli zgorszę choć jednego przesądnego cyrklianina, reszta przestanie respektować nas wszystkich. A przede wszystkim strachu przed zmianą. Zdołała przywołać uśmiech.

- Ufam ci, Juranie. Mam nadzieję, że i ty mi zaufasz. Nie pozwolę, by Leiard stanął między mną i naszym ludem. Ledwie będą wiedzieli, że on istnieje.

Odwróciła się i podeszła do klapy namiotu.

- Aurayo...

Zatrzymała się w otworze wyjścia i obejrzała.

- On nie może wrócić - oznajmił Juran. - Wydałem mu rozkaz i nie sądzę, by nawet on okazał nieposłuszeństwo.

Uśmiechnęła się.

- Nie. Nie okaże. Czy nic ci to nie mówi, Juranie? Czy nie wynika z tego, że nie jest kimś, kogo należy się obawiać?

Odwróciła się, wyszła na zewnątrz i wzleciała w powietrze.

40

Chmury powoli nadpełzały od północy, przesłaniając kolejne gwiazdy. Bellin ziewnął, spoglądając na swoje gowty. W większości drzemały już, podkuliwszy pod siebie długie, patykowate nogi. Kilka zachowało czujność; poruszając z boku na bok smukłymi głowami, wypatrywały drapieżców.

To były mądre zwierzęta. Akceptowały go jako dodatkową formę ochrony, a w zamian dawały mu mleko. Nigdy jednak nie traciły naturalnej czujności. Mimo jego obecności przez całą noc po kolei trzymały wartę.

I bardzo dobrze, pomyślał. Niemożliwe, bym ani na chwilę nie zasnął i by nic nie odwróciło mojej uwagi.

Oparł się o skałę i przyciągnął trochę magii. Zmienił ją w światło, przesłał blask w przestrzeń przed sobą i zaczął go kształtować.

Najpierw stworzył gowta. To było łatwe - spędzał z nimi cały czas, więc wiedział, jak wyglądają. Poruszanie gowtem było trudniejsze. Ale szybko sprawił, że chodził, potem biegał, wreszcie skakał z kamienia na kamień.

Kiedy mu się znudziło, zaczął kształtować inną znajomą postać - starego Lima. Pomarszczona twarz wyglądała jak należy, ale ciało było zbyt proste. Stary Lim garbił się przecież jak poskręcane od wiatru drzewo.

O tak. Teraz lepiej. Bellin kazał postaci podrapać się w tyłek - stary Lim ciągle tak robił. Zachichotał, ale zaraz się zawstydził. Nie powinien robić sobie żartów ze starego Lima. Starzec znalazł go porzuconego w górach i wychował. Nie wiedział, kim są prawdziwi rodzice Bellina. Bellin nawet nie był podobny do większości ludzi, którzy mieszkali w tej okolicy. Jedyną wskazówką co do jego pochodzenia był strzęp materiału z wyhaftowanym symbolem. Pochodził z koca, w jaki był zawinięty, kiedy stary Lim go znalazł. Był jeszcze złoty amulet, ale Lim go sprzedał, żeby zapłacić za

jedzenie i ubranie dla chłopca.

Bellin zastanawiał się czasem, skąd się wziął, a nawet myślał, by wyruszyć kiedyś na emocjonującą wyprawę w poszukiwaniu rodziców. Ale tutaj mu się podobało. Nie musiał ciężko pracować - miał tylko pilnować gowtów i zbierać ich wełnę, kiedy zaczynały linieć. Gdy stary Lim umrze, to Bellin będzie odpowiadał za bezpieczeństwo stada. Nie mógł zostawić zwierząt bez ochrony.

Westchnął i pomyślał, co powinien teraz zrobić. Stary Lim nauczył go tworzyć świetlne obrazy. Pomagały odpędzić drapieżniki, a Bellinowi bronić się przed snem.

Obrazy to nie jedyny Dar, jakiego stary Lim nauczył Bellina. Gdyby fanrin albo leramer okazał się dostatecznie zuchwały albo zdesperowany, by zbliżyć się do gowtów, umiał go odpędzić małymi kulkami ognia.

- Macie szczęście, że przy was jestem - powiedział gowtom.

Na dźwięk tych słów kilka zwierząt zbudziło się nerwowo. Co było dziwne - przecież były przyzwyczajone do jego głosu.

- Stary Lim ledwie potrafi je sparzyć, ale ja mógłbym takiego zabić, gdybym zechciał - ciągnął kojącym tonem, w nadziei, że przestaną się bać. - Mógłbym...

Urwał i zmarszczył czoło. Czuł coś dziwnego za plecami... Skała, o którą się opierał, wibrowała.

Pochyliwszy się do przodu, odkrył, że tę samą wibrację wyczuwa pod stopami i pośladkami. Gowty podnosiły się i wystraszone strzygły wąskimi uszami.

Bellin wstał powoli, odwrócił się i przyłożył dłonie do skały. Wibracje wydawały się teraz silniejsze. Coś lekko uderzyło go w głowę - krzyknął zaskoczony i spojrzał w górę. Leciała stamtąd ziemia i odpryski kamienia. Wycofał się pospiesznie.

Kiedy odstąpił o kilka kroków, zauważył szczelinę rozszerzającą się u szczytu ściany. Patrzył na nią i powoli docierało do niego, że ściana się rozpada - ziemia, jaka zebrała się w szczelinie, sypała się w dół, tworząc rosnący kopiec w miejscu, gdzie przed chwilą siedział.

Drżenie pod stopami narastało. A potem usłyszał i wyczuł potężny wstrząs. Ze szczeliny wystrzelił pióropusz ziemi i odłamków skalnych. Bellin pochylił się i osłonił głowę rękami, kiedy kamienie rozsypały się dookoła.

Huk ucichł, a rozległ się gwizd. Spojrzał w górę - trawy na szczycie skały pochylały się w stronę pęknięcia. Zdawało się, że powietrze spływa do szczeliny.

Ziemia przestała drżeć. Obejrzał się i serce mu zamarło.

Gowty zniknęły.

Zapominając o niepokojącym zachowaniu góry, o dziwnym gwizdaniu i szczelinie wsysającej powietrze, szybko stworzył świetlną kulę i zaczął się rozglądać za tropami ukochanych zwierząt.

Leiard obejrzał się na Jayima. Miał trochę wyrzutów sumienia i żal mu było chłopaka - bladego i wyraźnie cierpiącego. Aremy nie są najlepszymi zwierzętami pod wierzch, tym bardziej bez siodeł. Uwolnione z zaprzęgu i ponaglane, biegły teraz truchtem, który mogły utrzymywać godzinami, ale efektem dla jeźdźca były nieprzyjemne wstrząsy.

Nie było na to rady. Juran rozkazał im odjechać natychmiast i zaczekał, by mieć pewność, że go posłuchali. Zdążyli porwać trochę żywności i swoje sakwy, ale było jasne, że Białemu nie wystarczy cierpliwości na to, by mogli złożyć namiot, załadować tarn i zaprząc aremy.

Leiard znów poczuł wyrzuty sumienia. Te aremy kupiła Arleej. Nabyła więcej niż trzeba, na wypadek gdyby któryś zachorował albo okulał, więc teraz nie będzie musiała porzucać tarnu.

Nie miał czasu, żeby z nią porozmawiać, ani nawet zostawić wiadomość wyjaśniającą jego nagłe zniknięcie. Wartownicy w obozie tkaczy snów widzieli, jak przybył Juran, i prawdopodobnie jak odjechał krótko po zniknięciu Leiarda i Jayima. Arleej domyśli się, co zaszło. Będzie niespokojna. Ja też jestem, przyznał. Co to wszystko znaczy dla pozostałych tkaczy snów? Czy są bezpieczni?

Jedno jest pewne, pomyślał. Juran nie zechce, by świat się dowiedział, że kobieta z ich grona miała romans z tkaczem snów. A

więc dochowa tajemnicy.

Leiard był zaskoczony, że Juran wskazał tylko jego. Spodziewał się raczej, że każe odjechać wszystkim tkaczom, choćby po to by ukryć, że jego gniew skierowany jest przeciwko jednemu człowiekowi. Możliwe, że nawet Juran rozumiał, iż po bitwie będzie potrzebował uzdrowicieli. Armia była ogromna. Wprawdzie cyrklianie powinni odmawiać przyjmowania pomocy tkaczy snów, jednak w poważnej sytuacji rzadko to robili. A będzie zbyt wielu rannych żołnierzy, by wystarczyli kapłani.

Jayim straci znakomitą okazję zdobycia wiedzy, myślał. Zerknął na chłopca i znów poczuł się winny. Gniew Jurana przeraził Jayima. Na pewno wiedział, że człowiek, który przybył rozprawić się z jego nauczycielem, to ten sam, który kiedyś zabił Mirara. Ulga Jayima, gdy Juran kazał im odjechać, była wyraźna.

Kiedy minie strach, rozzłości się, myślał Leiard. Zapyta, jakie prawo miał Juran, by ich odesłać, skoro moją jedyną zbrodnią jest miłość do Aurai.

Będzie winił ciebie, stwierdził znajomy głos. *Będzie pytał, dlaczego w ogóle doprowadziłeś do takiej sytuacji. Zastanowi się, czemu się z tego nie wyplątałeś, kiedy pojąłeś, do czego możesz doprowadzić. Gdy stanie się jasne, że nadal masz zamiar widywać się z Aurayą, zacznie wątpić, czy w ogóle przejmujesz się naszym ludem.*

Mirar, pomyślał ze znużeniem Leiard. Musisz być zadowolony z takiego obrotu spraw.

Zadowolony? Nie. Nastąpiło to, czego się obawiałem. Naprawdę sądzisz, że Juranowi wystarczy przepędzenie cię? Przypomniałeś mu, czego najbardziej nienawidzi u tkaczy snów: naszego wpływu na ludzi. Naszych zdolności. Byłem znany jako wielki uwodziciel. Ty mnie zastąpisz w jego oczach. Jeśli będziesz kontynuował ten romans, dowie się. Znajdzie sposoby, by cię ukarać, krzywdząc nasz lud.

Leiard zadrżał. Nie, Auraya na to nie pozwoli.

On jest przywódcą. Ona jest sługą bogów. Jeśli rozkażą jej być

mu posłuszną, to będzie. Wiesz o tym.

Zrobi wszystko, by nie dopuścić do krzywdy tkaczy snów.

Wszystko? A czy opuści Białych? Zrezygnuje ze swej mocy i nieśmiertelności? Czy rzuci wyzwanie bogom, których kocha? Wiesz przecież, że im się nie sprzeciwi.

Leiard pokręcił głową, ale wiedział, że ostatnie zdanie jest prawdą. Powietrze było chłodne i wilgotne, więc nie zdziwił się, kiedy zaczęło padać. Pozwolił, by krople spadały na niego i po chwili ubranie miał przemoczone.

Daleko przed sobą zobaczył światła. Zatrzymał arema i wytężył wzrok. Jechali drogą już od kilku godzin, wojsko zostało za nimi. Co to za ludzie? Może Juran zmienił zdanie i to kapłani, czekający, by go zatrzymać?

Usłyszał przed sobą odgłos kopyt. Gdy jeździec się zbliżył, Leiard otworzył dłoń i stworzył niewielkie światełko. Obcy miał na sobie mundur wyższego oficera toreńskiej armii; uśmiechnął się szeroko, gdy ich mijał. Jego zadowolenie z siebie sięgnęło zmysłów Leiarda jak podmuch odurzającego zapachu.

Zrozumiał wtedy, że światła należą do wędrownego zamtuzu. Odetchnął z ulgą i popędził arema.

Auraya cię kocha, szepnął Mirar. *I ty ją kochasz.*

Leiard zmarszczył brwi, niepewny, co ma znaczyć ta zmiana podejścia.

Mówisz, że zrobi wszystko, by ochraniać nasz lud. Nie wierzę ci, ale jeśli to prawda, zastanów się, czy powinieneś ją o to prosić? Chcesz żądać, by zrezygnowała z tego, kim jest?

Droga opadała w dół, a wraz z nią nastrój Leiarda.

Może do tego nie dojdzie.

Dojdzie. Znam Jurana. Zażąda, by dokonała wyboru. Czy myślisz, że jesteś uczciwą wymianą na bogów, których tak bardzo kocha? Czy możesz jej dać to, co oni?

Leiard pokręcił głową.

Czy chcesz widzieć, jak starzeje się i umiera, i wiedzieć, że to twoja wina?

Każde słowo Mirara było jak pchnięcie nożem.

Miłość to ekscytujące uczucie, zwłaszcza zakazana miłość. Ale namiętność gaśnie i zmienia się w zażyłość. A zażyłość zmienia się w nudę. Kiedy emocje opadną, czy myślisz, że nigdy nie będzie spoglądać wstecz na to, kim była, kim mogła się stać, i żałować, że w ogóle cię poznała?

Coś ścisnęło Leiarda za gardło. Chciał się kłócić, tłumaczyć, że to nie nastąpi - ale nie był pewien.

Jeśli ją kochasz, przekonywał Mirar, *uwolnij ją. Dla jej dobra. Pozwól jej żyć dalej, żeby mogła znowu pokochać. I znowu.*

A jeśli ona nie chce być uwolniona?

Musisz ją przekonać. Powiedz jej, że nie chcesz jej więcej widzieć.

Nie uwierzy. Pamiętaj, że potrafi czytać w myślach.

Mirar zamilkł na chwilę. Światła przed nimi jaśniały z wolna.

W takim razie pozwól mnie to zrobić.

Leiard zadrżał. Był przemarznięty, ale wiedział, że zimny dreszcz to skutek nie tylko deszczu i przemoczonego ubrania.

Na pewno wyśledzi cię jeszcze dzisiaj. Zostanę tylko tyle, ile trzeba, żeby ją przekonać do odejścia.

Był taki zmęczony... Zmęczony ryzykiem, zmęczony tajemnicą. .. Spojrzał w mroczne niebo i poczuł na twarzy kłujące krople deszczu.

Przykro mi, Aurayo, pomyślał. Nie może się nam trafić szczęśliwe zakończenie. Mirar ma rację - im dłużej to potrwa, tym więcej sprawi cierpienia.

Nabrał tchu, a potem wyszeptał wezwanie:

- Mirar.

Kiedy pierwsze promienie słońca rozjaśniły nocne niebo, Auraya zaczynała już tracić nadzieję. Latała we wszystkie strony od obozu tkaczy snów, tak daleko, jak może w ciągu dnia dotrzeć jeździec. Wróciła na Złote Równiny. Przeszukała podnóże gór. Podążyła nad drogą prawie do samej przełęczy.

Nie znalazła nawet śladu Leiarda.

Podczas lotu zmysły miała wyczulone na ludzkie myśli. I choć wyczuwała umysły żołnierzy i wieśniaków, pasterzy i prostytutek, nie wychwyciła Leiarda. Jakby się zapadł pod ziemię.

Jak pentadrianie, pomyślała niechętnie.

Zawisła teraz wysoko w powietrzu, niepewna, co robić dalej.

Może coś przeoczyłam... Może wrócę do obozu tkaczy snów i zacznę od początku... Tym razem będę zataczała kręgi, oddalając się stopniowo...

Zanim jeszcze dokończyła tę myśl, mknęła już po niebie. Ale kiedy dotarła do miejsca, gdzie obozowali tkacze snów, przekonała się, że już odjechali. Widziała ich w oddali, na wąskiej, zarośniętej drodze.

Podążała za nimi samotna postać. Wyczytała znużone myśli i znajomą tożsamość.

Jayim.

Chłopak dotarł na wzniesienie i zatrzymał arema. Poczuł gwałtowny przypływ ulgi, gdy zobaczył przed sobą tkaczy snów. A zaraz po niej napłynęło poczucie winy i niepewność. Obejrzał się przez ramię na południowy wschód.

Nie powinienem go zostawiać, myślał. Ale nie chciał mnie słuchać. To, jak mówił... Stało się coś niedobrego. Muszę sprowadzić pomoc.

Popędził arema. Myślał, że jeśli szybko dogoni tkaczy snów, Arleej będzie mogła wrócić do wędrownego zamtuzu, zanim Leiard ruszy dalej. Chłopak usunął na bok wszelkie myśli prócz konieczności pośpiechu. Auraya odprowadzała go wzrokiem, starając się tłumić niepokój.

Zamtuz?

Przelatywała nad kilkoma. Obecność prostytutek była uznawana za naturalną konsekwencję maszerującej przez kraj licznej armii. Miała co do nich mieszane uczucia. Wprawdzie rozumiała, że wizyta u ladacznicy może poprawić samopoczucie żołnierza czy uspokoić wzburzony umysł, ale trzeba było się liczyć z epidemią chorób. Nie podobało jej się także to, że mężczyźni uważali, iż wcale nie

zdradzają żon, sypiając podczas wojny z ladacznicami.

Dlatego nie przyglądała się zbyt uważnie umysłom w tych obozach. A to zapewne czyniło je idealnym miejscem, by się ukryć. Czy to znaczy, że Leiard się przed nią ukrywa?

Nie. Chowa się przed Juranem.

Ruszyła w stronę najbliższego z obozów, który zapamiętała z nocnych poszukiwań. Równocześnie starała się nie myśleć o nieprzyjemnych możliwościach. Ufam mu. Jest tam, by nie znalazł go Juran, nie ja.

Nie wykryła go w pierwszym obozie ani w dwóch następnych. Przypomniała sobie kierunek spojrzenia Jayima i poleciała na południowy wschód. Pół dnia jazdy od obozu wojskowego trafiła na kolejny. Badając umysły w dole, w myślach jednej z ladacznic dostrzegła twarz Leiarda.

I zakręciło jej się w głowie od myśli, które towarzyszyły tej wizji.

...na te pośladki. A wczoraj wydawał się wychudzony. Wcale nie. Gdyby to ode mnie zależało, dałabym mu nockę za darmo. Kto by pomyślał, że tkacz snów będzie taki dobry w...

Auraya oderwała się od tamtego umysłu. Wisząc nad zamtuzem, z niedowierzaniem wpatrywała się w namioty.

Musiałam się pomylić. Dziewczyna myślała na pewno o innym tkaczu snów. O takim, który wygląda jak Leiard.

Znowu zajrzała w myśli ludzi w dole. Tym razem omijała kobiece, a szukała męskich. Kiedy trafiła na Leiarda, nie od razu go poznała.

To nie były myśli człowieka tęskniącego za swą miłością. To był ktoś, kto rozkoszuje się nieoczekiwaną swobodą.

Nie o to chodzi, że Auraya nie jest atrakcyjna, inteligentna i miła, mówił sobie. *Ale zwyczajnie nie jest warta takich kłopotów. Lepiej, że się wymknęliśmy bez wyjaśnień.*

Zniknęło gdzieś uczucie i szacunek, jakie zawsze widziała w jego myślach. Nie pozostała nawet najmniejsza iskra miłości. Myślał o niej tylko z lekkim żalem.

Jęknęła wstrząśnięta, ale nie było ucieczki przed rozdzierającym ją bólem. Więc to takie uczucie, kiedy ma się złamane serce, myślała. Jakby ktoś wbił w nie nóż i przekręcił. Nie, raczej jakby rozpruł brzuch i zostawił na śmierć.

Łzy stanęły jej w oczach, ale powstrzymała się od płaczu. Kochał ją - wiedziała o tym. A teraz już nie. Kilka słów Jurana zabiło tę miłość.

Jak to możliwe? Jak można tak łatwo zabić coś tak silnego? Nie rozumiem. Chciała spojrzeć raz jeszcze, szukać wytłumaczenia. .. ale nie mogła się do tego zmusić. Wznosiła się powoli i raz jeszcze pochwyciła myśli ladacznicy. Leiard właśnie zgolił brodę. Dziewczyna uważała, że bez niej wygląda na młodszego i jest przystojniejszy. Powiedziała mu to i dodała, że zawsze będzie miłym gościem w jej namiocie. Wróci dziś wieczorem? Nie. Może jeśli w przyszłości odwiedzi Porin...

Z namiotów w dole wynurzyły się ludzkie postacie. Auraya przesunęła się wyżej, wiedząc, że jeśli ktoś spojrzy w górę, na pewno ją zobaczy. I wznosiła się tak, aż obóz stał się tylko maleńkim znaczkiem na równinie. W końcu dotarła do chmur i cały świat zniknął za wilgotną i zimną zasłoną bieli.

41

Emerahl odsunęła naprawioną klapę budy tarnu i wyjrzała na zewnątrz. Według klienta, którym zajmowała się w nocy, wojska znajdowały się o kilka godzin jazdy przed nimi. Pokręcił głową, kiedy wyraziła nadzieję, że je dogonią. Armia maszeruje szybko, powiedział jej. Dotrze do przełęczy przed ladacznicami. Zresztą lepiej dla nich, jeśli zachowają bezpieczną odległość. Kto może wiedzieć, jakie zagrożenia czyhają w górach?

Potem zajął się pocieszaniem jej i uspokajaniem. Zrozumiała, że jest człowiekiem, który potrzebuje słabej kobiety, by być przy niej silny i męski. Nie należał do tych, którzy dobrze się czują w obecności kobiet zaradnych, więc rankiem pozbyła się go bez trudu - wystarczało z pewną miną krążyć po namiocie i prowadzić inteligentną rozmowę. Współczuła jego żonie. Mężczyźni, którzy potrzebują kobiet słabych i głupich, mogą nie stanowić miłego towarzystwa, kiedy uznają, że naturalny porządek świata został naruszony.

- Co tam widzisz, Nefryt?

Obejrzała się na Gwiazdkę i wzruszyła ramionami.

- Kamienie. I drzewa. I jeszcze kamienie. O, patrzcie, tam jest następne drzewo!

Dziewczęta zachichotały. Wczoraj wieczorem Rozea oświadczyła, że Gwiazdka jest już zdrowa i może podróżować z innymi dziewczętami, choć Emerahl była pewna, że madame chodziło raczej o uniknięcie kolejnego dnia bezustannego paplania. Sama uparła się, że pojedzie z Gwiazdką na wypadek, gdyby długie godziny w pozycji siedzącej okazały się dla niej zbyt wyczerpujące. To dało okazję, by w końcu porozmawiać z Żagwią i Falą.

Zdawało się, że dziewczęta wybaczyły jej stanowisko faworyty. Może zrozumiały, że te pretensje są śmieszne, choć Emerahl w to wątpiła. Podejrzewała, że raczej uzdrowienie Gwiazdki pozwoliło jej odzyskać ich względy.

- Wczoraj miałam wyjątkowo niezwykłą noc - oświadczyła Życzliwość.

Żagiew, Fala i Ptaszek jęknęły.

- Znowu musimy tego słuchać? - poskarżyła się Żagiew. Życzliwość wskazała Gwiazdkę.

- Jej jeszcze nie opowiadałam.

- No to mów - westchnęła Żagiew.

Życzliwość z błyszczącymi oczami przysunęła się do rannej.

- Wczoraj w nocy przyszedł do mnie tkacz snów. Było już późno i niewiele dziewcząt go widziało. Nie wyglądał źle, więc byłam zadowolona, że mnie wybrał. - Urwała i uśmiechnęła się szeroko. - Jeśli tacy są w łóżku wszyscy tkacze snów, mogę ich przyjmować bez przerwy.

Gwiazdka uniosła brwi.

- Aż taki dobry?

- Och, nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedziała.

- Może jednak powiedz - uśmiechnęła się Gwiazdka.

Zaintrygowana Emerahl sprawdziła umysł Życzliwości, szukając sugestii kłamstwa. Ale znalazła tylko tęsknotę, wdzięczność, a przede wszystkim samozadowolenie.

Zdarzało się, choć bardzo rzadko, że klient podejmował nie tylko symboliczne wysiłki zaspokojenia ladacznicy. Kiedy Życzliwość opowiadała, Emerahl ogarnął smutek. Ta noc rozkoszy przypomniała jej kilka tych, które sama przeżyła dawno temu z innym tkaczem snów. Tym jedynym tkaczem snów...

Uśmiechnęła się na myśl, jak by zareagowały dziewczęta, gdyby opowiedziała im o tym związku.

- Kiedy tylko zechce się zakraść do mojego namiotu, może mieć noc za darmo - oznajmiła Życzliwość.

- Teraz rozumiem, czemu masz tak na imię. - Żagiew przewróciła oczami.

- A jak wyglądał? - spytała Gwiazdka.

- Wysoki. Szczupły. Na początku uznałam nawet, że trochę wychudzony. Bardzo jasne włosy, prawie białe. Miał też brodę, ale

ogolił ją następnego dnia. Bez niej wyglądał o wiele lepiej.

Emerahl przestała słuchać tych pogaduszek. Wspomnienie o Mirarze przypomniało jej, że planowała odszukać źródło snu o wieży. Wydawało się to dziwnym kaprysem - ściganie śniącego jedynie z powodu dręczącej ją ciekawości. Ale czym innym mogła się zająć? Po stu latach Ithania Północna wypełniła się kapłanami i kapłankami. A to niemal całkowicie ograniczało jej możliwości.

Była coraz bardziej przekonana, że śniący jest po drugiej stronie gór. Im bliżej nich byli, tym silniejsze i wyraźniejsze miała sny. Jeśli oznaczało to, że ów śniący znajduje się wśród pentadrian, niech tak będzie.

- Miałaś rację co do tych skrytek - szepnęła jej Fala do ucha.

Emerahl aż podskoczyła. Odwróciła się do dziewczyny.

- Skrytek?

- Pod ławkami. - Fala stuknęła obcasem o dolną część siedzenia. - Widziałam, jak Rozea chowała tam coś tydzień temu. Robi to rankiem, kiedy wszystkie jeszcze śpimy. Obudziłam się i obserwowałam ją przez dziurę w namiocie.

- Sprytna z ciebie dziewczyna - uśmiechnęła się Emerahl. Fala wyszczerzyła zęby.

- I nie jestem taka głupia, żeby coś stamtąd zabrać.

- Nie, to by było nierozsądne.

Nierozsądne dla kogoś, kto musi tkwić w zamtuzie i nie potrafi sobie radzić poza nim. Za kilka dni cyrklianie spotkają się z pentadrianami. Ona będzie czekać i obserwować, a kiedy nadejdzie właściwy moment, zabierze swoje pieniądze i ruszy na przełęcz.

Zostawi za sobą ten zamtuz, kapłanów i całą Ithanię Północną.

Kiedy ostatni wspornik wskoczył na miejsce, Tryss odstąpił i obrzucił altanę krytycznym spojrzeniem.

- Jest świetnie - zapewniła go Drilli. Podniosła się i podała mu udziec pieczonego gowta. - No więc kim byli ci nowi żołnierze?

Spojrzał na nią zaskoczony. Czasami łatwo było zapomnieć, że informacje nie docierają do wszystkich. Lecieli razem, kiedy spostrzegli żołnierzy maszerujących od przełęczy. Sirri kazała mu

lecieć z powrotem i powiadomić Białych, i chociaż wrócił kilka godzin temu, dopiero teraz spotkał się z Drilli.

- Dunwayczycy - wyjaśnił. - Żyją po drugiej stronie gór, ale bardziej na północ. Ci, którzy zeszli nam na spotkanie, to przywódcy klanów, stratedzy wojenni i kapłani. Większa część ich armii czeka na nas na przełęczy.

Zamyśliła się, wolno przeżuwając mięso.

- Widziałeś Aurayę? Pokręcił głową.

- Songmaker mówi, że prawie cały dzień ćwiczy z Dyarą magiczne techniki walki.

- Ale zawsze spędzała też trochę czasu z nami. Od wczoraj nikt jej nie widział.

Tryss wgryzł się w pieczeń. To ciekawe, ale nie zaskakujące, że wiadomość o Dunwayczykach nie rozprzestrzeniła się szybko wśród Siyee, a jednak każde poruszenie Aurai zauważali od razu.

- Na pewno jest zajęta czymś ważnym. Dziś wieczorem mogę spytać, co to takiego.

Drilli jęknęła zniechęcona.

- Kolejna narada? Czy w ogóle mogę cię mieć tylko dla siebie przez całą noc... i żebyś jej całej nie przesypiał?

Uśmiechnął się.

- Już niedługo.

- Zawsze to powtarzasz.

- Myślałem, że jesteś zmęczona.

- Jestem. - Westchnęła i przykucnęła koło ognia. - Wyczerpana. I dlatego robię się marudna.

Blask ognia oblewał jej skórę ciepłym, pomarańczowym lśnieniem, podkreślającym kości policzkowe i smukłą sylwetkę.

Jest taka piękna, pomyślał. A ja jestem najszczęśliwszym ze wszystkich Siyee.

- Ojciec dalej się do mnie nie odzywa - oświadczyła ponuro.

Przysunął się do niej i rozmasował ramiona.

- Znowu próbowałaś?

- Tak. Wiem, że to za wcześnie, ale cały czas próbuję. Żałuję, że

nie ma tu mamy. Ona by ze mną rozmawiała.

- Może nie. I czułabyś się podwójnie paskudnie.

- Nie - zaprzeczyła z przekonaniem. - Na pewno by ze mną rozmawiała. Ona wie, że są rzeczy ważniejsze od... od...

- Jakie rzeczy? - spytał z roztargnieniem.

- No... rzeczy. O, jest Sirri.

Obejrzał się. Mówca stała na skale ponad ich altaną. Uśmiechała się.

- Witaj, Drilli. Smakowicie pachnie. Drilli wstała.

- Witaj. Mam nadzieję, że nie omijałaś posiłków, co? Sirri roześmiała się.

- Zjadłam wcześniej.

- Trzymaj. - Drilli wstała i rzuciła coś w jej stronę. Mówca złapała to zręcznie.

- Korzenne ciastko! Dziękuję.

- Piecze je na ostro - uprzedził Tryss.

Sirri ugryzła kawałek, przeżuła i skrzywiła się.

- Rzeczywiście - przyznała. - Lepiej już lećmy, bo narada zacznie się bez nas.

Tryss kiwnął głową. Wstał, gdy Sirri wzleciała w powietrze, ale zatrzymał się jeszcze, czując, jak ręce Drilli oplatają go w talii. Odwrócił się. Jej pocałunek był ciepły i długi, i niechętnie się od niej odsunął.

- Już niedługo - obiecał.

- No to ruszaj. - Klepnęła go w pośladek. - Zanim wróci cię szukać.

Uśmiechnął się, odwrócił i skoczył w górę.

Obozowali na niewielkim grzbiecie ponad drogą. Siyee ustawiali swoje altany na półkach i występach, podczas gdy jedyną dostępną dla ziemiochodzących przestrzenią była sama droga. Z powietrza ich ogniska i latarnie wyglądały jak ogromna, migotliwa larwa światłobala.

Tryss dostrzegł Sirri i szybciej machnął skrzydłami, by ją dogonić. Spojrzała na niego.

- Jak sobie radzisz na tych spotkaniach z Songmakerem?

- Uczę się szybciej niż on. Zresztą wiesz, on jest w gorszej sytuacji. Nasz język mówiony jest podobny do jego, ale wszystkie słowa gwizdane są nowe.

- Jak blisko zrozumienia ziemiochodzących jesteś? Potrząsnął głową.

- Jeszcze bardzo daleko. Czasami rozpoznaję kilka słów. Przynajmniej wiem wtedy, o czym mowa.

- To może być użyteczne.

Biały namiot pojawił się za zakrętem drogi i oboje poszybowali ku niemu. Grupa, którą zwykle widzieli na zewnątrz, teraz zniknęła. Kiedy wylądowali, usłyszeli ze środka głosy.

- No cóż, lepiej późno niż wcale - mruknęła Sirri.

Szedł za nią, gdy wkroczyła do wnętrza. Rozmowa ucichła, gdy ich zauważono.

- Przepraszam za spóźnione przybycie - powiedziała Sirri.

- Nie ma za co przepraszać - odparł Juran. - Dokonujemy prezentacji.

Wskazał czterech Dunwayczyków, których Tryss widział już wcześniej, choć przelotnie. Byli niscy jak na ziemiochodzących, ale potężne mięśnie budziły wrażenie niezwykłej siły, a wyrysowane na twarzach linie nadawały im wygląd dzikich. Gdy Juran ich przedstawiał, Tryss myślał, że to prawdopodobnie szczęśliwy zbieg okoliczności, iż Dunway nie sąsiaduje z Si. Gdyby ci ludzie uznali kiedyś, że potrzebują więcej ziemi, chyba nawet zatrute strzałki by ich nie powstrzymały.

Po zakończeniu prezentacji Sirri podeszła do swego zwykłego stołka. Tryss zajął miejsce obok i rozejrzał się po namiocie. Wszyscy Biali byli na miejscu - oprócz Aurai. Gdy Juran przeszedł na język ziemiochodzących, Dyara stanęła między stołkami Sirri i Tryssa i zaczęła szeptem tłumaczyć.

- Mil, talm Larrik, zameldował, że wojska dunwayskie zajęły pozycje na przełęczy, w miejscu wygodnym do obrony - mówił Juran. - Wzdłuż drogi rozmieszczono setki pułapek, aby spowolnić i

osłabić nieprzyjaciela. Zwiadowcy donoszą, że pentadrianie nie dotarli jeszcze do pierwszych z nich. Wydaje się, że nieprzyjacielska armia jest daleko. - Juran urwał na chwilę. - Niewytłumaczalnie daleko. - Zwrócił się do Mila. - Jakieś wieści?

Mil spojrzał na stojącego obok kapłana, wyraźnie z tej samej rasy. Mężczyzna pokręcił głową.

- Nasi zwiadowcy nie widzieli ani śladu po nich.

- Nie zauważono też, by ich armia skręciła na północ - dodał Mil.

Na północ? Tryss zmarszczył czoło, ale zaraz nadeszło zrozumienie. Dunwayczycy bali się, że pentadrianie ruszą na północ i zaatakują ich kraj. Ich siły czekały teraz na przełęczy i nie miał kto bronić granic.

- W ogóle nie ma żadnego śladu tej armii - dodał kapłan. - Siyee byli ostatnimi, którzy ich widzieli.

Zapadła cisza. Wielu obecnych zastanawiało się intensywnie.

- Przecież nie siedzą chyba nadal w tych kopalniach - stwierdził Guire.

- Może czekają - mruknął somreyański przywódca. - Ale na co? - Spojrzał na Jurana. - Jesteś pewien, że nie mogą przebić tunelu przez góry?

Juran z uśmiechem kiwnął głową.

- Jestem pewien. Mil przytaknął.

- Bardziej niepokoi mnie możliwość, że pentadrianie wybrali inną trasę.

- A jest taka? - Juran zmarszczył brwi.

- Drogi nie ma - wyjaśnił Mil. - Ale w górach pełno jest ścieżek pasterzy gowtów. Przejście nimi jest powolne, ale nie niemożliwe.

- Musimy wiedzieć, co oni robią - stwierdził stanowczo Juran. - Jeśli pentadrianie znajdą się na równinach, gdy my wciąż będziemy tkwić na przełęczy, okaże się, że musimy ścigać ich po całej Hani i jeszcze dalej.

- Jeśli przechodzą przez góry, moi ludzie ich znajdą - zapewniła Sirri.

Juran spojrzał na nią.

- To będzie niebezpieczne. Bardziej niż poprzednio. Wzruszyła ramionami.

- Teraz już wiemy o czarnych ptakach. Będziemy ostrożni. Wyślę tam ochotników, ale tym razem będą uzbrojeni.

Juran zawahał się, ale kiwnął głową.

- Dziękuję.

Sirri uśmiechnęła się.

- Odlecą o brzasku. Czy chciałbyś, by któryś z nich miał pierścień łączący?

Juran porozumiał się wzrokiem z Dyarą.

- Tak. Zostanie dostarczony dowódcy przed odlotem. - Rozejrzał się. - Czy powinniśmy omówić coś jeszcze?

Zakończenie rozmowy wydało się Tryssowi dość nagłe, ale może tylko to sobie wyobraził. Bacznie obserwował czwórkę Białych, zwłaszcza Mairae i Riana. Rian sprawiał wrażenie... nieszczęśliwego. Od czasu do czasu wyglądał z namiotu i marszczył brwi. Nie to, że gniewnie, ale wyraźnie coś go dręczyło. A może z jakiegoś powodu był rozczarowany.

Już wcześniej zauważył, że Mairae łatwiej zdradza uczucia. Teraz nagle jakby wpatrzyła się w pustkę. Przygryzła wargę. Może wszyscy niepokoili się nadchodzącą bitwą i pozornym zniknięciem armii pentadrian? Nie mógł jednak nie myśleć o nieobecności Aurai. Dziwne, że nikt nawet nie wspomniał, co się z nią dzieje.

I nagle odgadł odpowiedź.

Oczywiście! Aurai nie ma tutaj, bo poszukuje pentadriańskiej armii. Mairae boi się o nią, a Rian jest zirytowany, ponieważ. .. może sam chciał wyruszyć? Albo uważa to za zbyt niebezpieczne?

W każdym razie pewnie właśnie dlatego zniknęła. Ale satysfakcja z rozwiązania zagadki szybko się ulotniła, kiedy uświadomił sobie, na co ona się naraża. Gdyby spotkała tych pentadriańskich czarowników, będą mieli nad nią przewagę. A jeśli zginie? Co zrobią bez niej Siyee? Żaden inny ziemiochodzący nie rozumiał ich tak jak ona.

Bądź ostrożna, Aurayo. Jesteś nam potrzebna.

42

Służący składający namiot Aurai kolejno odwiązywał rogowe liny. Kiedy konstrukcja opadła na ziemię, Danjin westchnął ciężko.

Nie było jej od dwóch dni, myślał. To moja wina.

Potrząsnął głową, jakby usiłował rozproszyć ponury nastrój. Nie mam takiej pewności. Mogła zniknąć z jakiegoś ważnego powodu.

Ale nie wierzył w to. Biali zachowywali się, jakby w jej nieobecności nie było nic niezwykłego. Nie podali żadnego powodu, a jeśli ktokolwiek miał jakieś podejrzenia, nie ośmielał się o nich mówić. Jednak Danjin znał ich dostatecznie dobrze, by zauważyć pewne symptomy, zdradzające troskę i irytację.

Dlatego właśnie starał się z nimi porozmawiać. Uznał, że lepiej nie zaczepiać Jurana, gdyż przywódca Białych na wspomnienie Aurai zdradzał oznaki gniewu. Dyara w reakcji na jego pytania szukała mu jakiegoś zajęcia, a Rian tylko wzruszył ramionami i stwierdził, że chwila nie jest najlepsza, by o tym mówić.

A Mairae? Mairae unikała Danjina. Jak na osobę, której zadaniem jest być dostępną, gdy inni Biali są zajęci, czyniła to zadziwiająco skutecznie.

Spojrzał na stojącą obok klatkę. Nawet Figiel nie miał ochoty się odzywać. Wszedł do klatki bez protestów, jakby miał nadzieję, że grzeczne zachowanie sprowadzi znowu jego panią.

A może to porwanie zniechęciło go do wycieczek po obozie? Danjinowi żal było veeza. Kiedy Auraya odeszła, zwinął się w kłębek na kolanach doradcy. Nie spał; leżał tak godzinami, patrzył i trząsł się przy najlżejszym dźwięku.

- Potrafisz dochować tajemnicy?

Danjin poderwał się, słysząc za plecami znajomy cichy głos. Odwrócił się zdumiony i spojrzał na Mairae. Wydawała się bardziej poważna niż kiedykolwiek.

- Czy Dyara by mnie zatrudniła, gdybym nie potrafił? Stanęła przy nim i skierowała wzrok na Figla.

- To jego porwanie było trochę podłe, ale nie mieliśmy czasu, żeby wymyślić coś innego - wymruczała. Spojrzała mu w oczy. - Mogę tylko zapewnić, że to nie był mój pomysł.

Danjin przyglądał się jej z uwagą.

- Figiel? Miał odwrócić uwagę, prawda? Trzymać mnie z daleka od narady wojennej?

Obojętnie wzruszyła ramionami. Może nie całkiem odgadłem...

- I Aurai. Miał mnie trzymać z daleka od Aurai.

Jej podbródek opadł lekko w delikatnym skinieniu głową.

Dlaczego? Miał swoje podejrzenia, ale zmusił się do rozważenia innych powodów. Albo chcieli coś przede mną ukryć, albo nie dopuścić, żebym coś powiedział Aurai. Jeśli chcieli coś ukryć, to nie musieli używać żadnych podstępów. Wystarczyło poprosić, żebym wyszedł z narady. Po co mieliby porywać Figla?

Czyli raczej nie chcieli pozwolić, żebym przekazał coś Aurai. Albo nie dopuścić, żeby wyczytała coś w moich myślach. A głównym tematem moich myśli była sugestia Mairae, że Auraya ma kochanka.

Nabrał tchu.

- No tak. To prawda? Słusznie podejrzewałem? Mairae uśmiechnęła się krzywo.

- Uważałeś chyba, że są tylko przyjaciółmi.

- Więc nie byli?

Jej uśmiech zniknął.

- Nie. Ale musisz przysiąc, że nikomu tego nie zdradzisz.

- Przysięgam.

Auraya i Leiard... Jak mogłem tego nie zauważyć? Czy tak bardzo chciałem wierzyć w jej bezbłędne decyzje, że nie widziałem tego, czego nie chciałem zobaczyć?

Mairae odwróciła głowę i westchnęła.

- Żal mi jej. Nie można zmusić serca, by wybierało rozsądnie. Samo podejmuje decyzje. Juran go odesłał. Obawiam się, że minie sporo czasu, zanim Auraya mu wybaczy.

- Gdzie ona jest? Spojrzała na niego z powagą.

- Nie wiemy. Nie odpowiada na nasze wezwania. Uważam, że jest gdzieś niedaleko. Wróci, kiedy zacznie się walka, jeśli nie wcześniej.

- Oczywiście - zgodził się.

Z jakiegoś powodu powiedzenie tego na głos poprawiło mu humor. Pewnie, że wróci. Może dopiero na ostatnią chwilę, może pełna oskarżeń, ale wróci.

Mairae parsknęła.

- Nie obwiniaj się, Danjinie Spearze. Jeśli do kogokolwiek można mieć pretensje o to, co się stało, to tylko do mnie. Także z tego powodu, że zachęcałam cię do rozmyślań o tym, kogo ona odwiedza. Ale chyba się zgodzisz, że ich rozstanie wyjdzie na dobre i jej, i Północnej Ithanii.

Pokiwał głową. Miała rację. A jednak nie mógł się pozbyć uczucia ojcowskiego zawodu. Ze wszystkich mężczyzn na świecie, Auraya nie mogła chyba wybrać mniej odpowiedniego kochanka. Leiard też powinien dostrzec konsekwencje tego związku i go zerwać.

Jego szacunek dla tkacza snów zmniejszył się znacznie. Najwyraźniej nawet mądrzy pogańscy uzdrowiciele w obliczu miłości zachowują się jak głupcy, myślał niechętnie.

Służący kończył właśnie załadowywać na tarn namiot i bagaż Aurai. Kiedy odwrócił się i spojrzał na nich pytająco, Mairae odsunęła się od Danjina.

- Cieszę się, że mogliśmy o tym porozmawiać - stwierdziła. - Opiekuj się Figlem. Dziś wieczorem powinniśmy dotrzeć do przełęczy. Zobaczymy się na naradzie.

Wykonał znak kręgu, a potem patrzył, jak odchodzi. Kiedy zniknęła, podniósł klatkę z Figlem, kazał służącemu włączyć się z wozem do kolumny, a sam ruszył w stronę tarnu doradców.

Auraya krążyła wkoło.

Trawa, którą deptała, rosła na skalnej półce biegnącej wzdłuż stromego zbocza doliny. Dolina była mniej więcej równoległa do tej, przez którą prowadził trakt do przełęczy. Wyobrażała sobie

podróżników w dalekiej przeszłości, którzy tracili wiele dni, wędrując tędy w nadziei pokonania łańcucha gór. Z pewnością byli bardzo rozczarowani, gdy docierali w końcu do pionowych urwisk i stromych skał. Wspinacz mógłby może przedostać się przez góry, ale nie zwykły podróżny, a już na pewno nie platten czy tarn.

Powinnam być teraz w sąsiedniej dolinie, nie tutaj.

Dlaczego nie potrafię się zmusić do powrotu? Juran nie jest odpowiedzialny za niewierność Leiarda. A nawet gdyby, przecież nie mogę całej Ithanii Północnej karać za jego czyny.

A jednak nie umiała się zmusić, by dołączyć do armii. Na początku rozsądne i sensowne wydawało się, by spędzić tu kilka godzin w samotności. Myśli zmieniły się w wir gniewu, bólu, poczucia winy... Bała się, że jeśli wróci w takim stanie, albo wykrzyczy swoją złość na Jurana, albo zmieni się we łzawy kłębek nerwów. Musiała najpierw wziąć się w garść.

Te kilka godzin zmieniło się w cały dzień, a dzień w trzy dni. Kiedy tylko sądziła już, że się uspokoiła, i ruszała w stronę przełęczy, po krótkim czasie zawracała. Za pierwszym razem do zboczenia z kursu skłonił ją widok tkaczy snów w oddali, następnym - karawana ladacznic. Zeszłego wieczoru wystarczyła sama myśl o spotkaniu z Juranem. Wszystko to budziło silne emocje i nie była pewna, czy zdoła je ukryć.

Dziś wieczorem dojdą na przełęcz, myślała. Wtedy do nich dołączę. Może po prostu będę tam, kiedy dotrą na miejsce. Tak - zbyt się będą cieszyli, że osiągnęli cel, by zwracać na mnie uwagę.

Westchnęła i pokręciła głową. To nie powinno się zdarzyć. To by się nie zdarzyło, gdyby nie Juran. Może jednak powinna mu być wdzięczna, jako że jego działania pozwoliły jej się przekonać o prawdziwym charakterze Leiarda.

To było jak spojrzenie w umysł innego człowieka, pomyślała, kręcąc głową. Wydawało mi się, że tak dobrze go znam, że dzięki Darowi czytania w myślach nikt nie może mnie oszukać. Najwyraźniej nie jest to prawdą.

Zawsze wyczuwała w Leiardzie coś tajemniczego. Skrywa

nieznane głębie, tłumaczyła sobie. Różnicę między umysłem Leiarda a umysłami innych ludzi, a nawet innych tkaczy snów, przypisywała jego wspomnieniom łącza. Teraz wiedziała, że chodziło o coś więcej. Potrafił przed nią ukryć część siebie.

Leiard mówił jej, że czasami wspomnienia łącza manifestują się w jego umyśle jako inna osobowość. Mówił nawet, że ten cień Mirara jej nie lubi, ale nigdy tej drugiej osobowości nie zobaczyła. Nie słyszała jej głosu.

Musiała się pogodzić z tym, że być może nie jest w stanie. Ale skoro Leiard potrafił ukryć przed nią część siebie, to pewnie potrafił także ją okłamywać. Możliwe, że ta rzekoma inna osobowość miała być wytłumaczeniem, jakiego chciał użyć, gdyby kiedykolwiek odczytała jego prawdziwe uczucia.

Jęknęła. Takie myśli prowadzą donikąd. Od kilku dni bez przerwy się zadręczam. Gdybym tylko potrafiła myśleć o czymś innym...

Rozejrzała się wokół siebie. Półka ciągnęła się w lewo i w prawo. Kiedyś, w dalekiej przeszłości, powierzchnia zbocza osunęła się trochę, odsłaniając pas skały i półkę opadającą z jednej strony aż do dna doliny, a z drugiej wspinającą się do szczytów. Większą jej część zakryły drzewa i inna roślinność, ale gdyby je usunąć i wyrównać powierzchnię, łatwo mogła się zmienić w wąską drogę.

Może zresztą była to stara, porzucona droga. Prowadząca dokąd? Zaciekawiona, postanowiła to sprawdzić i przecisnęła się między drzewami i krzakami. Po kilkuset krokach ścieżka się urywała. Z jednej strony strome zbocze opadało aż do dna doliny, ściana z drugiej była rumowiskiem, na wpół ukrytym pod trawą, która wyrosła w ziemi między kamieniami.

Odwróciła się, by wrócić na dawne miejsce, i zamarła.

O kilka stóp od niej stała jaśniejąca postać. Wysoka i silna, ale o lekkiej budowie, była wizerunkiem atletycznej męskości. Perfekcyjnie męskie usta wygięły się w uśmiechu.

: *Aurayo...*

- Chaia!

Osunęła się na kolana. Serce biło jej jak szalone. Za długo mnie nie było. Powinnam wrócić wcześniej... I nagle to użalanie się nad sobą wydało się jej niemądre. Samolubne. Wstydziła się za siebie. Zapomniała o swoich obowiązkach wobec bogów, aż skończyła się ich cierpliwość...

: *Jeszcze nie, Aurayo. Ale pora już, byś wybaczyła sobie i innym Białym. Powstań i spójrz na mnie.*

Podniosła się i stanęła, ale ze spuszczoną głową.

: *Nie wstydź się swoich uczuć. Jesteś tylko ludzką istotą, i to młodą. Potrafisz okazać współczucie tym, którzy są inni. To całkiem naturalne, że to współczucie może się zmienić w miłość.*

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę do jej twarzy. Kiedy palce dotknęły policzka, poczuła mrowienie. Nie było wrażenia nacisku - niematerialny dotyk był muśnięciem czystej magii.

: *Wiemy, że nie porzuciłaś swojego ludu. Nie powinnaś jednak pozostawać tutaj dłużej samotnie. Grozi ci niebezpieczeństwo, a nie chciałbym, by stała ci się krzywda.*

Zbliżył się jeszcze bardziej. Spojrzała na niego i poczuła, jak odpływają smutek i gniew. Pozostał jedynie zachwyt... Uśmiechnął się, jak ojciec uśmiecha się do dziecka, z sentymentalną pobłażliwością. A potem schylił się i musnął wargami jej usta.

I zniknął.

Wstrzymała oddech i cofnęła się o dwa kroki. Pocałował mnie! Chaia mnie pocałował! Dotknęła swych warg. Wspomnienie tego wrażenia wciąż było silne. Co to oznaczało?

Pocałunek boga nie może być tym samym co pocałunek śmiertelnika. Pamiętała, jak się uśmiechał - niczym ojciec rozbawiony wyczynami dziecka. Na pewno tym właśnie mu się wydaję - dzieckiem.

A rodzice nie całują dzieci, kiedy się na nie gniewają, przypomniała sobie. Całują, by pocieszyć, by okazać uczucie. To na pewno to...

Z uśmiechem stanęła na krawędzi. Pora ruszać. Ściągnęła do siebie magię i pchnęła się w powietrze. Dolina w dole zmalała.

Auraya skręciła w kierunku przełęczy.

Głuchy łoskot kazał jej znowu spojrzeć na ziemię. Spomiędzy głazów unosiły się smugi pyłu. Potem zatrzęsły się trawa, ziemia i kamienie. Słowa Chai odezwały się echem w jej umyśle.

„Nie powinnaś jednak pozostawać tutaj dłużej samotnie. Grozi ci niebezpieczeństwo..."

To, co działo się w dole, mogłoby chyba zagrozić nawet potężnej czarownicy. Poczuła strach, ale natychmiast stłumiła go równie silna ciekawość. Znieruchomiała w powietrzu i patrzyła. Kamienie toczyły się teraz w dół po zboczu, wzbijając obłoki pyłu. Ktoś - albo coś - miało się właśnie wynurzyć z wnętrza ziemi.

Słyszała opowieści o eksplodujących górach, wypluwających roztopioną skałę i powodujących zniszczenia w całej okolicy. Jeśli coś takiego miało się właśnie zdarzyć, to prawdopodobnie lepiej nie unosić się bezpośrednio nad ruchomymi skałami. Powinna jak najszybciej stąd odlecieć.

Jednak obszar chaosu był dość ograniczony. Wstrząsy nie obejmowały sąsiednich gór. Ziemia zachowywała się dziwnie tylko w miejscu, gdzie przed chwilą stała Auraya.

Chaia nie mówił, że mam wrócić do armii. Tylko tyle, żebym tu nie pozostawała samotnie. Czy będę bezpieczna, przyglądając się temu z drugiej strony doliny?

Przeleciała do formacji skalnej na drugim grzbiecie i obejrzała się. Ze zbocza spadały kamienie i formowała się jaskinia.

Przypomniała sobie historie o straszliwych podziemnych potworach. Pamiętała, jak przesadzone okazały się legendy o Siyee - opisujące ich jako przepięknych ludzi z ptasimi skrzydłami wyrastającymi z pleców. Prawdopodobne więc i te opowieści nie są prawdziwe. Jednakże, gdyby taka bestia miała się teraz pojawić, to Auraya chciała ją zobaczyć.

Ale lepiej, żeby ona mnie nie widziała.

Rozejrzała się, szukając możliwych kryjówek, po czym wsunęła się w ocienioną szczelinę. Była tak wąska, że Auraya mogła w niej stanąć tylko bokiem, a powietrze wewnątrz wydawało się zimne i

wilgotne, jednak ukryła ją i nie przesłaniała widoku doliny.

Ostry huk znowu ściągnął jej uwagę na przeciwległe zbocze. Gdy ucichł, zapanowała cisza i bezruch. Cała roślinność wokół skalnej półki zniknęła - trawy, drzewa i pnącza zostały zdmuchnięte razem z ziemią i kamieniami. To, co zostało, wyraźnie było dziełem człowieka.

Dostrzegła, że skały, które uważała za naturalne, są w rzeczywistości kamiennymi płytami. Odsłonięte zbocze usypane było ze zrujnowanego muru. Potężna belka leżała w poprzek nad otworem w skale. Na niej rozpoznała wyryty prosty symbol - kilof i łopatę.

To było wejście do kopalni.

Ogarnęło ją przerażenie. Przypomniała sobie omawianą na naradzie i odrzuconą możliwość, że pentadrianie pokonają góry przez kopalnie. Według ambasadora Dunwayu, chodniki kopalni nie sięgały aż do Hani.

Najwyraźniej jednak sięgały. Kiedy z ciemności wyłoniła się postać w czarnej szacie, z błyszczącym wisiorem w kształcie gwiazdy na piersi, zaczęła pojmować, jak bardzo ona i inni Biali nie docenili nieprzyjaciół. Czarownik uniósł głowę, wystawiając twarz na promienie słońca, a Aurayę przeszył lodowaty dreszcz. To był ten, który zaatakował ją i pokonał kilka miesięcy temu. Kuar.

Odszukała znajomy umysł.

: *Juran?*

Odpowiedź nadeszła od razu.

: *Auraya! Gdzie jesteś?*

: *Tutaj.*

Pozwoliła mu patrzyć na to, co widziała, a z otworu zaczęli się wysypywać kolejni pentadrianie. Mrugali w świetle dnia, ich przywódca zaś podszedł do krawędzi półki i wyciągnął przed siebie ręce, dłońmi w dół. Trawa i ziemia wzleciały w powietrze, odsłaniając strome schody na dno doliny. Kiedy oczyścił je całe, odsunął się na bok, a żołnierze zaczęli schodzić.

: *Gdzie jesteś?* powtórzył Juran, tym razem raczej wystraszonym niż oskarżycielskim tonem.

: *W dolinie równoległej do tej, która się poruszacie. Pokażę ci.*

Przesłała mu zapamiętany widok z góry.

: *A jak daleko jesteś od wylotu?*

: *Myślę, że jakiś dzień marszu. Jeśli wędrowali przez całą noc, mogą teraz zatrzymać się na odpoczynek.*

Gwar głosów i tupot maszerujących stóp wypełniły dolinę. Hałas stawał się coraz większy, w miarę jak z kopalni wylewali się kolejni pentadrianie. Wszyscy chyba z ulgą wychodzili na powietrze. Niektórzy przystawali, by odetchnąć i spojrzeć na słońce. Na dnie doliny zatrzymywali się, czekali i obserwowali, jak spod ziemi wynurzają się ich towarzysze. Przywódca stał przy otworze i uśmiechał się z wyraźną satysfakcją.

Ma z czego być dumny, uznała Auraya. To zadziwiający wyczyn.

: *To zmienia wszystko,* stwierdził Juran. *Musimy się spieszyć, jeśli chcemy wydać im bitwę. Dunwayczycy muszą podróżować nawet szybciej, żeby nas dogonić.*

: *Te pułapki, które zastawili na przełęczy, teraz się nie przydadzą.*

: *Przynajmniej spowolnią albo powstrzymają innych pentadrian, którzy spróbują się przekraść, żeby kąsać nas w łydki.*

: *Ile czasu ci trzeba, żeby zawrócić?*

: *Dzień. Może więcej. Będziemy musieli zmierzyć się z nimi na równinie.*

I stracić przewagę obrony na przełęczy... Auraya westchnęła. Masa czarnych szat w dolinie pod nią przypominała stale rosnącą kałużę atramentu.

: *Jak znalazłaś to miejsce?*

To pytanie zadała Dyara. Auraya nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

: *Przypadek. Szłam po tamtej półce. Pojawił się Chaia i ostrzegł, żebym tam nie zostawała. Kiedy odleciałam, zaczęła się trząść ziemia.*

: *Chaia ci powiedział, że oni zaraz wyjdą?* zdziwił się Juran.

: *Nie. Powiedział, że będę w niebezpieczeństwie, jeśli zostanę w tym miejscu. Na początku sądziłam, że powinnam odlecieć z doliny,*

ale kiedy zauważyłam, że te wstrząsy ograniczone są do niewielkiego obszaru, postanowiłam zostać i popatrzyć.

Kolejna postać dołączyła do czarownika na zboczu. Tym razem kobieta. Wydawała się znajoma.

: *Będziesz w niebezpieczeństwie, jeśli cię znajdą,* ostrzegł Juran.

Głośny skrzek odbił się echem w dolinie.

: *Tak,* zgodziła się Dyara. *Uciekaj stamtąd. Widzieliśmy już wszystko, co trzeba.*

Skrzydlate kształty wyfrunęły z otworu. Auraya wcisnęła się głębiej do kryjówki, gdy nad doliną zaczęły krążyć czarne ptaki...

: *Nie sądzę, żeby w tej chwili było to rozsądne. Chyba że nie przeszkadza wam, że odkryją, iż ich widziałam.*

Nastąpiła chwila milczenia.

: *Więc zostań,* zgodził się Juran. *Czekaj, aż odejdą.*

: *Miejmy nadzieję, że nie rozbiją obozu na noc,* dodała Dyara.

Kałuża czerni zmieniła się już w jezioro. Po kilku minutach z otworu wybiegły gibkie czarne kształty - vorny. Auraya patrzyła ze zmarszczonym czołem, jak okrutny czarownik, z którym walczył Rian, staje obok tamtej dwójki na półce.

Troje czarnych czarowników. Została jeszcze dwójka. Nie mogła teraz zrobić właściwie nic więcej, niż czekać i patrzeć, jak pojawiają się kolejni pentadrianie. Wyczuwała, że Biali nie koncentrują się na jej wizji - z pewnością muszą organizować wycofanie armii drogą z przełęczy.

Następna kobieta i mężczyzna dołączyli do trójki na krawędzi. Auraya z ulgą przyjęła fakt, że żadne z nich nie prowadziło innych groźnych zwierząt. Ptaki i vorny wystarczały aż nadto. Każda kolumna wrogich wojsk składała się z kilkuset pentadriańskich czarowników. Za nimi zawsze podążała mniej więcej setka mężczyzn i kobiet, dźwigających ciężkie ładunki. Obok nich maszerowało kilku ludzi w czarnych szatach, uzbrojonych w krótkie pejcze.

Niewolnicy, pomyślała Auraya i aż zadrżała z odrazy i litości. W armii nie było tarnów ani aremów - niewolnicy nieśli wszystkie

zapasy.

Wreszcie strumień ludzi się urwał. Kiedy schodami zeszli ostatni niewolnicy, piątka czarnych czarowników stanęła w szeregu na krawędzi półki. Przywódca rozpoczął mowę. Jego głos rozbrzmiewał potężnie, ale Auraya nie mogła go zrozumieć ani odczytać jego umysłu. Spojrzała w dół na mężczyzn i kobiety, koncentrując się na ich myślach. Z nimi nadeszło zrozumienie słów.

Kuar mówił o tym, że zanoszą do Ithanii Północnej sprawiedliwość i prawo. Drwił z cyrklian, którzy wierzą w martwych bogów. Tylko nowi bogowie istnieją. I niedługo już wszyscy poznają prawdę.

Auraya cofnęła się i pokręciła głową. Pewność i bezwarunkowa wiara w umysłach tych ludzi była naprawdę niepokojąca. Kiedy pentadriański przywódca wzniósł głos, znowu, choć z ociąganiem, poszukała umysłów wyznawców. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że wzywa swoich bogów, by przybyli. Uśmiechnęła się ponuro, zastanawiając się, jakiej czarnoksięskiej sztuczki użyje, by oszołomić wyznawców.

Obok niego pojawiła się jaśniejąca postać.

Auraya wpatrywała się w to zjawisko - mężczyznę w egzotycznej zbroi. Jej zmysły wibrowały od mocy, która promieniowała z tej istoty. Ale jak to możliwe?

: *Juran!*

: *Aurayo, czy to może zaczekać?*

: *Nie. Myślę, że powinieneś to zobaczyć.*

Pozwoliła mu patrzeć swoimi oczami i przekazywała wszystko, co odczuwa. Czarni czarownicy padli na ziemię przed zjawiskiem. Podobnie cała pentadriańska armia, nawet niewolnicy.

: *To iluzja,* zapewnił ją Juran.

: *Jeśli tak, to jest pierwsza, która promieniuje mocą. Nigdy nie czułam czegoś takiego, jedynie w obecności bogów.*

: *Krąg pięciorga to jedyni bogowie, którzy przetrwali wojnę,* stwierdził stanowczo Juran.

: *Więc może to nowy bóg,* podsunęła Dyara.

Piątka czarowników wstała. Odstąpili na bok, a zjawa wystąpiła naprzód. Jaśniejący mężczyzna nie wydawał żadnych dźwięków, a jednak ludzie w dole wiwatowali, jakby reagując na jego słowa.

: *Jeśli to rzeczywiście bóg, to mamy powód, żeby obawiać się ich jeszcze bardziej,* odezwał się Rian. *Wiemy, że ci ludzie wyznają pięcioro bogów. Dlaczego ten miałby się godzić na oddawanie czci czworgu innym, gdyby byli fałszywi?*

: *Piątka nowych bogów?* spytał z niedowierzaniem Juran. *I nasi ich nie wykryli?*

: *Musimy rozważyć taką możliwość,* przyznała Mairae.

: *Wiemy, że czarni czarownicy są potężni,* zauważył Rian. *Jak mogliby bez wsparcia bogów dorównywać nam mocą?*

: *Tak czy tak, wiemy już, że nie będzie to łatwa bitwa,* dodała Dyara.

: *Nie,* zgodził się Juran. *Nasi ludzie nie muszą o tym wiedzieć. Mogliby... stracić entuzjazm. Aurayo, spróbuj się stamtąd wydostać możliwie szybko. Musimy się spotkać i przemyśleć naszą strategię.*

Nad tłumem pentadrian zabrzmiały głośne okrzyki. Zjawa zniknęła. Auraya odetchnęła z ulgą.

: *Odszedł,* powiedziała.

Czarownicy zeszli po schodach. Jezioro czarnych szat rozdzieliło się na pięć części. Przywódca pentadrian stanął na czele kolumny i poprowadził armię w stronę wylotu z doliny. A widząc to, Auraya wyszeptała modlitwę dziękczynną do Chai.

43

Leiard otworzył oczy. Jechał wierzchem na aremie i był sam. Przed nim wyrastały góry, a droga wiła się w ich stronę. Poczuł nagłą panikę i ściągnął wodze.

Zmierzam w stronę przełęczy. Co się dzieje? Powinienem jechać w przeciwnym kierunku.

Owszem, zgodził się Mirar. *Ale ten twój głupawy uczeń uciekł i musimy go znaleźć.*

Jayim? Dlaczego miałby uciekać?

Nie wiem. Kiedy poszedłem go szukać, zniknął.

Szukać? Rozdzieliliście się?

Pomyślałem, że będzie wolał zostać sam.

Leiard poczuł rosnącą podejrzliwość.

Dlaczego? Co takiego zrobiłeś?

Kupiłem mu prezent, żeby go czymś zająć. Nie chciałbyś przecież, żeby był świadkiem spotkania z Aurayą.

Jaki prezent?

Ladacznicę. Kto by pomyślał, że taki młody człowiek jak Jayim tak się wystraszy?

Leiard jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

Powinieneś być mądry, doświadczony w sprawach umysłu i serca. Jak mogłeś popełnić taki błąd?

Nikt nie jest doskonały.

Jeśli pomyliłeś się co do Jayima, to mogłeś też mylić się co do Aurai.

Nie, odparł stanowczo Mirar. *Tylko zadurzony dureń mógłby nie dostrzec zagrożenia, jakie sprowadzałeś na nasz lud. Arleej je widziała. Juran też.*

A Auraya? Leiard poczuł, że serce mu pęka z rozpaczy. Co jej powiedziałeś?

Nic. *Nie spotkałem jej. A szkoda, bo miałem na to ochotę.*

Leiard spojrzał na góry i westchnął.

Jeszcze możesz mieć szansę. Musimy znaleźć Jayima.

Juran wyraźnie dał do zrozumienia, że Leiard musi dopilnować, by jego romans z Aurayą pozostał tajemnicą. Czyli Jayim może się uczyć tylko u Leiarda, ponieważ nie wolno mu łączyć się z żadnym innym tkaczem snów, by nie przekazać dalej tej wiedzy.

Oprócz Arleej, pomyślał. Ona wie. Popędził arema. Ona może go uczyć.

Ach, oczywiście! wykrzyknął Mirar. *Oddałem ci kontrolę, bo pomyślałem, że szybciej ode mnie odszukasz Jayima, Ale nie musiałem. W ogóle nie musimy tam wracać!*

Owszem, musimy. Jestem nauczycielem Jayima i nie mogę wyrzec się tego obowiązku bez jego zgody.

Oczywiście, że możesz. Juran kazał ci odejść. Będzie zły, jeśli wrócisz. Twój obowiązek, by nie sprowadzać kłopotów na twój lud, jest ważniejszy od zobowiązań wobec Jayima.

Odejść skąd? sprzeciwił się Leiard. Z namiotu? Z gór? Z Ithanii? Nie; nakazał mi opuścić Aurayę. I dopóki unikam jej towarzystwa, wykonuję jego polecenie. Wrócę i znajdę Jayima.

Nie. Będę z tobą walczył.

Leiard się uśmiechnął. Nie sądzę, żebyś próbował. Uważam, że w tej sprawie się ze mną zgadzasz.

Skąd ta pewność?

Sam ułożyłeś te reguły. I nawet bardziej niż ja musisz ich przestrzegać.

Na to nie usłyszał odpowiedzi.

Zastanawiał się, jak się zabrać do poszukiwań Jayima. Przede wszystkim powinien się skontaktować z Arleej. Ale w dzień na pewno nie śpi, więc nie zdoła do niej sięgnąć snem. Może jednak wyczuć, że jej szuka. Czasem potężnie Obdarzeni tkacze snów to potrafili, jeśli nic ich nie rozpraszało.

Leiard zeskoczył z arema i odprowadził zwierzę na pobocze drogi, gdzie stał wielki, wydłużony głaz. Na jego powierzchni wyryto liczby. Takie znaki były nową dekoracją traktu wschodnio - zachodniego; umieścili je tu cyrklianie, w odległości mniej więcej

dnia marszu od siebie nawzajem.

Usiadł oparty plecami o głaz, zamknął oczy i wprowadził się w trans senny. Nie było to trudne, bo czuł się tak, jakby nie spał od wielu dni.

Bo nie spaliśmy.

Cicho!

Leiard spowolnił oddech i poszukał znajomego umysłu.

: *Arleej?*

Odczekał chwilę i zawołał znowu. Po trzecim wezwaniu usłyszał cichą odpowiedź.

: *Leiard? Czy to ty?*

: *Tak, to ja.*

: *Brzmisz trochę inaczej. To na pewno ty, a nie Mirar?*

: *Tak, ja. Czy jest z tobą Jayim?*

: *Tak.*

Odetchnął z ulgą.

: *A gdzie obozujecie?* zapytał.

: *Jesteśmy na drodze. Zawróciliśmy. Raeli mówi, że widziano pentadrian wychodzących z kopalni po tej stronie gór. Cyrkliańska armia cofa się, żeby zastąpić im drogę. A co z tobą?*

: *Zatrzymałem się przy trakcie. Wątpię, czy was wyprzedziłem, więc prawdopodobnie zmierzacie w moją stronę. Zaczekam tu na was.*

: *Dobrze. Jayim ucieszy się ze spotkania z tobą.*

Leiard otworzył oczy. Wstał i przeprowadził arema do miejsca, skąd mógł obserwować drogę przed sobą. Usiadł znowu. W brzuchu burczało mu głośno, ale był zbyt zmęczony, by jeszcze raz wstać i sprawdzić, czy zwierzę niesie jakieś zapasy żywności.

Ile minęło, odkąd pozwoliłem ci przejąć kontrolę? spytał Mirara.

Półtora dnia.

I co robiłeś w tym czasie?

Nie chcesz wiedzieć. Choć prawdę mówiąc, głównie szukałem Jayima.

Leiard westchnął. Masz rację. Chyba nie chcę wiedzieć.

Puścił powróz arema. Zwierzę korzystało z okazji i skubało trawę. Wożenie jeźdźca było łatwiejsze niż ciągnięcie wyładowanego tarnu. Jeśli tylko zwierzęta dostawały wodę i miały dość trawy przy drodze, mogły przez wiele dni utrzymywać stałe tempo. Leiard przyjrzał się uważnie - arem nie wyglądał na chorego czy poranionego. Mirar o niego dbał.

Chociaż w tej chwili marzył tylko o tym, by położyć się i zasnąć, wstał, by zająć się zwierzęciem.

Słońce stało już wysoko, kiedy wreszcie zjawili się tkacze snów. Arleej jak zwykle powoziła pierwszym tarnem. Leiard dosiadł swojego arema i czekał.

- Tkaczu snów Leiardzie - odezwała się Arleej, kiedy podjechała już blisko. - Cieszę się, że do nas wróciłeś. Oszczędzi mi to kłopotu szukania cię później.

- Starsza tkaczy snów Arleej... Miło cię znowu widzieć. Ale przecież nie próbowałabyś mnie szukać?

Kiedy tarn go minął, popędził arema i ruszył obok. Arleej przyglądała mu się krytycznie.

- Po tym, co mi opowiedział Jayim? Na pewno. - Zmarszczyła brwi. - Wyglądasz na zmęczonego. Spałeś trochę? Jadłeś coś?

Skrzywił się.

- Chyba od dłuższego czasu nie. Nie pamiętam niczego z ostatniego półtora dnia.

- A więc Jayim miał rację. Mirar zapanował nad tobą.

- Domyślił się?

- Tak. Bał się, że to może na stałe, więc wrócił do nas po pomoc. Co postawiło mnie w trudnej sytuacji: szukać cię czy wykonywać swoje obowiązki uzdrowiciela?

- Dokonałaś słusznego wyboru.

- Jayim tak nie uważa. - Spojrzała na niego. - Cyrkliańska armia pędzi za nami. Musimy zejść jej z drogi, ale pozostać dostatecznie blisko, by udzielać pomocy. Nigdy bym nie pomyślała, że ktoś może znaleźć przejście pod górami.

Leiard nie wydawał się zdziwiony.

- Takie rzeczy się zdarzały. Nie cała droga prowadzi pod ziemią. Korytarze trafiają do wapiennych jaskiń, a te do ukrytych dolin, które pasterze gowtów wykorzystują jako pastwiska. Jest też stara kopalnia po tej stronie gór, ale z tego, co ostatnio słyszałem, wejście się zawaliło. Jednak to nic takiego, czego nie mógłby odblokować potężny czarownik.

Arleej przyjrzała mu się i pokręciła głową.

- Gdybyś nie zrezygnował ze stanowiska, brałbyś udział w naradach wojennych. Dyskutowali o możliwości przejścia pod górami przez dawne kopalnie. Mógłbyś ich ostrzec.

- Gdybym to zrobił, czyby mi uwierzyli? Kąciki jej ust uniosły się lekko.

- Auraya na pewno.

- Nie wspominałaś, że się nad tym zastanawiali. Arleej zmarszczyła czoło.

- Raeli powiedziała nam dwa dni temu. W noc, kiedy zniknąłeś.

- Czyli gdyby Juran mnie nie przepędził, powiedziałbym ci, że to możliwe, ty byś uprzedziła Raeli i to jej Biali mogliby nie wierzyć zamiast mnie.

Arleej odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem.

- Kiedyś będę musiała powiedzieć o tym Juranowi. - Spoważniała. - Tak właśnie zrobię, jeśli on dowie się, że do nas wróciłeś, i zaprotestuje.

- Nie mogę zostać, Arleej. Popatrzyła na niego z powagą.

- Musisz zostać, Leiardzie - rzekła stanowczo. - To, co się z tobą dzieje, jest nienaturalne i niebezpieczne. Jedynie my możemy ci pomóc. Jak tylko skończy się ta głupia wojna, chcę zabrać cię ze sobą do Somreyu. Wątpię, czy Juran będzie protestował przeciwko wielkiej połaci morza między tobą i Aurayą. - Uniosła brwi. - Zgodzisz się na to?

Odwrócił wzrok. To, co proponowała, było o wiele rozsądniejsze niż ucieczka na ślepo, bez żadnego celu. Z pewnością Mirar to zrozumie. Poczuł wdzięczność dla Starszej tkaczy snów.

- Wydaje się, że im bardziej staram się odjechać, tym więcej jest

powodów, żebym został. Dziękuję ci, Arleej. Pozostanę z wami.

Odetchnęła.

- Dobrze. A teraz wracaj do swojego ucznia. Martwił się o ciebie.

- Nefryt...

Głos wyrwał Emerahl z głębokiego snu. Ciało niechętnie wynurzało się na powierzchnię świadomości. Skrzywiła się z irytacją, odetchnęła i otworzyła oczy.

Rozea pochylała się nad nią z uśmiechem.

- Szybko. Usiądź. Posłałam służące po trochę rzeczy. Musimy cię wyszykować.

Emerahl przetarła oczy. Tarn stał w miejscu.

- Wyszykować? Po co?

- Wojsko nadchodzi. Lada chwila będzie nas mijać. To idealna okazja, żeby pokazać dziewczęta. Chodźmy. No, ocknij się. Wyglądasz okropnie.

Klapa odsunęła się i służąca podała Rozei misę z wodą, ręcznik oraz należącą do Emerahl skrzynkę z grzebieniami, szczotkami, szminkami i kremami. Emerahl zauważyła, że karawana zjechała z drogi na pobocze. I wtedy usłyszała w oddali rytmiczny dźwięk - odgłos wielu, bardzo wielu stóp maszerujących w takt bicia w bębny.

- Wojska wracają? - Emerahl zamarło serce, gdy dotarło do niej znaczenie słów Rozei.

Armia maszerowała od przełęczy. Dla madame okazja do wystawienia swojego towaru była zbyt dobra, by z niej nie skorzystać. Dla Emerahl znalezienie się w polu widzenia setek kapłanów mogło się okazać katastrofą.

- Tak - potwierdziła Rozea. - Wracają drogą. Nie mam pojęcia dlaczego. Dowiemy się, kiedy tu dotrą, co nastąpi już za parę chwil. Doprowadź się do porządku. Sprawdzę, co z pozostałymi. Przyślę kogoś po ciebie.

Emerahl wzięła miskę i ręcznik. Rozea wyszła, a ona zaczęła myć twarz. Muszę znaleźć sposób, żeby się z tego wykręcić - i to szybko. Spojrzała na skrzynkę i stopą odsunęła wieko. Gdyby wyglądała mało reprezentacyjnie, Rozea mogłaby pozwolić, by się

nie pokazywała. Powód musi być przekonujący, a Emerahl widziała dość chorych ludzi, by wiedzieć, jak udawać chorobę - moc uzdrawiania można wykorzystać także do innych celów.

Podniosła misę, zamknęła oczy i skoncentrowała się na swoim żołądku.

Gdy klapa odsunęła się znowu, Emerahl leżała na ławie, głową zwrócona do wyjścia. Jęknęła i rękami zasłoniła oczy przed jaskrawym światłem dnia. Służąca popatrzyła na nią, potem na zawartość misy, i odbiegła. Po chwili zjawiła się Rozea.

- Co się dzieje? - spytała wystraszona.

Emerahl odwróciła nieco głowę, żeby Rozea mogła zobaczyć przyciemnioną kredką skórę pod oczami.

- Próbowałam - zapewniła słabym głosem. - Myślałam, że dam radę udawać... Przepraszam...

Rozea wezwała służącą i kazała jej zabrać misę. Wspięła się do wnętrza.

- Ale co... co się z tobą dzieje?

Emerahl przełknęła głośno ślinę i potarła żołądek.

- To chyba jedzenie... Kiedy wcześniej usiadłam... Ble, niedobrze mi...

- Marnie wyglądasz... - Rozea pokręciła głową. - Nie mogę pozwolić, żebyś odstraszała mi klientów. - Bębniła palcami o rękaw sukni. - W porządku. Jesteś moją faworytą i zwykli żołnierze nie mogą się na ciebie gapić. Tylko ci, których stać i zechcą zapłacić za spojrzenie na tak niezwykłą urodę.

Emerahl jęknęła z rezygnacją. Madame uśmiechnęła się i poklepała ją po ramieniu.

- Odpocznij trochę. Takie rzeczy nie trwają długo. Na pewno do wieczora poczujesz się znacznie lepiej.

Kiedy wyszła, Emerahl uniosła głowę i uchyliła trochę klapę. Nic nie widziała, ale odgłos maszerujących stóp był teraz głośniejszy. Cichy chichot innych dziewcząt wzbudził jej uśmiech - na pewno to dla nich ekscytujące. A potem męski głos - należący do jednego ze strażników - zawołał:

- Idą już!

W polu widzenia pojawił się jeździec, a jej serce niemal się zatrzymało.

Juran...

Na pierwszy rzut oka wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy widziała go sto lat temu. Ale potem przyjrzała się uważniej i zrozumiała, że to nieprawda. Upływ czasu widoczny był w jego oczach, w twardym, stanowczym wyrazie twarzy. Nadal był przystojny i pewny siebie, ale lata go zmieniły. Trudno było jej stwierdzić, jaka to zmiana, ale nie miała zamiaru tego sprawdzać.

Kiedy przejechał, pojawiła się jeszcze para jeźdźców. Kobieta i mężczyzna, oboje przystojni, oboje ubrani w takie same białe szaty bez żadnych ozdób. Kolejna dwójka Białych... Kobieta także miała surową minę. Wyglądała na jakieś czterdzieści lat. Jadący obok mężczyzna sprawiał wrażenie o wiele młodszego. I miał niepokojąco przenikliwy wzrok. Spojrzał na karawanę zamtuzu, skrzywił się z dezaprobatą i dumnie odwrócił głowę.

Dalej jechał tarn, a w nim dwie kobiety - obie ubrane w biel i obie atrakcyjne. Twarz blondynki była bardziej przyjazna niż tej drugiej. Kiedy zauważyła karawanę, wygięła usta w lekkim, ironicznym uśmieszku, z którym wydawała się starsza i mądrzejsza, niż to sugerował wygląd.

Nieśmiertelni, pomyślała Emerahl. Od razu widać, jeśli już człowiek kilku widział. Ciekawe, czy mnie też tak łatwo rozpoznać...

Druga kobieta nosiła rozpuszczone włosy. Miała wielkie oczy i trójkątną twarz. Spojrzała na karawanę i szybko odwróciła głowę. Nie dlatego że nimi gardziła, jak stwierdziła Emerahl - wyglądała, jakby cierpiała.

Obie zniknęły, a za nimi pojawił się następny tarn. Ten był mocno udekorowany i otoczony przez żołnierzy w wyszukanych mundurach. Emerahl rozpoznała barwy i symbole obecnego króla Torenu. Za nim jechało jeszcze kilka ozdobnych tarnów - genriański, somreyański, hanijski. Dalej zaczęli się przesuwać kapłani i kapłanki. Opuściła klapę i przewróciła się na wznak; serce waliło jej

jak młotem.

Więc to byli ci, których nazywają Białymi, myślała. Ci, których wybrali bogowie, by wykonywali za nich brudną robotę wśród śmiertelnych. Nasłuchiwała odgłosów przechodzącej armii i nawoływań dziewcząt. Dręczyło ją nieprzyjemne uczucie, że tak wielu boskich wyznawców przechodzi obok, oddzieleni od niej są tylko tkaniną budy tarnu. Nie powinnam zostawać z zamtuzem po tamtym napadzie, uznała. Trzeba było zabrać swoje pieniądze i odejść.

Ale nie chciała zostawiać dziewcząt bez ochrony; nie wiedziałaby, czy są bezpieczne. A gdyby odeszła, być może nigdy nie miałaby tak niezwykłej okazji, by zobaczyć Wybranych Bogów, sama nie będąc widzianą. Uśmiechnęła się do tej myśli. Wstępuje we mnie duch przygody, myślała. Co będzie dalej?

Westchnęła. Karawana doścignęła armię, choć w nieoczekiwany sposób. Rozea może teraz znaleźć sobie nowych strażników. Nie ma powodu, żebym nadal tu zostawała. Mogę odejść... ale czy rzeczywiście?

Karawana podąży pewnie za wojskiem i rozłoży się z obozem gdzieś niedaleko. Narażała się na to samo niebezpieczeństwo, co poprzednio - że wiadomość o tym, iż uciekła faworyta Rozei, skłoni do poszukiwań całą armię.

A jednak, gdyby tu została, ryzykuje, że Rozea wspomni o jej talentach w uzdrawianiu jakiejś niewłaściwej osobie. I u Emerahl mogą zacząć się pojawiać zaciekawieni goście ze stanu kapłańskiego.

Zaklęła.

Klapa znów się odchyliła. Uniosła głowę i zobaczyła wpatrzoną w siebie Rozeę. Kobieta usiadła naprzeciwko, z bardzo poważną miną.

- Wydaje się, że wrogowie znaleźli inną drogę przez góry. Cyrklianie pędzą, żeby ich zatrzymać.

- Też tam pojedziemy? - spytała Emerahl słabym głosem.

- Tak, ale w bezpiecznej odległości. Nie wiemy, czy ci pen-

tadrianie nie planują zasadzki. Nie chciałabym trafić w sam środek bitwy.

- Nie.

- Teraz odpocznij - poradziła Rozea. Uniosła klapę i Emerahl z ulgą zobaczyła na drodze szeregi zwykłych żołnierzy. - Wątpię, żebyśmy dzisiaj wieczorem miały jakichś klientów. Zdaje się, że armia będzie maszerować przez całą noc. Dogonimy ich jutro... Ach, jest kapitan Spirano.

Poderwała się i wysiadła. Emerahl położyła się na wznak i słuchała odgłosów maszerujących wojsk. Trwały i trwały... Zanim ucichły, była pewna, że minęły długie godziny.

Dziewczęta umilkły, pewnie korzystały z okazji, by się przespać bez nieustannego kołysania tarnu. Emerahl słyszała, jak strażnicy namawiają Rozeę na partię kamieni. Nasłuchiwała przez chwilę, zbierając się na odwagę, wreszcie usiadła i wilgotnym ręcznikiem otarła twarz.

Kiedy wysiadła, Rozea obejrzała się.

- Lepiej wyglądasz. A jak się czujesz?

- O wiele lepiej - odparła Emerahl. Podeszła do stolika i spojrzała na planszę. - Kamienie... Nie uwierzylibyście, jaka to stara gra.

Strażnik grający z Rozeą przesunął pionek. Emerahl parsknęła.

- Zły ruch.

Mężczyzna rzucił jej spojrzenie pełne urazy. To był ten sam strażnik, który „uratował" ją przed dezerterem, podczas napadu wyrzuconym przez nią z tarnu.

- A co ty byś zrobiła? - spytała Rozea. Emerahl spojrzała na strażnika.

- To jego gra.

- Proszę bardzo - powiedział. - Wygraj ją dla mnie, a możesz wziąć połowę puli.

Zaśmiała się.

- Rozea nie pozwoli mi tego zatrzymać.

- Oczywiście, że pozwolę - obiecała z uśmiechem madame.

Przesunęła pionek strażnika na poprzednią pozycję.

Emerahl spojrzała jej w oczy, po czym popatrzyła na planszę. Przyciągnęła nieco magii i posłała ją do czarnego pionka, który przejechał po planszy i przewrócił się na inny.

Strażnicy podskoczyli, a potem wyszczerzyli radośnie zęby.

- Sprytna sztuczka - stwierdził ten przyjazny.

- Tak. - Rozea wpatrywała się w planszę. - Bardzo sprytna.

- Poddajesz? - spytała Emerahl.

- Chyba nie mam wyboru - przyznała Rozea.

- Co? - Strażnik wytrzeszczył oczy. - Wygrała dla mnie?

- Tak. - Rozea przesunęła w jego stronę kilka monet. - Należy się jej połowa.

- Należy mi się od ciebie o wiele więcej, Rozeo - odparła Emerahl. - I nadszedł czas, byś zapłaciła. Odchodzę.

Madame oparła się i skrzyżowała ręce na piersi.

- Mamy umowę.

- Zrywam ją.

- Jeśli teraz odejdziesz, to z pustymi rękami. Emerahl uśmiechnęła się.

- Tak mówiłaś. Ale to chyba nieuczciwe. Zarobiłam dla ciebie sporą sumę. Jeśli nie zwrócisz mi pieniędzy, na które zapracowałam, to je sobie wezmę.

Rozea opuściła ręce i wsparła dłonie na biodrach.

- I jak to zrobisz? Będziesz magicznie rzucała we mnie pionkami? Nie boję się twoich czarów. Gdybyś potrafiła mnie zmusić do oddania ci pieniędzy, już byś to zrobiła.

- Twoja słabość, Rozeo, polega na tym, że wszystkich uważasz za tak samolubnych i chciwych jak ty. Zostałam tylko, żeby chronić dziewczęta. Teraz spotkaliśmy się z wojskiem i możesz wynająć strażników. Nie jestem ci już potrzebna.

- Potrzebna? - zaśmiała się Rozea. - Pochlebiasz sobie. Emerahl uśmiechnęła się tylko.

- Możliwe. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz używałam magii, by zrobić komuś krzywdę. Nie lubię tego. Wolę znaleźć inne rozwiązanie. Dlatego dam ci ostatnią szansę. Oddaj mi moje zarobki.

Już.

- Nie.

Emerahl podeszła do tarnu, w którym spały Żagiew i Fala.

- Gdzie idziesz? - usłyszała głos Rozei. Zignorowała ją. Wyciągnęła rękę i odciągnęła klapę wejścia.

- Zbudźcie się, dziewczęta!

Ocknęły się i mrugały sennie, kiedy wspięła się do środka.

- Nefryt?

- Co się dzieje?

- Odchodzę - wyjaśniła Emerahl. Zbliżyła się do przedniej ławy. - Wstańcie.

Fala i Gwiazdka podniosły się. Emerahl sięgnęła pod ławę i znalazła niewielką zasuwkę. Pociągnęła ją i skrytka się otworzyła. Wewnątrz leżały skrzynki.

W otworze pojawiła się twarz Rozei.

- Co ty ro... Przestań!

Emerahl wyjęła jedną ze skrzynek. Była zachęcająco ciężka.

- Oddaj mi to! - zażądała madame.

Emerahl otworzyła wieko. Dziewczęta gwizdnęły z wrażenia, gdy zobaczyły wewnątrz monety. Rozea zaklęła i zaczęła się wspinać do wnętrza.

Krótkim gestem i lekkim uderzeniem magii Emerahl wypchnęła ją na zewnątrz. Rozea poleciała do tyłu, ale podtrzymali ją strażnicy.

- Zatrzymajcie ją! - krzyknęła. - Okrada nas!

- Nie okradam - poprawiła ją Emerahl. - Otóż Panilo powiedział, że bierzesz dwa razy więcej, niż mi płacił na początku, to znaczy sto... - Przerwała, gdy strażnicy bez przekonania próbowali wejść do tarnu, a ona delikatnie ich odepchnęła. - Sto renów od klienta. Odkąd zaczęłam pracować w twoim przybytku, miałam czterdziestu ośmiu klientów, z których wielu było bogatszych i ważniejszych niż Panilo. Uznajmy, że to ładne i okrągłe pięć tysięcy renów, czyli dziesięć sztuk złota. Jedną odejmę jako należność za miesięczne wyżywienie i zakwaterowanie. .. i za suknie, które i tak na pewno oddasz następnej dziewczynie. Potrzebne mi będzie trochę drobnych, więc...

Emerahl zaczęła liczyć, świadoma, że Rozea stoi o kilka kroków i przygląda się jej z nienawiścią. Dziewczęta zamilkły, zbyt zaskoczone, by coś mówić.

- Nefryt? Nefryt? Jesteś tego pewna? - odezwała się nagle Żagiew cichym i zatroskanym głosem. - Niedługo wybuchnie bitwa. Będziesz całkiem sama.

- Nic mi nie grozi. To raczej o was się martwię. Nie pozwólcie, żeby Rozea was narażała. Jak najszybciej wracajcie do Torenu.

- Nie rozumiem. - To był głos Gwiazdki. - Jeśli masz takie Dary, że mogłaś mnie uzdrowić i odebrać Rozei swoje pieniądze, skąd w ogóle wzięłaś się w zamtuzie?

Emerahl spojrzała na nią i wzruszyła ramionami.

- Ja... sama nie wiem. Chyba pech.

Pytanie trochę ją zaniepokoiło. Nie tylko dlatego że mogą się zastanawiać nad powodami, dla których czarownica i uzdrowicielka zajęła się prostytucją akurat w czasie, gdy kapłani kogoś podobnego poszukiwali. Resztę swoich zarobków odliczyła w srebrze i złocie, by krócej to trwało.

Kiedy skończyła, spojrzała kolejno na dziewczęta. Wciąż wydawały się oszołomione.

Uśmiechnęła się.

- Uważajcie na siebie. I posłuchajcie mojej rady: jeśli zażądacie tego wszystkie naraz, Rozea będzie musiała oddać wam zarobki. Nie wydajcie wszystkiego, odłóżcie coś na przyszłość. I nie wierzcie, że nie ma dla was życia poza zamtuzem. Wszystkie jesteście utalentowanymi i pięknymi kobietami.

Żagiew także się uśmiechnęła.

- Dzięki, Nefryt. Ty też na siebie uważaj.

Inne również wymruczały pożegnanie. Emerahl odwróciła się i wysiadła z tarnu. Pochwyciła spojrzenie służącego.

- Przynieś mi sakwę z jedzeniem i wodą... I jakieś zwykłe ubranie.

Mężczyzna zerknął na Rozeę, a ta - ku zdumieniu Emerahl - kiwnęła głową.

- Myślę, że nie mogę cię zmuszać, żebyś została, skoro tak bardzo ci zależy na odejściu - stwierdziła z rezygnacją. - Nie jestem tym zachwycona, ale skoro musisz, to musisz. Gdybyś jednak kiedyś postanowiła wrócić do tego fachu, nie myśl, że będziesz u mnie źle widziana. Nie jestem aż taka głupia, żeby nie rozważyć twojego ponownego zatrudnienia.

Emerahl przyglądała jej się w zadumie, wyczuwając u kobiety niechętny szacunek. Czemu nagle zrobiła się taka przyjazna? Może nie wzięłam takiej kwoty, jakiej się obawiała... Ciągle nie mogę się przyzwyczaić do tego, jak przez ostatnie sto lat wzrosły ceny.

- Będę o tym pamiętać - obiecała.

Wrócił służący i wręczył jej sakwę. Szybko przejrzała zawartość, po czym zarzuciła ją sobie na ramię.

- Uważaj na dziewczęta - zwróciła się jeszcze do Rozei. - Nie zasługujesz na nie.

Odwróciła się plecami i ruszyła drogą w stronę Torenu.

44

Kiedy słońce wzeszło ponad horyzont, jego blask rozlał się szeroko po Złotych Równinach. Cienie cyrkliańskich kapłanów, kapłanek, żołnierzy i łuczników wyciągały się niczym palce, wskazujące oskarżycielsko masę najeźdźców w czarnych szatach.

Ostatni ślad znużenia ulotnił się szybko, gdy Tryss obserwował zbliżające się do siebie wojska. Z całej cyrkliańskiej armii tylko Siyee odpoczywali zeszłej nocy, ale i tak był to niespokojny sen. Niewielu potrafiło zapomnieć o nadchodzącej bitwie. Podejrzewał, że jeśli nawet ziemiochodzący przestali maszerować, i tak niewiele odpoczęli w tę długą noc. Nawet z powietrza widział u nich przejawy podniecenia i nerwowości.

Czarne skrzydlate kształty wzleciały spomiędzy pentadrian - groźna chmura potencjalnej śmierci. Wokół Tryssa rozległy się niespokojne okrzyki. Popatrzył na mężczyzn i kobiety wokół siebie - ludzi z jego klanu. Nie była to jego rodzina ani żona - Mówcy uznali, że zbyt wiele wymagaliby od dowódcy skrzydła, gdyby kazali mu prowadzić do bitwy własnych krewnych. Ale przecież klany nigdy nie były tak wielkie, by Siyee nie znał wszystkich członków swojego. Wciąż trudno było sobie wyobrazić, że ci ludzie zginą, jeśli popełni błąd.

Lęk ścisnął mu żołądek. Zignorował go i nabrał tchu.

- Te czarne ptaki mają dzioby i pazury! - zawołał. - Ale muszą się do nas zbliżyć, żeby je wykorzystać! My mamy strzałki i bełty! Zabijemy je, zanim nas dosięgną!

Nie wiedział, czy jego słowa wywarły jakiś skutek. Być może twarze stały się trochę mniej ponure, a bardziej zdeterminowane. Ptaki krążyły nad głowami swoich panów, czekając na początek bitwy.

Armie zbliżały się w straszliwie powolnym tempie. Tryss obserwował z góry, jak ziemiochodzący idą ku sobie po lekko falującej, trawiastej równinie. Armia pentadrian dotarła na szczyt

niskiego grzbietu po jednej stronie doliny i zatrzymała się. Cyrklianie przemaszerowali na drugą stronę i także stanęli.

Obie armie czekały.

Po chwili samotna postać w czerni wyszła spomiędzy pentadrian, a promienie słońca błysnęły na czymś zawieszonym na jej szyi. Tryss zauważył przed szeregami cyrklian pięć białych sylwetek. Jedna ruszyła naprzód.

Dwaj dowódcy spotkali się na środku doliny.

Chciałbym słyszeć ich rozmowę, myślał Tryss. Czy proponują sobie wzajemnie szansę, by się wycofać? Czy przerzucają się groźbami i przechwałkami o swojej potędze, jak dzieci? Ale to przecież wojna religijna, przypomniał sobie. Może prowadzą dyskusję teologiczną. Zaczął sobie wyobrażać, jak mogłaby przebiegać.

- Moi bogowie są prawdziwi.

- Nie, wcale nie. Moi.

- Twoi nie są prawdziwi!

- Właśnie że są!

Z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Chyba zgłupiałem, pomyślał. To poważna sprawa. Będą ginąć ludzie...

Ta myśl sprawiła, że rozbawienie ulotniło się bez śladu. Dwie postacie rozeszły się i Tryss znów poczuł ucisk w żołądku. Patrzył, jak stają przed swymi wojskami.

Zabrzmiał daleki głos rogów. Pentadriańska armia ruszyła naprzód; cyrklianie zrobili to samo. Krzyki dotarły aż do uszu Tryssa. Gwizd Sirri rozciął powietrze - nadszedł czas, by Siyee włączyli się do walki. Jak jeden zanurkowali w dół.

Dwie armie jeszcze się ze sobą nie zderzyły, ale Tryss widział, jak powietrze w dolinie faluje i migocze, kiedy magiczne ataki uderzały w magiczne tarcze. Docierały do niego dziwne odgłosy darcia, trzaski, a od czasu do czasu całą dolinę wprawiało w wibracje potężne dudnienie.

Na dole można chyba ogłuchnąć, pomyślał.

Wirująca nad pentadrianami czarna chmura rozpadła się na

fragmenty i pomknęła w górę. Jedna z części sunęła prosto na Tryssa. Zapomniał o wszystkim, patrząc na zbliżające się nieuchronnie czarne ptaki. Świstem wydał rozkazy i skierował swoje skrzydło prosto ku nim. A potem oparł palce na dźwigniach uprzęży.

- Teraz!

Brzęknęły sprężyny; te same dźwięki słyszał wokół siebie. Rój strzałek otoczył stado. Tryss krzyknął z radości, gdy ptaki, skrzecząc, spadały na ziemię. Dał sygnał, by zmienić kurs, i uśmiechnął się szeroko, widząc, jak jego ludzie z tryumfalnymi gwizdami wykonują akrobatyczne figury.

Usłyszał krzyk bólu i radosny nastrój zniknął jak zdmuchnięty. Zawrócił. Kilka ptaków przetrwało i chwyciło pazurami nogi jednej z Siyee. Ich ciężar ściągał ją w dół, a one przesuwały się wolno wzdłuż nogawek ku skrzydłom.

Nie wiedząc, co robić, ale w nadziei, że coś wymyśli, pomknął w jej stronę. Nie mógł przecież używać rąk, by strącić ptaki... Zamiast tego zacisnął zęby, złożył ramiona i całym pędem uderzył w nogi dziewczyny. Usłyszał piski, krzyk zdziwienia, a potem poczuł, że spada. Rozłożył skrzydła, chwycił wiatr i zawrócił, by sprawdzić, co się stało.

Kobieta była wolna. Nogi miała zakrwawione. Zauważył lecącego w dole ptaka, nieranionego, ale wyraźnie ogłuszonego.

Tryss szybko chwycił w zęby dmuchawkę, wessał strzałkę i strzelił.

Ptak zaskrzeczał protestująco, gdy trafił go pocisk. Tryss nie czekał, aż zacznie działać trucizna, tylko spojrzał w górę i wezwał swoje skrzydło. Podlecieli bliżej. Poza zadrapaniami, nikt nie odniósł ran.

Z ulgą popatrzył poza nich i z przerażenia aż wstrzymał oddech. Niebo pełne było zaciekle walczących Siyee i ptaków. Na jego oczach runęło na ziemię trzech Siyee.

Przekonał się również, że kolejne dwa skrzydła także zdołały się przebić przez zabójcze ptaki. Teraz lecieli ponad walczącymi. Przypomniał sobie instrukcje Sirri.

- Ptaki spróbują was zatrzymać. Nie pozwólcie im odciągnąć się od celu. Kierujcie się do ich władców, czarnych kapłanów i kapłanek. Spróbujcie najpierw ich zabić. Kiedy zniknie ośrodek kierujący, ptaki mogą się stać nieszkodliwe.

Z trudem odwrócił się od starcia i pociągnął za sobą całe skrzydło. Nie protestowali, ale miny mieli posępne. Tryss spojrzał na pentadrian pod sobą i zastanowił się, jak poprowadzić pierwszy atak.

Wszędzie było pełno krwi. Powietrze cuchnęło krwią i unosiła się w nim czerwona mgiełka. Twarze, ubrania i miecze były od niej śliskie. Trawa nie była już żółta, ale ohydnie pomarańczowoczerwona.

Nadchodził kolejny potwór w czerni. Żołnierz uniósł tarczę, by zablokować atak, i ciął mieczem. Poruszenia były pewne, swobodne. Lata ćwiczeń wreszcie okazały się przydatne. Miecz był przedłużeniem ramienia. Poczuł, jak ostrze tnie ciało i roztrzaskuje kość - dawało to większą satysfakcję niż twarde odbicie od owiniętego sianem drewna na ćwiczeniach.

Pentadrianin osunął się na kolana i zabulgotał, gdy krew zaczęła wypełniać mu płuca. Szarpnięcie uwolniło miecz, pchnięcie w gardło powstrzymało sięgającą po nóż rękę.

Nagłe sapnięcie po lewej... Żołnierz uchylił się i odwrócił, trafiając atakującego w brzuch. Tamten wytrzeszczył oczy w zdumieniu. Tchórz uderzający w plecy... Zostawił go, by umierał powoli.

Jeden rzut oka wystarczył mu, by zorientować się, że wojownicy dookoła w większości walczą po tej samej stronie. Odwrócił się, szukając wroga. Daleki warkot zwrócił jego uwagę. Po prawej stronie zobaczył toreńskich żołnierzy, padających pod zębami niewiarygodnie wielkich stworów. Vorny... Patrzył z niedowierzaniem, po czym rzucił się do biegu.

I wtedy zaczepił o coś stopą. Upadł i wylądował twarzą w błocie. Zaklął, a wtedy żar przypalił mu uszy. Sięgnął rękami, by je przykryć. Dotknięcie zabłoconych dłoni było cudownie kojące, ale nie stłumiło tego, co nadeszło potem: wrzasku. Nieziemskiego

wrzasku, który trwał i trwał.

Stało się coś strasznego.

Uniósł głowę. Płuca wypełniło mu boleśnie suche, pełne dymu powietrze. Zaczął kaszleć. Podparł się rękami, przykucnął i rozejrzał się.

Trawa zniknęła... nie, zmieniła się w kruche, poczerniałe kępki. Na ziemi leżały czarne kształty. Niektóre się poruszały. Drgały, wiły się... Były źródłem wrzasku. Przełknął gorycz, gdy zrozumiał, czym są.

Ludźmi. Żołnierzami, obok których walczył jeszcze przed chwilą...

Podniósł się na nogi i natychmiast zrozumiał, co zaszło. Wypalona trawa i martwi czy konający ludzie tworzyli długą, ciemną linię aż do stanowisk nieprzyjaciela. To był atak czarownika. Zabójcza magia.

Żadne szkolenie nie może przed tym ocalić.

Miał szczęście, że znalazł się na samej krawędzi ataku. Pancerz, grube ubranie i upadek na twarz w błoto ocaliły go, choć uszy nadal mocno piekły. Spojrzał w dół i zobaczył wyciągniętą rękę pentadrianina, o którego się potknął. Jego zwęglona twarz była równie czarna jak szata.

Zacisnął zęby, podniósł miecz - wciąż ciepły po uderzeniu magii - i ruszył w stronę swoich bardziej pechowych towarzyszy.

Żadne łącze między Aurayą i resztą Białych nie było jeszcze tak silne i tak zupełne.

Walczyli jak jedno, a Juran kierował ich mocami. Okazało się to zaskakująco łatwe - żadnego narzucania woli. Po prostu otworzyli się przed nim i wykonywali polecenia. On za to miał cztery dodatkowe umysły i cztery pary oczu do wykorzystania przy podejmowaniu decyzji oraz cztery dodatkowe pozycje, skąd mógł zaatakować.

Okazało się, że to bardzo skuteczna metoda koordynacji ich sił. A płynna współpraca budziła radosny dreszcz. Żadnych nieporozumień. Żadnych błędów.

A jednak mieli pewne ograniczenia. Nieprzyjaciel znalazł je już u

Mairae i w pewnym momencie musiała zostawić odsłoniętych żołnierzy, aby sama się bronić. Ich śmierć ją wzburzyła i zaszokowała wszystkich, ale wspólne poczucie celu sprawiło, że się nie zachwiali.

Rian także musiał się wysilać. Juran raz po raz był zmuszany do interwencji, gdy któryś z potężniejszych czarowników uderzał Riana albo Mairae. Auraya zdołała jak dotąd odeprzeć wszystkie ataki nieprzyjaciela, ale wiedziała, że przywódca pentadrian jest od niej silniejszy. Ona także będzie potrzebowała wsparcia, jeśli rzuci na nią całą swoją moc.

Jednak tego nie robił. Może nie miał dość siły, żeby się osłaniać i równocześnie ją atakować. Ale może mu się to udać, jeśli inni czarni czarownicy go osłonią.

Spojrzała na Białych, stojących spokojnie, a potem na czarowników pentadrian po drugiej stronie doliny.

Pięcioro czarnych czarowników, myślała. Pięcioro Białych. Przypadek? Nie, raczej zwlekali, póki nie będzie ich dosyć, by się z nami zmierzyć.

Na polecenie Jurana, Auraya cisnęła mocą w jednego z czarowników. Wyczuła przesunięcie jego tarczy, kiedy pozostała czwórka pomagała mu się osłonić.

: *On jest z nich najsłabszy,* stwierdził Juran. *Z informacji naszych szpiegów wynika, że to ten, którego nazywają Sharneyę. Możemy wyko...*

Przywódca pentadrian uderzył w górę, w stronę Siyee. Na rozkaz Jurana, Auraya postawiła barierę, by przechwycić atak. Ulgę Mówcy Sirri wyczuła przez Mairae - Siyee nosiła jej pierścień łączący.

Atak był coraz silniejszy i Auraya wytężyła siły, by mimo ciosów utrzymać barierę. Prędkość i łatwość ściągania magii spadła, więc zrobiła kilka kroków naprzód i znowu potrafiła wzmocnić osłonę. Nie po raz pierwszy rozrzedziła magię w swym otoczeniu. W ciągu kilku godzin bitwy parokrotnie przesuwali się od grzbietu ku środkowi doliny; podobnie czarni czarownicy, kiedy magia wokół stawała się trudniej dostępna. Niesamowite, jak wiele jej zużyli, ale

Auraya nie miała czasu na zdumienie.

Gdzieś blisko rozległ się zwierzęcy warkot, a potem krzyk bólu i grozy. Żaden człowiek czy bestia nie mogły jej dosięgnąć, ale dobrze pamiętała, że większość Obdarzonych cyrkliańskich kapłanów i kapłanek stoi za nią i Białymi, na rozkaz dodając swoją moc do ataków.

Odwróciła się; zobaczyła, jak wielki czarny vorn rozrywa gardło kapłanki. Musiał się zakraść od tyłu, żeby zaatakować bez ostrzeżenia.

: *Zabij go, Aurayo,* rozkazał Juran.

Raziła zwierzę. Vorn zawył, kiedy strumień magii odrzucił go od ofiary, a potem padł na ziemię, wstrząsany drgawkami. Inne czarne kształty odskoczyły od kapłanów i kapłanek wokół niej. Pobiegły między cyrkliańskimi żołnierzami zbyt szybko, by mogła je zaatakować, nie narażając własnych ludzi.

: *Myślisz, że pentadrianie zaatakowali Siyee, by odwrócić naszą uwagę od vornów, kiedy będą się przekradać na nasze tyły?* spytała.

: *Tak,* przyznał Juran, *I wysłali te bestie, żeby zaatakowały nie nas, ale kapłanów wokół ciebie. Myślę, że chcieli cię sprawdzić, przekonać się, czy będziesz osłaniać ludzi nieba nawet kosztem innych wojsk. Na razie pozwólmy im w to wierzyć. Później to wykorzystamy.*

: *Dobrze,* odpowiedziała, ale nie mogła się pozbyć wątpliwości. *Może naprawdę mam skłonność, by osłaniać Siyee bardziej niż innych?*

: *Nie, nie masz,* uspokoiła ją Dyara.

Jednak Aurayę nadal dręczył lęk. Czy Juran każe innym bronić Siyee zamiast niej? Czy też pozostawi Siyee bezbronnych wobec magicznych ataków?

45

Choć słońce stało wysoko, wiatr był chłodny i patrzący ze wzniesienia otulali się taulami. Danjin spoglądał wokół siebie na dziwną mieszaninę obozowych sług i ważnych osobistości, które zebrały się razem, by obserwować bitwę. Tworzyli długą linię rozciągniętą wzdłuż brzegu doliny. W większej części składała się ze służących, kucharzy i robotników obozowych. Pośrodku wzniesiono pawilon. Na trawie ułożono dywan i rozstawiono krzesła dla najwyższych rangą: dwóch królów i Moderatora somreyańskiej Rady Starszych. Doradcy, dworzanie i służba otaczali pawilon, wchodząc tylko na wezwanie. Stajenni czekali w pobliżu z osiodłanymi wierzchowcami.

Biali uparli się, by dwóch monarchów nie brało udziału w bitwie. Danjin uśmiechnął się, wspominając tę dyskusję.

- Jesteśmy gotowi walczyć wraz z naszymi ludźmi - oświadczył oburzony król Berro, gdy się dowiedział, że dla niego i Guirea nie ma w bitwie miejsca.

- Bądź pewien, że o tym wiemy - odparł Juran. - Ale jeśli wejdziesz na pole bitwy, zginiesz. W chwili, kiedy pentadrianie znajdą lukę w naszej obronie... a znajdą... uderzą w tych, którzy wydają się im ważni. - Urwał na moment. - Aby zwiększyć swoje szanse przetrwania, moglibyście się przebrać za zwykłych żołnierzy, ale wolałbym, żeby do tego nie doszło. Jesteście zbyt ważni, by ryzykować.

Berro zmarszczył groźnie brwi.

- No to dlaczego posyłacie do bitwy Mówcę Sirri?

- Trudno ją odróżnić od innych Siyee, a że Siyee wybierają swoich przywódców, wskazano innego Mówcę, który zajmie jej miejsce, gdyby zginęła.

- Wyznaczyłem swojego następcę - przypomniał Juranowi Berro.

- Dziecko - odparł brutalnie Biały. - Trzeba jeszcze kilku lat, nim dorośnie do odpowiedzialności. - Skrzyżował ręce na piersi. - Jeśli

chcesz wyjechać na pole bitwy, nie zatrzymamy cię. Ale nie będziemy cię osłaniać kosztem zwycięstwa. Jeżeli szukasz chwały, zapłacisz za nią życiem... i osłabisz swój kraj.

W tym momencie odchrząknął Moderator Meeran.

- Ja sprawuję władzę z wyboru, ale dla mnie też nie znaleźliście miejsca.

- Nie - zgodził się Juran, zwracając się do Somreyanina. - Wybacz, że o tym przypominam, ale jesteś stary i nie masz doświadczenia w walce. Dla nas cenniejsze są twoja umiejętność negocjacji i zdolność jednoczenia innych.

Potem poprosił Meerana, by podczas bitwy kierował ludźmi, którzy nie walczą, oraz negocjował w imieniu Białych, gdyby ich armia przegrała. Nikt nie pytał, czemu w bitwie bierze udział I - Portak, władca Dunwayu. Wszyscy wiedzieli, że przywódca narodu wojowników musi walczyć wraz ze swymi ludźmi. W innym wypadku musiałby oddać władzę. Towarzyszyło mu kilku dunwayskich czarowników - wojowników ognia.

Danjin spojrzał na Lanrena Songmakera. Doradca wojskowy stał trochę przed patrzącymi i w skupieniu obserwował bitwę. Postawa zdradzała napięcie, palce zaciskały się i prostowały. Światło słońca błyszczało na białej obrączce na środkowym palcu prawej dłoni - pierścień łączący z Juranem dawał przywódcy Białych widok z góry na pole bitwy. Danjin spojrzał w dolinę i zmarszczył brwi.

Pentadriańscy czarownicy i Biali razili się wzajemnie od wielu godzin, ale zdawało się, że nikt nie zyskał przewagi. Uwalniana magia była z oddali prawie niewidzialna, więc trudno było ocenić, co się właściwie dzieje. Dostrzegał jakieś skutki tylko wtedy, kiedy jedna strona zdołała zaszkodzić drugiej.

Najczęściej cierpieli bezpośrednio walczący. Żadna ze stron jak dotąd nie zabiła więcej żołnierzy nieprzyjaciela niż druga. Danjin zauważył jednak, że ataki dotykały zawsze żołnierzy i kapłanów osłanianych przez Mairae i Riana. Dwójka wrogich czarowników miała chyba podobne problemy. Obie strony wykorzystywały moc Obdarzonych wyznawców, by wzmocnić tych najsłabszych.

Reszta sił nie była tak wyrównana. A przewaga, jak zauważył przerażony Danjin, leżała po stronie pentadrian.

Z początku nie było to takie wyraźne. Pentadrian było mniej, nie mieli jeźdźców ani plattenów bojowych. Kiedy jednak obie armie zderzyły się ze sobą, stało się jasne, że większość pentadriańskich piechurów jest wyszkolona i gotowa do walki z jednymi i drugimi.

No i były vorny.

Wielkie bestie niosły śmierć i zniszczenie wszędzie, gdzie się pojawiły. Poruszały się tak szybko, że tylko dzięki szczęściu i wspólnym wysiłkom wielu łuczników udawało się je powalić. Wyglądało, jakby bawiły się zabijaniem. Danjin patrzył, jak cztery bestie odcięły grupę żołnierzy od bitwy. Rozdarły gardła tym, którzy próbowali się opierać, a resztę wygoniły z doliny, bez trudu biegnąc za uciekającymi, jakby żartobliwie kłapiąc zębami przy ich piętach.

- Dlaczego my nie mamy takich stworów? Czemu dla nas nie walczą żadne vorny? - mruczał król Berro.

- Myślę, że Biali nie mieli czasu, by je wyhodować - odparł spokojnie Guire.

- To obrzydlistwo! - warknęła kobieta.

Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Doradca tkaczka snów Raeli patrzyła na nich chłodno.

- Gdyby wasi Biali stworzyli takie ohydne bestie, czy byliby lepsi albo szlachetniejsi od pentadrian? - spytała.

Obaj monarchowie zamyślili się. Było jasne, że Berra jej słowa nie do końca przekonały.

- Wyhodowali za to Nosicieli - zauważył Meeran. - A moi rodacy dostarczyli im małych pomocników.

Skinieniem głowy wskazał klatkę trzymaną przez Danjina.

Danjin spojrzał na Figla. Do tej chwili veez zachowywał spokój. Doradca nie ośmielił się zostawić go w tarnie, pewny, że zwierzątko ucieknie i zacznie poszukiwać Aurai.

- Reyny i veezy? - prychnął Berro. Popatrzył w lewo, gdzie stajenni trzymali piątkę Nosicieli na wypadek, gdyby Wybrani ich potrzebowali. - Tylko Biali mają Nosicieli i nawet z nich nie

korzystają... A do czego przyda się na wojnie gadający zwierzak?

- Wyjść - powiedział Figiel.

Ciężar w klatce przesunął się. Danjin spojrzał w dół.

- Nie. Zostań.

- Wyjść - upierał się Figiel. - Daleko. Uciekać.

- Nie. Auraya przyjdzie do ciebie później.

Klatka zakołysała się, gdy veez zaczął biegać dookoła niej.

- Uciekać! Zły idzie! Uciekać! Chować! Uciekać! Danjin zmarszczył czoło. Veez był coraz bardziej wzburzony.

Być może gdzieś blisko stał jego porywacz... Odwrócił się i przyjrzał twarzom wokół siebie. Ci najbliżsi przyglądali się veezowi z zaciekawieniem. Popatrzył dalej, w lewo i w prawo, a potem przez ramię.

I zobaczył cztery czarne kształty, skaczące po zboczu grzbietu w ich stronę.

Krzyknął ostrzegawczo. Zabrzmiały przerażone wrzaski, kiedy ludzie zauważyli vorny. Nastąpiła chwila wahania, gdy ze zgrozy chwytali sąsiadów albo zderzali się, próbując uciekać. Linia patrzących rozbiegła się; większość pognała w dół, w stronę bitwy, zostawiając tylko nielicznych, zesztywniałych z przerażenia. W pobliżu pawilonu rozległ się mocny, stanowczy głos.

- Wszyscy do środka i tam zostać! - zawołał wysoki kapłan Haleed, zajmując pozycję między vornami a monarchami. - Ja się tym zajmę.

Wszyscy wcisnęli się za dość wątpliwą osłonę płóciennej ściany pawilonu. Na zewnątrz stajenni gorączkowo zakrywali derkami oczy Nosicieli i innych reynów, by nie wpadły w panikę i się nie wyrwały. Podprowadzili zwierzęta możliwie blisko pawilonu.

Songmaker nadal stał na zewnątrz, odwrócony plecami do całego zamieszania, obserwując bitwę. Danjin zauważył zdumienie na jego twarzy, kiedy zobaczył uciekających do doliny ludzi. Zawołał go. Songmaker obejrzał się i zdziwienie zmieniło się w przestrach, gdy objął wzrokiem całą scenę. Kiedy szedł do pawilonu, w pobliżu rozległ się zwierzęcy skowyt.

Danjin obejrzał się. Jeden z vornów leżał na ziemi i drżał jeszcze. Pozostałe odbiegały do tyłu, skacząc na boki, by unikać ataków Haleeda.

- Ach, magia... - mruknął Songmaker. - Żołnierz może z wiekiem stracić formę, ale czarownik zawsze jest użyteczny.

Dopóki ma szybkie reakcje, pomyślał Danjin. Haleed zdołał zranić jeszcze jednego vorna, ale większa część jego uderzeń nie trafiała w szybkie bestie. Wyraźnie nie potrafił przewidywać ich nagłych zmian kierunku.

- Twój zwierzak okazał się jednak użyteczny - szepnął jakiś głos do ucha Danjina. - Nie martw się o niego. Wróci.

Obejrzał się na Raeli. Spuściła głowę. Podążył za jej wzrokiem i uświadomił sobie, że klatka, którą nadal ściska, jest pusta, a drzwiczki otwarte. Zaniepokoił się i rozejrzał za veezem.

- Nie przejmuj się. Umie sobie radzić - uspokoiła go tkaczka.

- Z vornami?

- One nie polują na veeza. Polują...

Krzyk bólu, a po nim nieludzkie skrzeczenie zagłuszyły jej słowa. Danjin zobaczył, że Haleed chwieje się pod ciężarem masy czarnych, pierzastych kształtów. Na białej szacie kapłana pojawiły się plamy krwi.

- Ptaki! - zawołał ktoś. - Pomóżcie mu!

- Oczy - szepnął Songmaker. - Zaatakowały oczy.

Meeran rzucił rozkaz. Służący pobiegli naprzód, ale zatrzymali się nagle i pospiesznie wrócili do pawilonu. Danjin zauważył, że czarny kształt skacze na Haleeda i przewraca go na ziemię. Ogarnęła go zgroza, gdy następne dwa przebiegły obok kapłana. Tłum cofnął się gwałtownie i Danjin poczuł, że jest odpychany na bok.

Zaczął się przewracać, ale ktoś chwycił go za rękę i pomógł odzyskać równowagę. Wokół panował chaos: krzyki, jęki, wydawane rozkazy i skrzeczenie ptaków. Jak to możliwe, że tak niewielu ludzi robi tyle hałasu? Jakaś dłoń złapała go za ramię i odwróciła.

Stanął przed Raeli i popatrzył na nią zdziwiony. Ponad jej

ramieniem widział oddalającego się galopem reyna z królem Berro w siodle.

- Trzymaj się blisko - powiedziała tkaczka snów. - Nie wolno mi zabijać, ale mogę cię osłonić.

Kiwnął głową. Gdy się obejrzała, zabrzmiał głośny trzask i pawilon zwalił się na ziemię. Cały dach obsiadły czarne ptaki. Raeli rozłożyła ręce, powietrze zaiskrzyło, a potem wypełniło się trzepotem, gdy stado wystartowało do lotu.

Uwagę Danjina zwrócił tętent kopyt. Odwrócił się i zobaczył odjeżdżających szybko Nosicieli. Każdy niósł dwóch jeźdźców, a Danjin z ulgą zauważył wśród nich Moderatora Meerana.

- Dobrze - stwierdziła Raeli. - Mniej kłopotów.

Po chwili czarny kształt wyczołgał się spod płótna i ruszył w pogoń.

Raeli skrzywiła się.

- Mam nadzieję, że Nosiciele potrafią biegać tak szybko, jak o nich mówią.

- Potrafią - zapewnił ją Danjin. - Ale czy...

Spod ruin pawilonu zabrzmiał mrożący krew w żyłach warkot i Danjin podskoczył. Cofnął się, gdy płótno zaczęło się przesuwać i falować. Raeli zachowała spokój. Schyliła się i chwyciła krawędź płachty.

- Nie wypuszczaj go!

Zignorowała jego wołanie i odciągnęła tkaninę na bok.

Danjin skrzywił się, widząc pod nią pokrwawione ciała. Czarny kształt poderwał się i skoczył na Raeli, ale kobieta wykonała szybki gest i jakaś siła odrzuciła vorna na bok. Przyjrzał jej się z budzącą lęk inteligencją, a potem odbiegł.

Znajomy głos przeklinał gwałtownie. Danjin ze zdumieniem zobaczył, że Songmaker wstaje chwiejnie na nogi. Lewa ręka krwawiła mu obficie z głębokich szram.

- Mogę cię uzdrowić - zaproponowała Raeli, podchodząc bliżej, by obejrzeć rany.

Songmaker zawahał się; oczy spojrzały w pustkę. Potem

zmarszczył czoło.

- Dziękuję, doradco tkaczko snów - powiedział oficjalnym tonem. - Ale muszę odmówić. Na razie wystarczy mi bandaż.

Zacisnęła wargi.

- Zobaczę, co da się znaleźć.

Danjin poczuł do niej sympatię, a potem - zaskakująco - gniew. Chyba muszę się zgodzić z Aurayą, że zakaz korzystania z pomocy tkaczy snów jest bezsensowny. Vorn nadal czaił się w pobliżu. Nie odwracając się do niego plecami, Raeli oderwała pas materiału z tuniki martwego służącego i opatrzyła ranę Songmakera.

- Jeśli Biali chcą, żebyś tu został, niech lepiej przyślą kapłana. I to szybko - powiedziała. - Mogę odpędzić jednego czy dwa takie stwory, ale raczej nie dam sobie rady, gdyby przybiegło ich więcej. - Spojrzała surowo. - Przekaż swojemu przywódcy, że nasi ludzie będą tu za kilka godzin. Przypomnij, że nie wspieramy żadnej ze stron, ale oferujemy pomoc wszystkim, którzy jej potrzebują. Jeśli to pentadrianie nas przyjmą, a nie cyrklianie, nie będzie to naszą decyzją.

Lanren patrzył na nią przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Kilku kapłanów jest już w drodze.

Słońce opadło już nisko, kiedy karawana tkaczy snów wreszcie się zatrzymała. Ich liczba wzrosła do około setki. Leiard wiedział, że jeszcze więcej zmierza na pole bitwy. Inne grupy czekały w sąsiednich dolinach. Rozproszeni, zmniejszali zagrożenie, że cyrklianie - gdyby po bitwie ogarnął ich fanatyczny szał - pozbędą się setek tkaczy snów za jednym zamachem.

Zatrzymali się o godzinę marszu od pola bitwy i Arleej zebrała dwudziestoosobową grupę, by towarzyszyła jej w drodze. Pozostali dotrą na miejsce, kiedy starcie dobiegnie końca. Niektórzy mieli zostać i bronić tarnów na wypadek, gdyby jacyś maruderzy próbowali je obrabować.

Leiard przyłączył się do grupy Arleej. Zabrał ze sobą Jayima, wiedząc, że jeśli go zostawi, chłopak i tak wymknie się za nimi. Teraz, gdy dotarli do regionu walk, widział, jak ciekawość i nie-

cierpliwość zmienia się w grozę.

Dolina pociemniała od błota, zwęglonej trawy i trupów. Dobiegał ich nieustający, stłumiony odległością hałas. Składał się z krzyków, wołań, szczęku mieczy i tarcz, a także huków i trzasków magii. Pięć białych postaci stało naprzeciw pięciu czarnych, spoglądając ponad doliną. Między nimi rozbłyskiwało i falowało powietrze. Wielkie, zasłane trupami wypalone plamy znaczyły miejsca, gdzie magiczna bitwa wyrwała się poza osłony.

Leiard pamiętał inne bitwy. Mniejsze, ale równie straszne. Choć to nie jego wspomnienia, nie były przez to mniej wyraźne. Magia i śmierć. Zniszczenie i ból... Zauważył jednak, że tym razem pojawiły się nowe elementy. Czarne bestie - te vorny, które Auraya kiedyś opisywała - szalały wśród cyrkliańskich oddziałów, śmiertelnie groźne i trudne do zabicia. Siyee krążyli nad głowami żołnierzy i czarowników. Mniejsze czarne sylwetki ścigały ich, szarpiąc skrzydła albo atakując większą liczbą, by ściągnąć ofiary na ziemię.

Zobaczył, że trójka Siyee wyrywa się z tego powietrznego starcia, pikuje nad głowy pentadrian i zasypuje ich deszczem małych pocisków. Jeden z nich runął, gdy łucznicy posłali w górę chmurę strzał, ale pozostawili za sobą kilku zabitych.

Jednakże każda ofiara to dla Siyee tragedia - było ich tak niewielu...

Muszę mieć nadzieję, że cyrklianie zwyciężą, pomyślał nagle. W przeciwnym razie może to być koniec Siyee.

Największą tragedią jest to, że w ogóle się tu znaleźli, stwierdził ponuro Mirar. *To chyba największa zbrodnia twojej byłej kochanki: pokojowy lud zmieniła w wojowniczy i poprowadziła ich na śmierć.*

- No więc jesteśmy... Co na to powiesz, Leiardzie? Odwrócił głowę. Obok niego stała Arleej.

- Głupota - odparł. - Marnotrawstwo. Uśmiechnęła się posępnie.

- To prawda. Ale co sądzisz o dwóch armiach? Jakie są ich mocne i słabe punkty? Kto zwycięży?

Leiard zastanowił się, obserwując pole bitwy.

- To raczej typowe starcie. Czarownicy walczą z tyłu, osłaniając

przed magią swoją armię i siebie. Silniejsi z ich pomocników stoją przy nich i oddają swoją moc.

- Chodzi ci o Białych? - spytał Jayim. - I kapłanów?

- Zgadza się - odparł Leiard. - Ci, którzy mają zadania raczej fizyczne niż magiczne, prowadzą własne walki, zawsze w nadziei, że czarownicy ich osłonią. Żołnierze, łucznicy, jeźdźcy, woźnice plattenów bojowych, Siyee, vorny, czarne ptaki... Może nie mają zbyt silnych Darów, ale używają wszystkiego, co tylko mogą.

- Siyee są jak łucznicy - zauważył Jayim. - Powietrzni łucznicy.

- Tak - zgodziła się Arleej. - Wykorzystują zaskoczenie, by zaatakować i uciec, zanim pentadriańscy strzelcy zdążą odpowiedzieć.

- Taką samą strategię mają vorny - zauważył jeden z tkaczy. - Ale nie muszą przy tym walczyć z czarnymi ptakami.

- Siyee jakoś się przed nimi bronią - stwierdził Leiard. - Ptaki chyba nie atakują pojedynczo, tylko w grupach, a wtedy są łatwiejszym celem.

- A co się stanie, jeśli cyrkliańska armia przegra, ale Biali wygrają? - spytał Jayim.

Leiard uśmiechnął się ponuro.

- Jeśli Biali pokonają pentadriańskich czarowników, mogą zabić pozostałych nieprzyjaciół albo zażądać kapitulacji.

- A czy porzuciliby własnych żołnierzy, żeby całej magii użyć do zabicia czarnych czarowników?

- Może w ostateczności...

- Ja... Ja tego nie rozumiem. Po co w ogóle ściągają wojska do bitwy? Widzę, w jaki sposób kapłani pomagają Białym, oddając im swoje magiczne moce, ale przecież żołnierze na nic nie wpływają.

Arleej parsknęła śmiechem.

- Pomyśl, co jest przyczyną wojny. Prawie zawsze chodzi o przejęcie władzy, żeby z pokonanych zebrać jak najbogatszy plon. Najeźdźca skupia się na tym, co się zdarzy po bitwie. Jeśli zwycięży, musi utrzymać kontrolę. Nawet potężni czarownicy nie mogą być w więcej niż jednym miejscu naraz.

Dlatego sprowadzają pomocników. Pomniejszych czarowników. Żołnierzy. Ludzi, których skusi perspektywa łupów i ziemi. Obrońcy wiedzą o tym, więc wystawiają armię jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby przegrali. Jeśli żołnierze obrońców zabiją możliwie wielu żołnierzy najeźdźców, zostanie mniej potencjalnych zdobywców, którzy mogliby zapanować nad mieszkańcami. Podbity lud ma większe możliwości, by później podjąć walkę. Jayim pokiwał głową.

- A gdyby żołnierze czekali, aż czarownicy skończą walkę, i ich strona przegra, czarownicy wroga i tak by ich zabili. Więc równie dobrze mogą od razu włączyć się do bitwy.

- Zgadza się. - Arleej westchnęła. - Chociaż większość żołnierzy nie zdaje sobie z tego sprawy. Robią to, co się im każe, i wierzą swoim dowódcom.

- Zdarzały się przypadki, kiedy czarownicy dawali ocalałym żołnierzom szansę kapitulacji - przypomniał Leiard.

Jayim spojrzał na bitwę i zmarszczył czoło.

- Czy my... czy cyrklianie wygrywają czy przegrywają? Leiard popatrzył na dolinę i starannie przemyślał sytuację obu stron. Zauważył, że zwykli żołnierze walczą, ale nie przejmują się zbytnio, ponieważ - jak tłumaczył Jayimowi - końcowe zwycięstwo lub porażka w ostatecznym rozrachunku zależy od Białych.

Wydawało się, że cyrkliańscy kapłani i kapłanki ponoszą dotkliwsze straty niż czarownicy wspierający przywódców pentadrian. Widział o wiele więcej ciał w białych szatach niż w czarnych. I powoli zaczynał rozumieć, co jest tego przyczyną.

Vorny. Były tak szybkie i skuteczne w zabijaniu, że od czasu do czasu udawało się im przedostać przez cyrkliańską obronę i zaskoczyć jakiegoś kapłana. W dodatku żadna z cyrkliańskich formacji nie była równie skuteczna w usuwaniu nieprzyjacielskich czarowników. Tylko Siyee potrafili ich zaatakować, ale czarne ptaki blokowały te próby.

- Pentadrianie mają przewagę - uznał. Arleej westchnęła.

- Największym wyzwaniem, z jakim musi się zmierzyć tkacz

snów, nie są uprzedzenia ani nietolerancja, ale chwila, gdy musi patrzeć bezczynnie, jak jego własny kraj przegrywa wojnę. - Spojrzała na Jayima. - Nie stajemy po żadnej stronie. Jeśli włączysz się do walki, przestaniesz być tkaczem snów.

Chłopak kiwnął głową. Na jego młodej twarzy pojawiło się napięcie i smutek - ale i stanowczość. Leiard poczuł równocześnie dumę i żal. Jayim się nie zawaha, ale też nie będzie siebie za to lubił.

Arleej odwróciła się i spojrzała badawczo na Leiarda.

- A ty?

Leiard uniósł brwi.

- Ja?

- Nie kusi cię, żeby pobiec i kogoś ratować?

Nagle zrozumiał znaczenie jej słów. Auraya. Czy może bezczynnie patrzeć, jak Auraya zostaje pokonana? Jak umiera?

Serce zabiło mu szybciej. Spojrzał na pole bitwy - na pięcioro Białych. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy? Zawsze wydawała się taka silna, pewna siebie... Mogło mi się nie podobać, że jest jedną z boskich Wybranych, ale to oznaczało też, że jest bezpieczna. Nieśmiertelna. Chroniona przez magię i bogów.

Bogowie... Przecież nie pozwolą, żeby przegrali ich wybrani przedstawiciele.

Jeśli w to wierzysz, to jesteś głupi, szepnął Mirar.

- Co mógłbym zrobić, żeby ich ocalić? - zapytał szczerze. - Pojedynczy czarownik? Wątpię, czy moje działanie miałoby jakikolwiek wpływ. - Świadom, że głos zdradza jego rozterkę, spojrzał na Arleej. - Mam wpływ tylko jako uzdrowiciel, jak zawsze.

Arleej ze współczuciem ścisnęła jego ramię.

- I to znakomity...

Kiedy odeszła, Leiard westchnął ciężko. Nie chciał więcej przyglądać się bitwie. Nie, jeśli oznaczało to, że zobaczy śmierć Aurai i w żaden sposób nie zdoła jej pomóc.

Mogę ci oszczędzić tych cierpień, zaproponował Mirar.

Nie, odparł. Jestem tu, żeby uzdrawiać.

Mogę to robić za ciebie...

Nie. Kiedy to się skończy, pojedziemy do Somreyu i wreszcie się ciebie pozbędę.

Myślisz, że Arleej potrafi cię naprawić? Nie jestem pewien, czy ci się spodoba, kiedy zacznie ci grzebać w umyśle. Mnie chyba też nie.

Wydawało mi się, że chcesz odejść.

To zależy, czy Biali wygrają tę bitwę, czy nie. Jeśli tak, pozwolę ci jechać do Somreyu i zobaczymy, czy Arleej poradzi coś na naszą sytuację.

A jeśli Biali przegrają? spytał Leiard.

Mirar nie odpowiedział.

46

Tryss szybował szerokim łukiem w nadziei, że zobaczy, jak przebiega bitwa. Nie mając bezpośredniego celu, czarnego ptaka do walki ani niczego innego, co mogłoby zająć jego uwagę, nagle zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest zmęczony. Bolały go wszystkie mięśnie. Zauważył, że krwawi z kilku skaleczeń i zadrapań, choć nie pamiętał, skąd się wzięły.

Za nim leciała połowa jego skrzydła. Popatrzył na nich krytycznie, zauważając rany i oznaki zmęczenia. Tyssi krwawiła z głębokiego rozcięcia, które go niepokoiło. Reszta wydawała się sprawna. Rozejrzał się, sprawdzając, jak przebiega walka w powietrzu. Liczba czarnych ptaków wyraźnie się zmniejszyła - co dało mu ponurą satysfakcję - ale i liczba Siyee spadła. Mniej więcej o połowę.

Niektórzy odlecieli, by uzupełnić zapasy strzałek - ale nie większość. Ogarnął go smutek. Duża część z tych brakujących nie żyła. Ludzie, których znał. Ludzie, których lubił. Ich strata bolała. I wszystko teraz wydawało się takie głupie...

Czemu się zgodziliśmy tu przybyć? Dlaczego podpisaliśmy traktat? Mogliśmy zostać w domu. Oddać południowe tereny osadnikom. Wycofać się na najwyższe szczyty.

I głodować...

Westchnął. Walczymy, ponieważ cyrklianie byli lepszym sojusznikiem w chwili, kiedy straciliśmy nadzieję, że światowe wydarzenia na nas nie wpłyną. Lepiej w nich uczestniczyć i ponosić konsekwencje, niż nie uczestniczyć, a konsekwencje ponosić i tak.

Tryumfalny krzyk kazał mu spojrzeć w dół. Zobaczył, jak skrzydło Siyee wzbija się w górę, wystrzeliwszy w nieprzyjaciela ulewę zatrutych strzałek i bełtów. Dowódcą, jak zauważył, był Sreil. Pamiętał, że Drilli jest w jego skrzydle, więc poszukał jej wzrokiem. Leciała blisko czoła i uśmiechała się groźnie.

Ogarnęła go ulga i wdzięczność losowi. Sam jej widok poprawił

mu nastrój. Żyła... I ja też, pomyślał. A póki żyję, będę walczył.

Ocenił rzędy bełtów i strzałek umocowanych do uprzęży - została mniej więcej trzecia część zapasu. Wykorzysta je, a potem zabierze skrzydło do obozu po więcej. Obejrzał się na towarzyszy i dał sygnał, by lecieli za nim. A potem zanurkował ku szeregom nieprzyjaciół.

Nauczył się z postawy i ruchów ziemiochodzących odczytywać, na co skierowana jest ich uwaga. Blade twarze pentadrian łatwo było zobaczyć na tle ich czarnych szat, zwłaszcza kiedy patrzyli w górę. Skierował się do grupy wpatrującej się w skupieniu w jedną z czarownic.

I nagle wszystkie twarze równocześnie zwróciły się w stronę Tryssa. Zauważył ręce wyciągnięte w tych samych pozycjach i trzymające łuki. Gwizdnął ostrzegawczo i skręcił w lewo. Świst strzał rozległ się przerażająco blisko. Coś zadrapało mu szczękę. Zatoczył łuk, czując mocne bicie serca.

Czyli nauczyli się na nas uważać, myślał. I udawać, że nie widzą, dopóki nie znajdziemy się blisko. Sprytnie.

Spojrzał w dół i z przerażeniem zobaczył, jak nisko się znalazł. Na szczęście mężczyźni i kobiety w dole stali odwróceni do niego plecami, patrząc na coś przed sobą. Uniósł wzrok i poczuł, że serce mu zamiera.

Czarna czarownica. Miał właśnie przelecieć nad nią, w obszar magicznego starcia. Skręcił ciało i gorączkowo machając skrzydłami zdołał zawrócić w locie i zyskać nieco wysokości.

Dopiero wtedy sobie uświadomił, że jest sam.

Rozejrzał się nerwowo, zapominając o możliwych łucznikach w dole.

Gdzie jego skrzydło? Czy skręcili w drugą stronę, by uciec strzelcom? A może... czy oni...?

Spojrzał w dół i zobaczył na ziemi poskręcane skrzydlate ciała. Wszystkie prócz jednego leżały nieruchomo. Tyssi z trudem próbowała się odczołgać dalej od nadchodzących pentadrian; strzała sterczała jej z uda.

Kilku ludzi podeszło do niej i zaczęło ją kopać.

Wściekłość zapłonęła w duszy Tryssa. Nie zważając na zagrożenie, poleciał wprost na napastników. Skoncentrował się na ich plecach. Kiedy tylko znaleźli się w zasięgu, posłał dwie strzałki. Dwaj pentadrianie upadli. Tryss zobaczył, że pozostali odwracają się w jego stronę, więc skręcił szybko. Kiedy się obejrzał, Tyssi leżała nieruchomo, a plama krwi rozlewała się szybko z rany na piersi. Łzy przesłoniły mu wzrok. Zamrugał szybko, zmienił kierunek lotu i zobaczył, że znowu leci w stronę czarnej czarownicy.

Zaczął zawracać, ale się powstrzymał.

Nawet kiedy wyrównał lot i wymierzył, wiedział, że robi coś absolutnie bezsensownego. Jednak nie dał sobie czasu do namysłu. Strzałki pomknęły od jego uprzęży. Widział, jak pędzą przez powietrze. Spodziewał się, że zaraz się odbiją od magicznej tarczy.

Ale one wbiły się w plecy czarownicy.

Po niedowierzaniu ogarnął go zachwyt. Świsnął radośnie, gdy kobieta straciła równowagę. Zatoczył krąg i obejrzał się jeszcze - patrzyła na niego. I kiedy jej dłoń się poruszyła, serce w nim zamarło.

Coś go trafiło.

Cios wycisnął mu z płuc powietrze. Świat przesunął się obok - szybciej, niż kiedykolwiek udało mu się lecieć - a potem coś jeszcze uderzyło go w plecy. Ziemia. Usłyszał trzask i niemal stracił przytomność z bólu, który rozerwał mu ciało.

Co ja takiego zrobiłem? myślał, leżąc tam i z trudem łapiąc oddech. Coś naprawdę, ale to naprawdę głupiego, odpowiedział sobie. Ale ją zabiłem. Otrułem czarną czarownicę. Teraz już wygramy. Muszę to zobaczyć...

Otworzył oczy. Podniesienie głowy rozpaliło iskry bólu w plecach, a to, co zobaczył, wzbudziło mdłości. Nogi leżały zgięte w miejscach, gdzie nie powinny.

To musi boleć, myślał. Ale ja niczego nie czuję. Niczego poniżej pasa.

Wiedział, że jest ciężko ranny, prawdopodobnie umierający - lecz

nie do końca potrafił w to uwierzyć. Mężczyźni i kobiety w czarnych szatach pochylali się nad nim. Wyglądali na rozgniewanych.

Uśmiechnął się. Zabiłem waszą przywódczynię!

Jeden coś powiedział. Pozostali wzruszyli ramionami i pokiwali głowami. A potem odeszli.

Zaciskając zęby, Tryss znowu uniósł głowę. Za czarno odzianymi postaciami widział czarownicę. I widział, jak sięga za plecy i wyciąga jedną strzałkę, potem drugą, i odrzuca je na bok.

Trucizna powinna już na nią działać.

A tymczasem na nowo włączyła się do bitwy.

Gdyby potrafił ruszyć szczęką, pewnie by zaklął. Ale tylko zamknął oczy i opuścił głowę. Drilli będzie na mnie wściekła...

Pozwolił, by ogarnęła go ciemność.

Przez cały dzień Biali przesuwali się wolno w stronę środka doliny, ciągłe szukając świeżych źródeł magii. Czarni czarownicy także postępowali krok za krokiem. Armie między nimi stawały się coraz mniejsze, jakby ustępowały przed tym powolnym, nieustającym marszem.

Auraya widziała już twarze przeciwników. Ruch naprzód oznaczał, że musi przestępować albo omijać zabitych i rannych. Łącze z innymi Białymi pozwalało koncentrować myśli na walce, ale gdzieś w głębi umysłu wyczuwała rosnące napięcie. Zaczynała bać się przerwania tego łącza i chwili, gdy nic już nie będzie jej osłaniać przed ponurą i straszną rzeczywistością dookoła.

Być może nie będzie musiała jej znosić zbyt długo. Wiedziała, że cyrklianie przegrywają. Wiedziała, że vorny zabiły zbyt wielu kapłanów i kapłanek i że to w końcu przechyla na stronę pentadrian dotychczasową równowagę magicznej mocy. Wiedziała, że zbyt mało Siyee lata pod niebem.

Bezsilność Jurana zniechęcała wszystkich. Trzymał się jeszcze nadziei, że przeciwnik popełni błąd. Jeden błąd, który da się wykorzystać.

Kiedy nastąpił, jego źródło było tak nieoczekiwane, że z początku nic nie zauważyli.

Potężniejsza czarownica osłabła. Juran natychmiast skierował atak na słabszego z pentadriańskich czarowników w nadziei, że towarzysze nie zdążą go osłonić. Czarownik obronił się, ale odkrył swoich ludzi. Z ulgą i poczuciem tryumfu Auraya zobaczyła, jak padają nieprzyjaciele.

I wtedy z nieba posypały się ciała.

Jęknęła ze zgrozy. Nieprzyjaciel poświęcał swoich, by zaoszczędzić dość magii i uderzyć w Siyee. Ale dlaczego Siyee? Teraz nie stanowili już wielkiego zagrożenia.

Spostrzegła, że pentadriański przywódca patrzy w górę. To on kierował atakiem. Zerknął na nią i uśmiechnął się pogardliwie, a w niej wezbrała nienawiść.

: *On nadal wierzy, że Auraya nie skorzysta z okazji, bo będzie chciała bronić Siyee,* stwierdził Juran. *Ja ich osłonię, Aurayo. Ty uderz w przywódcę.*

Zacisnęła zęby i przyciągnęła do siebie magię szybciej niż kiedykolwiek. Nadpływała, chyża i mocna. Czuła ją wokół siebie, czuła, jak reaguje na jej wolę, na jej gniew, jak gromadzi się i wzbiera... Zamknęła oczy, pochłonięta tą świadomością. Zrozumiała, że wrażenie magii wokół jest zbliżone do poczucia własnej pozycji w relacji do świata.

: *Teraz, Aurayo!*

Myślowy okrzyk Jurana szarpnięciem przeciągnął ją z powrotem do realnego świata. Otworzyła oczy i pchnęła zebraną moc w przywódcę pentadrian.

Zarozumiała mina czarownika zniknęła. Czuła, jak rozsypuje się jego osłona. Poleciał do tyłu, przewracając ludzi za sobą.

Auraya czekała, aż się podniesie. Czekała na kolejne instrukcje Jurana. Powoli uświadamiała sobie zdumienie Białych i zmniejszoną siłę obrony nieprzyjaciela. Pentadrianie otoczyli przywódcę. Podniosły się krzyki.

: *Mówią, że nie żyje,* stwierdziła Dyara. *Kuar nie żyje!*

Auraya patrzyła z niedowierzaniem na Białych.

: *Nie wierzę. Na pewno jest nieprzytomny. Myślą tylko, że zginął.*

Próbuje nas oszukać, żebyśmy zdjęli osłony.

: *Nie, Aurayo,* odezwał się Rian. *Nie sądzę, by ktokolwiek mógł przeżyć takie uderzenie.*

: *Ale...*

: *Popełnił błąd, na jaki liczyliśmy,* uznał Juran. W jego głosie brzmiały tryumfalne tony. *Nie przewidział tak potężnego ataku i nie przekierował całej swej mocy na obronę. Być może osłaniał coś innego. Coś, o czym nie wiedzieliśmy.*

: *Wygraliśmy!* zawołała Mairae. Ale jej uśmiech szybko zniknął. *I co teraz zrobimy?*

: *Zabijemy ich,* odparł Rian. *Jeśli nie, to zawsze będą dla nas zagrożeniem.*

: *Rian ma rację,* zgodził się Juran. *Nie mamy wyboru. Ale nie ma potrzeby zabijania kogokolwiek oprócz przywódców. Reszcie możemy darować życie...*

: *O ile się poddadzą,* dodała Dyara.

Auraya poczuła, jak Juran i inni zbierają magię. Zrobiła to samo.

: *Nie!*

Głos zahuczał jej w myślach. Zaszokowana, niemal opuściła tarczę ochronną.

: *Chaia!* zawołał Juran.

: *Tak, to ja. Nie zabijajcie wrogich przywódców. Jeśli to zrobicie, inni zajmą ich miejsce. Teraz już znacie tych ludzi. Wiecie, jak walczą. Oni wiedzą, że jesteście od nich silniejsi. Puśćcie ich.*

: *Tak się stanie,* zapewnił Juran.

Auraya wyczuwała u niego zaskoczenie i ulgę. Gdy poczucie boskiej obecności się rozwiało, Juran odwrócił się i zmierzył wzrokiem wrogich czarowników. Cała czwórka stała nieruchomo. Nie próbowali już atakować.

: *Pójdziemy im na spotkanie,* postanowił Juran.

Kiedy szli między żyjącymi jeszcze żołnierzami cyrkliańskiej armii, pole bitwy z wolna ogarniał spokój. Przerwano walki i obie strony odstąpiły. Czwórka pentadriańskich czarowników zbliżyła się do siebie.

Auraya uświadomiła sobie, że słyszy nowy dźwięk: krzyki i wołania. Obejrzała się w obawie, że to nowy atak.

I zrozumiała, że to wiwatują cyrklianie.

47

Kiedy armie zaprzestały walki i rozeszły się na dwie strony doliny, Emerahl westchnęła ciężko.

Wiedziałam, że to zbyt piękne, by było prawdziwe, pomyślała. Przez chwilę naprawdę wierzyłam, że pentadrianie rozwiążą za mnie moje kłopoty z cyrklianami. Ale bogowie nigdy nie pozwolą, by pogańscy najeźdźcy rozbili ich wyznawców. Z pewnością jakoś interweniowali, by zagwarantować zwycięstwo Białych.

Dlaczego czekali na koniec dnia, to rzeczywiście zagadka. Niskie słońce zalewało dolinę przyćmionym blaskiem. Rozbłyskiwało na klingach i tarczach, a białe szaty barwiło na złoto. Większość leżała na ziemi - własność zabitych, konających i rannych.

Wkrótce przystąpią do pracy tkacze snów.

Wśród stojących w pobliżu mężczyzn i kobiet wyczuwała rosnące napięcie. Czekali, aż wycofają się obie armie. Nie widziała jeszcze tak niepewnych, zalęknionych tkaczy. Zgadywała, że pewnie dawne rzezie, przechowywane we wspomnieniach łącza, nauczyły ich ostrożności.

Kiedy porzuciła karawanę zamtuzu, przez kilka godzin szła drogą w stronę Torenu; potem zeszła z niej i ruszyła przez równiny. Nawet jeśli Rozea zachowa dla siebie stratę faworyty, i tak rozejdą się plotki o ladacznicy, która okazała się czarownicą - a z każdym powtórzeniem zyskają nowe szczegóły.

Gdyby jakiś cyrkliański kapłan postanowił zbadać sprawę, Emerahl wolała, by ścigający wierzyli, że zmierza do Torenu. Na pewno nie będą się spodziewać, że ruszyła znowu za wojskiem. A przynajmniej miała nadzieję, że nie będą.

Zerkając na niespokojnych tkaczy snów, uśmiechnęła się do siebie. Nie wiedzieli, co o niej myśleć. Była młodą kobietą w prostej sukni, wędrującą w pojedynkę w pobliżu pola bitwy - za dobrze wyglądającą jak na samotną ladacznicę. Kiedy im wyjaśniła, że szuka źródła snu o wieży, i powiedziała o teorii, że sen jest

wspomnieniem łącza o śmierci Mirara, dwaj kierujący grupą mężczyźni odeszli na bok i długo ze sobą rozmawiali.

- Jest wśród nas ktoś, kto może być tym śniącym, którego szukasz - powiedzieli jej, gdy wrócili. - Ma bardzo liczne wspomnienia łącza Mirara. Kiedy zakończymy swoją pracę, zaprowadzimy cię do niego.

Czekała więc z nimi i widziała zakończenie największej bitwy, jaką kiedykolwiek stoczono na gruncie Ithanii Północnej. Trudno było się oprzeć takiej pokusie. Tak wielką część swego życia poświęciła na unikanie konfliktów, że bardzo rzadko mogła oglądać wydarzenia, które prawdopodobnie przejdą do legendy.

Teraz będę miała co opowiadać przy stołach i przy ogniskach, myślała z ironią. A publiczność zawsze będzie zachwycona, nawet za tysiące lat.

W dole rozeszli się Biali i czarni czarownicy. Pentadrianie wolno ruszyli ku wyjściu z doliny. Ciało ich przywódcy poniesiono za nimi.

- Pozwolili im się poddać - odezwał się któryś z tkaczy snów, wyraźnie zdumiony.

- Może nawet oni uznali, że dość już dzisiaj przelano krwi.

- Wątpię.

Emerahl skłonna była zgodzić się z ostatnim z mówiących, ale milczała.

Wielu cyrkliańskich żołnierzy, kapłanów i kapłanek zostało w dolinie i chodziło wśród martwych i konających. Tak samo pentadrianie.

- Czas - odezwał się dowódca grupy.

Emerahl zauważyła, że napięcie spada, zastąpione determinacją. Tkacze snów podążyli do doliny, niosąc sakwy z lekami, a idący za nimi uczniowie dźwigali pakunki z bandażami i bukłaki wody.

Nie mogła się do nich przyłączyć. W dolinie wciąż byli kapłani. Jako jedyna uzdrowicielka, niemająca na sobie kamizelki tkaczy snów ani kapłańskiej cyrkli, na pewno zwróci na siebie uwagę.

W takim razie muszę się jakoś zamaskować. Potrzebne mi ubranie tkaczki snów...

Obejrzała się na tarny. Na pewno znajdzie tam zapasową odzież... A tkacze snów nie będą chyba mieli nic przeciw temu, by pożyczyła sobie jeden komplet?

Wyprostowała się i ruszyła do obozowiska.

Kapłan Tauken przestąpił nad bezgłowym trupem i przystanął. O kilka kroków od niego leżał żołnierz, mocno obejmujący rękami pierś. Oddychał z trudem. Tauken podszedł i przykucnął u jego boku. Młody człowiek spojrzał na niego z nadzieją.

- Pomóż - wycharczał.

- Pokaż mi - poprosił Tauken.

Ranny niechętnie rozłożył ręce. Ruch najwyraźniej sprawił mu ból, ale jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydał, był cichy jęk.

Miał na sobie żelazny napierśnik, ale nawet to nie mogło zatrzymać pchnięcia dobrego miecza. Brzegi otworu w pancerzu błyszczały od krwi.

- Musimy ci to zdjąć.

Żołnierz pozwolił zdjąć z siebie pancerz. Oczy zachodziły mu mgłą. Tauken rozerwał ubranie wokół rany i pochylił się.

Usłyszał ciche mlaskanie w rytm oddechu rannego i poczuł rozpacz. Tego nie da się już uratować.

Kiedy wstał, dwaj służący z obozu, którzy mieli mu pomagać, spoglądali wyczekująco. Dał im gestem znak, że nie będą się zatrzymywać. Kiwnęli głowami, odwrócili wzrok i nagle ich twarze rozjaśniły się nadzieją.

Obejrzał się, by sprawdzić, co takiego zobaczyli. W pobliżu stała tkaczka snów i przyglądała mu się spokojnie. Po wyglądzie odgadł, że jest Somreyanką.

- Skończyłeś? - spytała.

Juran ogłosił, że zakaz przyjmowania pomocy tkaczy snów na ten dzień zostaje zawieszony. Tauken otworzył usta, ale zawahał się. Powiedzieć „tak” to wyjawić konającemu żołnierzowi, że nie ma dla niego ratunku.

Kiwnął tylko głową.

Podeszła bliżej i spojrzała na rannego.

- Rana piersi. Nastąpiło przebicie płuc.

Tauken odwrócił się, kiedy przyklęknęła obok żołnierza. Zrobił kilka kroków, ale obejrzał się, gdy kobieta gwizdnęła przenikliwie. Natychmiast podbiegł do niej młodszy tkacz snów, a ona wzięła od niego bandaże i podsunęła miseczkę, którą napełnił wodą. A kiedy młody człowiek odbiegł, reagując na następny gwizd, wyjęła z kamizelki niewielki słoiczek i wsypała z niego do wody trochę proszku.

Tauken wiedział, że powinien iść dalej, ale zatrzymywała go ciekawość. Dłonie tkaczki poruszały się wprawnie i szybko; obmyła ranę i odłożyła na bok zakrwawioną ściereczkę. Znieruchomiała. Tauken zauważył, jak wznoszą się i opadają jej ramiona, kiedy odetchnęła głęboko, a potem położyła dłoń na ranie i zamknęła oczy.

Coś się w tym wszystkim nie zgadzało. I widząc, jak stosuje tę swoją magię, Tauken zrozumiał, co to takiego.

- Nie spytałaś, czy chce twojej pomocy - powiedział. Zmarszczyła czoło, otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Jest nieprzytomny.

- A zatem nie może o sobie decydować.

- Więc ty musisz zdecydować za niego - oświadczyła spokojnie.

Przyglądał się jej. Kiedyś kazałby jej odejść. Lepiej, by młody żołnierz umarł, niżby naraził duszę leczeniem przez tkacza snów. Ale wiedział, że gdyby sam był taki młody, chciałby żyć. Skoro Juran mógł na jeden dzień cofnąć zakaz, to znaczy, że bogowie zamierzali wybaczyć tym, którzy skorzystają z pomocy tkaczy snów.

Kimże jestem, by temu młodzieńcowi odmawiać prawa do życia? Przecież przyjęcie pomocy tkacza snów nie znaczy, że człowiek stanie się jednym z nich. A my wiele możemy się od nich nauczyć...

Miał tylko nadzieję, że żołnierz by się z nim zgodził.

- Uratuj go... - powiedział.

Skinął na swoich pomocników i odszedł.

- Niech bogowie mi wybaczą - mruknął do siebie.

Tysiąc pochodni rozjaśniało cyrkliański obóz. Powinien to być wspaniały widok, ale płomienie oświetlały ponurą scenerię. Pod

koniec bitwy zaatakowały vorny, mordując bezbronną służbę i zwierzęta. Auraya widziała ocalałych, którzy starali się jakoś uporządkować chaos. Jedni przenosili zwłoki, inni zajmowali się rannymi. Reyny, które straciły jeźdźców, zostały wyłapane i wykorzystane, by inne, bardziej pechowe, odciągać poza granice namiotów.

Patrząc na to wszystko, Auraya niemal żałowała, że Biali nie skończyli z pentadrianami w sposób ostateczny.

Jednak bogowie mieli rację, pozwalając im przeżyć. Nie lubię zbędnego zabijania. Niezbędnego też nie lubię, a już zabicie pokonanego przeciwnika za bardzo przypomina dokonane z zimną krwią morderstwo, pomyślała.

Chcieli pozbyć się ze świata tych czarnych czarowników. Teraz, po namyśle, widziała, jakie byłyby konsekwencje. Bitwa trwałaby jeszcze dłużej i zginęłoby więcej ludzi.

Obawiała się jednak, że zgoda na powrót czwórki czarowników na południowy kontynent może być decyzją, której w przyszłości pożałują. Jeśli ich przywódcę zastąpi ktoś inny, ale równie potężny, Ithanię Północną może czekać kolejna inwazja. Ale przecież narodziny piątki takich czarowników w jednym stuleciu to niezwykły zbieg okoliczności. Mało prawdopodobne, by wkrótce przyszedł na świat jeszcze jeden.

Ci południowcy dwa razy się zastanowią, zanim znowu wystąpią przeciw nam, tłumaczyła sobie Auraya. Pomyślała o tej świetlistej postaci, którą widziała zaraz po wyjściu pentadrian z kopalni. Niezależnie od tego, czy ten mężczyzna był iluzją, czy nowym bogiem, najwyraźniej nie zdołał im zapewnić zwycięstwa. To także każe im się zawahać, nim spróbują nowego podboju.

Podczas gdy nasi bogowie, za naszym pośrednictwem, obronili Ithanię. Uśmiechnęła się, ale uśmiech zgasł szybko. Od chwili śmierci pentadriańskiego przywódcy, raz po raz odtwarzała w pamięci całą scenę. Nie by napawać się zwycięstwem, ale by zrozumieć, co zaszło.

Pamiętała wszystko wyraźnie. Osiągnęła nową świadomość

magii. Wyczuwała ją, tak jak wyczuwała swoją pozycję wobec świata. Gdyby się skupiła, mogła powrócić do tego stanu. W jakiś sposób pozwalał jej zużywać więcej magii niż kiedykolwiek wcześniej.

Inni Biali byli zdumieni mocą jej ataku. Od czasu do czasu spostrzegała zdziwione spojrzenia, jakie rzucał jej Juran. Być może nauczyła się korzystać ze swych Darów szybciej, niż się spodziewał. Ale przecież innych wojna nie zmusiła do szybszego rozwijania umiejętności.

A może Juran dziwił się, że to ona, nie on, zadała kończący cios. Jeśli nawet, nie żywił do niej urazy. Wydawał się zadowolony. Przyjęła jego aprobatę trochę nieufnie, niepewna, czy wybaczył jej też romans z Leiardem.

Na myśl o Leiardzie poczuła ukłucie bólu i ucieszyła się, że nie jest już połączona z innymi Białymi. Wyprostowała się. On był życiową pomyłką. Lekcją zagrożeń miłości. Teraz, po bitwie, tamto jej zadurzenie wydawało się dziecinne i niemądre. Pora pomyśleć o ważniejszych sprawach: jak przywrócić jej lud do normalności. I Siyee.

Samotny jeździec galopował w stronę Białych. Auraya przyglądała mu się, wdzięczna za wszystko, co zajmowało jej uwagę. Doradcy zameldowali, że król Guire i Moderator Meeran wrócili po kilku godzinach od ucieczki przed atakiem vornów. Nikt jednak nie widział króla Berro.

Jeździec ściągnął wodze przed Juranem.

- Ani śladu, Juranie z Białych. Możemy wysłać drugą grupę tropicieli.

- Tak - odparł Juran. - Wyślijcie.

Mężczyzna odjechał. Biali wolno schodzili zboczem w stronę obozu. Byli już blisko, gdy Auraya usłyszała swoje imię, wykrzykiwane znajomym, piskliwym głosem.

Dobiegło ją westchnienie ulgi Danjina, kiedy Figiel zeskoczył z dachu tarnu i popędził po błocie w jej stronę. Za nim biegły jeszcze dwa veezy, jeden czarny, a jeden pomarańczowy. Figiel wspiął się po

cyrkli na ramię Aurai, a tamte pomknęły do Dyary i Mairae.

- Mała uciekinierka - powiedziała Dyara, drapiąc ulubieńca po jaskrawopomarańczowym łepku. Spojrzała podejrzliwie na Figla. - Traf uczy się od niego złych zachowań?

- Pewnie tak - uśmiechnęła się Auraya. - Czy on...? Gdy usłyszała szum skrzydeł, Auraya miała wrażenie, że zamiera jej serce. Odetchnęła, widząc zniżających lot Mówcę Sirri i dwóch innych Siyee. Kiedy wylądowali, Juran wyszedł im na spotkanie.

- Mówco Sirri, jesteśmy dłużnikami twoimi i twojego ludu. Dzisiaj byliście dla nas bezcenni.

Uśmiech Sirri był dość posępny.

- To były nasze pierwsze wojenne doświadczenia. Wiele się dzisiaj nauczyliśmy i wielkim kosztem, ale nasze straty są nikłe w porównaniu z waszymi. Kiedy vorny zaatakowały nasze zaplecze, ludzie zdołali uciec.

- Wszystkie straty są równie straszne - odparł Juran. - Nasi kapłani uzdrowiciele zajmą się rannymi Siyee tak samo jak ziemiochodzącymi.

Sirri wydawała się trochę zaskoczona. Auraya dostrzegła w jej myślach wizje setek tkaczy snów, którzy weszli na pole bitwy.

- W takim razie wyślę im do pomocy tych z mojego ludu, którzy nie walczyli, są wypoczęci i mogą przenosić niewielkie ładunki.

Juran kiwnął głową.

- Ich pomoc bardzo się przyda. Czy masz jeszcze jakieś sprawy?

- Nie. Ale dowiedziałam się właśnie czegoś, co może was zainteresować. Jedna z moich łowców zauważyła człowieka na drzewie, na północny zachód stąd. Mówiła, że ściągnęły ją jego krzyki, ale nie lądowała, ponieważ w pobliżu słychać było jedną z tych drapieżnych bestii nieprzyjaciela.

Juran uniósł brwi.

- To ciekawe. Czy możesz przysłać do nas łowcę, żeby pomogła nam trafić do tego człowieka?

- Oczywiście.

- Dziękuję, Mówco Sirri. Skłoniła głowę i odstąpiła.

- Zbiorę swój lud i przyślę do pomocy tylu, ilu zdołam.

Jej towarzysze ruszyli za nią, gdy przebiegła kilka kroków w dół zbocza i poderwała się do lotu. Juran zwrócił się do Aurai.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wyruszysz z łowcą.

: *Tylko... nie drwij z niego za bardzo. Cienka granica oddziela wdzięczność od urazy.*

: *Wyobrażam sobie, że u króla Berro ta granica jest wyjątkowo cienka. Będę ostrożna.*

- Ten nieszczęśnik będzie potrzebował wierzchowca, by dotrzeć tu z powrotem - powiedziała głośno.

- Tak - przyznał z uśmiechem Juran. - I znajomych twarzy, by złagodziły szok tej sytuacji.

Niewiele brakowało, by wybuchnęła śmiechem. Dzięki kilku ziemiochodzącym, którzy będą świadkami akcji ratunkowej, wszyscy się dowiedzą, że król Torenu zawdzięcza życie Siyee.

A to nie może być złe.

48

Wszędzie trafiały się obszary ubogie w magię, ale na polu bitwy było to normalne. By to zrekompensować, Leiardowi wystarczyło się skupić na magii wokół siebie i czerpać z mniej zużytych źródeł.

Poprzez siebie przerzucał magię w rannego, układając kości i ciało, aż zaczęło się formować wrażenie poprawnego stanu. Ciecze wróciły do właściwych kanałów. Błyski energii przemknęły tam i z powrotem po naprawionych ścieżkach. Usłyszał jęk bólu i szybko zablokował wiązkę nerwów, tym razem w sposób, który łatwo dawał się odwrócić.

Pochylony nad nogą, Leiard zajął się pozostałymi uszkodzeniami. Przesunął dłoń nad skórą i poczuł ogromną satysfakcję z braku blizny. Potem odblokował nerwy i ruszył na poszukiwanie kolejnego pacjenta.

Wystarczyło otworzyć umysł, aby kierowała nim dowolna utrzymująca się myśl rannego czy umierającego. Zamroczone, mętne myśli ściągnęły go do pentadriańskiej czarownicy. Kobieta dostała cios w głowę, który zostawił krwawy krater w czaszce.

Tej nie mogę ocalić, pomyślał. Jej umysł jest uszkodzony.

Owszem, możesz, szepnął Mirar. *Pomogę ci.*

Leiard przykucnął i uniósł dłoń nad raną. Pozwolił, by Mirar nim pokierował. Praca wymagała takiej precyzji, że bał się niemal oddychać. Wola Mirara zlała się z jego, jak wiele już razy tej nocy; wydawało się niemal, że zatraca własną jaźń. To wzbudziło chwilową panikę, którą jednak opanował dla dobra tej kobiety.

Poczuł, że krater w czaszce zmniejsza się pod jego dłonią. Kość się zrastała. Wylewy i opuchliny w mózgu zniknęły. Uszkodzone obszary zostały naprawione.

Czy będzie znowu całkiem normalna? zapytał Leiard.

Nie, utraci część pamięci, odparł Mirar. *Ale niekoniecznie jakiś fragment przeszłości. Raczej będzie musiała nauczyć się czegoś od początku, na przykład mówić albo tańczyć... albo widzieć.*

Nie wiedziałem, że coś takiego jest możliwe.

Wiedziałeś. Zapomniałeś tylko.

Kobieta była uleczona. Otworzyła oczy i ze zdziwieniem spojrzała na Leiarda. Potem wstała na nogi i rozejrzała się po polu bitwy. Leiard odwrócił ją w stronę pentadriańskiej części doliny i wskazał kierunek. Kiwnęła głową i ruszyła przed siebie.

Obejrzał się. Ból i cierpienie pociągnęły go do młodego Siyee, z nogami i rękami wygiętymi tak, jak się naturalnie nie zginają. Młoda kobieta klęczała przy nim i płakała.

Następna ofiara upadku, zauważył Mirar. *Kręgosłup też może być złamany.*

Coś takiego wymaga wielkiej mocy i silnej koncentracji. Leiard zignorował płaczącą dziewczynę i zaczął ściągać magię.

Danjin ocknął się nagle. Leżał przy ogniu, a płomienie lizały świeży klocek drewna. Sądząc z kształtu, był to zapewne kawałek złamanej osi plattenu bojowego.

Jak długo spałem?

Usiadł. Jakiś służący oddalał się - prawdopodobnie właśnie on przyniósł drewno. Danjin rozejrzał się dookoła. Płonęło wyraźnie mniej świateł. Garstka ludzi kręciła się jeszcze po obozie, ale zachowywali się cicho. Wszędzie panował bezruch. Żadnego wiatru. Prawie żadnych dźwięków.

Potem spojrzał dalej. Niebo rozjaśniało się delikatnie na wschodzie.

Świt. Już świta. Przespałem prawie całą noc.

Nie planował tego. Zatrzymał się tylko na chwilę, by zjeść coś i wypić coś ciepłego. Spanie na ziemi sprawiło, że czuł się teraz sztywny i obolały. Bez żadnego określonego celu wstał, przeciągnął się i ruszył przed siebie.

Nogi same doprowadziły go na skraj obozowiska. Pocieszył go widok martwego vorna z wbitymi w bok rozmaitymi strzałami, nożami, a nawet odłamkami drewna. Za nim leżał długi rząd martwych ciał - służący, którzy zginęli. Ten ponury widok nie wydawał się taki straszny w porównaniu z polem bitwy po drugiej

stronie grzbietu.

Spojrzał w stronę doliny i na granicy obozowiska zauważył rząd służących. Jakaś postać wynurzyła się z ciemności - hanijski żołnierz pochlapany krwią. Dwaj ludzie wyszli mu naprzeciw, owinęli kocem i poprowadzili do ogniska.

Po nim szła para dunwayskich wojowników, a Danjin zrozumiał, co się dzieje. To byli ci, którzy przeżyli bitwę i zostali uzdrowieni przez kapłanów i tkaczy snów.

Muszę to zobaczyć.

Mijając czekających ludzi, Danjin ruszył zboczem w górę. Niebo rozjaśniało się powoli i zanim dotarł na sam grzbiet, widział już wracających do obozu mężczyzn i kobiety. Niektórzy szli, niektórzy utykali. Niektórym pomagała służba. Kilku niesiono na noszach.

Po chwili zobaczył też znajomą postać. Ten widok wzbudził w nim poczucie winy... Odwróciła się i skinęła na niego.

- Dzień dobry, Danjinie Spearze - powiedziała cicho.

- Aurayo - odpowiedział. - Muszę cię przeprosić.

- Jeśli uważasz, że musisz, zrób to. Ale to nie twoja wina. I tak by wszystko odkryli. Miałam zresztą im w końcu powiedzieć, i tobie także.

Spuścił wzrok.

- Musisz wiedzieć, że moim zdaniem mogłaś dokonać lepszego wyboru.

- Tak.

- Ale dobry czy nie, musisz być... rozczarowana rezultatami.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Bardzo taktowne określenie. Tak, byłam rozczarowana. Ale to już przeszłość. Mam teraz ważniejsze sprawy.

- Rzeczywiście, masz - zgodził się z uśmiechem. Odwróciła się w stronę doliny. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył ruch wśród poległych - pracowali tkacze snów i kapłani.

- Zmiana, jaką od dawna rozważam, zaczyna się samodzielnie - mruknęła Auraya.

- Zmiana? Potrząsnęła głową.

- Kapłani uzdrowiciele, zamiast ignorować tkaczy snów i pogardzać ich pracą, teraz ich obserwują. Wiele się nauczą dzisiejszej nocy.

Danjin patrzył na nią zdziwiony. Kapłani uczyli się od tkaczy snów? Czy do tego przez cały czas zmierzała? A kiedy zrozumiał, jakie skutki może to przynieść, oszołomiła go jej pomysłowość. Jeśli kapłani będą oferować pomoc nie gorszą od tkaczy snów, to tkacze snów nie będą już więcej potrzebni.

Czy Leiard wiedział? Czy się choćby domyślał?

Danjin wątpił, by ten pomysł mu się spodobał. A jako jego kochanka, Auraya z pewnością się wahała. Ten plan prowadziłby do upadku kultu, chociaż oznaczał ocalenie dusz tych, którzy w przyszłości nie przystąpiliby do tkaczy snów.

Od jak dawna to planowała? Czy mianowanie Leiarda doradcą miało być krokiem ku realizacji tych planów? Teraz, kiedy tkacz odszedł, mogła bez przeszkód podjąć swoje dzieło.

Auraya westchnęła i odwróciła się. Od strony obozu zbliżała się czwórka Białych.

- Mamy zaplanowaną drobną pogawędkę z bogami - rzuciła swobodnie. - Wracaj do obozu, Danjinie. Niedługo dołączę do ciebie przy śniadaniu.

Kiwnął głową, a potem przyglądał się, jak schodzi w dół, by spotkać się z pozostałymi Białymi.

Żołnierz wynurzył się z mroku i kulejąc, zbliżył się do niego. Danjin raz jeszcze spojrzał na Aurayę, po czym ruszył, by pomóc rannemu.

Przez długi czas Tryss starał się cokolwiek zrozumieć. Wiele godzin leżał w oszołomieniu, słuchając głosów mężczyzn i kobiet, mruczących coś w językach, których nie rozumiał. W ich głosach rozbrzmiewała desperacja. Dopiero później zrozumiał, że słyszy modlitwy.

Rozbrzmiewały długo, ale w końcu większość głosów ucichła. Zastanawiał się, czy bogowie odpowiedzieli. Miał nadzieję, że tak.

Potem rozległ się nowy głos, ale ten nie recytował imion bogów.

Wymówił lepiej mu znane imię.

- Tryss! Żyjesz! Tryss! Obudź się! Odezwij się do mnie! Ten głos był taki znajomy... i jakby pocieszający. Ale nie miał zamiaru spełniać jego prośby. Budzenie się oznaczało ból, a bólu miał na dzisiaj dosyć.

- Tryss... - Nastąpiła długa przerwa, a po niej cichy szloch. - Tryss, muszę ci coś powiedzieć. Ocknij się.

Poczuł rodzącą się ciekawość. Nie wystarczyła jednak. Wspomnienie bólu było zbyt przerażające. Odpłynął w nieświadomość. Ból go odszukał.

Nie był taki jak poprzednio - daleki, stały, ćmiący. Pojawiał się w krótkich ukłuciach. Za każdym razem, kiedy przeszywał ciało, następowała ulga. Poczuł, że coś wyciąga go ze spokojnej ciemności. Głos będzie zadowolony, pomyślał niechętnie. Budzę się - tego właśnie chciał. Otworzę oczy i...

I nagle spojrzał prosto w jakąś twarz. Mężczyzna pochylał się nad nim, w skupieniu marszcząc czoło. Twarz nie pasowała do głosu.

- Tryss! Och, dzięki!

Wołanie rozległo się po lewej stronie Tryssa. Zaczął odwracać głowę, ale to za bardzo bolało. Przesunął tylko oczy. Zobaczył zamgloną twarz. Kobiecą twarz.

Pochyliła się, a świadomość, kim jest, olśniła go niczym błyskawica.

- Drilli...

Mówię, pomyślał. Może jednak nie umieram. Znowu przyjrzał się mężczyźnie... Tkacz snów. Poczuł kolejne uderzenie bólu, a potem odrętwienie. Przesunął oczy w prawą stronę; zobaczył i poczuł dłonie tkacza snów na swojej ręce.

Wyczuł jakiś ruch wewnątrz. Przesuwały się kości i ciało. Wrażenie było dziwne i budziło mdłości. Uznał, że lepiej będzie nie patrzeć. Skierował wzrok na Drilli.

Była taka piękna - nawet ubrudzona błotem, potem i krwią. Uśmiechała się do niego, a oczy jej błyszczały.

- O co chodzi? - zapytał. Mrugnęła niepewnie.

- Z czym?

- Z tym, co chciałaś mi powiedzieć. Ku jego zdziwieniu, zawahała się.

- Więc słyszałeś to... - Przygryzła wargę. - Może jednak powinniśmy poczekać. Kiedy już wyzdrowiejesz.

- Czemu.

- Jest... za wcześnie.

- Na co za wcześnie? - Spróbował unieść głowę i ból rozorał mu plecy.

- Powiedz mu - rzucił spokojnie tkacz snów. Drilli spojrzała na niego i kiwnęła głową.

- Tylko pamiętaj, że w pierwszych miesiącach z takimi rzeczami często coś się dzieje nie tak...

Tryss westchnął i przewrócił oczami.

- Jakimi rzeczami? Znowu przygryzła wargę. - Bo ja... my... będziemy rodzicami.

- Rodzicami? - Tak. Noszę...

Dziecko. Jest w ciąży. Emocje ogarnęły Tryssa, a na kolejne ukłucie bólu prawie nie zwrócił uwagi. Uśmiechnął się do Drilli.

- To tłumaczy, dlaczego cały czas było ci niedobrze. Myślałem, że to przez te wszystkie przyprawy, które tak lubisz sobie dosypywać do jedzenia.

Wykrzywiła się.

Tryss otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zamilkł, gdy tkacz snów wsunął mu dłonie pod kark. Ból przeszył ciało, potem zniknął. Tkacz nie poruszył się przez długi czas. Z wolna powracało czucie, ale już bez bólu. Wreszcie uzdrowiciel cofnął dłonie i Tryss poczuł, że zajmuje się jego drugą ręką.

- To było... niezwykłe - wykrztusił.

- Nie ruszaj się - rzucił tkacz snów.

Drilli przeszła teraz na prawą stronę Tryssa. Odkrył, że może ruszać ręką. Uniósł ją i ze zdumieniem zobaczył, że na skórze nie pozostał żaden ślad po ranach.

Mógł już odwrócić głowę, więc zaczął się przyglądać, jak pracuje

tkacz snów. Widok ręki wykrzywionej pod dziwnym kątem trochę niepokoił, ale uzdrowiciel powoli przesunął nad nią dłońmi, i łokieć wygiął się z powrotem we właściwą stronę.

Tryssa ogarnął podziw. Słyszał o legendarnych umiejętnościach tkaczy snów, ale nie o czymś takim...

Umierałem, myślał. A ten człowiek zrobił coś, co powinno być niemożliwe: poskładał mnie w całość. Uratował mi życie.

Tkacz snów przysiadł na piętach i przyjrzał się krytycznie Tryssowi. Potem wstał i odwrócił się.

- Zaczekaj!

Tryss chwiejnie stanął na nogi. Z pewnym opóźnieniem zrozumiał, co zrobił, i zatrzymał się, by w zdumieniu przyjrzeć się rękom i ciału. Potem ruszył szybko za tkaczem słów. Drilli biegła za nim.

- Czekaj! Dziękuję ci. Ocaliłeś mi życie.

Mężczyzna miał rozbiegane oczy; mamrotał coś. Tryss zmarszczył brwi i podszedł bliżej.

- Nie. Tutaj nie jest bezpiecznie. Ale Jayim. Nie. Zapomnij. Musisz odejść, zanim wróci z Arleej. - Tkacz snów urwał, a potem jego głos stał się słaby i cienki. - Jeszcze jeden. Tylko jeden. - Potrząsnął głową. - Dość. Słońce wschodzi. Już czas.

Tkacz snów mówił do siebie. Czy oni zawsze tacy są? Może tylko przy pracy... Tryss miał taką nadzieję. Było coś niepokojącego w myśli, że ocalił go szaleniec. Ze smutkiem pokręcił głową i wrócił do Drilli.

- Nie wiem, czy mnie usłyszał. Nie wiem, czy może - powiedział.

Skinęła głową. Przyglądała mu się zachłannie.

- To, co zrobił... to było zadziwiające. Czy... jak myślisz, możesz latać?

- Przekonajmy się - rzucił z uśmiechem. Z troską zmarszczyła czoło.

- Czekaj... A jeśli to za wcześnie?

Ale on już biegł. Pędził po polu bitwy, szeroko rozkładając ramiona. Poczuł, jak lekki wiatr wypełnia skrzydła, i skoczył w

powietrze.

Gdy dołączyła do niego Drilli, krzyknął z radości i stromo wzbił się w niebo.

Szli przez godzinę, nim zatrzymali się na szczycie niskiego pagórka. Auraya obejrzała się. Cienkie smużki dymu były jedyną wskazówką co do położenia obozu. Biali rozstawili się w szeroki krąg.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru - zaczął Juran. - Dziękujemy wam za danie nam środków pozwalających na obronę Ithanii Północnej. Dziękujemy za ocalenie naszego ludu przed pentadriańskimi najeźdźcami.

- Dziękujemy wam - niepewnie wyszeptała Auraya wraz z innymi.

- Z waszym imieniem walczyliśmy i zwyciężyliśmy. Teraz, kiedy stajemy wobec skutków tej bitwy, tym bardziej potrzebne nam wasze przewodnictwo.

- Prowadźcie nas.

- Prosimy, pojawcie się teraz przed nami, abyśmy mogli skorzystać z waszej mądrości.

Auraya wstrzymała oddech - nic nie mogła na to poradzić, nawet teraz. Lśnienie wypełniło krąg i zlało się w pięć figur. Cała piątka, pomyślała. Nie widziałam ich razem od dnia Wyboru.

Pojawiły się rysy twarzy bogów. Uśmiechali się. Ona także nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Chaia stał przed Juranem.

: *Jesteśmy zadowoleni z waszego zwycięstwa,* powiedział. *Dobrze się spisaliście. Natomiast Auraya...* Bóg obejrzał się i zmierzył ją wzrokiem. *Przewyższyłaś nawet nasze oczekiwania.*

Auraya poczuła, jak żar oblewa jej twarz. Spuściła wzrok, rozbawiona własnym skrępowaniem po tej pochwale.

: *O co nas prosicie?*

To pytanie zadała Huan.

- Pozwoliliśmy ocalałym pentadrianom poddać się i wrócić do swoich krajów, tak jak nakazaliście - wyjaśnił Juran. - Ale obawiamy

się skutków tej decyzji.

: *Pentadrianie mogą odbudować swe siły i zaatakować znowu,* przyznał Lore. *Jeśli będzie im bardzo zależało, zrobią to. Wybicie ich armii nie powstrzymałoby kolejnego najazdu.*

- W takim razie, jeśli znów na nas napadną, powinniśmy nie tylko ich odepchnąć, ale wyzwolić świat od ich kultu - rzekł Rian.

: *Nadejdzie może czas, kiedy będzie to nieuniknione. Nie jesteście jeszcze gotowi na tę bitwę,* odparł Chaia.

- Kiedy Auraya patrzyła, jak pentadriańska armia wychodzi z kopalni, zobaczyła coś, co wyglądało na boga - oznajmiła Dyara. - Ale to niemożliwe. Więc co to było? Iluzja?

: *To nie jest niemożliwe,* odpowiedziała Yranna.

- Przecież nie ma innych bogów.

: *Oprócz nas, nie przetrwał żaden z dawnych bogów,* zgodziła się bogini. *Ale mogą powstać nowi.*

- Pięcioro? - spytała Dyara.

: *Mało prawdopodobne,* przyznał Saru.

- Ale nie niemożliwe.

: *Nie.* Chaia spojrzał na pozostałych bogów. *Zbadamy to.*

Przytaknęli.

Chaia znowu zwrócił się do Jurana.

: *Na razie wracajcie do Jarime i cieszcie się pokojem, o który tak ciężko walczyliście. Wkrótce znów się spotkamy, by porozmawiać.*

Spojrzał na Dyarę, potem przesunął wzrok na Aurayę. Na moment uśmiechnął się szerzej, zanim popatrzył jeszcze na Riana i Mairae.

A później pięć świetlistych postaci zniknęło.

Juran westchnął i przerwał krąg, podchodząc do Dyary.

- Miejmy nadzieję, że niczego nie znajdą.

- Tak - zgodziła się Dyara. - Chociaż jeśli pentadrianie czczą prawdziwych bogów, to muszą być z nich trochę niezadowoleni. W końcu przegrali.

- Mhm - przyznał Juran. - Ale czy przegrają znowu?

- Oczywiście, że przegrają - rzuciła lekceważąco Mairae.

Uśmiechnęła się, kiedy wszyscy zwrócili się w jej stronę. - Mamy Aurayę.

Auraya westchnęła.

- Mogłabyś przestać, Mairae? Nie zrobiłam niczego niezwykłego. Pentadrianie popełnili błąd i tyle.

Mairae wyszczerzyła zęby.

- Nieprzyjaciel zabierze ze sobą opowieści o straszliwej latającej kapłance, która zabiła ich przywódcę.

- Nie latałam podczas bitwy.

- To bez znaczenia. Pomyśl, jak bardzo zniechęci ich to do inwazji. Przez pokolenia będą straszyli twoim imieniem niegrzeczne dzieci.

- Cudownie - stwierdziła kwaśno Auraya.

- Jeśli zaraz nie zjem śniadania, naprawdę zobaczysz, jak straszna może być kapłanka - oświadczyła groźnie Dyara.

Juran rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- Za wszelką cenę musimy tego uniknąć. Chodźmy więc. Wracamy do domu.

Ubranie tkacza snów, które ukradła Emerahl, było na nią trochę za duże, ale względnie dobrze ukrywało przed zbytnią uwagą kapłanów, kiedy pomagała rannym. Trzymała się raczej pentadriańskiej części pola bitwy, co zmniejszało liczbę opatrywanych cyrklian. Od wielu godzin nie widziała ani śladu Białych. Prawdopodobnie omawiali przebieg bitwy ze swoimi sojusznikami.

Nie miała żadnych leków, ale radziła sobie za pomocą magii. Taka praca niosła satysfakcję. Nie mogła tak swobodnie korzystać z Darów od... od bardzo dawna. Tuż przed świtem uznała, że pora się oddalić, ale na samej granicy pola bitwy znalazła jeszcze Siyee trzymającego się życia, więc przystanęła, by mu pomóc.

Zanim skończyła, wzeszło słońce. Delikatne światło wypełniło dolinę. Chciała stąd odejść jeszcze po ciemku, ale nie powinno jej zaszkodzić, jeśli ktoś ją zobaczy. Tkacze snów mogą się zastanawiać, czemu jedna z nich schodzi z pola, ale pewnie będą

zbyt zajęci, by cokolwiek zauważyć. A nikt inny nie wiedział o tkaczach snów tyle, by zdziwić się jej odejściem.

Rozejrzała się.... W pobliżu stał tylko jeden tkacz snów, odwrócony do niej plecami. Patrzył w niebo. Zmarszczyła czoło... Było w nim coś znajomego - może należał do tej grupy, którą spotkała na drodze...

Wtedy usłyszała jego głos, cichy i udręczony. Podeszła bliżej i poczuła zimny dreszcz na karku.

Znam ten głos.

Ale przecież nie może należeć do człowieka, którego pamiętała. A w ogóle co on takiego mówi? Przestąpiła nad trupem i cicho podeszła bliżej.

- ...musisz odejść. Nie. Ona potrafi pomóc. Nie. Będzie jeszcze gorzej. Nie mogę...

Głos zmieniał się z wysokiego w niski, ze słabego w stanowczy, z obcego w znajomy. Ten człowiek kłócił się sam ze sobą, jak obłąkany. Kiedy rozejrzał się i skierował twarz w jej stronę, syknęła.

- Mirar!

To przecież niemożliwe. Nie żył... Ale kiedy wymówiła jego imię, spojrzał przytomnie i dostrzegła w jego oczach błysk rozpoznania.

- Emerahl? - Ty... Ty...

- Żyję? W pewnym sensie. - Wzruszył ramionami, a potem przyjrzał się jej badawczo. - Co ty tutaj robisz?

Uśmiechnęła się krzywo.

- To długa historia.

- Pomożesz mi? Możesz mi pomóc?

- Oczywiście. A czego ci trzeba?

- Chcę, żebyś mnie stąd zabrała. Nieważne, w kogo się zmienię. Nieważne, jak będę protestował. Użyj całej swojej magii, jeśli to będzie konieczne.

Popatrzyła na niego.

- Dlaczego miałoby to być konieczne? Skrzywił się tylko.

- Długa historia.

Kiwnęła głową, po czym zbliżyła się do niego. Postarzał się. Nigdy nie widziała go tak wychudzonego i pomarszczonego. Włosy miał tak jasne, że prawie białe, a po nieopalonej skórze wokół ust poznała, że dopiero niedawno zgolił brodę. Gdyby nie ten błysk rozpoznania w oczach, gdyby nie te drobne gesty, które tak dobrze pamiętała, być może by go nie poznała. Ale oto stał przed nią, odmieniony, lecz żywy. Później będzie się zastanawiać nad tą niemożliwością.

Wzięła go pod rękę i poprowadziła ku granicy pola bitwy.

EPILOG

Auraya szła przez pole bitwy.

Wokół leżały poskręcane ciała. Blade, szeroko otwarte oczy umarłych napełniały ją zgrozą. Bała się w nie spoglądać, ale nie potrafiła się powstrzymać. Sine wargi rozchylały się, a chrapliwe głosy błagały o życie. Odrywała wzrok tylko po to, by przyciągał go kolejny przemawiający do niej trup. Oskarżający ją.

- To twoja wina, że zginąłem.

Pospieszyła dalej, ale morze trupów nie miało końca. Leżeli wszędzie. Musiała nad nimi przestępować. Próbowali chwytać ją za kostki.

- Musieliśmy walczyć! - broniła się. - Musieliśmy! Wiecie przecież!

Przed sobą widziała światło. I nagle stanęła przed nim. Na kawałku ziemi między zwłokami ustawiono stół i dwa krzesła. Na stole leżała plansza do kamieni. Rozgrywka już się zaczęła. Piony wyrzeźbiono przepięknie z białych i czarnych żyłkowanych kamieni.

Martwi umilkli. Przestąpiła nad ostatnimi i spojrzała na planszę. Obie strony znalazły się w układzie patowym. Nic dziwnego, że gracze porzucili partię.

Z mroku wyłoniła się jakaś postać. Poczuła ukłucie bólu, kiedy ją rozpoznała.

Leiard.

Spojrzał badawczo najpierw na nią, potem na planszę.

- Bardzo ciekawy sen ci się przyśnił. Dlaczego uznałaś za potrzebne, bym do ciebie dołączył?

Pokręciła głową.

- Nie chcę cię tutaj.

- Wezwałaś mnie.

- Wcale nie.

- Ależ tak.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Więc dlaczego odpowiedziałeś? Myślałam, że wolisz ladacznice.

Zamrugał zdziwiony.

- Czyli wiesz o tym?

- Tak. Zamyślił się.

- Pewnie tak jest nawet lepiej. Nie będziesz miała pokusy, żeby mnie szukać.

To ją zabolało.

- Och, na to nie ma już żadnych szans.

- Może trudno ci będzie uwierzyć, ale nie chciałem cię skrzywdzić. Mój lud był w niebezpieczeństwie. Słaba, pokorna natura Leiarda miała nas ochraniać, nie prowadzić ku zagrożeniom. - Zerknął na planszę. - Zostało pięć białych i pięć czarnych pionków. Którą stronę wybierasz?

Spojrzała.

- Białe, oczywiście.

- A więc wygrałaś.

Jeden z pionków się zmienił. Teraz miał wyryty złoty pierścień, oznaczający kapłana, przez co stał się silniejszy niż poprzednio.

- Co się stało? Wcześniej tak nie było. Leiard uśmiechnął się.

- Nie?

- Dlaczego się zmienił?

- Nie wiem. To twój sen, Aurayo z Białych, a ja nie chcę w nim uczestniczyć. Żegnaj. Uniosła głowę. Zniknął.

SŁOWNICZEK

POJAZDY
platten - wóz dwukołowy
tarn - wóz czterokołowy

ROŚLINY
dembar - drzewo o soku czułym na magię
felfea - drzewo z Si
florrim - środek usypiający
formtan - środek uspokajający
fronden - rośliny podobne do paproci
garpa - drzewo, którego nasiona działają pobudzająco
heybrin - lek, rzekomo chroniący przed chorobami przenoszonymi drogą płciową
mytten - drzewo, z którego drewno pali się bardzo wolno
rebi - owoc znany w Si
słonodrzew - bardzo odporne drewno
shendla - roślina z poszycia leśnego
velziel - lek na hemoroidy
wemmin - mięsisty kwiat
winnet - drzewo rosnące nad rzekami
yan - bulwa w poszyciu leśnym

ZWIERZĘTA
arem - zwierzę gospodarskie, używane do ciągnięcia plattenów i tarnów
ark - ptak drapieżny
breem - małe zwierzę, na które polują Siyee
drewryba - ryba bez smaku
fanrin - drapieżnik polujący na gowty
garr - wielkie zwierzę morskie
girri - nielotny ptak, udomowiony przez Siyee

gowt - zwierzę hodowane dla mięsa i mleka, żyje w górach
kiri - duży ptak drapieżny
leramer - drapieżnik o zdolnościach telepatycznych
lyrim - zwierzę hodowlane, stadne
muhak - niewielki zwierzak domowy
ner - zwierzę hodowane na mięso
ostrucha - żądlący owad z północno - wschodnich gór
reyn - zwierzę służące do jazdy wierzchem lub zaprzęgane do
plattenu shem - zwierzę hodowane dla mleka
światłobal - owad świecący w ciemności
tiwi - owady żyjące w ulach
veez - miły, telepatyczny zwierzak pokojowy, potrafiący mówić
vorn - zwierzę podobnie do wilka
yern - zwierzę podobne do jelenia, z ograniczoną telepatią
yeryer - jadowity stwór morski

ODZIEŻ
cyrkla - kolisty strój noszony przez kapłanów i kapłanki cyrkliańskie
octavestim - szata kapłanów Gareilema
taul - okrycie wierzchnie, zarzucane na ramiona i wiązane pod szyją

JEDZENIE
gofry - smażone, wielowarstwowe ciasto
ognilla - przyprawa z Torenu
orzechowiec - pasta zrobiona z orzechów; potrawa z Si
podpłomyk - ciężki chleb

NAPOJE
ahm - napój z Somreyu, zwykle podgrzany i przyprawiony
teho - napój sennoński
tintra - napój z Hani
tipli - napój toreński

CHOROBY

gnilec - ropienie ran
płucnik - choroba prowadząca do zgnilizny - co ciekawe - płuc

BUDYNKI
bezpieczne schronienie - miejsce, gdzie mogą przenocować tkacze snów